

Lesley-Ann Jones

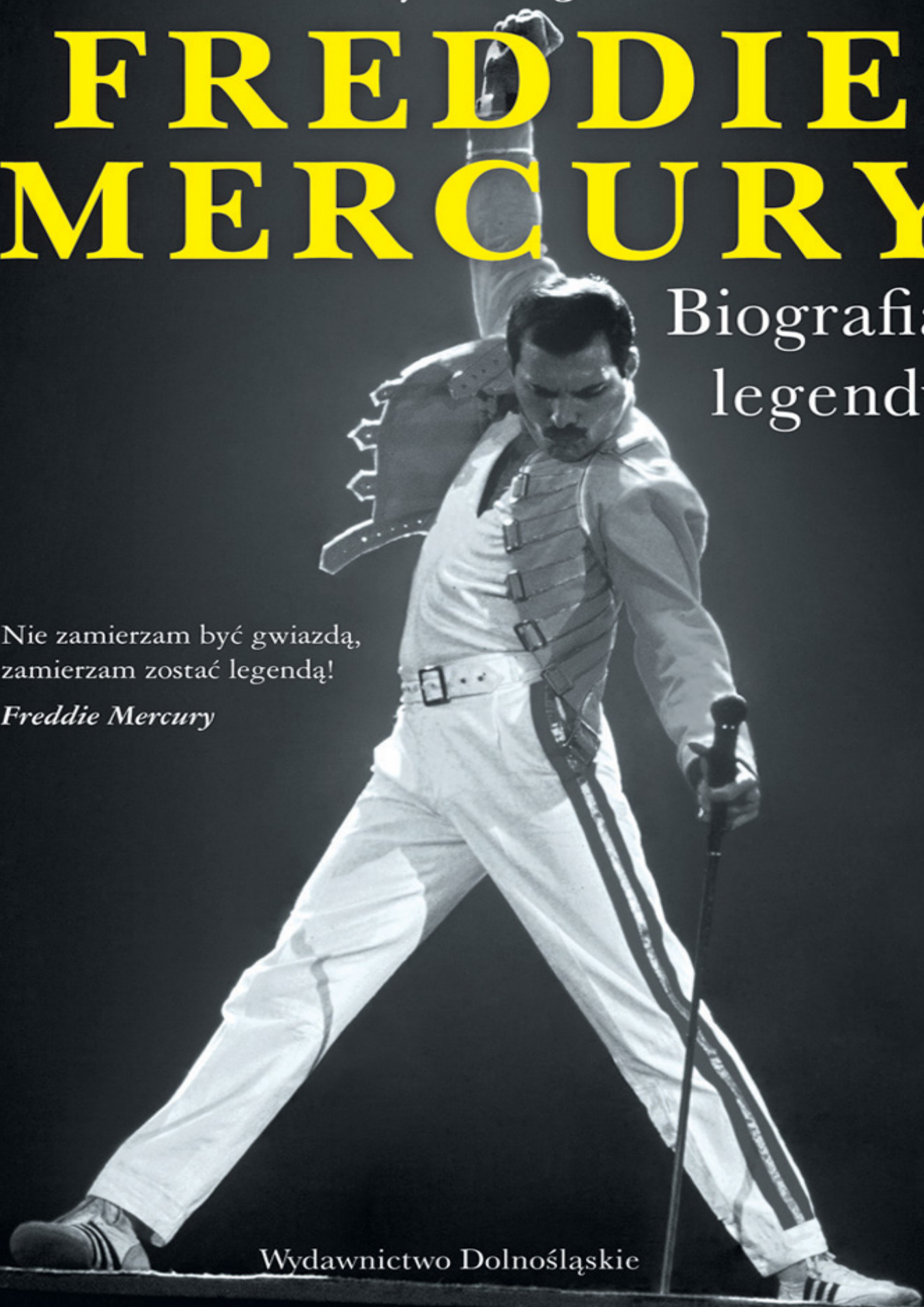
# FREDDIE MERCURY

Biografia  
legendy

Nie zamierzam być gwiazdą,  
zamierzam zostać legendą!

*Freddie Mercury*

Wydawnictwo Dolnośląskie



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Lesley-Ann Jones

# **FREDDIE MERCURY**

## **BIOGRAFIA LEGENDY**

Przełożyli z angielskiego  
*Marta Kisiel-Matecka i Łukasz Matecki*

Wydawnictwo Dolnośląskie

WARSZAWA 2012





# Spis treści

Dedykacja

Wstęp. Montreux

Rozdział 1. Live Aid

Rozdział 2. Zanzibar

Rozdział 3. Panchgani

Rozdział 4. Londyn

Rozdział 5. Queen

Rozdział 6. Wokalista

Rozdział 7. Mary

Rozdział 8. Trident

Rozdział 9. Emi

Rozdział 10. Kumple

Rozdział 11. Rhapsody

Rozdział 12. Sława

Rozdział 13. Champions

Rozdział 14. Monachium

Rozdział 15. Phoebe

Rozdział 16. Ameryka Południowa

Rozdział 17. Barbara

Rozdział 18. Jim

Rozdział 19. Break Free

Rozdział 20. Live

Rozdział 21. Budapeszt

Rozdział 22. Garden Lodge

Rozdział 23. Barcelona

Rozdział 24. Na drogę

Rozdział 25. Legenda

Podziękowania

Źródła zdjęć

Chronologia

Dyskografia

Bibliografia

Przypisy

Metryczka książki

*Dla mojej matki i ojca  
Dla Mii, Henry'ego i Bridie*

## Wstęp

# Montreux

Wtedy nie pisaliśmy. Robiliśmy notatki, jak to w tamtych czasach dziennikarze mieli w zwyczaju, powierzając cytaty własnej pamięci, a potem pod byle pretekstem wymykaliśmy się do łazienki, gdzie bazgroliliśmy w swoich notesach, zanim alkohol uderzył nam do głów. Jasne, mieliśmy magnetofony, ale z nich nie korzystaliśmy. Potrafiły zabić każdą rozmowę, zwłaszcza kiedy okoliczności robiły się kompromitujące - czyli wtedy, gdy nie należało się zbyt obnosić z naszym zawodem.

Dlatego zdezerterowaliśmy - paru pismaków i fotograf - z centrum konferencyjnego, gdzie impreza dla mediów rozkręcała się w najlepsze, i wymknęliśmy się na duże piwo w zacisze jedyne go pubu przy głównej ulicy Montreux. Kameralna knajpka, Blanc Gigi, jak na nią mówili: Biały Koń. Tak się złożyło, że tamtego wieczoru przesiadywał tam Freddie z paroma przyjaciółmi w obcisłych spodniach, Szwajcarami albo Francuzami. Ten typowy angielski pub był jego ulubionym miejscem spotkań, o czym chyba musieliśmy wiedzieć. Freddie nie potrzebował ochroniarza. Potrzebował papierosów. Nowy koleś z „Expressu” był nałogowcem, zawsze miał przy sobie cztery paczki. Dla młodych reporterów z działu rozrywkowego noce ciągnęły się bez końca. Przyszliśmy przygotowani.

To nie było moje pierwsze spotkanie z Freddie. Wcześniej przebywaliśmy w swoim towarzystwie już parę razy. Od dzieciństwa byłam fanką rocka; poznałam Bowiego w wieku jedenastu lat, a Hendrix zmarł w dniu moich urodzin w 1970 roku (to musiał być znak - chyba jak

wszystko?). Porywającą, skomplikowaną muzykę Queen usłyszałam zaś latem, kiedy skończyłam szkołę, za sprawą sióstr Jan i Maureen Day, fanek z Aldershot. Jechałam wtedy razem z nimi rzeżącym autobusem w stronę Barcelony i plaż Costa Brava. W tamtych czasach każdy miał gitarę i kostkę, która w przeszłości należała do George'a Harrisona. Żadna liczba ćwiczeń rozciągających palce nie mogła jednak sprawić, by gitara załkała dla mnie.

Ponieważ nie było mi przeznaczone zostać kolejną Chrissie Hynde albo Joan Jett, od wczesnych lat osiemdziesiątych aż do mniej więcej 1992 roku pisałam o muzyce rockowej i popowej dla „Daily Mail”, „Mail on Sunday”, dodatku „You” oraz „The Sun”. Po raz pierwszy spotkałam się z Queen jako początkująca dziennikarka wydawnictwa Associated Newspapers. Któregoś dnia w 1984 roku wysłano mnie do Notting Hill na wywiad z Freddiem i Brianem; nasza asymetryczna znajomość została zawarta: gdy oni wołali, człowiek posłusznie stawiał się na miejscu. Lata, które potem nastąpiły, dziś wydają mi się surrealne. W tamtych czasach branża muzyczna była łatwiejsza do rozpoznania. Artyści i dziennikarze na ogół podróżowali razem, zatrzymywali się w tych samych hotelach, jedli przy jednym stole i wspólnie ruszali w miasto.

Kilka cennych przyjaźni z tamtych lat przetrwało.

Dziś rzadko kiedy sprawy mają się podobnie. Zbyt wielu jest menadżerów, agentów, promotorów, rzeczników prasowych, ludzi z wytwórni płytowych i pasożytów – wszyscy akuratni, a przynajmniej takich udają. W ich najlepszym interesie leży, by tacy jak ja pozostawali za barierką. Kiedyś drogę torowało się tupetem – z legitymacją prasową albo przepustką czy bez. Czasem nawet je chowaliśmy, żeby nie wyjść z wprawy. Wciskanie kitu było częścią tej gry.

Oglądałam zza kulis występ Queen na stadionie Wembley podczas Live Aid - dzisiaj nie miałabym takiej szansy - i towarzyszyłam zespołowi podczas trasy *Magic* w 1986 roku. W Budapeszcie wzięłam udział w prywatnym przyjęciu na ich cześć zorganizowanym w brytyjskiej ambasadzie i byłam świadkiem historycznego występu na Węgrzech, za żelazną kurtyną, być może będącego dla nich najwspanialszą taką chwilą na żywo. Lubię myśleć, że zlewałam się z otoczeniem: jeszcze jeden chudy piegus po dwudziestce, który kochał rock and rolla.

Zawsze mnie zaskakiwało, że w rzeczywistości Freddie był o wiele drobniejszy, niż w rzeczywistości. Możliwe, że to przez dietę z nikotyny, wódki, wina i kokainy, brak apetytu i ciągłe „naszprycowanie” występami. Tam, na scenie, był tak bardzo przerysowany, że tego samego człowiek spodziewał się po nim na co dzień. Nie. Przeciwnie, wydawał się drobny i ujmująco chłopięcy. Każda dziewczyna chciała mu matkować. Budził podobne instynkty co androginiczny Boy George, wokalista Culture Club, który stał się ulubieńcem gospodyń domowych, po tym jak wyznał, choć nieszczerze, że woli filiżankę dobrej herbaty od seksu.

Freddie rozglądał się po Białym Koniu, z uniesionymi brwiami mruczając „fajka” tym swoim delikatnie afektowanym głosem, z wyraźnym akcentem z wyższych sfer. Tamtego wieczoru uderzyło mnie, że był jedną wielką gmatwaniną sprzeczności, że poza sceną mógł być równie skromny i bezpretensjonalny, co arogancki na scenie. Później usłyszałam, jak mruczy „siusiu” niczym dziecko, i patrzyłam zafascynowana, jak jeden z przyjaciół prowadzi go do łazienki. To było to, zakochałam się po uszy. Chciałam zabrać go do domu, wsadzić do ciepłej kąpieli i poprosić mamę, żeby zrobiła mu pieczeń. Kiedy o tym myślę - wielki gwiazdor rocka nie mógł być aż tak bezradny, by nie być w stanie samodzielnie dotrzeć do kibla. W toalecie Freddie byłby bezbronnym celem.

Roger Tavener, koleś z „Expressu”, zaproponował mu marlboro red. Freddie się wahał – wolał silk cut. Ze swojego miejsca przyglądał się z nikłym zainteresowaniem, jak dyskutujemy z ótmami barowymi. Być może nie zwracaliśmy na niego wystarczająco dużo uwagi, bo wrócił po kolejnego papierosa. Więc gdzie się zatrzymaliśmy? W Montreux Palace: właściwa odpowiedź. Mieszkał tam, miał własny apartament. Wspólnie z pozostałymi członkami Queen był właścicielem Mountain Studios, jedyne go studia nagraniowego w tym szacownym szwajcarskim kurorcie. W tamtych czasach uważano Mountain za jedno z najlepszych w Europie. Teraz on stawiał kolejkę. Drugi raz to samo, co piliśmy wcześniej.

- Oczywiście wiecie, kim jestem – powiedział mniej więcej po godzinie, a w jego hebanowych oczach błysnął blask zrozumienia. Cóż, oczywiście. To z jego powodu tu przyszliśmy. Kilka toników z wódką wcześniej mógł poznać nasze nazwiska. Wysłani przez redaktorów na coroczny festiwal telewizji rozrywkowej i rozdanie nagród Golden Rose (w maju 1986 roku w Montreux wyróżnienia Rose d’Or były na szczycie), zajmowaliśmy się również imprezą towarzyszącą, czyli transmitowaną przez wiele stacji telewizyjnych rockową galą, która stanowiła kiepsko maskowaną wymówkę dla przedstawicieli mediów, by sobie poszaleć.

Sądziliśmy, że Freddie nie życzy sobie, by mu przeszkadzać, ale to on chciał z nami rozmawiać. Z zasady miał pismaków w nosie. Jako że w przeszłości został ośmieszony i źle zacytowany, ufał nielicznym z nas. David Wigg – w tamtym czasie redaktor działu rozrywkowego „Daily Express” – był jego dobrym przyjacielem. Zwykle to on zgarniał najnowsze plotki.

Byliśmy zbyt blisko. Wiedzieliśmy, że właśnie tracimy szansę na oficjalny wywiad. Rano Freddie mógł nas rozgryźć. Co gorsza, mogli to zrobić także jego menadżerzy i rzecznicy prasowi. Raz przeciągnąwszy strunę, jak by to



ujęli, zapewne już nigdy byśmy się do niego nie zbliżyli. To był jego bar, jego terytorium. Mimo to wydawał się wrażliwy, podenerwowany, daleki od wizerunku gwiazdora, którego, jak nam się wydawało, znaliśmy.

- Właśnie dlatego tu jestem - powiedział. - To tylko dwie godziny drogi z Londynu, ale tutaj mogę oddychać, myśleć, pisać, nagrywać i chodzić na spacer. Przez kilka następnych lat chyba będę tego potrzebował.

Współczuliśmy mu. Dołączyliśmy do utyskiwań nad przekleństwem sławy: to był jego problem, nie nasz, ale trzymaliśmy to w tajemnicy. Próbowaliśmy zachować zimną krew. Uciszaliśmy instynkt mordercy, ten instynkt, który kazał nam lecieć do telefonu i dzwonić do redaktorów z sensacją roku, że osaczyliśmy najbardziej rozchwytywanego showmana w historii rocka w oparach zagranicznego alkoholu; wypiliśmy jeszcze parę kolejek i czekaliśmy. Taka okazja zdarzała się raz w życiu. Tavener i ja byliśmy nowymi współnikami w zbrodni. Chcieliśmy sobie nawzajem zaimponować, poza tym pisaliśmy dla zaciekłych wrogów. Powinniśmy krążyć wokół siebie niczym dwa żarłaczki. Zapewniliśmy Freddiego, że jesteśmy obcy w pracy ze sławami, że wiemy, co to prywatność. Pierwsze, czego się wyrzekają, ostatnie, co chcą odzyskać. Te słowa trąciły w nim właściwą strunę.

Zerknął do swojej wódki, kręcąc szklanką.

- Wiecie, właśnie przez to nie śpię po nocach - wyznał w zamyśleniu. - Stworzyłem potwora. Ten potwór to ja. Nie mogę winić nikogo innego. Właśnie na to, od dziecka, ciężko pracowałem. Mógłbym za to zabić. Cokolwiek mnie spotka, to zawsze jest moja wina. Sam tego chciałem. Do tego wszyscy dążymy. Sukces, sława, pieniądze, seks, prochy - czego tylko chcecie. Mogę to mieć. Ale zaczynam dostrzegać, że choć sam to stworzyłem, równie mocno chcę od tego uciec. Boję się, że nie potrafię tego kontrolować tak, jak to kontroluje mnie.

- Zmieniam się, gdy wychodzę na scenę - przyznał. - Przeobrażam w tego „ostatecznego showmana”. Mówię tak, bo właśnie tym muszę być. Nie mogę być drugi, wolałbym już zrezygnować. Wiem, że muszę dumnie wypinać pierś. Wiem, że muszę trzymać mikrofon w określony sposób. I kocham to. Tak jak kochałem patrzeć, jak Jimi Hendrix urabia swoją publiczność. On to łykał, a razem z nim jego fani. Ale poza sceną był dość nieśmiałym facetem. Może cierpiał, usiłując sprostać oczekiwaniom, zgrywając dzikiego człowieka, którym tak naprawdę nie był, z dala od blasku reflektorów. Tam, na scenie, mam wrażenie, że opuszczam własne ciało. Jakbym patrzył na siebie z góry i myślał: „Kurwa, to dopiero jest ogień”. I wtedy dociera do mnie, że to ja: lepiej wracać do roboty.

- Pewnie, że to narkotyk - kontynuował. - Stymulant. Ale robi się trudno, kiedy ludzie widzą mnie na ulicy i chcą tamtego wielkiego Freddiego. Nie jestem nim, jestem spokojniejszy. Sami spróbujcie oddzielić życie prywatne od scenicznego, to jak żyć w schizofrenii. Chyba taką cenę muszę płacić. Nie zrozumcie mnie źle, nie jestem skrzywdzonym panickykiem. Codziennie budzi mnie muzyka. To prawdziwe błogosławieństwo.

Co mógł z tym zrobić?

- Dramatyzuję z byle powodu, wiem! - Przebłysk wielkiego Freddiego. - Pieniądze płyną strumieniami, tłumy mnie uwielbiają, mieszkam w Montreux i najbardziej krzykliwej dzielnicy Londynu. Mogę kupić dom w Nowym Jorku, Paryżu, gdzie tylko zechcę. Jestem rozpuszczony. Facet na scenie może to wszystko. Tego oczekuje publika. Martwi mnie, gdzie się to wszystko kończy - wyznał wreszcie. - Co to znaczy być częścią jednej z największych kapel na świecie? To ściąga na głowę nowe problemy. Nie mogę tak po prostu włóczyć się po ulicach ani zjeść popołudniowej bułeczki w herbaciarni w Kent. Zawsze muszę rozważać wszystkie za i przeciw. To wspaniała

podróż, a ja napawam się widokami, zapewniam was, ale czasem...

Zdążyliśmy przejść przez kasyno i wyjść z drugiej strony, a do świtu wciąż było daleko. Freddie i paru znajomych mieszkali w jakiejś willi u stóp postrzępionych Alp, które, jak twierdził, strzegły starożytnych tajemnic i zaginionych skarbów, między innymi łupów ukrytych przez nazistów podczas wojny. Chłodne nocne powietrze kłuło wonią igliwia, a skąpane w blasku księżyca góry rzucały cienie na jezioro.

Nie można było nie dostrzec, jak bardzo Freddie uwielbiał swój azyl: pocztówkowy widok na riwierę Vaud, słynną za sprawą corocznego festiwalu jazzowego, winnic, Nabokova i Chaplina, *Smoke on the Water* – utworu o niepowtarzalnym riffie, napisanego przez Deep Purple w grudniu 1971 roku, po tym jak podczas występu Franka Zappy jeden z fanów wystrzelił racę. Spłonęło całe kasyno, kłęby dymu przewalały się nad Jeziorem Genewskim, a Roger Glover przyglądał się temu z hotelowego okna, trzymając w dłoni gitarę.

- Kiedy odejdę, rozsypcie moje prochy w jeziorze - powiedział Freddie. Co najmniej dwukrotnie.

Rozmowa zesłała na znaczenie radości, jaką w życiu czerpiemy z drobiazgów. Tajemnicą poliszynela było wówczas to, że za swoje pieniądze gwiazdor rocka mógł kupić sobie życie jak z bajki, o którym tacy jak my mogli tylko śnić.

Co zrobiliśmy z tym „ekskluzywnym materiałem”? Nic. Nie napisaliśmy ani słowa. Oprócz nas nikt się o tym nie dowiedział.

Freddie i jego ekipa byli dobrymi ludźmi. Tamtej nocy świetnie się bawiliśmy. Mówił szczerze. Prawdopodobnie ufał nam mniej, niż sugerowała to jego wylewność. Wiedział, kim jesteśmy, i musiał zakładać, że go wrobimy. Może chciał czegoś dowieść – że dziennikarze zawsze oznaczają kłopoty. Ze wszystkich gwiazd rocka to Freddie

był najbardziej przyzwyczajony do ciągłych zrad, zwłaszcza ze strony ludzi naszego pokroju. Wtedy tego nie pojmowaliśmy, ale teraz jego zachowanie stało się zrozumiałe. Freddie mógł przeczuwać, że jego dni są policzone. Bez wątpienia żył tak, jakby jutro miało nie nadejść. Może na tamtym etapie postanowił zwyczajnie porzucić ostrożność, zamknięty w więzieniu własnej sławy. Wiedząc, że spodziewał się po nas najgorszego, Tavener i ja zgodziliśmy się popełnić niewybaczone przestępstwo – postanowiliśmy nie sprzedawać wyznań Freddiego na pierwsze strony gazet.

Nad przykrytymi śniegiem górami skrzył się świt. Wracaliśmy do hotelu, a tafla wody usiana była bogactwem żywych barw. Nikt się nie odzywał. Nie było nic do powiedzenia. Tavener zapalił ostatnią fajkę.

- Muzyka rockowa jest bardzo istotna – oświadcza Cosmo Hallstrom, sławny psychiatra, który przepracował cztery dekady z ważnymi ludźmi. – Reprezentuje kulturę w jej obecnym kształcie. To wielkie pieniądze, przez które jest wysoce pożądanym zajęciem. To fenomen, którego nie można zignorować. Jednoczy, tworzy wspólną więź.

- Rock and roll jest żywiołowy. Chodzi o surowe, nieskrępowane, pierwotne emocje i proste pomysły wyrażone w zdecydowany sposób. Nie sposób go zignorować. Żaden człowiek mu się nie oprze, chyba że jest głuchy – choć pewnie i wtedy nie. Rock and roll to głos pokolenia. Uprawomocnia je tak jak nic innego.

- Bycie artystą to jak wołanie o pomoc – upierał się Simon Napier-Bell, najslawniejszy menadżer muzyków rockowych i popowych, a on wie, co mówi: pisał przeboje Dusty Springfield, stworzył takich powszechnie znanych wykonawców, jak Marc Bolan, Yardbirds i Japan, powołał do życia Wham! i zrobił z George'a Michaela solową gwiazdę. Simon nigdy nie przebiera w słowach, a już zwłaszcza na ten temat.

- Wszyscy artyści to strasznie niepewni siebie ludzie. Desperacko pragną uwagi. Bez przerwy szukają publiczności. Muszą iść w komercję, czego nienawidzą, choć moim zdaniem jest to lepsze dla ich „sztuki”. Wszyscy mają też identyczną historię, która jest kluczowa. Choćby taki Eric Clapton – kiedy spotkałem go po raz pierwszy, pomyślałem: „To nie jest artysta, tylko zwykły muzyk”. W kapeli Johna Mayalla grał plecami do publiczności, taki był nieśmiały. Ale w miarę jak się rozwijał, dostrzegłem w nim p r a w d z i w e g o artystę. Wychowywał się bez ojca, siostra w rzeczywistości była jego matką, a matka babką. Artyści zawsze mają za sobą nieszczęśliwe dzieciństwo – przynajmniej w kategoriach emocjonalnych niedostatków. Stąd bierze się ich desperacka potrzeba sukcesu, zdobycia miłości i uwagi. Pozostali prędzej czy później odpadają z gry, bo mówię wam: bycie gwiazdą to a b s o l u t n y k o s z m a r. Miło dostać dobry stół w restauracji, ale przez cały posiłek co trzydzieści sekund ktoś do ciebie podchodzi. Koszmar. Ale gwiazdy bardzo chętnie to znoszą. To część ich pracy.

- Zwykle są absolutnie czarujący w stosunku do nowych znajomych – ciągnął. – Tyle że medal ma jeszcze drugą stronę. Kiedy już wezmą od ciebie wszystko, co tylko mogą, i nie jesteś im więcej do niczego potrzebny, po prostu cię wypluwają. Parę razy zostałem wypluty, ale guzik mnie to obeszło. Rozumiem ich, wiem, co ich wkurza. Nie ma co się martwić ani denerwować, że jakaś gwiazda była dla ciebie nieuprzejma czy okrutna. Tacy już są. Każdy z nich nosi w sobie swego rodzaju psychiczny uraz. Gwarantuję, że go dostrzeżesz, jeśli przyjrzesz się ich dzieciństwu. Co innego mogłoby sprawić, że tak desperacko walczą o oklaski i uwielbienie? Tak desperacko, że wiodą parszywe życie, którego nie mogą nawet nazwać własnym. Żaden normalny człowiek nigdy nie chciałby zostać gwiazdą. Za żadne pieniądze.

- Freddie Mercury zrobił najważniejszą rzecz, jaką mógł zrobić - sprzeciwił się dr Hallstrom. - Umarł młodo. Zamiast zmienić się w otyłą, spuchniętą, zarozumiałą starą ciotę, odszedł w kwiecie wieku i tak zostanie na zawsze zapamiętany. Całkiem niezła śmierć.

## Rozdział 1

# Live Aid

*Grając ten koncert, robimy coś pozytywnego, żeby ludzie popatrzyli, posłuchali i, o ile szczęście nam dopisze, wpłacili pieniądze. Kiedy ludzie umierają z głodu, trzeba na to patrzeć jak na wspólny problem. Czasami czuję się bezradny, a tym razem mogę dać coś od siebie.*

Freddie Mercury

*Ta scena była dla niego stworzona - cały świat.*

Bob Geldof

Swego czasu politycy byli wielkimi mówcami. Na przestrzeni XX wieku sztuka ta dramatycznie podupadła. Ze wszystkich jej nieprawdopodobnych dyscyplin to rock and roll jest jedną z nielicznych pozostałych dziedzin, w której jednostka lub grupa potrafią zagarnąć publiczność, kontrolować tysięczne rzesze za pomocą głosu. Aktorzy tego nie potrafią. Telewizyjnym gwiazdom nawet się to nie śniło. Być może właśnie dlatego artyści rocka są ostatnimi przykuwającymi uwagę postaciami naszych czasów. Uświadomiłam to sobie, stojąc za kulisami na stadionie Wembley podczas koncertu Live Aid razem z Johnem Entwistlem, basistą Who, i jego dziewczyną Max. Patrzyliśmy, jak Freddie występuje w skwarze przed niemal osiemdziesiątysięczną publicznością na stadionie i widownią przed telewizorami liczącą... kto wie ile? W późniejszych latach podawano rozmaite liczby, ale gdzieś między czterystu milionami



w około pięćdziesięciu krajach za pośrednictwem satelity a miliardem dziewięciuset milionami na całym świecie. Wbił ich w ziemię swoją nonszalancją, poczuciem humoru, tupetem i seksapilem. Oglądaliśmy go z rozdziawionymi ustami. Wszelkie próby wymiany komentarzy tonęły w ogłuszającym ryku tłumu. Freddie nie miał się czym przejmować. Wydawało nam się, że czujemy zapach tej potężnej, surowej mocy, która oczarowała publiczność. Za kulisami największe legendy rocka przystawały, by popatrzeć, jak ich rywal kradnie im cały show. Freddie doskonale wiedział, co robi. Przez osiemnaście minut ten nieprawdopodobny król i jego Królowa rządili całym światem.

Pomagamy szczęściu na rozmaite sposoby. Bob Geldof gryzmolił pewnego dnia w swoim dzienniku podczas jazdy taksówką: to się nazywa szczęście. Był listopad 1984 roku. Z głębin jego umysłu - z „pola bitwy sprzecznych myśli”, jak to później opisał - wyłoniły się pierwsze fragmenty tekstu, który wkrótce zakołysał światem. Było to tuż po tym, jak Geldof obejrzał na BBC News wstrząsający materiał Michaela Buerka z nękaną głodem Etiopii. Przerażony telewizyjnymi wiadomościami opisującymi cierpienie biblijnych rozmiarów Geldof był równocześnie wstrząśnięty i bezradny, a poczucie winy kazało mu się zaangażować. Nie wiedział jednak jak. Mógł zrobić to, co robił najlepiej: usiąść i napisać przebojowy singiel, a dochód z jego sprzedaży przekazać na Oxfam<sup>[1]</sup>. Lecz jego irlandzka kapela punkowa Boomtown Rats powoli się rozpadała, od 1980 roku żadna ich piosenka nie znalazła się w pierwszych dziesiątkach list przebojów. Szczyt ich popularności nadszedł i przeminął w 1979 roku wraz z numerem jeden *I Don't Like Mondays*. Geldof wiedział, że fani kupią charytatywny singiel, pod warunkiem że wyda go muzyk wystarczająco wielkiego formatu - zwłaszcza w okresie wysypu świątecznych hitów. Musiał tylko znaleźć

pełną współczucia gwiazdę, która by go nagrała. O wiele lepiej by było, gdyby udało mu się przekonać całą galaktykę do zaśpiewania jednej piosenki.

Bob odezwał się do Midge'a Ure'a, którego kapela Ultravox występowała tamtego tygodnia w *The Tube* - nadawanym na Channel 4 programie rockowo-popowym prowadzonym przez ówczesną dziewczynę (a wkrótce potem żonę) Geldofa, świętej pamięci Paulę Yates. Midge zgodził się napisać i zaaranżować muzykę do jego tekstu. Potem Bob udał się do Stinga, wokalisty Duran Duran Simona Le Bona, Gary'ego i Martina Kempów ze Spandau Ballet. W miarę upływu czasu jego galaktyczna lista wydłużała się coraz bardziej, obejmując między innymi takich wykonawców, jak Boy George, Frankie Goes To Hollywood, Paul Weller ze Style Council, George Michael i Andrew Ridgeley z Wham! czy Paul Young. Francis Rossi i Rick Parfitt ze Status Quo chętnie się przyłączyli, podobnie jak Phil Collins i Bananarama. David Bowie i Paul McCartney, którzy zaangażowali się w inny sposób, wnieśli swój wkład zdalnie. Geldof miał później zmiksować przesłany przez nich materiał z całością. Sir Peter Blake, znany na całym świecie za sprawą ilustracji do *Sgt Pepper's Lonely Heart Club Band* Beatlesów, został zwerbowany do zaprojektowania okładki. Tak narodził się Band Aid, nazwą nawiązując do popularnej marki plastrów. Ta kapela miała uleczyć świat.

Singiel *Do They Know It's Christmas?* został nagrany za darmo 25 listopada 1984 roku w należących do Trevora Horna Sarm West Studios w Notting Hill (zachodni Londyn) i wydany zaledwie cztery dni później.

Tamtego tygodnia pierwsze miejsce na liście przebojów zajmował szkocki wokalista Jim Diamond ze wzniosłą, ponadczasową balladą *I Should Have Known Better*. Chociaż jego kapela PhD miała na swoim koncie hit *I Won't Let You Down* z 1982 roku, sam Diamond nigdy nie wspiął się na szczyt. Przemysł muzyczny doznał więc szoku, kiedy

wielkoduszny Jim udzielił wywiadu na temat swojego sukcesu.

- Jestem zachwycony pierwszym miejscem na liście przebojów - oznajmił - ale nie chcę, żeby w przyszłym tygodniu ludzie kupili moją płytę. Chcę, żeby zamiast tego kupili *Band Aid*.

- Nie wierzyłem własnym uszom - powiedział Geldof. - Jako wokalista, który od pięciu lat nie miał przeboju, wiedziałem, ile go to kosztuje. Tak po prostu zrezygnował z własnego hitu na rzecz innego. To było autentycznie bezinteresowne.

W następnym tygodniu *Do They Know It's Christmas?* powędrowało prosto na szczyt listy przebojów w Wielkiej Brytanii, osiągając lepszy wynik sprzedaży niż wszystkie pozostałe single razem wzięte i tym samym stając się najszybciej sprzedającym singlem w historii listy, która istniała od 1952 roku. Tylko w ciągu pierwszego tygodnia rozeszło się milion kopii. Nagranie okupowało szczyt przez pięć tygodni z wynikiem ponad trzy i pół miliona sprzedanych egzemplarzy. Był to najlepiej sprzedający się brytyjski singiel w historii - zakończył dziewięcioletnie panowanie magnum opus Queen, czyli *Bohemian Rhapsody*. Rekord *Do They Know It's Christmas?* został pobity dopiero w 1997 roku przez Eltona Johna i jego podwójny charytatywny singiel *Candle In the Wind/Something About the Way You Look Tonight*, nagrany w hołdzie księżnej Dianie.

- Queen byli bardzo rozczarowani, że nie zaproszono ich do udziału w *Do They Know It's Christmas?* - przyznaje Spike Edney, muzyk sesyjny, który jeździł z Queen w trasy koncertowe jako piąty członek zespołu (instrumenty klawiszowe, wokal i gitara rytmiczna) i wyrobił sobie markę, grając z Boomtown Rats oraz innymi znanymi kapelami.

- Brałem udział w trasie Ratsów i wspomniałem o tym Geldofowi. To wtedy powiedział, że ma nadzieję

zorganizować wspólny koncert i zamierza zaprosić Queen do udziału. Pamiętam, że pomyślałem: „Brednie. Odbiło mu. To nigdy nie dojdzie do skutku”.

Reakcja przemysłu muzycznego na to, co zdołał osiągnąć Geldof, mówiła coś przeciwnego. Brytyjskiemu hitowi deptała już po piętach amerykańska supergrupa z singlem dla Afryki *We Are the World*, napisanym przez Michaela Jacksona i Lionela Richie, a wyprodukowanym przez Quincy'ego Jonesa i Michaela Omartiana. Na sesji nagraniowej w A&M Studios w Hollywood w styczniu 1985 roku spotkały się największe legendy światowej muzyki, między innymi takie gwiazdy, jak Diana Ross, Bruce Springsteen, Smokey Robinson, Cyndi Lauper, Billy Joel, Dionne Warwick, Willie Nelson i Huey Lewis. Łącznie udział wzięło ponad czterdziestu pięciu najlepszych amerykańskich wykonawców. Ponad pięćdziesięciu musiano odmówić. Gdy wybrańcy zjawili się w studiu, stanęli przed znakiem nakazującym im „sprawdzić przed wejściem swoje ego”. Powitał ich łobuzerski Stevie Wonder, który oświadczył, że jeśli piosenka nie będzie świetna już za pierwszym podejściem, to on i drugi niewidomy artysta, Ray Charles, odwiozą ich do domów. Singiel rozszedł się w ponad dwudziestu milionach egzemplarzy i był najszybciej sprzedającą się płytą w historii Ameryki.

Queen zakończyli stanowiącą nie lada wyzwanie trasę *The Works*, kiedy Geldof nadał impet swojej kampanii charytatywnej i ogłosił, że zamierza stworzyć najbardziej ambitny projekt w dziejach rocka. Queen, zignorowani przy singlu, uznali, że raczej nie zostaną zaproszeni do udziału w koncercie. Teraz wydaje się to ironią losu. Pomimo piętnastu lat kariery, niezrównanego dorobku w postaci albumów, singli i teledysków, honorariów liczonych w milionach, zgarnięcia większości nagród muzycznych za umiejętność łączenia rocka, popu, opery, rockabilly, disco, funku i folku gwiazda Queen przygasła. Od sierpnia 1984 do maja 1985 roku zespół spędził większość czasu

poza domem, promując album *The Works*. Wzięli między innymi udział w festiwalu Rock in Rio w styczniu 1985 roku, gdzie wystąpili na żywo przed publicznością liczącą około trzysta tysięcy fanów. Lecz trasa koncertowa była najeżona problemami. Chodziły pogłoski, że członkowie kapeli zamierzają się rozstać.

- Wyraźnie się od siebie oddalali - potwierdził Spike Edney. - Czasy się zmieniły, przyszło zupełnie nowe muzyczne pokolenie. New Romantic, Spandau Ballet i Duran Duran. Nie da się wyjaśnić, co stoi za sukcesem czy porażką - nie ma żadnych gwarancji. Przez pewien czas sprawy Queen układały się nie po ich myśli, zwłaszcza w Ameryce. W ich amerykańskiej wytwórni płytowej poszło niemal na noże. Stracili pewność siebie. Może wyładowywali na sobie negatywne emocje. Kto by tego nie robił?

- Hej, wszyscy się ze sobą żrą - wyjaśnił Rick Wakeman, ich bliski przyjaciel, mistrz instrumentów klawiszowych i były członek Strawb i Yes. - Członkowie kapel się kłócą. To zrozumiałe: w ilu zawodach ludzie trzymają się razem przez cały czas? Podczas trasy razem jecie śniadanie, razem jeździcie do roboty, razem siadacie do wszystkich posiłków. Sam jesteś tylko w łóżku, a i to nie zawsze. Nieważne, jaka łączy was przyjaźń, prędzej czy później nadchodzi taki dzień, kiedy mówisz sobie: „Jeśli ten koleś jeszcze raz podrapie się po głowie, wsadzę mu nóż w bebechy”. Trzeba się nauczyć, jak zapewniać sobie przestrzeń. Jeśli tylko stworzycie dobrą muzykę, to nieważne, że jeden się wkurza, drugi idzie przyćpać, trzeci ucieka na scenę, żeby poćwiczyć, a czwarty urywa się na mecz piłki nożnej. Zbierz razem czterech czy pięciu ludzi, ekstremalnie twórcze jednostki, które dokonują cudów za pomocą swoich umysłów, dłoni i głosów, i masz potencjalne fajerwerki. Pod tym względem Queen niczym się nie różnili od innych.

Po trasie koncertowej promującej ich oszałamiająco taneczny, pozbawiony dźwięku gitary album *Hot Space*



z 1982 roku Freddie Mercury, Brian May, Roger Taylor i John Deacon praktycznie rozwiązali zespół, żeby skupić się na własnych celach - zwłaszcza Brian z Eddiem Van Halenem na *Star Fleet Project*, a Freddie na solowym albumie. W sierpniu 1983 roku spotkali się w Los Angeles i wspólnie zabrali do pracy nad *The Works*, dziesiątym albumem studyjnym i debiutanckim CD. Pierwszym singlem było *Radio Ga Ga*. Na *The Works* znalazł się również hardrockowy utwór *Hammer to Fall*, tęskna ballada *Is This the World We Created...?* oraz kontrowersyjne *I Want to Break Free* z bulwersującym teledyskiem swobodnie nawiązującym do sceny z brytyjskiej opery mydlanej *Coronation Street*, w którym członkowie zespołu wystąpili w damskich strojach. Singiel cieszył się ogromną popularnością w Wielkiej Brytanii i na innych rynkach, lecz w konserwatywnych stanach USA spotkał się z oburzeniem i wyprowadził z równowagi wielu fanów.

Co gorsza, Queen dopiero co złamali kulturalny bojkot ONZ, występując - podobnie jak Rod Stewart, Rick Wakeman, Status Quo i inni wykonawcy - w Republice Południowej Afryki w czasach apartheidu. Ich występ w październiku 1984 roku w Sun City, należącym do Sola Kerznera kompleksie wypoczynkowo-rozrywkowym z kasynem i polami golfowymi w Bophuthatswane, ściągnął na zespół światową krytykę. Otrzymali również karę finansową i trafili na czarną listę British Musicians' Union (Związku Zawodowego Muzyków). Dla urodzonego w Afryce muzyka - takiego jak Freddie - to była parodia. Problem doczekał się rozwiązania dopiero w 1993 roku wraz z upadkiem segregacji rasowej, rok przed tym, jak Nelson Mandela został wybrany na prezydenta RPA. W kolejnych latach Queen byli jego ważnymi i aktywnymi stronnikami.

- Stałem za Queen murem, kiedy pojechali do RPA - stwierdził stanowczo Rick Wakeman. - Ja też dałem

koncert w czasie apartheidu, z orkiestrą złożoną z czarnych Zulusów, Azjatów i białych.

- Zagrałem tam *Journey to the Centre of the Earth* i zostałem ukrzyżowany przez brytyjską prasę. Próbowałem im wytłumaczyć, ale nie chcieli słuchać. Muzyka nie jest ani „czarna”, ani „biała”, to tylko orkiestra, chór. Nie wspieraliśmy reżimu. Wystąpili tam George Benson, Diana Ross... Dlaczego kolorowi wykonawcy mogli, a biali nie? To dopiero było rasistowskie. Shirley Bassey pojechała tam ze słowami: „Do kurwy nędzy, jestem pół Nigeryjką, pół Walijką, gorzej być chyba nie może?”. Więc kiedy Queen polecili do RPA, całkowicie im przyklasnałem. Obnażyli idiotyzm tej sytuacji, zwrócili uwagę na fakt, że muzyka nie zna seksualnych, kulturowych czy rasowych barier. Muzyka jest dla wszystkich.

„Globalna szafa grająca” pod postacią Live Aid miała zagrać 13 lipca 1985 roku w dwóch olbrzymich lokalizacjach. Zarezerwowano stadion Wembley i stadion imienia Johna F. Kennedy’ego w Filadelfii. Organizacja przedsięwzięcia okazała się logistycznym koszmarem.

- Kiedy Bob przyszedł do mojego biura po raz pierwszy, żeby omówić ten koncert, myślałem, że żartuje - przypomina sobie organizator imprezy Harvey Goldsmith. -

W 1985 roku nie było faksów, nie mówiąc już o komputerach, telefonach komórkowych i tym podobnych. Korzystaliśmy z teleksów i linii naziemnych. Pamiętam, jak któregoś popołudnia siedziałem w biurze z wielką mapą satelitarną i starą suwmiarką, usiłując rozgryźć, gdzie w danym momencie będzie się znajdował satelita. A kiedy poszliśmy do BBC, Bob grzmotnął pięścią w stół i oświadczył: „Chcę siedemnaście godzin czasu antenowego”. To była rewolucja. Zgoda BBC na udział w przedsięwzięciu posłużyła jako argument do przekonania nadawców telewizyjnych na całym świecie. Nigdy dotąd nic podobnego się nie zdarzyło. Moim zadaniem było połączyć wszystkie elementy i wprowadzić maszynę w ruch.



Potem przyszła pora na przekonanie największych gwiazd rocka, spośród których część już wzięła udział w nagraniu charytatywnych singli, aby wystąpili i pomogli zebrać kolejne fundusze dla głodujących. Miał to być ewidentny odwet środowiska muzycznego na nieudolnych rządach z całego świata.

- Półgłówki rock and rolla, po prostu się spieszyliśmy - podsumowuje Francis Rossi ze Status Quo. - Wściekam się, kiedy teraz o tym myślę. Jestem przekonany, że gdyby wszyscy zebrali się do kupy - gdybyśmy wtedy rozumieli, jak wiele możemy osiągnąć - przekonalibyśmy koncerny naftowe, BP, Shell czy kogoś innego, żeby dorzucili coś od siebie. Zebralibyśmy dwadzieścia razy więcej. Nie wmawiajcie mi, że rząd nie był w stanie uchwalić ustawy, rozwiązać kwestii reklamy i tak dalej. Gdybyśmy wciągnęli w to wielki biznes, zysk byłby niewyobrażalny. W tamtych czasach to było dziewicze terytorium. Dzisiaj myślimy o Live Aid inaczej. Mimo wszystko Bobowi należy się całe uznanie. Zorganizował coś, co tylko nieliczni zdołaliby ogarnąć.

Jak Geldof zaangażował do udziału Queen?

- Bob poprosił, żebym zapytał zespół, czy są zainteresowani. Okazja nadarzyła się, gdy Queen ruszyli w trasę koncertową po Nowej Zelandii - mówi Spike Edney. - Odpowiedzieli: „Dlaczego sam nie zapyta?”. Wyjaśniłem, że bał się odmowy. Nie wyglądali na przekonanych, ale powiedzieli, że mogą się zastanowić. Przekazałem wiadomość Bobowi, a on zwrócił się z oficjalną prośbą do [menadżera Queen]<sup>[2]</sup> Jima Beacha.

Później Geldof wyjaśnił, jak zdołał przekonać zespół.

- Pojechałem za Jimem aż do... jakiegoś małego nadmorskiego kurortu, w którym się zatrzymał, i powiedziałem: „Słuchaj, na litość boską, co z nimi jest nie tak?”. Jim odparł: „Och, wiesz, Freddie jest bardzo wrażliwy”. Więc stwierdziłem: „Przekaż tej starej ciocie,

że to będzie największy show w historii - gigantyczny megakoncert". W końcu wrócili i powiedzieli okej, na pewno się przyłączą, a ja pomyślałem: „Super”. I kiedy Queen wystąpili na Live Aid, byli najlepszą kapelą dnia. Nieważne, jaką muzykę lubiłeś. Gdy przyszła ich kolej, zagrali najlepiej, mieli najlepsze nagłośnienie, w stu procentach wykorzystali swój czas. Dokładnie rozumieli, że Live Aid to globalna szafa grająca, tak jak to opisałem. Po prostu wyszli na scenę i zagrali hit za hitem. Coś niewiarygodnego. Byłem wtedy na górze, w łożu sędziowskiej na Wembley, i nagle usłyszałem ten dźwięk. Pomyślałem: „Boże, kto im zrobił t a k i e nagłośnienie?”.

Ani Geldof, ani nikt inny nie miał pojęcia, że o godzinie 18.40, tuż przed występem Queen, ich dźwiękowiec, James „Trip” Khalaf, wyszedł „sprawdzić nagłośnienie” i ukradkiem podkręcił ograniczniki.

- Graliśmy g ł o ś n i e j niż ktokolwiek inny na Live Aid - wyznaje Roger Taylor. - Tłum na stadionie trzeba wbić w ziemię!

- Wyszedłem na zewnątrz - powiedział Geldof - i zobaczyłem, że to Queen. Spojrzałem na ten tłum szalejących ludzi. Zespół dał niesamowity koncert. Myślę, że potem byli zachwyceni, zwłaszcza Freddie. Ta scena była dla niego stworzona - cały świat, a on mógł sobie do woli zgrywać pedała podczas *We Are the Champions* i całej reszty, rozumiesz? Czy mógłby sobie wymarzyć coś lepszego?

- W ogóle nie znaleźliśmy Boba - zauważył John Deacon w mało znanym wywiadzie. - Kiedy robił *Do They Know It's Christmas?*, zwrócił się do wielu nowych kapel. Do koncertu potrzebował zespołów o ustalonej pozycji. W pierwszej chwili nie byliśmy pewni - dwadzieścia minut, żadnego testu nagłośnienia! Gdy już było wiadomo, że sprawa dojdzie do skutku, właśnie kończyliśmy trasę w Japonii. Jedliśmy posiłek w hotelu, dyskutując, czy powinniśmy w to wejść... i zgodziliśmy się. Tamtego dnia czułem się dumny,

że jestem częścią przemysłu muzycznego, a to nie zdarza się każdego dnia! Ale tamte czasy były wspaniałe, ludzie zapomnieli o rywalizacji... To był też dla nas świetny moralny kop, bo pokazał nam, jak wielkim wsparciem cieszyliśmy się w Anglii i jak wiele mieliśmy do zaoferowania jako zespół.

- Nie było nic magicznego w tym, jak dograliśmy szczegóły - przyznaje Spike Edney. - Usiedliśmy, by przedyskutować, jakie wybrać kawałki, i w końcu przyszło nam do głowy, żeby zagrać składankę największych hitów. To żadna tajemnica, jeśli masz mnóstwo piosenek i nie możesz spośród nich niczego wybrać, sprawa wydaje się oczywista. Wszyscy podeszli do problemu bardzo praktycznie i mimo wszystko idealnie zgrali się czasowo. Każdy członek tej kapeli jest perfekcjonistą z piekła rodem... i całe szczęście, bo tamtego dnia dało to niesamowity rezultat.

- Queen przez cały tydzień naprawdę ostro ćwiczyli w Shaw Theatre przy Euston Road [w Londynie], a pozostali po prostu wyszli na scenę i zaimprovizowali - wspomina Peter „Phoebe” Freestone, osobisty asystent Freddiego. - Dlatego byli najlepsi. Pamiętam oszołomienie Freddiego, gdy zaczął śpiewać *Radio Ga Ga* i zobaczył wzniesionych tysiące rąk. To go olśniło, nigdy wcześniej nie widział niczego podobnego. Tę piosenkę zawsze grali po zmroku.

Spike Edney zapamiętał to jednak inaczej i upiera się, że Freddiemu włączył się tryb „biorę wszystko na klatę” i że razem z resztą zespołu podszedł do tematu z kompletnym spokojem. Z tego, co widziałam, muszę się z nim zgodzić. To był szczytowy moment w karierze Queen, moment, do którego dążyli od samego początku swojej kariery.

- Za kulisami panował zorganizowany chaos - wspominał Spike. - Wszyscy byli niezwykle ujmujący i otwarci. Nikt się nie wyzłośliwiał, nie próbował przebić pozostałych. Zanim

wkroczyli Queen, atmosfera przypominała miły letni piknik. Nie żeby Queen byli wyrachowani czy przebiegli. Po prostu jak zwykle robili to, co do nich należało, spodziewając się, że inni postąpią tak samo. Osłupiałem, słysząc, jak pewni artyści śpiewali swoje ostatnie single. Przecież to nie była ich publiczność! Queen tak nie zrobili. Zrobili to, czego oczekiwał Bob. Dali koncert dziś często nazywany najlepszym rockowym koncertem w dziejach. Co to naprawdę znaczy? Że zespół u szczytu swoich możliwości zrobił to, w czym był najlepszy, wprawiając wszystkich w osłupienie.

- Nikt nie był na to przygotowany... z wyjątkiem Queen - wspominał Pete Smith, koordynator koncertu i autor Live Aid. - Widziałem scenę na monitorach za kulisami. BBC zainstalowało telewizory w części dla artystów. Razem z zegarami, które zamówił Harvey, dawały nam pojęcie, na którym etapie koncertu jesteśmy. Queen zburzyli wszystkie zasady i w ciągu dwudziestu minut stworzyli je od nowa. Efekt był namacalny. Live Aid zawrzało.

U szczytu muzycznego i technicznego geniuszu - w tamtym momencie nie istniał bardziej profesjonalny zespół rockowy - reputacja Queen na światowych scenach topniała w zastraszającym tempie. Za sprawą wielu błędnych posunięć, nieszczęśliwych zbiegów okoliczności i, ogólnie rzecz biorąc, zmiany muzycznych gustów na szeroką skalę ich popularność spadała. Queen zaczęły wierzyć, że ich czas już minął. Zanosiło się na rozstanie. Rozmawiali o tym. Dzięki Live Aid wszystko to miało się zmienić.

Dlaczego jednak ludzie do tego stopnia zachwycili się ich elektryzującym występem? Spike Edney nie umiał sobie tego wytłumaczyć.

- Przecież to było właśnie całe Queen! - śmiał się. - Słynęli na całym świecie ze swoich wspaniałych widowisk, z tego, że zawsze dają z siebie wszystko. Byli weteranami koncertów stadionowych, a nie nowicjuszami. Znajdowali

się w swoim naturalnym środowisku - im liczniejsza publiczność, tym lepiej. W zasadzie mogliby grać przez sen. Prawdę mówiąc, Queen byli zaskoczeni zaskoczeniem innych! Oni traktowali ten występ jak kolejny dzień w biurze. Mimo to, gdy schodzili ze sceny, zdawali sobie sprawę z tego, co osiągnęli. Po Live Aid Queen odkryli, że zmienił się cały ich świat.

Bernard Doherty zajmował się stroną promocyjną koncertu, tamtego dnia obsługiwał media.

- Wiedzieliśmy, że musimy żyć z prasą na dobrej stopie, by zapewnić imprezie maksymalny rozgłos. Miałem zaledwie osiem przepustek i setki dziennikarzy. Musieliśmy je jakoś podzielić. Mówiłem każdemu po kolei: „Dobra, masz czterdzieści pięć minut, robisz swoje i wracasz. Widzimy się w Hard Rock Café”, tam znajdowała się „filia” kulisów. Kulisy przypominały natomiast karawanę z przewoźnymi kontenerami artystów ustawionymi przodem do siebie. Gdzieś w środku tego zamieszania Elton John rozpałił grilla, bo nie odpowiadała mu oferta restauracji. David Bailey urządził sobie studio fotograficzne w jakimś zaśmierdłym kąciku, nie był dumny, zadowalał się tym, co miał. Warunki odbiegały od idealnych, wszystko organizowano w pośpiechu, ale jakimś sposobem się udało. Ludziom udzielił się duch imprezy, większość z nich zostawiła ego w domu i dzięki temu koncert wypalił.

Doherty musiał się także troszczyć o potrzeby Davida Bowiego, swojego klienta.

- Człowiek bywa wykończony nerwowo, kiedy zajmuje się artystą i robi dwie rzeczy jednocześnie. Lub osiemnaście, jak w moim przypadku tamtego dnia. Między Davidem a Eltonem nie było zbyt wiele miłości - najwyraźniej o coś się pokłócili. David dał dobry występ. Elton wypadł nieźle. Ze wszystkich artystów tylko widok Freddiego autentycznie ucieszył Davida. Byli naprawdę zachwyceni, że znów się spotkali. Ucieli sobie miłą pogawędkę, jakby widzieli się ledwie wczoraj. Ich wzajemna sympatia wydawała się

wprost namacalna. David miał na sobie piękny niebieski garnitur, wyglądał niesamowicie elegancko i zdrowo. Tuż przed tym, jak zaczął swój występ, Freddie puścił do niego oko i powiedział: „Skarbie, gdybym cię tak dobrze nie znał, chyba bym cię schrupał”. Nic dziwnego, że David wychodził na scenę z szerokim uśmiechem.

Freddie przez cały dzień był rozluźniony.

- Siedział otoczony gronem wielbicieli w ten swój idealnie afektowany, lecz jednocześnie dość skromny sposób - zgodził się Bernard. - Zdawał sobie sprawę, jaką ma władzę nad ludźmi, ale ta świadomość nie uderzyła mu do głowy. Gdyby siedział tak przed chatką na plaży w Southend-on-Sea, ludziom zapałoby dech w piersiach. Był prawdziwą gwiazdą, miał w sobie to nieuchwytnie coś. Nie wiem, gdzie był wtedy John Deacon. Przez cały dzień nie widziałem też, żeby Brian May i Roger Taylor choć raz się do siebie odezwali. Przypominali parę po rozwodzie na tej samej imprezie.

Francis Rossi jest innego zdania.

- Nie wierzę w teorię, że Queen byli wtedy bliscy rozpadu. Jak dla mnie, dobrze się dogadywali, a znaliśmy ich całkiem nieźle. We wszystkich kapelach dochodzi do sprzeczek. Na pewno zjednoczyło ich poświęcenie dla idei, jaka przyświecała Live Aid.

Mimo to za kulisami kwitły plotki o Queen balansujących na krawędzi rozstania.

- To było widać - upierał się Bernard Doherty. - Ale nie wtedy, kiedy wyszli na scenę. Jeśli nawet czasem się ścierali, to byli na tyle inteligentni, żeby odłożyć kłótnie na bok i zająć się pracą. Wyszli na scenę i odnieśli zwycięstwo. Queen potrafili oszołomić. Co jeszcze pamiętamy z Live Aid? Problemy z dźwiękiem podczas występu The Who. Bono, który wprowadził się w trans, gubił wątek i wprowadził pozostałych w zakłopotanie, łamiąc tego dnia wszelkie zasady. Nikt z U2 nie chciał z nim potem gadać.



Chociaż, koniec końców, występem na Live Aid U2 wyrobili sobie opinię zespołu stadionowego ze świetlaną przyszłością, niewiele brakowało, by sprawy potoczyły się dla nich zgoła odwrotnie. Nie dość, że zagrali pełną emocji, czternastominutową wersję swojej „heroinowej piosenki” *Bad* z albumu *The Unforgettable Fire* z 1984 roku, to w dodatku Bono przerywał ją ryzykownie fragmentami *Satellite of Love* i *Walk on the Wild Side* Lou Reeda, jak również urywkami *Sympathy for the Devil*. W rezultacie zostało im czasu na zaledwie jedną piosenkę na zakończenie. Padło na późniejszy światowy megahit *Pride (In the Name of Love)*. Wtedy Bono dostrzegł młodą dziewczynę miażdżoną przez tłum, który – w reakcji na charyzmę wokalisty – zaczął napierać w kierunku sceny. Bono dawał desperackie sygnały obsłudze stadionu, ta ich jednak nie rozumiała. Dlatego zeskoczył z wysokości trzydziestu stóp prosto w tłum i wy dostał ją sam – po czym zaczęli tańczyć. Z tego wydarzenia wzięło się przekonanie o wspaniałym kontakcie, jaki Bono potrafi nawiązać z publicznością. Ten krótki taniec, przypieczętowany pocałunkiem, stał się niezapomnianym symbolem Live Aid i w efekcie zaprowadził wszystkie albumy U2 z powrotem na brytyjską listę przebojów.

- Ale wtedy naprawdę sądzili, że spieprzyli sprawę – powiedział Doherty. – Simon Le Bon spartaczył występ najgorszym fałszem w historii. Potem krytycy rozpływali się nad Bowiem. Nad Philem Collinsem, który, dzięki uprzejmości floty Concorde zagrał zarówno na Wembley, jak i na stadionie JFK – choć chyba wiele osób żałowało, że się pofatygował, zwłaszcza pospiesznie przeformowany Led Zeppelin, z którymi zagrał na perkusji na JFK. Jeśli chodzi o Queen, zrobili dokładnie to, o co poprosił ich Bob. Oglądałem ich zza kulis i zwalili mnie z nóg. Stałem zaledwie kilka stóp za Freddie, patrzyłem na fortepian ponad jego ramieniem. Z pewną obawą obserwowałem publiczność. Nigdy nic nie wiadomo: nawet najlepsze



występy pod słońcem czasem okazują się niewypałem, a człowiek nie ma pojęcia dlaczego.

Niepotrzebnie się martwiliśmy. Queen czerpali inspirację pełnymi garściami z wielu źródeł, w każdy możliwy sposób. Dali z siebie wszystko. W tamtej chwili przeszło mi przez myśl wielu niezwykłych wykonawców: Alex Harvey, wspaniały glamrockowy wokalista z The Sensational Alex Harvey Band. Ian Dury i Blockheads. Mick Jagger. Ziggy Stardust and the Spiders. To, co Freddie zaprezentował chyba lepiej niż kiedykolwiek, to instynkt gwiazdy, jak również fenomenalna świadomość, czego potrzeba, żeby dać niezapomniany show. Przywołał cały geniusz wodewilu. Zupełnie jakby studiował i wchłonał najskrytsze tajemnice każdego ze znakomitych artystów, którzy wystąpili przed nim, i wplótł ich czar do własnego występu. Wyśmienity przepis. Freddie, paw nad pawiami, uwiódł nas wszystkich.

Doherty przyznaje, że nie miał pojęcia, iż tego dnia Queen pisali historię.

- Nie, tamtego dnia nie. Miałem słuchawki i walkie-talkie - wtedy nie było jeszcze telefonów komórkowych. Martwiłem się o Dave'a Hogana i Richarda Younga, którzy znajdowali się w kanale pod sceną. Musiałem mieć na oku Boba i Harveya. Wszystko działo się jednocześnie, miałem mnóstwo spraw na głowie. Jasne, wiedziałem, że kapela świetnie sobie radzi. Tłum oszalał. Wszyscy za kulisami zamilkli, żeby ich oglądać. To było dziwne. Zwykle nic takiego się nie dzieje... Kto wyszedł przed czy po Queen? Niewielu to pamięta. A co ja pamiętam? Że Freddie Mercury był największym wykonawcą tego dnia. Może nawet największym w historii.

David Wigg, doświadczony dziennikarz, który pisał wówczas dla „Daily Express”, przez długi czas był bliskim przyjacielem Freddiego.

- Jako jedyny dziennikarz mogłem towarzyszyć Freddiemu w garderobie, kiedy szykował się do występu Queen na największym koncercie świata - mówi. - Był

bardzo odprężony, nie mógł się doczekać, kiedy wyjdzie na scenę i zrobi swoje.

- Gramy kawałki, z którymi ludzie się identyfikują, bo chcemy sprawić im przyjemność - wyjaśnił Freddie.

Freddie i David rozmawiali o przyczynach powstania Live Aid i o doświadczeniach Freddiego z dzieciństwa.

- Powiedział, że po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, iż poszczęściło mu się bardziej niż wielu innym dzieciakom, kiedy poszedł do angielskiej szkoły z internatem w Indiach i zobaczył oczami chłopca ciężki los biedoty.

- Ale - upierał się Freddie - na pewno nie robię tego z poczucia winy. Nie czuję się winny z powodu swojego bogactwa. Nawet gdybym tego nie robił, problem by nie zniknął. Niestety, on zawsze będzie istniał. Chodzi o uświadomienie całemu światu, że coś podobnego ma miejsce. Grając ten koncert, robimy coś pozytywnego, żeby ludzie popatrzyli, posłuchali i, o ile szczęście nam dopisze, wpłacili pieniądze. Ani my, ani oni nie powinniśmy rozpatrywać tego przez pryzmat samych siebie. Kiedy ludzie umierają z głodu, trzeba na to patrzeć jak na wspólny problem.

Freddie otwarcie przyznał przed Wiggiem, że kiedy zobaczył materiał o milionach umierających z głodu w Afryce, musiał wyłączyć telewizor.

- Nie jestem w stanie na to patrzeć, za bardzo mnie to porusza. Czasami czuję się bezradny, a tym razem mogę dać coś od siebie. Bob zrobił coś wspaniałego, tak naprawdę rozniecił ten pożar. Jestem pewien, że wszyscy mieliśmy w sobie potencjał, ale trzeba było kogoś takiego jak on, kto stałby się siłą napędową i nas zjednoczył.

Ten dzień był szczególnie oszałamiający dla jednego z widzów, który po raz pierwszy znalazł się na koncercie rockowym. Jim Hutton, skromny fryzjer, tuż przed Live Aid został życiowym partnerem Freddiego. Tamtego dnia nie mógł nawet przypuszczać, że sześć lat później będzie pomagał w przygotowaniu swojego ukochanego

do pogrzebu. Został przywieziony na stadion z pompą, jako druga połówka Freddiego, w osobistej limuzynie wokalisty. Jim, który nigdy dotąd nie był na żadnym koncercie, w samotności oglądał występ Queen.

- To się nazywa zostać rzuconym na głęboką wodę - śmiał się Jim. - Prawdę mówiąc, obecność tych wszystkich olśniewających supergwiazd trochę mnie oszołomiła. Każdy członek zespołu miał swoją własną przyczepę. Były tam wszystkie żony, a także dzieciaki Rogera i Briana. Freddie wszystkich znał. Przedstawił mnie Davidowi Bowie, którego poznałem już wcześniej, kiedy strzygłem mu włosy. Przedstawił mnie nawet Eltonowi Johnowi jako swojego „nowego faceta”. Freddie nie musiał się przygotowywać, wyszedł na scenę w tym, co miał na sobie, wychodząc z domu - w białej koszulce bez rękawów i wyblakłych dżinsach, w ulubionych adidasach, z paskiem i nabijaną ćwiekami opaską na ramieniu. Kiedy przyszła ich kolej, wychylił dużą wódkę z tonikiem i powiedział: „No to do dzieła”.

- Odprowadziłem go na scenę i pocałowałem na szczęście. Nie żeby tego potrzebował. Usłyszeć, jak grają te piosenki na żywo - fragment *Bohemian Rhapsody* z Freddiem przy fortepianie, *Radio Ga Ga* razem z klaszczącym zapamiętałe tłumem, *Hammer to Fall*, potem *Crazy Little Thing Called Love* z gitarą Freddiego, a wreszcie *We Will Rock You* i głośne *We Are the Champions...* Takiemu prostemu facetowi jak ja to po prostu nie mieściło się w głowie. Później, kiedy zrobiło się ciemno, Freddie i Brian wrócili razem na scenę, tylko we dwóch, i zagrali tę wspaniałą balladę *Is This the World We Created...?* Nagrali ją jakiś czas przed Live Aid, prawda, ale wydawało się, że napisali ją specjalnie z myślą o tym koncercie. Słowa były takie prawdziwe, a Freddie śpiewał je po prostu magicznie. Poruszył mnie do łez, co zresztą często mu się zdarzało.

Jim, który zmarł na raka w styczniu 2010 roku, dziewiętnaście lat po śmierci Freddiego, wreszcie zobaczył swojego rockowego ukochanego przy pracy.

- Dał z siebie wszystko. Zadziwił mnie. Kiedy zszedł ze sceny, wydawał się zadowolony, że ma to już za sobą. „Dzięki Bogu, już z głowy”, zaśmiał się. Jeszcze jedna duża wódka i był spokojny. Zostaliśmy do końca, żeby poczekać na pozostałych, ale Freddie nie chciał iść na imprezę w klubie nocnym Legends. Zamiast tego pojechaliśmy do domu, do Garden Lodge, jak stare dobre małżeństwo, żeby obejrzeć w telewizji amerykańską część koncertu.

Tamtego dnia rzucała się w oczy nieobecność rodziców Freddiego. Choć często przychodzili na brytyjskie koncerty Queen, tym razem postanowili oglądać ich występ w domu.

- To było tak wielkie wydarzenie, byłoby z tym za dużo kłopotów - wspominała Jer, mama Freddiego, sugerując, że ona i ojciec Freddiego, Bomi, czuliby się przytłoczeni zarówno przez tłum, jak i logistykę dojazdu na stadion i z powrotem. - Dlatego obejrzeliśmy koncert w telewizji. Byłam taka dumna. Mój mąż odwrócił się do mnie i powiedział: „To nasz syn”.

Z punktu widzenia profesjonalistów zajmujących się transmisją i nagraniem koncertu wkład Freddiego okazał się małą sensacją. Mike Appleton, były producent wykonawczy *The Old Grey Whistle Test* - wpływowego programu rockowego BBC - wspomina ten występ jako fascynujący.

- Przede wszystkim Freddie nie powinien był w ogóle wystąpić. Lekarze oświadczyli, że jest zbyt chory. Jego gardło było w fatalnym stanie, z powodu przeziębienia czy czegoś w tym stylu. Nie czuł się zbyt dobrze, lecz ani myślał ustąpić. W efekcie on i Bono z U2 zostali ogłoszeni najlepszymi wykonawcami dnia.

- To było coś fascynującego, oglądać Freddiego na ekranach - przez cały dzień tkwiłem w nagrzanym wozie transmisyjnym. Dosłownie tworzyliśmy program na żywo.

O piątej przełączyliśmy się na JFK - naprzemiennie dwadzieścia minut stąd, dwadzieścia stamtąd, tu wcisnęliśmy wywiad, tam pokazaliśmy fragment na żywo, garść najciekawszych momentów z pierwszej godziny... Prawdę mówiąc, to było bardzo ekscytujące doświadczenie i tylko tak lubię pracować. Freddie po prostu wszedł, w mgnieniu oka przejął kontrolę nad sceną, z chłodem i spokojem, a potem zawładnął publicznością.

- W tamtym momencie Queen od jakiegoś czasu tracili parę, nie nagrali żadnego znaczącego albumu. Live Aid pozwoliło im wrócić na szczyt, podobny efekt wywarło zresztą na całą branżę. Ogólnie rzecz biorąc, sprzedaż podskoczyła. Live Aid okazało się dla przemysłu muzycznego zastrzykiem energii. Freddie był nie tylko absolutną gwiazdą dnia, ale też bez wątpienia głównym składnikiem tego zastrzyku. Nigdy dotąd tak nie dominował. Pod względem emocjonalnym ten dzień należał do Boba. Pod względem muzycznym - do Freddiego, zdecydowanie.

Mike otrzymał później nagrodę BAFTA za najlepszą transmisję na żywo.

Dave Hogan, który fotografował koncert, podzieliła zdanie Appletona.

- Wybrano tylko sześciu oficjalnych fotografów Live Aid - ujawnia legendarny fotograf „Sun”, znany jako Hogie (któremu nie są obce nagłówki na całą stronę. - *Okaleczony przez Madonnę* było jego szczytowym osiągnięciem<sup>[3]</sup>).

- Robiliśmy zdjęcia do pamiątkowej książki o Live Aid, więc wszędzie mieliśmy wstęp - wspominał. - Dla wszystkich było oczywiste, że tego dnia to Freddie gra pierwsze skrzypce - ale dopiero gdy stanął na scenie. Poza nią Freddie nie przyćmiewał innych artystów. Zachowywał się jak dżentelmen, w porównaniu z resztą był powściągliwy. Nikt nie zdawał sobie sprawy, jaka w nim drzemie moc, póki nie wszedł na scenę. W tamtej chwili

wiedzieliśmy, że to jest to. Pamiętam, jak zaczął śpiewać *Radio Ga Ga*. Nawet nie zdążyło się ściemnić, a on obudził tę całą magię w świetle dnia. Aż ciarki mnie przeszły na widok oceanu klaszczących i tupiących razem fanów. Dla nas to było niebo, na takie momenty się czeka. On je ukradł. Tamten dzień był pełen fantastycznych chwil – Bono skaczący w tłum, pierwszy występ na żywo McCartneya od śmierci Johna Lennona. Ale kiedy zobaczyłem, co robi Freddie, zaparło mi dech w piersi. Zawładnął każdą osobą na stadionie. Absolutna jedność. Nikt nigdy tego nie dokonał, ani wcześniej, ani później. Myślę, że tylko on to potrafił.

W ten sposób śmietanka rocka śpiewała i tańczyła, żeby nakarmić świat. Powtarzano aż do znudzenia, że występ Queen był najbardziej porywający, najbardziej poruszający, najbardziej niezapomniany, najbardziej niezatarty – że przyćmił wysiłki ich największych rywali.

- Zdecydowanie najbardziej niezwykły występ – zgodził się prezenter radiowy Paul Gambaccini. - Za kulisami dało się wyczuć narastające podniecenie, kiedy ludzie podnieśli głowy w stronę ekranów, jak psy reagujące na gwizd. Queen ukradli show i odzyskali pozycję, której już nigdy mieli nie stracić.

Najchętniej wychwalali Freddiego członkowie Queen.

- Zagraliśmy dobrze, ale Freddie wspiał się na wyższy poziom – powiedział Brian z typową dla siebie skromnością.

- To nie byli tylko fani Queen. Dotarł do wszystkich.

Później, w emocjonalnym wywiadzie w biurach Queen przy Pembridge Road, opowiedział mi ze szczegółami:

- Live Aid to b y ł Freddie, jedyny w swoim rodzaju. Człowiek praktycznie widział, jak przepływa przez niego nasza muzyka. Nie dało się go ignorować. Był oryginalny. Wyjątkowy. Nie graliśmy tylko dla naszych fanów, graliśmy dla w s z y s t k i c h fanów. Freddie naprawdę dał z siebie to, co najlepsze.



Ze wszystkich siedmiuset czterech występów Queen na żywo z Freddiem jako wokalistą ten pozostaje ich znakiem rozpoznawczym, godziną triumfu zespołu. Live Aid stanowiło idealną okazję do zademonstrowania, że bez rekwizytów i ozdób, bez własnego oświetlenia i nagłośnienia, bez mgły, dymu oraz innych efektów specjalnych, nawet bez naturalnej magii zmierzchu, mając niecałe dwadzieścia minut, by dowieść własnej wartości, wciąż byli niekwestionowanymi władcami, którzy umieli rozkołysać cały świat. Musieli przyjąć do wiadomości fakt, że jako Queen prezentowali sobą coś więcej niż prostą sumę składników zespołu. Nie mogli jeszcze wiedzieć, że ich szczytowy moment już minął. Zjednoczeni radością, na powrót oddani sprawie, odłożywszy myśli o solowych karierach na półkę - przynajmniej na jakiś czas - wkrótce mieli odkryć, że druga szansa na błyskotliwą przyszłość z Freddiem została im dana na tragicznie krótki czas.

## Rozdział 2

# Zanzibar

*Budził mnie służący. Popijając sok pomarańczowy, dosłownie wychodziłem z domu prosto na plażę.*

Freddie Mercury

*Był bardzo skryty w kwestii swoich korzeni. Nigdy mi nie zdradził, jak się naprawdę nazywa. Miał dość ciemną, orientálną skórę, więc nie dało się ukryć, że pochodził z jakiegoś odludzia albo przynajmniej miał egzotycznych rodziców. Myślę, że wyparł to ze swojej świadomości. Nie żeby kierowały nim jakieś złe pobudki albo żeby był rasistą. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, jak idealizował Jimiego Hendriksa.*

Tony Brainsby, pierwszy rzecznik prasowy Queen

Być może Freddie wierzył, że w latach siedemdziesiątych fani muzyki nie byli gotowi na gwiazdę rocka o afrykańskich i indyjskich korzeniach. Dziś nie miałyby to znaczenia. Przeciwnie, wielu uznałoby to za zaletę. Obecnie im bardziej mieszane i niejasne jest kulturowo-muzyczne pochodzenie artysty, tym lepiej. Wtedy sprawy wyglądały inaczej. Nietrudno sobie wyobrazić, że Freddie obawiał się pewnych faktów ze swojego życia, które nie pasowały do wizerunku, jaki zamierzał stworzyć. Gwiazda rocka z definicji była idealnie amerykańska i pochodziła z Kalifornii (The Beach Boys), Nowego Jorku (Lou Reed), Florydy (Jim Morrison), Mississipi (Elvis Presley) albo stanu Waszyngton (Jimi Hendrix). Za sprawą Beatlesów



Liverpool również był w porządku, podobnie jak Londyn, dzięki Mickowi Jaggerowi i Keithowi Richardsowi z The Rolling Stones. Biały rockman anglosaskiego pochodzenia był najlepszy, a czarnoskóry Amerykanin niemal równie dobry. W tamtych czasach muzycy powszechnie zamazywali szczegóły swojego pochodzenia, co przydawało im czaru i tajemniczości: za tworzenie takich historii ludzie od reklamy brali niemałą fortunę. Ponieważ o narodzinach i dzieciństwie Freddiego krążyły sprzeczne informacje, zdałam sobie sprawę, że będę musiała je sprawdzić osobiście.

Poleciałam do Dar es Salaam przez Nairobi i załapałam się na statek do miasta Zanzibar po drugiej stronie portu pełnego tradycyjnych arabskich *dau* i prostych łodzi rybackich. Wszystko pachniało tu egzotyką. Osobę taką jak ja, urodzoną w najnudniejszym z zaścianków, ucieczka Freddiego z Zanzibaru zaczęła dziwić. Cały czas miałam przed oczami, jak rozsiada się przed gośćmi i snuje opowieści o Ali Babie i Sindbadzie, dzikich arabskich książętach i obfitości wschodnich obietnic. Dlaczego z tego zrezygnował? Musiał mieć powody. „Zaklęta przeszłość” była tak bardzo w stylu Freddiego.

Zanzibar, zaledwie punkcik na mapie świata, leży na południe od równika, na wschodnim wybrzeżu Afryki. Jeśli przyjrzeć się bliżej, okazuje się, że to w rzeczywistości dwa punkciki: główna wyspa, Unguja, i nieco bardziej oddalona Pemba, obecnie popularna wśród europejskich nowożeńców. Razem z pobliską Tanganiką, dawną niemiecką, a następnie brytyjską kolonią, wchodzi współcześnie w skład Zjednoczonej Republiki Tanzanii. Jak na tak małe terytorium, Zanzibar doświadczył więcej korupcji, zamętu i masakr, niż się należało. Przez wieki był obiektem najazdów Asyryjczyków, Sumerów, Egipcjan, Fenicjan, Indusów, Persów i Arabów, jak również Malajczyków, Chińczyków, Portugalczyków, Holendrów

i Brytyjczyków, a jego historia przypomina *Baśnie z tysiąca i jednej nocy*. Niektórzy najeźdźcy, w szczególności Persowie z Szirazu na obszarze dzisiejszego południowego Iranu, Arabowie z Omanu i znacznie później Brytyjczycy, pozostali tu, by osiąść na stałe i objąć rządy. Miejscowa cywilizacja suahilijska sięga aż do najwcześniejszych początków islamu. Kiedy w 1818 roku odkryto goździkowiec korzenny, w Zanzibarze narodził się handel przyprawami. Imbir, gałka muszkatołowa, wanilia, goździki i kardamon były stamtąd eksportowane na cały świat. Dzięki misjonarzom i odkrywcom, którzy przejeżdżali przez bramy miasta w drodze na Czarny Ląd, opowieści z haremów, pałacowe intrygi i królewskie ucieczki stały się nieodłącznym elementem jego urok. Jako kwitnący ośrodek handlu kością słoniową i ludźmi zyskał bardzo złą sławę. Aż do abolicji w 1897 roku około pięćdziesięciu tysięcy Afrykanów rocznie, ściągniętych znad wielkich jezior w sercu kontynentu, trafiało na tutejszy barbarzyński rynek, gdzie sprzedawano ich jako niewolników.

Na brzegach Ungui wznoszą się okazały pałac sułtanów, starożytny arabski fort z rdzewiejącymi armatami, budynki w stylu kolonialnym oraz kupieckie posiadłości, niektóre w stanie ciągłej renowacji, inne zaś już nie do odbudowania. Za nimi rozciąga się labirynt bazarów i wąskich uliczek, przy których stoją ściśnięte kamienice. Mieszkanie w Stone Town z widokiem na morze było domem Freddiego przez pierwszych osiemnaście lat jego życia.

Jego matka, Jer, sama dopiero co przestała być dzieckiem, kiedy urodziła go w państwowym szpitalu w czwartek 5 września 1946 roku – w Nowy Rok w tradycji parsów. To, że drobna osiemnastolatka wydała na świat pierworodne dziecko płci męskiej, było darem niebios. Bomi, jej mąż, uradował się, kiedy dotarły do niego wieści. Rodowe nazwisko przetrwa – a przynajmniej tak założył, błogo nieświadomy, jakich wyborów dokona jego syn w odległej

przyszłości. Małżonkowie wspólnie dumali nad imieniem, które mogliby nadać swojemu dziecku. Jako parsowie – wyznawcy zaratusztrianizmu, monoteistycznej religii wywodzącej się z Persji w VI wieku przed naszą erą – nie mieli wielkiego wyboru. Zdecydowali się na „Farrokh”, które to imię Bomi należycie zarejestrował, co potwierdza dokumentacja z Archiwum Państwowego.

- Bardzo dobrze pamiętam narodziny Freddiego – powiedziała mi Perviz Darunkhanawala, z domu Bulsara, gdy złożyłam wizytę w jej domu w dystrykcie Shangani. Perviz była siostrzenicą Bomiego Bulsary, a jej ojciec Sorabji i Bomi, ojciec Freddiego – dwoma spośród ośmiu braci.

- Mój ojciec i Bomi urodzili się i dorastali w Bulsarze, małym mieście na północ od Bombaju [obecnie Mumbai<sup>[4]</sup>] w indyjskim stanie Gujarat – wyjaśniła. – Stąd wzięło się nazwisko Bulsara. Wszyscy bracia po kolei przybyli do Zanzibaru za pracą. Mój ojciec dostał pracę w Urzędzie ds. Radia i Komunikacji, a Bomi w Sądzie Najwyższym, jako księgowy brytyjskiego rządu. Kiedy Bomi przyплыł do Zanzibaru, nie był jeszcze żonaty. Dopiero później wrócił do Indii i w Bombaju ożenił się z matką Freddiego. Potem ściągnął ją tutaj i na świat przyszedł Freddie.

- Był taki malutki, jak domowe zwierzątko. Nawet kiedy był jeszcze niemowlęciem, odwiedzał nas razem z rodzicami. Zostawiali go pod opieką mojej matki i wychodzili. Gdy trochę podrośł, bawił się w naszym domu. Straszny łobuziak. Byłam od niego dużo starsza i lubiłam się nim zajmować. Był takim drobnym, przemiłym chłopcem. Bardzo go kochałam. Za każdym razem, kiedy do nas przychodził, chciałam, żeby został. Ale rodzice zawsze zjawiali się wieczorem i zabierali go z powrotem do domu.

Perviz opowiadała, że państwo Bulsara prowadzili na tyle wyrafinowane życie towarzyskie, na ile pozwalała im

surowa religia i kultura. Pensja, dzięki której w Wielkiej Brytanii Bomi cieszyłby się poziomem życia nieco lepszym od skromnego urzędnika państwowego, zapewniała jego najbliższemu wygodny dom i służbę, w tym *ayah* („nianię”) Sabine dla Freddiego. Rodzina niczego więcej nie potrzebowała, a klimat był korzystny. W 1952 roku, kiedy Freddie miał sześć lat, urodziła się jego siostra Kashmira.

Bomi Bulsara pracował w biurach w Beit-el Ajaib, Domu Cudów, zbudowanym do celów ceremonialnych przez sułtana Sayyida Barghasha pod koniec XIX wieku. W tamtych czasach był to najwyższy budynek w Afryce Wschodniej, szczycący się bujnymi ogrodami botanicznymi. Przetrwał bombardowanie brytyjskiej floty, po nim krótkie powstanie, później zaś uległ rozległemu przekształceniu w główne muzeum Zanzibaru.



*Czwarte urodziny Freddiego w Zanzibarze. Ma na sobie białą zaratusztriańską czapkę modlitewną i świąteczną girlandę*



*Beit-el Ajaib, Dom Cudów, miejsce pracy ojca Freddiego, Bomiego Bulsary*

Praca Bomiego wymagała podróżowania po całej kolonii oraz do Indii, co mogło mieć wpływ na jego decyzję o wysłaniu syna do odległej szkoły. Pozostawało jednak pytanie, do jakiego momentu edukacja dziecka może być prowadzona w domu. Podczas gdy rodzice praktykowali zaratusztrianizm, Farrokh od piątego roku życia uczęszczał do szkoły misyjnej, gdzie nauczycielkami były anglikańskie zakonnice. Uważany za bystrego jak na swój wiek, wcześniej wykazał się talentem do malarstwa, rysunku i modelarstwa.

- Szybko wyrastał na rozkosznie uprzejmego, poważnego i skrupulatnego chłopca - wspominał Perviz. - Miał w oczach taką iskierkę szelmstwa, które od czasu do czasu brało nad nim górę. Pamiętam go jednak wyraźnie jako skrytego i nieśmiałego. Niesamowicie nieśmiałego. Nie mówił zbyt wiele, nawet kiedy przychodził z rodzicami w odwiedziny. Taka była jego natura. Kiedy dorósł, nie widywaliśmy się już tak często, ponieważ bawił się z innymi chłopcami na ulicach albo na plaży.

- Jako młody chłopiec był bardzo szczęśliwy i kochał muzykę - przypominała sobie jego matka, Jer. - Folk, opera,

muzyka klasyczna, kochał wszystkie gatunki. Chyba zawsze chciał być showmanem.

Perviz była zaskoczona, gdy usłyszała, że moje próby zdobycia z oficjalnych źródeł kopii aktu urodzenia jej kuzyna spełzły na niczym. Nawet audiencja u głównego archiwisty nie przyniosła dobrych wieści.

- Przyjechała pani po akt urodzenia Freddiego Mercury'ego? - uśmiechnął się. - Tu go nie ma. Kiedyś był. Parę lat temu szukała go jakaś kobieta z Argentyny. Zrobiliśmy dla niej kopię i od tamtej pory nikt nie widział oryginału, chociaż wiele osób o niego pytało - jak mi nie mam, jego fani. Sęk w tym, że w latach 1946 i 1947 nie prowadzono jeszcze odpowiednich akt. Zwykle świstki papieru, które teraz wszędzie się walają. Pokażę pani.

Archiwista przetrząsnął szafy na akta za kontuarem w głównym biurze i wrócił z naręczem trzymany luzem aktów urodzenia. Jakiś tuzin rozsypał się na podłodze i już tak pozostał.

- Jest pewien człowiek, lekarz nazwiskiem Mehta, który teraz przebywa w Omanie, ale wraca w przyszłym tygodniu. Wiem, że ma kopię aktu urodzenia Freddiego.

Choć zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, nigdy nie zdołałam znaleźć doktora Mehty.

Moje dochodzenie w sprawie rodzinnych korzeni nie spotkało się z aprobatą zainteresowanych. Piękna córka Perviz, Diana, była niewzruszona i upierała się, że nie interesuje jej żaden „Freddie M e r c o u r i”. Dlaczego?

- Wyjechał z Zanzibaru, kiedy byłem małym dzieckiem - wzruszyła ramionami, oblewając się rumieńcem. - Porzucił rodowe nazwisko. Nie żył tak jak my. Nie miał z nami nic wspólnego. Nigdy nie wrócił. Nie był dumny z Zanzibaru. Był obcy, należał do innego świata.

Nie powiedziała mi wszystkiego, ale nie chciała rozwinąć tematu.

Postawa Diany pasowała do czegoś, co odkryłam. Chociaż paru mieszkańców Zanzibaru twierdzi, że zajmuje teraz

mieszkania należące niegdyś do rodziny Bulsara, żaden z nich nie potrafił przedstawić na to namacalnego dowodu ani też, jak się zdawało, tak naprawdę nic sobie z tego nie robił. Wyjaśnił mi to pewien indyjski sklepikarz:

- Nic nie wiem - nikt nic nie wie. Każdy, kto twierdzi inaczej, tylko snuje domysły. Zwłaszcza ci przewodnicy, którzy oprowadzają turystów po wyspie i pokazują im widoki. Po prostu chcą pieniędzy. Nie został nikt, kto by coś wiedział. Tyle osób wyjechało nagle, w tym samym czasie, dawno temu. Ale jeśli się czegoś dowiesz, wrócisz tu i mi powiesz? Mam po dziurki w nosie ludzi, którzy ciągle o niego pytają. Amerykanie. Latynosi. Anglicy. Niemcy. Japończycy. Miejscowi tego nie rozumieją. Kim w ogóle był ten człowiek?

Kim był najśłynniejszy syn Zanzibaru? Dla fanów Queen ta wyspa stanowi ostateczny cel ich pielgrzymki. Wyspecjalizowane biura podróży organizują dla nich kosztowne wakacje w rodzinnym mieście wokalisty, w którym kilka restauracji z pięknym widokiem i parę sklepików z pamiątkami czerpie z tego korzyści. Ale sam Freddie nigdy nie zyskał tu statusu gwiazdy. Żadnego wyróżnienia Freedom of the City. Żadnych oficjalnych zapisów w archiwach. Żadnych śladów uznania w miejscowym muzeum, przynajmniej kiedy tam byłam. Żadnego dawnego mieszkania zmienionego w osobiste miejsce kultu. Żadnego pomnika, woskowej figury, podobizny, żadnych produkowanych masowo popielniczek ani magnesów na lodówkę, nawet pocztówek z jego wizerunkiem - choć są pocztówki z niemal wszystkim. Może nawet w termometrach nie ma rtęci? Jeżeli ktokolwiek szukałby dokładnego przeciwieństwa Graceland, posiadłości Elvisa Presleya w Memphis, znalazłby je tutaj.

Tajemnica zaginionego aktu urodzenia ponownie dała o sobie znać, kiedy wróciłam do domu. Ni stąd, ni zowąd skontaktowała się ze mną Marcela Delorenzi, kobieta z Argentyny - t a kobieta z Argentyny. Oznajmiła mi,



że jest w drodze do Londynu i ma dla mnie prezent. Owa dziennikarka z Buenos Aires przywiozła mi kopię aktu urodzenia Freddiego. Nie prosiłam o nią; Marcela i ja nigdy ze sobą nie rozmawiałyśmy, nigdy nie próbowałam jej odnaleźć, a ona nie chciała nic w zamian. Nie poruszałyśmy tematu jej ewentualnej winy. Upierała się, że kiedy zdobyła kopię, oryginalny, ręcznie wypisany dokument nadal znajdował się w archiwum. Widziała go. Być może koniec końców zmienił właściciela za sprawą sporej kwoty i spoczywa w czyichś prywatnych zbiorach.

W 2006 roku Association for Islamic Mobilisation and Propagation (UAMSHO), islamska organizacja z Zanzibaru, stanowczo zaprotestowała przeciwko planowanym na wyspie obchodom sześćdziesiątej rocznicy urodzin Freddiego. Rozwścieczona UAMSHO stwierdziła, że naruszył prawa islamu, nie kryjąc swojego homoseksualizmu i prowadząc ekstrawagancki styl życia aż do przedwczesnej śmierci w wyniku AIDS w 1991 roku, po czym wezwała do odwołania przyjęcia dla „homoseksualnych turystów”. W rezultacie tysiące fanów przybyłych na obchody ze wszystkich stron świata musiało się pakować.

Trudno to było nazwać zaskoczeniem. W 2004 roku Zanzibar oficjalnie zakazał stosunków homoseksualnych, ściągając na siebie falę krytyki ze strony społeczności homoseksualnych na całym świecie. Przywódca UAMSHO, Abdallah Said Ali, upierał się jednak buntowniczo, że podobne przedsięwzięcie mogłoby „wysłać błędne sygnały”.

- Nie chcemy podsuwać naszemu młodemu pokoleniu myśli, że homoseksualizm jest w Zanzibarze akceptowany - stwierdził. - Religia zobowiązuje nas do obrony moralności w społeczeństwie i każdy, kto wystąpi przeciwko naukom islamu, musi zostać powstrzymany.

Nauki islamu swoją drogą - należało wziąć także pod uwagę wiarę rodziny Freddiego. Freddie z całego serca

kochał i szanował rodziców. Wiedział również aż za dobrze, że ortodoksyjni zaratusztrianie popierają zakaz homoseksualizmu – możliwe, że był to zasadniczy powód, dla którego tak długi czas usiłował tłumić swoje skłonności. W *Vendidad*<sup>[5]</sup>, świętej księdze zaratusztrian, napisano: „Mężczyzna, który obcuje z mężczyzną, tak jak mężczyzna obcuje z kobietą lub jak kobieta obcuje z mężczyzną, to *daeva* (demon): ten mężczyzna jest czcicielem *daeva*, ich oblubieńcem”<sup>[6]</sup>.

Dla parsów homoseksualizm jest nie tylko grzechem, ale również niewyobrażalną formą czczenia demonów.

Osadźmy to w kontekście. Konsensualne stosunki homoseksualne między osobami dorosłymi pozostają niezgodne z prawem w siedemdziesięciu spośród stu dziewięćdziesięciu krajów świata. W czterdziestu spośród nich nielegalne są jedynie te między mężczyznami. Stosunki seksualne między dorosłymi mężczyznami w Anglii i Walii zostały zalegalizowane w 1967 roku, natomiast w Szkocji dopiero w 1980, w 1982 roku zaś w Irlandii Północnej. W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych organizacje wspierające osoby homoseksualne działały na rzecz zrównania dolnej granicy wieku uprawniającej do wyrażenia zgody na współżycie przez osoby hetero- i homoseksualne. Obecnie w Anglii, Szkocji, Walii i Irlandii Północnej jest to szesnaście lat.

- Freddie nie żył tak jak my - powiedziała jego kuzynka Diana. - Należał do innego świata.

Naga prawda jest lepsza niż najlepiej zawołowane kłamstwo. Freddie najwyraźniej porzucił afrykańską ojczyznę z najbardziej podstawowego ze wszystkich powodów.

Być może czuł, że jego serce jest *hiraeth*. Żadne słowo nie oddaje dziś tego starożytnego walijskiego określenia. Oznacza ono melancholię, głęboko zakorzeniony smutek za tym, co utracone. Czy Freddie, jak wielu z nas,

w skrytości ducha opłakiwał utraconą niewinność, tęskniąc za przeszłością, do której nie miał już powrotu?

Czasami powracamy. Będąc dorośli, pocieszamy się cichymi wspomnieniami. Freddie nigdy nie mógł tego zrobić. Zawsze musiał szukać pocieszenia gdzie indziej. Niektórzy wierzą, że pogodził się z przeszłością w *Seven Seas of Rhye* - pierwszym hicie Queen z 1974 roku. Hardrockowy hymn ze skądinąd progresywnego albumu, z tekstem opartym na wyobrażeniach o fantastycznym królestwie, które młody Freddie wymyślił razem ze swoją siostrą Kashmirą. Czy to właśnie tajemnice ich perskich korzeni, a zwłaszcza epicka podróż proroka Zaratustry, podsycały ucieczkę w świat imaginacji i zainspirowały baśnie o Rhye? Bardzo możliwe, jak twierdzi producent stacji Radio 2, archiwista muzyczny i słynny kolekcjoner nagrań Phil Swern.

- Uwagi, które Freddie robił podczas wielu wywiadów, zawsze podsuwały mi myśl, że *Seven Seas of Rhye* opowiada o jego życiu w Zanzibarze - mówi Phil. - To tam uciekał, przynajmniej w swoich myślach. Zawsze tak robił, kiedy rzeczywistość go przerastała.

W jednym z radiowych wywiadów Freddie nazwał temat tej piosenki „wytworem wyobraźni”.

- Moje teksty i piosenki to głównie fikcja - powiedział. - Wymyślam je. Nie są przyziemne, raczej wysrane z palca. Nie należę do tych autorów, którzy wychodzą na ulicę i nagle doznają olśnienia, ani do tych, którzy jadą na safari, żeby czerpać inspirację z obserwacji dzikich zwierząt, albo wspinają się na górskie szczyty czy coś w tym rodzaju. Nie, ja znajduję natchnienie nawet podczas kąpieli.

Temat Rhye powracał. Ta wymyślona kraina pojawiła się również w innych wczesnych utworach Queen, takich jak *Lily of the Valley*, *The March of the Black Queen* oraz *My Fairy King*. Jak miało się jednak okazać, jej czar był jeszcze trwalszy i sięgał znacznie dalej. W futurystycznym musicalu *We Will Rock You*, wystawionym po raz pierwszy

w Londynie w 2002 roku, Siedem Mórz Rhye<sup>[7]</sup> to miejsce, do którego zostaje przetransportowana zbuntowana Cyganeria (ang. *Bohemians*), po tym jak Khashoggi, dowódca sił policyjnych Globalsoft, wymazał zawartość ich mózgów.

Kiedy milkną ostatnie takty *Seven Seas of Rhye*, rozlega się przelotnie stara angielska przyśpiewka w wykonaniu hałaśliwego barowego tłumu: „Oh, I do like to be beside the seaside”. Kolejna aluzja do dawnego, beztroskiego życia na plaży, jakie wiódł Freddie, do zwieńczonych palmami nieskazitelnych raf koralowych jego młodości?

Nie wiemy. Wiemy za to, że człowiek, który złamał zasady wiary wyznawanej przez własną rodzinę, nigdy nie był mile widziany na wzgórzach swej młodości<sup>[8]</sup>.

## Rozdział 3

# Panchgani

*Byłem... nad wyraz rozwinięty, jak na swój wiek, i rodzice uznali, że szkoła z internatem wyjdzie mi na dobre. Dlatego kiedy miałem jakieś siedem lat, oddali mnie do takiej szkoły w Indiach. To był wychowawczy wstrząs i chyba zadziałał.*

Freddie Mercury

*Rodzice Freddiego wysłali go do szkoły w Indiach. Jego wyjazd bardzo mnie zasmucił. Ale w tamtych czasach w Zanzibarze edukacja dla chłopców stała na nie najlepszym poziomie. Wydaje mi się, że to właśnie wtedy jego rodzice zostali przeniesieni do pracy na wyspie Pemba, a tamtejsze standardy edukacyjne na pewno nie były wystarczająco wysokie. Uznali, że najlepszym rozwiązaniem będzie wysłanie go do siostry Bomiego, Jer - mojej cioci - do Bombaju, gdzie mógłby odebrać właściwe wykształcenie.*

Perviz Darunkhanawala, kuzynka Freddiego

W listopadzie 1996 roku zostałam zaproszona na przyjęcie koktajlowe i prywatny pokaz przedpremierowy wystawy zdjęć Freddiego Mercury'ego w londyńskim Royal Albert Hall. W ten sposób upamiętniono piątą rocznicę jego śmierci. Wszystkich zgromadzonych tamtego wieczoru łączyła z Freddie i Queen jakaś bezpośrednia więź - począwszy od Marje, sprzątaczkii Freddiego, i Kena Testiego, pierwszego menadżera zespołu, a skończywszy na Denise O'Reganie, stałym fotografie Queen. Starzy,

słabowici rodzice Freddiego również się zjawili. Kiedy się przedstawiłam, powitali mnie ciepło. Bomi Bulsara ujął moją dłoń.

- To wspaniałe widzieć te zdjęcia i tych ludzi, którzy przyszli tu oddać cześć naszemu zmarłemu synowi. Jesteśmy bardzo dumni - powiedział.

Wystawa objechała cały świat, odwiedzając wiele najważniejszych miast, między innymi Paryż, Montreux i Bombaj. Po londyńskim otwarciu pewna grupa dziennikarzy postanowiła „zdemaskować” Wielkiego Udawacza za „ukrywanie indyjskiego pochodzenia”. Za pośrednictwem takich nagłówków jak *Bombay Rhapsody* albo *Gwiazda Indii* Freddie został obnażony jako pierwsza brytyjska gwiazda azjatyckiego pochodzenia. Pomijając fakt, że było w tym zaledwie ziarno prawdy, ta historia zaowocowała kilkoma sensacyjnymi nagłówkami. Perskie korzenie Freddiego stały się przedmiotem sporu. Wywiązała się szeroka dyskusja, co uraziło społeczność perskich parsów zamieszkujących Londyn. Fleet Street<sup>[9]</sup> guzik to jednak obeszło.

- Może nasz lud od IX wieku nie zamieszkuje Persji, ale to jeszcze nie znaczy, że jesteśmy w mniejszym stopniu Persami - oświadczył rzecznik społeczności londyńskich parsów. - Chociaż parsowie są opisywani jako indyjscy zaratusztrianie, pochodzimy od perskich zaratusztrian, którzy w VII i VIII wieku uciekli do Indii przed muzułmańskimi prześladowaniami. Fakt, że wyemigrowaliśmy do Indii, nie czyni z nas Hindusów. Jeśli ktoś jest Żydem, ale jego rodzina od dwustu lat nie mieszka w Palestynie, czy to sprawia, że jest Żydem w mniejszym stopniu? Istnieje wielka różnica między rasą a narodowością. Między pochodzeniem a obywatelstwem. Perski pars nie ma kraju, który mógłby nazywać domem [na obszarze, który niegdyś zajmowali parsowie, leży dzisiejszy Iran]. Mimo to w głębi ducha pozostaje Persem.

Jeśli zaś chodzi o Freddiego, wystarczyło na niego spojrzeć. Jego klasyczne perskie rysy pomimo dodatkowych zębów kłóciły się niezaprzeczalnie z tym, co powszechnie uważano za rysy indyjskie. Świadczy o tym każde zdjęcie.

Rodzice Freddiego, Bomi i Jer, urodzeni w Indiach jeszcze za czasów kolonialnych, byli brytyjskimi poddanymi o narodowości brytyjsko-indyjskiej. Tak zapisano w oficjalnych dokumentach, zarówno przy narodzinach ich samych, jak i ich syna. Co istotne, oboje zadeklarowali pochodzenie parsyjskie. Freddie przyszedł na świat w Zanzibarze, więc uważano go za Zanzibarczyka. Trzeba poddać pod dyskusję teorię, że był bardziej Afrykaninem niż Azjatą. „Pierwsza brytyjska gwiazda azjatyckiego pochodzenia” przeciągała strunę: oto pojawiał się kolejny nowy haczyk, na którym zawisły stare ramy. Dlaczego rodzina nie sprzeciwiała się takiemu mąceniu w swojej przeszłości, takiemu lekceważeniu ich świętego dziedzictwa? Ich zachowanie było często zastanawiające.

Państwo Bulsarowie, cisi, pracowici i skromni ludzie, nieprzywiązani do dóbr materialnych i zadowoleni ze swojego losu, robili wszystko w miarowym tempie, przestrzegając rytuałów, zasad i ograniczeń swojej religii oraz kultury. Oboje byli fizycznie drobni, niemal delikatnej budowy. Pod względem wyglądu zewnętrznego Freddie bardziej przypominał matkę, odziedziczył po niej zwłaszcza pełne wargi, szeroki uśmiech i nietypowe uzębienie. W miejscach publicznych zachowujący rezerwę, za zamkniętymi drzwiami Bomi i Jer zawsze byli życzliwi i serdeczni, lecz nieco powściągliwi. Choć oboje byli oddani rodzinie, silnie przywiązani do tradycji i znali swoje miejsce w świecie, w oczach syna Bomi nie był ani dominującym wzorem do naśladowania, ani męskim bohaterem. Czując się swobodniej w towarzystwie żeńskich krewnych, Freddie nigdy nie okazywał skłonności, by pójść w urzędnicze ślady ojca. Co prawda matka cieszyła się, że studiował prawo, ale sama myśl o pracy w biurze mroziła mu krew w żyłach.



Freddie wyznał potem swoim kochankom, Barbarze Valentin i Jimowi Huttonowi, że między pełnymi rezerwy, powściągliwymi Bulsarami a ich dziećmi nie było zbyt wiele fizycznej bliskości. Kiedy rodzina mieszkała w Zanzibarze, dziećmi dzień za dniem zajmowała się niania Sabine. Ani Freddiego, ani Kashmiry nigdy nie karano fizycznie, lecz brakowało im przytulania. Freddie od czasu do czasu zastanawiał się - powiedział Jim - czy to brak czułości we wczesnym dzieciństwie doprowadził do nieproporcjonalnie wielkiej obsesji na punkcie fizycznej miłości w dorosłym życiu... przemożnego pragnienia, które zbyt często przybierało postać bezsensownego seksu, ponieważ na ogół nie potrafił zdobyć jednego bez drugiego. Seks nigdy nie był dla niego substytutem tego, czego pragnął najbardziej, czyli miłości - dowodu, że ktoś go kocha. W tej kwestii przypominał dziecko. Na przykład całe to pieszczenie i głaskanie, którego nie szczędził swoim kotom - właśnie tego pragnął sam.

Zgodnie z oficjalnymi szkolnymi dokumentami, 14 lutego 1955 roku, w wieku zaledwie ośmiu lat, Freddie - wówczas wciąż Farrokh - został zapisany jako „Farookh Bomi Bulsara” (zwraca uwagę pisownia imienia odmienna od tej na akcie urodzenia) do St Peter’s Church of England School<sup>[10]</sup> w Panchgani, gdzie przyjęto go do klasy trzeciej. Pozostał tam przez dziesięć lat, widując rodziców zaledwie raz do roku, przez jeden letni miesiąc. Nic dziwnego, że jego więź z matką i ojcem stawała się coraz słabsza, o czym świadczą pełne szacunku, lecz pozbawione emocji listy, które do nich pisał. Nie okazywał uczuć i trzymał fason, tak jak go do tego zachęcano. Mimo to nie sposób sobie wyobrazić, że Freddie nie czuł się bezbronny i samotny tak daleko od domu, pozbawiony luksusu dostępu do telefonu, by móc porozmawiać z rodzicami, kiedy za nimi tęsknił, co zdarzało się często.

- Miał sześć lat, gdy się urodziłam, więc spędziłam z nim zaledwie rok, a jednak zawsze wiedziałam, że mój dumny starszy brat mnie chroni - wspominała jego siostra Kashmira w wywiadzie dla „Mail on Sunday” w listopadzie 2000 roku. - Nie zawsze przyjeżdżał do domu na święta - czasami zostawał w Bombaju z siostrą taty albo z siostrą mamy. Był wszechstronnie utalentowany. To dzięki niej zaczął grać na pianinie i rysować. Oczywiście, na myśl o tym robiło mi się niedobrze. Mama i tata trzymali wszystkie jego świadectwa.

Dla ośmioletniego Freddiego podróż z domu do nowej szkoły była trudna.

- Popłynął statkiem razem ze swoim ojcem i dalej pociągami aż do Poony [obecnie Pune] - wspomina kuzynka Freddiego, Perviz. - To była bardzo długa i męcząca podróż. Między Zanzibarem a Bombajem, już wtedy najbardziej tłoczonym, uprzemysłowionym i postępowym miastem Indii, regularnie kursowały statki. Często nimi pływaliśmy, bo mieliśmy tam rodzinę. Podczas wakacji Freddie jeździł do cioci Jer, siostry Bomiego. Była bardzo dobrą, życzliwą panią, która zajmowała się również dziećmi pozostałych braci ojca.

Panchgani („Pięć Wzgórz”), typowa dla Indii Brytyjskich, położona wysoko w górach miejscowość na zachodnim wybrzeżu, 296 kilometrów od ówczesnego Bombaju, słynie z urokliwych starych bungalowów, budynków użyteczności publicznej, starożytnych siedlisk parsów i dorodnych pól truskawkowych. Spokojne kolonialne miasteczko powstało podczas brytyjskiego panowania w Indiach jako sanatorium i miejscowość wypoczynkowa. Łatwo się domyślić dlaczego. Za sprawą widoków na nadbrzeżne równiny, gęste lasy i rzekę Kriszna, na dużej wysokości nad poziomem morza, bogatych w żelazo wód i zbitej, wulkanicznej czerwonej gleby stała się popularną turystyczną przystanią. Wiele osób decyduje się na cztero- czy pięciogodzinną podróż z Bombaju, żeby uciec przed monsunami. Tutaj spacerują,

jeżdżą i relaksują się z dala od kurzu i upału indyjskich równin. Niektórzy nawet posyłają dzieci do miejscowych szkół z internatem w brytyjskim stylu.

St Peter's School stoi do dziś. Założona w 1904 roku placówka wciąż kultywuje tradycyjne indyjskie wartości i kulturę, a także promuje tolerancję wyznaniową między katolikami a zaratusztrianami. Jej motto brzmi „Ut prosim” („Abym mógł służyć”), a herb, „symbol nadziei i odrodzenia”, przedstawia feniksa powstającego z płomieni, z gałązką oliwną w dziobie. Dyrektor szkoły, pan Oswald D. Bason, objął stanowisko w 1947 roku, kiedy Indie zyskały niepodległość, i pozostał na nim aż do roku 1974, gdy Queen rozkoszowali się sławą. Chociaż szkoła nie obnosi się ze swoimi związkami z rock and rollem, rzadko odmawia wstępu ciekawskim. Tutejsze grono nauczycielskie pomagało nawet w gromadzeniu materiałów i kręceniu programu dokumentalnego o Freddie Mercury. Razem ze swoim przyjacielem i rówieśnikiem Victorem Raną – później generałem brygady Victorem Raną z Armii Nepalu – oraz Ravim Punjabim, filantropem i biznesmenem, należy on do najsłynniejszych absolwentów szkoły.

Zanim Freddie przybył do tego miłego kampusu, rozciągającego się na powierzchni pięćdziesięciu ośmiu akrów, wpojono mu rodzinną wiarę i był już pełnoprawnym zaratusztrianinem. Jako ośmiolatek przeszedł rytuał *navjote*. Podobnie jak chrześcijański chrzest uroczystość ta dotyczy zarówno dziewcząt, jak i chłopców, choć bardziej przypomina żydowską bar micwę. Rytuał obejmuje kąpiel symbolizującą oczyszczenie umysłu oraz duszy; założenie symbolicznej białej koszuli i wełnianego sznura, a następnie odmówienie starożytnych modlitw nad świętym wiecznym ogniem. Ogień stanowi szczególny obiekt kultu zaratusztrian. Zgodnie z wierzeniami w niektórych sanktuariach płonie nieprzerwanie od tysięcy lat. *Zendawesta*, inaczej święte pisma, nie zawierają żadnych

typowych przykazań, tylko „Trzy Rzeczy Właściwe”, w zgodzie z którymi parsowie próbują żyć. *Humata, Hukhta, Huvareshhta*: „dobre myśli”, „dobre słowa”, „dobre czyny”.

Za czasów Freddiego St Peter's School była powszechnie uznawana za najlepszą męską szkołę publiczną w Panchgani. Zapewniała pełen angielski program edukacji, przygotowując do egzaminów końcowych na poziomie podstawowym i rozszerzonym, pozwalających na kontynuowanie nauki na Uniwersytecie Cambridge, i konsekwentnie osiągała wyśmienite rezultaty. Przyciągała chętnych zarówno ze Stanów Zjednoczonych, Kanady i krajów Zatoki Perskiej, jak również z całych Indii. Rok szkolny trwał od połowy lipca do połowy kwietnia. Ze względu na indyjski klimat główna ośmiotygodniowa przerwa wakacyjna przypadała na maj i czerwiec, dodatkowa zaś, dwutygodniowa, na święta Bożego Narodzenia. Dyscyplina w St Peter's School była restrykcyjna, warunki zaś surowe. Ciepła woda do kąpieli była dostępna jedynie w środy i soboty w porze obiadowej, w pozostałe dni tygodnia kąpano się w zimnej. Kąpielami zarządzała siostra przełożona, która, z pomocą pielęgniarki stale przebywającej na terenie szkoły i wzywanego w razie potrzeby lekarza, prowadziła również przyszkolny szpital. St Peter's School miała własny kościół rzymskokatolicki: choć do szkoły uczęszczali chłopcy rozmaitych wyznań, a ich wiara była na co dzień szanowana, wszyscy musieli brać udział w niedzielnej mszy. Żaden uczeń nie mógł opuszczać kampusu bez towarzyszącego mu nauczyciela. Mimo to szkoła cieszyła się opinią troskliwej placówki z przyjemną i wesołą rodzinną atmosferą, pielęgnującej talenty uczniów, by z każdego z nich wydobyć to, co najlepsze. Bez względu na to, co wtedy czuł Freddie, przyznał on jakiś czas później, że pobyt w tej szkole uważał za przywilej, gdyż zdawał sobie sprawę, na jakie wyrzeczenia zdobyli się jego rodzice.

Nie dość, że z trudem zarabiali na chleba - ojciec Freddiego był skromnie opłacanym urzędnikiem państwowym - i nie mieli zbyt wiele wolnej gotówki, to w dodatku cierpieli z powodu rozłąki z jedynym synem, a jego siostra - z jedynym bratem.

Poczucie uprzywilejowania nie wystarczyło jednak, by rozproszyć lęk spowodowany separacją. Jako dziecko Freddie dorastał w wyjątkowej bliskości z matką i siostrą Kashmirą, a zatem odesłanie go do oddalonej o tysiące mil szkoły musiało być dla niego bardzo bolesnym przeżyciem. Trudno sobie wyobrazić, by czuł coś poza samotnością i strachem, tęskniąc za przytulaniem i bajką na dobranoc, kiedy kładł się spać. Jego bliscy opowiadali po latach, że Freddie żywił głęboką urazę do swoich rodziców za to, że go „odprawili”, chociaż jako dorosły człowiek był pełnym szacunku, kochającym synem.

Jer i Bomi musieli mieć wtedy przekonanie, że postępują właściwie. Zapewnienie synowi najlepszego startu bez wątplenia przyczyniło się do ich finansowych trudności. Lecz odesłanie chłopca tak nieśmiałego jak Freddie do szkoły leżącej tak daleko od domu było chyba największym błędem, jaki popełnili. Niektóre dzieci radzą sobie z długą rozłąką z najbliższymi lepiej niż pozostałe. Dla Freddiego, chłopca wrażliwego i, jak sam przyznawał, trzymającego się matczynego fartucha, takie przeżycie w wieku zaledwie ośmiu lat było początkowo nie do zniesienia. Zasypiał, płacząc po nocach w swoim wąskim łóżku w sali sypialnej, w otoczeniu dziewiętnastu innych drżących chłopców. Został pozbawiony codziennych chwil rodzicielskiej czułości i uwagi w najbardziej kluczowym momencie rozwoju, w wieku największej podatności na wpływy. W rezultacie poglądy i oczekiwania Freddiego uległy nieuchronnej zmianie.

Pocieszenia szukał w towarzystwie podobnych mu chłopców. Zaprzyjaźnił się z Victorem Raną i Derrickiem Branchem, który później przeniósł się do Australii i został

aktorem. W 1985 roku, kiedy Freddie kradł show na *Live Aid*, Branche grał w *Mojej pięknej pralni* – komediodramacie z Danielem Day-Lewisem, filmie, który zgłębiał relacje między społecznościami białych i Azjatów, a zarazem w przejmujący sposób poruszał takie tematy jak homoseksualizm czy rasizm.

Do kręgu Freddiego należeli także Farang Irani, późniejszy restaurator z Bombaju, oraz Bruce Murray, ostatnio bagażowy na londyńskiej stacji kolejowej Victoria. W ciągu następnych lat ci chłopcy stali się nierozłączni, śpiąc obok siebie w jednej sali i wspólnie płatając niezliczone szkolne figle. Podczas przerw między semestrami Freddie był wyprawiany albo do ciotki Jer ze strony ojca, albo do ciotki Sheroo ze strony matki i przez cały okres swojego pobytu w St Peter's School rzadko widywał się z rodzicami, nawet w trakcie szkolnych ferii.

- Musieliśmy robić to, co nam kazano, więc najrozsądniej było po prostu czerpać z tego jak najwięcej korzyści – powiedział Freddie po latach. – Nauczyłem się troszczyć o siebie i szybko dorosłem.

W ten sposób zaczęło się kształtowanie osobowości „prawdziwego” Freddiego, która nie zmieniła się aż do końca jego dni.

Świadomość, że będzie musiał konkurować i stawiać czoła szkolnym prześladowcom w pojedynkę, okazała się dla Freddiego twardym orzechem do zgryzienia. Zaświtało mu także w głowie, że pora zrobić coś ze swoim imieniem. „Farrokh” było trudne do wymówienia na perską modłę: „**Farroch**”, jak w szkockim „loch”, w odróżnieniu od afrykańskiego „**Farouk**”. Ulżyło mu, kiedy nauczyciele i przyjaciele przyjęli zdrobnienie szanowanego angielskiego imienia. Stał się „Freddiem”. Na szczęście to imię do niego przyłgnęło. Rodzice i rodzina nie mieli nic przeciwko i po dziś dzień mówią o nim „Freddie”. Zmiana nazwiska nastąpiła później, z innych powodów.

Gdy Freddie miał około dziesięciu lat, zaczął zachowywać się powściągliwie, nieco protekcyjnie, co też zostało mu do końca życia. Choć od czasu do czasu pozwalał sobie na kąśliwość, nigdy nie był nieuprzejmy ani złośliwy.

Nie zaliczał się do graczy drużynowych. W sporcie celował w dyscyplinach indywidualnych lub jeden na jednego, takich jak szachy, biegi krótkodystansowe, boks i tenis stołowy. Zanim skończył jedenaście lat, został szkolnym mistrzem w tenisie stołowym. Nie przepadał za rugby i piłką nożną, mówiono jednak, że lubił grać w krykieta, czemu później zaprzeczył. Może sądził, że otwarta miłość do gry zaszkodzi jego hardrockowemu wizerunkowi, kto wie? W 1958 roku, gdy miał prawie dwanaście lat i kończył szkołę podstawową, zdobył nagrodę za wszechstronność, a rok później za wyniki w nauce. Jako uczeń wyższych klas odgrywał wiodące role w rozmaitych sztukach i śpiewał jako solista w przedstawieniu *The Indian Love Call*. Jego ulubionym przedmiotem była sztuka. Większość wolnego czasu spędzał na szkicowaniu i malowaniu, w szczególności dla ciotki Sheroo i dziadków w Bombaju. Zaczął także z entuzjazmem oddawać się muzyce podczas zajęć dodatkowych.

Jeszcze pod koniec lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych w Bombaju panowała kosmopolityczna, wschodnio-zachodnia kultura, dzięki czemu pop i rock z Zachodu dały o sobie znać. Freddie uwielbiał muzykę klasyczną, której się uczył, zwłaszcza operę, ale jeszcze bardziej kochał muzykę współczesną. Zaczął chodzić na zajęcia z fortepianu, zdał wszystkie egzaminy, w tym egzamin czwartego stopnia z teorii muzyki i praktyki, wstąpił także do chóru. Razem z bliskimi przyjaciółmi założył swój pierwszy zespół, The Hectics. Za sprawą żywiołowej gry na fortepianie w stylu boogie-woogie Freddie szybko znalazł się na ustach wszystkich. The Hectics zaczęli występować na szkolnych koncertach i dorocznym kiermaszu dobroczynnym. Dziewczęta



z miejscowych szkół stawały z przodu i krzyczały ile sił w płucach, bo słyszały, że tak należy się zachowywać w obecności zespołu. Idolami tamtych czasów byli Elvis Presley, Cliff Richard, Fats Domino i Little Richard. To od nich Freddie czerpał inspirację. Dużo ćwiczył, naśladując ich styl. Niestety, nie był jeszcze materiałem na lidera, dlatego chętnie ustąpił miejsca Bruce'owi Murrayowi, który grał na gitarze i śpiewał główne partie wokalne.

- Był jeszcze, rzecz jasna, szkolny chór, który wykonywał tradycyjne utwory chóralne oraz hymny. Ćwiczyli regularnie, żeby śpiewać podczas nabożeństw w szkolnym kościele - wspominał Derrick Branche, dawny szkolny kumpel Freddiego i członek The Hectics. - Było nas dwudziestu pięciu. Często śpiewaliśmy z dziewczynami z jednej z siostrzanych szkół w mieście. Freddie kochał nie tylko chór, ale także pewną chórzystkę - piętnastoletnią Gitę Bharuchę, o ile się nie mylę!



*Pierwszy zespół Freddiego, The Hectics, powstały w St Peter's School na początku lat sześćdziesiątych (Freddie pośrodku). Nazwa zespołu była ponoć zainspirowana żywiołowym stylem gry Freddiego*

Mówi się, że Freddie był aktywny seksualnie od czternastego roku życia i spotykał się głównie z innymi chłopcami, a nawet niektórymi pracownikami szkoły, lecz jego pierwsza dziewczyna nie jest tego taka pewna.

- Nigdy nie miałam podejrzeń, że Bucky jest gejem - powiedziała mi Gita. - W żadnym razie. Nic o tym nie świadczyło. Może jego nauczyciele wiedzieli i zachowywali dyskrecję. My, jego przyjaciele, na pewno nie mieliśmy o tym pojęcia. Był dość ekstrawaganckim wykonawcą. Na scenie absolutnie w swoim żywiole, a w sztukach zawsze dostawał żeńskie role!

Odszukanie Gity nie było łatwe. Wyszła za męża, zmieniła nazwisko na Choksi i przeprowadziła się do Frankfurtu, gdzie pracowała dla indyjskiego biura podróży. Kiedy ją znalazłam, na początku nie kwapiła się do rozmowy o Freddiem. W końcu się zgodziła i spotkałyśmy się w Londynie.

- Poznałam Freddiego w 1955 roku, kiedy zaczęłam chodzić do Kimmins School w Panchgani - powiedziała. -

Prowadziły ją protestanckie misjonarki z Anglii. Skończyłam naukę w 1963 roku. W ciągu tych dziesięciu lat, które Freddie tam spędził, przez większość czasu byliśmy przyjaciółmi. Pochodziłam z Bombaju, ale mieszkalam z mamą i dziadkami w Panchi. Codziennie dochodziłam do szkoły. Wyglądało to tak, że chłopcy z St Peter's School uczęszczali do przedszkola w Kimmins, a od klasy trzeciej kontynuowali naukę w szkole. Nasza grupa przez lata uczyła się w jednej klasie. Victory Rana i ja byliśmy razem przez całą szkołę. No i Bucky - mówiliśmy tak na Freddiego z powodu jego wystających zębów. I jeszcze Derrick Branche.

- Bucky i ja byliśmy ze sobą szczególnie blisko - ale tylko się przyjaźniliśmy. Nic intymnego. Trzymaliśmy się za ręce, to wszystko. Wypożyczaliśmy rowery za trzy rupie dziennie i jeździliśmy. Pływaliśmy też łodziami wiosłowymi po jeziorze Mahableshtar. Mama pozwalała mi urządzać przyjęcia albo zapraszać przyjaciół na obiad, po którym szliśmy na spacer albo graliśmy w różne gry. Bucky często wpadał na święta i spędzał u nas czas. Był bardzo grzeczny i dobrze wychowany. Mama i dziadkowie przepadali za nim.

Janet Smith, nauczycielka z Panchgani, która mieszkała w szkole za czasów Freddiego, ponieważ jej matka uczyła go sztuki, nie miała żadnych wątpliwości co do jego orientacji.

- Miał taki nawyk zwracania się do innych per „skarbie”, co wydawało się dość zniewieściale. Po prostu wiedziałam, że był homoseksualistą. Prawdę mówiąc, w tamtych czasach to było coś niecodziennego, lecz prawie akceptowalnego u takiego chłopaka jak Freddie. W ustach kogoś innego brzmiałoby to po prostu koszmar. Ale u Freddiego jakimś sposobem nie. Brzmiało dobrze. Nie przechodził żadnej fazy, to tkwiło głęboko w nim, gdzieś u samych podstaw. Współczułam mu, nie mogłam nic na to poradzić, bo inni się z niego nabijali. Zabawne, sprawiał wrażenie, że w ogóle mu to nie przeszkadza.

Choć Gita Bharucha i Freddie byli dotąd nierozłączni, po wyjeździe z Panchgani nigdy więcej się do niej nie odezwał.

- Wiem, to bardzo przykre, ale tak było. Jakby chciał wziąć rozwód ze swoim życiem w Indiach i przejść do następnego etapu.

Zanim Freddie zdał do dziesiątej klasy, jego oceny zaczęły się pogarszać. Oblał egzamin semestralny i przed rozpoczęciem jedenastej klasy rzucił szkołę. Nigdy nie przystąpił do egzaminów końcowych. Być może pochłonęły go własna dezorientująca seksualność czy bardziej kreatywne zajęcia na polu muzyki i sztuki, ponieważ stracił

zainteresowanie nauką i skupił się na dążeniu do atrakcyjniejszych dla niego celów. W poprzednich biografiach pisano, że Freddie opuścił St Peter's School z kompletem zdanych egzaminów na poziomie podstawowym oraz wyjątkowo dobrymi ocenami z literatury angielskiej, historii i sztuki, lecz to nieprawda. Powód, dla którego pierwsi publicyści przeinaczali rzeczywistość, staje się jasny, gdy spojrzeć na niesamowite osiągnięcia naukowe pozostałych członków zespołu. Brian May studiował fizykę oraz matematykę na Imperial College London i ukończył fizykę z wyróżnieniem. Trzydzieści lat później obronił doktorat z astronomii. John Deacon otrzymał dyplom z wyróżnieniem na wydziale elektroniki Chelsea College (obecnie część King's College London), natomiast Roger Taylor dostał się na stomatologię na London Hospital Medical College. Po pewnym czasie rzucił studia, by skupić się na muzyce.

- Freddie nie chciał wyjść na... tumana w porównaniu z pozostałymi członkami Queen, którzy tyle osiągnęli - komentował Jim Jenkins, oficjalny biograf Queen i współautor *As It Began*. - Być może dlatego powiedział, że zdał wszystkie egzaminy, chociaż to nieprawda. W tych okolicznościach to zrozumiałe.

Sheroo Khory, ciotka Freddiego ze strony matki, rozmawiała ze mną o ukochanym siostrzeńcu w swoim domu w Dadarze, dzielnicy Bombaju. W 1995 roku Bombaj został przemianowany na Mumbai, ponieważ dawną nazwę uznano za niechciane dziedzictwo brytyjskiego kolonializmu.

- Nawet kiedy Freddie zatrzymywał się u Jer, zawsze przychodził do mnie na śniadanie i spędzał ze mną cały dzień. Bardzo dobrze rysował, zachęcałam go do tego. Gdy miał osiem lat, stworzył znakomity rysunek przedstawiający dwa konie podczas burzy, który podpisał „Farrokh”. Wisiał w domu jego matki, nie wiem, czy nadal go ma.

Lecz kiedy Freddie znalazł się w Anglii, wiele się zmieniło.

- Nigdy nie chciał wrócić do Indii. Nazywał siebie Brytyjczykiem, lubił tamtejszy, bardziej cywilizowany styl życia, a przede wszystkim system sprawiedliwości - zwłaszcza w porównaniu z korupcją, która panowała w Indiach. Ale utrzymywał ze mną regularny kontakt. Przysłał mi nawet pieniądze na operację oka, której bardzo potrzebowałam, i chciał mnie zabrać na wycieczkę po Europie. Nigdy nie zapomniał o swojej starej cioteczce.

Sheroo wyjawiała, że po latach nawiązała regularną korespondencję z byłą dziewczyną siostrzeńca, Mary Austin, wymieniając z nią zdjęcia Freddiego jako dziecka i wielkiej gwiazdy rocka. Poruszyła również temat „wrogów” Freddiego w Anglii i tego, jak się martwiła o jego bezpieczeństwo. Dyskusja o religii zasmuciła ją, a zwłaszcza plotki, jakoby Freddie tuż przed śmiercią przeszedł na chrześcijaństwo.

- Cała rodzina była bardzo zdenerwowana tą informacją - powiedziała. - To był wielki cios. Mieliśmy już dość tylu rozdzierających serce rzeczy, które mówiono o Freddie, tych wszystkich kłamstw, szczególnie o tym, że przeszedł na chrześcijaństwo. Jestem pewna, że tego nie zrobił. Nic mi o tym nie wiadomo, a jestem pewna, że bym wiedziała.

Wbrew temu, co się mówi, w 1964 roku Freddie wrócił do Zanzibaru i odbył dwa ostatnie lata edukacji w rzymskokatolickiej St Joseph's Convent School (Przyklasztornej Szkole Świętego Józefa). Bonzo Fernandez, były policjant z Zanzibaru, który później pracował jako taksówkarz, dobrze znał Freddiego.

- Pamiętam, że miał świetne stosunki z rodziną i sympatyczną siostrę. Freddie był bardzo dobrze wychowany. Miał miłych rodziców o nienagannych manierach. Grywaliśmy razem w hokeja i krykieta. W krykiecie był wyjątkowo dobry.

- Wiedziałem, że wcześniej chodził do szkoły w Indiach, ale nigdy nie opowiadał o tamtych czasach. Niekiedy po zajęciach wyskakiwaliśmy przez okno i pływaliliśmy w morzu. Freddie to uwielbiał. Pływaliśmy też w klubie Starhe przy Shangani Street, gdzie mieli bardzo czystą plażę. Jeździliśmy rowerami na południe, do Fumby, na północny zachód, do Mungapwani, do starych jaskiń niewolników albo do Chwaki, daleko na południowo-wschodnim półwyspie. Czasami wybieraliśmy się całą grupą. Pływaliśmy, jedliśmy, wspinaliśmy się na palmy kokosowe. Pajacowaliśmy, ale nie byliśmy źli. Żadnego alkoholu, narkotyków czy papierosów, nie za naszych czasów.

- Ciągle widzę tego szczupłego radosnego chłopaka w krótkich niebieskich spodniach i białej koszulce. Zawsze bardzo elegancko się ubierał, zwłaszcza do krykieta, kiedy nieskazitelna biel jego stroju wydawała się jaśniejsza od pozostałych.

- Po rewolucji wszyscy opuściliśmy wyspę. Nie miałem pojęcia, dokąd udał się Freddie ani kim został. Potem dowiedziałem się, że mieszkaliśmy w Wielkiej Brytanii w tym samym czasie. Dopiero po jego śmierci odkryłem, że mój dawny kolega ze szkoły i bliski przyjaciel był tym słynnym wokalistą rockowym.

Gita Choksi ma podobne wspomnienia.

- Po latach, kiedy dowiedziałam się, kim został, kupiłam niektóre jego nagrania. Bardzo mi się podobały.

- Nigdy jednak nie widziałam jego występu na żywo. Zawsze tego żałowałam. Inny z naszych szkolnych kumpli poszedł kiedyś na koncert Queen i próbował dostać się za kulisy, żeby zobaczyć się z Buckym. Ale gdy w końcu zdołał stanąć z nim twarzą w twarz, Freddie po prostu spojrzał na niego jak na powietrze i powiedział: „Przykro mi, ale obawiam się, że cię nie znam”.

- Nie mieliśmy już wątpliwości, że nie chciał mieć z nami nic wspólnego. Był gotów na wszystko, byle tylko zostawić

przeszłość za sobą.



## Rozdział 4

# Londyn

*Jestem człowiekiem miasta. Nie kręć mnie wiejskie klimaty ani krowi gnój.*

Freddie Mercury

*Wielu ludzi przyciąga do Londynu wizja względnej anonimowości. Można się stopić z tłumem, poznać wiele osób o podobnym sposobie myślenia. Istnieje masa krytyczna. W tamtych latach Londyn swingował. Zanzibar krępował taką osobowość, takiego niespokojnego ducha jak Freddie.*

Cosmo Hallstrom, psychiatra

W latach pięćdziesiątych nastąpił wyraźny wzrost postępu nacjonalistów przeciwko brytyjskim rządóm. W 1947 roku Wielka Brytania utraciła Indie i Pakistan, rok później Birma i Cejlon ogłosiły niepodległość, a w 1949 roku w Chinach wybuchła rewolucja socjalistyczna. Wydarzenia te wywarły wielki wpływ na walki niepodległościowe w północnej, północnowschodniej i wschodniej Afryce. Uległ im również Zanzibar. Tutejsze związki zawodowe zaczęły przekształcać się w partie polityczne, aby w ten sposób doprowadzić do zmian. Nacjonalistyczna Partia Zanzibaru, założona w 1956 roku przez arabską mniejszość, została zastąpiona przez Partię Afroszyrasyjską, której przywódcy pochodzili głównie z kontynentu. Wzrastała wojowniczość klasy robotniczej, strajki paraliżowały wiele gałęzi przemysłu. Proarabskie wyniki wyborów, a także budzące frustrację

słabe zbiory goździków i kokosów podburzyły masowe zamieszki. Choć w grudniu 1963 roku Zanzibar zdobył niepodległość, dysproporcje w reprezentacji elektoratu rozwścieczyły afrykańską większość. Jej gniew dał początek radykalnemu lewicowemu zamachowi stanu. W 1964 roku brutalna rewolucja doprowadziła do obalenia sułtana Jamshida bin Abdulla, a szejka Abeid Amani Karume, przewodniczący Partii Afroszyrajskiej, został pierwszym prezydentem Zanzibaru. W krwawych ulicznych walkach zginęły tysiące ludzi. Bulsarowie i wielu im podobnych uciekli, by ratować życie. Opuściwszy Zanzibar z zaledwie paroma walizkami, rodzina Freddiego wyruszyła do Anglii, gdzie krewni zaoferowali im schronienie. Nigdy nie obejrżeli się za siebie.

- I to by było na tyle, jeśli chodzi o nasze stosunki rodzinne - wspomina ze smutkiem Perviz, kuzynka Freddiego. - Kiedy usłyszałam, dużo później, że Freddie został słynnym muzykiem, byłam bardzo szczęśliwa, że mamy w rodzinie takiego geniusza. Byliśmy z niego bardzo dumni. Ale nie kontaktował się z nami. Nigdy nawet nie przysłał nam kasety.

Po rewolucji, w kwietniu 1964 roku, Zanzibar połączył się z Tanganiką w Zjednoczoną Republikę Tanzanii, zachowując wewnętrzną suwerenność. Dzisiejsi Zanzibarczyści są ludźmi o swobodnym stylu bycia, spokojnymi i tolerancyjnymi - nie licząc ich, niemal powszechnego, wstrętu do homoseksualizmu.

Bulsarowie nie byli przygotowani na kulturowy szok, gdy dotarli do Feltham w gminie London Borough of Hounslow, nijakiego miasteczka około dwadzieścia kilometrów na południowy zachód od stolicy i kilka mil od lotniska Heathrow.

- Mój tata miał brytyjski paszport - wyjaśniła Kashmira - więc przyjazd do Anglii wydawał się oczywistym wyborem.

- Freddie był taki podekscytowany - wspominała jego matka, Jer. - „Powinniśmy jechać do Anglii”, powiedział. Ale było nam bardzo ciężko.

Nuda i szarość leżących na torze lotu przedmieść, nie wspominając już o chłodnym klimacie, ostro kontrastowały z tym, czego doświadczyli w Zanzibarze i Bombaju. W Londynie nie mieli statusu, pensji, służby ani posiadłości. Pomimo koneksji i osiągnięć w administracji rządowej na ojca Freddiego nie czekało żadne oficjalne stanowisko w księgowości. Bomi w końcu znalazł zatrudnienie jako księgowy w grupie cateringowej Forte, a Jer zaczęła pracować jako sprzedawczyni w miejscowym sklepie sieci Marks & Spencer. Trzymała się tej pracy jeszcze przez pewien czas po tym, jak jej syn stał się sławny.

- Uderzyło mnie, jak bardzo rzucaliśmy się w oczy - przypomniała sobie Kash, która miała wtedy dwanaście lat.  
- Freddie podchodził do swojego wyglądu z wielką skrupulatnością. Podczas gdy on był zawsze elegancki i schludny, a włosy zaczesywał do tyłu, inni nosili długie włosy i wyglądali niechlujnie. Chodziłam parę kroków za nim, bo nie chciałam, by ktoś pomyślał, że idziemy razem.

- Ale bardzo szybko zmienił wizerunek - kontynuowała Kash. - Zawsze spędzał długie godziny przed lustrem, pielęgnując swoje pukle.

W wieku osiemnastu lat Freddie był w rozterce. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie rozwinię skrzydła, pozostawał jednak na utrzymaniu rodziców, a zatem musiał z nimi mieszkać. Doskonale zdawał sobie sprawę, co ma do zaoferowania metropolia, był jednak uwięziony w domu, który krępował jego styl.

- Ludzie w małych miasteczkach nie potrafią zaakceptować niczego ani nikogo, kto odbiega od normy - zauważa James Saez, producent, autor, multiinstrumentalista i były inżynier w Record Plant w Los Angeles. - W Wirginii Zachodniej na każdym kroku można

się natknąć na Jezusa i broń palną. Freddie wiedział o tym doskonale, bo dorastał w Zanzibarze i Indiach. Jeśli pochodzisz z takich miejsc i w głębi ducha jesteś kimś zupełnie innym, kto może nie zyskać akceptacji, po prostu **m u s i s z** wyrwać się do wielkiego miasta. Całe szczęście, że Freddie w końcu wyniósł się do Londynu.

Podczas gdy wielu jego rówieśników zarabiało na siebie i wiodło niezależne życie, rodzice Freddiego chcieli, żeby ich syn kontynuował edukację. Niestety, nie czekała go kariera prawnika ani księgowego. Freddie, jak sam przyznał, po prostu nie był „dość bystry”, żeby studiować. Zamiast tego postanowił rozwijać talenty artystyczne. W 1966 roku uczęszczał do Isleworth College, gdzie zdał egzamin ze sztuki na poziomie rozszerzonym, po czym jesienią przeniósł się do Ealing College of Art, by rozpocząć kurs grafiki użytkowej i ilustracji. Latem 1969 roku, w wieku dwudziestu trzech lat, otrzymał dyplom z grafiki i wzornictwa. Nie był to jednak odpowiednik stopnia naukowego, a w dodatku nie mógł się równać z akademickimi osiągnięciami przyszłych kolegów z zespołu.

- Poszedłem do szkoły artystycznej z zamiarem zdobycia dyplomu, co też zrobiłem - opowiadał Freddie - i zostania ilustratorem. Liczyłem, że zarobię na sobie jako wolny strzelec.

- Często też wychodził - wspomina Kashmira - i wracał nad ranem. Ciągłe się o to kłócił z mamą. Zawsze na niego naciskała, żeby zdobył stopień naukowy, ale Freddie zamierzał robić to, co chciał. Często trzaskali drzwiami. Ale kiedy Freddie dopiął swego, mama była bardzo dumna.

- Tylko w tamtym czasie udało mi się do niego zbliżyć - dodaje. - Pomagał mi w odrabianiu lekcji, a ja mu pozowałam, kiedy szkicował.

Podczas ferii Freddie dorabiał w cateringu na lotnisku Heathrow, pracował też w magazynie w dzielnicy przemysłowej Feltham. Zbywając przycinki ze strony

współpracowników, którzy dokuczali mu z powodu jego „damskich dłoni i afektowanego, ekstrawaganckiego sposobu bycia”, odcinał się, że tak naprawdę jest muzykiem, który nie pokazał jeszcze na co go stać.

Londyn, mekka kultury młodzieżowej, rozkręcał się w najlepsze. W muzyce pop nastąpił przełom, single powoli ustępowały miejsca płytom długogrającym. Menadżerowie sal tanecznych, zauważywszy, że noce z rock and rollem już nie przyciągają tłumów, zaczęli się przerzucać na zwykłe imprezy taneczne. Najpopularniejszym zespołem na świecie nadal był The Beatles, a na listach przebojów konkurowały z nim The Rolling Stones, The Animals, Manfred Mann i Georgie Fame. Najnowszym popowym odkryciem był Tom Jones, muskularny wokalista z walijskich dolin. Wśród brytyjskich piosenkarek największą popularnością cieszyły się Sandie Shaw i Petula Clark, a zapoczątkowana przed rokiem moda na muzykę folkową właśnie przechodziła w stan pełnego rozkwitu. Joan Baez i Bob Dylan wygłaszali polityczne przesłania na temat Wietnamu. Donovan zaprzyjaźnił się z Dylanem. Elvis Presley, Peter, Paul and Mary, The Byrds, The Righteous Brothers, Sonny i Cher oraz inni amerykańscy wykonawcy śmiało konkurowali z brytyjskimi wykonawcami. Telewizja dawała o sobie znać, a wśród programów popowych dominowało *Ready, Steady, Go!* Cathy McGowan.

Również moda przeżywała rozkwit. Na scenie projektantów prym wiodły Mary Quant i Angela Crush, a John Stephen został „Królem Carnaby Street”<sup>[11]</sup>, ówczesnego centrum świata modów<sup>[12]</sup>. Młodzieżowa moda miała swoich ambasadorów. The Who rozpowszechnili opartowe projekty, nosząc T-shirty z koncentrycznymi kołami i brytyjską flagą. John Lennon zrobił to samo z bitelsówkami, a Dave Clark z The Dave Clark Five, późniejszy bliski przyjaciel Freddiego, z białymi dżinsami marki Levi’s. Szczupły, wąski w biodrach Freddie

preferował obcisłe biodrówki z gniecionej aksamitu i z paskiem. Skórzane oraz zamszowe marynarki, satynowe, jedwabne i kwieciste koszule oraz buty z cholewką za kostkę dopełniały wizerunku.

Życie na skraju najbardziej ekscytującego miasta świata sprawiło, że Freddie stał się niespokojny i zbuntowany. Bardziej niż kiedykolwiek dotąd pragnął wyprowadzić się z domu rodziców i wkrótce zaczął waletować na podłodze u rozmaitych przyjaciół.

- Fred żył jak Cygan - wspominał Brian May.

Chciał mieć wszystko na wyciągnięcie ręki, i to natychmiast: butiki, sklepy z płytami i księgarnie, lokale muzyczne, puby, kluby. Modny Kensington Market i słynny butik Biba wkrótce stały się jego ulubionymi miejscami.

Ealing College of Art szczylił się kilkoma znanymi absolwentami, szczególnie Petem Townshendem z The Who oraz Ronniem Woodem z The Faces, późniejszym rolling stonesem. Były student Jerry Hibbert wspomina tę szkołę jako postępową, jak i praktyczną, jedną z tych, których absolwenci są gotowi do pracy. Przyjechawszy z Oksfordu, zaczął naukę w 1968 roku, dwa lata niżej niż Freddie, lecz poznał go dobrze dzięki wspólnym muzycznym zainteresowaniom.

- W tamtym okresie Ealing College przechodził wiele zmian - wspomina Jerry. - Nowojorska Madison Avenue - to było coś. Wywierała wpływ na cały styl życia, aż po sposób ubierania się. Chcieliśmy wyglądać jak nowojorczyki i szycy. Obcinaliśmy włosy na krótko i przychodziliśmy na zajęcia w garniturach i krawatach, bo hipisi byli wszędzie, a studenci kierunków artystycznych lubią się wyróżniać. Wszystko starannie stylizowaliśmy. Nawet chodziliśmy w określony sposób. Na pewno nie przypominaliśmy studentów z klubów studenckich, grających w rugby i żłopiących piwo. Centrum naszego życia towarzyskiego i miejscem spotkań była restauracja przy college'u. Freddie - wtedy jeszcze Freddie Bulsara -

przesiadawał tam razem z nami. Bez wątpienia był entuzjastą stylu i ciuchów. Zawsze przywiązywał bardzo wielką wagę do swojego wyglądu.

- Szkoła artystyczna uczy większego wyczulenia na modę - zauważył potem Freddie. - Zawsze o krok przed wszystkimi.

Znudzony nauką, pozbawiony samodyscypliny i pilności Freddie szybko stracił zainteresowanie studiami. Cieszył się jednak bardziej hedonistycznymi stronami studenckiego życia. Podczas zajęć przez większość czasu szkicował portrety kolegów i swojego nowego idola, Jimiego Hendriksa, którego wpływ miał zmienić życie Freddiego. Afroamerykanin z Seattle, zaledwie cztery lata starszy od Freddiego, został odkryty w Nowym Jorku przez Chasa Chandlera, basistę z The Animals. Przekonawszy Beatlesów, Pete'a Townshenda i Erica Claptona, by zajrzeli do klubu i posłuchali, jak gra jego wstrząsająco utalentowany protegowany, Chandler szybko stworzył The Jimi Hendrix Experience, wciągając do zespołu perkusistę Mitcha Mitchella i basistę Noela Reddinga. Występ Amerykanina odebrał jego rywalom mowę. Wykonując triki, które podchwycił od wielu bezimiennych muzyków, Hendrix grał na białej gitarze, model Fender Stratocaster, do góry nogami, na karku i zębami, prezentując zapierający dech w piersiach wachlarz technik. Choć wielu późniejszych gitarzystów wyznaczyło nowe kierunki gry na gitarze, zaledwie nieliczni zdołali dorównać geniuszowi Hendriksa.

- Jimi Hendrix był po prostu wspaniałym człowiekiem, mistrzem sceny i oddanym muzykiem - stwierdził później Freddie. - Potrafiłem zjechać cały kraj, żeby zobaczyć jego występ. Miał wszystko, czego potrzebuje gwiazda rock and rolla: cały ten styl i osobowość. Nie musiał się na nic silić. Po prostu wychodził na scenę i cały lokal stawał w płomieniach. Był tym, kim sam chciałem zostać.

Freddie miał jasno określone ambicje. Wciąż był entuzjastycznie nastawiony do muzyków, którymi zachwycił



się w szkole - do Cliffa Richarda, Elvisa Presleya, Little Richarda i Fatsa Domino - ale to Hendrix zwał go z nóg. Freddie zabrał się do zmiany wizerunku na bliższy amerykańskiemu muzykowi. Technika gry na gitarze Jimiego stanowiła wyzwanie rzucone konwencjonalnym oczekiwaniom, podobnie jak przyszłe teksty, aranżacje i techniki wokalne Freddiego. Osobowość sceniczna i ekstrawagancki styl Hendriksa oszałamiały. Freddie wiedział, że musi pójść w tym samym kierunku. Hendrix był niesamowicie oryginalny, innowacyjny i tak pełen energii, że jego publiczność opadała z sił. Freddie zamierzał osiągnąć pewnego dnia podobny efekt z własnymi fanami. Hendrix potrafił wziąć na warsztat każdą piosenkę, nawet prozaiczną, i zagrać jak własną unikalną kompozycję. W 1986 roku byłam świadkiem, jak Freddie zrobił coś podobnego podczas koncertu w Budapeszcie, kiedy wycisnął łzy z oczu tysięcy ludzi swoją interpretacją prostej węgierskiej ballady ludowej. Obcojęzyczny tekst, nagryzmołony wewnątrz dłoni, nie mógł być dla niego bardziej niezrozumiały. Melodia w niczym nie przypominała rockowej piosenki. Ale Freddie zaśpiewał naprawdę szczerze, z głębi serca. Widownia była urzeczona.

W Kensington, w maleńkim mieszkanku o szarych ścianach obklejonych zdjęciami swego idola, Freddie gorliwie doskonalił styl Hendriksa. Kwieciste marynarki w jaskrawych kolorach, czarne lub wielobarwne koszule, wąskie, kolorowe spodnie, rollingstonki, szyfonowe szale zawiązane na wysokości jabłka Adama, ciężkie srebrne pierścionki.

- To, co wtedy nosił, nie różniło się niczym od tego, co w tamtych czasach nosiliśmy wszyscy - twierdził kolega ze studiów, Graham Rose. - Ogólnie biorąc, Freddie był cichym facetem, chociaż łatwo popadał w wesołość. Wtedy zakrywał dłonią usta, żeby ukryć te swoje wielkie zęby. Był świetnym gościem, miłym i wrażliwym na uczucia innych.

Nigdy nie posuwał się do złośliwości. Wielu z nas bardzo się cieszyło, kiedy odniósł tak wielki sukces.

Jerry Hibbert zgadza się, że Freddie nie wyróżniał się w college'u.

- Tyle że bardzo lubił śpiewać. Siedział w swojej ławce i śpiewał. Miał zajęcia w innej klasie, rok czy dwa lata wyżej. Siedział naprzeciwko kumpla, Tima Staffella, i razem śpiewali na dwa głosy. To było bardzo dziwne, ponieważ w tamtym czasie wszyscy „wsiąknęliśmy” w bluesa. John Mayall i Eric Clapton, jeszcze przed Cream. Mieliśmy małą obsesję na punkcie ukrytych inspiracji. Na przykład nie chcieliśmy już patrzeć, jak Eric Clapton gra *Hideaway*, woleliśmy obserwować, jak robi to Freddie King. Freddie Bulsara, podobnie jak my wszyscy, z pewnością się tym interesował. Dlatego wyglądał trochę idiotycznie, kiedy tak śpiewał na głosy pośrodku klasy. Zupełnie inaczej niż pozostali. Ale ani jemu, ani Timowi to nie przeszkadzało. Siedzieli sobie, pracowali i śpiewali razem.

- Muzyka zawsze była moim pobocznym zajęciem, ale jej znaczenie w pewien sposób rosło - stwierdził później Freddie. - Kiedy kończyłem kurs ilustracji, miałem go dość. Powyżej uszu. Myślałem sobie, że raczej nie zrobię na tym kariery, bo mój umysł się do tego nie nadaje. Więc uznałem, że przez pewien czas pobawię się muzyką. Każdy chce zostać gwiazdą, więc pomyślałem, że mógłbym spróbować, czemu nie?

Jeśli chodzi o jego osobowość, Jerry zaprzecza, jakoby Freddie szukał poklasku.

- Nie, to nie było w jego stylu. Sprawiał wrażenie przemitego faceta. Nie miałem pojęcia, że był gejem. W ogóle tego po sobie nie okazywał. Był spokojny, przyjacielski. Zawsze grzeczny, zawsze miły. Jeden z tych chłopaków, o którym matki mówią „dobrze wychowany”. Błaznował i śpiewał do linijki jak do mikrofonu, ale to były tylko wygłupy.

Kiedy ukończyli college, Freddie złamał swoją niepisana zasadę i nie zerwał dawnych kontaktów, rozpoczynając kolejny życiowy etap. Przez pewien czas on i Jerry podtrzymywali przyjaźń.

- Z powodu muzyki - wyjaśnił Jerry. - Grałem kiedyś bluesa: w college'u, na imprezach, w mieszkaniach różnych ludzi. Wpadał Freddie i się przyłączał. To było jeszcze przed tymi czasami, kiedy na imprezach puszczano płyty. Jeśli ktoś chciał mieć muzykę, musiał zaprosić kapelę.

Freddie w końcu wyznał Jerry'emu, że marzy o muzycznej karierze.

- Po tym jak Freddie ukończył college, przez jakieś dwa lata grałem w zespole. Przyszedł któregoś dnia i powiedział, że chce poświęcić się tworzeniu kapeli. Poradziłem mu wtedy: „Nie rób tego, trzymaj się grafiki. Na muzyce nie zarobisz. Trzymaj się tego, co znasz”.

Ale Freddie był już zdecydowany.

- Jeszcze raz się spotkaliśmy, kupiłem od niego trochę sprzętu albo jakiś mu sprzedałem, nie pamiętam. Wrócił do college'u, żeby grać z zespołem Wreckage. Prawdę mówiąc, nie zwracałem sobie nimi zbytnio głowy i kontakt się urwał.

Jerry zajął się animacją, dołączył do jednej z wielu ekip, która pracowała przy pełnometrażowym filmie Beatlesów *Yellow Submarine*.

- Całkowicie straciłem zainteresowanie muzyką - przyznaje. - Odkryłem, że jej nie znoszę. Nie kupowałem żadnych płyt, nie chodziłem na żadne koncerty. Jakies cztery lata później usłyszałem, jak didżej w radiu mówi o kapeli zwanej Queen. Ich pierwszym hitem było *Seven Seas of Rhye*. Niezłe. Ale w ogóle nie skojarzyłem nazwiska Freddie Mercury z moim kumplem Freddie Bulsarą z Ealing College. Nagle zaczęto o nich dużo pisać. Nie dało się tego przeoczyć. Któregoś dnia mijałem kiosk z gazetami i wpadła mi w oko pierwsza strona „Melody Maker”.

Wielkie zdjęcie z wielkim nagłówkiem. Spojrzałem na nie i pomyślałem: „Jasna cholera, przecież to Freddie Bulsara”.

Później, zupełnie przez przypadek, Jerry współpracował przy projekcie dla Queen - niedługo przed śmiercią Freddiego, ale to już nie był ten dawny kumpel ze studiów.

## Rozdział 5

# Queen

*Wpadłem na pomysł stworzenia Queen, kiedy chodziłem do college'u. Pomysł spodobał się Brianowi, który również studiował, i połączyliśmy siły. Najwcześniejsze początki zespołu sięgają grupy o nazwie Smile. Dużo za nimi jeździłem i zaprzyjaźniliśmy się. Ja chodziłem na ich występy, a oni chodzili na moje.*

Freddie Mercury

*Przede wszystkim był absolutnym maniakiem. Maniakiem o wielkich zębach, dorastającym do własnych marzeń. Klasyczne brzydkie kaczątko, które zmieniło się w łabędzia. Każda kapela oddałaby własny bas i perkusję za takiego wokalistę jak Freddie. Nikt nie mógł się z nim równać. Jedynie Bowie był blisko.*

David Stark, wydawca Songlink International, wielbiciel rocka i perkusista

Klasowy śpiew na dwa głosy przerodził się w trzy, kiedy Freddie i jego kumpel Tim Staffell zaczęli się spotykać z jeszcze jednym studentem, Nigelem Fosterem. Większość wolnego czasu spędzali, doskonaląc własne wersje *Hey, Joe*, *Purple Haze* i *The Wind Cries Mary*, okupujące pierwszą dziesiątkę brytyjskiej listy przebojów hity Jimiego Hendriksa. Te prywatne *jam sessions*, które organizowali rzekomo dla własnej przyjemności, wkrótce miały zwrócić uwagę przyszłych członków Queen.

Przez pewien czas Tim i Freddie byli nierozłączni. Tim i pozostali koledzy ze studiów mieli zaledwie blade pojęcie o pochodzeniu Freddiego oraz okolicznościach, które przywiodły rodzinę Bulsarów do Anglii. Ponieważ Freddie nigdy nie zapraszał przyjaciół do domu, ci odnosili wrażenie, że jego rodzice to ludzie wyniośli, niechętni integracji czy adaptacji. Krążyły nawet fałszywe plotki, że ledwo mówią po angielsku i chcą uchronić swoją kulturę, religię i język przed skażeniem. W rzeczywistości Freddie posługiwał się angielszczyzną od niemowlęctwa.

W tamtym czasie Tim grywał regularnie z na wpół profesjonalnym zespołem Smile. Freddie zaczął mu towarzyszyć na próbach. Gitarzystą Smile był Brian May, patykowaty student fizyki, matematyki i astronomii w szacownym Imperial College. Choć żaden z nich nie zdawał sobie z tego sprawy, on i Freddie byli w Feltham sąsiadami. Brian dorastał w skromnym domu, zupełnie jak Freddie, zaledwie parę ulic od domu państwa Bulsarów przy Gladstone Avenue. Pilny jednak grał na gitarze od szóstego roku życia. Kiedy jeszcze chodził do szkoły, z pomocą ojca, Harolda, zbudował Red Special – swoją własną gitarę wykonaną z pozostałości mahoniowej obudowy kominka i kawałków dębiny. Zamiast zwykłymi kostkami grał na niej sześciopensowymi monetami. Gitara objechała z nim później cały świat.

Podobnie jak Freddie Brian grywał w amatorskich kapelach razem ze szkolnymi kumplami.

- Żadna z tych grup tak naprawdę niczego nie osiągnęła, bo nie dawaliśmy prawdziwych koncertów ani nie traktowaliśmy tego zbyt poważnie – powiedział.

Pewnego wieczoru, podczas miejscowej potańcówki, Brian i jego kumple dostrzegli Tima Staffella, chłopaka z ich szkoły, który stał na końcu sali, śpiewając i grając na harmonijce. Zaproponowali mu, by dołączył do kapeli, i w rezultacie wystąpił jako wokalista na pierwszym oficjalnym koncercie formacji 1984 w kościele Świętej

Marii w Twickenham. A ponieważ rokowali spore nadzieje, w maju 1967 roku dostali angaż jako support Jimiego Hendriksa w Imperial College. Kilka miesięcy później wygrali konkurs w Croydon's Top Rank Club. Profesjonalna kariera wydawała się na wyciągnięcie ręki.

- 1984 to była czysto amatorska kapela, stworzona w szkole, chociaż pod koniec dostawaliśmy jakieś piętnaście funciaków lub coś koło tego - wspominał po latach Brian. - Tak naprawdę nigdy nie graliśmy niczego znaczącego w rozumieniu oryginalnego materiału, tylko dziwną mieszankę coverów, piosenek, których ludzie chcieli wtedy słuchać. W tamtym czasie pojawili się Stonesi. Graliśmy utwory ich i Yardbirds... Nigdy nie sprawiało mi to przyjemności. Odszedłem, bo chciałem stworzyć zespół, w którym sami pisalibyśmy własne kawałki.

Wyjaśnwszy kolegom, że musi skupić się na nauce, Brian wycofał się, a kapela rozpadła. Wciąż jednak utrzymywał kontakt z Timem Staffellem, studentem i kumplem Freddiego w Ealing College of Art. Nie mogąc znieść rozłąki z muzyką, wkrótce zaczęli omawiać szczegóły założenia kolejnego zespołu. Wspólnie z Chrisem Smithem, innym studentem z Ealing i niezłym klawiszowcem, postanowili spróbować szczęścia ponownie - tym razem ze Smithem na organach, wokalem i basem Staffella oraz Mayem na gitarze. Brakowało im tylko perkusisty.

Z jasnymi jak u niemowlaka włosami i niebieskimi oczami Roger Meddows-Taylor był niemal za ładny jak na faceta. Urodzony w Norfolk, lecz dorastający w Truro Taylor, bożyszczce fanek, zdążył wyrobić sobie nazwisko w Kornwalii jako perkusista formacji Johnny Quale and The Reaction. Kapela zajęła czwarte miejsce w lokalnym konkursie Rock and Rhythm Championship i zyskała w Kornwalii sporą grupę fanów. Po odejściu Quale'a wokalistą został Taylor. Skrócili nazwę do The Reaction, a ich popularność rosła. Ich muzyczny styl opierał się głównie na soulu, póki w 1967 roku nie odkryli The Jimi



Hendrix Experience. Tamtej jesieni Roger wyruszył do Londynu, by zacząć studia stomatologiczne w London Hospital Medical School. Niedługo potem został czwartym lokatorem kwatery przy Shepherd's Bush, gdzie mieszkał już jego przyjaciel z Truro, Les Brown. Les był od niego rok starszy i podobnie jak Brian May studiował w Imperial College. Pograżony w marzeniach o karierze gwiazdy rocka, daleko od starych kumpli z The Reaction - z którymi zagrał jeszcze parę doraźnych koncertów latem 1968 roku - Roger musiał znaleźć sobie nową kapelę. Pomimo reputacji Don Juana był nieśmiały, ujmujący i popularny wśród kolegów. W końcu, na początku jesienno-zimowego semestru, gdy Les Brown badał w jego imieniu temat, nadarzyła się okazja. Przeglądając tablicę ogłoszeń, która wisiała w Imperial College, w poszukiwaniu czegoś, co odpowiadałoby jego przyjacielowi, Les natknął się na widokówkę. Ktoś poszukiwał „perkusisty w stylu Gingera Bakera/Mitcha Mitchella”. To dowodzi, że Brian i Tim nie żartowali: Baker, zanim przeszedł do Cream Erica Claptona, przyciągnął grono fanów do Graham Bond Organisation, grupy muzyków, którzy nagrywali z The Who. Mitchell grał na perkusji w The Jimi Hendrix Experience.

Na widokówce znajdował się kontakt do Briana Maya. Roger natychmiast do niego zadzwonił. Brian przedstawił mu w zarysie swoje oczekiwania, i wkrótce razem z Timem wybrali się do mieszkania Rogera na *jam session* z gitarą akustyczną i bongosami, jako że cały zestaw perkusyjny Taylora gromadził kurz w domu w Kornwalii. Niedługo potem cała trójka zaczęła poważne próby w klubie jazzowym w Imperial College. Nie poprzestali na graniu rzetelnych coverów, Brian i Tim komponowali również własne utwory. Ta wczesna twórczość, nawiązująca bardziej do metalu niż minstreli, była pełna klasycznych odniesień i zdumiewająco szerokich zapożyczeń. Brzmienie Smile, czerpiące po części z elżbietańskich trubadurów, a po części z monster rocka, zawierało dramatyczne partie

na perkusji, natarczywe tony gitarowe, silne wokale i inteligentne harmonie, podczas gdy ich teksty bezczelnie sięgały po wszelkie inspiracje. Końcowy efekt był wielowarstwowy, pełen ozdobników i zapierający dech w piersiach. Bez wątplenia zapowiadał to, co dopiero miało nadejść.

To była prawdziwa geneza Queen.

- Mógłbym ci puścić nagrania Smile z tymi samymi ogólnymi strukturami jak te, które gramy dzisiaj - powiedział Brian w wywiadzie z 1977 roku.

Tak powstawała chemia Queen, tworzona przez bardzo różne osobowości, które genialnie się dopełniały. Brian, poza sceną cichy i łagodny, był wysoki, szczupły i kościsty. W aksamitnych spodniach wyglądał obezwładniająco smukło. Kiedy grał, niesforne czarne loki seksownie przesłaniały mu oczy. Tim był typem zwartym i gotowym do działania, a jego podarte dżinsy dowodziły, że nie do końca znał się na modzie. Podobnie zresztą jak Chris, jedyny członek zespołu, który studiował ukradkiem, żeby dostać dyplom z muzyki. Jasnowłose Roger, opisywany jako „perkusista zarówno z nazwy, jak i z natury” i „chodzący seks”, był zbyt ładny, by wyszło mu to na dobre. To właśnie jego energia, zapał, niezawodny optymizm oraz inteligentne poczucie humoru napędzały zespół. Szczęśliwe, beztroskie czasy, które dawały nadzieję na przyszłość.

- Często pytałyśmy się nawzajem z mamą Briana: „Czy im się uda?” - wspominała matka Freddiego, Jer.

W październiku 1968 roku Brian ukończył studia z wyróżnieniem, a dyplom odebrał z rąk Jej Królewskiej Mości Królowej Matki w Royal Albert Hall. Przyjął już stanowisko opiekuna naukowego w Imperial College, jednocześnie pisał doktorat na temat chmury pyłu kosmicznego. W przyszłości zamierzał zostać astronomem. Kierował nim ukryty motyw: praca w Imperial College ułatwiała mu koncertowanie i próby. Tim Staffell i Chris Smith wciąż uczyli się w Ealing. Tymczasem Roger

w połowie studiów zrezygnował z dalszej nauki. Zaledwie dwa dni przed tym, jak Brian odebrał dyplom, chłopcy grali jako support Pink Floyd w Imperial College. Występ ten został zapamiętany jako debiutancki koncert Smile, choć niektórzy się z tym spierają. Otwierali również występy T. Rex, Yes i Family. W lutym 1969 roku Smile poprosili Chrisa Smitha, żeby odszedł z zespołu - Smith zaprzeczył, jakoby sam zrezygnował, powołując się na rozbieżności w gustach muzycznych. Kilka wieczorów później pozostali członkowie znaleźli się pośród wykonawców na swoim pierwszym koncercie charytatywnym w Royal Albert Hall. Zbiórkę pieniędzy na rzecz National Council for the Unmarried Mother and Her Child, organizacji wspierającej samotne matki, prowadził didżej John Peel. Występując obok Joe Cockera i Free, Brian i Roger nawet nie przypuszczali, że trzydzieści pięć lat później będą współpracować z Paulem Rodgersem, wokalistą Free (który w tymczasie śpiewał również w Bad Company, The Firm i The Law) podczas dwóch światowych tras koncertowych, przy *The Cosmos Rocks* - pierwszym od blisko piętnastu lat albumie studyjnym Queen - a także przy jednym albumie i dwóch płytach DVD w wersji *live*.

Na początku 1969 roku Tim zjawiał się na próbie ze swoim kumplem z uczelni, Freddiem Bulsarą. Od razu przypadli sobie do gustu. W towarzystwie znakomitych i doświadczonych muzyków Freddie był w swoim żywiole. Co więcej, nie miał żadnych wątpliwości, że właśnie w ten sposób chce spędzić całe życie. Brian i Roger byli równie zachwyceni, zakochując się w wizerunku i ostrym, ironicznym poczuciu humoru Freddiego.

Les Brown, przyjaciel Rogera, wspominał:

- Nie wydaje mi się, żebym spotkał później kogokolwiek równie ekstrawaganckiego. Do wszystkiego podchodził z wielkim entuzjazmem. Któregoś razu dosłownie zaciągnął mnie do pokoju i kazał mi słuchać płyty soulowej, która bardzo mu się podobała. W tamtych czasach nikt się nie

przyznawał, że lubi soul. Wszyscy słuchali rocka. Chyba okazywał w ten sposób swój katolicki gust.

Wkrótce koncerty Smile stały się nieodłączną częścią życia Freddiego, który nabrał zwyczaju komentowania, jak powinni się stylizować, i wygłaszania uwag na temat ich występów. Zaczął im nawet tłumaczyć, jak powinni siedzieć, stać, chodzić i mówić.

- Podsuwał te sugestie w taki sposób, że nie można ich było odrzucić - wspominał Brian. - W tamtym czasie w ogóle nie śpiewał, a my nawet nie mieliśmy pojęcia, że to potrafi. Sądziliśmy, że był zwykłym teatralnym muzykiem rockowym.



*Freddie relaksuje się w mieszkaniu przy Shepherd's Bush, 1969 rok*

Kiedy latem 1969 roku Freddie ukończył Ealing College, nie miał na oku żadnej pełnoetatowej pracy. Nie zamierzał jej zresztą szukać. Razem z Rogerem Taylorem (który zrezygnował z pierwszego członu nazwiska - Meddows) prowadził za 10 funtów tygodniowo mały stragan Kasbah w trzykondygnacyjnej hali targowej w Kensington, w alejce z antykami znanej jako „Aleja Śmierci”. Większość tamtejszych sklepikarzy stanowili ekstrawaganczy bezrobotni artyści i pisarze. Do ich klientów należeli Michael Caine, Julie Christie i Norman Wisdom. Na początku sprzedawali prace znajomych z Ealing College, w tym także Freddiego - głównie szkice z zakresu mody i rysunki przedstawiające Jimiego Hendriksa. Sprzedali nawet rozprawę Freddiego o Hendriksie. Choć dziś bez wątplenia ta twórczość byłaby warta fortunę, wówczas nie przedstawiała sobą zbyt dużej wartości. Musieli zarabiać więcej. Ponieważ zaś sami lubili się stroić i nie wstydzili się tego, postanowili wziąć się za sprzedaż odzieży. Ich towarem stały się dandysowate akcesoria: od egzotycznych szali i peleryn, aż po marynarki i futrzane etole, a wszystko to nieco lepszej jakości niż tandeta w dziwkarskim stylu i szmaty z wyprzedaży, opychane po bezwstydnie zawyżonych cenach. Zaczęli nawet sprzedawać odzież ze starych tkanin oraz ścinek i zostali ekspertami w zdobywaniu taniego towaru. Nabywszy za 50 funtów pudło zżartych przez mole futrzanych płaszczy od handlarza starzyzną z Battersea, sprzedawali je po 8 funtów za sztukę.

„Roger i ja wszędzie szczebioczemy i zgrywamy pedałów, przez co ostatnio nazywają nas parą ciot”, pisał Freddie w tamtym czasie do znajomej ze studiów, Celine Daley.

Tim Staffell wspominał później, że Roger i Freddie napawali się swoim narcystycznym wizerunkiem Del Boya<sup>[13]</sup> z targowiska.

- Ekstrawaganckie zachowanie naprawdę sprawiało im przyjemność - powiedział. - Freddie rozwijał ostentacyjnie kiczowatą stronę swojej natury, uważał ją za zabawną część osobowości. Nic nie sugerowało, że jest gejem. Nigdy nie obnosił się ze swoją seksualnością.

Freddie, przyjęty w poczet członków Smile, zaczął jeździć z nimi w trasę.

W kwietniu 1969 roku zespół zagrał w londyńskim Revolution Club, gdzie poznali szefa europejskiego oddziału wytwórni płytowej Mercury Records, świętej pamięci Lou Reiznera. Lou załatwił Davidowi Bowie kontrakt w Ameryce, potem zaś zdobył rozgłos jako producent dwóch pierwszych solowych albumów Roda Stewarta. Wyprodukował również orkiestrową wersję opery rockowej The Who *Tommy* oraz *Journey to the Centre of the Earth* Ricka Wakemana. Urodzony w Chicago były piosenkarz zaproponował Smile kontrakt na singiel wyłącznie na amerykański rynek, który z miejsca podpisali. Niewiele się działo aż do czerwca, kiedy wytwórnia zarezerwowała dla Smile studio nagraniowe Trident Studios w Soho.

Taki początek dobrze wróżył na przyszłość. Trident Studios, mieszczące się przy 17 St Anne's Court, uliczce w sercu londyńskiego West Endu, stanowiło owoc wyobraźni Normana Sheffilda, byłego perkusisty grającej w latach sześćdziesiątych kapeli The Hunters, oraz jego brata Barry'ego. Ich „opanowany stosunek do inżynierii dźwięku” i najnowocześniejszy sprzęt przyciągały wielu artystów z najwyższej półki. W innych studiach nagraniowych, na przykład w należących do EMI Abbey Road Studios, inżynierowie nadal przystępowali do swojej pracy w białych fartuchach. Inną, niemałą atrakcją Trident Studios był już legendarny fortepian Bechsteina, na którym Rick Wakeman grał czule przez wiele sesji - w jego klawiszach wciąż pobrzmiwały echa akordów *Hey Jude* Paula McCartneya.

Oferując najbardziej zaawansowaną technologię, jaka była wtedy dostępna, w marcu poprzedniego roku studio wypuściło pierwszy przebój, *My Name Is Jack* Manfreda Manna. Wśród niezliczonych uwielbianych albumów nagranych w Trident Studios znalazł się między innymi *Transformer* Lou Reeda, wyprodukowany przez Davida Bowie, który nagrywał tam własne dzieła, w tym *The Rise and Fall of Ziggy Stardust*. W tamtym czasie sesyjnym klawiszowcem, zatrudnionym przez studio, był Rick Wakeman. Zagrał w takich piosenkach Bowiego jak *Changes* czy *Life on Mars*. Trident Studios istnieje do dziś i w swoim czasie gościło wielu szanowanych artystów, między innymi Jamesa Taylora i Harry'ego Nilssona. Zyskało legendarny status po tym, jak w lipcu 1968 roku Beatlesi nagrali w nim *Hey Jude* - trwającą ponad siedem minut piosenkę, która była wówczas najdłuższym singlem na szczycie brytyjskiej listy przebojów. Utwory z *The White Album*<sup>[14]</sup> i *Abbey Road* również powstały w Trident Studios.

Co prawda Smile nagrali przy St Anne's Court kilka piosenek, nie ustalono jednak daty ich wydania. Umowa z agencją talentów Rondo zobowiązywała ich do koncertowania przez całe lato. W sierpniu tego roku Mercury Records wypuściło w Stanach Zjednoczonych ich singiel *Earth/Step on Me*, który z powodu braku promocji przeszedł jednak bez echa. Wytwórnia, nie chcąc marnować kapeli z potencjałem i mając świadomość, że Brian i Tim zgromadzili wspólnie wiele materiału, zaczęła się zastanawiać nad nagraniem albumu lub minialbumu. Zespół trafił do De Lane Lea Studios przy Engineers Way w Wembley - nie zaś do filii De Lane Lea przy 129 Kingsway, jak twierdzą niektórzy. Studio nagraniowe De Lane Lea powstało w 1947 roku i zasłynęło w latach sześćdziesiątych za sprawą albumów Beatlesów, Stonesów, The Who, Pink Floyd, Electric Light Orchestra oraz The

Jimi Hendrix Experience. Razem z, nieżyjącym już, producentem Fritzem Freyerem Smile pracowali nad dwiema własnymi piosenkami i jednym coverem. Minialbum nie ukazał się jednak, a nagrania trafiły do szuflady. Światło dzienne ujrzały dopiero piętnaście lat później, gdy członkowie Queen cieszyli się statusem supergwiazd. Minialbum ostatecznie wyszedł w Japonii, gdzie fani nigdy nie mają dość ciekawostek.

Pod koniec roku zespół był przybity i gotowy się rozwiązać. Tak właśnie zrobił Tim Staffell: zmęczony żmudną pracą i niedostatkami życia w trasie, opuścił Smile, zasłaniając się wymówką, że nie jest to zespół dla niego.

- Zaczynałem być raczej uprzedzony do muzyki, którą graliśmy - powiedział później. - Wtedy usłyszałem Jamesa Browna i pomyślałem sobie: „Boże!”... Muzycznie poszedłem w całkowicie innym kierunku.

Tim dołączył do Colina Petersena, byłego perkusisty Bee Gees, i zespołu Humpty Bong. Jeden singiel, jeden występ w telewizji i zespół przeszedł do historii. W końcu Tim poprzestał na karierze w branży filmowej, w dziedzinie efektów specjalnych. Jako twórca modeli pociągów do serialu telewizyjnego *Thomas the Tank Engine* na krótki czas znalazł się w centrum zainteresowania.

Wytwórnia uznała, że Smile bez wokalisty nie jest już zespołem. Roger i Brian zostali zwolnieni ze swoich kontraktów. Choć przygnębieni, nie zamierzali się poddawać. Okazja do kolejnej sesji nagraniowej nadarzyła się, kiedy Smile - za pośrednictwem przyjaciółki, którą mogła być Christine Mullen, późniejsza pierwsza żona Briana Maya - poznali eksdidżeja z Blackburn, Terry'ego Yearдона. Yeardon był inżynierem utrzymania ruchu w Pye Studios w londyńskim Marble Arch, studiu znanym z wypromowania Petuli Clark i twórczości małżeńskiego duetu kompozytorskiego Tony'ego Hacha i Jackie Trent, głównie w postaci melodii przewodnich dla telewizji (*Crossroads, Neighbours*). Pye wyprodukowało *Hey Joe*



Hendriksa oraz *Wild Thing* Troggsów w 1966 roku i gościło The Kinks, Richarda Harrisa i Trini Lopez. Szczyciło się również zatrudnieniem Jimmy'ego Page'a i Johna Paula Jonesa jako muzyków sesyjnych, zanim wspólnie z Robertem Plantem i Johnem Bonhamem założyli Led Zeppelin.

Yeardon, niedoszły producent, załatwił Smile nocną sesję w Pye. Nagrali *Polar Bear* i *Step on Me*, zyskując profesjonalny materiał, który mogli zanieść do dowolnej wytwórni płytowej. Nie żeby Yeardon spodziewał się jeszcze zobaczyć na twarzach chłopaków ze Smile choćby cień uśmiechu.

Brian, Roger, Tim i paru muzyków z IbeX, formacji z północy, zajmowali teraz mieszkanie z jedną sypialnią w bliźniaku zwanym Karmel przy Ferry Road w Barnes. Siostry Helen i Pat McConnell obejrzały Smile w miejscowym pubie i zakochały się w kapeli. Tamto ciasne, zawilgocone mieszkanie zostało zapamiętane z pewną krótkowzrocznością jako „cyganeryjne”. W rzeczywistości współlokatorzy żyli w nędzy, a większość z nich spała na brudnych materacach na podłodze. Jakby tego było mało, właśnie dołączył do nich kolejny lokator: Freddie Bulsara. Co jego zdaniem powinni byli zrobić?

## Rozdział 6

# Wokalista

*Zapytałem Briana i Rogera: „Dlaczego marnujecie na to czas? Powinniście nagrywać bardziej oryginalny materiał. Powinniście tworzyć muzykę z większym rozmachem. Gdybym był waszym wokalistą, właśnie to bym robił!”.*

Freddie Mercury

*Grasz lepiej, kiedy trochę szarżujesz. Jesteś inny niż facet, który wychodzi na scenę. Sęk w tym, by mieć pewność, że przestaniesz nim być, kiedy z niej zejdziesz. Bowie doprowadził to do perfekcji. Praktycznie co tydzień stawał się innym człowiekiem. Freddie po prostu brał byka za rogi. Jestem gotów się założyć, że nigdy nie zaplanował ani jednego ruchu. Jego widowisko, wszystko, co robił, było instynktowne. To sztuka sama w sobie. Nie mam pojęcia, czym by się zajmował, gdyby nie występował.*

Rick Wakeman

Ponieważ Freddie wciąż miał obsesję na punkcie Jimiego Hendriksa, postanowił, zainspirowany grą Briana, zdobyć drugą gitarę, do której Tim dorobił nowe progi i dopasował ją do jego potrzeb. Potem kupił kilka samouczków i zaczął uczyć się gry. Musiał wiedzieć, że nigdy nie zostanie mistrzem wiosła. Nie było to jednak jego celem. Nagle zaczęło mu zależeć na pisaniu i komponowaniu oryginalnych utworów i zwyczajnie musiał na tyle poznać gitarę, by rozgryźć akordy. Te początkowe kompozycyjne próby były takie jak wszystko inne: surowe, niezdarne,

nieznośnie osobiste. Wkrótce Freddie miał się nauczyć bardziej abstrakcyjnego podejścia, zagłębiania pod powierzchnię emocji i wyjścia ponad własne doświadczenia, eksperymentowania z uniwersalnymi motywami.

Do mieszkających przy Ferry Road chłopaków z Ibez dołączyli pozostali członkowie zespołu z Liverpoolu, którzy ścigali do Londynu w poszukiwaniu kontraktu. Kierownikiem trasy gitarzysta Mike'a Bersina, basisty Johna „Tuppa” Taylora i perkusisty Micka „Miffera” Smitha był Ken Testi. Od czasu do czasu dołączał do nich Geoff Higgins, który przejmował bas, by Tupp mógł grać na flecie. Ibez wykonywali covery przebojów Roda Stewarta, Beatlesów i Yes, zwykle rozpoczynając od *Jailhouse Rock*, megahitu Elvise Presleya sprzed około dwunastu lat. Choć robili wrażenie, uwadze Freddiego nie umknął fakt, że brakowało im przyzwoitego wokalu. Podobnie jak w przypadku Smile zaczął przychodzić na ich próby, koncerty i czasami śpiewał z Mikiem.

- Dawał takie same występy, jak u szczytu swojej kariery - wspominał Ken Testi. - Był gwiazdą, zanim jeszcze nią został, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Kroczył po scenie dumnie jak paw.

Kapela nadal mieściła się w Liverpoolu, gdzie Freddie na krótki czas został lokatorem rodziny Geoffa Higginsa. Higginsowie mieszkali nad pubem Dovetale Towers przy Penny Lane, ulicy, której Beatlesi zapewnili nieśmiertelną sławę. Freddie spał na podłodze w pokoju Geoffa, ale nigdy nie narzekał. Zdecydowany przynieść chlubę swoim rodzicom, był idealnym gościem. Matka Geoffa, Ruth, ponoć za nim przepadała.

- Moja matka go lubiła, bo odpowiednio się wyrażał i pochodził z południa - Geoff wyjaśnił to Markowi Hodgkinsonowi, autorowi książki *Queen: The Early Years*. - Freddie był dla niej bardzo, bardzo uprzejmy.

Chociaż w 1969 roku zespół występował w całej Wielkiej Brytanii tak często, jak tylko mógł, na horyzoncie nie majaczył żaden kontrakt płytowy. W końcu członkowie zaczęli rozmawiać o rozstaniu. Miffer miał kłopoty rodzinne i potrzebował regularnej pensji. Jego miejsce przy perkusji zajął Richard Thompson, przyjaciel kapeli. W nowym składzie dali tylko jeden katastrofalny koncert. Zawiodło dosłownie wszystko, co mogło - oświetlenie, dźwięk i sprzęt. Nawet mikrofon nie spełniał ich oczekiwań. Za każdym razem, gdy Freddie występował jako wokalista, kręcił mikrofonem niczym mażoretkową pałeczką. Ten egzemplarz miał jednak nieporęczny, ciężki statyw. W pewnym momencie Freddie podniósł mikrofon i próbował nim zakręcić, ale dolna część odpadła. Nie tracąc głowy, Freddie śpiewał dalej tylko z górną częścią. Tak narodził się jego znak firmowy.

Nie dało się już zignorować dziwnych sprzeczności między Freddiem wykonawcą a Fredem Bulsarą osobą prywatną. Nawet na prowizorycznej scenie, choć nigdy nie został oficjalnym wokalistą zespołu, Freddie okazywał nadzwyczajną pewność siebie, a każdy jego gest i ruch był pełen emocji. Poza sceną chował się po kuchniach i spiżarniach, garderobach pubów i klubów, gdzie wbijał się skromnie w tak mocno przylegające stroje, że ledwo mógł w nich oddychać, nie wspominając już o siedzeniu. Stosunkowo niski, drobny i dość daleki od konwencjonalnych wzorców męskiej urody Freddie wiedział, że wyróżnia się ciemnym kolorem skóry. Jego wygląd czasami go zawstydział. Ukrywał ciemne oczy za miękko opadającą grzywką, a kiedy chciał się uśmiechnąć, przesłaniał usta dłonią. Wrodzona nieśmiałość brała nad nim górę, gdy po koncercie próbował gawędzić z fanami. Nigdy nie wiedział, co powiedzieć. Co gorsza, choć posługiwał się piękną angielszczyzną, mówił cicho i niepewnie. W dodatku odrobinę seplenił, zapewne z powodu zębów, które boleśnie go krępowwały. Jedynie

w towarzystwie przyjaciół, gdy czuł się odprężony, odzywało się jego poczucie humoru i prawdziwa osobowość, a Freddie pozwalał sobie na swobodny śmiech. Przez pozostały czas, poza sceną, z całych sił próbował stopić się z otoczeniem. Nie mając jeszcze zwyczaju upijać się na umór ani otumaniać się narkotykami – nie było go na to stać, dlatego poprzestawał na „babskim” porto z cytryną w pubach – Freddie nigdy nie opanował sztuki stwarzania wrażenia pewnego siebie w otoczeniu obcych. Podczas gdy na własnych imprezach był radosny i nieskrępowany, na cudzych czuł się jak ryba pozbawiona wody.

Miał już dosyć ciągłych wypraw do Liverpoolu i z powrotem, problemów, jak związać koniec z końcem, i waletowania na cudzej podłodze w mieście, w którym akurat koncertował zespół. Tuż po dwudziestych trzecich urodzinach porzucił Ibex, wrócił na dobre do Londynu razem z Mikiem Bersinem i wziął się za przeglądanie ogłoszeń.

Ken Testi stwierdził później:

– Według mnie Ibex wypełnił pewną lukę. Freddie chciał śpiewać w zespole, a Ibex wiele dzięki niemu zyskał. Ten związek przyniósł im obustronne korzyści. Wszyscy wykazali się wielką naiwnością... Dla Freddiego to było jak pierwszy używany samochód, coś, co możesz sobie sprawić, gdy tylko uda ci się co nieco uciułać. W końcu jednak zaczynasz myśleć o czymś lepszym.

Nikt nie winił Freddiego za to, że odszedł z zespołu. I tak za nim przepadali, wzruszała ich jego ambicja, żywiołowość i radosny apetyt na życie. Ken Testi skomentował to w imieniu zespołu:

– Znajomość z Freddiem wiele ich nauczyła. Bardzo się angażował we wszystko, co robił. Cechowała go wytrwałość, koncentracja na jednym celu, pragnienie doskonałości.

Bersin i Taylor wrócili do Liverpoolu. Thompson przepadł na londyńskiej scenie muzycznej. Pozostali cisnęli się dalej w zatłoczonym mieszkaniu w zachodnim Londynie. Freddie bez zespołu, a Roger i Brian bez wokalisty. Dlaczego po prostu go nie złowili?

- Członkowie Smile nie traktowali Freddiego zbyt poważnie - przyznał później ich przyjaciel, Chris Dummett. - Żartowali sobie z niego, robili jaja... W dość sympatyczny sposób, jak sędzę.

Najciemniej jest zawsze pod latarnią.

Jakby nie miał jeszcze dość zmartwień, Freddie zaczął się zmagać ze swoją orientacją seksualną. Chociaż spotykał się z dziewczynami, głównie z pewną młodą kobietą ze studiów, Rosemary Pearson, niektórzy wspominają, że był niezmiernie zainteresowany poznawaniem gejów. Nigdy jednak nie miał dość odwagi, by zrobić krok w tym kierunku.

Jeden z dawnych kolegów artystów ujął to następująco:

- Myślał, że lubi kobiety, ale uświadomienie sobie, że jest gejem, trochę mu zajęło... Nie sędzę, by potrafił zmierzyć się z uczuciem, które z tego powodu w nim narastało. Bez wątpienia był strasznie zainteresowany homoseksualizmem i równie mocno nim przerażony. Chyba był wrażliwy i bał się zaakceptować swoją orientację.

Inny przyjaciel wspomina, że Freddie regularnie odwiedzał grupę znajomych gejów, którzy dzielili mieszkanie w Barnes. Ukrywał te wizyty przed własnymi współlokatorami, ponieważ nie bardzo potrafił im wyjaśnić coś, czego sam nie pojmował. Nieustannie zamartwiając się wrażeniem, jakie sprawia, Freddie od czasu do czasu zamykał się w swojej skorupie i w pewnym stopniu stał się odludkiem. Mniej więcej w tym samym czasie zaczął wykazywać mniej przyciągające cechy charakteru. Potrafił być bardzo egocentryczny i egoistyczny, jak również

kapryśny i nadąsany, zupełnie jakby przytłaczająca go wewnętrzna szamotanina wysysała z niego to, co najlepsze.

Wszyscy mamy swoją ciemną stronę. Freddie był zasadniczo życzliwym, szczodrym i szanującym cudze uczucia człowiekiem. Choć sam nie chciał wykorzystywać innych do osiągnięcia własnych celów, wydawał się dość szczęśliwy, gdy pozwalał na to otoczeniu i nie oczekiwał niczego w zamian. Być może jego największą wadą była próżność. Potrafił w nieskończoność bawić się swoimi włosami i strojami, miał obsesję na punkcie wyglądu. Ciągłe deklaracje, że zostanie legendą, czasami działały ludziom na nerwy.

Troska o zachowanie pozorów wcale mu jednak nie pomagała: żyjąc z dnia na dzień, podobnie jak większość jego znajomych, Freddie nie chciał korzystać z transportu publicznego. Zamiast tego wolał wydać ostatnie pieniądze na taksówkę do domu, choć powinien był za nie kupić jedzenie. Przyjaciele zaczęli w niego wątpić. Co się stanie z Freddie, zastanawiali się, jeśli nie powie mu się w branży muzycznej? Wiedzieli, że nigdy nie miał pełnoetatowej pracy, chociaż był wykwalifikowanym grafikiem.

Nic dziwnego, że czuł się niepewnie, skoro w każdym aspekcie jego życia brakowało stabilizacji i ukierunkowania. Freddie zdawał sobie sprawę z własnej odmienności. Wiedział również, że musi płacić rachunki. W każdej chwili mógł wrócić do swojego pokoju w domu rodziców w Feltham, nie chciał jednak z podkulonym ogonem przyznać się do porażki. Miał świadomość, że rodzina nie zdołałaby zrozumieć życia, jakie teraz wiódł, dlatego nigdy nie zapraszał przyjaciół, by poznali jego najbliższych.

- Jesteś rodzicem, więc się martwisz, ale musisz pozwolić dziecku żyć po swojemu - powiedziała jego matka, Jer.

Mniej więcej raz w tygodniu Freddie jechał do rodziców na obiad. Matka zawsze szykowała jego ulubiony *dhansak*:

wyśmienitą, lecz wymagającą sporo pracy indyjską potrawę, która cieszyła się popularnością wśród parsów i łączyła smaki Persji i Gudżaratu<sup>[15]</sup>. W jej skład wchodziły warzywa, w tym soczewica oraz czosnek, imbir i inne przyprawy, mięso - zazwyczaj baranina - oraz dynia lub kalebasa. Zważywszy na to, że Freddie klepał w tamtym czasie biedę, prawdopodobnie był to jedyny solidny posiłek, jaki jadł przez cały tydzień.

Pierwsze chłodne tygodnie 1970 roku zastały go w trakcie wędrowki z portfolio po londyńskich agencjach. Austin Knight z Chancery Lane w Holborn zgodził się go reprezentować i w jego imieniu szukać pracy. Lecz Freddie się niecierpliwił, nie potrafił zwyczajnie siedzieć w miejscu i czekać na telefon. Postanowił pracować na własny rachunek, zaczął więc zamieszczać ogłoszenia. Spędzał jednak tyle czasu na próbach i koncertach Smile, że nie mógł się skupić ani włożyć serca w poszukiwanie stałej pracy. Zaprzętała go tylko jedna myśl: musiał zebrać własny zespół. Ściągnął dawnego perkusistę Ibex, Richarda Thompsona, jak również Mike'a Bersina i Tuppa Taylora, Freddie wskrzesił Ibex pod nazwą Wreckage. Na ich pierwszy koncert w Ealing College of Art przyszli zakłopotany Brian May, Roger Taylor, jego współlokatorzy i głośno dodająca im odwagi reprezentacja Kensington. Brian i Roger, którzy w ogóle nie rozumieli tego ostentacyjnego kiczu, stwierdzili z zaskoczeniem, że Freddie jako wokalista naprawdę „ma w sobie to coś”. Pod względem muzycznym kapela nie budziła zachwytu, lecz sam Freddie przykuwał wzrok. Koncert okazał się sukcesem, a Wreckage mieli zagrać w Imperial College, potem zaś w licznych klubach rugby.

Freddie wciąż był sfrustrowany. Wiedział, że ma wszystko, czego potrzeba, ale czuł, że coś jest nie w porządku. Nie potrafił powiedzieć, czy oczekuje natychmiastowego kontraktu na trzy albumy z największą



wytwórnią płytową, czy po prostu nie odpowiada mu muzyczna stylistyka i ambicje Wreckage. Wkrótce opuścił zespół i zdecydowany zaczekać, aż Brianowi i Rogerowi wreszcie coś zaświta w głowach, zgłosił się na przesłuchanie do kapeli Sour Milk Sea.

*Sour Milk Sea* to piosenka napisana przez George'a Harrisona podczas sesji nagraniowych do tak zwanego *White Album* Beatlesów. Nagrana przez Jackiego Lomaksa z Apple Records, ukazała się jako singiel w 1968 roku i była jednym z nielicznych utworów, w których zagrali trzej beatlesi. George Harrison i Eric Clapton na gitarach, Paul McCartney na basie, Ringo Star na perkusji i Nicky Hopkins na fortepianie zrobili takie wrażenie na Chrisie Dummezie (później zmienił nazwisko na Chesney) i Jeremym „Rubber” Gallopie, kumplach ze szkoły St Edward's w Oksfordzie, że ci przemianowali swój klubowy zespół z Tomato City właśnie na Sour Milk Sea. Do składu należał również perkusista Robert Tyrrell, który w Charterhouse School grał z Mikiem Rutherfordem i Anthonym Phillipsem w grupie The Anon, poprzednicze Genesis. Sour Milk Sea zadebiutowali w Guildford City Hall, gdzie otworzyli koncert Deep Purple, Taste, Blodwyn Pig i Junior's Eyes - ta ostatnia kapela zyskała wieczny powód do dumy, akompaniując Davidowi Bowie w 1969 roku. Jej założyciel i gitarzysta Mick Wayne dołączył do Ricka Wakemana i wziął gościnny udział w nagraniu przełomowego albumu Bowiego, *Space Oddity*. W czerwcu 1969 roku Sour Milk Sea zaczęli grać profesjonalnie, z pełną świadomością, że brakuje im *je ne sais quoi*. Zjawilo się ono w postaci Freddiego Bulsary, który przyszedł do krypty kościoła w Dorking na przesłuchanie jako kandydat na wokalistę. Z falującymi czarnymi włosami, w dandysowatych ciuchach z aksamitu emanował nonszalancją i stylem. Był kilka lat starszy od chłopaków

z Sour Milk Boys, co było widać. Przedstawił się jako „Fred Bull”.

- Miał olbrzymią charyzmę i właśnie dlatego go wybraliśmy - wspominał Jeremy Gallop, który później został nauczycielem gry na gitarze; zmarł na raka trzustki w styczniu 2006 roku - choć, prawdę mówiąc, tamtego dnia wybór był trudny. Zwykle na przesłuchaniach zjawia się czterech czy pięciu kompletnie tandetnych gości, ale Fred miał dwoje silnych konkurentów. Pierwszym był czarny facet z boskim głosem, ale mniej atrakcyjny niż Fred, drugim - piosenkarka folkowa Bridget St John, znana potem jako „żeński John Martyn”.

Freddie dołączył do zespołu i zaczął działać. Wkrótce Sour Milk Sea dali ekskluzywny koncert w sali balowej hotelu Randolph w Oksfordzie, na który przyszła publiczność z wyższych sfer.

- Nagłośnienie nie było najlepsze - przyznał Gallop. -

Freddie miał tych ludzi w garści dzięki zwykłej prowokującej agresji i atrakcyjnemu wyglądowi. Był bardzo pretensjonalny, afektowany i dość próżny. Pamiętam, jak kiedyś przyszedł do mnie, stanął przed lustrem i zaczął oglądać swoje włosy. Powiedział: „Świetnie dziś wyglądam, prawda, Rubber?”. Miałem wtedy tylko osiemnaście lat i nie uważałem, żeby to było zabawne.

Drugi znaczący koncert Sour Milk Sea z Freddiem jako wokalistą zagrali w marcu 1970 roku podczas zbiórki na rzecz schroniska dla bezdomnych w Highfield Parish Hall w Headington w hrabstwie Oksford. Zespół udzielił wywiadu „Oxford Mail”, które wydrukowało również tekst piosenki Freddiego *Lover* z nieśmiertelnym początkiem: „You never had it so good/the yoghurt-pushers are here”. Lecz po tak obiecującym początku Chesney i Gallop, starzy kumple ze szkoły, pokłócili się.

- Freddie bardzo szybko chciał nas zmienić - wyjaśnił Gallop. - Na scenie stawał się zupełnie innym człowiekiem. Był równie elektryzujący co w późniejszym życiu. Poza

sceną zachowywał się całkiem spokojnie. Zawsze będę go wspominał jako dziwnie cichego i dobrze wychowanego. Moja mama go lubiła. Zakończyłem działalność zespołu w dość karygodny sposób.

Jeremy Gallop był przyrodnim wujkiem Jonathana Morrisha. Jonathan, były dyrektor studia CBS Records i Sony, a przez dwadzieścia osiem lat także rzecznik prasowy i powiernik Michaela Jacksona, pamięta, że jako nastolatek poszedł na koncert w Oksfordzie.

- Freddie na scenie był dla mnie jak Martin Peters - mówił mi Jonathan, nawiązując do legendy mistrzostw świata w piłce nożnej w 1966 roku, o którym selekcjoner sir Alf Ramsey powiedział, że „wyprzedza swoje czasy o dziesięć lat”. Peters był tak wszechstronnym zawodnikiem, że mógł grać na każdej pozycji w West Ham United, w tym również na bramce.

- W czasach, kiedy członkowie kapel wychodzili na scenę w tym, co mieli na sobie przez cały dzień, Freddie był ekstrawaganckim showmanem - mówił Jonathan. - Już wtedy pojmował, że show ma być prosty i bezpośredni, tak by każdy go rozumiał. Ludziom, którzy nie widzieli tego na własne oczy, trudno pojąć, w jaki sposób powstawał rock. Człowiek wchodził w to, żeby być muzykiem. Żeby „muzykować”. Życ muzyką. Intuicja podsuwała Freddiemu złotą zasadę przemysłu rozrywkowego: zrób show. Właśnie to Epstein zrobił z Beatlesami. W Star Club w Hamburgu niemieccy organizatorzy krzyczyli do nich: „Mach Schau!”. Innymi słowy, nie chodziło tylko o śpiew. Chodziło również o marynarki bez klap, fryzury, nieśmiałe uśmiechy. Beatlesi spędzili potem osiem lat, buntując się przeciwko temu wszystkiemu, jak gdyby usiłowali dowieść, że tak naprawdę liczy się tylko muzyka. Freddie, nawet na początku swojej kariery, wiedział, że jest całkiem odwrotnie.

Jonathan przyjaźnił się z Michaeliem Jacksonem aż do końca jego życia. Uważa, że każdy, kto miał z nimi

do czynienia, dobrze wie, skąd się wzięła więź łącząca Freddiego i Michaela.

- Żaden z nich nie był tylko muzykiem czy piosenkarzem. To, co Freddie zrobił w *Bohemian Rhapsody*, Michael powtórzył w *Thrillerze*. Wielcy artyści po prostu to rozumieją. Instynktownie czują, jak być multimedialnymi. Geniusz Freddiego polegał na zrozumieniu, że nie chodzi o same piosenki, do których pisał słowa, o melodie do nich ani o to, jak razem brzmią, lecz o sposób, w jaki je przekazywał, tak by publiczność je pojęła i przyswoiła. O to, jak się nagrywa, występuje na scenie, stylizuje teledysk, ubiera. Możecie sobie wyobrazić podczas kręcenia: „Chłopaki! Makijaż, ciuchy, akcja!”. Cholera, kto się wtedy malował? Na pewno nie faceci. W latach siedemdziesiątych faceta, który używał kremu nawilżającego, nazywano ciotą - kluczowe słowo tamtych czasów. Po tych wszystkich latach rynek kosmetyków dla mężczyzn jest wart miliardy. Jak już wspominałem, Freddie wyprzedzał swoje czasy. Nawet w latach siedemdziesiątych mówił: „Chłopaki, właśnie na tym polega show-biznes!”.

Przez cały okres istnienia Queen powszechnie panował błędny pogląd na temat alternatywnych nazw, które członkowie zespołu brali pod uwagę.

„Brian i Roger czytali w dzieciństwie tę samą trylogię autorstwa C.S. Lewisa - *Out of the Silent Planet*”<sup>[16]</sup> - z której pochodzi fraza «Grand Dance», wyjaśnili Jacky Gunn i Jim Jenkins w „oficjalnej biografii” Queen *As It Began* (1992). Ta informacja była powtarzana w książkach poświęconych Queen i Freddiemu Mercury’emu tyle razy, że stała się „faktem” - pojawiła się nawet na oficjalnej stronie internetowej Queen, gdzie w tekście z 7 marca 2011 roku ekspert Rhys Thomas charakteryzuje The Grand Dance, The Rich Kids (tę nazwę wybrał Glen Matlock z Sex Pistols dla nowej kapeli) i Build Your Own Boat jako inne

nazwy, które Queen brali pod uwagę. W wywiadzie dla „Q” z marca 2011 roku Brian powiedział:

- Mieliśmy listę proponowanych nazw, a „Queen” podsunął Freddie. Wśród pozostałych było Grand Dance, ale ta nazwa nie wydaje mi się zbyt dobra...

W rzeczywistości wzmianka jest błędna. *Out of the Silent Planet* to pierwsza część dzieła z gatunku science fiction nazywanego „trylogią międzyplanetarną”, „trylogią kosmiczną” albo „trylogią Ransoma”. Pozostałe dwa tomy całości, zainspirowanej powieścią Davida Lindsaya *A Voyage to Arcturus* (1920), to *Perelandra*<sup>[17]</sup> i *That Hideous Strength*<sup>[18]</sup>. W drugiej powieści Lewis ukazał nowy Eden na planecie Wenus, alternatywnego Adama i Ewę oraz nowego węża, który ich kusił. Autor rozważa, co mogłoby się stać, gdyby Ewa nie uległa pokusie i nie przyczyniła się do upadku człowieka. To właśnie w *Perelandrze* znajduje się poszukiwane przez nas odwołanie: opis mistycznego doświadczenia, wejrzenia prosto w „great dance” - nie „grand”, czyli wspaniały taniec wielowymiarowego, czasoprzestrzennego, świadomego continuum, jakim jest uniwersum czasu: „Tak właśnie jest z Wielkim Tańcem. Niech twoje oczy spoczną na jednym tylko ruchu, a on poprowadzi cię przez wszystkie wzory i wyda ci się ruchem najważniejszym, rządzącym wszystkimi innymi. Lecz to złudzenie będzie prawdą. (...) Wydaje się, że nie ma planu, bo wszystko jest planem. Wydaje się, że nie ma centrum, bo wszystko jest centrum. Chwała Maleldilowi!”<sup>[19]</sup>.

Freddie spierał się jednak, że jednowyrazowe nazwy lepiej się sprawdzają. O niebo lepiej zapadają w pamięć, mają większą siłę przebicia. Podsunął własną ekstrawagancką propozycję: Queen. Pozostali opierali się, parskając z pogardą, głównie z powodu homoseksualnych konotacji tego słowa. W tamtych czasach rzadko słyszano słowo „gej”. Prawdopodobnie powstało ono na przekór

wcześniejszemu pogardliwemu „pedał”. Choć Freddie nie ujawnił swojej orientacji – nigdy nie zrobił tego oficjalnie – był przyzwyczajony do określenia „stara ciota, stara królowa”<sup>[20]</sup>. Podobało mu się. Rozkoszował się jego androgenicznością i królewskim powiewem. Mało tego, nazwa „Queen” dałaby mu idealny pretekst do niepohamowanej afektacji na scenie. Niedługo potem Brian i Roger zmienili zdanie, dostrzegłszy zabawną stronę tej nazwy. Żaden facet nie mógł być bardziej męski, bardziej heteroseksualny ani budzić większego zauroczenia u kobiet niż ci dwaj. Uznali, że w odniesieniu do nich określenie „Queen” ma ironiczny wydźwięk – i to wystarczyło.

Osiągnąwszy porozumienie w sprawie tożsamości zespołu, Freddie zajął się własnym nazwiskiem. Miejsce Bulsary zajął Merkury, antyczny rzymski posłaniec bogów. Podobnie jak Hermes, jego grecki odpowiednik, był przedstawiany w sandałach, ze skrzydełkami oraz kaduceuszem, laską z dwoma oplatającymi ją węzami. „Merkurym” nazywano również rtęć, metal w stanie ciekłym znany w kulturze chińskiej i indyjskiej oraz znajdujący w starożytnych egipskich grobowcach, a także pozbawioną księżyców planetę leżącą najbliżej Słońca.

Przez lata narodziło się wiele teorii, dlaczego Freddie wybrał takie nazwisko. W 1975 roku Freddie powiedział mi osobiście, że to od posłańca bogów – twierdził Jim Jenkins, wielbiciel i autor biografii Queen. – Pamiętam, jakby to było wczoraj. Ludzie mówili potem, że to od Mike’a Mercury’ego z *Fireball XL5*, ale jestem pewien, że to nie ma z nim nic wspólnego.

- Freddie napisał piosenkę *My Fairy King* – wspominał Brian May. – Jeden z wersów brzmiał: „Oh, Mother Mercury what have you done to me?”. [Wers w rzeczywistości brzmi następująco: „Mother mercury mercury/look what they’ve done to me/I cannot run, I cannot hide”]. Po czym oznajmił:

„Zostanę Merkurym, bo matka w piosence to moja matka”.  
A my na to: „Czyś ty oszalał?”.

- Zmiana nazwiska stanowiła część nowej skóry, którą założył - dodaje May. - Młody Bulsara wciąż tam był, ale w oczach publiczności zamierzał stać się bogiem.

Choć powszechnie uważa się, że Freddie zmienił nazwisko mocą zobowiązania jednostronnego mniej więcej w 1970 roku, nie istnieje żaden dowód, który by to potwierdzał. Udało się go znaleźć w przypadku Eltona Johna, natomiast w przypadku Freddiego nie istnieje żaden oficjalny wpis w Urzędzie Stanu Cywilnego, obecnie Archiwum Narodowym, które mieści się w Kew w zachodnim Londynie. Tamtejszy urzędnik powiedział mi:

- Zaledwie dziesięć procent przypadków zmiany nazwiska następuje za pośrednictwem Sądu Najwyższego, a zatem figuruje w naszych aktach. W rzeczywistości obecnie jest to pięć procent. Nie istnieje taki wymóg prawny: człowiek może się nazywać wedle uznania. Być może pan Mercury zmienił nazwisko u radcy prawnego. Po sporządzeniu dokumentacji jedną kopię zatrzymał on, a drugą radca.

Freddie dowiódł fascynacji mitologią grecką i astronomią, gdy projektował legendarne logo Queen. Jego główną postacią jest feniks z szeroko rozpostartymi skrzydłami - symbol nieśmiertelności, stanowiący czułe odniesienie do herbu szkoły Freddiego, St Peter's School w Panchgani. Logo zawiera również znaki zodiaku wszystkich członków zespołu: dwa lwy dla Lwów, Taylora i Deacona, krab dla Maya, Raka, oraz dwie wróżki symbolizujące Mercury'ego, Pannę, do tego zaś stylizowana litera Q i kunsztowna korona.

Pomimo innych zobowiązań zespół był gotowy zadebiutować jako Queen: wystąpili na imprezie charytatywnej Czerwonego Krzyża w City Hall w kornwalijskim Truro, najdalej wysuniętym na południowy zachód brytyjskim mieście. Koncert, który odbył się 27 czerwca 1970 roku, współorganizowała matka Rogera, Win

Hitchens, a do składu dołączył basista Mike Grose (zrezygnował po zaledwie trzech występach). Zaczęli od *Stone Cold Crazy*, opartym na energetycznym utworze Wreckage. W na wpół pustej sali zabrzmiał jednak dość nijako. Obserwatorzy wspominają, że zespół nie był wtedy jeszcze wystarczająco „zgrany”, a Freddie skoordynowany.

- Freddie nie był taki, jaki stał się potem - stwierdziła matka Rogera, Win. - Nie opanował właściwie ruchów.

- Freddie wiązał z zespołem prawdziwe ambicje - wspomina jego siostra, Kashmira. - Był zdecydowany osiągnąć sukces.

Następny występ odbył się 18 lipca w Imperial College, na którym zagrali prawie same covery - od Jamesa Browna i Little Richarda po Buddy'ego Holly i Shirley Bassey - oraz dwie oryginalne kompozycje: *Stone Cold Crazy*, której wszyscy byli współautorami, i *Liar*.

- Serwowaliśmy w repertuarze Queen więcej ciężkiego rock and rolla, żeby dać ludziom coś, czego mogliby się uchwycić. Chodziło o to, by wejść na scenę, walnąć prosto z mostu i zejść - skomentował Brian.

Mike'a Grose'a zastąpił Barry Mitchell, który w okresie od lata do Bożego Narodzenia zagrał razem z Queen jedenaście razy w londyńskich college'ach, słynnym Cavern Club w Liverpoolu i kilku kościołach. Queen nadal nie znaleźli tego jedyne go basisty.

Roger zapisał się do North London Polytechnic, żeby studiować biologię, i otrzymywał stypendium, które zapewniało mu skromny dochód. W tej sytuacji Freddie stał się jedynym członkiem Queen bez wyższego wykształcenia. Jednak nikomu z nich to nie przeszkadzało. Z nową energią rzucili się w wir życia. We wrześniu Brian zorganizował pokaz w Imperial College i zaprosił wielu najlepszych londyńskich agentów. Kilku się nawet zjawilo, lecz żaden z nich nie był pod wrażeniem na tyle dużym, by zaproponować im trasę koncertową. Spragnieni sławy i sukcesu członkowie zespołu przyjęli to źle.



W życiu Freddiego doszło do tragedii, kiedy 18 września 1970 roku zmarł jego idol, Jimi Hendrix. Wielu podzieliło jego smutek. Najlepszy z żyjących muzyków rockowych, który przed rokiem wykonał na festiwalu w Woodstock słynną interpretację hymnu Stanów Zjednoczonych, dopiero co otworzył własne najnowocześniejsze studio nagraniowe Electric Lady w Greenwich Village w stanie Nowy Jork, a miesiąc wcześniej zagrał przed swoją największą publicznością – sześciuset tysiącami ludzi na festiwalu Isle of Wight – został znaleziony martwy w kałuży wymiocin z czerwonego wina w pokoju swojej dziewczyny, Moniki Dannemann, w Samarkland Hotel w Notting Hill. Wtajemniczeni przez wiele lat twierdzili, że Hendrix został zamordowany, lecz najbardziej prawdopodobną przyczyną jego śmierci było przedawkowanie środka uspokajającego i alkoholu. Dannemann popełniła samobójstwo w 1996 roku.

Freddie był niepokieszony. Zbyt przygnębiony, żeby pracować, na znak szacunku razem z Rogerem zamknęli swój stragan. Tego samego dnia podczas próby w Imperial College, niemal tuż za progiem miejsca śmierci Hendriksa, Brian, Roger i Freddie złożyli idolowi własny hołd w postaci *jam session*, podczas której wykonali *Voodoo Chile*, *Purple Haze*, *Foxy Lady* i kilka innych, dziś nieśmiertelnych przebojów wielkiego muzyka.

Idealny basista wciąż pozostawał poza zasięgiem trójki. Dopiero w lutym 1971 roku przez przypadek wpadli na Johna Deacona w londyńskiej dyskotece. Urodzony w Leicester Deacon, który grywał z różnymi kapelami od czternastego roku życia, studiował elektronikę w Chelsea College. Z natury małomówny, nadrabiał wyjątkowym poczuciem rytmu i niespokojnym umysłem. Był również specem od amplitunerów i innego sprzętu muzycznego. I szukał zespołu, do którego mógłby się przyłączyć.

- Stwierdziliśmy, że jest świetny - mówił Roger. - Byliśmy ze sobą zżyci i mocno przeginaliśmy, doszliśmy więc do wniosku, że taki spokojny facet dopasuje się do nas bez większego problemu. Świetnie grał też na basie - a fakt, że genialnie radził sobie z elektroniką, przechylił szalę.

Od lutego 1971 roku aż do ostatniego koncertu 9 sierpnia 1986 roku skład Queen pozostał bez zmian.

Przez sześć miesięcy intensywnych prób Brian, Roger i Freddie uczyli Johna swojego repertuaru. John wciąż wtedy studiował, a Brian pracował nad doktoratem. Queen traktowali jako ponadprogramowe hobby. Jedynie Roger i Freddie mogli poświęcić cały swój czas zespołowi i z całej duszy pragnęli prawdziwej rockandrollowej kariery. 11 lipca 1971 roku Queen ruszyli w jedenastokoncertową trasę po Kornwalii zwieńczoną 21 sierpnia na Tregye Festival of Contemporary Music. Kolejny występ dali w dzień św. Michała, następnie 6 października w Imperial College, 9 grudnia w Epsom Swimming Baths, a w Nowy Rok - w Twickenham's London Rugby Club.

Tymczasem Roger stracił zainteresowanie straganem. Pierwszy powiew świeżości przeminął, a na domiar złego całe to przedsięwzięcie zaczynało wydawać mu się „uwłaczające”. Rzucił Kasbah, jak nazywało się to stoisko, przez co Freddie musiał połączyć siły z innym handlarzem, Alanem Mairem. Kensington jak zwykle budziło jego entuzjazm. Nie tylko dlatego, że mógł pociągać za sznurki. Freddie był zakochany.

## Rozdział 7

# Mary

*Wszyscy moi kochankowie pytali, dlaczego nie mogą zastąpić Mary, ale to po prostu niemożliwe. Była dla mnie jak żona. Dla mnie ten związek był małżeństwem. Wierzyliśmy sobie, a mnie niczego więcej nie trzeba. Nie mógłbym się zakochać w mężczyźnie tak samo, jak zakochałem się w Mary.*

Freddie Mercury

*Samorealizacja była dla niego bardzo ważna... Freddie wywodził się z kultury, w której mężczyzna nie może kochać mężczyzny. Dlatego próbuje się dostosować, chociaż to dla niego tortura. Takie postępowanie nie należy do rzadkości. Elton John zrobił to dwukrotnie. Pochodzący z represjonującego środowiska, dopiero dążący do samopoznania gej często wiąże się na pewien czas z kobietą. Czasami wynika to z pewnej potrzeby, a czasami jest to próba postępowania zgodnie z oczekiwaniami innych.*

Paul Gambaccini

Ze swymi brzoskwiowymi włosami, zielonymi oczami i rzęsami jak u Bambi Mary Austin wyglądała jak żywcem wyjęta z plakatu Biby<sup>[21]</sup>. Kiedy Barbara Hulanicki założyła w Kensington butik, który dał początek nowej modzie, mogłaby zrobić Mary swoją muzą. Filigranowa i delikatna niski wzrost oraz brak pewności siebie nadrabiała

z nawiązką niemal wzorcowym stylem lat siedemdziesiątych.

\* \*  
\*

Mick Rock, urodzony w Londynie absolwent Cambridge Modern Languages oraz London Film School, zajął się profesjonalną fotografią, kiedy świętej pamięci Syd Barrett (były wokalista Pink Floyd) poprosił go, by zrobił mu zdjęcie na okładkę solowego albumu *The Madcap Laughs*. Rock – tak brzmi jego prawdziwe nazwisko – wsiąknął w narkotyczną kulturę lat siedemdziesiątych i zaprzyjaźnił się z Davidem Bowie, którego był oficjalnym fotografem. Zasłużył się, nie tylko dokumentując życie sceny muzycznej – *The Man Who Shot the Seventies* – lecz także biorąc udział w jej tworzeniu. Robił pierwsze oficjalne zdjęcia Freddiego i Queen, wykonał kultowe ilustracje na okładki *Queen II* i *Sheer Heart Attack*. W 1977 roku Rock zamieszkał w Nowym Jorku, po tym jak pochłonęła go undergroundowa scena stworzona przez The Ramones, Talking Heads i Davida Bowiego.

- Kiedy spotkałem Freddiego, mieszkał już z Mary, więc poznałem ich i pokochałem równie mocno – mówił mi Rock. - Zawsze wpadałem do ich małego mieszkanka w porze herbaty. Freddie przywiązywał do ceremonii picia herbaty dużą wagę. W czasach szczytu glam rocka Mary była naprawdę śliczną kobietą, mogącą mieć każdego, mogła robić wszystko. Nigdy jednak nie uważała siebie za kogoś wyjątkowego. Nigdy w żaden sposób nie próbowała się przebić. Była skromna, słodka i ujmująca. Człowiek po prostu miał ochotę ją przytulić.

Błada, nieśmiała, ze lśniącoymi warkoczami przypominała swoją imienniczkę, Mary Hopkin – cudowne dziecko Paula McCartneya – która nagrała przebój *Those Were the Days*. Obie wyróżniały się taką samą niewinnością i zwiewnością,

które dopełniały ówczesną cyganeryjną modę. To, co później nazywano „stylem Stevie Nicks”, wokalistki Fleetwood Mac, było już powszechne na Kensington High Street: krótkie spódniczki, długie płaszcze, zamszowe buty na koturnach, szyfonowe szale, jedwabne kołnierzyki, purpurowe usta i przydymione powieki.

- Miała trudne dzieciństwo - wspominał zaufany dziennikarz David Wigg. - Jej rodzice byli głuchoniemi, porozumiewali się za pomocą języka migowego i czytając z ruchu warg. Byli też biedni. Ojciec docinał tapety dla specjalistycznego producenta, a matka sprzątała w małej firmie. Ale dla Freddiego to nie miało znaczenia. Nie interesowali go ludzie z wyższych sfer. Wolał takich, którzy stali nieco niżej niż on. Zawsze uważałem, że to wynikało z niepewności. Lubił otaczać się ludźmi o artystycznym zacięciu albo takimi, którzy zaczynali od zera. Kluczem były zdolności artystyczne i zabawa: uwielbiał się śmiać. Mary była nieśmiała, ale zawsze potrafiła go rozbawić.

Była dziewiętnastoletnią sekretarką na stażu, kiedy dostała pracę w Bibie. Opisywano ją rozmaicie, jako „osobę od kreowania wizerunku”, „sekretarkę”, „sprzedawczynię”, „kierowniczkę piętra” i „kierowniczkę”. Bez względu na funkcje, jakie pełniła w słynnym butik, kariera w handlu wydaje się dość dziwnym wyborem w przypadku nieśmiałej młodej kobiety, dla której każda rozmowa stanowiła wyzwanie i która dorastała w świecie ciszy. Pachnący kadzidłami, przystrojony paprociami sklep przypominał hałaśliwą, tętniącą życiem jaskinię Aladyna pełną ubrań, butów, kosmetyków do makijażu, biżuterii, torebek i pięknych ekspedientek. Ściągające do sklepu gwiazdy muzyki i filmu obracały się swobodnie w towarzystwie zwykłych wielbicieli mody, spośród których wielu „tylko szukało” Jaggera albo McCartneya.

Mimo swojej nieśmiałości Mary niespodziewanie znalazła się w środowisku londyńskich rockmanów. Brian May jako

pierwszy dostrzegł ją na koncercie w Imperial College w 1970 roku. Zaczęli gawędzić.

Pod wieloma względami była dziewczyną dokładnie w jego typie. Wysoki, ciemnowłosy, seksowny Brian od razu zaproponował Mary randkę. Zaczęli się umawiać, ale ich spotkaniom brakowało iskry. Brian szybko dostrzegł, że ich związek nie wyjdzie poza przyjaźń. Freddie zobaczył natomiast coś zupełnie przeciwnego. Zadręczał Briana, by ich sobie przedstawił, póki nie poznał dziewczyny z jednego ze swych snów.

Przypadli sobie do gustu natychmiast, nawzajem i na całe życie. Co zastanawiające, przez sześć miesięcy Mary unikała Freddiego i spotykała się z innymi mężczyznami – choć z żadnym na poważnie. Dopiero po latach przyznała, że robiła to, ponieważ wierzyła, iż Freddie interesował się nie nią, a jej koleżanką. Pewnego wieczoru, po jednym z koncertów Queen, zostawiła go z nią przy barze, udając, że musi skorzystać z łazienki, po czym uciekła. Freddie zaniemówił, ale to go nie odstraszyło. Kiedy zaprosił ją na randkę 5 września 1970 roku – w dniu swoich dwudziestych czwartych urodzin – Mary udawała, że jest zajęta.

- Usiłowałam zachować spokój – powiedziała Davidowi Wiggowi. – Tak naprawdę nie miałam powodu, żeby nie iść. Ale Freddie się nie zniechęcał. Zamiast tego wyszliśmy razem następnego dnia. Chciał zobaczyć Mott the Hoople w Marquee Club w Soho. Freddie nie miał wtedy zbyt wiele pieniędzy, więc robiliśmy to samo, co inni młodzi ludzie. Żadnych eleganckich kolacji – chodziliśmy na nie później, u szczytu jego kariery.

Stali się nierozłączni i niemal natychmiast zaczęli ze sobą sypiać. Ich związek miał pierwszeństwo przed każdym romanssem, z mężczyzną czy kobietą, który potem nawiązywał Freddie.

Freddie i Mary mieli wiele wspólnego. Oboje wyprowadzili się z domu rodziców, ponieważ czuli,

że muszą bronić niezależności. Oboje byli bardzo powściągliwi i zwykle nie eksponowali swojej prawdziwej osobowości. Oboje mogli sprawiać wrażenie płytkich, nonszalanckich i frywolnych, z materialistycznymi skłonnościami i stylem życia z dnia na dzień, szczególnie w młodości. Lecz w większości były to pozory i umyślne maskowanie wrodzonej nieśmiałości. Oboje cechowali się większą wrażliwością, naturalną powściągliwością i powagą, niż mogło się wydawać. Dostrzegli w sobie nawzajem samych siebie, co dało fundament fascynującej, nierozzerwalnej więzi. W miarę jak dojrzewali, sprzeczne aspekty ich osobowości zaczęły ich spajać. Mary wyglądała jak poczciwa dusza, która nigdy nie skrzywdziłaby nawet muchy - lecz jej zewnętrzna delikatność skrywała wewnętrzną siłę i spokój, które Freddie szczerze podziwiał, być może obawiając się, że „Wielki Udawacz” w nim tych cech nie posiada. Chociaż Mary wiedziała, że rodzina Freddiego mieszka w Feltham, minęło trochę czasu, zanim przyprowadził ją do domu i przedstawił. Nietrudno zrozumieć dlaczego: Mary była dla państwa Bulsarów wymarzoną synową. Istniało duże prawdopodobieństwo, że zbyt wcześnie zaczęliby naciskać na syna, by się z nią ożenił i dał im wnuki, których bardzo pragnęli. Freddie nie był jeszcze gotowy na nic, co choć przypominałoby małżeństwo. Jego rodzina nie przypuszczała wtedy, że nigdy nie będzie.

Z biegiem lat Mary stała się dla Freddiego podporą. Ufał, że będzie dla niego silna. Za każdym razem, gdy czuł, że seks, narkotyki i rock and roll zaczynają wymykać mu się spod kontroli, i nie mógł dać sobie rady z presją nagrań i tras koncertowych, zwracał się do Mary. Dobra i solidna, gotowa wszystko wybaczyć i wszystko zaakceptować, była jak matka, do której zawsze lgnął.

- Na swój sposób Mary Austin stanowiła dla Freddiego matkę - stwierdził publicysta muzyczny Bernard Doherty. - Była przy nim w każdej chwili każdego dnia, zrezygnowała

z własnego życia. Gdzie szedł on, szła i ona. Rzadko kiedy zostawiała go samego. Nic dziwnego, że był jej tak oddany. Wyraźnie wypełniła wielką pustkę, którą pozostawili po sobie jego rodzice, kiedy był mały, pakując go na statek i posyłając do szkoły oddalonej o tysiące mil, w podróż, która w tamtych czasach trwała sześć dni. Miał osiem lat. Wyobrażasz to sobie? W głębi swojej psychiki nigdy nie zdołał się z tym uporać. A potem zjawiała się Mary. „Mother Mary comes to me”, śpiewał McCartney w *Let It Be* w 1970 roku, prawda? Przypadkowo w tym samym roku, w którym Mary i Freddie się poznali.

- To mogłaby być ich piosenka, z tym skojarzeniem z matriarchalną Najświętszą Marią Panną. Mary była tą Mary z piosenki. Była czysta, nawet gdy Freddie spał z nią pod koniec...

Bo wtedy Freddie wybrał już homoseksualizm - czyniąc z Mary nawróconą dziewicę.

- Mit został uchroniony - zgadza się Bernard. - W jego oczach była idealna, zawsze przy nim. Mary istniała tylko dla Freddiego.

- Mary bez wątplenia była dla niego jak matka - zgadza się psychiatra Cosmo Hallstrom. - Ściślej rzecz biorąc, była postacią w y i d e a l i z o w a n ą: reprezentowała dokładnie to, czym w jego oczach powinna być kobieta. Freddie był wysoce seksualny i niezbyt przejmował się tym, z kim uprawia seks. Mógł się z nią czule kochać, a zaraz potem popędzić na potajemne, nieprzyzwoite spotkania gdzieś indziej. Te związki były jednak kruche i krótkotrwałe. To do niej zawsze wracał. A ona, rzecz jasna, zawsze na niego czekała - zachowując siebie tylko dla niego.

- Troszczyła się o niego, matkowała mu, miała do czynienia z lepszą stroną Freddiego. Była jego azyłem i siłą. To, co ich łączyło, pozwalało mu flirtować. W ten sposób stała się nie tylko matką, ale też anielsko cierpliwą żoną, znoszącą wszelkiego rodzaju nonsensy. Służyła jednak



fundamentalnemu celowi: poczucie winy za to, co robił, kiedy nie był razem z nią, budziło w nim żal stanowiący klucz do jego kreatywności. Człowiek szczęśliwy nie musi nic robić, nie musi nic tworzyć. Człowiek szczęśliwy cieszy się z tego, co ma, z tego, jak się mają sprawy. Freddie wiecznie się zadręczał. Między innymi z powodu tego, jak traktował Mary, ale ta sama udręka stanowiła inspirację do pracy.

Niektórzy opisywali uczucia Mary do Freddiego jako „Mother Love”, miłość matczyną. Nic dziwnego, że taki właśnie tytuł nosiła tęskna piosenka zaśpiewana przez Freddiego i Briana na albumie *Made in Heaven* nagrany w 1991 roku, a wydanym cztery lata po śmierci Freddiego.

- Jestem człowiekiem skrajności - tak pewnego razu opisał siebie Freddie. - Mam łagodną i surową stronę osobowości - i niewiele pośrodku. Jeśli trafi na mnie właściwa osoba, mogę być wrażliwy jak dziecko i zwykle kończy się to tym, że jestem poniewierany. Ale czasami potrafię być twardy, silny, a wtedy nikt mnie nie dotknie.

Mary wiedziała, że Freddie od dzieciństwa cierpiał na coś, do czego bardzo rzadko się przyznawał: na manię prześladowczą. Zamartwiał się, że ludzie śmieją się z niego za jego plecami i że naprawdę jest śmieszny. Ten strach, jeden z największych demonów Freddiego, dręczył go aż do śmierci.

Nie były to obawy całkowicie irracjonalne. Peter „Ratty” Hince, wieloletni współpracownik techniczny Queen, który obecnie zajmuje się fotografią, twierdzi:

- Prawdę mówiąc, wszyscy uważali Freddiego za lekkiego ćwoka. Przeginał, nawet jak na glam rocka. Wszystkie te kwieciste kostiumy. Nie wydaje mi się, żeby był wtedy szczególnie silny. Raczej tworzyli jedność jako zespół.

Być może to spowodowana manią frustracja sprawiała, że czasem wybuchał gniewem. Freddie miewał niewytłumaczalne napady złego humoru, przez które był niemiły, a nawet okrutny, wygłaszając miażdżące docinki

i niepotrzebnie złośliwe komentarze. Sugerowano, że Mary rozwinęła w sobie instynkty obronne, by chronić Freddiego i siebie przed mediami oraz ludźmi, którzy pasożytowali na jego sukcesie. Czy to jednak możliwe, że chroniła ich oboje przed samym Freddieem?

Ich związek był porozumieniem serc, umysłów i dusz, lecz ciało w tym równaniu nie dawało się ignorować. Seksualny związek Freddiego z Mary trwał przez sześć lat. Dla dwudziestokilkulatka to niemal całe życie i dowodzi prawdziwego oddania. Wkrótce zamieszkali razem w ciasnym, odrapanym pokoju za 10 funtów tygodniowo przy Victoria Road, tuż za Kensington High Street – w okolicy, do której Freddie zawsze wracał. Dziś nieruchomości przy tej ulicy są oficjalnie najdroższe w całej Anglii i Walii. Przeciętna cena rezydencji ma wartość 6,4 miliona funtów.

Dwa lata później para przeniosła się do większego, samodzielnego, lecz okropnie zawilgoconego mieszkania przy Holland Road, które kosztowało tygodniowo 9 funtów więcej.

- Dojrzewaliśmy razem. Lubiłam go i od tego się zaczęło – wspominała Mary. – Minęły jakieś trzy lata, zanim się naprawdę zakochałam. Nigdy wcześniej ani nigdy potem nie czułam do nikogo innego czegoś podobnego... Bardzo kochałam Freddiego.

- Czułam się przy nim bezpiecznie – powiedziała potem Davidowi Wiggowi. – Im lepiej go poznawałam, tym bardziej kochałam go za to, kim był. Był dobrym człowiekiem, co w dzisiejszych czasach należy do rzadkości... Wiedzieliśmy, że możemy sobie ufać... i że nigdy nie skrzywdzimy się celowo.

- Na któreś Boże Narodzenie kupił mi pierścionek i włożył do olbrzymiego pudła. Otworzyłam pudło, a w środku było następne i tak dalej, i tak dalej, aż w końcu dotarłam do maleńkiego pudełka. W środku znalazłam piękny pierścionek z egipskim skarabeuszem. Miał przynosić

szczęście. Freddie był bardzo słodki i zawstydzony tym, że mi go dał.

- Bez względu na to, co się poza tym działo - mówił Mick Rock - Freddie wiódł sielskie domowe życie z Mary, bardzo przytulne i urocze. Kiedy wpadałem w odwiedziny, Freddie zawsze był w szlafroku i kapciach. Siedzieliśmy i gadaliśmy całymi godzinami.

Mary przeważnie odmawiała rozmowy choćby o prozaicznych aspektach ich wspólnego życia. W sporadycznych wywiadach pojawiały się jednak prywatne szczegóły. Przykładowo przez wszystkie lata, które spędzili razem, gdy Freddie poczuł w środku nocy przypływ twórczej weny, przyciągał fortepian do łóżka i komponował. Zwykła kobieta nie wytrzymałaby tego zbyt długo.

Jeśli miała jakieś wątpliwości odnośnie do seksualności Freddiego, początkowo próbowała je lekceważyć.

- Zwróciłem się do niej kiedyś: „Musiałaś przecież się zastanawiać, czy Freddie jest gejem” - powiedział David Wigg. - „Ale wszędzie, gdzie się pojawiał, dziewczyny za nim szalały”, odparła. „Oblegały go, kiedy zszedł ze sceny”. Po jednym koncercie, gdy otoczyły go kobiety, zaczęła się oddalać, myśląc sobie: „Freddie już mnie nie potrzebuje”. Zauważył, że odchodzi, i pobiegł za nią. „Dokąd idziesz?”. „Już mnie nie potrzebujesz”, odparła Mary, „masz przecież to wszystko”. „Potrzebuję cię”, rzekł na to Freddie, „chcę, żebyś była częścią tego wszystkiego”.

- Potem zaczął wracać do domu późno w nocy, a ja pomyślałam, że to już koniec - powiedziała Davidowi.

- Mary zwierzyła się, że z początku podejrzewała, iż Freddie ma inną kobietę. „Myślałam, że już mnie nie chce”, tłumaczyła. „Zawsze miał wymówkę: «Skarbie, nagrywaliśmy» albo «Poniosło nas, przepraszam, że wracam tak późno»”. Poza tym wszystko między nimi grało, stwierdziła, tyle że wracał do domu w środku nocy. W końcu któregoś wieczoru przyszedł i rzucił: „Mary, muszę ci coś powiedzieć”. Wciąż sądziła, że chodzi o inną

kobietę, i przygotowała się na cios. Ale ku jej wielkiej uldze powiedział po prostu: „Chyba jestem biseksualistą”. „Nie, Freddie”, odparła. „Myślę, że jesteś gejem”.

- Twierdziła, że Freddie był potwornie zażenowany. Ale z jej ust niemal natychmiast to zaakceptował. Powiedział Mary: „Chcę, żebyś zawsze była częścią mojego życia”. Gdy w końcu przeniósł się na Garden Lodge w Kensington, kupił jej małe mieszkanie tuż za rogiem. Z okna w łazience widziała jego wielki dom.

Na swój sposób została potem matroną w „rodzinie” Freddiego, złożonej w większości z homoseksualnych pracowników i jednocześnie przyjaciół.

- Freddie utrzymywał z Mary otwartą i uczciwą relację, którą nigdy nie mógł się cieszyć z własną matką z powodu rodzinnej wiary, kultury i tak dalej - twierdzi Wigg.

Mick Rock pamięta, że w kwestii seksualności Freddie „wychodził z siebie”.

- I to jeszcze zanim się w końcu ujawnił. Na pewno był gejem, ale nie tylko gejem i to go dobijało. Czuł się rozdarty. Zupełnie jakby musiał się dowiedzieć, czy na pewno jest tym, czy może czymś innym, lecz utknął gdzieś pośrodku, na swego rodzaju ziemi niczyjej. Kochał kobiety. Przepadał za ich towarzystwem. Później w przeważającej mierze uprawiał seks z mężczyznami... Miał więcej partnerów tej samej płci, ale uwielbiał spotykać się z dziewczynami. Rzecz jasna, Mary była miłością jego życia... Łączyła ich najbliższa emocjonalna więź, jaką znał. Największa ironia życia Freddiego polegała na tym, że choć w gruncie rzeczy był gejem, to najważniejszy związek zbudował z kobietą. Być może chodziło raczej o tę konkretną kobietę, a nie preferencje seksualne. Z Mary połączyła go prawdziwa, szczerą miłość. Seks nigdy nie był tak ważny, jak ich emocjonalna i duchowa więź.

Niedługo potem Freddie zaczął mieć męskich kochanków, chociaż nigdy nie sprowadzał ich do mieszkania, które dzielił z Mary. Z początku dbał o dyskrecję i utrzymywał

pozory heteroseksualnej rodziny. Tymczasem Mary, licząc, że to jedynie „stan przejściowy”, rozpieszczała go i przymykała na wszystko oko. Z biegiem czasu stało się jednak oczywiste, że Freddie wolał przedstawicielei własnej płci. W końcu nie mógł dłużej ukrywać prawdy i postanowił ją wyznać.

- Widziałam, że coś go gryzie - powiedziała Mary Davidowi Wiggowi. - Dlatego poczułam ulgę, kiedy to usłyszałam. Cieszyłam się, że był ze mną szczery. Chyba nie sądził, że go wesprę, ale nie mogłam mu odmówić prawa do bycia sobą.

To wiele mówi o kobiecie, która zostawiła swój osobisty żal przy straconych marzeniach i pozwoliła, by ich związek zmienił się w głęboką platoniczną przyjaźń. Od tamtej pory była pomocą biurową Freddiego i spędzała z nim co najmniej część każdego dnia. Określała się mianem jego „posługaczki”, Freddie nazywał ją zaś swoją „Wierną”.

Mary mogła teraz poszukać sobie nowego partnera. Upłynęło jednak sporo czasu, zanim to zrobiła.

Nie potrafiła się poddać, podobno zasugerowała nawet Freddiemu, że mogliby mieć dziecko - na co on miał odpowiedzieć, że wolałby kota. Mary urodziła potem dwóch synów: Richarda, którego chrzestnym został Freddie, i Jamiego, który przyszedł na świat tuż po śmierci Freddiego. Lecz wiele jej związków z mężczyznami było z góry skazanych na porażkę, być może dlatego, że związek z Freddiem położył się na jej życiu głębokim cieniem, a on sam na zawsze znalazł miejsce w jej sercu. Nawet ojciec chłopców, projektant wnętrz Piers Cameron, zniknął niedługo po tym, jak się pojawił.

- Zawsze miał wrażenie, że jest w cieniu Freddiego - wyjaśniła Mary.

Jeśli zaś chodzi o Freddiego, wdawał się w romanse z innymi kobietami, nie mówiąc już o niekończącym się wianuszkach mężczyznom. Mary, postanowiwszy pozostać integralną częścią jego życia, mogła to jedynie

zaakceptować. Większość ludzi, którzy ich znali, jest przekonana, że żadna inna kobieta nie zajęła miejsca Mary w sercu Freddiego. Zapewne dowodzi tego fakt, że zapisał jej w spadku dom i większość majątku.

- Mary to niemal święta - wyjaśnił Mick Rock. - Jest fantastyczna. Wspaniała. Bardzo lojalna. Bezpretensjonalna. Taktowna. To dobry człowiek - jeden z najlepszych, jakich znam. Kiedy Queen się przebili, a ja zamieszkałem w Nowym Jorku, często widywałem tam Freddiego. Spotykaliśmy się i gadaliśmy. Któregoś razu po latach byłem w Londynie, piłem herbatę z Mary, a ona powiedziała coś dziwnego. Wtedy nie zrozumiałem, ale teraz już chyba rozumiem. Powiedziała: „Najpierw mój ojciec, potem Freddie, a teraz moi synowie. Chyba przyszłam na ten świat po to, by niańczyć mężczyzn”. Zupełnie jakby mówiła, że na tym polega jej los. Dziwny, jeśli się nad tym zastanowić. Ale coś w tym jest.

Rock poczuł ulgę, słysząc, że Freddie potraktował ją przyzwoicie.

- Był jedyny w swoim rodzaju i każdy człowiek miałby z nim problem. Poza tym nic nie interesowało go tak bardzo jak praca. Sprawę dodatkowo utrudniały te jego niewytłumaczalne napady szaleństwa. Praca i życie z nim musiały przypominać koszmar. Zdawał sobie z tego sprawę. Nie był głupi. Mary musiała znieść więcej, niż ktokolwiek inny by zdołał, ale nigdy nie przestała go kochać. Aż do dziś. Można powiedzieć, że poświęciła mu całe swoje życie, a to, co dostała w zamian, „nie umywa się” do tego, co sama oddała. Możesz mi wierzyć.

Mary wyjaśniła później:

- Tak bardzo poszerzył moje horyzonty, wprowadzając mnie w świat baletu, opery, sztuki. Wiele się od niego nauczyłam, wiele dał mi też osobiście. Za nic w świecie bym go nie opuściła, nigdy.

To jednak nie ułatwiało jej życia z Freddiem. Nie dość, że wyolbrzymiał każdy problem, to w dodatku wszystko

musiało być dokładnie tak, jak chciał. Nawet kwiaty w wazonach musiały być ułożone tak, a nie inaczej, w przeciwnym razie ciskał nimi z obrzydzeniem.

- Chodziło o jego styl - powiedziała Mary. - Chciał, by wszystko odbywało się po jego myśli, a potrafił być wymagający. Sporo się kłóciliśmy. Ale lubił porządną awanturę.

Lata później, długo po jego śmierci, Mary pogodziła się z fortuną, którą zostawił jej Freddie, i odnalazła szczęście w jego okazałym domu w stylu georgiańskim. U boku Nicka, londyńskiego biznesmena, z którym w 1998 roku wzięła cichy ślub na Long Island, za świadków mając jedynie synów.

- Myślę, że Nick wykazał się wielką odwagą, wiążąc się ze mną na poważnie - wyznała Davidowi Wiggowi. - Mam spory bagaż... Z wiekiem potrafię docenić to, co miałam i co posiadam teraz, i żyć dalej.

Jej przyjaciel Mick Rock dodaje:

- Niektórzy ludzie krytykowali ją za to, że przykleiła się do Freddiego, wszyscy podawali w wątpliwość jej intencje. Ale zaręczam, że nie była tam dla tej cholernej forsy. Ręczę za to głową.

Ludzie mogli mówić, co im się podobało. Ci, którzy się liczyli, znali wersję jego i jej (każda historia ma przynajmniej dwa oblicza). Przez dwadzieścia jeden lat Mary trzymała własną w tajemnicy. Jeśli chodzi o Freddiego, jej lojalność mówiła sama za siebie. Dlaczego nigdy nie stawiała czoła prawdzie i nie wyjechała z miasta, by zacząć nowe życie? Czy w głębi ducha obawiała się, że bez niego jest niczym?

- Fakt, że wytrwała w układzie, z którego większość kobiet by się wycofała, żeby znaleźć sobie heteroseksualne środowisko... to efekt zarówno wytrwałości, jak i, powiedzmy to, aktorstwa - skomentował bliski przyjaciel i powiernik Freddiego, David Evans. - Jestem szczerze przekonany, że nigdy nie czuła się swobodnie

w homoseksualnym towarzystwie, którym otaczał się Freddie – ujawnił w swoich wspomnieniach *More of the Real Life*, wydanych w 1995 roku. – Czułem jej skrępowanie i – na tyle, na ile mogłem – wynagradzałem jej to, świadomie łagodząc niektóre swoje zachowania ze względu na jej zasadniczo heteroseksualną kobiecość. Mary nigdy nie była „jednym z chłopaków”, w przeciwieństwie do wielu innych kobiet w życiu Freddiego. Brakowało jej tej wspaniałej, żywiołowej pewności siebie, jaką miała Barbara Valentin... albo Anita Dobson, albo Diana Moseley... Cudownie utalentowane i silne kobiety, którym ekstrawagancja Freddiego niczym nie groziła. Wręcz przeciwnie, nadawała im autentyczności.

- Mary zawsze była zamknięta w sobie, oderwana duchowo i cieleśnie od Prawdziwego Życia [wtajemniczeni nazywali tak dom Freddiego].

Podczas gdy Freddie i jego przyjaciele byli szczerze zachwyceni, kiedy związała się z Piersem Cameronem i po raz pierwszy zaszła w ciążę, nikt się nie zdziwił, że jej związek nie przetrwał.

- Nie da się zaprzeczyć, że pozostała częścią Prawdziwego Życia – powiedział Evans. – Freddie liczył, że Mary zdoła się uwolnić od tego, co ja zawsze uważałem za trwanie w niezdrowym układzie, który mógł jedynie pogłębić początkowy żal i rozpacz. Najwyraźniej nigdy się z nich nie otrząsnęła.



## Rozdział 8

# Trident

*Bardzo trudno zaufać innym, zwłaszcza w przypadku takich ludzi jak my. Jesteśmy niezmiernie wrażliwi, drobiazgowi i wybredni. To, co przeszliśmy z Trident, wiele nas kosztowało, dlatego potem byliśmy bardzo ostrożni i krytyczni, dobierając ludzi, którzy mieli z nami pracować i stać się częścią ekipy Queen.*

Freddie Mercury

*Queen zawsze korzystali z nowoczesnych technologii podczas sesji nagraniowych. Na początku swojej kariery, przy nagrywaniu pierwszej płyty, mieli do dyspozycji Trident Studios. Znaleźli się więc w jedynym w swoim rodzaju położeniu, na progu kariery mieli dla siebie studio nagraniowe z najwyższej półki. Mogli korzystać z najnowszego sprzętu, czyli w tamtych czasach rejestratora szesnastościeżkowego. Zespół często rozwija swoje brzmienie w studiu nagraniowym, gdzie może korzystać z wielościeżkowych technik gitarowych, które są powszechne w muzyce rockowej. Przebywając w studiu, Brian May mógł je przenieść na wyższy poziom. To było dla nich naprawdę bardzo ważne.*

Steve Levine, legendarny producent i właściciel  
Hubris Records

Rok 1971 dobiegał końca, a Queen, pomimo wytrwałych wysiłków wszystkich członków zespołu, by wreszcie zostali zauważeni, wciąż nie nabierali rozpędu, chociaż dawali tyle

koncertów, na ile pozwalały im rozkłady zajęć Briana i Johna.

- Skoro zamierzaliśmy porzucić kariery, na które tak ciężko pracowaliśmy, chcieliśmy grać naprawdę dobrą muzykę - stwierdził Brian. - Wszyscy mieliśmy coś do stracenia, naprawdę, i nie przyszło nam to łatwo. Szczerze mówiąc, chyba żaden z nas nie zdawał sobie sprawy, że osiągnięcie czegokolwiek zajmie nam aż trzy lata. To z pewnością nie była bajka.

- W pewnym momencie, dwa albo trzy lata po tym, jak zaczęliśmy, niewiele brakowało, żeby zespół się rozpadł - powiedział Freddie. - Mieliśmy wrażenie, że to nas donikąd nie prowadzi, że w tym oceanie pływa zbyt wiele rekinów, sprawy zaczęły nas przerastać. Ale coś nie pozwoliło nam się poddać. Uczyliśmy się na własnych doświadczeniach, tych dobrych i tych złych.

Przy innej okazji zaprzeczył swojej wcześniejszej ocenie, oświadczając:

- Nigdy nie było żadnych wątpliwości, skarbie, nigdy. Po prostu wiedziałem, że nam się uda. Wszystkim to powtarzałem.

Roger również wspominał tamte czasy z optymizmem.

- Przez pierwsze dwa lata tak naprawdę nic się nie działo - zgodził się. - Wszyscy wtedy studiowaliśmy, ale jako zespół nie robiliśmy postępów. Mieliśmy jednak świetne pomysły i chyba w pewien sposób czuliśmy, że się przebijemy.

Queen czekało sporo pracy. Ufni w swój muzyczny talent i przekonani, że zgrali się jako zespół, zadreęczali wszystkie londyńskie wytwórnie płytowe. Grali również przy każdej okazji, jaka się nadarzała, dając koncerty we wszystkich możliwych college'ach. Na jedne przychodziło sporo ludzi, na inne mniej. Tony Stratton-Smith, dyrektor wytwórni Charisma, jako pierwszy zainteresował się Queen i złożył im znaczącą ofertę w wysokości 20 tysięcy funtów. Mogli

trafić gorzej niż na pochodzącego z Birmingham zapalonego fana piłki nożnej i ekscentryka w typie Freddiego. Strat sporo pił, posiadał konia wyścigowego, był homoseksualistą i eksdziennikarzem. O mały włos uniknął śmierci w katastrofie lotniczej w Monachium w 1958 roku, która pochłonęła dwadzieścia trzy ofiary, w tym ośmiu piłkarzy Manchesteru United; w ostatniej chwili postanowił relacjonować mecz eliminacyjny do mistrzostw świata. Pod koniec lat sześćdziesiątych został menadżerem rockowym i właścicielem wytwórni płytowej w małym biurze przy Dean Street w Soho. Podpisał kontrakt z Genesis w 1970 roku i wydał albumy Monty Pythona, a także Petera Gabriela, Lindisfarne, Van der Graaf Generator, Malcolma McLarena oraz Juliana Lennona. Uwielbiany przez swoich artystów Strat był „człowiekiem, który przekuwał marzenia w rzeczywistość”.

Świętej pamięci Strat nie zabiegał o względy Queen, choć byli dla siebie stworzeni. Członkowie Queen podejrzewali, że przy Genesis będą wiecznie grali drugie skrzypce, a tak w każdym razie głosiła plotka. Doszli do wniosku, że skoro są warci dwadzieścia tysięcy dla Strata, to gdzie indziej będą warci jeszcze więcej. Wykorzystali ofertę Charismy i entuzjazm, by przyciągnąć inne wytwórnie.

- Gdy nagraliśmy demo, uświadomiliśmy sobie, że wokół krążą rekiny - wspominał Freddie w 1974 roku. - Ludzie składali nam zdumiewające oferty, mówili: „Zrobimy z was następnych T. Rex”, ale byliśmy bardzo, bardzo ostrożni i nie rzuciliśmy się na pierwszą lepszą propozycję. Obeszliśmy dosłownie każdą wytwórnię, zanim w końcu podjęliśmy decyzję. Nie chcieliśmy, żeby traktowano nas jak zwyczajną kapelę.

- Byliśmy w zasadzie bardzo zarozumiali - przyznał potem Brian - w tym sensie, że wierzyliśmy w to, co robiliśmy. Jeśli ktoś ci mówi, że to tandeta, uznajesz, że się myli, a nie że jesteś tandetny.

- Mierzyliśmy w najwyższą półkę - wyjaśnił Freddie. - Nie mieliśmy zamiaru zadowalać się niczym poniżej.

Innymi słowy, Queen nie uważali, że są dobrzy. Oni to wiedzieli.

To, co opisywano jako przypadkowe spotkanie z Johnem Anthonym, w tamtych czasach jednym z najbardziej błyskotliwych młodych producentów z Londynu, według wszelkiego prawdopodobieństwa było nie tyle szczęśliwym zbiegiem okoliczności, co raczej typową dla Freddiego zamierzoną konfrontacją. Dobrze znany w Kensington i Chelsea z urozmaiconych upodobań muzycznych i krawieckich Freddie stroił się w egzotyczne fatałaszkę, a w sobotnie popołudnia, zwykle namówiwszy jakiegoś znajomego, by rzucił okiem na jego stragan, krążył po Ken High i King's Road. Był w swoim żywiole, obijając się i racząc każdego, kto tylko chciał słuchać, opowieściami o swoich idolach - Lizie Minnelli, The Who, Led Zeppelin i Davidzie Bowie. By zaś usprawiedliwić oburzające innych ogromne ilości czasu poświęcane na kreację coraz bardziej ekscentrycznego wizerunku, ripostował krótko: „Nigdy nie wiadomo, na kogo się natkniesz”. Freddie chciał być zauważony, w szczególności przez jedną osobę.

Wytrwałość się opłacała. John Anthony i Freddie w końcu wpadli na siebie podczas jednej z typowych weekendowych przechadzek. Anthony - didżej z londyńskich klubów takich jak The Speakeasy, The Roundhouse czy UFO - po nagraniu dema Yes w 1968 roku zajął się produkcją. Jako partner Strata współpracował z Genesis, Van der Graaf Generator i Lindisfarne. Jego motto brzmiało: „Istnieje jeden właściwy sposób nagrywania albumu i czterysta niewłaściwych”.

W efekcie tego spotkania Anthony przekonał Barry'ego Sheffielda (który wraz z bratem Normanem był współwłaścicielem Trident Studios), by towarzyszył mu podczas koncertu Queen w nieczynnym obecnie Forest Hill Hospital w południowo-wschodnim Londynie, 24 marca 1972 roku. Sheffieldowie słyszeli wcześniej pięć piosenek

z dema Queen, ale nigdy nie widzieli ich na żywo. Barry chciał się przekonać na własne oczy, jak wypadają na scenie, zanim zgodzi się na współpracę. Występ Queen zrobił na nim tak wielkie wrażenie, że chciał z marszu podpisać z nimi kontrakt - zwłaszcza po ich stylowej interpretacji nieśmiertelnego *Hey Big Spender* Shirley Bassey.

- Trident było najlepszym studiem nagraniowym pod słońcem - powiedział John Anthony - dlatego działali dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Bracia Sheffield niedawno uruchomili filię swojej firmy, Trident Audio Productions. Zgodnie z przełomowym planem zamierzali podpisywać kontrakty z wykonawcami, udostępniać im swoje najnowocześniejsze studio, a potem negocjować z głównymi wytwórniami kontrakty na edycję i dystrybucję gotowych nagrań. Co prawda Queen mieli świadomość, że darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby, szukali jednak czegoś innego. Bracia Sheffield byli zdolnymi i sprytnymi biznesmenami, którzy w swoim czasie niejednego wprowadzili w osłupienie. W gąszczu drobnego druku Queen umknęło, że ewentualny kontrakt nie był adresowany wyłącznie do nich, ale również do innych, niezwiązanych z nimi wykonawców: irlandzkiego piosenkarza i autora piosenek Eugene'a Wallace'a oraz zespołu o nazwie Headstone. Równie alarmujące wydawały się wzmianki o zarządzaniu menadżerskim. To, co proponowali bracia Sheffield - wieloelementowy kontrakt menadżersko-płytowy, zgodnie z którym Trident miało zarządzać, produkować, nagrywać i wydawać Queen, jak również w ich imieniu negocjować kontrakty z wytwórniami - nie było na porządku dziennym. Queen widzieli jedynie konflikt interesów. Choć obstawali przy zawarciu odrębnych umów na każdy element współpracy, niepokoiła ich myśl, że Trident będzie kontrolowało wszystkie aspekty ich kariery.

Długo się zastanawiali, zanim podpisali kontrakt, nie mogąc się zdecydować przez blisko osiem miesięcy, aż do listopada 1972 roku. Przez ten czas ani razu nie zagrali na żywo.

- Poradziłem im, żeby się nie wychylali - wyjaśnił John Anthony. - Chciałem, żeby się skupili na lepszym zgraniu, a potem wrócili i dawali większe koncerty.

Jako że nikt liczący się tak naprawdę tego nie pamięta, powody ich zwłoki pozostają niejasne. Nie było żadnych przeciągających się sporów na polu prawnym, może zatem zespół próbował starych sztuczek i chciał wykorzystać ofertę Trident jako przynętę na lepsze wytwórnie. Jeśli liczyli na bardziej lukratywną propozycję ze strony braci Sheffield, to spotkało ich rozczarowanie. Ostatecznie Queen podpisali kiepski kontrakt. Przez długi czas nie mieli pojęcia, na jak niekorzystne zgodzili się warunki.

By jednak oddać sprawiedliwość braciom Sheffield, należy powiedzieć, że cieszyli się dobrą reputacją. Prowadzili najlepsze studia w Londynie, w których regularnie nagrywali artyści z najwyższej półki i nigdy nie słyszano, by zawierali nieuczciwe umowy. Zainwestowawszy w Queen czas i pieniądze, spodziewali się czegoś w zamian i mieli do tego prawo. Tylko Brian zdołał po latach przyznać, że przyczynili się do sukcesu Queen. Pozostali członkowie zespołu nie chcieli o nich słyszeć.

Po tym jak ostatecznie zakończyli swój związek z Trident, Freddie powiedział:

- Jeśli chodzi o Queen, nasi starzy menadżerowie umarli. Zupełnie przestali istnieć... Bardzo nam ulżyło!

Dla świata zewnętrznego kontrakt wydawał się zbyt dobry, by mógł być prawdziwy: najlepsze studio nagraniowe na świecie dało nieokiełznanej kapeli dostęp do swych pomieszczeń i technologii. Queen mogli nagrać cały debiutancki album pod skrzydłami Johna Anthony'ego i jego przyjaciela, Roya Thomasa Bakera, który odwał czarną

robotę i wciskał materiał wytwórniom. Pozory jednak myliły: zespół, poniżony brakiem zainteresowania ze strony jakiegokolwiek wytwórni muzycznej, musiał znosić upokorzenie, jakim był dostęp do studia jedynie w czasie zamknięcia, kiedy nie korzystali z niego klienci, którzy płacili, tacy jak Bowie czy Elton John.

- Dzwonili do nas i mówili, że David Bowie skończył parę godzin wcześniej, więc możemy nagrywać między trzecią a siódmą rano, kiedy przychodzą sprzątaczkę - przyznał Brian. - Sporo materiału nagraliśmy właśnie w ten sposób. Rzadko dostawaliśmy całe dni, zazwyczaj pracowaliśmy z doskoku.

Taki układ nie sprzyjał kreatywności. Paradoksalnie, znakomite nagranie z czasów Trident, obecnie mające wysoką wartość kolekcjonerską, powstało przez przypadek. Któregoś dnia, kręcąc się po studiu w oczekiwaniu na swoją kolej, Queen zostali zaproszeni przez producenta Robina Cable'a do nagrania coverów kompozycji Phila Spectora i Ellie Greenwich *I Can Hear Music* - był to hit, którym The Beach Boys weszli w 1969 roku na listę Top Ten najlepszych przebojów - oraz *Goin' Back*, utworu napisanego przez małżeński duet Gerry'ego Goffina i Carole King, a wykonanego po raz pierwszy przez The Byrds. Freddie zapewnił wokale, podczas gdy Brian i Roger zajęli się grą i harmoniami. Każdy członek Queen otrzymał skromną zapłatę. Nikt nie mógł wtedy przypuszczać, jak niesławne i koniec końców cenne staną się te nagrania. Queen niczego nie podpisywali i na nic się nie zgodzili, lecz zrzekli się - zaocznie i nieświadomie - prawa do kontroli nad gotowym produktem. Nagranie zostało wydane rok później przez EMI pod zmyślnym nazwiskiem Larry Lurex, jako hołd i jednocześnie parodia Gary'ego Glittera<sup>[22]</sup>. Dowcip przyniósł jednak skutek odwrotny do zamierzonego. Najważniejsi brytyjscy didżeje poczuli się urażeni i zażarcie bronili lidera (na długo przed tym, jak Glitter

spektakularnie okrył się hańbą i wypadł z ich łask). Puszczane w kiepskim czasie antenowym nagranie słabo się sprzedawało i wylądowało na wyprzedających. Po latach zostało wznowione, stając się przedmiotem pożądania i zmieniając właścicieli niemal za fortuny. Nauczywszy się bezwzględnych zasad rządzących przemysłem nagraniowym, Queen w końcu sami nabyli prawa do tego nagrania.

Tamtego lata zacisnęli zęby i w trudnych warunkach, z kiepską organizacją, nagrali pierwszy album. Ale nie z Johnem Anthonym. Zobowiązany finansowo do nagrań z Alem Stewartem, nie wytrzymał on całodobowego napięcia i pewnego wieczoru zasnął w studiu. Po tym jak lekarz stwierdził u niego mononukleozę zakaźną, chorobę powodującą chroniczne zmęczenie, Anthony wyjechał na długie wakacje do Grecji, zostawiając Queen w rękach Roya Thomasa Bakera.

Thomas Baker, były stażysta inżynierii dźwięku muzyki klasycznej w Decca, w 1969 roku dołączył do Trident i wniósł swój wkład do takich przebojów jak *All Right Now* Free czy *Get It On* T. Rex. Jego współpraca z Queen była trudna, a „ukończonemu” albumowi brakowało kształtu. Po powrocie z Grecji pod nieobecność Thomasa Bakera Anthony przyszedł do Trident i przesłuchał album. Określił go jako schizofreniczny.

- Freddie, Brian i ja siedliśmy więc i zremiksowaliśmy większość materiału... Chciałem w nim zawrzeć odwagę, a także energię ich występów na żywo - powiedział Anthony.

Remiksy i dopieszczanie muzyki wyczerpało wszystkich zainteresowanych - jeden z inżynierów biorących udział w przedsięwzięciu skomentował Freddiego słowami: „Praca z nowo narodzoną supergwiazdą wykańczała nerwowo”. Następnie Thomas Baker i John Anthony ruszyli na pielgrzymkę po wytwórniach. Wciąż nikt nie wykazywał zainteresowania. Byli zbici z tropu. Zgodnie z głównym



zarzutem, brzmienie Queen za bardzo przypominało takie zespoły jak Yes czy Led Zeppelin, chociaż ci, którzy pracowali przy albumie, zgadzali się, że brzmienie Queen było jedyne w swoim rodzaju. Zespół nadal nie miał wytwórni, która pozwoliłaby im skoncentrować się na wydaniu płyty długogrającej. Lepiej szło im z wydawaniem utworów, na które podpisali umowę z B. Feldman & Co. Tymczasem bracia Sheffield sprowadzili Jacka Nelsona, energicznego dyrektora z amerykańskiej branży muzycznej, który doskonalił swoje umiejętności w najtrudniejszych warunkach. Nelson miał załatwić kontrakt płytowy i menadżera. Podekscytowany tym, co usłyszał, lecz zdumiony brakiem zainteresowania ze strony wytwórni i menadżerów, sam podjął się roli opiekuna Queen.

- Zdobycie dla nich kontraktu zajęło mi rok, wszyscy ich odrzucali - powiedział Nelson. - Dosłownie wszyscy. Nie będę wymieniał nazwisk, ale każdy z nich wie, o kim mowa.

Nelson był porażony talentem Queen. Jak później wspominał:

- Queen przypominali mi, jak powstawali Beatlesi. Każdy z nich był dokładnym przeciwieństwem pozostałych, cztery punkty na kompasie. Freddie... komponował na instrumentach klawiszowych i miał klasyczne wykształcenie. Bardzo skomplikowany facet. Niesamowicie utalentowany. Brian był rockandrollowym gitarzystą i to on czerpał z tych źródeł. Niesamowicie utalentowany. Roztrzepany. Skupiony. Zdobył dyplom z astronomii. John grał na basie. Ukończył elektronikę z wyróżnieniem. Roger, perkusista, miał dwa dyplomy. Byli chyba najinteligentniejszym zespołem w całej branży. I całkowicie różnymi osobowościami - jechaliśmy na lotnisko i jeden z nich stawał, drugi szedł w prawo, trzeci w lewo, a czwarty na wprost. Ale to im dawało niebywałą kreatywną moc. Gdy spotykali się pośrodku, ze wszystkimi tymi dogrywanymi partiami wokalnymi, efekt był niesamowity.

Każdy był pierwszym pośród równych. Żaden z nich nigdy nie kreował się na lidera. Freddie i Roger, zbyt inteligentni, by sprzysiąc się przeciwko reszcie, z punktu widzenia przyjaźni pozostali współnikami, chociaż Roger wspomniał później, że na początku czuł, że ma więcej wspólnego z Brianem.

- Nie zawsze się dogadywaliśmy, ale zaczęliśmy zdawać sobie sprawę, że się nawzajem potrzebujemy - powiedział w wywiadzie dla „Q” w marcu 2011 roku. - Brian jest moim kumplem, ale zawsze byłem bardzo blisko z Fredem. Chyba byliśmy tymi niepokornymi.

Brian niemal wszystko brał zbyt serio, ale, anielsko cierpliwy, introwertyczny i uparty, rzadko tracił nad sobą panowanie.

- Łączył nas dość złożony, wieloraki związek - wyznał „Q”. - Dlatego nam się udało. Pod pewnymi względami byłem blisko z Rogerem, bo już wcześniej graliśmy razem w jednym zespole. Byliśmy - i nadal jesteśmy - jak bracia. Mieliśmy bardzo podobne aspiracje, spojrzenie na muzykę, ale pod innymi względami oczywiście się różniliśmy. Tak jak wszyscy bracia kochaliśmy się i nienawidziliśmy... Na swój sposób byłem blisko z Freddiem, zwłaszcza jeśli chodzi o pisanie piosenek. Wiele najlepszych chwil przeżyłem, wyciskając z Freddiego wokal, jak gdyby ciągnąc go w rozmaitych kierunkach.

O co najczęściej kłócili się z Rogerem?

- O wszystko, o co tylko można. Wystarczyło, że zaczęliśmy zagłębiać się w szczegóły muzyki, tam też się różniliśmy. Potrafiliśmy całymi dniami kłócić się o pojedynczą nutę.

John niewiele mówił, za to wiele robił, szczególnie w kwestii nadzoru nad finansami Queen. Musiały jednak minąć lata, zanim ucichły spory wokół autorstwa piosenek. Czyje nazwisko znalazło się na singlu (w tym również na stronie B), ten dostawał honorarium. Dopiero gdy czterej muzycy zgodzili się przypisywać wszystkie piosenki

zespołowi jako całości, tak by każdy otrzymywał równą część z każdej produkcji, wzajemna wrogość na tym punkcie ustąpiła. Freddie stwierdził później, że była to jedna z najlepszych decyzji, jakie podjęli. Po pierwsze, ta metoda wydawała się najbardziej demokratyczna, a po drugie, pozwalała rozwiązywać konflikty, zanim zdążyły narosnąć. Wiele zespołów i przyjaźni zostało zniszczonych przez kłótnie o to, komu ile się należy, o czym na własnej skórze przekonał się Tony Hadley, dawny przyjaciel Freddiego. W 1999 roku razem z Johnem Keeblem i Stevem Normanem, kolegami ze Spandau Ballet, postanowił pozwać głównego autora piosenek, Gary'ego Kempa, o, jak się wyrazili, sprawiedliwy udział w dawnych honorariach. Przegrali, a członkowie zespołu zerwali ze sobą kontakt na dziesięć lat. W końcu odłożyli dzielące ich różnice na bok, by powrócić z trasą koncertową w 2009 roku.

Każdy członek Queen wnosił rozmaite i dopełniające się wpływy. Każdy był muzycznie utalentowany. Podczas gdy Freddiego i Briana uważano za „głównych” autorów piosenek o, jak się czasem okazywało, sprzecznych stylach, Roger i John również napisali niektóre z największych przebojów zespołu. Co niespotykane w przypadku kapeli rockowej, każdy z nich skomponował hit Queen (*Freddie Bohemian Rhapsody, Killer Queen, Somebody to Love i We Are the Champions*; Brian z kolei *Tie Your Mother Down, We Will Rock You, Hammer to Fall i Who Wants to Live Forever*; Roger napisał *Radio Ga Ga, One Vision, It's a Kind of Magic i These Are the Days of Our Lives*, John zaś *You're My Best Friend, I Want to Break Free i Another One Bites the Dust*).

- Większość zespołów składa się z wokalisty i całej reszty - komentował publicysta muzyczny Bernard Doherty. - Nie ma zbyt wielu kapel, w których każdy członek wyszedłby na scenę, a ty zacząłbyś robić „wow, wow, wow i jeszcze raz wow”.

- Freddie i Brian wzajemnie się uzupełniali - wyjaśnił Paul Gambaccini. - Ale robili różne rzeczy, dzięki czemu w zespole nie było powodów do zazdrości. Jedynie podziw. Poza tym zdejmowali z siebie odpowiedzialność robienia tego, co wykonywał już ktoś inny. Brian May nie był typem showmana, nie tak jak Freddie, więc ta sytuacja mu pasowała. Brian mógł sobie po prostu stać, robić swoje, a w tym czasie Freddie odwał resztę. Brian nie sterczał sobie ot tak, myśląc „jestem gitarowym bogiem”. Skupiał się na swojej roli, niesamowity widok. Podchodził również z wielką życzliwością do względnej popularności singli, które pisali Freddie, Roger i John. Porównaj to sobie z takim zespołem jak Bread. David Gates zgarniał wszystkie przeboje, a nazwiska pozostałych autorów nie pojawiały się publicznie (wzajemna niechęć między Gatesem i nieżyjącym już Jimmym Griffinem sprawiła, że w 1973 roku Bread się rozpadli). Ale jeśli chodzi o Queen, Brian cieszył się, że piosenki Freddiego odnoszą sukces. Dzięki temu albumy były wyważone i już z tej perspektywy wydaje się to genialne.

W listopadzie 1972 roku, podpisawszy kontrakt z Trident, Queen promowali się w branży w The Pheasantry, modnej knajpie przy King's Road w Chelsea, skąd Bob Geldof kierował później kampanią Live Aid, a gdzie obecnie znajduje się lokal Pizza Express. Wszyscy zainteresowani upomnieli się o zaległe przysługi. W ruch poszły notesy z adresami; wykradali numery, dzwonili i błagali o wsparcie do każdego kontaktu w branży muzycznej, jaki tylko przyszedł im do głowy, a mimo to koncert zgromadził niewielką publiczność i wypadł żałośnie. Sprzęt zawodził, zespół opadł z sił... Dosłownie wszystko nawaliło. Nie zjawiał się ani jeden łowca talentów.

Na pięć dni przed Bożym Narodzeniem Queen zagrali legendarny koncert w Marquee Club przy Wardour Street w Soho. Pierwotnie mieścił się on przy Oxford Street, gdzie w lipcu 1962 roku The Rolling Stones dali jeden

z pierwszych koncertów na żywo. Występowali tam również najlepsi: The Yardbirds, The Who, Jimi Hendrix. Od czasu katastrofalnego wieczoru w The Pheasantry Queen zrobili postępy, nie uzyskali jednak niczego, co choć przypominałoby kontrakt płytowy. Jedyna iskierka nadziei objawiła się im w postaci Jaca Holzmana, dyrektora amerykańskiej wytwórni Elektra Records, który otrzymał od Jacka Nelsona taśmy z ich ukończonym albumem.

- Najpierw słuchałem ich na głośnikach, potem na słuchawkach - wspominał potem Holzman. - Pięknie nagrane i wykonane kawałki. Było tam wszystko: jakby na moim biurku wylądował idealnie oszlifowany diament. Zwaliło mnie z nóg. *Keep Yourself Alive, Liar, The Night Comes Down* - świetne, wspaniale zaaranżowane piosenki, które przypominały najczystsze lody na bazie prawdziwego rock and rolla. Chciałem Queen.

Po ciągnących się w nieskończoność negocjacjach Jack Nelson zarządził, by Jac Holzman poszedł na koncert w Marquee.

- Poleciałem do Londynu - wspominał Holzman - posłuchałem występu, który zorganizował Jack, i byłem strasznie rozczarowany. To, co zobaczyłem na scenie, nijak się miało do mocy, którą słyszałem na taśmie. Ale muzyka tam była. Napisałem im długą notkę, cztery czy pięć stron z pojedynczą interlinią, z moimi przemyśleniami i sugestiami.

Rzeczywiście, przesadny styl Freddiego w tamtym okresie opierał się jeszcze na przypadku i nie każdemu przypadła do gustu. Holzman, Amerykanin, mógł się spodziewać bardziej męskiego i rockandrollowego wykonawcy. Wątpliwe, by oczekiwał baletek, boa z piór i trykotów. Po prostu nie ilustrowały brzmienia Queen z nagrań tak, jak być może wyobrażał to sobie Jac Holzman.

Wkrótce potem Holzmana naszły jednak wątpliwości. Zaczął dostrzegać to, co wcześniej słyszał. Tak, to było coś zupełnie innego i dziwnego, ale coraz bardziej mu się

podobało. Zgodził się podpisać z Queen kontrakt na Stany Zjednoczone. Choć mieli dzielić tę samą, bardzo szanowaną amerykańską wytwórnię z The Doors, członkowie zespołu nadal nie mogli znaleźć sobie wytwórni w Wielkiej Brytanii. Niezadowolająca umowa z Trident obowiązywała nadal.

## Rozdział 9

# EMI

*„Keep Yourself Alive” bardzo dobrze pokazywało ludziom, czym w tamtych czasach było Queen.*

Freddie Mercury

*Jeśli chodzi o artystów, co do których od pierwszej chwili było wiadomo, że są gwiazdami, na myśl nasuwają się jedynie dwa nazwiska: Phil Lynott i Freddie.*

Tony Brainsby, rzecznik prasowy Queen

Pomimo rozlicznych frustracji, jakie mu towarzyszyły, eponimiczny debiutancki album Queen, ukończony w styczniu 1973 roku, był arcydziełem. W następnym miesiącu zespół nagrał występ dla programu radiowego Johna Peela, co samo w sobie stanowiło osiągnięcie, jako że w tamtych czasach nie słyszano, by jakakolwiek nieznana kapela nagrywała transmisję dla Radio 1. Kolejne zrządzenie losu nadeszło, gdy firma zajmująca się dla Queen wydawaniem utworów, B. Feldman & Co, została wykupiona przez EMI Music Publishing, z którą zespół niespodziewanie związał kontrakt. Tym samym posunęli się o jeden krok na drodze do spełnienia marzeń.

- W latach siedemdziesiątych EMI była najważniejszą wytwórnią płytową - wspomina Allan James, dawny kierownik do spraw promocji. Zanim stał się jednym z najsłynniejszych promotorów muzycznych w branży,

pracował dla wytwórni w latach siedemdziesiątych. Jamesie, znany wśród swoich wykonawców jako Facet w Czerni, opiekował się wówczas Eltonem Johnem, Alice Cooperem, Rickiem Wakemanem, Kim Wilde, Eurythmics i wieloma innymi.

- Warner i CBS były amerykańskie - zauważa Jamesie. - Pye, Decca i inne brytyjskie wytwórnie w ogóle się nie liczyły. EMI przy Manchester Square to był cały muzyczny biznes, a także brytyjskie sito dla ówczesnych amerykańskich wytwórni alternatywnych, takich jak Capitol i Motown. EMI, w tamtych czasach największa wytwórnia płytowa na świecie, miała kontrakt z Beatlesami i wszystkie popowe przeboje oraz każdego znaczącego artystę, od Very Lynn aż po Cliffa Richarda. Queen marzyli, by podpisać z nią kontrakt.

- Prezes, sir Joseph Lockwood - wówczas jedyny „sir” w całej branży - był ekstrawagancką i przesadnie staroświecką figurą, Freddie go ubóstwiał. Nikt by go nie przebił. Jak się okazało, dobrali się jak w korcu maku, tyle ich łączyło. Na przykład mania wielkości: za każdym razem, gdy sir Joseph kroczył przez recepcję EMI ze swoją świtą, zawsze czekała na niego winda, by zawieźć go prosto do apartamentu.

- Byli też Eastowie. Ken East w latach siedemdziesiątych piastował stanowisko dyrektora EMI. Wielki, łysy, krzykliwy Australijczyk, który pracował jako kierowca ciężarówki, zanim zajął się branżą muzyczną. Dolly, jego żona, zajmowała się kiedyś PR. I pod pewnymi względami robiła to nadal. Była sporą kobietą, w typie Mama Cass, której nie sposób się oprzeć. Ken uwielbiał artystów i jako jeden z pierwszych opuścił swoją wieżę z kości słoniowej, żeby się z nimi bratać. W EMI roiło się od homoseksualistów, więc Ken i Dolly uznali, że podobnie jest na całej scenie muzycznej.

- Szliśmy na kolację z Cliffem Richardem i szaleliśmy po klubach Soho. To były czasy *Wodnikowego Wzgórza*,



kompletna fikcja. Nic dziwnego, że Freddiego ciągnęło do tego świata. Coś cholernie zachwycającego. Co do EMI, dlaczego miałyby nie chcieć Queen? Ta kapela miała EMI wypisane na twarzach. Dlaczego? Bo byli tak bardzo inni i inteligentni, tak kreatywni. Szli z duchem czasów, słuchali muzyki, jakiej chcieli fani, i wyprzedzali ją o krok. Wiedzieli, co robią, podobnie jak EMI.



*Cliff Richard i Freddie, Nowy Rok, 1985 rok*

Naczelnym łowcą talentów wytwórni w tamtych czasach, który miał zdecydować, czy podpisze ona kontrakt z Queen, był Joop Visser - zapamiętany przez dawnego wokalistę Cockney Rebel, Steve'a Harleya, jako „uroczy, wspaniały Holender”.

- Joop był tym facetem, który odkrył dla EMI trzy cieszące się największą popularnością kapele tamtej ery

i podpisał kontrakty ze wszystkimi jednocześnie - mówi mi Steve. - Pierwszą byli Queen. Drugą Pilot - zespół stworzony przez Billy'ego Lyalla z Bay City Rollers (zmarł w 1989 roku wskutek powikłań AIDS) i Dave'a Pattona. Trzecią, tak na marginesie, byliśmy my. Joop podpisał z Cockney Rebel umowę na trzy albumy, bez praw własności. Na żaden z nich! Po prostu, bez żadnego ściemniania. Dziś o takich umowach się nie słyszy. Joop stworzył moją karierę i zmienił moje życie.

- Miałem dwadzieścia dwa lata i wielkie mniemanie o sobie. Dzięki Bogu, że to był Joop. Każdy na jego miejscu dałby mi po łbie. Joop sprawiał wrażenie człowieka, któremu się ustępuje, do którego chodzi się po radę.

- Byłem niezależnym człowiekiem, trochę hazardzistą, trochę niespokojnym duchem, bardzo aroganckim. Ale Joopa nie mogłem obrazić. Kochałem go z całego serca. Może popełniłem błędy, których Queen udało się uniknąć. Freddiego i mnie łączyło zamiłowanie do teatralności. Nie do glam rocka - ani mojej kapeli, ani kapeli Freddiego nie można tak nazwać. Chodzi o to, że Queen z Freddiem Mercurym jako wokalistą byliby teatralni w każdych czasach. Nie potrzebowali glamrockowej etykiety, która by to potwierdziła albo osadziła w kontekście.

Steve zgadza się, że to fotograf Mick Rock obudził zamiłowanie do teatralności u takich artystów jak Freddie, Bowie czy sam Steve.

- A potem podkreślił je do oporu. Mick był katalizatorem. Zawsze łączył ze sobą ludzi. Pamiętam, jak któregoś dnia przyprowadził Micka Ronsona [świętej pamięci gitarzystę Spiders from Mars Bowiego, Mott the Hoople, Van Morrison i wielu innych zespołów] do mojego mieszkania przy Edgware Road, mówiąc, że powinniśmy się poznać i że świetnie się dogadamy. Oczywiście, miał rację. Muzycy kochali Micka. Człowiek chciał go mieć w swoim zespole, nawet jeśli wiązało się to z ryzykiem. Był muzykiem rockowym, jednocześnie nim nie będąc.

- Mick wszędzie mnie fotografował, robił z Queen kapitalne rzeczy. Rozumiał mnie i Freddiego, popierał naszą kreatywność. Zespoły takie jak Queen czy Cockney Rebel wiedzą, że muszą zatrzęsnać branżą. W głębi serca jestem wokalistą folkowym, ale w tamtych czasach się tego wypierałem. Przeklęty Woodstock. Czasy zgrywania pedała w makijażu minęły. Wiem, że Freddie czuł podobnie, parę razy rozmawialiśmy na ten temat przy kolacjach w Legends. Wiedziałem też, że musieli kochać Joopa równie mocno, co ja. Zwłaszcza Freddie.

Nie była to jednak miłość od pierwszego wejrzenia. Visser szukał zespołu, by wypełnić pustkę, jaka powstała, gdy Ian Gillan odszedł z Deep Purple po wyczerpującej trasie koncertowej Machine Head. Ale początkowo Queen nie zrobili na Holendrze wrażenia. On także widział ich występ w Marquee Club 20 grudnia 1972 roku, lecz nie był nim zachwycony. Obserwował ich podczas prób, nie do końca przekonany. Przyznał między nami, że członkowie zespołu go nie wzruszyli. Czekają ich sporo pracy.

Po kolejnym występie promocyjnym w Marquee Club 9 kwietnia 1973 roku i następnych trzech miesiącach skomplikowanych negocjacji z Trident, podczas których studio stawiało bardzo twarde warunki, nie zamierzając ustąpić, Visser w końcu podpisał z Queen kontrakt dla EMI. Warto było pocierpieć i poczekać. Queen pozostali w EMI do końca kariery... niemalże. (Dopiero trzydzieści osiem lat później, pod koniec 2010 roku, w przededniu rozpoczęcia przez Briana i Rogera obchodów czterdziestej rocznicy istnienia zespołu, Queen porzucili tonący statek EMI i związali się z Universal Music Group. Od stycznia 2011 roku ich nagrania ukazują się nakładem wytwórni Island Records).

Pierwszy oficjalny singiel Queen *Keep Yourself Alive* - napisana przez Briana piosenka otwierająca ich debiutancki album - ukazał się 6 lipca 1973 roku. Byli jednak skazani na porażkę. Towarzyszący singlowi atak

promocyjny został uznany za „robienie szumu”, co – w dzisiejszej branży muzycznej na irytującym porządku dziennym – wówczas uważano za przejaw oportunistów i złego gustu. Freddie, który wierzył, że Queen robią wszystko tak, jak trzeba, nie mógł być bardziej sfrustrowany. Singiel nie przebił się, pięciokrotnie odrzucony przez autorów zestawień radiowych państwowej stacji Radio 1. Taki przypadek miał miejsce po raz pierwszy i ostatni w karierze Queen. Jedyńm didżejem, który zagrał ich piosenkę na antenie, był nieżyjący już Alan „Fluff” Freeman, nazywany przez Johna Peela „największym didżejem absolutnym ze wszystkich didżejów”. Puścił singiel w sobotnie popołudnie podczas swojego nowego programu *Rock Show*, poświęconego muzyce ciężkiej i progresywnej.

Niezrażona EMI wrzuciła najwyższy bieg. Prawdopodobnie najlepszą szansą dla zespołów na pokazanie się w tamtych czasach był udział w kultowym programie BBC *The Old Grey Whistle Test* prowadzonym przez didżeja Boba Harrisa. Tytuł programu pochodził od dawnego zwrotu z Tin Pan Alley (społeczności wydawców muzycznych i autorów piosenek): kiedy przyjeżdżał pierwszy nakład wytłoczonych płyt, dyrektorzy puszczali je portierom w szarych uniformach. Jeśli piosenka zrobiła na nich tak duże wrażenie, że zaczęli pogwizdywać melodię po pierwszym odsłuchu, uznawano, że przeszła test. W przeciwieństwie do cotygodniowego *Top of the Pops* w *The Old Grey Whistle Test* prezentowano jedynie albumy. Program utrzymywał się na antenie od szesnastu lat, podczas gdy współczesne porównywalne produkcje rzadko doczekują się drugiej edycji.

„Biały egzemplarz” albumu Queen – nieopisana płyta w cieniutkiej okładce – został dostarczony do działu produkcji *OGWT*<sup>[23]</sup>. Promotor zapomniał jednak podać

na etykiecie nazwy zespołu i wytwórni. Nikt nie miał pojęcia, kto przysłał płytę ani kto na niej grał.

- W tamtych czasach lwią część albumów przychodziła ze Stanów - wspominał Mike Appleton, producent *OGWT*. -

Z tej przyczyny wiele zespołów nie mogło stawić się w studiu i zagrać na żywo. Żeby to jakoś obejść, zacząłem wybierać albumy, a Phil Jenkinson, utalentowany facet, dopasowywał nagrania do odpowiednich wizualizacji. Dzisiaj wiele osób twierdzi, że to doprowadziło do wynalezienia teledysku. Po fakcie mogę powiedzieć, że było to dość mordercze dla przemysłu muzycznego. Zabierało pieniądze i siłę oddziaływania, jakie dawał występ na żywo. Pozamykano rockowe knajpy i w końcu wszystkie programy rockowe zaczęły wyglądać tak samo.

Tworzenie wizualizacji okazało się jednak bardzo przyjemne.

- Fani zaczęli przełączać odbiorniki na *Whistle Test* tylko po to, żeby je obejrzeć - zgodził się Appleton. - Wśród artystów, którzy pojawiali się regularnie, byli Little Feat, ZZ Top, JJ Cale, wczesny Springsteen, Lynyrd Skynyrd - mógłbym co tydzień puszczać ich *Freebird*, a i tak otrzymywałbym prośby o ten kawałek. W tamtych czasach cieszył się największą popularnością. Mieliśmy spory repertuar - animacje, filmy abstrakcyjne, eksperymentalne, wszystko razem. Pomysł sprawdził się wyśmienicie. Któregoś dnia wziąłem z biurka ten „biały album” i zauważyłem, że nie był opisany. Równie dobrze mogłem go zignorować albo wrzucić prosto do kosza, ale tak się złożyło, że go włączyłem, nie mając pojęcia, że pochodzi z pierwszego nakładu debiutanckiego albumu Queen.

To, co usłyszał, zrobiło na Appletonie tak wielkie wrażenie, że postanowił puścić *Keep Yourself Alive* w najbliższym programie.

- Zacząłem wydzwaniać po ludziach, usiłując ustalić nazwę i źródło. Nikt nic nie wiedział. Wreszcie zadzwoniłem do Phila i powiedziałem: „Puśćmy to. Powiemy

w programie, że nie mamy pojęcia co to i kto to, ale jeśli ktoś wie, niech da nam znać". Phil wydobył jakiś czarno-biały animowany materiał filmowy ze srebrnym, opływowym superpociągiem, z twarzą F.D. Roosevelta z przodu, który mknął przez Amerykę z prędkością światła. Materiał pochodził z kampanii z lat trzydziestych. Następnego dnia zadzwoniono do nas z EMI, mówiąc, że ten zespół to Queen, o czym zamierzaliśmy poinformować widzów w następnym tygodniu. Ale widzowie okazali się szybsi. Zasypała nas lawina listów od rozentuzjasmowanych fanów, co było bardzo niecodzienne.

Album ukazał się 13 lipca 1973 roku - przypadkiem dwanaście lat przed triumfalnym koncertem Queen na stadionie Wembley podczas Live Aid. Nie wzbudził zachwyty dziennikarzy muzycznych. Większość w najlepszym razie zlekceważyła album. Niektórzy byli mu niechętni - w szczególności Nick Kent z „New Musical Express”, który opisał go jako „wiadro szczyń”, zapoczątkowując długi spór między Queen i szanowanym tygodnikiem. Tyle dobrego, że album trafił do publiczności. Przez siedemnaście tygodni utrzymywał się na liście przebojów, osiągając dwudziestą czwartą pozycję, i otrzymał złotą płytę.



*Freddie ze świętej pamięci amerykańskim kompozytorem i muzykiem Michaelem Kamenem podczas przerwy między zdjęciami do teledysku „Who Wants to Live Forever”, 1986 rok.  
Kamen był autorem orkiestracji*

Po kolejnym nagraniu dla Radio 1 - radiowcy nadal ostentacyjnie ich ignorowali - Trident zarezerwowało dla Queen Shepperton Studios, by popracowali nad nowymi piosenkami i przećwiczyli dotychczasowy materiał. To właśnie w Shepperton zaczęli kręcić pierwszy film promocyjny, jako że Trident niedawno zajęło się również produkcją filmową za pośrednictwem swojej kolejnej filii, Trillion. Obraz wspierający utwory *Keep Yourself Alive* i *Liar* miał wyreżyserować przyszły potentat filmowy, Mike Mansfield.

- Film promocyjny, wtedy na etapie zarodka, stał się w przemyśle muzycznym tak nieodłącznym narzędziem, że wkrótce wytwórnice płytowe zaczęły wydawać niezliczone tysiące na czołowych reżyserów, pełne przepychu lokalizacje i olśniewające efekty specjalne, byle tylko wepchnąć wykonawców na listy przebojów - mówił Scott Millaney, który wyprodukował wiele najbardziej kultowych teledysków w dziejach, w tym *Video Killed the Radio Star* The Buggles, pierwszy teledysk pokazany na kanale telewizyjnym MTV w 1981 roku, *Ashes to Ashes* Davida Bowie i *I Want to Break Free* Queen. Ostatecznie jego firma MGMM stworzyła dziesięć klasycznych teledysków Queen.

- Branża filmów promocyjnych, ze wszystkimi jej sztuczkami i technikami, w końcu się wyczerpała - przyznał Scott. - Przemysł płytowy nie zapomniał jednak o ludziach i cykl rozpoczął się na nowo. Ale w latach siedemdziesiątych wciąż było to ekscytujące, świeże i nowe medium, które w znaczącym stopniu wspomogło kariery wielu wykonawców, spośród których kilku niczym nie zasłużyło na rozgłos.

Zdaniem Scotta, na powodzenie filmu promocyjnego składają się trzy kluczowe elementy: muzyka i tekst piosenki, występ na żywo oraz charakterystyczny wizerunek artysty. Przy odpowiednich proporcjach jedna emisja takiej produkcji może zrobić więcej dla promocji utworu i szybciej wyrobić wykonawcy pozycję niż dowolna liczba emisji radiowych. W rezultacie wielu artystów całkowicie zrezygnowało z występów na żywo, ponieważ zdawali sobie sprawę, że w teledysku można stworzyć złudzenie perfekcji, której występ nigdy nie zapewni.

- Tyle że filmowanie jest wymagające i wyczerpujące - zauważył Scott. - Zdjęcia często zaczynają się o świcie i kończą późno w nocy. Gorączkowy rozkład zajęć odbija się na artystach. Firmy takie jak nasza zrobiły z kręcenia teledysków nie tylko osobną branżę, ale też formę sztuki. Eksploatowaliśmy tę filozofię do tego stopnia, że w końcu



możliśmy powiedzieć wytwórniom płytowym: „Jeśli chcecie mieć to, co najlepsze, będziecie musieli zapłacić fortunę”. Współpracowałem z najbardziej kreatywnymi partnerami pod słońcem. Wyznaczaliśmy standardy, działaliśmy dwa lata przed MTV. Pojawienie się MTV zmieniło wszystko.

Pierwsze doświadczenia Queen z tym medium nie były zbyt zachęcające. Zespół czuł się niezręcznie w studiu i nie zgadzał się z Mansfieldem, który doprowadzał ich do frustracji, odrzucając większość artystycznych sugestii „nowicjuszy” na rzecz pomysłów „bardziej doświadczonego człowieka”, czyli własnych. Zwłaszcza Freddie miał wrażenie, że Mansfield nie rozumie ich spojrzenia na muzykę, a jego wizje są przestarzałe, przewidywalne oraz „pełne jego samego”. Końcowy rezultat uznano za słaby i porzucono. Kiedy przyszedł czas na *Liar*, Queen odmówili ponownej współpracy z Mansfieldem. Zgodziwszy się, że osiągną zamierzony efekt jedynie na własną rękę, połączyli siły z Bruce’em Gowersem, inżynierem z londyńskich Brewer Street Studios, by stworzyć coś „bezpośrednio dostrojonego do własnych pomysłów zespołu na to, jak powinni być prezentowani. Ten świetny film jako pierwszy promował Queen, ponieważ jednak w tamtych czasach istniały nieliczne telewizyjne rynki zbytu, aż do dziś mało kto go widział”, jak napisali w książeczce załączonej do kolekcji DVD *Queen Greatest Video Hits 1*. Utwór *Liar*, napisany przez Freddiego na ten sam album, nigdy nie ukazał się w Wielkiej Brytanii jako singiel, a jedynie w Ameryce Północnej, gdzie miał bardzo słaby montaż. Wersja filmu, która pojawia się na DVD, nie była wcześniej publikowana.

Queen zrozumieli, że tylko zachowując niemal całkowitą kontrolę nad pracą, mogą się na tyle rozluźnić, by zaryzykować z własną kreatywnością. Na tym wzorcu miała się oprzeć cała ich kariera.

- Nie uważam, że mieli świra na punkcie kontroli - powiedział mi pierwszy rzecznik prasowy Queen, Tony

Brainsby, w 1996 roku, cztery lata przed śmiercią. - Ale zawsze wiedzieli dokładnie, czego chcą, i bardzo trudno im było pójść na kompromis albo się do czegoś zmusić. Mieli bardzo jasne poglądy na poszczególne kwestie, więc sugerowanie im czegokolwiek innego w zasadzie miało się z celem.

Trident zatrudniło Brainsby'ego za kosmiczną kwotę, by stworzył publiczny wizerunek Queen. Sam będąc gwiazdą, robił dość spore wrażenie na scenie muzycznej i krążył po Londynie w rolls-roysie. Niesamowicie chudy, patykowaty i w okularach, zwykle ubrany w czarną marynarkę ze stójką, spodnie rurki i rollingstonki, był dokładnie takim rzecznikiem prasowym, z jakim Freddie mógł się związać. Oprócz obowiązkowego ekscentrycznego wizerunku rodem z lat sześćdziesiątych Brainsby miał także rockowe kwalifikacje. Jako nastolatek dzielił w Soho mieszkanie z Erikiem Claptonem i Brianem Jonesem z The Rolling Stones. Jego rubryka w magazynie „Boyfriend” zapewniała mu regularny udział w przesłuchaniach do programu telewizyjnego *Ready Steady Go!*, a ten z kolei zainspirował go do stworzenia własnej agencji PR. Kiedy poznał Queen, Brainsby był najbardziej pożądanym rzecznikiem prasowym w muzycznym Londynie. Kierował swoim imperium z wielkiego, rozłożystego domu przy Edith Grove, między Fulham Road a King's Road, pełnym uschniętych roślin doniczkowych, rockowych lasek i setek telewizorów. Ci z nas, którzy jeszcze żyją, pamiętają trwające po kilka dni imprezy u Brainsby'ego.

Brainsby przyjaźnił się blisko z Mickiem Rockiem, który był fotografem na jego ślubie, a do jego klientów zaliczali się najważniejsi artyści tamtych czasów, począwszy od Cata Stevensa i Thin Lizzy, a na Mott the Hoople i The Strawbs skończywszy.

- Podejście Queen wzięło się od ich amerykańskiego menadżera Jacka Nelsona z Trident - wspominał Brainsby. - Zajmowanie się właściwie nieznaną grupą nie było w moim

stylu. Ale Queen to zupełnie inna sprawa. Pamiętam, jak poszedłem do Imperial College, żeby ich zobaczyć. Nie mieli tam sceny, jedynie parkiet taneczny. Freddie odstawiał na nim to swoje pozowanie w białej pelerynie i tak dalej. Tamten występ bardzo odbiegał od tego, na czym skończyli. Lecz Freddie z pewnością miał osobowość i prezencję. Już wtedy dopiął występ na ostatni guzik.

Brainsby'emu najbardziej zaimponował fakt, że Freddie nie był łasy na zaszczyty.

- Moim zdaniem to godne pochwały, że nigdy nie kreowali się jako „Freddie Mercury i Queen”. Zawsze trzymali się wizerunku zespołowego. Freddie nigdy nie próbował występować w roli lidera. O ile mi wiadomo, relacje między nimi były zwykle zgodne. Jak na muzyków rockowych byli nietypowi, bo bardzo inteligentni. W ich obecności człowiek czuł się niekompetentny.

Brainsby przyznał, że na początku współpracy wykorzystywał Freddiego do udzielania wywiadów częściej niż Briana, Rogera czy Johna.

- Potem nauczyłem się rozdzielać wywiady po równo. Po pewnym czasie Freddie brał na siebie tylko te najważniejsze. Później robił to Brian. Zawsze opowiadał, jak skonstruował sobie gitarę z obudowy kominka, więc łatwo mu szło. Dzięki temu trafili do poważniejszych czasopism muzycznych. Roger, który wyglądał jak idol z plakatu, dobrze wypadł w magazynach dla nastolatków typu „Jackie” czy „19”. Był t a k i śliczny. Przynajmniej nie wybrzydzało co do magazynów, co akurat dobrze się składało, biorąc pod uwagę, że wielu dziennikarzy nie odpowiedziałyby im nawet na pytanie, która jest godzina. Chociaż muszę przyznać, że w kwestii fotografii zachowywali się grymaśnie. Każdą musieli zatwierdzić osobiście, zanim mogłem cokolwiek wypuścić. Freddie był najbardziej wrażliwy. Chodziło o zęby. Był również perfekcjonistą.

Typowa Panna. Nawet stworzył dla zespołu logo z herbem, w które wpisał ich znaki zodiaku.

To wszystko znalazło potem naśladowców w postaci fikcyjnej kapeli heavymetalowej Roba Reinera, o której w 1984 roku nakręcono kultowy film niby-dokumentalny *This Is Spinal Tap*.

Brainsby, opanowany i wyluzowany, od razu dał się uwieść Freddiemu.

- Miał wiele małych, stylowych dziwactw, które zapadały w pamięć. Malował czarnym lakierem paznokcie albo prawej, albo lewej dłoni. Albo tylko u małego palca. Co drugie zdanie wtrącał „skarbie!” albo „kochanie!”, a jego afektowana dykcja była bardzo zabawna i ujmująca. Wspaniały kompan, człowiek nigdy się przy nim nie nudził. Dziewczyny uwielbiały, kiedy wpadał do biura.

- W tamtym czasie, rzecz jasna, mieszkał z Mary. Jego życie seksualne było dla nas wszystkich całkowitą tajemnicą, nigdy go nie zgłębiliśmy. Na pewno nigdy o nim nie mówił.

Nie żeby Brainsby socjalizował się z zespołem czy zbliżył w takim samym stopniu do pozostałych jego członków.

- Nigdy nie lubiłem spoufalać się z klientami. Mylenie ich z najlepszymi kumplami to jeden z największych błędów w branży PR, bo oni zwyczajnie robią sobie jaja. Artyści potrafią być jak wrzód na dupie, jeśli się do nich za bardzo zbliżysz. Zostawiałem to moim dziewczynom z biura. Po to tam są.

- Rock and roll - zakończył Brainsby, mówiąc w imieniu wszystkich - to nieobliczalny, niestabilny, emocjonalny, napędzany ego biznes. Podobnie jak jego gwiazdy. Popracuj w tym interesie tyle, ile ja przepracowałem, a przestanie cię zaskakiwać fakt, że niemal każdy artysta rockowy to ekscentryk z paranoją. Branża tak na nich wpływa.

Dobłą stroną Freddiego stanowił fakt, że był s y m p a t y c z n y m ekscentrykiem.

- Szczerze go podziwiałem - powiedział Brainsby. - Emanował twórczą mocą, która nie była wymysłem jego wyobraźni. Ona naprawdę istniała. Wiedział, że ta moc w nim drzemie, bez względu na to, ile miał wtedy lat... chyba dwadzieścia siedem. Jak na zespół u progu kariery, byli dość starzy, prawda? Freddie nosił w sobie tę moc od zawsze. To musiało być strasznie frustrujące, wiedzieć, że masz to, czego ci trzeba, desperacko próbować wspiąć się na sam szczyt i przez tyle czasu obchodzić się smakiem.

Freddie stwarzał pozory człowieka, który od dzieciństwa dokładnie zdaje sobie sprawę, do czego jest zdolny.

- Desperacko szukał ujścia dla swojej kreatywności. Sukces musiał mu przynieść wielką ulgę. Zdarzało się, że walczył zaciekle o coś, czego pragnął, co niekoniecznie obnaża tę miłą stronę osobowości. Konieczność kopania, szarpania się, bicia, krzyczenia, żeby wyrzucić wpływ i przedrzeć się do ludzi, zawsze odciska swoje piętno. Właśnie w tym punkcie znajdował się Freddie, kiedy się nim zająłem.

Najbardziej pożądanym rzecznikiem prasowym w Londynie nie był jedynym, którego czekała ciężka przeprawa.

## Rozdział 10

# Kumple

*Sposób, w jaki zabraliśmy się do swojej kariery, może się wydawać beznamiętny i wyrachowany, ale nasze ego nie godziły się na nic, co nie było najlepsze. Zawsze myślałem o nas jak o zespole z najwyższej półki. Brzmi to bardzo pyszałkowato, wiem, ale tak już jest.*

Freddie Mercury

*To, co wyróżnia Queen na tle innych zespołów rockowych, to fakt, że zabrali się aktywnie do pisania przebojów. Możesz być największym muzykiem świata, ale napisanie trzyipółminutowej piosenki, którą zanuci cały świat, jest niewiarygodnie trudne. Jeśli temu sprostasz i dodasz do tego wspaniałe umiejętności muzyczne, wtedy masz szansę odnieść sukces. Właśnie w tym tkwi ich sekret.*

James Nisbet, gitarzysta sesyjny

Nadszedł sierpień 1973 roku i Queen powrócili do Trident Studios, by nagrać drugi album.

Dzięki niesłabnącym wysiłkom Tony'ego Brainsby'ego, starającego się nadać Queen jak największy rozgłos, zespołowi wreszcie przydzielono ich własny czas nagraniowy w studiu - również w ciągu dnia, gdyby tego chcieli.

13 września zebrali się w Golders Green Hippodrome, by nagrać ważną sesję dla BBC Radio.

Jeff Griffin, producent BBC, wspomina:

- W Golders Green Hippodrome nagraliśmy w ramach *In Concert* pierwszą sesję Queen na żywo, którą poprowadził Alan Black [świętej pamięci powściągliwy szkocki didżej, rysownik i animator filmu Beatlesów *Yellow Submarine*, pomysłodawca serii *In Concert*]. Grali niecałą godzinę. Ich supportem był Peter Skellern. Muszę przyznać, że z dzisiejszej perspektywy to dość osobliwe połączenie. Queen przystali na takie warunki. Po Freddie'ciu widać było pewne zdenerwowanie. Niespecjalnie mnie to dziwi, bo nie sądzę, żeby często grali na żywo. Program poszedł dobrze i wzbudził spore zainteresowanie.

Tamtego miesiąca Elektra, ich amerykańska wytwórnia, wypuściła w Stanach pierwszy album Queen. Po tym, co przeszli w Wielkiej Brytanii, nie spodziewali się zbyt wiele. Spotkało ich przyjemne zaskoczenie, kiedy amerykańscy didżeje ogłosili Queen ekscytującym nowym brytyjskim odkryciem i zaczęli puszczać ich album na antenie. Lawina popularności wyniosła płytę na listę przebojów Billboardu, gdzie wspięła się na przyzwoitą osiemdziesiątą trzecią pozycję - nie lada wyczyn w przypadku nieznanego zespołu. Ich osiągnięcie nie przeszło bez echa. Brainsby przedstawił Queen innym znakomitym wykonawcom ze swojej stajni, niepoprawnym Mott the Hoople. Wokalistą Mott był sardoniczny kędzierzawy Ian Hunter. Choć w londyńskich klubach zgromadzili grupę oddanych fanów, sprzedaż ich albumu okazała się rozczarowująca. W 1972 roku zakończyli działalność, by zejść się ponownie na prośbę Bowiego, który wziął ich pod skrzydła własnych menadżerów. Mott podpisali nowy kontrakt z CBS Records (późniejsze Sony), a Bowie napisał i wyprodukował ich przebój *All the Young Dudes*. W 1973 roku Mott wprowadzili na listę dwudziestu największych hitów kolejne piosenki, w tym *All the Way From Memphis* i *Roll Away the Stone*, co skłoniło ich do zorganizowania występów w Wielkiej Brytanii. Obejmująca dwadzieścia koncertów w najlepszych

lokalizacjach trasa rozpoczęła się 12 listopada w Leeds Town Hall, a zakończyła tuż przed Bożym Narodzeniem w londyńskim Hammersmith Odeon. Dzięki Brainsby'emu oraz łapówce (kupowanie udziału w trasie innego zespołu stawało się powszechnie przyjętą praktyką) towarzyszyli im Queen.

Pierwszego listopada w Kursaal w Southend-on-Sea - pierwszym na świecie parku rozrywki, starszym niż ten na nowojorskiej wyspie Coney Island - Freddie, Brian i Roger zaśpiewali z Mott chórką w *All the Young Dudes*.

Maverick Radio Caroline, nielicencjonowana radiostacja nadająca ze statku zakotwiczonego na wodach międzynarodowych tuż u wybrzeży Anglii, powstała w 1964 roku. Samozwańczo rzuciła wyzwanie monopolowi wytwórni płytowych i ani myślała sprzedać tanio skórkę BBC za nadawanie muzyki na terenie Wielkiej Brytanii. Zapoczątkowała karierę wielu popularnych didżejów, takich jak Tony Blackburn, Mike Read, Dave Lee Travis, Johnnie Walker czy Imperator Rosko. Dni świetności Caroline zakończyły się w 1967 roku za sprawą ustawy przeciwko piractwu radiowemu, która w sierpniu tego roku wyjęła spod prawa nielicencjonowane radiostacje i wyrwała z letargu BBC. Ta ostatnia miesiąc później powołała do życia nową „radiostację młodzieżową”, Radio 1, prowadzoną przez ulubieńca Caroline, Tony'ego Blackburna. Caroline miała jeszcze powrócić. Tymczasem, gdy Radio 1 stanęło na nogi, na pierwszy plan wysunęło się Radio Luksemburg.

David „Kid” Jensen dołączył do Luksemburga w 1968 roku w wieku zaledwie osiemnastu lat. Urodzony w Kanadzie didżej prowadził między północą a trzecią nad ranem audycję *Kid Jensen's Dimensions*, która stała się jednym z najbardziej popularnych programów stacji, przyciągając rzesze fanów, między innymi przyszłego premiera Wielkiej Brytanii, Tony'ego Blaira.



Jensen po raz pierwszy spotkał Queen w październiku 1973 roku podczas zorganizowanej przez EMI trasy promocyjnej po europejskich miastach. Po Francji, Niemczech, Holandii i Belgii zespół zatrzymał się w Luksemburgu, by dać zaplanowany przez Kida koncert na żywo.

- Od 1968 aż do 1973 roku Radio Luksemburg, jako jedyna spośród liczących się w Europie stacji, puszczało rock i pop - tłumaczy Jensen. - Radio 1 kończyło wtedy nadawać wczesnym wieczorem, a w jego miejsce wchodziło Radio 2 - wielu słuchaczy przełączało wtedy odbiorniki na nas. Skupialiśmy się na tym, co nazywano „progresywnym” brzmieniem. Stacja była modna, wszyscy ówcześni artyści chcieli się z nią związać. Po śmierci Jimiego Hendriksa któregoś wieczoru spotkałem na imprezie jego dziewczynę. Powiedziała mi, że Jimi uwielbiał mój program. „Wracaliśmy z imprez, żeby cię posłuchać”, powiedziała.

- Od początku byłem pod wrażeniem Queen. Pierwsza ich piosenka, jaką usłyszałem, to *Keep Yourself Alive* z debiutanckiego albumu zespołu. Zawsze lubiłem muzykę opartą na gitarze, ale to było coś innego, coś niesamowicie energetycznego. Mieli wszystko: Johna, cichego, rzetelnego basistę. Briana, genialnego gitarzystę. Rogera, niesamowitego perkusistę, który w pełni cieszył się życiem gwiazdy rocka. I Freddiego Mercury’ego, wspaniałego showmana, być może największego ze wszystkich. Pomimo wyśmienitych nagrań i przełomowych technik, ich kariera utknęła w miejscu. Wiedziałem, że nie puszczały ich w Radio 1. Kiedy usłyszałem, że przyjeżdżają z trasą promocyjną, zorganizowałem dla nich mały koncert w Blow Up Club w centrum miasta, na jakieś dwieście osób.

- Na szczęście właściciele klubu uwierzyli mi na słowo, że wybrałem odpowiednie kapele, więc miałem wolną rękę. Na widowni siedziała starsza młodzież około dwudziestki. Tamtego wieczoru program był mieszany: Queen mieli

zagrać razem z innymi, naprawdę wyśmienitymi wykonawcami rockowymi, takimi jak Status Quo, Wishbone Ash, The Grateful Dead i Canned Heat. Radio Luksemburg zamierzało zarejestrować cały koncert, żeby później go wyemitować. Niestety, sprzęt zawiódł i nie mamy żadnego nagrania. Nawet w tamtych czasach przewyższali innych klasą.

- Pamiętam, że po koncercie wróciliśmy do pokoju hotelowego Freddiego z ich promotorem, Erikiem „Monsterem” Hallem. Siedzieliśmy do późna, rozmawiając o wszystkim i o niczym. Freddie był bardzo rozmowny i miły, wspaniały gospodarz. Nic mu nie przeszkadzało.

- Polubiłem ich jako ludzi - dodaje Jensen. - Napisałem o nich artykuł dla „Record Mirror”. Otwarcie spierali się z niektórymi krytykami, którzy nie od razu ich pokochali, a ja to szanowałem. Nie chodziło im tylko o seks, narkotyki i rock and rolla, choć to też robili. Roztaczali aurę intelektualizmu. Pomyślałem, że każdy z nich odniesie sukces we wszystkim, czym się zajmie. Jestem bardzo wdzięczny Queen, pomogli mnie i mojemu programowi. Mogłem puszczać ich późno w nocy w Radiu Luksemburg i zdobyłem tym wielką popularność.

Byli coraz bardziej znani, a ich występy podczas trasy Mott the Hoople spotykały się z rewelacyjnym przyjęciem fanów. Freddie wreszcie miał to, czego zawsze tak pragnął: zagwarantowaną publiczność, podziw, tłumy, które chciały więcej. Przychylne recenzje w prasie muzycznej nadal należały do rzadkości, wciąż panowała opinia, że Queen to niewiele więcej niż „nowe szaty króla”.

- Pieprzyć ich, skarbie, skoro tego nie rozumieją - odparował Freddie do zbitego z tropu Tony’ego Brainsby’ego.

Tony, tak często narażony na gniew i frustrację Freddiego po nieprzychylnych recenzjach, nie mógł nie zauważyć, jaki dramatyczny wpływ wywierało na jego podopiecznego uwielbienie fanów.

- Pomimo złej prasy pewność siebie Freddiego ciągle rosła. Widziałem jednak, że udzielanie wywiadów nie sprawia mu przyjemności. Po pewnym czasie przestaliśmy go w tym celu wykorzystywać, chyba że chodziło o album albo trasę. Rzecz jasna, ta celowa nieuchwytność Freddiego sprawiła, że wydawał się bardziej tajemniczy, co mu odpowiadało.

- Myślę, że w pewnym stopniu stanowimy nieruchomy cel, bo zdobyliśmy popularność szybciej niż większość zespołów - stwierdził po pewnym czasie Freddie, pisząc historię na nowo i udając, że nie pamięta już o długiej, zmudnej i frustrującej wspinaczce niemal na sam szczyt. Po tylu męczarniach można mu chyba wybaczyć to oszukiwanie samego siebie.

- W ciągu minionego miesiąca mówiono o nas więcej niż o jakiegokolwiek innej kapeli - ciągnął - więc to nieuniknione. To chyba nie byłoby w porządku, gdybyśmy zbierali same dobre recenzje. Ale wkurzam się, kiedy dostajemy niesprawiedliwe, nieuczciwe recenzje, których autorzy nie odrobili swojej lekcji.

Denis O'Regan, nagradzany fotograf rockowy, który pierwsze szlify w branży zdobywał pożyczonym od wujka aparatem, robiąc zdjęcia Bowiemu w Hammersmith Odeon, pewnego dnia ruszył z Queen w światową trasę jako ich oficjalny fotograf. Patrząc, jak występują przed Mott w tym samym miejscu w 1973 roku, mógł tylko zachwycać się pretensjonalnością i pewnością siebie wokalisty Queen.



*Oficjalny fotograf Queen Denis O'Regan z autorką, Londyn, 1996 rok*

- Już wtedy, gdy grali jako zwykły support, Freddie przyjmował wszystkie te figury i pozy - wspomina Denis. -  
W przerwach rozmawiał trochę z publicznością, przedstawiał kolejne piosenki. Brian May był fantastyczny. Nigdy wcześniej nie słyszałem o Queen, ale w tamtych czasach człowiek oglądał supporty tak samo, jak właściwy koncert. Odwróciłem się do mojego przyjaciela, George'a Bodnara (który również został jednym z najbardziej liczących się fotografów rockowych) i powiedziałem: „Za kogo ten idiota się uważa?”. Oczywiście, mniej więcej rok później, kiedy świat już oswoił się z Queen, poznałem odpowiedź na to pytanie. Wkręciłem się w muzykę, po tym jak usłyszałem ich u Johna Peela. Od tamtej pory jestem wielkim fanem Queen.

- Dla mnie - zauważył później Joop Visser - dopiero po trasie z Mott the Hoople naprawdę się zgrali. I to w niesamowitym stopniu. Pod koniec trasy chłopcy z Mott the Hoople byli przerażeni, bo Queen kradli im każdy show.

Tymczasem nastroje w prasie stopniowo się poprawiały. „Elektryzująca atmosfera”, „Rewelacyjna kapela”. Punktem zwrotnym był koncert w Liverpoolu, na którym Queen występowali przed 10cc.

Poproszony o skomentowanie trasy, która zaczęła się jako trasa Mott, a skończyła jako Queen, Freddie odparł:

- Wspaniale, że mogliśmy zagrać z Mott. Ale cholernie dobrze wiedziałem, że kiedy tylko zakończymy trasę, będziemy gwiazdami, przynajmniej w Wielkiej Brytanii.

Wytwórnia EMI, nie dając już sobie rady z zalewem listów od fanów i próśb o zdjęcia, próbowała przerzucić odpowiedzialność na Trident Studios, które również nie mogło lub nie chciało tego robić. Istniało tylko jedno rozwiązanie tego problemu. Pod koniec 1973 roku Queen uruchomili własny oficjalny fanklub, prowadzony przez dwoje dawnych przyjaciół Rogera z Kornwalii, Sue i Pata Johnstone'ów. Choć na przestrzeni lat przechodził z rąk do rąk, kapela ciągle była z nim blisko związana. Fanklub nie tylko istnieje do tej pory, ale również organizuje i prowadzi cieszące się sporym zainteresowaniem coroczne konwenty Queen.

Przy znaczącym poziomie sprzedaży albumu EMI przyspieszyła międzynarodową kampanię. Na styczeń 1974 roku zaplanowano promocyjną wyprawę do Australii. Niestety spadło na nich, kiedy wskutek rutynowych szczepień w ramieniu Briana rozwinęła się tak ostra gangrena, że gitarzyście groziła amputacja. Jego stan polepszył się na tyle szybko, że podróż mogła się odbyć zgodnie z planem. Wtedy przyszła kolej na Freddiego. Podczas lotu do Sydney po raz pierwszy dał o sobie znać jego lęk przed lataniem. Freddie balansował na krawędzi

paniki. Jego strach pogłębiła dodatkowo bolesna infekcja ucha, z której wynikała tymczasowa utrata słuchu. Freddie do końca życia bał się latać. Wydawało się, że nad wyprawą ciąży fatum. Ani Freddie, ani Brian nie byli w formie, a koncerty spotkały się z chłodnym przyjęciem.

Przynajmniej w Londynie sprawy się poprawiły. W głosowaniu czytelników „NME” na najbardziej obiecującego debiutanta Queen zdobyli drugie miejsce – choć nie mieli na koncie jeszcze ani jednego przeboju. W Stanach Zjednoczonych Elektra wypuściła jako singiel drugą piosenkę z albumu, ta przepadła jednak bez śladu. Niezrażona EMI wyznaczyła termin publikacji kolejnego singla. Kiedy 21 lutego 1974 roku w ostatniej chwili zwolniło się miejsce w *Top of the Pops* – ponieważ materiał promocyjny do nowego singla Davida Bowie *Rebel, Rebel* nie był jeszcze gotowy – Queen pognali do studia BBC, by zagrać z playbacku *Seven Seas of Rhye*, jeszcze zanim ten singiel w ogóle się ukazał.

- Pamiętam, jak Freddie pędził Oxford Street, żeby obejrzeć ich występ w telewizorze na wystawie, bo nie mieli wtedy własnego – powiedział Brainsby.

W tym samym tygodniu w pośpiechu wydano singiel, a nastawienie dalej się zmieniało. Drugi album, *Queen II*, był już gotowy i zespół szykował się do pierwszej trasy po Wielkiej Brytanii. Rozpoczęli ją 1 marca w Blackpool i skończyli cztery tygodnie później w Rainbow Theatre w północnym Londynie. Mieszczący się na rogu Isledon Road i Seven Sisters Road lokal został zbudowany jako kino w latach trzydziestych XX wieku. Obecnie znajduje się na liście zabytków i służy zielonoświątkowcom jako kościół. W tamtym czasie był ważnym punktem na muzycznej mapie: to tu w 1967 roku Jimi Hendrix po raz pierwszy podpalił swoją gitarę, to tu The Beach Boys nagrali album *Live in London*, to wreszcie w tym miejscu bisowali Stevie Wonder, The Who, Pink Floyd, Van Morrison, The Ramones i David Bowie.

Próby przed trasą zaczęły się na poważnie w Ealing Studios. Według Brainsby'ego, to Freddie zaproponował, by zatrudnić uznaną projektantkę mody Zandrę Rhodes do przygotowania ich ekstrawaganckich kostiumów scenicznych, ponieważ widział niektóre jej dzieła dla Marca Bolana. Pozostali ochoczo na to przystali. EMI, choć mniej ochoczo, zaakceptowała fakturę opiewającą na astronomiczną kwotę 5 tysięcy funtów, lecz nawet oni musieli przyznać, że jedwabne tuniki z nietoperzymi skrzydłami były bardzo w stylu Queen. Dopiero wtedy Freddie poczuł się na tyle pewnie, by raz na zawsze pożegnać stragan w Kensington Market.

Cztery dni po koncercie w Blackpool *Seven Seas of Rhye* powędrowało prosto na pozycję czterdziestą piątą listy przebojów. Trzy dni później ukazał się album *Queen II*, który zbierał mieszane recenzje i zajął trzydzieste piąte miejsce. Trasę koncertową zakłóciły pewne incydenty, w tym wybuch przemocy na północ od granicy, gdy wśród studentów uniwersytetu w Stirling wywiązała się bójka i dwóch fanów zostało dźgniętych nożem. Co prawda, kapela zdołała zamknąć się w kuchni, lecz dwóch pracowników technicznych odniosło rany i trafiło do szpitala. Odwołano koncert w Birmingham, który miał się odbyć następnego wieczoru, było już jednak za późno. Queen ponownie stali się obiektem nieprzychylnych nagłówek w prasie muzycznej. Fala złej sławy nie ustała po ich występie na Isle of Man pod koniec marca. Mimo wszystko koncert ten zakończył się wielką imprezą z udziałem zarówno członków zespołu, jak i ich otoczenia, na kolejne lata podnosząc poprzeczkę pokoncertowym hulankom. Innym razem publiczność czekająca na rozpoczęcie występu zaczęła śpiewać *God Save the Queen*. Od tamtej pory Queen kończyli w ten sposób każdy swój koncert.

Kiedy *Queen II* wspiął się na siódme miejsce listy przebojów, rosnące rzesze fanów zaczęły sięgać po ich

pierwszy album, który znalazł się wtedy po raz pierwszy na czterdziestym siódmym miejscu. W tym samym czasie Elektra wypuściła go w Japonii, gdzie został przyjęty z entuzjazmem. Trident, EMI i sam zespół nie zdawali sobie sprawy, jaką pozycję Queen osiągną w Japonii.

Sukces miał jednak swoją cenę. Jak zawsze. Gdy Freddie tracił nad sobą panowanie i wybuchał z powodu każdego drobiazgu czy niedogodności, z natury spokojnemu Brianowi kończyła się cierpliwość. Ich złośliwe kłótnie, wyczerpujące dla całego zespołu, zwykle prowadziły do tego, że Freddie wychodził obrażony, a pozostali wzruszali ramionami. W ich oczach tracenie czasu miało się z celem, kiedy czekało ich tyle pracy. Po latach, w upamiętniającym czterdziestą rocznicę istnienia Queen wywiadzie dla brytyjskiego magazynu muzycznego „Q”, Brian i Roger wspominali Freddiego jako rozjemcę.

- Myślę, że wyobrażenie Freddiego jako primadonny to osobliwe zestawienie. W rzeczywistości był wspaniałym dyplomata. Jeśli nawet dochodziło między nami do sporów, zazwyczaj sam potrafił je załagodzić.

Czas czyni cuda. Według Freddiego, Queen „ciągle o wszystko się kłócili - nawet o powietrze, którym oddychamy”.

Sukces debiutanckiej trasy podbudował ich pewność siebie. Ku swojemu zadowoleniu, lecz nie zaskoczeniu, otrzymali od Mott the Hoople zaproszenie jako support na zbliżającą się trasę w Stanach Zjednoczonych, która miała rozpocząć się w Denver w stanie Kolorado i obejmować kilka wieczorów w Nowym Jorku. Pomimo lęku przed lataniem, 12 kwietnia Freddie jako pierwszy wsiadł do samolotu. Na miejscu powitała ich wiadomość, że Elektra wykorzystwała przybycie zespołu, wypuszczając *Queen II* przed planowanym terminem. Nie mogli być bardziej podekscytowani perspektywą swojej pierwszej trasy po Stanach Zjednoczonych, do czego przez tyle lat



dążyli. Teraz to oni budzili zainteresowanie wśród ekstrawaganckich artystów Ameryki.

- Uważaliśmy się za nietypowych - skomentował Brian - ale wiele z tych, którzy przyszli, zaskoczyło nawet nas. Mnóstwo transwestytów, The New York Dolls, Andy Warhol - ludzie kreatywni w sposób, który wbijał w ziemię wszystko, co było dotąd.

Trasa nie przypominała jednak spacerku. Ponownie spadło na nich nieszczęście, tym razem w Nowym Jorku, kiedy Brian, który nigdy tak naprawdę nie doszedł do siebie po infekcji w Australii, zemdlął. Zespół usłyszał, że mają zapomnieć o występie w Bostonie. Gdy u Briana rozwinęło się zapalenie wątroby, stało się oczywiste, że muszą zrezygnować z dalszej trasy. Brian był rozczarowany i dręczyło go wielkie poczucie winy, że zawiódł kolegów.



*Queen: perkusista Roger Taylor, gitarzysta Brian May, basista John Deacon i Freddie –  
zdjęcie z początku 1974 roku, kiedy wyruszyli w pierwszą ważną trasę koncertową  
po Stanach Zjednoczonych*

Po powrocie do domu, chociaż Brian ciągle chorował, Queen przenieśli się do Welsh Rockfield Studios w pobliżu Monmouth w Wye Valley, gdzie zaczęli próby do trzeciego albumu. W latach sześćdziesiątych Rockfield było pierwszym studiem nagraniowym z zakwaterowaniem. Przez ostatnich czterdzieści lat gościło szeroki wachlarz

artystów, takich jak Mott the Hoople, Black Sabbath, Motorhead, Simple Minds, Aztec Camera, The Manic Street Preachers, The Darkness (których twórczość stanowiła niemal hołd dla Queen) czy Nigel Kennedy. Studio to miało stać się bliskie ich sercom. 15 lipca 1974 roku zaczęli nagrywać w Trident, ponownie we współpracy z Royem Thomasem Bakerem. Baker, obecnie nazywany „piątą królową”, na początku lat sześćdziesiątych był inżynierem w Decca i pracował z The Rolling Stones, T. Rex, Frankiem Zappą i Erikiem Claptonem. Organizował też nagrania Nazareth, Dusty Springfield, Lindisfarne i wielu innych, dzięki czemu został jednym z najbardziej szanowanych producentów tamtych czasów. Nagrania, które odbywały się w kilku londyńskich studiach innych niż Trident, mianowicie w Air, Sarm i Wessex, wkrótce wstrzymano, ponieważ Brian znów trafił do szpitala, tym razem z powodu wrzodu dwunastnicy. Trzeba było odwołać planowaną na wrzesień trasę po Stanach Zjednoczonych. Brian wpadł w ciężką depresję, obawiając się, że Queen poszukają innego gitarzysty. Niepotrzebnie się martwił. Pozostali członkowie zespołu pracowali dalej, nagrywając to, co mogli, i zostawiając miejsce na sekwencje gitarowe, które Brian miał dodać później.

Zostało im to wynagrodzone, gdy otrzymali srebrną płytę przemysłu muzycznego za ponad sto tysięcy sprzedanych egzemplarzy *Queen II*. Brainsby jak zwykle wpadł na pomysłowy chwyt reklamowy na ceremonię wręczenia w londyńskiej Café Royal. Wykorzystał w tym celu urodziwą aktorkę Jeannette Charles. Panna Charles zarabiała na życie jako sobowtór Jej Królewskiej Mości i była związana z państwową telewizją. Świetny wybór, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że Queen doskonalili niewinną rockową interpretację brytyjskiego hymnu państwowego, którą zamierzali kończyć swoje występy na żywo.

W październiku 1974 roku wyszedł *Killer Queen*, trzeci singiel zespołu pochodzący z mającego wkrótce się ukazać

trzeciego albumu *Sheer Heart Attack*.

- *Killer Queen* opowiada o call girl z wyższych sfer - powiedział wówczas Freddie. - Chciałem pokazać, że ludzie z klasą też mogą być dziwkami - dodał, jakby robiąc aluzję do samego siebie. - Właśnie o tym jest ta piosenka, choć wolałbym, żeby ludzie interpretowali ją sami - odczytywali tak, jak chcą. Publika jest przyzwyczajona do hardrockowej energii Queen, ale przy tym singlu niemal czekasz, aż zacznie śpiewać Noël Coward. To jeden z tych numerów w czarnym meloniku i podwiązkach - dodał, składając hołd swojemu ulubionemu filmowi, *Kabaretowi* z Lizą Minnelli. - Nie żeby Noël Coward chciał je nosić!

- To był punkt zwrotny - zauważył potem Brian. - Utwór, który najlepiej podsumowywał naszą muzykę, w dodatku wielki przebój. Był nam rozpaczliwie potrzebny jako znak, że odnosimy sukcesy. Nie mieliśmy grosza przy duszy, podobnie jak inne walczące o byt kapele rockandrollowe. Gnieździliśmy się w wynajmowanych pokojach, tak jak pozostali.

*Killer Queen* przedarł się na drugie miejsce listy, ale pierwsze okupował błękitnooki idol David Essex z przebojem o ironicznym tytule *Gonna Make You a Star*. Na skutek osobliwych kolei losu kolejną brytyjską trasę koncertową Queen promował najlepszy rockowy impresario, Mel Bush, który zrobił gwiazdę ni mniej, ni więcej jak z... Davida Esseksa. Zanosilo się, że trasa ta będzie o wiele bardziej ambitna i misterna niż wszelkie dotychczasowe próby Queen. Prasa muzyczna musiała przyznać, że tego unikalnego zespołu nie można skreślić. Nie dość, że *Sheer Heart Attack* zbierał olśniewające recenzje, to w dodatku wszystkie trzy albumy Queen znajdowały się w tym samym czasie na brytyjskiej liście przebojów.

Materiał ilustracyjny z okładki, kolejne dzieło Micka Rocka, odchodził od stylu *Queen II*.

- Chcielibyśmy wyglądać jak rozbitkowie na bezludnej wyspie - Freddie poinstruował Rocka, który wziął sobie do serca jego słowa. Usmarowawszy ich twarze i nagie torsy wazeliną, a następnie spryskawszy wodą, Rock ułożył ich na ziemi, w kole, po czym zrobił zdjęcie z góry. Muzyczna zawartość albumu była równie zaskakująca, budząc zdumienie zarówno krytyków, jak i fanów.

- W 1974 roku mój tata wyszedł i kupił *Sheer Heart Attack* - wspomina Kim Wilde, gwiazda pop, a także córka rockmana z lat pięćdziesiątych, Marty'ego Wilde'a. Sama Kim zdominowała scenę muzyczną w latach osiemdziesiątych, kiedy jej debiutancki singiel, *Kids in America*, zajął drugie miejsce na listach przebojów.

- Miałam czternaście lat i byłam wielką wielbicielką popu, dopiero co sama zaczęłam kupować płyty. Kochałam Slade, Sweet, Mud, Eltona Johna i Marca Bolana. Nie zapominajmy o The Bay City Rollers - cóż, w końcu miałam czternaście lat!

- *Sheer Heart Attack* to do dziś jeden z najbardziej ekscytujących albumów, jakie kiedykolwiek słyszałam. To pierwszy album, który ściągnęłam sobie z iTunes, kiedy świat się „zwirtualizował”. Uwielbiałam wokół Freddiego, jego harmonie i humor. Kochałam też gitarę Briana, tę przejmującą energię i pasję, i bujałam się w Rogerze Taylorze. John Deacon sprawiał wrażenie kleju, który spajał całość. Co za kapela!

Pod koniec października Queen ruszyli w kolejną trasę po Wielkiej Brytanii. Ostatni koncert zagrali w londyńskim Rainbow Theatre 19 listopada. Musieli go jednak powtórzyć 20 listopada, po tym jak bilety wyprzedawały się na pniu. Oba koncerty zostały nagrane z myślą o potomności i przyszłej publikacji. Na kończącym trasę przyjęciu, zorganizowanym w Swiss Cottage Holiday Inn i dość poważnym jak na przyszłe standardy, promotor Mel Bush wręczył zespołowi płytę pamiątkową za sprzedanie wszystkich biletów na całą trasę. Pierwsze europejskie występy,

w Skandynawii, Belgii, Niemczech i Hiszpanii, były zaplanowane na koniec listopada. Sprzedaż albumu na kontynencie sięgała zenitu, rozeszły się bilety na większość koncertów. W Barcelonie, mieście, w którym Freddie z miejsca się zakochał i do którego ciągle wracał, w ciągu dwudziestu czterech godzin sprzedało się sześć tysięcy biletów.

W grudniu Queen doszli do wniosku, że ich pozycja w Trident jest nie do utrzymania. Choć za sprawą sukcesu *Sheer Heart Attack* ich gaża wzrosła z początkowych 20 do 60 funtów tygodniowo, ta suma wciąż nie wystarczała im na życie. Co gorsza, Trident odmówiło im zaliczek na poczet spodziewanych honorariów. John Deacon chciał kupić skromny dom dla siebie i ciężarnej dziewczyny, Veroniki Tetzlaff, lecz Trident nie wypłaciło mu 4 tysięcy funtów. Freddie potrzebował nowego pianina, a Roger małego samochodu. Wszystkie prośby o gotówkę były jednak stanowczo odrzucane. Relacje stały się tak napięte, że trzeba było zatrudnić prawnika specjalizującego się w branży muzycznej, który rozwiązałby problem. Tak właśnie zaczęła się znajomość Queen z Henrym Jamesem „Jimem” Beachem, starszym wspólnikiem z kancelarii Harbottle and Lewis. W 1978 roku został ich menadżerem – zajmuje to stanowisko po dziś dzień. Uwolnienie Queen od rozmaitych umów podpisanych z Trident, które, co zrozumiałe, chciało zatrzymać zespół, zajęło mu dziewięć miesięcy. W tym czasie, ponieważ zarówno singiel *Killer Queen*, jak i album *Sheer Heart Attack* znalazły się w pierwszej dziesiątce amerykańskiej listy przebojów, Queen uznali, że są gotowi na własną trasę koncertową po Stanach Zjednoczonych.

Osiemnastego stycznia 1975 roku John poślubił Veronicę, z którą doczekał się sześciorga dzieci. Piątego lutego zespół wyruszył na swoją wielką amerykańską przygodę. Kolejny raz, pomimo entuzjastycznego wsparcia ze strony Elektry, napotykali szereg przeszkód, a krytycy niefortunnie

porównywali ich do Led Zeppelin. Freddie doznał pierwszych problemów z głosem, nabawiwszy się – lub nie, jak głoszą sprzeczne diagnozy – niezłośliwych guzów w gardle. Przeciwwstawiając się lekarskim zaleceniom, aby przez trzy miesiące nic nie mówił – nedorzecznosc! – następnego wieczoru zaśpiewał pełnym głosem w Waszyngtonie. Ponieważ jego stan raz się poprawiał, a raz pogarszał, Queen nie mieli innego wyboru, jak tylko odwołać część zaplanowanych amerykańskich koncertów. Stało się oczywiste, że Freddie dawał z siebie na scenie zbyt wiele. Jego ciało oraz więzadła głosowe nie wytrzymały obciążenia występów. Musiał odpocząć od tras i nagrań, żeby wrócić do zdrowia. Upłynęło sporo czasu, zanim Freddie i reszta zespołu wzięli to sobie do serca.

Poszczyli im się pod innym względem. Podczas podróży przez Stany Queen mieli umówione spotkanie ze straszliwym Donem Ardenem, urodzonym w Brixton jako Harry Levy, byłym piosenkarzem wodewilowym i komikiem, którego zamierzali zatrudnić jako menadżera, o ile uwolniłby ich od paraliżujących stosunków z Trident. Musieli być zdesperowani. Ten nieżyjący już menadżer i agent muzyczny, który wyśmienicie pokierował karierami Small Faces, Electric Light Orchestra i Black Sabbath, nosił przydomek Angielskiego Ojca Chrzestnego, a to za sprawą groźnych i nielegalnych interesów, jakie prowadził. Legenda głosi, że potrafił „wywiesić” artystę za okno na wysokim piętrze, by nakłonić go do podpisania umowy. Gdy jego córka Sharon wyszła za wokalistę Black Sabbath, Arden został teściem Ozzy’ego Osbourne’a. Pomyśleć, że Queen mogli się znaleźć pod kontrolą Ala Capone rocka... Czy którykolwiek z nich przetrwałby tak długo?

## Rozdział 11

# Rhapsody

*Prawdę mówiąc, „Bohemian Rhapsody” to było coś, co już od dawna chciałem nagrać. Przy poprzednich albumach nie myślałem o tym kawałku zbyt wiele, ale czułem, że to zrobię, kiedy przyjdzie pora na czwarty album.*

Freddie Mercury

*Utwór „Bohemian Rhapsody” jest przełomowy na wielu poziomach i nigdy się nie zestarzał. To prawdziwy kamień milowy w historii rocka, podobnie jak „I’m Not in Love” 10cc – inne nagranie, które zrównało z ziemią wszystkie bariery produkcji muzycznej i wciąż jest świeżutkie. „Good Vibrations” The Beach Boys: możesz włączyć ten kawałek choćby teraz i będzie brzmiał równie dobrze jak za pierwszym razem. „Be My Baby” Phila Spectora: już przy pierwszych dźwiękach masz ochotę tańczyć... Każde wielkie nagranie wytrzymuje próbę czasu. Każde dobre nagranie zaczyna się od dobrej piosenki. Ale nie można oddzielać piosenki od produkcji. W naszych głowach w dużej mierze pobrzmiwa właśnie ta gargantuiczna produkcja, nawet jeśli słyszymy tylko samą piosenkę.*

Steve Levine, producent muzyczny

Queen nie byli gotowi na „beatlemanię”, która czekała na nich w Tokio w kwietniu 1975 roku. Ponad trzy tysiące rozhisteryzowanych fanów tłoczyło się w hali przylotów międzynarodowego lotniska w Hanedzie; wielu wymachiwało własnoręcznie zrobionymi transparentami



i płytami Queen. *Sheer Heart Attack* i *Killer Queen* były w Japonii numerami jeden, a bilety na każdy ich koncert rozeszły się na pniu, zatem takie powitanie bohaterów nie powinno nikogo dziwić. Być może nie zdziwiło Freddiego, który majestatycznie stanął na wysokości zadania, machając i uśmiechając się radośnie. Pewien reporter zażartował, że zapewne poczuł się jak w domu, bo nie musiał ukrywać wystających zębów – podobne miało wielu japońskich fanów. Freddie nie tylko w mgnieniu oka przekonał się do rzeszy wielbicieli, upajał się również samym miejscem. Czy mogło być coś lepszego niż starożytna, daleka kraina, by rozpaść drzemiący w nim zmysł egzotyki – zwłaszcza dla kogoś oderwanego i odseparowanego od własnego kraju? Fascynowało go wszystko, począwszy od japońskiej historii, tradycji i kultury, a skończywszy na zaawansowanej technologii. Wkrótce potem został zagorzałym kolekcjonerem japońskiej porcelany, malarstwa i innych dziedzin sztuki.

Ten kraj i ten człowiek mieli ze sobą sporo wspólnego. Japonia, podobnie jak Freddie, była pełna sprzeczności: stanowiła wiekową osobliwość o złożonym charakterze i wielu twarzach. W uszach Freddiego nazwy tysięcy wysp brzmiały niczym magiczne zaklęcia: Hokkaido, Honsiu, Kiusiu, Sikoku. Pociągali go łagodni i stoicy Japończycy, którzy przetrwali wieki feudalnej opresji, by z takim spokojem ducha podźwignąć się po II wojnie światowej. Freddie wszystko chłonał. Jadł sushi, pił sake, targował się o lalki, jedwabne kimona i pudełka z laki. Bywał w cieszących się złą sławą łaźniach i *kage-me-jaya* („herbaciarniach w cieniu”, rozpowszechnionych przez żołnierzy amerykańskiej armii) oraz spotykał z gejszami – obydwu płci. Zaprzyjaźnił się z Akihiro Miwą, pięknym *drag queen*, który produkował i reżyserował własny kabaret w Ginzie (tokijskim odpowiedniku paryskiego Pigalle czy londyńskiego Soho). Po pierwszej wizycie Freddiego Miwa (w wieku siedemdziesięciu pięciu lat wciąż paradujący

z jasnożółtymi włosami do ramion) zaczął wykonywać piosenki Queen w hołdzie nowemu przyjacielowi.

- Jedyne miejsce, w którym Freddie kiedykolwiek zachowywał się jak prawdziwy turysta, była Japonia - wspominał potem jego osobisty asystent Peter Freestone. - To, co japońskie, stało się dla niego pasją, której oddawał się cały, podczas gdy pozostałe miejsca na świecie traktował jak noclegownie.

Koncerty rozpoczynający i kończący trasę Queen, w Nippon Budokan Hall w Tokio, były niezapomniane. Nawet ochroniarze o posturze zawodników sumo nie zdołali powstrzymać dziesięcioletniej rzeszy rozhisteryzowanych nastolatków. Podczas pierwszego występu Freddie musiał w pewnym momencie przerwać i prosić fanów, by przez wzgląd na własne bezpieczeństwo wzięli głęboki oddech i się uspokoiłi. Ta sama historia powtarzała się w każdym mieście, w którym grali.

W Wielkiej Brytanii czekały na nich dobre i złe wieści. Zespół, teraz ulubieniec straszliwie kapryśnych brytyjskich mediów, a także laureat nagrody imienia Ivora Novello i belgijskiego Golden Lion Award za *Killer Queen*, wciąż walczył z kryzysem zwanym Trident. Bracia Sheffield zainwestowali w nową kapelę 200 tysięcy funtów. Sam album *Sheer Heart Attack* kosztował 30 tysięcy funtów - z dzisiejszego punktu widzenia to tyle, co nic, w tamtych czasach było wygórowaną kwotą. Teraz, gdy Queen mieli przeboje, spodziewali się zysków, lecz ku swojemu przerażeniu odkryli, że wciąż są winni Trident fortunę. Choć w oczach świata odnieśli sukces, nadal byli splukani. Nie potrafili znieść tej świadomości. Mogli jedynie przysiąc i zabrać się do pisania kolejnych piosenek na kolejny album. Nie obyło się bez napięcia, kiedy zaczęły wyładowywać na sobie wzajemne frustracje, czym tylko podsycali pogłoski, że postanowili rozwiązać zespół. Właśnie takiej plotki było trzeba, żeby Queen opamiętali się

i ogłosili rozejm. Siedzieli w tym razem. Osiągnęli z Trident porozumienie, zgodnie z którym zespół miał zostać zwolniony z kontraktu w zamian za jednorazową kwotę 100 tysięcy funtów oraz honorarium za sześć następnych albumów w wysokości jednego procenta. Nie dysponowali taką gotówką, by od razu załatwić sprawę, mogli jednak podpisać nowe umowy z brytyjską EMI Records i amerykańską Elektrą. Ta sztuka udała im się z małą pomocą przyjaciół.

\* \*  
\*

Sierpień 1975 roku zastał Queen w wynajętym domu w Herefordshire w trakcie prób do czwartego albumu, *A Night at the Opera*. Tytuł pochodził z komedii braci Marx, uwielbianego przez nich przeboju z 1935 roku. Następnie przenieśli się z powrotem do studia Rockfield, które zyskało legendarny status, po tym jak nagrali w nim chórki do *Bohemian Rhapsody*. Brian wspominał, że kiedy Freddie zjawił się z pomysłem, sprawiał wrażenie, jakby w głowie miał już wszystko dopięte na ostatni guzik.

Piosenka, epickie dzieło łączące wstęp *a cappella*, instrumentalną partię na fortepianie, gitarze, basie i perkusji, niby-operowe interludium oraz bogate rockowe zakończenie, w pierwszej chwili wydawała się niewykonalna.

- Zachodziliśmy w głowę, jak on zamierza to wszystko połączyć - stwierdził Brian.

Utwór powołał do życia cały zastęp niejasnych klasycznych odniesień w postaci Scaramouche'a, klauna z *commedii dell'arte*; astronoma Galileusza; Figara, głównego bohatera komedii Beaumarchais'go *Cyrulik sewilski* oraz *Wesele Figara*, na których podstawie powstały opery Paisiella, Rossiniego i Mozarta; Belzebuba, znanego w chrześcijańskim Nowym Testamencie jako Szatan, Księżę

Demonów, lecz w arabskiej tradycji jako „władca much” albo „pan siedziby na wysokości”. Z tego samego źródła pochodziło słowo *bismillah*, rzeczownik z formuły rozpoczynającej sury Koranu: *bismi-llahi r-rahmani r-rahiim*, czyli „w imię Allaha miłosiernego, litościwego”.

Kiedyś, podczas przyjęcia w apartamencie hotelowym w Budapeszcie w 1986 roku, wyłożyłam Freddiemu swoją teorię na temat postaci z *Bohemian Rhapsody*. Scaramouche to Freddie we własnej osobie, prawda? Podsunął nam tę myśl, powracając do tematu płaczącego klauna w innych piosenkach (pajace w *It's a Hard Life*). Galileusz, szesnastowieczny astronom, matematyk, fizyk i ojciec współczesnej nauki, z pewnością oznaczał Briana. Belzebubem najwyraźniej był Roger, największy imprezowicz, z „diabłem już czekającym na jego kumpla”<sup>[24]</sup>. Naciągałam przy ironicznej wzmiance o Johnie, „tym nieśmiałym”, w którym widziałam Figara - lecz nie bohatera opery, a kociaka z animowanego filmu Disneya *Pinokio* z 1940 roku. Cóż, Freddie kochał swoje koty. Może nie... ale jak sam stwierdził, wszystkie teorie są dozwolone. Nigdy nie pisał słowa na temat znaczenia słów „Bo Rap”; nawet Kenny’emu Everettowi, zaprzyjaźnionemu didżejowi, powiedział, że to „przypadkowy bezsensowny rym”. Dlaczego w takim razie miałyby zdradzić mi prawdę? Nigdy tego nie oczekiwałam. Przez chwilę patrzył na mnie, po czym odpowiedział uśmiechem godnym Mony Lisy.

Ciągnący się w nieskończoność proces nagrywania odbił się na wszystkich zaangażowanych - zwłaszcza na taśmie, a to za sprawą niekończących się warstw wokalnych.

- Ludzie uważają, że to legenda - powiedział Brian - ale przez uniesioną pod światło taśmę można było patrzeć na wylot... Za każdym razem, gdy Freddie dodawał kolejne „Galileo”, coś traciliśmy.

W londyńskich Sarm East Studios i Scorpio Studios rozpoczęły się nagrania kolejnych ścieżek. Nie obyło się bez

problemów, jak wspomina Robert Lee, przyjaciel i były artysta.

- Dopiero co zacząłem nagrywać z duetem Levinsky/Sinclair [duet przypisany do Charismy Tony'ego Strattona-Smitha, znanej z *The Kenny Everett Show*] - mówi Lee, który obecnie prowadzi oficjalną stronę internetową The Who. - Freddie przyjaźnił się z moim współlokatorem, w każdy piątkowy rano jeździliśmy do Portobello po antyki. Pamiętam, że zawsze szczyił się nienagannym gustem. Wciąż mam dwie chińskie ryciny, które kazał mi kupić, kiedy szukałem prezentu dla mamy... Wróciły do mnie po jej śmierci.

- John Sinclair, obecnie rabin z Jerozolimy, był właścicielem Sarm Studios na końcu ulicy Brick Lane. Bywała tam jego siostra, świętej pamięci Jill. [Miała później tragiczny wypadek]. Queen miksowali właśnie *Bohemian Rhapsody*. U steru Roy Thomas Baker, Freddie i spółka - przy pulpicie. To był dwudziestoczterościeżkowy megamiks, w którego skład weszły taśmy pomocnicze [zawierające zmiksowane ścieżki z taśmy matki, na które dogrywało się partie wokalne i instrumentalne], wstępne miksy i próbne miksy z podgłośnionymi partiami do odsłuchu. Trzeba było niezwykle precyzyjnie dopasować wyciszenia odpowiednich partii, cały proces okazał się bardzo zawiły. Ślęczeli nad tym całymi godzinami, usiłując zgrać ze sobą całość - ciągle bez efektu. I nagle nastąpił cud, to było to. Wszystko szło idealnie. Uporali się z tym, zbliżali się do końca. Wszyscy byli spięci, ale bardzo szczęśliwi. Aż nagle niespodziewanie zgasły światła... i weszła Jill, z dumą niosąc wielki tort ze świeczkami i śpiewając: „Sto lat, kochany Freddie, sto lat!”. Musieli zacząć od nowa...

- „Is this the real life... is this just Battersea<sup>[25]</sup>” - Allan James śpiewa z uśmiechem. - *Bohemian Rhapsody* od pierwszego dnia była parodiowana, a to najszczerza

forma pochlebstwa. Tym sześciominutowym singlem Queen zmienili wszystko.

- To nagranie było prawdziwym dziełem sztuki - mówi Frank Allen, basista Searchers - dalekie od tego, co oferowały inne zespoły. Sposób, w jaki nałożyli na siebie ścieżki, mając do dyspozycji jedynie dwudziestoczterościeżkowe rejestratory - w tamtych czasach świetny sprzęt, ale z dzisiejszego punktu widzenia skromny i ograniczający - robił wrażenie i zaowocował mistrzowskim popisem w postaci *Bohemian Rhapsody*. Nawet dziś trudno pojąć, jak oni to zrobili. Każda nowa warstwa harmonii oznaczała spadek jakości dźwięku, a genialne dzieło dzieliła od katastrofy niepokojąco cienka linia. Geniusz odplacił im się z nawiązką.

W tamtych czasach nie było oczywiste, jak wiele wspólnego mieli Freddie Mercury i Elton John. W 1975 roku nie mogli nawet podejrzewać, że Elton jako jeden z ostatnich będzie trzymał Freddiego za rękę, gdy ten, szesnaście lat później, będzie umierał.

Po raz pierwszy spotkali się przelotnie w latach sześćdziesiątych, kiedy Freddie zobaczył mało jeszcze znanego śpiewającego pianistę w słynnym Crawdaddy Club w Richmond w hrabstwie Surrey. Klub słynął na świecie z występów czołowych amerykańskich bluesmanów oraz swojego wsparcia dla Rolling Stonesów. Założony przez filmowca Giorgio Gomelsky'ego pod koniec 1962 roku lokal początkowo mieścił się w Station Hotel, naprzeciwko stacji kolejowej w Richmond. Później został przeniesiony na teren miejscowego stadionu, by pomieścić więcej fanów. W Crawdaddy swoje pierwsze występy dawali Eric Clapton i The Yardbirds, Led Zeppelin oraz Rod Stewart. Był to dokładnie ten rodzaj klubu, do jakiego aspirował Freddie. Miał o czym marzyć, kiedy pozował do aktów podczas wieczornych zajęć w swoim college'u za 10 funtów tygodniowo.

Dla tych, którzy utrzymywali bliskie stosunki zarówno z Eltonem, jak i Freddie, podobieństwa między nimi były uderzające. Obaj wyglądali na wrażliwe dzieci o samotniczym usposobieniu, które od wczesnych lat brały lekcje gry na pianinie. Obaj zmienili nazwisko - Elton z Reginald Kenneth Dwight na Elton Hercules John; podobnie jak Freddie zaczerpnął imię od rzymskiego boga. Droga Eltona do sławy była długa, kręta i najeżona przeszkodami. Obaj nie akceptowali swojego wyglądu i wyrobili sobie dziwaczny styl - w przypadku Eltona obejmował on ekscentryczne okulary, buty na koturnach, stroje zdobione piórami i frędzlami - by ukryć to, co sami uważali za brzydotę. Obaj z zakłopotaniem milczeli o swojej seksualności.

James Saez, muzyk, producent i inżynier z Los Angeles, który pracował z Madonną, Led Zeppelin, Radiohead i Red Hot Chili Peppers, uważa, że seksualność to klucz do sztuki zarówno Eltona, jak i Freddiego.

- Czy istniało coś trudniejszego, niż być homoseksualistą w latach siedemdziesiątych i ujawnić swoją seksualność bez, cóż, ujawniania się? - docieka James. - Całkiem prawdopodobne, że Elton stworzył dla siebie nową osobowość, pełną kostiumów, teatralności, by uporać się z tym dylematem i nadal móc się otwierać. Sądzę, że „Farrokh” borykał się z podobnym problemem. Zawsze mnie w nim uderzało, że choć sprawiał wrażenie silnego i charyzmatycznie ekstrawaganckiego, jednocześnie jakimś sposobem wydawał się naprawdę kruchy i niemal niewinny.

Elton, tak jak Freddie, miał dziewczyny. Związki te dla zewnętrznego świata wyglądały na konwencjonalne romanse. Ponoć Renate Blauel, niemiecka inżynier dźwięku, nigdy nie otrząsnęła się po rozpadzie jej krótkiego małżeństwa z Eltonem w 1984 roku. Od 1988 roku zaczął on otwarcie przyznawać się do homoseksualizmu, a w 2005 roku zawarł cywilne małżeństwo z filmowcem Davidem Furnishem. Mają syna, Zachary'ego Jacksona Levona

Furnisha-Johna, którego w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 2010 roku urodziła surogatka.

Osobowości Freddiego i Eltona rozwijały się podobnie. Nauczyli się wzajemnie polegać na swojej przyjaźni.

- Elton to niezła sztuka, prawda? - zauważył Freddie. -

Kocham go na zabój i uważam, że jest fantastyczny. Przypomina mi jedną z tych ostatnich hollywoodzkich aktorek, które coś jeszcze w sobie mają. Był pionierem rock and rolla. Kiedy spotkałem go po raz pierwszy, zrobił na mnie cudowne wrażenie, jedna z tych osób, z którymi od razu znajdujesz wspólny język. Powiedział, że podoba mu się *Killer Queen*, a każdy, kto tak twierdzi, trafia na moją białą listę. Moja czarna lista pęka w szwach!

Wkrótce dała jednak o sobie znać ta tragiczna strona łączących ich podobieństw. Pewien psychoanalityk powiedział o Eltonie w *Tantrums & Tiaras*, dokumencie telewizyjnym wyprodukowanym przez Davida Furnisha:

- To urodzony nałogowiec. Cierpi na zespół obsesyjno-kompulsywny. Jak nie alkohol, to narkotyki. Jak nie narkotyki, to jedzenie. Jak nie jedzenie, to związki. A jak nie związki, to zakupy. Wiesz, moim zdaniem ma wszystkie pięć nałogów.

Sam Elton nie zaprzeczył temu werdyktowi. Piosenkarz wykazał się odwagą, pozwalając na emisję tych poglądów, i w rezultacie doświadczył olbrzymiego wzrostu poparcia publicznego. Było to najprawdziwsze odbicie lustrzane osoby, której wierną podobizną Freddie stał się w połowie lat osiemdziesiątych, kiedy sława i związane z nią zamieszanie odcisnęły na nim swoje piętno.

Najważniejsze, co łączyło ich w 1975 roku, to przebojowy Szkot, John Reid.

Urodzony w Paisley dwudziestosześcioletek, żądny władzy magnat kontrolujący biznes wart 40 milionów funtów, wszedł w ich życie tylnymi drzwiami. Na początku pracował w sklepie z męską odzieżą, w branży muzycznej zaczął natomiast od funkcji promotora. Pełen ambicji



towarzyskich Reid awansował, pielęgnował przyjaźnie z osobami na świeczniku i przez mniej więcej pięć lat był konkubentem Eltona. Jego menadżerem został w wieku zaledwie dwudziestu jeden lat. Reid również nie potrafił się zdecydować w kwestii swojej seksualności: w 1976 roku zmienił front, choć na krótko, i zaręczył się z Sarah Forbes, rzeczniczką prasową jego własnego biura Rocket Records. Sarah jest córką reżysera filmowego Bryana Forbesa i aktorki Nanette Newman. Otrząsnąwszy się po rozstaniu, poślubiła aktora Johna Standinga (sir Johna RONALDA Leona Standinga, czwartego baroneta Bletchley Park). Zawodowy związek Reida z Eltonem trwał dwadzieścia osiem lat, lecz miał burzliwe zakończenie. W 2000 roku Elton wytoczył Reidowi proces przed sądem wyższym, oskarżając menadżera o złe zarządzanie finansami.

Również w 1975 roku Elton połączył siły z drugim Szkotem, który sam wyrabiał sobie nazwisko: Rodem Stewartem. Obaj pracowali z Long Johnem Baldrym i zgodzili się wspólnie wyprodukować album, który miał ożywić blednącą karierę Baldry'ego. Podczas nagrań wpadli na pomysł, by zgodnie ze starą teatralną tradycją zwracać się do siebie żeńskimi imionami. Elton zyskał przydomek Sharon Cavendish, którym to nazwiskiem zwykle posługiwał się w trakcie tras koncertowych. Rod wybrał imię Phyllis, po aktorce Phyllis Diller. Baldry został Adą, a John Reid - Beryl, ku czci brytyjskiej aktorki Beryl Reid. Gdy tylko Freddie usłyszał o ich pomysle, stwierdził, że musi się przyłączyć. Został Meliną, po greckiej aktorce Melinie Mercouri. Cliff Richard z powodu olbrzymiej liczby oprawionych płyt, którymi był nagradzany przez dekady, stał się Silvią Disc, a Neil Sedaka, z podobnych powodów, Goldą Disc. Pewnego dnia Freddie zatrudnił całą świętę znaną pod żeńskimi imionami. Jego osobisty asystent w jednej chwili przeistoczył się w Phoebe (Peter Freestone), dawny kochanek, a ówczesny kucharz - w Liz (Joe Fanelli), osobisty zaś menadżer Paul Prenter - w Trixie. Również

przyjaciele i koledzy z zespołu ulegli: Brian był Maggie, jak w przeboju Roda *Maggie May*. Roger – Liz, po Elizabeth Taylor. David Nutter, brat słynnego krawca Tommy’ego Nuttera, Dawn, a Tony King, asystent Micka Jaggera i wieloletni przyjaciel Freddiego, Joy. Z kolei Mary Austin stała się Stevem, jak Steve Austin z *The Six Million Dollar Man*. Czy miała coś przeciwko?

- Nikomu n i e w o l n o było mieć nic przeciwko! – śmiała się Phoebe. - Jeśli dostałeś „imię”, to znaczy, że zostałeś zaakceptowany. Co ciekawe, John Deacon nigdy go nie miał. Może dlatego, że był zbyt nieśmiały.

Gdy po sześciu latach męczącej wędrówki po świecie Elton dobrowolnie przeszedł na półemeryturę, John Reid, który był jego menadżerem i kierował wytwórnią płytową Eltona, Rocket Records, zapragnął powiększyć swoje imperium. Jak łatwo zgadnąć, rzucił się na okazję współpracy z Queen. Chociaż zespół miał na oku kilku innych kandydatów – między innymi Petera Granta, menadżera Led Zeppelin, Petera Rudge’a, menadżera tras koncertowych The Who, czy Harveya Lisberga, menadżera 10cc – drogą eliminacji stanowisko przypadło Reidowi. Nie był to szczyt niczych marzeń, pomimo że Reid zaczął imponująco, zdobywając 100 tysięcy funtów, by zespół mógł spłacić Trident. Dokonał tego, zwyczajnie zwracając się do EMI o zaliczkę na poczet przyszłych honorariów.

Elton powiedział ich wspólnemu menadżerowi, że to gwarantowana kłapa. EMI i branża jako taka zgłaszały wątpliwości. Stacje radiowe zastanawiały się, co mają zrobić z sześciominutowym singlem. Nawet basista John Deacon wyraził obawę, aczkolwiek na osobności, że wydanie *Bohemian Rhapsody* będzie największą pomyłką w karierze Queen. Jak na piosenkę, która weszła do historii muzyki jako rockowy klasyk wszech czasów, początki miała niepewne. *Bohemian Rhapsody* tak bardzo różniła się od dotychczas akceptowanych rockowych konwencji,

że nawet ci, którzy z miejsca poznali się na jej wielkości, nie kwapili się do puszczenia jej w obieg.

Kto wie, co naprawdę pobudziło wyobraźnię Freddiego i zainspirowało go do napisania tej piosenki? Dekadencka i niebosięzna, przepelniona lekko zawołowaną agonią i ekstazą, stanowi niemożliwe połączenie baroku i ballady, wodewilu i monster rocka. Jej osobliwe elementy wiąże łańcuch kakofonicznych gitarowych zgrzytów, klasycznych sekwencji fortepianowych, imponujących aranżacji orkiestrowych i bogatych chórów o zróżnicowanym charakterze, miksowanych do tego stopnia, że w niewłaściwym nastroju nie da się tego słuchać. Na całym świecie być może istnieje garstka fanów rocka, którzy nie znają tego utworu na pamięć.

- Chociaż to najbardziej zaskakujący, rewolucyjny i niesamowity kawałek, mam już go serdecznie dość - przyznał Phil Swern, producent Radio 2 i kolekcjoner muzyczny. - Z alarmującą regularnością pojawia się na wszystkich playlistach, puszczają go do znudzenia. Mimo to nikt nie zaprzeczy, że to wybitny utwór. Trwa prawie sześć minut i łamie wszelkie zasady. Czy istnieje coś podobnego? Jak zwykle Beatlesi: *A Day in the Life* (ostatni utwór z albumu *Sgt Pepper's Lonely Hearts Club Band* z 1967 roku, trwa pięć minut i trzy sekundy). *Stairway to Heaven* Led Zeppelin (osiem minut i dwie sekundy, najczęściej zamawiana przez słuchaczy radiowych piosenka w Stanach Zjednoczonych, choć na tym rynku nigdy nie ukazała się jako singiel). I *McArthur Park* (siedem minut i dwadzieścia jeden sekund) Jimmy'ego Webba, nagrana przez Richarda Harrisa.



*Freddie u progu gwiazdorstwa w 1975 roku, który należał do „Bohemian Rhapsody”*

- Wystarczy zrobić krok w tył i perspektywa zmienia wszystko - zauważył Paul Gambaccini. - Trudno się dzisiaj ekscytować trwającą trzy i pół minuty piosenką rockową czy popową, skoro takie przydługie arcydzieła jak *Bohemian Rhapsody*, *McArthur Park*, *Hey Jude*, *Light My Fire* i *American Pie* już zostały nagrane. Nikt nie aspiruje do takiego poziomu muzycznych osiągnięć. Możemy teraz

spojrzeć na te utwory jak na dokonania z najwyższej półki. Don McLean nie stworzył *American Pie* jako singla, bo nie mieściło mu się w głowie, że to mógłby być singiel. Trwał osiem i pół minuty. To wytwórnia płytowa podzieliła go na dwie części. Don był prawdziwym artystą i myślał o *American Pie* w kategorii przeboju. To było arcydzieło, ale nagrał je jako płytę długogrającą. Podobnie rzecz się miała z *Bohemian Rhapsody*, ostatnim utworem z albumu *A Night at the Opera* z 1975 roku.

- Okej, tak, Freddie tę piosenkę napisał - dodał Paul - ale Brian zagrał niewiarygodne pasáže gitarowe w części środkowej, Roger zaśpiewał wysokie nuty, John również miał w tym swój udział. To fantastyczne, jak się podzielili rolami. Podobnie postępowali później przy indywidualnych kompozycjach. Jestem pewien, że to pomogło im utrzymać się jako grupie. Potrzebny był jeszcze geniusz pokroju Kenny'ego Everetta, który usłyszałby i dostrzegł w *Bohemian Rhapsody* klasyczny singiel.

Everett, znany jako Ev, bliski przyjaciel Freddiego, pochodził z Merseyside. Ten były prezenter Radia Luksemburg i przyjaciel Beatlesów wyrobił sobie renomę jako didżej w stacji Radio 1 oraz prezenter i komik we własnych programach *Kenny Everett Video* i *Kenny Everett Television*. W 1989 roku stwierdzono u niego AIDS. Zmarł wskutek powikłań w 1995 roku, w wieku pięćdziesięciu lat. W 1966 roku ożenił się z byłą piosenkarką pop, „Lady Lee” Middleton, dawną dziewczyną piosenkarza Billy'ego Fury, która w końcu została jasnowidzką i uzdrowicielką duchową Lee Everett Alkin. Para rozstała się w 1979 roku, kiedy Everett ujawnił swoją orientację seksualną. Uważa się powszechnie, że zaraził się od swojego rozwiązłego rosyjskiego kochanka, Nikolai Grishanovicha, który cieszył się wśród gejów złą sławą („ta bezmyślna cipa Nikolai”), przyczyniając się do rozszerzenia epidemii AIDS w Londynie na początku lat osiemdziesiątych bardziej niż jakikolwiek inny człowiek. Niektórzy sądzą,

że to Grishanovich, były żołnierz Armii Czerwonej, który sam przegrał z chorobą w 1990 roku, zaraził Freddiego – chociaż kilku moich rozmówców wierzy, że to świętej pamięci Ronnie Fisher, dawny rzecznik prasowy CBS/Sony.

- Nie sędzę, żeby daty pasowały do teorii „Nikolai zaraził Freddiego” – wyjaśniał Paul Gambaccini. - Nie przypominam sobie, że bym spotkał Nikolaiia przed tamtym rokiem [1987], kiedy rząd rozpoczął kampanię uświadamiającą – bo pamiętam, że spotkałem go z Freddie, tuż przed tym, jak kampania miała ruszyć. Rok czy dwa lata później u Freddiego wystąpiły pierwsze objawy. Za wcześnie, jeśli wziąć pod uwagę, że od zarażenia do początku choroby mija przeciętnie kilka lat. Poza tym wiem, że Freddie był, jak to mawiają nasi rodzice, rozwiązły od późnych lat siedemdziesiątych, co idealnie pasuje do dziesięcioletniej średniej. Możliwe, że to był Nikolai... ale naprawdę mało prawdopodobne.

- Nie wiem, gdzie Freddie i Nikolai się poznali – dodał Paul – ale nie zdziwiłbym się, gdyby to było w Coleherne w Earl's Court. To był jeden z ulubionych pubów Freddiego [drugi to London Apprentice w Shoreditch], mieścił się w pobliżu jego domu. Jak się powszechnie sędzi, właśnie w tym pubie przybysz z Ameryki wprowadził HIV do Londynu. Zachorował cały krąg jego znajomych.

Jako że Ev i Freddie pociągali za sznurki na tych samych scenach, gejowskiej i muzycznej, ich ścieżki musiały się w końcu przeciąć.

- Nigdy nie myślałem, że Freddie i Kenny byli kochankami – mówił Paul. - W przeciwnym razie wszyscy z naszego otoczenia by o tym wiedzieli. Nigdy nie brałem tego pod uwagę, ponieważ mieli zbyt podobne seksualne wizerunki. Rzecz jasna, to nic nie znaczy w przypadku jednorazowego numerku dwóch nietuzinkowych osób, ale ta myśl po prostu nie mieści mi się w głowie. Mówiąc wprost, razem wyglądali głupio.

Everett odegrał kluczową rolę w wydaniu *Bohemian Rhapsody* i jako pierwszy zagrał singiel na antenie. Otrzymał demo razem z dokładnymi instrukcjami, by go nie puszczać, tylko odesłać do Freddiego razem z opinią. Everett był zachwycony nagraniem i puścił je czternaście razy w ciągu jednego weekendu, za każdym razem wmawiając szefowi, że „palec mu się omsknął”. Jego tupet zwrócił uwagę Londynu na najpopularniejszą piosenkę w dziejach, pozostaje jednak przedmiotem dyskusji, czy to on zrobił z niej międzynarodowy przebój.

- W 1975 roku miałem swoją własną codzienną audycję w Radio 1 - mówił David „Diddy” Hamilton o niezmiernie popularnym programie, który każdego dnia przyciągał szesnaście milionów słuchaczy. - Najpierw był Noel Edmonds w *Breakfast Show*, późnym rankiem Tony Blackburn, Johnnie Walker w porze lunchu, a ja po. Każdy z nas miał swoją Płytę Tygodnia. Wybranie Abby czy Bee Gees było banalnie proste, wszystkie ich single automatycznie stawały się przebojami. Ale czasami trzeba myśleć niesztampowo. Tamtego października wpadł do mnie znany promotor Eric Hall.

- Mieszkałem wtedy przy Hallam Street, za BBC Broadcasting House, i często podrzucano mi do domu różne płyty - wspominał Diddy. - Tamtego dnia przyszedł z *Bohemian Rhapsody*, powtarzając: „Ale potwór! To może być wielki hit!”. Słuchając tego kawałka, pomyślałem sobie, że to coś zupełnie innego niż jakakolwiek piosenka pop, którą znałem. Innowacyjny. Operowy. Wzbijał się, pikował, zapadał w pamięć. Człowiek nie przestawał go nucić. Za to w redakcji zbierała mieszane recenzje. Tony Blackburn stwierdził, że jej nie rozumie. Pozostałym też nieszczególnie przypadła do gustu. W porównaniu z brzmieniem disco, które zyskiwało popularność - *That's the Way I Like It* K.C. and the Sunshine Band i tak dalej - była unikatowa. Queen tworzyli coś zupełnie innego. Stonesi to tradycyjna rockowa

kapela. Queen też mogli grać rocka, ale w gruncie rzeczy nie byli rockmanami. To nie to samo.

- Powiedziałem mojemu producentowi, Paulowi Williamsowi, że chcę zrobić z tego utworu swoją piosenkę tygodnia, tak zwany Hotshot Hamiltona. Zgodził się. Oczywiście w ciągu dziewięciu tygodni nagranie zostało numerem jeden, a do stycznia 1976 roku sprzedawało się ponad milion kopii w kraju i wiele milionów na świecie. Niewykluczone, że to najwspanialsza piosenka w dziejach muzyki pop. Lubię myśleć, że miałem w tym swój udział. Zawsze byłem dumny z hotshotów, które wybierałem, a ten konkretny mnie nie zawiodł. Przez lata ekscytowano się tym, jak to Kenny Everett wykradł kopię singla przed jego oficjalnym wydaniem, jak puszczał go w nieskończoność w Capital Radio, a potem twierdził, że to on przedstawił go światu. Przysporzył piosence olbrzymiej popularności, po czym, gdy stała się przebojem, przypisał to sobie jako zasługę. Tyle że w tamtych czasach Capital było stacją nadającą wyłącznie w Londynie. Poza nim w całej Wielkiej Brytanii nikt jej nie słuchał. Radio 1 nigdy nie zebrało pochwał za zwrócenie uwagi narodu na ten singiel!

Po raz drugi singiel zajął pierwsze miejsce - i utrzymał się na szczycie przez pięć tygodni - w 1991 roku, gdy wydano go ponownie po śmierci Freddiego. Zyskał tym samym status trzeciego najlepiej sprzedającego się brytyjskiego singla w historii i dotarł na szczyt list przebojów na całym świecie. W Stanach Zjednoczonych nagranie wspięło się na miejsce dziewiąte w 1976 roku, a następnie powróciło na listę w 1992 roku za sprawą wielkiej popularności, jaką cieszył się film *Świat Wayne'a*, który oddał słynny hołd *Bohemian Rhapsody*.

Nieżyjący już Tommy Vance, jedno z największych nazwisk audycji rockowych, znany z programów w londyńskim Capital, Radio 1, Virgin Radio oraz VH-1 w telewizji MTV, nazwał *Bohemian Rhapsody* „rockowym odpowiednikiem zamachu na JFK”.



- Wszyscy pamiętamy, co robiliśmy, kiedy usłyszeliśmy to po raz pierwszy - powiedział mi. - Prowadziłem weekendowy program w Capital. Usłyszałem singiel i pomyślałem, że to istny dom wariatów. Był tak wspaniale niejasny, że musiał się przebić. Pod względem technicznym to pomieszanie z poplątaniem. Nie trzyma się żadnego konwencjonalnego ani komercyjnego wzorca. To zwykły ciąg snów, retrospekcji, wizji przyszłości, urywków, całkowicie chaotycznych pomysłów. Zmienia progresję, nastrój, ton, tempo, wszystko bez żadnego wyraźnego powodu - dokładnie tak jak w operze. Ale intencja była nadzwyczajna. Ostateczny optymizm. Ta piosenka ma w sobie coś nieuchwytnego, niezwykłą magię. Jest genialna i wciąż uważana za ikonę. Jaki utwór może się z nią równać? Absolutnie żaden. Ale spróbuj tylko przeanalizować tekst *Bohemian Rhapsody*, a odkryjesz, że jest bez znaczenia.

Nagrodzony Oscarem autor tekstów sir Tim Rice, współtwórca niektórych najwspanialszych widowisk w historii musicalu, takich jak *Joseph and the Amazing Technicolour Dreamcoat*, *Jesus Christ Superstar* czy *Evita*, a także wspólnie z Freddiem autor *Barcelony* z 1988 roku, utworu śpiewanego przez Freddiego i Montserrat Caballé, pozwala sobie nie zgodzić się z tą opinią.

- Dla mnie jest oczywiste, że to piosenka, w której Freddie się ujawnia - mówił mi. - Rozmawiałem nawet na ten temat z Rogerem. Bardzo wczesnie usłyszałem nagranie i uderzyło mnie bardzo jasne przesłanie, jakie jest w niej zawarte. Freddie mówi: „Ujawniam się. Przyznaję, że jestem gejem”.

- Tak, w końcu przyznał się przed sobą samym do homoseksualizmu... ale w rezultacie także przed całym światem, ponieważ ten utwór stał się wszędzie wielkim hitem. „Mama, I just killed a man...”. Zabił starego Freddiego, którym usiłował być, swój dawny wizerunek. „Put a gun against his head, pulled my trigger, now he's

dead” - umarł on, heteroseksualny mężczyzna, którym niegdyś był. „Mama, life has just begun, but now I’ve gone and thrown it all away...”. Pewnie, to tylko moja teoria, ale pasuje. Zastrzelił i zniszczył człowieka, którym usiłował być, i teraz próbuje żyć z nowym Freddiem. Oczywiście, to dość niejasne. Ale zastanów się nad środkową częścią: „I see a little silhouette of a man...”. To on, wciąż prześladowany przez to, co zrobił i kim jest. Dla mnie to ma sens. Za każdym razem, kiedy słyszę tę piosenkę w radiu, wyobrażam, sobie, jak próbuje strząsnąć z siebie jednego Freddiego i wziąć w ramiona drugiego - nawet tyle lat po jego śmierci. Myślisz, że mu się udało? Sądzę, że raczej do tego zmierzał. Freddie był wyjątkowo dobrym tekściarzem, a *Bohemian Rhapsody* to ponad wszelką wątpliwość jeden z najlepszych utworów muzycznych dwudziestego wieku.

Czy w takim razie stanowił on autentyczne odbicie kompozytora? Freddie stanowczo unikał wyjaśnień.

- Czy to znaczy to, czy to znaczy tamto, wszyscy chcą to wiedzieć - wzdychał. - Pieprzyć ich, skarbie. Powiem tylko to, co powiedziałby każdy szanujący się poeta, gdybyś ośmieliła się go poprosić, żeby przeanalizował własny utwór: kochanie, jeśli ty to widzisz, to znaczy, że to tam jest.

Zdaniem Briana, jest rzeczą kluczową, by znaczenie piosenki pozostało niejasne.

- Chyba nigdy się tego nie dowiemy. Gdybym sam je znał, pewnie i tak nie chciałbym ci go zdradzić - stwierdził. -

Z pewnością nie mówię ludziom, o czym są moje piosenki. Uważam, że to je w pewien sposób niszczy, ponieważ wspaniałą rzeczą we wspaniałych piosenkach jest to, że odnosisz je do osobistych doświadczeń własnego życia. Sądzę, że Freddie bez wątpienia zmagiał się z osobistymi problemami, które postanowił opisać w tekście. Na pewno chciał się stworzyć na nowo. Ale nie wydaje mi się, żeby

w tamtym momencie był to najlepszy pomysł, więc postanowił zrobić to później.

Moim zdaniem Brian chciał przez to powiedzieć, że Freddie próbował uniknąć nieuniknionego: zakończenia związku z Mary, by rozpocząć nowe życie jako homoseksualista. Lecz ta myśl tak bardzo go przerażała, że ciągle odkładał decyzję - bał się również, jak wpłynie to na jego rodziców. Na dłuższą metę ujawnienie orientacji bardzo ułatwiłoby mu życie, tak jak w przypadku Kenny'ego Everetta, który swoją szczerością nie zraził sobie ani fanów, ani żony.

- Był, kim był - powiedziała mi Lee Everett. - Nie przestałam go przez to kochać. Do samego końca byliśmy sobie oddani.

- Gdyby Freddie wyznał publicznie, że jest homoseksualistą, ujawniłby się inaczej niż cała reszta - zauważa Simon Napier-Bell. - Inaczej niż George Michael, który zrobił to, gdy został do tego zmuszony. Poza tym nie był gwiazdą rocka, tylko wysokiej klasy piosenkarzem pop. Ujawniając się, Freddie przytarłby nosa zakłamanym homofobom. I byłby to mniejszy krok, niż mu się wydawało, bo wszyscy jego przyjaciele już o tym wiedzieli.

- Mówiąc, że w życiu prywatnym jest innym człowiekiem niż na scenie, w rzeczywistości miał na myśli to, że musiał kryć się w swojej skorupie z powodu strachu, jaki wzbudziłby wśród członków rodziny. Gdyby od razu się ujawnił, środowisko gejowskie byłoby mu wdzięczne za długą, powolną śmierć. Wykorzystałoby ją na swoją korzyść, zmienili we wspianiały, tragiczny show-biznes, zrobiliby z niego nową Judy Garland. Może nawet zaczęłoby mu się to podobać!

Według Franka Allena, basisty z The Searchers, *Bohemian Rhapsody* może stanowić alegorię nowego, wolnego Freddiego, który zabija starego siebie i napawa się prawdziwym, niegdyś ukrytym, Freddie, lecz w końcu ujawnionym.

- Ale może też być czymś zupełnie innym. Nie jestem wtajemniczony, nigdy go o to nie pytałem. Kiedy pytano Dona McLeana o znaczenie *American Pie*, odpowiadał: „To znaczy, że już nie muszę więcej pracować”. Być może *Bohemian Rhapsody* mieści w sobie równie niewinną, bardziej bezpośrednią prawdę. Nie umiem tego ocenić. Jestem zadowolony, mogąc się po prostu cieszyć tym kunsztownie zbudowanym arcydziełem muzyki pop. Wspaniałe połączenie zaowocowało trzyczęściową suitą o zmiennym metrum i różnych nastrojach, przypominającą wielkie klasyki. Na gruncie muzyki pop dało to efekt, jakiego nikt wcześniej nie doświadczył.

Jak zauważył Tommy Vance, prawdziwa wartość *Bohemian Rhapsody* nie wynikała z przełomowego tekstu czy mieszających w głowie melodii. Ani z liczby spekulacji w kwestii znaczeń poszczególnych fraz. Nawet niespotykana częstotliwość odtworzeń na antenie radiowej nie stworzyły przeboju. Stworzyła go telewizja.

## Rozdział 12

# Sława

*„Bohemian Rhapsody” był jednym z pierwszych teledysków, które przyciągnęły taką uwagę jak te dzisiejsze, a kosztował zaledwie 5 tysięcy funtów. Doszliśmy do wniosku, że powinniśmy sfilmować „Rhapsody” i pokazać ludziom. Nie mieliśmy pojęcia, jak będzie postrzegana ani jak ludzie ją odbiorą. Dla nas to była po prostu kolejna forma teatru. Ale rozpętało się szaleństwo. Zrozumieliśmy, że teledysk może dotrzeć do wielu ludzi w wielu krajach, w których nigdy nawet nie byłeś, że można wydać nagranie i teledysk w tym samym czasie. Sprawy potoczyły się bardzo szybko, a sprzedaż płyty mocno podskoczyła.*

Freddie Mercury

*Każdy wielki artysta ma swój moment w historii i musi być na niego przygotowany. Musi wiedzieć, że ten moment może nadejść w każdej chwili, musi czekać w pogotowiu, żeby złapać pałeczkę i nie wypuścić jej z rąk. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, otrzyma piosenkę, która poruszy każdego mężczyznę, kobietę i dziecko. Sentyment jest uniwersalny, załazi za skórę i zostaje tam na zawsze. Geniusz, magia tkwią w umiejętności stworzenia czegoś na ten kształt, a potem przekazania tego innym, nadania mu znaczenia i ekscytacji. Geniusz, który zachowujemy dla siebie, traci sens.*

Jonathan Morrish

- To był pierwszy przebój wylansowany za pomocą multimediiów - stwierdził dawny promotor Allan James. -

Wcześniejsze multimedia Beatlesów przypominały zabawne filmiki towarzyszące singlom. Nikt nie był pewien, jak rozumieć Queen - dlatego właśnie potrzeba było teledysku, żeby ich naprawdę rozgryźć. Od tamtej pory nie dało się już ich lekceważyć i traktować jak kolejnej dziwacznej kapeli z festiwalu rockowych. Wyznaczyli branży zupełnie nowy kierunek.

- Postępy *Bohemian Rhapsody* na listach przebojów zmusiły *Top of the Pops*, by dać im szansę - wspominał didżej Tommy Vance. - Musieli puścić nagranie, jeśli dostało się do pierwszej trzydziestki. A im częściej je grali, tym wyżej wędrowało. Naprawdę niesamowite było to, że teledysk w reżyserii Bruce'a Gowersa, wyprodukowany przez Lexi Godfrey dla Jon Roseman Productions, kosztował zaledwie 5 tysięcy funtów.

Teledysk zapewnił powodzenie Gowersowi, który potem reżyserował *Amerykańskiego Idola*. Został on wziętym producentem i reżyserem specjalnych programów muzycznych i komediowych. Współpracował między innymi z Michaeliem Jacksonem, The Rolling Stones, Paulem McCartneyem, Britney Spears, Robinem Williamsem, Billym Crystalem i Eddiem Murphym.

- Gowers robił w Elstree teledysk - wspominał Vance. - Tego samego dnia w zaledwie cztery godziny nakręcił *Bohemian Rhapsody*. Był naprawdę kreatywny. Korzystał na przykład z pryzmatów dla uzyskania pewnych efektów wizualnych, na długo przed erą elektroniki i komputerów. Skąd czerpał pomysły? Zainspirowało go nagranie. Tworzyło zbiór tak wielu ekscytujących koncepcji, że Bruce po prostu tryskał pomysłami. Podstawowy zamysł opierał się na okładce poprzedniego albumu, którą Bruce musiał ożywić.

Chodziło o okładkę *Queen II* (1974) - surowe, czarno-białe zdjęcie przedstawiające same głowy wszystkich

członków zespołu z wyjątkiem Freddiego, który znajduje się pośrodku z dłońmi złożonymi na piersi niczym skrzydła. Pomysł wziął się z przeblysku natchnienia, jakiego doświadczył fotograf Mick Rock.

- Wytyczne zespołu w kwestii tej okładki były zwięzłe - mówi Rock. - Powinna była być wkładką utrzymaną w biało-czarnej tonacji. Miała przedstawiać zespół. Cała reszta to już mój problem. Otrzymałem rolę kierownika artystycznego i fotografa. Tak się złożyło, że niedawno zaprzyjaźniłem się z Johnem Kobalem, zapalonym kolekcjonerem hollywoodzkich fotosów.

Kobal, nieżyjący już Kanadyjczyk austriackiego pochodzenia, historyk filmu i autor, był autorytetem w dziedzinie złotej ery Hollywoodu.

- W zamian za osobistą sesję zdjęciową John dał mi kilka odbitek ze swoich zbiorów - wyjaśnia Rock. - Była wśród nich jedna, której nigdy wcześniej nie widziałem. Przedstawiała Marlenę Dietrich w filmie *Shanghai Express*. Ręce miała złożone, była ubrana na czarno, na czarnym tle, kunsztownie oświetlona. Jej przechylona głowa i ręce zdawały się unosić w powietrzu. Natychmiast dostrzegłem podobieństwo. To było coś emocjonalnego, intuicyjnego. Bardzo silnego. Bardzo wyraźnego. Czar, tajemnica i klasyka; zamierzałem przemienić je w potwora o czterech głowach. Musieli się zgodzić. Poszedłem więc do Freddiego. On też to zobaczył. Zrozumiał. Od razu się zakochał. I przekonał do tego resztę zespołu. „Będę Marleną”, śmiał się. „Rozkoszny pomysł!”.

Freddie szybko zbył wszelkie wątpliwości ze strony pozostałych członków Queen co do pretensjonalności tej koncepcji.

- Uwielbiał cytować Oscara Wilde’a - śmiał się Rock. - „Często to, co dzisiaj uważa się za pretensjonalne, jutro uważa się za sztukę. Ważne, żeby w ogóle być zauważonym”<sup>[26]</sup>.

Ta okładka posłużyła Gowersowi za inspirację przy pracy nad teledyskiem *Bohemian Rhapsody*. Zespół zdawał sobie sprawę, że to ich fundamentalny występ, jak również narzędzie promocji. Wiedzieli także, że nie zdołają wykonać piosenki na żywo w całości. Gowers posłużył się wizerunkiem, który dotąd stworzyli, ubarwił go i rozwinął, a następnie posunął tak daleko, jak tylko śmiał.

- To było pierwsze nagranie, które zdobyło szczyt dzięki teledyskowi - skomentował Vance. - Dzisiaj uważa się powszechnie, że Queen jako pierwszy zespół nakręcili surrealistyczny film promocyjny, ale to nie do końca prawda. Sądzę, że wyprzedzili ich Devo, amerykański postpunkowy zespół rockowy założony w 1973 roku. Byli pionierami teledysków.

- Bez wątpienia jednak Queen jako pierwsi stworzyli teledysk oparty na koncepcie. Gowers idealnie uchwycił ich muzyczne wizerunki. I muszę powiedzieć, że to nie miało nic wspólnego z Freddiem. Piosenka to piosenka. To, czym się stała, zawdzięcza wizualnej interpretacji. Bo za każdym razem, kiedy rozbrzmiewała muzyka, w umyśle słuchacza pojawiały się obrazy. Jedno i drugie szybko stało się nierozzerwalne. Nie usłyszysz muzyki bez przewijających się w głowie obrazów. Można powiedzieć, że *Bohemian Rhapsody* to pierwszy singiel, który wszędzie się w i d z i a ł o. Bo po raz pierwszy teledysk promował w ten sposób piosenkę.

Mike Appleton wspominał podniecenie w studiu *OGWT*, kiedy przyjechał teledysk.

- Naprawdę wspaniały pomysł - powiedział. - Byłem całkowicie urzeczony. Musiałem tylko puścić go na ekranie. Pamiętam, że Freddie zwałił mnie z nóg, w tym sensie, że nigdy wcześniej nie było kogoś takiego jak on. Ani potem. Dojrzał przy *Bohemian Rhapsody*. Nagle wydawał się jedynym dorosłym w branży zdominowanej przez rozwydrzone, kapryśne dzieciaki. Queen wiedzieli



doskonale, co robią, i byli dżentelmenami. Nigdy nie znałem zespołu, który pracowałby równie ciężko.

Pierwszą reakcją Tony'ego Brainsby'ego na teledysk było słowo „dziwaczny”.

- Wszyscy tak myśleli. Podobał mi się, chociaż tak naprawdę nie miałem pojęcia dlaczego. Ale w moich oczach stanowił punkt zwrotny. Wyciągnąłem ich z całkowitego zapomnienia i wspierałem aż do powstania jednego z największych przebojów wszech czasów. Czułem się jak ojciec, któremu właśnie urodziło się dziecko.

Ekstaza Brainsby'ego nie trwała zbyt długo - nowy układ menadżerski Queen z Johnem Reidem sprawiał, że pozycja Brainsby'ego była nie do utrzymania.

- John Reid utrudniał mi dalszą współpracę z Queen - zapewniał. - Wolał wykorzystywać własnych ludzi od PR. Stałem się zbędny.

Brainsby miał jeszcze powrócić. Tymczasem, nawet jeśli nie na zawsze, Queen znaleźli się w orbicie wpływów człowieka, który wziął pod swoje skrzydła największego artystę na świecie; człowieka, który sprawił, że *Rocket Man*<sup>[27]</sup> wzbił się w przestworza.

Album *A Night at the Opera* ukazał się 21 listopada 1975 roku. Wydarzeniu temu towarzyszyło wystawne przyjęcie, które, jak wspomina Paul Gambaccini, „było sposobem Johna Reida, by powiedzieć: «Proszę bardzo, Queen grają teraz w jednej lidze z Eltonem Johnem». Reid doskonale wiedział, co ma, nie zdawał sobie jednak sprawy ze świetnego wyczucia czasu. Jeśli istniał najlepszy moment, by wciągnąć Queen na listę swoich klientów, było to wydanie ich czwartego albumu”.

Oprócz stosunków zawodowych Gambacciniego połączyły z zespołem bardziej osobiste więzy, co, przynajmniej w przypadku Freddiego, oznaczało przyjaźń na całe życie.

- Zawsze należeli do tych muzyków rockowych, którzy rozumieli, o co chodzi w tej szalonej grze. Wiedzieli, że to

interes. Nie oczekiwali wielkiej przyjaźni. Wiedzieli, że wystarczy się tylko dogadywać i wzajemnie szanować. Dzięki temu opanowanemu, sprawiedliwemu podejściu pokonali trudności, które zniszczyły inne zespoły.

- Najbardziej zbliżyłem się z Freddiem. Był jednym z tych facetów, z którymi od razu przechodzi się do sedna. Niezwykle bliski i uczciwy gość, żadnej gadki szmatki. Chyba po części dlatego, że podobnie jak on byłem jednym z gejów w świecie rocka.

Być może Freddie zazdrościł Gambacciniemu odwagi do otwartego deklarowania homoseksualizmu - ponieważ sam z całego serca chciał zrobić to samo?

- Nie da się tego wykluczyć. Raz powiedział do mnie: „Pewnego dnia damy wywiad i o wszystkim opowiemy”. Nigdy tego nie zrobiliśmy. Przyznam jednak, że czułem się przy nim jak turysta - mówił Paul, mając na myśli rozwiązłość Freddiego, która znacznie przewyższała jego własną. - Zupełnie jakby był p r a w d z i w y m homoseksualistą. Lecz podczas gdy ja nie robiłem z tego tajemnicy, on siedział cicho, ale był gejem przez duże G. W porównaniu z nim byłem takim malutkim udawaczem.

Pięć dni po ukazaniu się albumu utwór *Bohemian Rhapsody* jako pierwszy singiel Queen wspiął się na szczyt listy przebojów. Zespół uczcił to z fasonem podczas krótkiej, liczącej dwadzieścia cztery występy, przedświątecznej trasy, dając w Wigilię Bożego Narodzenia elektryzujący koncert w Hammersmith Odeon, transmitowany zarówno przez OGWT, jak i przez Radio 1.

Trzy dni później sam album również zajął pierwsze miejsce i pokrył się platyną za sprzedaż na poziomie dwustu pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy: liczba ta w ciągu najbliższych tygodni miała się podwoić. Przez pięćdziesiąt sześć tygodni nie schodził też z amerykańskiej listy przebojów. Nowy rok przyniósł jeszcze więcej wyróżnień, w tym kolejną Nagrodę Ivora Novello za *Bohemian Rhapsody*. Skąpy Reid niespodziewanie

wykupił przestrzeń reklamową w czasopiśmie „Sounds”, żeby pogratulować „chłopcom” ich sukcesu.

Nadeszła pora, by zaplanować drugą trasę koncertową po Ameryce, tym razem w roli głównej gwiazdy. Najbardziej do tej pory wyczerpująca trasa, wiodąca przez niemal wszystkie stany, była kierowana przez nowego menadżera tras koncertowych, Gerry’ego Stickellsa. Dobrze obsadzone stanowisko – Stickells wykazywał się wcześniej pracowitością jako techniczny i menadżer koncertowy The Jimi Hendrix Experience. Podobno towarzyszył muzykowi w noc jego śmierci – tragedia ta była jednak owiana tajemnicą, a sam Stickells nie lubił o tym mówić. Współpracował z Queen aż do końca ich koncertowej kariery.

To właśnie podczas tej olbrzymiej amerykańskiej trasy zespół doprowadził do perfekcji sztukę pokoncertowych przyjęć. Od tamtej pory imprezy Queen, jako najlepsze w branży, zyskały status kultowych. Wszędzie, gdzie grał zespół, miejscowi dygnitarze, celebryci i imprezowicze byli zapraszani na wzorcowe bachanalia. Dziennikarz Rick Sky, którego osobisty hołd dla Freddiego, *Show Must Go On (Przedstawienie musi trwać. Życie Freddiego Mercury’ego)*, ukazał się tuż po śmierci wokalisty, wspomina „dyskretną balangę” na cześć zakończonego sukcesem nowojorskiego koncertu w kultowej hali Madison Square Garden.

- Zostałem zaproszony do Nowego Jorku na ekskluzywny wywiad z Freddiem i trafiłem za kulisy – opowiadał Sky. –

Był tam tuzin półnagich kelnerów z butelkami szampana. Bez przerwy napełniały nim kieliszki, żeby nikt nie miał pustego. Freddie był ubrany w białą kamizelkę, trzymał plastikowy kubek z szampanem i papierosa. Wyglądał na wyluzowanego i odprężonego. Powiedział mi, że sekret szczęścia tkwi w życiu na całego.

- „Brak umiaru to część mojej natury”, stwierdził. „Nuda to dla mnie choroba. Potrzebuję niebezpieczeństwa i ekscytacji. Nie zostałem stworzony po to, żeby tkwić

w domu i ślęczeć przed telewizorem. Zdecydowanie jestem typem seksualnym. Kiedyś mawiałem, że umówię się z każdym, ale z czasem zrobiłem się bardziej wybredny. Uwielbiam otaczać się dziwnymi, interesującymi ludźmi, bo dzięki nim czuję, że żyję. Zwyczajni ludzie nudzą mnie na śmierć. Kocham dziwaków. Z natury jestem niespokojny i nerwowy, więc nie nadaję się na domatora. W głębi ducha jestem człowiekiem uczuciowym, pełnym skrajności, co często bywa destrukcyjne i dla mnie, i dla innych”.

- „Żyję pełnią życia”, rzekł później prowokująco. „Mojego popędu płciowego nie da się pohamować. Sypiam z mężczyznami, kobietami, kotami... Czego dusza zapagnie. Pójdę do łóżka ze wszystkim! Moje łóżko jest tak wielkie, że mogę w nim wygodnie spać w sześć osób. Preferuję seks bez zobowiązań”.

Sława i dobrobyt pozwoliły Freddiemu dogadzać sobie do woli.

- Naprawdę szedł na całość - mówił Sky. - Ale musiał to godzić z potrzebą pełnego, dwuosobowego związku, o czym wszyscy marzymy. Sam powiedział kiedyś: „Kiedy się z kimś wiąże, to nigdy na pół gwizdka. Nie wierzę w półśrodki ani kompromisy. Daję z siebie wszystko, co mam, bo taki już jestem”.

Ameryka - szczególnie zaś Nowy Jork - zawróciła Queen w głowie, zwłaszcza Freddiemu. Zakochał się w tym mieście, jego ciasnocie i intensywności, szczególnie w gejowskim podziemiu. Za dnia szpanował w luksusowych sklepach, hotelach i salonach na przedmieściach, nocami zaś grasował po brukowanych ulicach starej dzielnicy mięsnej, dzisiejszej odrestaurowanej enklawie, gdzie wówczas znajdowały się najbardziej niesławne kluby i bary dla gejów. Choć większość z nich została zamknięta w połowie lat osiemdziesiątych wskutek epidemii AIDS, w tamtym czasie przyciągały gejów i lesbijki z całych Stanów Zjednoczonych. Zamieszki w Stonewall w lipcu 1969 roku, które zapoczątkowały ruch wyzwolenia

homoseksualistów, wybuchły w najbardziej popularnym nielegalnym barze gejowskim w Nowym Jorku. Zapuszczony pub Stonewall Inn przy Christopher Street, w bok od Siódmej Alei, w samym sercu Greenwich Village, zasłynął później na całym świecie jako kolebka ruchu obrony praw gejów. Nowa polityka otwartości władz wobec homoseksualizmu doprowadziła do legalizacji intratnego przemysłu służącego środowiskom gejowskim. Burdele, kina porno, łaźnie, bary sado-maso czy z pokojami na zapleczu słynące z takich nazw jak The Mineshaft czy The Anvil wyrastały jak grzyby po deszczu, promując anonimowe stosunki seksualne. W tamtych czasach choroby przenoszone drogą płciową nie były jeszcze uważane za poważne zagrożenie.

Według Micka Rocka, który towarzyszył wówczas Freddiemu, to właśnie pewnej nocy w The Anvil Freddie po raz pierwszy ujrzał jednego z członków Village People. Zespół parodiujący pod koniec lat siedemdziesiątych YMCA i bawiący się stereotypami amerykańskiej kultury – kowbojem, policjantem, budowlańcem, motocyklistą, Indianinem i żołnierzem – był wówczas bardzo popularną gwiazdą disco. Rock donosił, że Freddie był całkowicie urzeczony widokiem Glenna Hughesa, „motocyklisty”, tańczącego na barze.

Jak zauważył Rock:

- Freddie już nigdy nie był taki jak wcześniej.

Doświadczenie z The Anvil zostało uznane za inspirację dla wizerunków „skórzanego” i „gejowskiego kłona”, które przejął Freddie. Podczas gdy faza „skórzana” szybko minęła, „klon”, tak bardzo odmienny od cyganerii lat siedemdziesiątych, preferujący krótko przystrzyżone włosy, szczeciniaste wąsy, muskularny tors i obcisłe dżinsy, przetrwał. Wizerunek tak naprawdę wywodził się z San Francisco i był określany jako „klon z Castro”, po niszczącej irlandzkiej dzielnicy San Francisco, w której przy Haight i Ashbury mieszkali hipisi. Za sprawą napływu

homoseksualnych uchodźców zyskała ona miano Gay Main Street. Z początku ten wizerunek stanowił przebranie, jako że heteroseksualiści zwykle nie utożsamiali go ze *stricte* gejowskim. Stopniowo wytworzył się jednak wokół niego cały kodeks homoseksualnych zachowań. Gej mógł nawet dać wyraz swoim preferencjom seksualnym za pomocą chusteczki w konkretnym kolorze zwisającej z tylnej kieszeni.

„Kod chusteczki” i „kod bandany” były szeroko rozpowszechnione wśród homoseksualistów pod koniec lat siedemdziesiątych. Chusteczki noszono w tylnej kieszeni spodni albo przeplatano przez szlufki: po lewej dla „góry”, po prawej dla „dołu”, w zależności od tego, którą pozycję wolał mężczyzna. Chociaż nie istnieje uniwersalny kodeks kolorów, jeden z lepiej znanych obejmuje żółty jako „sporty wodne”, brązowy jako „odchody”, czarny jako „S&M”, fioletowy jako „piercing”, czerwony jako... lepiej pomińmy to milczeniem, jasnoniebieski jako „oral”, szary jako „krępowanie” i pomarańczowy jako „wszystko”.

Dla Freddiego, świeżo upieczonej gwiazdy światowej sławy pod koniec lat siedemdziesiątych, jednym z najbardziej ekscytujących aspektów Nowego Jorku był fakt, że homoseksualizm stał się politycznym triumfem. Geje ujawnili się i zjednoczyli, przejęli kontrolę nad swoim stylem życia i przyszłością. Od tej pory mogło być już tylko lepiej. Tak przynajmniej sądzili. W seksualnych eksperymentach posuwano się aż do granic nieosiągalnych w żadnym innym ówczesnym mieście na świecie, być może z wyjątkiem Monachium.

- W porównaniu z Nowym Jorkiem czy później z Monachium w Londynie Freddie zachowywał się dość grzecznie - stwierdził Paul Gambaccini. - Te dwa miasta były stolicami jednorazowych numerków z nieznanymi, które nigdy mnie nie interesowały. Freddie bez wątplenia dobrze się tam bawił. To świat równie bogaty w swoim ogromie co muzyka popularna. Miałem wrażenie,

że podczas pobytów w Nowym Jorku naprawdę ostro szalał, ale tamtejsze środowisko gejowskie było o wiele bardziej zahartowane niż gdziekolwiek indziej.

W rozmowie z felietonistą, a następnie wydawcą Johnem Blakiem Freddie przyznał, że puszczał się w Nowym Jorku.

- To miasto grzechu - mruknął. - Ale trzeba umieć wycofać się we właściwym momencie. Jeden dzień za długo i już po tobie. Działa jak hipnoza. Codziennie wracam o ósmej czy dziewiątej nad ranem i biorę zastrzyki, żeby móc śpiewać. Autentyczne miejsce, uwielbiam je.

Choć w ten wymijający sposób przyznał się do szalonej rozwiązłości, na temat kokainy Freddie zachowywał dyskretne milczenie. Pomijając fakt, że narkotyk był nielegalny w większości krajów, a z pewnością w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych, Freddie nigdy nie był stereotypowym narkomanem i nie zamierzał nim zostać.

Nie chciał, by uważano go za nałogowca. Nie popadł w uzależnienie: gdy postanowił, że przestanie zażywać kokainę, odstawił ją z dnia na dzień. Na razie żył jednak zgodnie z hasłem: „seks, narkotyki i rock and roll”. Freddie był uzależniony od ciągłego podniecenia, efektu, jakie nadmiar alkoholu i kokainy wywierały na jego osobowość i libido. Kokaina dodawała mu pewności siebie, odwagi, by mógł być Freddie Mercury.

A jeśli w Nowym Jorku przeobraził się w maszynkę do robienia zakupów i uprawiania seksu, to przede wszystkim dlatego, że było go na to stać. Znudziwszy się nawet swoimi ulubionymi hotelami - Waldorf Astoria Towers, Berkshire Place i Helmsley Palace - kupił sobie urządzone z przepychem, strzeżony apartament z zapierającym dech w piersi widokiem na budynek Chryslera (jego ulubiony punkt orientacyjny na Manhattanie), wieże World Trade Centre i Empire State Building. Apartament znajdował się na czterdziestym trzecim piętrze Sovereign Building pod numerem 425 przy East 58th Street, między Pierwszą Aleją a Sutton Place,

niedaleko Central Parku, i mógł się poszczycić balkonem, z którego rozpościerał się widok na siedem mostów, między innymi na most przy 59th Street, rozświetlony przez Simona i Garfunkela w piosence znanej również jako *Feelin' Groovy*.

- Był klasycznym przykładem wytwornego człowieka, który uwielbia biedować - zauważył Rick Sky. - Jego największa fantazja polegała na zabieraniu męskiej prostytutki do opery. Rudolf Nuriejew był pod tym względem bardzo podobny do Freddiego. On również posiadał tę rzadką umiejętność zachwycania się kulturą wysoką i niską jednocześnie.

Chociaż Freddie kochał tancerzy baletowych i krążyły plotki na temat gorącego romansu z Nuriejewem - Rosjanin pisał w swojej prywatnej korespondencji, opublikowanej w 1995 roku, o „związku” z Freddiem i wizytach w jego domu w Kensington - osobisty asystent Freddiego Peter Freestone temu zaprzeczył, upierając się, że Nuriejew nigdy nie był w Garden Lodge. Rzekome romantyczne interludium nigdy nie miało miejsca.

Nieliczni rozumieli motywy stojące za rozwiązłością i dekadencją Freddiego. Pozostali członkowie zespołu tylko wzruszali ramionami i pozwalali mu na wszystko. Pod względem akceptacji odmiennych zachowań seksualnych świat bardzo się zmienił. Poza tym kim byli, żeby go osądzać? Wybory, jakich Freddie dokonywał w życiu prywatnym, były wyłącznie jego sprawą. Orientacja seksualna stanowiła zaledwie jedną stronę całości. Fani mieli w zwyczaju akceptować to, o czym wiedzieli, na resztę przymykając oko. Jedynie media ekscytowały się każdym powiewem skandalu. Później stało się oczywiste, że Freddie był jedną z nielicznych gwiazd rocka na tyle inteligentnych, by zauważyć, że zwykli ludzie uwielbiają go za śmiałość. Kochali go za smakowanie wszystkich niebezpieczeństw życia, o czym sami nie odważyliby się nawet marzyć. Zabawiając rosnącą publiczność błyskotliwą muzyką



i niezapomnianymi widowiskami, zapewniał jej także dreszczyk emocji.

- Poszliśmy na koncert Queen, przeprowadziliśmy wywiad z Freddiem, zobaczyliśmy ich brak umiaru... i załapaliśmy się na ochłapy - zauważył Rick Sky. - Relatywnie rzecz biorąc, doświadczyliśmy tych samych przywilejów. Queen nigdy nie byli samolubni. Zawsze bardzo się starali, żeby wszyscy bawili się równie dobrze jak oni. Cechowała ich niesamowita szczodrość zarówno pod względem duchowym, jak i materialnym, która sprawiała, że spośród wszystkich kapeli rockowych, z jakimi spędzaliśmy czas, Queen byli najlepsi na świecie.

## Rozdział 13

# Champions

*Album „A Day at the Races” kończy się japońskim kawałkiem, utworem, który Brian nazwał „Teo Torriatte”, co oznacza „trzymajmy się razem”. Bardzo emocjonalna piosenka, jedna z jego najlepszych. Brian gra na fisharmonii i gitarze. Świetny utwór na zakończenie albumu.*

Freddie Mercury

*W muzyce Queen tkwiły siła i energia, które zapierały dech. Technologia poszła naprzód, ludzie bardzo się rozleniwili. Tu trzeba krwi, potu i łez. Freddie śpiewał te piosenki całym sobą. Dzisiaj dostajesz jednego wykonawcę z osiemnastoma tancerzami za plecami i nie masz pojęcia, czy to jest jakieś nagranie, czy może pantomima, nie wiesz, co to w ogóle ma być. Z Freddie dostawałeś wszystko i było to prawdziwe.*

Lee John, Imagination

W lutym 1976 roku wszystkie cztery albumy Queen znajdowały się w pierwszej dwudziestce brytyjskiej listy przebojów, a zespół przygotowywał się do kolejnych występów na żywo w Japonii i Australii, gdzie ich nagrania i koncerty rozpały publiczność. Wróciwszy do Wielkiej Brytanii, ponownie zaszyli się w studiu, by rozpocząć pracę nad piątym albumem, który zamierzali wyprodukować sami, z przyjacielskim udziałem Roya Thomasa Bakera. Album ten miał nosić tytuł *A Day at the Races* - po kolejnym ulubionym filmie braci Marx. W marcu ukazał się o nich

film fabularny *Live at The Rainbow*. W maju Brian zrobił sobie wolne, by poślubić Chrissy Mullen. 18 czerwca wyszedł pierwszy singiel Queen autorstwa Johna Deacona. W *You're My Best Friend*, spokojnej piosence, którą napisał dla swojej żony Veroniki (wciąż są razem – jako jedyny członek Queen nadal pozostaje w związku ze swoją pierwszą partnerką), Deacon zagrał na fortepianie elektrycznym marki Wurlitzer, a także na gitarze basowej. Chociaż singiel znacząco odbiegał od wcześniejszych dokonań Queen, szybko dotarł do pierwszej dziesiątki listy przebojów. Teledysk nakręcono podczas fali upałów w olbrzymiej sali balowej, oświetlonej tysiącem świec.

Tamtego lata podczas festiwalu muzyki popularnej w Szkocji, po części sponsorowanego przez Johna Reida, Queen dali dwa koncerty w teatrze w Edynburgu, a następnie zagrali na świeżym powietrzu w Cardiff. 18 września, w szóstą rocznicę śmierci Jimiego Hendriksa, w typowym dla Queen wzruszającym geście wystąpili za darmo w londyńskim Hyde Parku, by podziękować fanom za wsparcie. Publiczność liczyła blisko dwieście tysięcy osób. Współorganizatorem tamtego wydarzenia był Richard Branson, wówczas nad wyraz ambitny szef Virgin Records. Przedstawivszy zespołowi swoją osobistą asystentkę Dominique Beyrand, przypadkowo obdarował Rogera Taylora nową dziewczyną. Para wkrótce urządziła się w Fulham oraz w luksusowej posiadłości w Surrey pośród kilku akrów lasu, z własnym studiem nagraniowym.

Pogoda w dniu koncertu była wspaniała. Nasuwała na myśl parkowe występy Jethro Tull, Pink Floyd i The Rolling Stones pod koniec lat sześćdziesiątych. Artystka towarzysząca Kiki Dee, również podopieczna Johna Reida, miała wykonać swój nowy przebojowy singiel, duet z Eltonem Johnem. Choć wiele jego piosenek cieszyło się popularnością, *Don't Go Breaking My Heart* było pierwszym numerem jeden w dorobku Eltona. Nie dotarł on

jednak na miejsce i Kiki musiała zaśpiewać obok jego kartonowej podobizny.

- Witamy na naszym pikniku przy Serpentyńce<sup>[28]</sup> - powiedział Freddie w olśniewającym, skrzącym się białym kombinezonie.

- *Tie Your Mother Down* to jeden z najcięższych kawałków Briana - zauważył później. - Pamiętam, jak graliśmy go w Hyde Parku... zanim tak naprawdę go nagraliśmy. Mogłem wziąć się z tą piosenką za bary przed żywą publicznością, jeszcze zanim nagrałem wokół w studiu. Ponieważ to bardzo hałaśliwy kawałek, poszło mi świetnie.

Nieopierzony fotograf Denis O'Regan podstępem dostał się za kulisy i wpełznął pod scenę podczas występu Queen. Postanowił zaprzyjaźnić się z pracownikami Rocket Records, by w ten sposób zbliżyć się do zespołu i zostać ich oficjalnym fotografem. Jeden z przyjaciół i popleczników Johna Reida, Paul Prenter, zapałał do Denisa sympatią i wkrótce zaczął go wpuszczać na występy.

- Jednym z pierwszych był koncert w Paryżu - wspominał Denis. - Przebywałem za kulisami i zauważyłem, że zbudowali tam drugą mniejszą scenę. Natychmiast przyszło mi do głowy, że Queen zamierzają zaimprovizować. Przed sceną rozstawili krzesła. Chwilę potem przyszła dziewczyna i zrobiła striptiz. Potem następna i jeszcze jedna, aż w końcu na scenie było ich dwanaście. Wtedy odstawiły przed nami lesbijski seks. Tylko po to, żeby zabawić i rozerwać wszystkich, którzy pracowali i czaili się za kulisami. Jak na tamte czasy, nieco podejrzane, ale tego rodzaju rzeczy stały się tematem przewodnim imprez Queen. Zawsze szli w cycki, tyłki i dekadenski seks. Nie było w tym nic plugawego, po prostu robili to dla śmiechu. Ich zainteresowanie wszystkim, co seksowne, było z rozmysłem pielęgnowane i jak gdyby

ukazywało Queen z innej strony. Sądzę, że w ten sposób położyli kres pogłoskom o homoseksualizmie Freddiego.

Choć wtedy temu zaprzeczali, to bez wątpienia za tymi skandalicznymi balangami stali Freddie i Roger.

- Lubię kluby ze striptizem, striptizerki i dzikie imprezy z udziałem nagich kobiet - rzekł z werwą Roger, jakby chciał dodać: „bo dlaczego miałbym nie lubić?”.

Najbardziej zdziwił Denisa fakt, że Queen jako jedyny z wielkich zespołów zostawali po swoich koncertach.

- Nie znosiłem tego, bo po pracy chciałem po prostu pójść się zabawić. Ale oni po każdym koncercie jedli razem kolację. Zespoły tak nie robiły. Zwijali manatki, przy wejściu czekały na nich limuzyny gotowe ruszyć w stronę lotniska albo z powrotem do hotelu. Pamiętam, jak znacznie później myślałem, że było w tym prawdziwe koleżeństwo. Sądzę, że szczerze lubili swoje towarzystwo. Potem zaczęły krążyć plotki o tym, jak to się nie dogadują, jeżdżą osobnymi samochodami i tak dalej. Ale tak robi każda wielka postać, którą na to stać. Freddie w autobusie? To chyba żart.

Poza tym, jak zauważył Roger w wywiadzie dla „Q” w 2011 roku na temat osobnych limuzyn:

- Tak było najłatwiej. Limuzyny to najgłupsze z samochodów. Tak naprawdę w środku jest miejsce tylko dla dwóch pasażerów, a zwykle jedzie z tobą dziewczyna, żona czy ktoś inny, towarzysz albo asystent. Po prostu było nas stać na cztery. Nie miało to żadnego związku z tym, czy chcieliśmy ze sobą rozmawiać, czy nie.

Album ukazał się 10 grudnia, z przedsprzedażą na poziomie pół miliona kopii. Z myślą o stylowej promocji EMI wykupiła wielki afisz na Kempton Park i zasponsorowała specjalną barierkę z *A Day at the Races*. Sute jedzenie, alkohol i występ na żywo Tremeloes i Marmalade, do tego telegram od Groucho Marksa we własnej osobie sprawiły, że był to pamiętny dzień, lecz sam album okazał się w pewnym stopniu rozczarowaniem, bo oferował coś, co już było. Mimo to pierwszy singiel,

*Somebody to Love*, napisany przez Freddiego ponownie z sercem na dłoni, powędrował prosto na czwarte miejsce brytyjskiej listy przebojów i pierwsze Radia Luksemburg.



*Promocja albumu „A Day at the Races” na torze wyścigowym w Kempton Park, październik 1976 roku. Od lewej: Mary Austin, Freddie i John Reid. Za nimi widać żonę Briana Maya, Chrissie Mullen May, a także Rogera Taylora i Briana Maya*

- Trochę w tym kawałku zaszalałem - przyznał Freddie. - Chciałem napisać coś à la Aretha Franklin. Zainspirowała mnie stylistyka gospel z jej wczesnych albumów. Być może w harmoniach brzmi to podobnie, ale w studiu zupełnie inaczej, bo skala jest inna.

W Boże Narodzenie 1976 roku zespół świętował pierwsze miejsce swojego albumu i niezliczone prośby o występy w telewizji i radiu. BBC powtórzyło zeszłoroczny koncert Whistle Test w Hammersmith Odeon. Freddie sprawił sobie nietypowy prezent: wreszcie zdobył się na szczerą z sobą samym i miłością swego życia, Mary Austin, i zakończył ich wieloletni romantyczny związek.

- Byliśmy ze sobą bliżej niż ktokolwiek inny, chociaż po jakichś siedmiu latach przestaliśmy razem mieszkać - przyznał Freddie. - Nasz romans zakończył się łzami, ale wyrosła z niego głęboka więź, a tego nikt nam nie zdoła odebrać. Ona jest poza zasięgiem.

Musiało mu być trudno. Preferując stosunki seksualne bez emocjonalnego zaangażowania, pragnął jednak bezpieczeństwa, jakie niesie ze sobą stały związek. Próby godzenia sprzecznych potrzeb spowodowały nieodwracalne szkody. Wyprowadziwszy się z przytulnego gniazdka, które dotąd dzielili, Freddie ulotnił się do mieszkania przy 12 Stafford Terrace w londyńskiej dzielnicy Kensington i kupił Mary jej własny kąt. Pozostała jego oddaną asystentką i „koordynatorką”, trwając przy jego boku niemal dzień w dzień, aż do śmierci Freddiego piętnaście lat później.

Rok 1977 przyniósł niespodziewane wyzwania w postaci punk rocka. Punkowcy byli brzydki i agresywni, w przeciwieństwie do takich dekadenczkich zespołów jak Queen, symbolizujących wszystko, co zdaniem Sex Pistols i innych artystów tego samego pokroju popsło scenę muzyczną. Był to spór, którego nie mogła wygrać żadna ze stron. Istniało tylko jedno wyjście. Kolejny nowy rok, kolejna trzymiesięczna trasa po Ameryce Północnej, tym razem z towarzyszeniem Thin Lizzy Phila Lynotta. Najnowsze amerykańskie koncerty okazały się równie udane, co ostatnie, z wyjątkiem kilku występów na zachodnim wybrzeżu odwołanych ze względu na gardło Freddiego.

- Nadal mam guzki - powiedział. - Nieprzyjemne stwardnienia rosnące w moim ciele. Od czasu do czasu szkodzą mojej wokalne sprawności, ale chwilowo wygrywam. Ograniczam czerwone wino, a cała trasa zostanie zaplanowana pod kątem moich guzków.

Właśnie podczas tej trasy koncertowej Freddie związał się z dwudziestosiedmioletnim kucharzem Joe Fanellim. Kiedy ich związek należał już do przeszłości, Joe pojawiał

się i zniknął, pracując w wielu restauracjach, między innymi w popularnej Semptember's przy Fulham Road w Londynie, aż w końcu został pełnoprawnym mieszkańcem domu Freddiego w Garden Lodge. Podobnie jak Freddie także Fanelli przegrał z AIDS.

Europejska trasa koncertowa ruszyła w Sztokholmie, a w maju przeniosła się do Wielkiej Brytanii, by nabrać tempa w Hippodrome w Bristolu. Podczas czerwcowych występów w Earl's Court w Londynie (dochód z drugiego wieczoru został przekazany fundacji królowej Elżbiety II) zespół zaprezentował specjalną koronę oświetleniową, olbrzymią konstrukcję, która wyrastała ze sceny wśród kłębow dymu i oparów suchego lodu. Ledwo trasa dobiegła końca, zespół ponownie zamknął się w studiu, by nagrać kolejny album. W tym czasie Freddie, Brian, Roger i John zaryzykowali karierę solową, jak również występowali gościnnie na albumach i singlach innych artystów.

Nawet jeśli sława i bogactwo zaczynały przypominać harówkę, muzyka wciąż wyrywała ich rano z łóżek. W studiu nigdy nie brakowało zdrowego napięcia, rywalizacji i ambicji, które ich napędzały, podczas gdy występy wyraźnie szły im lepiej po porządnej kłótni.

- Z jednej strony Freddie potrzebował emocjonalnej stabilizacji, żeby nagrywać, z drugiej jednak wydawało się, że konflikt i konfrontacja stanowiły dla niego kluczowe katalizatory do występów - spostrzegł później jego przyszły osobisty asystent Peter Freestone.

Bez wątpienia był to wynik jego perfekcjonizmu.

- Freddie dokładnie wiedział, czego chce, i był gotów dostać napadu złości, byle mieć pewność, że wszystko pójdzie tak, jak tego chciał... Freddie znał wartość złości. Żeby uzyskać najlepszy efekt, musiał dostać napadu albo przy zespole, albo przy współnikach... Wiedział, że inni zainteresowani wiedzą, że o n wie, że jest niezastąpiony.

Ich kolejny znaczący singiel, *We Are the Champions*, stał się jednym z najbardziej uwielbianych i niezapomnianych



hymnów. Nie najlepiej przyjęty przez rodzimą prasę, chwilowo skupioną na zalewie punk rocka, utwór zajął drugie miejsce na brytyjskiej i amerykańskiej liście przebojów i stał się pierwszym amerykańskim numerem jeden Queen na liście czasopisma branżowego „Record World”. W Stanach Zjednoczonych ukazał się jako singiel z podwójną stroną A, na której zamieszczono go razem z *We Will Rock You*. Ten ostatni przyjęły rzesze amerykańskich kibiców futbolowych, podczas gdy *We Are the Champions* zostało zapożyczane przez drużynę New York Yankees i Philadelphia 76. Zemsta była słodka. Od trzydziestu pięciu lat piosenka ta ciągle cieszy się olbrzymią popularnością w niezliczonych krajach i rozbrzmiewa regularnie na ważnych imprezach sportowych.



*Halloween 1977 roku: Freddie świętuje z Eltonem Johnem i Peterem Strakerem. Właśnie ukazał się album „News of the World”*

Od lipca do września zespół nagrywał swój szósty album studyjny, *News of the World*, w Basing Street Studios w Notting Hill, założonych przez Chrisa Blackwella z Island Records (później przekształciły się w Sarm West, słynne na całym świecie jako miejsce, w którym nagrano *Do They Know It's Christmas?* Band Aid), oraz w niedziałającym już Wessex w Highbury New Park, gdzie swego razu Johnny Rotten zwymiotował do pianina. Dziwnym zbiegiem okoliczności w tym samym czasie Sex Pistols nagrywali *Never Mind the Bollocks* w sąsiednim pomieszczeniu. Pewnego razu przez drzwi wpadł Sid Vicious z obelżywą uwagą na temat Freddiego i jego „misji” przybliżenia baletu masowemu odbiorcy, nawiązując do wywiadu, którego Freddie udzielił Tony’emu Stewartowi dla „NME”, opatrzonego nagłówkiem „Czy ten facet to głupek?”. Ku swej wiecznej chwale Freddie odparł:

- Ach, pan Dzikus! Cóż, robimy, co w naszej mocy, skarbie!

W październiku Queen otrzymali nagrodę brytyjskiego przemysłu fonograficznego Britannia Award za utwór *Bohemian Rhapsody*, wybrany na najlepszy brytyjski singiel ćwierćwiecza. Tego samego miesiąca ukazał się *News of the World*, energiczny album, który nie przypadł do gustu wszystkim fanom (ani krytykom), z okładką autorstwa Franka Kelly’ego Freasa, przedstawiającą wielkiego robota.

Stało się oczywiste, że Johnowi Reidowi brakowało czasu, by właściwie kierować ich karierą. Queen, teraz równi Eltonowi pod względem cech i statusu gwiazdy, desperacko potrzebowali menadżera, który mógłby skupić się wyłącznie na ich potrzebach. Prawnik Jim Beach został ponownie wezwany, tym razem po to, by uwolnić zespół od kontraktu z John Reid Enterprises - co było stosunkowo bezbolesne, choć kosztowne. Jako że umowa została zerwana na długo przed wygaśnięciem, Reid otrzymał przyjemną odprawę oraz dożywotnie prawo do piętnastu procent honorariów ze sprzedaży wcześniejszych albumów Queen. Pete Brown,

który zajmował się codziennymi sprawami Queen, został z zespołem jako osobisty menadżer. Inny pomocnik Reida, Paul Prenter, również dołączył do grupy. Od tamtej pory Beach już na pełny etat sprawował pieczę nad sprawami prawnymi i umowami, a Gerry Stickells – nad trasami koncertowymi. Powstało Queen Productions Ltd, a następnie Queen Music Ltd i Queen Films Ltd. Zespół wreszcie posiadał tyle praw do własnej twórczości, jak i do samych siebie jako artystów, ile tylko dało się zabezpieczyć.

Pod wieloma względami był to punkt zwrotny. Podczas gdy ich interesy zostały uporządkowane, pod względem twórczym Queen znaleźli się na rozdrożu. Zdawali sobie sprawę, że potrzebują nowych wyzwań, by podtrzymać inspirację i entuzjazm. Zafundowawszy sobie pierwszy prywatny odrzutowiec, podjęli się dwóch ambitnych amerykańskich tras. Podczas pierwszej, rozpoczętej 11 listopada w Portland w stanie Oregon, Freddie zaśpiewał na żywo *Love of My Life*, zapraszając publiczność do udziału w czymś, co miało stać się głównym punktem koncertów Queen. W grudniu znaleźli się z powrotem w Nowym Jorku, gdzie Freddie wziął udział w przedstawieniu Lizy Minnelli *The Act*. Po tym, jak przez długi czas przywoływał Minnelli i Hendriksa jako swoich ulubionych artystów i źródło inspiracji, wzajemny podziw między Lizą oraz Freddiem wreszcie został odwzajemniony. Po latach gwiazda *Kabaretu* jako jedna z pierwszych zgodziła się wystąpić na koncercie poświęconym pamięci Freddiego Mercury'ego w 1992 roku.



*Freddie i Liza Minnelli w Groucho Club podczas przyjęcia z okazji dwudziestolecia Queen,  
1990 rok*



*Styczeń 1978 roku: Brian, Roger, Freddie i John wyruszyli w trasę koncertową po Europie. Freddie obnosi się ze swoim ulubionym obuwem: baletkami. Brian popisuje się białymi drewniakami*

W Madison Square Garden Freddie wprowadził publiczność w zachwyt, wracając na scenę na bis w czapce i kurtce New York Yankees. Jankesi właśnie zdobyli tytuł mistrzowski i ten ukłon w stronę świętej gry wzbudził wielki entuzjizm fanów. Przez całą późniejszą karierę koncertową Queen Freddie ciągle wprowadzał podobne osobiste akcenty: tu

zdanie w rodzimym języku publiczności, tam piosenka ludowa, flaga brytyjska podszyta flagą narodową kraju, w którym właśnie grali... Czasami Freddie rozmyślał długimi godzinami, by precyzyjnie zaplanować podobny gest. W ten sposób odwdzięczał się fanom za ich miłość.

W styczniu 1978 roku podczas MIDEM, targów muzycznych w Cannes, dzięki *We Will Rock You*, które przez ponad dwanaście tygodni zajmowało pierwsze miejsce na francuskiej liście przebojów, Queen odebrali nagrodę dla zespołu rockowego z największym potencjałem. Nawet Francja - „vous appelez cela de la musique rock!” - w końcu zauważyła Queen.

Podobnie jak poborca podatkowy. Rok 1978 był rokiem kursowania tam i z powrotem podatkowych zesłańców, spędzających większość czasu za granicą, by uniknąć horrendalnych podatków za zbyt wysokie zarobki. Queen ponownie objechali Europę, w maju dali pięć koncertów w Anglii, po czym zaczęli pracę nad kolejnym albumem w Mountain Studios w Montreux. Wybór padł na to studio, ponieważ w owym czasie przodowało w Europie pod względem technicznym, a Queen zawsze szukali tego, co najlepsze. Fakt, że znajdowało się w jednym z najbardziej malowniczych portów na świecie, stanowił dodatkową zaletę. Piękne Jezioro Genewskie i majestatyczne, ośnieżone Alpy zapierały dech w piersi. Brian i Freddie z początku zostali w domu: Brian z powodu narodzin pierwszego dziecka, synka Jimmy'ego, a Freddie po to, by popracować nad albumem dla własnej, dopiero co powstałej firmy Goose Productions, który nagrał jego bliski przyjaciel, Peter Straker.

Straker, urodzony na Jamajce aktor, poznał Freddiego w 1975 roku w londyńskiej restauracji Provan's. Pierwszy z nich był ze swoim menadżerem, Davidem Evansem, drugi zaś jadł kolację z Johnem Reidem. Tak się złożyło, że Evans pracował również dla Reida.

- Pamiętam nędzne futro i pomalowane na czarno paznokcie, białe chodaki i włosy - Straker opowiadał ich wspólnemu przyjacielowi, Evansowi. - I to charakterystyczne przygarbienie. Jednak tak naprawdę wywarł na mnie wrażenie niezwykle nieśmiałego. Ciągłe patrzył w ziemię. Robił tak przez całe życie, za każdym razem gdy przedstawiano mu kogoś obcego.

Po tym, jak parę razy wpadli na siebie na mieście, w listopadzie 1975 roku Straker zaprosił Freddiego na swoją imprezę urodzinową w małym mieszkaniu przy Hurlingham Road. Jej temat przewodni brzmiał: „Twoja ulubiona osoba”. Freddie, który miał wówczas potajemny romans z młodym pracownikiem teatralnym Davidem Minnsem, oświadczył gospodarzowi, że jeśli przyjdzie (a przyszedł), to nie w fantazyjnym przebraniu, ponieważ sam jest swoją ulubioną osobą.

- Freddie zjawił się wcześniej z Davidem Minnsem, niosąc butelkę szampana: oczywiście marki Moet et Chandon! To chyba tamtej nocy w przypiływie zaćmienia zapytałem, czy nie wyprodukowałby mojego albumu.

Umówili się na obiad.

- Od tamtej pory staliśmy się kumplami. Nie pamiętam konkretnych dat ani wydarzeń, bo nasze losy splątały się ze sobą nierozzerwalnie. Innymi słowy, przypadliśmy sobie do gustu.

Freddie i Straker, którego matka była śpiewaczką operową, chadzali razem na przedstawienia baletowe i operowe, jak również włączyli się po podejrzanych pubach oraz klubach. Zaczęli nawet grać w tenisa w eleganckim londyńskim Hurlingham Club. Straker, dobrze wychowany właściciel cudownego głosu i uderzającej skali wokalne, która powinna była przynieść mu większy sukces, niż osiągnął, poprosił Freddiego, by wyprodukował jego album z muzyką postglamrockową z elementami wodewilu. Freddie nie tylko się zgodził, lecz również lekką ręką zainwestował 20 tysięcy funtów z własnej kieszeni w płytę

zatytułowaną *This One's On Me*. Z albumu pochodziły dwa single: *Jackie* i *Ragtime Piano Joe*. Wspólni znajomi wspominają ich jako „dwie krnąbrne uczennice” albo „braci”, nigdy kochanków. Braterski konflikt stanowił fundament ich związku.

- Straker pomagał Freddiemu rozładować napięcie - stwierdził Peter Freestone. - Zawsze miał w zanadrzu jakiś cięty dowcip.

- Głęboka przyjaźń między Freddiem i Peterem zrodziła się z miłości do opery i klasyki - wspomina Lee John, oszałamiający wokalista tercetu Imagination z lat osiemdziesiątych, a także lojalny przyjaciel Freddiego i Petera. - Wyrosłem z soulu, R'n'B i jazzu i usiłowałem zrozumieć bluesa, a także całą muzykę Afryki. Ale Freddie uznał, że naprawdę powinienem poznać operę, że to wpłynie korzystnie na moją karierę. Znałem tylko *Szeherazadę* [z muzyką Nikołaja Rimskiego-Korsakowa, opartą na *Baśniach tysiąca i jednej nocy*]. „Skarbie”, powiedział, „to dobry początek”. Więc za radą Freddiego przez całe lato raz w tygodniu chodziłem na nowe przedstawienie operowe. Poczawszy od *Don Giovanniego*, a skończywszy na *Pierścieniu Nibelunga*. Przysnąłem! Ale też emocjonowałem się, śmiałem, wiele się nauczyłem. Pasjonowałem się Motown, a tu coś takiego! Spora część muzyki klasycznej ma afrykańskie korzenie, Freddie dobrze o tym wiedział. Chodzi o unikatowy zmysł rytmu. Opowiedział mi też bardzo dużo o technice wokalne. To wszystko ma sens, kiedy spojrzysz się w przeszłość. Jeśli chodzi jednak o Strakera, zawsze odnosiłem wrażenie, że on i Freddie uczyli się od siebie nawzajem. Jako przyjaciele trafili na równych sobie.

Brian i Freddie dołączyli do Rogera i Johna w Montreux, gdzie praca szybko postępowała. Tamtego lata EMI Records otrzymała Queen's Award to Industry za osiągnięcia w sprzedaży na rynki zagraniczne, jedno z najbardziej pożądaných brytyjskich wyróżnień dla producentów. Aby



uczcić tę okazję, EMI wytłoczyła pamiątkową edycję *Bohemian Rhapsody*: dwieście ręcznie numerowanych, limitowanych egzemplarzy na siedmiocalowym niebieskim winylu. W pierwotnym zamierzeniu wydanie miało być purpurowo-złote, w nawiązaniu do oryginalnych kolorów z *Queen I*. Zdaniem dyrektora generalnego międzynarodowego oddziału EMI, Paula Wattsa, nie wszystko poszło zgodnie z planem.

- Zdecydowaliśmy się na brązowo-złotą okładkę i purpurowy winyl - mówił Watts. - Ale kiedy płyta przyjechała z fabryki, okazało się, że wcale nie jest purpurowa, tylko niebieska!... Niebieski winyl to była fuszerka. Ponieważ mieliśmy zaledwie dwieście egzemplarzy [minimalny nakład zwykle wynosił tysiąc lub tysiąc pięćset], uznaliśmy, że nie warto tego zmieniać.

Nagrodę wręczono dyrektorom i zarządowi EMI w lipcu 1978 roku, w apartamencie Cotswold w londyńskim hotelu Selfridge. Na uroczystości nie zjawili się ani Queen, ani Jej Królewska Mość. Jak na ironię, skazana na podatkowe wygnanie kapela urządziła tego dnia w Montreux jedną ze swych dzikich imprez dla Rogera, który kończył dwadzieścia dziewięć lat.



*Najrzadsza i najbardziej poszukiwana płyta Queen: album „The Works”, wytłoczony na czerwonym winylu nakładem Columbia Records*



*Edycja limitowana. Dwieście ręcznie tłoczonych egzemplarzy Bohemian Rhapsody na siedmiocalowym niebieskim winylu dla uczczenia nagrody za zasługi, jaką w 1978 roku otrzymała wytwórnia Queen, EMI Records*

Cztery pierwsze oprawione niebieskie winyle zostały wysłane członkom zespołu do Szwajcarii. Kolejna partia trafiła do wybranych dyrektorów EMI. Oprócz płyt zestaw zawierał dwa zaproszenia na lunch. Pozostałą część nakładu wręczono w podarunku niektórym gościom, podczas gdy pozostali otrzymali dwa pamiątkowe kieliszki do szampana lub specjalny jedwabny szalik EMI. Nieliczni szczęśliwcy zdobyli wszystkie trzy przedmioty.

Ta płyta pozostaje jednym z najbardziej pożądanych obiektów kolekcjonerskich Queen, jak również jedną z najbardziej poszukiwanych rockowych pamiątek na świecie.

Nagrania przeniosły się do innego studia, SuperBear w Nicei, również z przyczyn podatkowych. Queen musieli teraz wędrować z miejsca na miejsce. Nie mogli ryzykować, nagrywając cały album w jednym kraju, bo bali się, że dopadnie ich odpowiedzialność podatkowa na kolejnym terytorium.

Przyjęcie z okazji trzydziestych drugich urodzin Freddiego odbyło się w wytwornym St Paul de Vence na południu Francji, gdzie Bill Wyman z The Rolling Stones miał dom. Dzika balanga sięgnęła zenitu, kiedy Freddie i Straker śpiewali po pijaku arie Gilberta i Sullivana. Dwa dni później zespół wzniósł toast za Keitha Moona, perkusistę The Who, który przedawkował klometiazol w należącym do Harry'ego Nilssona mieszkaniu przy Curzon Place w Mayfair - tym samym, w którym cztery lata wcześniej zmarła na zawał serca gwiazda Mamas and Papas, Cass Elliot.

Kolejnym singlem Queen był utwór *Fat-Bottomed Girls* wydany na podwójnej stronie A wraz z *Bicycle Race* i zainspirowany widokiem uczestników Tour de France, którzy przejeżdżali przez Niceę, kiedy zespół tam nagrywał. W celach promocyjnych Queen wynajęli londyński Wimbledon, płacąc sześćdziesięciu pięciu nagim dziewczynom za zainscenizowanie wyścigu kolarskiego. W ten sposób powstał szalenie zabawny materiał filmowy. Rowery zostały wypożyczone od Halfordsa, który uparł się, by Queen zapłacili za wymianę sześćdziesięciu pięciu używanych skórzanych siodełek. Singiel wspiął się na jedenaste miejsce listy przebojów, lecz nie obyło się przy tym bez kontrowersji: widoczne na okładce zdjęcie nagich pośladków zwyciężczyni wyścigu zostało uznane

za obraźliwe. Na późniejszych kopiach widniały pospiesznie dorysowane skąpe czarne majtki.

W październiku zespół ponownie jeździł z koncertami po Stanach Zjednoczonych. W noc Halloween w Nowym Orleanie Queen wydali imprezę, którą można opisać jedynie jako orgię, zapowiadającą ich kolejny album, *Jazz*. Na długiej na czterysta nazwisk liście gości znaleźli się przedstawiciele prasy z całej Ameryki Północnej, Ameryki Południowej, Wielkiej Brytanii i Japonii. Hotelową salę balową przekształcono w parne, zarośnięte bagno, na którym aż się roiło od karłów i transwestytów z rodzaju *drag queen*, połykaczy ognia, zapaśniczek w błocie, striptizerek i węży, karaibskich bębniarzy, tancerzy *voodoo*, zuluskich tancerzy, prostytutek, fanek *groupies* oraz groteskowych postaci. Część z nich na oczach imprezowiczów dokonywała niewyobrażalnych i być może nielegalnych aktów na sobie samych, jak również na sobie nawzajem. Jedna z modelek przybyła na tacy z surową wątróbką. Inni wili się w klatkach zwisających pod sufitem. To szaleństwo trafiło na nagłówki na całym świecie i utwierdziło pozycję Queen jako gospodarzy najbardziej orgiastycznych rockowych imprez.

W dodatku powrócił Tony Brainsby. Ich dawny menadżer wizerunkowy ponownie zajął się reklamą zespołu i był w swoim żywiole. Nie tracąc czasu, ściągnął z Londynu do Luizjany na zaledwie jedną noc grupę żądnych krwi pismaków.

- Obłęd - podsumował krótko. - Pojechaliśmy z lotniska na imprezę i z imprezy na lotnisko, nawet nie zbliżając się do żadnego łóżka. Swego czasu widziałem sporo przyjęć. Ale nigdy czegoś podobnego. Kiedy zbieraliśmy się do wyjścia, niektórzy dziennikarze mieli oczy jak spodki. Freddie składał autograf na pośladkach striptizerki - i było to najłagodniejsze szaleństwo, jakie tam wtedy widziałem. Potem przez kilka tygodni dochodziłem do siebie.

W Ameryce podniósł się jednak sprzeciw. Plakat z nagim wyścigiem rowerowym, załączony do albumu *Jazz*, spotkał się z dezaprobatą. Został potępiony, a w części stanów zabroniony jako „pornograficzny”. Od tamtej pory do egzemplarzy albumu załączano formularz zgłoszeniowy, który fani mogli wysyłać na wskazany adres, żeby otrzymać ów plakat. Queen uważali to za niewinny żart i tak zdecydowany sprzeciw szczerze ich zaskoczył. Nie powstrzymało to ich jednak przed wprowadzeniem na scenę Madison Square Garden grupy dziewcząt jadących na rowerach i dzwoniących podczas wykonywania *Bicycle Race*.

W Wielkiej Brytanii *Jazz* wspiął się na drugie miejsce listy przebojów i utrzymał na niej przez dwadzieścia siedem tygodni. Teraz musieli to przebić. Co mogli wymyślić na kolejny album? I następny? A co potem? Zespół najwyraźniej zapomniał, jak się zrelaksować.

## Rozdział 14

# Monachium

*Lubię Monachium. Mieszkałem tam tak długo, że po pewnym czasie ludzie przestali zwracać na mnie uwagę. Mam tam wielu przyjaciół. Wiedzą, kim jestem, ale traktują mnie jak zwykłego człowieka i takim mnie zaakceptowali. A to dla mnie idealny sposób, żeby się odprężyć. Nie znoszę, kiedy muszę się zamykać i chować. Nie tego chcę. Szlag by mnie trafił. Oszalałbym... jeszcze szybciej.*

Freddie Mercury

*Był bezwstydnie seksualny, co stanowiło pewien powiew świeżości. W tamtych czasach o niewielu dało się to powiedzieć.*

Carolyn Cowan, wizażystka Freddiego

Roger, Brian i John ustatkowali się, a jako oddani mężowie i ojcowie starali się pilnować - przynajmniej wtedy, gdy nie byli w trasie. W Nowym Orleanie Brian zdążył stracić głowę dla dziewczyny o imieniu Peaches. John, przeważnie mając na względzie rodzinne zobowiązania, zaczął zaglądać do kieliszka. Roger zawsze był duszą każdej imprezy i rzadko z własnego wyboru spędzał samotnie czas między północą a śniadaniem. Freddie, uwaga, próbował ich wszystkich przyćmić, z podwójną determinacją porzucając wszelkie zahamowania. Jeśli podczas trasy członkowie zespołu nie byli aniołami, to Freddie zamieniał się we wcielonego

diabła. Podczas gdy na początku 1979 roku ich cyrk wędrował z hukiem przez Europę w ramach gigantycznej, liczącej dwadzieścia osiem koncertów trasy, między innymi z dwoma pierwszymi występami w ówczesnej Jugosławii, ich wokalista dogadzał sobie, jakby się bał, że jutro wyjdzie to z mody. Dwunasty singiel Queen, *Don't Stop Me Now*, ukazał się w styczniu i spotkał z entuzjastycznym przyjęciem ze strony prasy muzycznej. Później wrócili do Montreux, by przysiąść nad taśmami nagranyymi podczas trasy do podwójnego albumu *Live Killers*. Jak zawsze czując się nad brzegami Jeziora Genewskiego jak w domu, zadowolony z pracy w Mountain Studios zespół skorzystał ze sposobności, kiedy ich księgowi zasugerowali wykupienie studia za gotówkę, co złagodziłoby ich skomplikowaną sytuację podatkową. David Richards, inżynier, który został producentem Queen, dołączył do zespołu. Zaproszenie od producenta Dino De Laurentiisa (*Barbarella*, *Życzenie śmierci*, *King Kong*, *Hannibal*, *Czerwony smok*), by skomponowali i nagrali ścieżkę dźwiękową do filmu science fiction *Flash Gordon*, opartego na postaci komiksowej, zaspokoilo kolejną wieloletnią ambicję Queen.

Odbywwszy nową trasę koncertową po Japonii, gdzie znów budzili chaos i bezkrytyczne uwielbienie, zespół spędził lato 1979 roku w nieistniejącym już studiu nagraniowym Musicland w Monachium, które zasłynęło jako kolebka sukcesu disco Giorgio Morodera. Ze względów podatkowych nadal nagrywając za granicą, Queen pracowali z nowym producentem, obwołanym niemieckim mistrzem Reinholdem Mackiem, drugim obok Morodera twórcą Musicland. Nagrywali tam Marc Bolan, Deep Purple i The Rolling Stones. Współpraca z Queen nie należała do najłatwiejszych w karierze Macka.

- Mieli swoje przyzwyczajenia, jak emeryci - wspominał Mack. - Ich *credo* brzmiało „Tak zwykliśmy to robić”... W porównaniu z nimi szybko podejmowałem decyzje.

Zawsze próbuję nowych rzeczy, podczas gdy inni łamią sobie głowy nad drobniejszymi szczegółami.

Jak powiedział, jego stosunki z Queen od początku do końca były „dość spokojne”.

- Właśnie wrócili z Japonii i przed powrotem do Anglii mieli trochę wolnego... Właściwy czas, właściwe miejsce. Projekt nie ruszył jako album [choć później ukazał się jako *The Game*]. To było kilka jedno- lub dwutygodniowych sesji. Próby zaczęliśmy od *Crazy Little Thing Called Love*. Freddie chwycił gitarę akustyczną i powiedział: „Szybko! Zróbmy to, zanim wróci Brian”. Jakieś sześć godzin później nagranie było gotowe. Gitarową solówkę dodaliśmy później. Brian wciąż mnie nienawidzi za to, że kazałem mu zagrać na telecasterze. Singiel wyszedł przed albumem i dotarł na pierwsze miejsce listy przebojów, co bez wątpienia bardzo podbudowało ich pewność siebie i fantastycznie wpłynęło na dalszą współpracę.

Jeśli chodzi o pisanie piosenek, Mack wspomina je jako skomplikowane.

- Były dwa obozy: Freddiego i Briana. Z Fredem szło łatwo. Myśleliśmy podobnie. Potrzebował jakichś piętnastu do dwudziestu minut, żeby wpaść na coś absolutnie genialnego. Brian z kolei wpadał na świetny pomysł, ale po pierwszym przyływie kreatywności gubił się całkowicie w nieistotnych szczegółach.

W czasach, kiedy zatrzymali się tam Queen, motto Monachium brzmiało: *Weltstadt mit Herz* - „Miasto z sercem”. (W 2006 roku zmieniło się na *München mag Dich* - „Monachium Cię lubi” - ale to już zupełnie inna historia). Ten pobyt wywarł głęboki, a nawet destrukcyjny wpływ na wszystkich członków zespołu, w szczególności zaś na Freddiego, który szybko uzależnił się od bardziej podejrzanych przyjemności. Każdy inny człowiek spędzający dłuższy czas w ważnym europejskim centrum kultury zanurzyłby się w bogactwie jego historii i różnorodnej architektury, ciesząc się licznymi atrakcjami.



W osiemnastym wieku miasto rozkwitło, a w czasach weimarskiego okresu międzywojennego stanowiło barwny punkt na mapie Niemiec. Mozart, Wagner, Mahler i Strauss, pisarz Tomasz Mann i abstrakcjonistyczny malarz Kandinsky ściągnęli do tego hipnotyzującego, deszczowego ośrodka.

Lecz dla Freddiego główną atrakcją Monachium było ożywione środowisko gejowskie, skupione na małym, położonym w centrum obszarze znanym jako Trójkąt Bermudzki. Enklawa ta stała się rajem dla homoseksualistów ze wszystkich zakątków Europy; podobnie jak nowojorskie Village czy Castro w San Francisco, które przyciągały gejów z całej Ameryki. Środowisko monachijskie było niczym nieskrępowane. Freddie poczuł, że może eksperymentować do woli, bez wygłodniałych pismaków nachodzących go w domu i relacjonujących każdy jego ruch w prasowych nagłówkach. Kolejny powód ekscytacji, tym razem dla całego zespołu, stanowiły monachijskie dyskoteki, które w tamtym czasie przeżywały dni świetności. Barów gejowskich było mnóstwo, wszystkie zapełnione przez siedem nocy w tygodniu. Życie nocne mogło się zmienić w wędrówkę w szaleńczym tempie po ciemnych, ogłuszających klubach w rodzaju Ochsen Gardens, Sugar Shack, New York i Frisco. Zaledwie nieliczni zwracali w Trójkącie uwagę na otwarcie bulwersujące gejowskie zachowania, ponieważ ludzie za dobrze się tam bawili – tak hetero-, jak i homoseksualiści. Mack wspominał potem:

- Freddie uwielbiał przebywać wśród mocno różnorodnych ludzi. Nigdy nie przepadał za czysto gejowskim światem. Był skryty i nie zachowywał się w sposób skandalicznie nieodpowiedni. Nie obnosił się ze swoim homoseksualizmem. Nigdy nie wywoływał awantur, a w mieszanym towarzystwie zawsze zachowywał się nienagannie. Uważał, że wszystko ma swoje miejsce.

Brian wyjaśnił w oficjalnej biografii Queen *As It Began*:

- Monachium wywarło na nasze życie olbrzymi wpływ. Spędziliśmy tam tyle czasu, że niemal stało się naszym drugim domem, a także miejscem, w którym żyliśmy inaczej. Zupełnie inaczej niż podczas trasy, kiedy przez kilka dni mieliśmy intensywny kontakt z jakimś miastem, a potem ruszaliśmy w dalszą drogę. W Monachium wszyscy uwikłaliśmy się w życie miejscowych ludzi. Większość nocy spędzaliśmy w tych samych klubach. Szczególnie fascynował nas Sugar Shack. To była dyskoteka rockowa z niesamowitym nagłośnieniem, a fakt, że niektóre z naszych nagrań nie brzmiały tam zbyt dobrze, całkowicie zmienił nasze spojrzenie na nasze miksy i muzykę. Z perspektywy czasu można chyba stwierdzić, że nasza wydajność w studiu podczas pobytu w Monachium nie była najlepsza. Przez życie towarzyskie przeważnie późno zaczynaliśmy pracę, byliśmy zmęczeni, a emocjonalne szaleństwa miały destrukcyjny wpływ, zwłaszcza w moim przypadku i być może w przypadku Freddiego.



*Teddy Bar, ulubiony lokal nocny w Monachium*

Pomimo ewidentnej rozwiązłości Freddiego w stolicy Bawarii Mack uważał, że urok tego rodzaju gejowskiego stylu życia zaczynał mu się nudzić.

- Freddie wiele razy powtarzał: „Może któregoś dnia dam sobie spokój z tym całym gejostwem”. W wieku dwudziestu czterech czy dwudziestu pięciu lat zdecydował mniej więcej, że jest gejem, przedtem uważał się za heteroseksualistę. W jego przypadku wszystko było możliwe. Sądzę, że mógł zrezygnować z homoseksualizmu, bo kochał kobiety. Widziałem, jak się zachowywał w ich obecności. Nie był jednym z tych gejów, którzy nie chcą kobiet w swoim życiu. Wręcz przeciwnie.

Freddie stał się częstym gościem w domu Macka i zbliżył się z jego żoną, Ingrid. Małżonkowie poprosili go na chrzestnego jednego ze swych dzieci. Mack opisywał, że Freddie nie był odporny na wygody rodzinnego życia, a nawet sugerował, jakoby dawał do zrozumienia, że chciałby radykalnie zmienić styl życia. Gwiazdor, stwierdził Mack, chciał się ożenić i mieć dzieci, chociaż w tamtym momencie w jego życiu nie było nikogo ważnego.

- Freddie najbardziej na świecie chciał mieć rodzinę i normalne życie - upierał się Mack. - Kiedyś zostałem paskudnie oszukany; nagle się okazało, że muszę zapłacić wielki zaległy podatek. Byłem bardzo przygnębiony i pogadałem o tym z Freddie. Powiedział mi: „Kurwa, to tylko pieniądze! Po co się tym przejmujesz? Jesteś ustawiony, masz wszystko, czego potrzebujesz - wspaniałą rodzinę i dzieci. Masz wszystko to, czego ja nigdy nie będę miał”. Właśnie wtedy uświadomiłem sobie, że za każdym razem, gdy nas odwiedzał, patrzył i chłonał. Widział, na czym polega życie rodzinne, i wiedział, że mógłby być szczęśliwy.



*Sylwester 1978 roku, Maunkberry's Club, Londyn. Od lewej: aktorka Britt Ekland, Freddie, przyjaciel, Ronnie Wood i jego żona Jo*

Lecz rok później w Nowym Jorku Freddie powiedział Rickowi Sky:

- Z natury jestem niespokojny i nerwowy, więc nie nadaję się na domatora. W głębi ducha jestem człowiekiem uczuciowym, pełnym skrajności, co często bywa destrukcyjne i dla mnie, i dla innych.

Jego siostra Kashmira zgodziła się, że Freddie nie byłby dobrym ojcem.

- Nie, nie wydaje mi się. Był bardzo dobry w rozpieszczaniu innych, ale kiepski w narzucaniu swojej woli.

Podczas wspólnych chwil w Monachium Mack odkrył również, że Freddie jako dziecko cierpiał z powodu

przeraźliwej samotności.

- Któregoś dnia podsłuchałem rozmowę między Freddiem a moim drugim synem, Feliksem. Freddie mówił mu: „Ja nigdy nie miałem tego wszystkiego. Kiedy byłem młody, spędziłem mnóstwo czasu z dala od rodziców, bo uczyłem się w szkole z internatem. Czasami prawie w ogóle ich nie widywałem”. Dość sporo rozmawiał z moimi dziećmi o swoim dzieciństwie. Freddie uwielbiał dzieci. Kiedy tylko nauczyły się chodzić, mówić i odpowiadać, natychmiast się z nimi dogadywał.

Jeśli chodzi o muzykę, jaką Queen nagrywali w Monachium, Brian pierwszy przyznał, że zmianę kierunku zainspirował Freddie.

- Podeszliśmy do sprawy z innej strony, zamierzając bezwzględnie przyciąć materiał i uzyskać spójny album, zamiast pozwolić, by nasze kaprysy prowadziły nas w zupełnie różnych kierunkach. Bodziec w znacznej mierze wyszedł od Freddiego, który stwierdził, że za bardzo urozmaicamy muzykę i ludzie nie wiedzą już, o co nam chodzi. Skoro album potrzebuje tematu, niech nim będzie rytm i oszczędność - po co grać dwie nuty, skoro wystarczy jedna? W naszym przypadku to surowa dyscyplina, ponieważ w swojej pracy lubimy przekraczać granice... To był dla nas przełom. Po raz pierwszy weszliśmy do studia bez żadnego ostatecznego terminu, wyłącznie z zamiarem nagrania paru kawałków, które przyjdą nam do głowy... Znaleźliśmy się w zupełnie nowej sytuacji - wyjaśnił.

- W ten sposób wyrwaliśmy się z rutyny nagrywania, trasy po Wielkiej Brytanii, trasy po Ameryce i tak dalej. Postanowiliśmy spróbować czegoś nowego i zobaczyć, co z tego wyjdzie. Po jakimś czasie człowiek sam musi znaleźć sobie powód do ekscytacji.

Mack nie ustawał w zachwytach nad techniką studyjną Freddiego, jego spontaniczną pomysłowością, poświęceniem, entuzjazmem, tempem i sprawnością, z jakimi pracował. Jedynie słomiany zapał brał nad nim

górze, podobnie jak w życiu prywatnym. Jeśli coś okazywało się zbyt czasochłonne lub nużące, Freddie nagle tracił zainteresowanie. Według Macka, nigdy nie potrafił skupić się na jednej rzeczy dłużej niż dwadzieścia minut.

- W przypadku *Killer Queen* można by rzec, że po prostu usiadł przy fortepianie i zagrał. Końcówka jest nieco niedopracowana. Według mnie to typowe dla Freddiego. Wprost uwielbiał zabierać się za coś nowego i innego. Wyjątkowo dobrze się z nim dogadywałem. Podobało mi się, że jest geniuszem. Naprawdę nim był, w kategoriach odbioru muzyki i dostrzegania, gdzie dana piosenka powinna się znaleźć.

Wspólnie nadali muzyce Queen zupełnie nowy wymiar, który pasował do nastroju epoki i skierował zespół na nowe wyżyny kreatywności.

Po sierpniowych występach na niemieckich festiwalach Freddie powrócił do Londynu, by wziąć udział w próbach do charytatywnego występu, jaki miał dać balet królewski na rzecz stowarzyszenia wspierającego upośledzone umysłowo dzieci. Do udziału w przedsięwzięciu przekonał go bliski przyjaciel, Wayne Eagling, ówczesny dyrektor Royal Ballet. Opracowano choreografię do *Bohemian Rhapsody* i *Crazy Little Thing Called Love*, a Freddie dodał wokal na żywo. W wieczór występu w londyńskim Coliseum Freddie tańczył tak dobrze, że zebrał owacje na stojąco.

- Wiedziałem o balecie tylko tyle, ile zobaczyłem w telewizji - Freddie zwierzył się Johnowi Blake'owi, piszącemu dla „London Evening News”. - Ale to, co widziałem, zawsze mi się podobało.

- Zaprzyjaźniłem się wtedy z sir Josephem Lockwoodem z EMI, również przewodniczącym zarządu Royal Ballet, i zacząłem spotykać się z ludźmi związanymi z baletem. Fascynowali mnie coraz bardziej i bardziej. W końcu zobaczyłem, jak tańczy Barysznikow, zwyczajnie zwałił mnie z nóg. Bardziej niż Nuriejew, niż ktokolwiek inny. On

naprawdę latał. Kiedy zobaczyłem go na scenie, byłem tak pełen podziwu, że czułem się niemal jak *groupie*.



*Freddie podczas prób z tancerzami Royal Ballet, 1980 rok*

Odnosząc się do swojego występu z baletem królewskim, stwierdził:

- Kazali mi ćwiczyć przy drążku i tak dalej, rozciągać nogi... Próbować tego, czego oni uczyli się całymi latami. To była katorga. Po dwóch dniach umierałem. Czułem ból

w miejscach, o których istnieniu nie miałem pojęcia, skarbie. W wieczór gali byłem zachwycony tym, co działo się za kulisami. Kiedy przychodziła moja kolej, musiałem się przeciskać między Merle Parke, Anthonym Dowellem i wszystkimi tymi ludźmi, mówiąc: „Przepraszam, teraz ja wychodzę!”.

Freddie tańczył, śpiewając *Bohemian Rhapsody*.

- Tak, skarbie, wykonałem ten skok. Wspaniały skok, który wywołał burzę oklasków, a potem pozostali złapali mnie, a ja śpiewałem dalej!

Zapytany, czy chciałby zostać zawodowym tancerzem, Freddie odparł:

- Tak, ale jestem bardzo szczęśliwy, robiąc to, co robię. W wieku trzydziestu dwóch lat nie można nagle stwierdzić ot tak: „Chcę zostać tancerzem baletowym”.

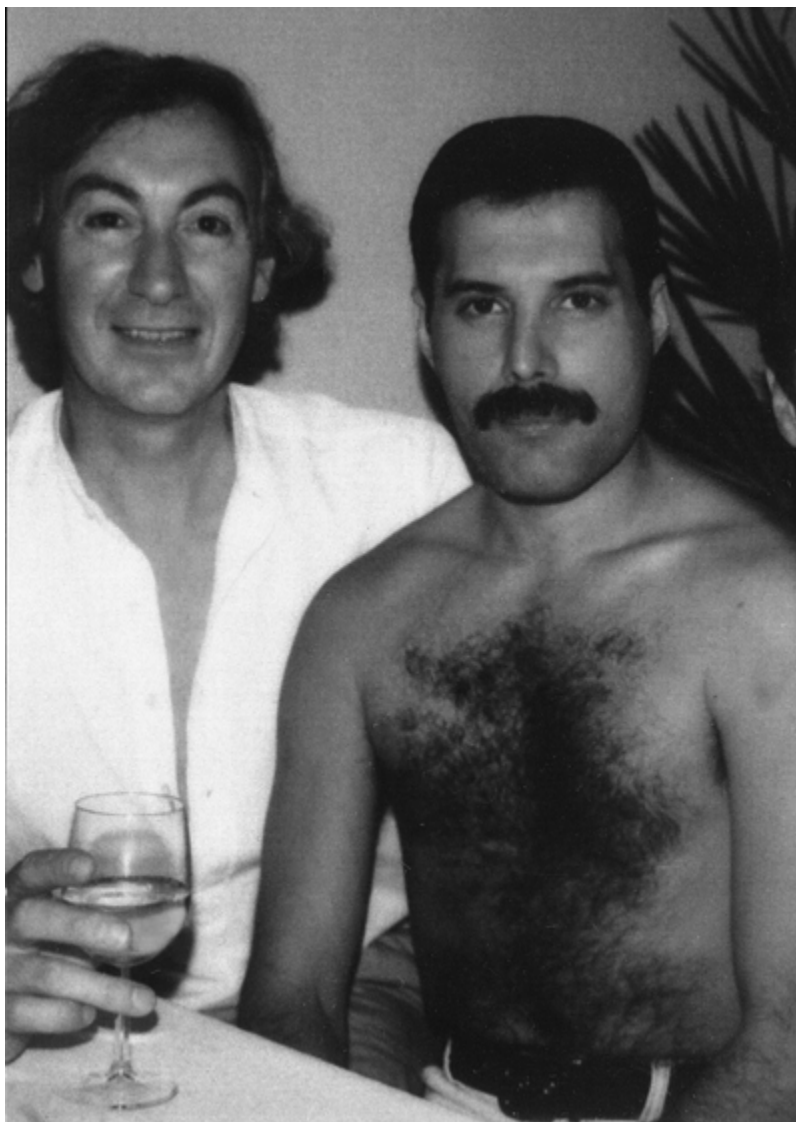
Taniec wywołał plotki, jakoby nie do końca był „prawdziwym mężczyzną”, z czego Freddie śmiał się do rozpuku.

- O mój Boże, skarbie! Niech sobie myślą, co tylko chcą. Widzisz, gdybym potwierdził albo zaprzeczył, to byłoby nudne. Nikt więcej by mnie o to nie pytał. Wolę, żeby pytali dalej. Och, to wszystko jest takie nudne. Skarbie, życie prywatne to sprawa jednostki. Znaczący, w przypadku kogoś takiego jak Elton, myślę sobie: Co mogę powiedzieć? Jest bardziej otwarty na prasę, prawda? Ja aż tak za nią nie szaleję.





*David Wigg przeprowadza wywiad z Freddie w jego garderobie podczas europejskiej trasy koncertowej Queen w 1979 roku*



*Dziennikarz, komentator i przyjaciel David Wigg z Freddiem podczas przyjęcia w Monachium, 1984 rok*

Freddie żartował potem na temat występu z baletem królewskim ze swoim przyjacielem Davidem Wiggiem.

- Śpiewanie do góry nogami to wspaniała sprawa. Ze zdenerwowania cały aż się trząsałem za kulisami. Zawsze jest o wiele trudniej, kiedy człowiek wychodzi ze swojej dziedziny, ale ja lubię wyzwania. Chciałbym zobaczyć, jak Mick Jagger albo Rod Stewart próbują czegoś podobnego.

W trakcie rozmowy wspomniał również, jak zwykle psotnie, że z całego wieczoru najlepiej zapamiętał, jak słynna rodezyjska balerina Merle Park uszczypnęła go w pośladek:

- Co za bezczelna kobieta!

Wycieczka do świata *pointes i pliè* miała wkrótce zapewnić Freddiemu przyjaciela na całe życie.

## Rozdział 15

# Phoebe

*Powoduję wiele tarć, dlatego związek ze mną nie należy do najłatwiejszych. Jestem najmilszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałaś, skarbie, ale trudno się ze mną żyje. Nie sądzę, by ktokolwiek potrafił mnie znieść, a czasami myślę sobie, że za bardzo się staram. W pewien sposób jestem zachłanny, chcę, żeby wszystko było po mojemu. Chyba jak każdy? Wiesz, jestem bardzo czuły i szczodry. Wiele wymagam, ale też wiele daję w zamian.*

Freddie Mercury

*Byłem głównym kucharzem Freddiego, jego przynieś-podaj-pozamiataj, kelnerem, lokajem, sekretarką, sprzątaczką... i wujkiem dobra rada. Zjechałem z nim cały świat, byłem z nim w dobrych i złych chwilach. Kiedy tego potrzebował, robiłem za jego ochroniarza, a pod koniec, rzecz jasna, byłem jednym z tych, którzy go doglądali.*

Peter „Phoebe” Freestone

Za kulisami Royal Opera House, podczas przygotowań do baletowego debiutu, Freddie poznał młodego pomocnika krawca i garderobianego, Petera Freestone’a. Już od pierwszego spojrzenia niezastąpiony - i natychmiast przechrzczony na „Phoebe” - Peter został później osobistym asystentem wokalisty, a zarazem oddanym towarzyszem aż do ostatnich chwil Freddiego.

- Freddie przyszedł do opery na przymiarke kostiumów, jakie miał nosić podczas gali Royal Ballet w Coliseum -

powiedział mi Peter. Łatwo zrozumieć, dlaczego Freddie z miejsca zapalał sympatią do tego uprzejmego, niezwykłego człowieka, dla którego nic nie stanowiło zbyt wielkiego kłopotu.

- Tamtego dnia, kiedy go poznałem, Freddie był niezwykle miły i grzeczny - wspominał Peter. - Odkryłem potem, że zawsze taki był, o ile ktoś go naprawdę nie wkurzył, bo wtedy potrafił zrobić piekło. Opera wywołała u niego podziw. Znalazł się poza swoją sferą działalności. To był bastion establishmentu, a Freddie stał po drugiej stronie barykady. Gala wypadła olśniewająco. Tancerze pierwszorzędnie kierowali nim na scenie.

- Zaśpiewał *Crazy Little Thing Called Love* i *Bohemian Rhapsody*. Do pierwszego utworu wyszedł w tych swoich skórach, potem schował się za ścianą tancerzy i wrócił w cekinach. Wtedy po raz pierwszy ujrzałem showmana tkwiącego w Freddie. Wcześniej słyszałem co nieco o Queen i raz w 1973 roku widziałem, jak Freddie i Mary pili herbatę w Rainbow Room w Bibie. Miał włosy dotąd i kurtkę z lisem. To na pewno był on.

- Pamiętam, że sama jego obecność była występem samym w sobie - dodał później.

Podczas przyjęcia po występie w Legends Peter wpadł na Freddiego i jego menadżera Paula Prentera i zaczął z nimi gawędzić.

- Trzy tygodnie później Paul zadzwonił do mojego szefa i zapytał, czy zna jakąś osobę zainteresowaną sześciotygodniowym kontraktem na garderobianego podczas trasy koncertowej Queen. Po tym, jak zobaczyłem popisy Freddiego na scenie, pragnąłem tej ekscytacji. *Spiącą królową* i *Jezioro łabędzie* widziałem tysiące razy... A teraz chciałem oglądać tego ekscytującego człowieka. Myślałem tylko o tym, że prowadzenie garderoby dla czterech osób nie może być tak trudne jak dla całego baletu królewskiego.

Porzuciwszy stałe zajęcie „z perspektywami” na rzecz krótkoterminowego kontraktu z Queen, Peter został bez pracy. Był zmuszony przyjąć tymczasowe stanowisko operatora telefonicznego w British Telecom.

- Póki Queen nie ruszyli w kolejną trasę i znów mnie nie zaprosili. Potem, kiedy nie byli w podróży, otrzymywałem stałe wynagrodzenie. Zajmowałem się wtedy różnymi drobiazgami w biurze. Po amerykańskim cyklu koncertów Paul i Freddie uznali, że powinienem być do wyłącznej dyspozycji Freddiego. Podczas trasy nadal miałem zajmować się wszystkim, ale poza tym skupiałem się tylko na nim.

Wkrótce odkryli, że obaj chodzili do szkoły z internatem w Indiach, tysiące mil od domu i rodziców. Powstała między nimi więź i Freddie zaczął się odsłaniać. Jedną z pierwszych rzeczy, które uderzyły Freestone'a, była awersja, jaką Freddie żywił do konfrontacji.

- Nigdy nie był niegrzeczny - powiedział Peter. - Jeśli coś zaczynało się dziać, wycofywał się i pozwalał dyskutować innym, a sam w tym czasie siedział z tyłu i obserwował. Czasem tylko coś wtrącił. To prawda, że on i Mary sporo się kłócili. Głównie dlatego, że miał wobec innych pewne oczekiwania i wkurzał się, jeśli ich nie spełniali. Człowiek dostawał wtedy nauczkę. Jeśli coś się wydarzyło po raz pierwszy, Freddie ci o tym mówił, a ty musiałeś go upewnić, że to się nigdy więcej nie powtórzy. Ale to nie powstrzymywało Mary przed popełnianiem wciąż tych samych błędów. Kiedy coś jej przyszło do głowy, po prostu to robiła, tak jak uznała za stosowne. Lecz jeśli coś nie zgadzało się z planami Freddiego, wybuchała wielka awantura.

Peter wiedział instynktownie, jak nie rzucać się w oczy i zachowywać swoje zdanie wyłącznie dla siebie. Wyczuwał również, kiedy wykroczenie poza zawodowe relacje z Freddiem jest stosowne, a kiedy nie. Egzotyczny świat Queen był mu zupełnie obcy, więc stawiał w nim swoje

pierwsze kroki ostrożnie. Czasami czuł się przytłoczony uprzywilejowaniem i dobrobytem, jaki zespół uważał za należny.

- Z każdą kolejną trasą chcieli więcej świateł, lepszego dźwięku i coraz wymyślniejszych dekoracji - wspominał Peter. - Wszystko, co robili, musiało mieć etykietę „nikt tego przed nami nie próbował”. Chcieli koncertów nad koncertami i choćby z tego powodu byli niesamowicie ekscytujący. Kilka lat temu widziałem Michaela Jacksona na Wembley, dwa razy z rzędu. Drugiego dnia wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak pierwszego. Queen byli zupełnie inni. Człowiek nigdy do końca nie wiedział, czego się spodziewać. Urządzali też najdroższe spotkania zespołu w historii, w studiu nagraniowym, mimo że płacili fortunę za każdą godzinę. Dzisiaj nikt by tak nie zrobił.

Ich stosunki układały się tak harmonijnie, a nowy asystent był tak dyskretny i naturalny, że szybko złożono na jego barki odpowiedzialność za wszystkie osobiste potrzeby Freddiego.

- Nawet go pakowałem - wspominał Peter. - Załatwiałem samochód, żeby po niego przyjechał. Upewniałem się, czy ma pieniądze, karty, paszport, bilety - prawdę mówiąc, to ja trzymałem pieniądze, karty i bilety. To ja wsadzałem go do samolotu. Często przypominało to opiekę nad dzieckiem. Zawsze z nim byłem, dosłownie u jego boku, w każdym samolocie na siedzeniu obok. Biorąc pod uwagę, ile czasu spędzaliśmy razem, dogadywaliśmy się nieprawdopodobnie dobrze. Podczas pobytu w Los Angeles, gdzie mieszkaliśmy, kiedy Queen nagrywali, byli tam też inni ludzie, dzięki czemu mogłem trochę odetchnąć. Ale w Nowym Jorku byliśmy tylko Freddie i ja. Naszą relację najłatwiej można opisać za pomocą linii: po tej stronie jest pracodawca, a po tej przyjaciel. Ta linia nigdy nie była nieruchoma. Po krótkim czasie potrafiłem natychmiast ocenić, gdzie przebiega, na podstawie tego, co się działo. Czy potrzebował pracownika, który by zrobił dla niego to czy

tamto, czy przyjaciela, na którym mógłby się oprzeć. Tak musiało być. Dzięki temu wiedział, że może na mnie nakrzyczeć – co robił często, głównie po to, by dać ujście swoim frustracjom. Obaj wiedzieliśmy, jaki stał za tym powód, i nam to pasowało. Więcej o tym nie wspominaliśmy, a Freddie nigdy nie żywił do nikogo urazy. Wystarczyło mu, że dał upust emocjom.

Konieczność stawiania się na każde skinienie wymagającego pana musiało wpływać na samopoczucie Petera. Czy czuł się jak sługa? Zaprzeczał.

- Głównie dlatego, jak sądzę – a niełatwo się przyznać do czegoś tak okropnego – że Freddie nigdy nie traktował mnie na zasadzie „zrób to, zrób tamto”, jak sam kiedyś traktowałem służących, których mieliśmy w Indiach. Przez większość czasu był wobec mnie niesamowicie uprzejmy. Co prawda, wypłacał mi pensję, ale żaden z jego pracowników nigdy nie musiał za nic płacić. Nigdy nie oczekiwał, że ktokolwiek zapłaci za posiłek albo postawi mu drinka. Jeśli postawiliśmy mu drinka, był bardzo szczęśliwy, ale nie oczekiwał tego od nas. Kiedy szliśmy do baru i byli tam ludzie z jego świty, wszystko szło na rachunek Freddiego. Nigdy jednak nie nosił ze sobą pieniędzy – my to robiliśmy. Pod tym względem przypominał członka rodziny królewskiej. Ale nie, nigdy nie czułem się przez to niezręcznie.

Już po śmierci Freddiego Peter doszedł do wniosku, że lata spędzone z Freddie i Queen należały do „najszcześniejszych w jego życiu”.

- W gruncie rzeczy prowadziłem takie samo życie jak Freddie, tylko że na to nie zarabiałem. Nigdy nie musiałem tworzyć muzyki ani stawiać czoła prasie. Za to wiele razy podróżowałem concordem, mieszkalem w najdroższych apartamentach najlepszych hoteli w najróżniejszych zakątkach świata, robiłem dla niego zakupy w najlepszych domach aukcyjnych, płacąc jego czekami *in blanco*. Żyłem



i wydawałem tak samo jak on. Jakim cudem miałbym się czuć jak sługa?

Głęboka, osobista przyjaźń, która łączyła ich aż do śmierci Freddiego, opierała się na wzajemnym szacunku i zaufaniu.

- Freddie niełatwo obdarzał ludzi zaufaniem - stwierdził Peter. - Albo zaufał komuś w stosunkowo krótkim czasie, albo nie zaufał mu nigdy. Zaakceptowanie mnie w tej roli, co nastąpiło w ciągu roku, stanowiło w jego oczach podstawę naszej przyjaźni. Tylko raz rozstaliśmy się z hukiem, mniej więcej w 1989 roku - gdy Peter dowiedział się, że Freddie zarzuca mu plotkowanie o jego chorobie poza murami Garden Lodge, czego nie robił. - Ale na bardzo krótko. Powiedziałem mu, że mam dość i że chcę odejść. „Proszę, nie odchodź”, odparł. „Chcę, żebyś tu był. P o t r z e b u j ę cię”. Więcej nie było mi trzeba. Wszystko natychmiast odeszło w niepamięć i zostałem aż do końca.

- Ludzie z jego najbliższego otoczenia tak naprawdę byli jego rodziną. Robiliśmy dla niego wszystko. Zrobiłbym dla niego wszystko - i to nie dlatego, że mi płacił, tylko z szacunku. Dla mnie Freddie stał na piedestale. Ale nie dlatego, że budził we mnie jakąś nabożną cześć. Miałem to szczęście być jego przyjacielem. Dla nikogo innego bym tego nie zrobił.

W czasie gdy Peter dołączył do jego świty, Freddie oddawał się w prywatnym życiu takim szaleńczym ekscesom, że wszyscy zachodzili w głowę, jakim cudem ukrywał to przed mediami. Stosunkowo łatwo, uważał Peter. Po prostu zachowywał wszystko dla siebie.

- W rockowym środowisku są pewne osoby, które przyszłyby nawet na otwarcie koperty - zauważył. - Jeśli nic się nie dzieje, sami wywołają jakąś aferę, tylko po to, by być na językach. Freddie przede wszystkim usuwał się z drogi, żeby nie pojawiać się w prasie. Medialnie robił to, co do niego należało, ale nie chodził na wielkie branżowe imprezy ani premiery. Rzadko bywał na koncertach innych

artystów. Był skrytym człowiekiem. Muzykę traktował jako pracę, a studio jako biuro. Nie chciał pracować poza biurem.

Peter uparcie twierdził, że pomimo lekkomyślności swojego pracodawcy i jego stylu życia nigdy nie bał się o Freddiego.

- Takie były czasy - wzruszył ramionami. - Początek lat osiemdziesiątych. Wszystko uchodziło.

W październiku 1979 roku Freddie był w świetnym nastroju z jeszcze jednego powodu: czternasty singiel Queen, *Crazy Little Thing Called Love* autorstwa Freddiego wydany wraz z *We Will Rock You* Briana, stał się przebojem w prasie muzycznej i zajął drugie miejsce na brytyjskiej liście przebojów. Freddie już dawno rozstał się z dawnym wizerunkiem i przesiadł się na „skórę”. Czarne albo czerwone skórzane spodnie i czapki w stylu macho stały się jego kostiumem scenicznym, częścią bardziej twardego i agresywnego, choć krótkotrwałego wizerunku. Ten również z czasem złagodniał i wyewoluował aż do ostatecznego stroju, prostej koszulki i dżinsów. Freddie kontrolował sytuację, choć przyjmował postawę buntownika. Ostry wizerunek w sam raz pasował do nowej dekady.

- Od tej pory koniec z szalonymi kostiumami scenicznymi - oznajmił. - Zamierzam przekazywać naszą muzykę w swobodniejszym stroju. Świat się zmienił, a ludzie chcą czegoś bezpośredniego.

Długa kariera zaczynała odbijać się Queen czkawką. Zespół nie mógł znaleźć sobie miejsca i był zmordowany. Ich wzajemne relacje słabły, w miarę jak znikaly entuzjazm i energia. Przez lata bylam świadkiem podobnej sytuacji wśród innych zespołów pokroju Queen. Nadchodzi taki moment, kiedy muzyka przestaje być podstawą ich egzystencji, kiedy już tak za tym nie szaleją. Brian, Freddie, Roger i John starzeli się. Byli dorośli, mieli partnerów, dzieci, domy, pracowników, światowy wizerunek publiczny,

indywidualne zobowiązania, działalność charytatywną, każdy z nich prowadził teraz pełnoprawny biznes na miniskalę, z niekończącymi się i wyczerpującymi obowiązkami. Queen nie mogli już dłużej być tym, od czego zaczęli: zespołem złożonym z niezwykle utalentowanych, bardzo ambitnych, lecz beztrudnych młodych facetów, którzy zadają się z panienkami i imprezują w każdym zakątku świata, robiąc to, co im się żywnie podoba. Ich osobowości i upodobania również podsuwały im odmienne priorytety. Roger przez długi czas nie miał nic przeciwko zgrywaniu supergwiazdy rocka, wypełniając tyle samo kolumn w gazetach co ich wokalista, zwłaszcza za sprawą barwnego życia osobistego. Brian z początku opierał się sławie, ale poczuł się swobodniej ze statusem gwiazdy, kiedy zakochał się w swojej drugiej żonie, Anicie Dobson, aktorce, która rozumiała branżę rozrywkową. John tkwił po uszy w „zwykłym” domowym zaciszu, od którego Freddie się odwrócił, i prawdopodobnie czuł się z tego powodu wyalienowany.

Sądzę, że ta postawa zrodziła się z poczucia winy. John sprawiał wrażenie zadowolonego męża i ojca, a rodzice Freddiego oddaliby wszystko, by ich syn stał się kimś podobnym. John przypominał mu o wszystkim, czego Freddie nie miał.

Spośród czterech członków zespołu to Freddie, o dziwo, najbardziej unikał światła jupiterów. W pierwszej kolejności uważał się za muzyka i wykonawcę, w drugiej zaś za gwiazdę rocka. Dla niego liczyło się dopieszczanie nagrań aż do perfekcji; dawanie olśniewających występów wieczór za wieczorem, i dążenie do szczytów doskonałości – zarówno dla fanów, jak i dla samego siebie.

- Był perfekcjonistą – zgodził się Peter Freestone. - Potrafił siedzieć nad czymś godzinami, byle mieć pewność, że danej piosenki nie da się lepiej skomponować, że żadna nuta nie wyrazi lepiej tego, co chce przekazać. Jego muzyka

była przede wszystkim dla niego samego... Poszukiwał własnej perfekcji, nie cudzej.

Freddie nie był zainteresowany „właściwymi” imprezami ani „ważnymi” premierami. Nie miał ochoty na pogaduszki. Nie zabiegał o sławnych przyjaciół, pozwalał, by sami do niego lgnęli. Nie mógłby chyba przejmować się mniej tym, czy jest dostrzegany. Podczas gdy dzisiejsze gwiazdeczki mają nieskończoną obsesję na punkcie ochrony „wizerunku publicznego” i artykułów na całą stronę, Freddie uważał to w najlepszym razie za nudne, w najgorszym zaś za niezmiernie niesmaczne i bezcelowe zajęcie.

- Trzeba mieć nerwy ze stali, żeby wytrzymać to tempo - zauważył. - Kiedy osiągniesz sukces, robi się naprawdę ciężko, ponieważ dopiero wtedy uczysz się, czym jest biznes. Poznajesz naprawdę ciemne strony, o których wcześniej nie miałeś pojęcia. Musisz być bardzo silny i umieć je oddzielić. To jak jazda rockandrollowymi samochodzikami w wesołym miasteczku. Nie możesz uderzać w coś zbyt często. Każdy, kto odniósł sukces, musi się sparzyć raz czy dwa. Żadne ruchome schody nie zawiozą cię bezboleśnie na sam szczyt - dodał niejasno.

Wielki światowy sukces zespołu rockowego niezmiennie skutkuje ograniczeniem bezpośrednich kontaktów z fanami. Mając to na uwadze, jak również martwiąc się nieuniknionym efektem domina, Queen postanowili unikać olbrzymich stadionów podczas najbliższej trasy na rzecz kameralnych sal, spośród których część nie dorastała do wymogów supergrupy i jej sprzętu. Nazwana *The Crazy Tour*<sup>[29]</sup> z uwagi na niektóre nieodpowiednie sale koncertowe, trasa ta była promowana przez Harveya Goldsmitha. Zespół zagrał w Dublinie - pierwszy raz w Irlandii - Birmingham, Manchesterze, Glasgow i Liverpoolu, gdzie Freddie obnosił się z czerwonym i niebieskim nakolannikami, by oczarować fanów zarówno

Evertonu, jak i Liverpoolu. Zagrali także w Brighton i skromnych lokalach w Londynie, w tym Lyceum Ballroom i The Rainbow. Podchodząc do trasy z umiarkowanym entuzjazmem, po raz pierwszy od długiego czasu Queen mogli stwierdzić, że naprawdę świetnie się bawili. Dzięki temu przypomnieli sobie, jak wspaniale im się występowało za starych dobrych czasów, kiedy bogactwo i sława wciąż były tylko mrzonkami.

Po koncercie w Brighton Freddie wyznał przyjacielowi, że wziął udział w „dziwnej orgii”.

- Zeszłej nocy byliśmy w Brighton i urządziliśmy jedną z tych naszych imprez - powiedział. - Jedna uwaga o Queen: jesteśmy bardzo dobrzy w urządzaniu imprez. Przyszło na nią pełno frywolnych kobiet i wszyscy się dołączyli. Nie zdradzę nazwisk, ale obsada była wyśmienita. Wszędzie latały rekwizyty i Bóg jeden wie co jeszcze. Świetna impreza.

Freddie nie przyznał się jednak do namiętnej nocy, którą spędził w ramionach młodego kuriera DHL Tony'ego Bastina. Tony został pierwszym stałym homoseksualnym partnerem Freddiego, jeśli nie wręcz lekarstwem na jego rozwiązłość. Ich związek trwał z przerwami dwa lata i żaden z nich nie łudził się, że spotkał swoją drugą połówkę.

- Freddie w ogóle nie był w typie Tony'ego - ubolewał potem Peter, odnosząc się do faktu, że Freddie zwykle nie leciał na mężczyzn o przeciętnej urodzie i budowie jasnowłosego uśmiechniętego Bastina. - Freddie lubił przysadzistych, dobrze zbudowanych i stosunkowo tępych facetów, takich, na których mógłby odcisnąć swoje piętno - wyjaśnił. - Po prostu podobała mu się stabilizacja, jaka wiązała się z posiadaniem stałego partnera, i traktował ją jako bezpieczną bazę, z której mógł grać dalej - dodał.

Wszyscy kochankowie Freddiego mieli bardzo proste pochodzenie.

- Choć sam pochodził ze wsi, do czego niechętnie się przyznawał, przyswoił sobie pewne wyrafinowanie, które udzielało się jego kochankom i podnosiło ich oczekiwania.

Bastin właściwie przeniósł się do mieszkania przy Stafford Terrace, zabrał tam nawet swojego kota, Oscara, i zaczął towarzyszyć Freddiemu, kiedy zespół ruszał w trasę. Szybko zasmakował w światowym życiu, o co trudno go winić, skoro Freddie zasypywał go biletami lotniczymi pierwszej klasy i drogimi prezentami. Bastin jednak tego nie doceniał. W końcu do Freddiego dotarło, że Tony go wykorzystuje. Co gorsza, doszły go słuchy, że Tony'ego widywano ze szczupłym młodym blondynem. To była pierwsza z wielu podobnych zdrad.

- Jego związki często miały podobny gorzki finał i Freddie zrobił się bardzo ostrożny, gdy wiązał się z kimś emocjonalnie - ujawnił David Wigg. - Jak tylko dostali bransoletę od Cartiera albo samochód... no wiesz. Ci jego „przyjaciele” nie byli szczególnie bystrzy. Ego członków świty często przerasta ego gwiazdy, której służą. Zaczynają wierzyć, że oni też tak mogą, zapominając, że sami nie mają ani krzty talentu i że są tu tylko dzięki człowiekowi, który im płaci.

To tłumaczy, dlaczego Freddie rozwinął u siebie taką namiętność do niezobowiązującego seksu z ciągle zmieniającymi się partnerami, a emocjonalne zaangażowanie zachowywał dla przyjaciół, którym naprawdę mógł ufać.

W końcu Freddie wezwał Bastina aż do Stanów Zjednoczonych, zakończył ich związek, po czym wsadził go z powrotem do samolotu z poleceniem, by zabrał z mieszkania wszystkie swoje rzeczy, ale zostawił kota.

Queen powitali Nowy Rok i nową dekadę piętnastym singlem *Save Me*, numerem jedenastym na brytyjskiej liście przebojów. Presleyowskie *Crazy Little Thing Called Love* uwiodło resztę świata, zapewniając im po raz pierwszy sam szczyt listy przebojów w Stanach i wyżyny list w Australii,

Nowej Zelandii, Meksyku, Kanadzie i Holandii. Zespół wrócił do Monachium, by pracować nad nowym albumem i ścieżką dźwiękową do filmu *Flash Gordon*.

\* \*  
\*

Na początku lat osiemdziesiątych w Londynie Mary Austin wreszcie znalazła dla Freddiego dom jego marzeń. Kiedy wysłała mu szczegółowy opis Garden Lodge przy Logan Place, W8, niewielkiej, cichej ulicy mieszkaniowej w Royal Borough of Kensington and Chelsea, tuż przy Kensington High Street, Freddie z miejsca się zakochał.

Dom był otoczony wysokim, starym ceglany murem zwieńczonym płotem z trejazem, który zapewniał niemal całkowitą prywatność. Od ulicy widać było jedynie dach ze szczytami dwupiętrowego edwardiańskiego budynku z ośmioma sypialniami. Co nietypowe dla tej okolicy, dom otaczał akr bujnych ogrodów. Do środka prowadziły nijakie drewniane drzwi w kolorze ciemnej zieleni, które w późniejszych latach fani z całego świata pokrywali co rusz nowym graffiti.

Dom należał do członka rodziny bankierów o nazwisku Hoare. Dowcip ten nie umknął uwadze Freddiego, który ochrzcił swoją nową siedzibę mianem „Whore House”, czyli „burdel”. Cena wyjściowa wynosiła ponad pół miliona funtów. Freddie, niezrażony, zaproponował gotówkę. Ponieważ w tamtym czasie dom składał się z dwóch oddzielnych rezydencji, potrzebna była rozległa renowacja i przebudowa, by ponownie połączyć go w całość. Dopiero po latach Freddie mógł nazwać swoją posiadłość domem. Nie przeszkadzało mu to jednak w przechwalaniu się na jego temat.

- Zobaczyłem dom, zakochałem się i pół godziny później należał do mnie - powiedział byłej dziennikarce Ninie Myskow. - Teraz jest w opłakanym stanie, potrzebuje wielu

zmian. Przez jakiś rok nie będę się mógł wprowadzić. Mówię, że to moja wiejska rezydencja w mieście. Jest on odosobniony, z rozległym terenem w samym centrum Londynu. Raz w tygodniu doznaję przyływu weny i jadę tam z architektem. „Dlaczego nie wyburzymy tych ścian?“, pytam. Wszyscy jęczą, a architekt pada. Następnego dnia pojechałem tam zalany, po porządnym obiedzie. Na górze znajduje się wspaniała łazienka – połączyłem trzy w pomieszczenie rozmiarów pałacu. Otumaniony, w przyływie natchnienia powiedziałem: „Szklana kopuła nad całą strefą sypialnianą ładnie by wyglądała”. Architekt drgnął, ale szybko poszedł po pióro i blok rysunkowy. Jeszcze nie widziałem szkiców, lecz wkrótce je dostanę.

Rick Sky usłyszał o nim w wywiadzie przeprowadzonym dla „Daily Star”.

- Lubię wydawać, wydawać, wydawać – rozplątywał się Freddie. - Ostatnio kupiłem nowy dom. Uwielbiam kupować antyki w domu aukcyjnym Sotheby's i Christie's. Czasami mógłbym pojechać do Cartiera i wykupić cały sklep. Często moje szaleństwo zaczyna się jak u kobiety, która kupuje nowy kapelusz, żeby poprawić sobie humor. Czasem, kiedy naprawdę mam dość, po prostu chcę zatracić się w pieniądzach. Rozpętuję burzę i wydaję, wydaję. Potem wracam do domu i myślę: „Boże, co ja takiego kupiłem?”. Ale nic się nigdy nie marnuje. Czerpię ogromną przyjemność z dawania ludziom prezentów.

Freddie wyznał Rayowi Colemanowi z „Daily Mirror”:

- Nie lubię zbyt łatwego życia. Jeśli chcę dużo wydawać, to muszę dużo zarabiać. W ten sposób się dopinguję. Dużo piję, dużo palę, lubię dobre wino i dobre jedzenie. I nigdy więcej nie zamierzam jeść hamburgerów.

Obsesja na punkcie domu, podobnie jak większość jego zainteresowań, była kolejnym sposobem na nudę.





*Freddie pozuje w Garden Lodge do portretu z jednym ze swoich ulubionych kotów*



*"Sure I'm Freddie Mercury -  
wait till I put my teeth in."*

*Słynny rysownik Gray Jolliffe wspomina swoje spotkanie z Freddiem w Austrii pod koniec lat osiemdziesiątych. Tłumaczenie podpisu pod rysunkiem: „Jasne, że jestem Fredziem Mercurym. Niech no tylko założę zęby.*

- To najgorsza choroba na świecie - przyznał Freddie. - Czasami myślę sobie, że w życiu chodzi o coś więcej, niż tylko uganianie się jak szaleniec po świecie, aż do znudzenia. Ale i tak długo nie usiedzę w miejscu. Rozpiera mnie ta niespokojna energia.

- Przyzwyczajasz się do różnych rzeczy. Masz coraz wyższe standardy i oczekiwania. Jeśli wiesz, że potrzebujesz ciągłej rozrywki, dbasz o to, żebyś zawsze ją dostawał. Kiedy opowiadam ludziom, co robiłem, są oszołomieni. Ale tylko to znam. W ten sposób się bawię. Dlatego nie potrafię po prostu usiąść i poczytać książki. Mogę przeczytać ich nieskończoną liczbę, kiedy już będzie po wszystkim, a moje nogi będą w bandażach. Być może rządzi mną zwykła zachłanność, ale jestem artystą estradowym. Mam to we krwi... Jestem tylko członkiem zespołu, skarbie. Daj mi scenę. Ale na swój sposób to wy stworzyliście tego potwora, prawda? I to wy musicie z tym żyć.

Szesnasty singiel Queen, *Play the Game*, ukazał się w maju 1980 roku. Wizerunek twardego, z jakim w teledysku afiszował się wąsaty Freddie, oburzył fanów. Wielu z nich zarzuciło biura Queen buteleczkami lakieru do paznokci. Pomimo tych protestów singiel dotarł na czternaste miejsce listy przebojów.

Lato 1980 roku przyniosło kolejną amerykańską trasę koncertową, tym razem wiodącą przez czterdzieści sześć miejsc, na które wyprzedaly się wszystkie bilety. W Wielkiej Brytanii wyszedł dziewiąty album Queen, *The Game*. Zmieszany z błotem przez prasę muzyczną, wziął szturmem pierwsze miejsce listy przebojów. W Vancouver fani, którzy zwykle rzucali swojemu idolowi majtki i kwiaty, tym razem ciskali w niego jednorazowymi maszynkami do golenia

i żyletkami. Wąsy pozostały. W sierpniu ukazał się singiel *Another One Bites the Dust* Johna Deacona. Basista zagrał w nim na większości instrumentów – na basie, fortepianie, gitarze rytmicznej i prowadzącej, bez użycia syntetyzatora. Później Roger dodał perkusję, a Brian własną gitarę i efekt dźwiękowy harmonizatora. Zawędrowawszy na pierwsze miejsce amerykańskiego Billboard Hot 100, utwór pozostał tam przez pięć tygodni. Zapewnił sobie najwyższe notowanie również w Argentynie, Gwatemali, Meksyku i Hiszpanii, natomiast w Wielkiej Brytanii dotarł na miejsce siódme. Nagranie, które rozeszło się w ponad siedmiu milionach egzemplarzy, wciąż jest uważane za najlepiej sprzedający się singiel Queen. Inspirację do powstania basowego riffu John przypisał piosence *Good Times* zespołu disco Chic.

- Freddie śpiewał, aż krwawiło mu gardło – skomentował Brian w magazynie „Mojo”. - Bardzo się zaangażował. Chciał, żeby ta piosenka była czymś wyjątkowym.

*The Game* jako pierwszy album Queen wspiął się na sam szczyt amerykańskiej listy przebojów, przechodząc wszelkie oczekiwania. Zespół zakończył najdłuższą trasę koncertową czterema wyprzedanymi do ostatniego miejsca koncertami w nowojorskiej Madison Square Garden, poruszony śmiercią Johna Bonhama, perkusisty Led Zeppelin. Zaledwie trzydziestodwuletni Bonham zadławił się własnymi wymiocinami, po tym jak jednego dnia wypił czterdzieści kieliszków wódki. Jego śmierć we wrześniu tamtego roku zabiła kolejną ulubioną kapelę Queen.

To właśnie podczas trasy w 1980 roku Freddie poznał swojego osobistego wikinga. Thor Arnold, postawny pielęgniarz za dnia, nocą zaś ulubieniec gejowskich lokali na Manhattanie, mieszkał w pobliżu Greenwich Village i poderwał Freddiego w jednym z miejscowych klubów. Chociaż ich romans nie trwał długo, aż do końca pozostali bliskimi przyjaciółmi. Głównym powodem, dla którego ich przyjaźń się utrzymała, był fakt, że Thor niczego nie chciał

od swojego słynnego kumpla. Jeśli postanowił pod wpływem impulsu polecieć do innego miasta i zrobić Freddiemu niespodziankę, sam kupował sobie bilet i wsiadał do samolotu. Freddie uważał, że to urocze, i za to go kochał. To za pośrednictwem Thora Freddie poznał trzech innych bliskich przyjaciół z Manhattanu, Joego Scardilli, Johna Murphy'ego i Lee Nolana. Ta czwórka wkrótce stała się znana jako „nowojorskie córeczki” Freddiego i za każdym razem, kiedy zjawiał się on w mieście, panowało wielkie rozbawienie.

Krótkie wakacje w październiku nie wystarczyły zespołowi, żeby odpocząć. O ile jeszcze pamiętali, jak to się robi. Wciąż musieli dokończyć dziesiąty album, ścieżkę dźwiękową do filmu *Flash Gordon*, a osiemnasty singiel, *Flash*, był już gotowy. Czekali ich również przygotowania do kolejnej trasy po Europie, w tym do trzech koncertów na stadionie Wembley.



„Wikiński” pielęgniarz Thor Arnold relaksuje się razem z Freddie w Los Angeles

Śmierć Johna Lennona oderwała ich od wszystkiego. Gdy w grudniu Beatles został zastrzelony w swoim domu pod Nowym Jorkiem, środowisko sław musiało stawić czoła własnej bezbronności. Po świecie chodził nie tylko Mark Chapman, ale też tacy ludzie jak John Hinckley junior, który miał obsesję na punkcie aktorki Jodie Foster i w 1981 roku usiłował zabić amerykańskiego prezydenta Ronalda Reagana. Queen nigdy nie przywiązywali wagi do kwestii bezpieczeństwa. To musiało się zmienić.

Podczas koncertu na stadionie Wembley oddali hołd Lennonowi, grając jego przebój z 1971 roku *Imagine*. Nieważne, że Freddie zapomniał słów, a Brian pogubił się w akordach. Szlochająca rzesza zszokowanych i zrozpaczonych fanów zaśpiewała chórem.

Na zespół posypały się nagrody. Dwie nominacje do Grammy, za najlepiej wyprodukowany album (*The Game*) i najlepszy występ rockowy w duecie lub zespole z wokalistą za *Another One Bites the Dust* (przeegrali z Bobem Segerem). W Stanach Zjednoczonych *Crazy Little Thing Called Love* i *Another One Bites the Dust* trafiły do pierwszej piątki najlepiej sprzedających się singli 1980 roku – ten drugi rozszedł się w liczbie ponad trzech i pół miliona egzemplarzy. Kiedy rok dobiegał już końca i Queen zaczęli planować występy w Japonii, przeprowadzili inwentaryzację. Do tego czasu sprzedali ponad czterdzieści pięć milionów albumów i dwadzieścia pięć milionów singli na całym świecie. Zadebiutowali w *Księdze rekordów Guinnessa* jako najlepiej opłacani członkowie zarządu w firmie, w której sami byli najcenniejszym majątkiem. Krótko mówiąc: więksi, lepsi, pierwsi.

Dokąd z tego miejsca mogła dotrzeć grupa gwiazd rocka?

## Rozdział 16

# Ameryka Południowa

*Pojechaliśmy do Ameryki Południowej, bo tam zostaliśmy zaproszeni. Chcieli, żeby czterej zdrowo wyglądający chłopcy zagrali jakąś przyjemną muzykę. Pod koniec miałem ochotę wykupić cały kontynent i ustanowić siebie prezydentem. Pomysł na wielką południowoamerykańską trasę przez długi czas chodził nam po głowie. Ale Queen w trasie to nie tylko sama kapela, wymaga także zatrudnienia olbrzymiej liczby ludzi i sporo nas kosztuje. Koniec końców stwierdziliśmy: „Pieprzyć koszty, skarbie, pożyczmy trochę!”.*

Freddie Mercury

*Ludzie z naszej branży desperacko pragną miłości. Wszyscy jesteśmy niepewnymi małymi pozerami. Robimy z tego bajkę, zabawiamy ludzi najlepiej, jak potrafimy. Jakbyśmy wiedzieli, co robimy, ale tak naprawdę pływamy w kółko jak kaczki w przerębli.*

Francis Rossi

Po podbiciu kilku kontynentów (fani rocka na Antarktydzie byli bez znaczenia) pozostało im jeszcze nieznanne terytorium Ameryki Południowej. Od lat krążyły fałszywe plotki, że najlepiej się sprzedający, budzący największą histerię uwielbienia w Argentynie i Brazylii zespół planuje tu trasę. Wcześniej tak daleko na południe zapuściła się garstka artystów, w tym Earth, Wind & Fire i Peter Frampton, ale nikt nie występował tam nigdy na tak

kolosalną skalę, o jakiej myśleli Queen. Jeśli miałyby zostać spełnione ich wysokie wymagania, obejmując najwspanialsze stadiony piłkarskie, jakie te kraje mogły zaoferować... W takim razie do dzieła. Dzięki niemal religijnemu kultowi piłki nożnej, jaki panuje w Ameryce Południowej, nie brakowało tam odpowiednich lokalizacji. Jeśli mistrzostwa świata w piłce nożnej były najchętniej oglądanym widowiskiem sportowym na świecie, to Queen byli najlepszymi artystami rockowymi. Wszystko to działo się w roku 1981, Freddie miał wtedy trzydzieści pięć lat.

Wielu uprzywilejowanych Argentyńczyków mogło zbić fortunę dzięki trasie Queen. Głównym promotorem został José Rota. Wpływowy biznesmen Alfredo Capalbo załatwił termin na stadionie Vélez Sarsfield w Buenos Aires, na stadionie miejskim w Mar del Plata i podobnym obiekcie w Rosario. Zespół był zachwycony lokalizacjami z mistrzostw świata i uznał je za bardziej niż stosowne.

W końcu, jak powiedział mi Brian:

- Widownia Queen to piłkarski tłum, który nie opowiada się po żadnej stronie.

Przed trasą zwaną South America Bites the Dust Freddie poleciał do Nowego Jorku razem z Peterem Freestonem, by sfinalizować zakup apartamentu. Było to mile widziane wytchnienie dla jego portfela: kosztujące 1000 dolarów za noc apartamenty stanowiły ekstrawagancję nawet dla Freddiego, który potrafił mieszkać w nich czasem przez trzy miesiące. Jego wspaniała rezydencja na trzydziestym trzecim piętrze szczyła się panoramicznym widokiem rozciągającym się od strony północnej aż do południowej.

- Pamiętam podekscytowanie Freddiego podczas obchodów stulecia mostu Brooklyńskiego - wspominał Peter Freestone. - Śledziliśmy je z jego balkonu i w telewizji. Apartament należał kiedyś do senatora albo kongresmana nazwiskiem Gray. Freddie kupił go od wdowy. Wszystko było urządzone na szaro: cztery sypialnie, pięć

łazienek i gabinet, wszędzie szare obicia, jakich używa się w biznesowych apartamentach dla mężczyzn. Ściany w jadalni pokrywała srebrzysta satyna. Chociaż jedną z największych pasji Freddiego było projektowanie i dekorowanie na nowo swoich nieruchomości, tutaj nie zmienił niczego.

Podczas gdy Freddie porządkował rezydencję na wschodnim wybrzeżu, czterdzieści ton rusztowań, oświetlenia i nagłośnienia płynęło ze Stanów Zjednoczonych do Rio de Janeiro. Cały ten sprzęt miał zostać zainstalowany przed historycznymi koncertami Queen. Kolejne dwadzieścia ton transportowano wycarterowanym na tę okazję DC8 podczas najdłuższego na świecie lotu z miasta do miasta, z Tokio do Buenos Aires.

Gdy 24 lutego 1981 roku zespół wylądował w pięknym skwarze Buenos Aires, jego członkowie po raz pierwszy zrozumieli, na czym polega powitanie godne bohaterów. Swego czasu doświadczyli bezkrytycznego uwielbienia – szczególnie w Tokio. Ale nawet Japończycy nie mogli się z tym równać. Odkąd ogłoszono wspieraną przez rząd trasę, media oszalały na punkcie Queen. Na kilka dni przed przybyciem zespołu fani zaczęli dziesiątkami tysięcy napływać do stolicy. 24 lutego wydawało się, że wszyscy naraz przyjechali na lotnisko. Razem z nimi na powitanie stawiły się prezydencka delegacja i eskorta policyjna. Wydarzenia tego dnia były nieprzerwanie transmitowane w państwowej telewizji. Nawet Freddiemu odebrało mowę.

- Maszerując do terminala, nie wierzyliśmy własnym uszom – powiedział. - Przestali nadawać komunikaty lotnicze i zamiast tego puścili naszą muzykę.

Argentyńska dziennikarka Marcela Delorenzi, wówczas piętnastoletnia fanka zespołu, opisała to jako pierwsze wielkie rockowe wydarzenie w jej ojczyźnie.

- W całym kraju wywołało to niewiarygodną rewolucję – stwierdziła. - W prasie, radiu i telewizji, dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez cały miesiąc przed ich



przybyciem ludzie mówili jedynie o Queen. Wskutek ich wizyty nasi rodzimi artyści rockowi musieli zmienić wizerunek i przyswoić sobie zupełnie nowe podejście. Cały sprzęt, oświetlenie, nagłośnienie, każdy element występu na żywo wymagał ulepszenia i wymiany. Nagle wszystko, co wcześniej uchodziło, wydawało się żałosne w porównaniu z Queen. W Argentynie to było jak rockowa wersja narodzin Chrystusa. Od tamtej pory wszystko było albo Przed Queen, albo Po Queen. Wywarli głęboki wpływ na Amerykę Południową. Rzesze z Chile, Urugwaju, Paragwaju i Boliwii przekraczały granice, by zobaczyć koncerty w Argentynie. Te daty wyryły się w mojej pamięci: 28 lutego, 1 marca i 9 marca.

Marcela powiedziała ze łzami w oczach, że jej życie się zmieniło, kiedy po raz pierwszy spotkała swojego idola, Freddiego Mercury'ego.

- Zatrzymał się w hotelu Sheraton w Buenos Aires. Byłam tam razem z mnóstwem innych fanów Queen, czekaliśmy na zespół. Musieli pojechać na konferencję prasową na stadionie. Na zewnątrz olbrzymi tłum czekał, żeby zobaczyć Freddiego, krzyczał i śpiewał, jakby to był koniec świata.

- Byłam cała na niebiesko - wspomina Marcela. - Kiedy w hotelowym lobby otworzyły się drzwi windy, ku memu wielkiemu zaskoczeniu zobaczyłam, że Freddie był od stóp do głów ubrany w dokładnie ten sam kolor. Otaczali go ochroniarze, ale poczułam nieprawdopodobną potrzebę przebicia się przez nich i uściskania go. Przedarłam się przez wianuszek i naprawdę go uściskałam. Dałam mu list, w którym napisałam, że chciałabym poznać „Fredericka Bulsarę” - nie Mercury'ego - załączając swój adres i numer telefonu. Oczywiście nigdy nie sądziłam, że zadzwoni. Zwróciłam się do niego prawdziwym nazwiskiem, ponieważ zawsze uważałam, że Freddie ma dwa oblicza: dobre i złe, białe i czarne. Freddie Bulsara był tym dobrym, białym. Dopiero po latach zrozumiałam, że wcale się nie pomyliłam.

- Wtedy jeden z ochroniarzy uderzył mnie i odepchnął. Nie mogłam go winić, że był nerwowy, ktoś mógł przecież skrzywdzić Freddiego, ale oczywiście nie miałam złych zamiarów. Po prostu chciałam go dotknąć. Pewnie miliony na całym świecie czuły dokładnie to samo. Zespół opuścił wtedy hotel, wszedł prosto do samochodu i odjechał. Tylko Brian został, żeby rozdać autografy. W końcu musieli go wrzucić na tył [opancerzonego samochodu z karabinami maszynowymi]. Kiedy odjeżdżali, zobaczyłam, że Freddie otworzył mój list i zaczął go czytać. Byłam przeszczęśliwa.

To była ta sama dziewczyna z Argentyny, która przywiozła mi do Londynu kopię aktu urodzenia Freddiego, pięć lat po jego śmierci.

Przed trzema koncertami, wyprzedanymi do ostatniego biletu, na stadionie Vélez Sarsfield fani stali w kolejce już od ósmej rano - mimo że ze względu na nieznośny upał show zaczynał się dopiero o dziesiątej wieczorem. Marcela była na dwóch koncertach w Buenos Aires i patrzyła, jak jej idole wchodzi na scenę w asyście uzbrojonych strażników.

- Argentyna nigdy wcześniej nie widziała czegoś podobnego - powiedziała. - Na początku zstąpili na scenę jak UFO, niesamowite światła, dym - magia. Wszystkich przeszły ciarki. Ludzie wokół dosłownie płakali. Boiska strzegło Astroturf, ochrona była niesamowicie zaostrzona, wszędzie kręciła się policja, ponieważ w tamtym czasie mieliśmy ostry, skrajnie prawicowy wojskowy rząd, na którego czele stał generał Viola<sup>[30]</sup>. Generał stwierdził, że chce poznać Queen, i wysłał im zaproszenie na spotkanie. Poszedł cały zespół z wyjątkiem Rogera, który zaprotestował, mówiąc, że przyjechał do Argentyny, by grać dla ludzi, nie dla rządu.

To było prowokacyjne oświadczenie. Krajem rządziła wtedy wojskowa junta, której przewodził Roberto Eduardo Viola Redondo. Został usunięty ze stanowiska w grudniu tego samego roku przez głównodowodzącego generała

Leopoldo Galtieriego, później zaś uwięziony pod zarzutem domniemanych zbrodni przeciwko ludności. Galtieri pełnił prezydenturę podczas zamieszek i wojny o Falklandy, jaka wybuchła między Wielką Brytanią a Argentyną w 1982 roku. Kiedy rozpoczęły się walki, muzyka Queen została zakazana w radiu.

- Dwa lata po wizycie Queen po raz pierwszy od blisko piętnastu lat osiągnęliśmy demokrację - zauważyła Marcela. - Podobnie stało się w Brazylii. Queen złożyli także budzącą wielkie kontrowersje wizytę w Sun City w RPA w 1984 roku. Parę lat później apartheid został zdemontowany i ludzie dostali w zamian demokrację. Tuż po tym, jak w 1986 roku dali kilka koncertów na Węgrzech, stary reżim upadł, a przed Węgrami rozpostarła się demokratyczna przyszłość. Wszystko to zapewne przez czysty przypadek, ale naprawdę zdumiewający - zupełnie jakby Queen nieśli ludziom swobodę i pokój wszędzie, gdzie się udali. Jakby byli zespołem wolności.

Freddie był wtedy u szczytu formy, muskularny, opalony i pociągający. Podczas występów na żywo wychodził na scenę w obcisłych dżinsach i białej koszulce, z apaszką przeciągniętą przez szlufki. Dbał o gęste, starannie przystrzyżone wąsy, by ukryć wystające zęby. Pozostał przy tym wizerunku aż do końca swojej kariery koncertowej, chociaż nie wiedział wtedy, że potrwa ona jeszcze tylko pięć lat.

Freddie każdej nocy wybiegał na scenę, tryskając energią. Ryk tłumu był ogłuszający, lecz Freddie wychodził mu naprzeciw.

- Czarował nie tylko swoją publiczność - wspominał David Wigg. - Rzucał urok również na samego siebie.

Freddie dyrygował publicznością, wyśpiewując entuzjastyczne „Yeah!”, „All right!” i „OK!”. Chwalił fanów: „Cantan muy bien!” - „Bardzo dobrze śpiewacie!”. Jedną wyjątkową piosenką za każdym razem kradła show: *Love of My Life*, którą Freddie napisał dla Mary Austin. Nagranie

na żywo tej słodkiej ballady, wydane jako singiel w Ameryce Południowej w 1979 roku, przez rok królowało niepodzielnie na pierwszym miejscu w Argentynie i Brazylii. Fani znali słowa na pamięć. Ich angielszczyzna była perfekcyjna. Kiedy tysiące ludzi wyciągały zapalniczki, tłum nagle przeistaczał się w ocean rozkołysanych płomieni. Kolejny ryk podnosił się, gdy Freddie zasiadał przy fortepianie, by zapowiedzieć kolejny znany kawałek.

- Ta piosenka jest tu i ówdzie znana jako *Bo Rap*.

Zespół zaczynał swój sztandarowy numer, opuszczając scenę podczas puszcanych z taśmy sekwencji chóralnych. Tej części utworu nie byli w stanie wykonać na żywo nawet dla wiernej Ameryki Południowej.

Jednym z kilku wywiadów, jakich Freddie udzielił w Buenos Aires, był wywiad dla „Pelo” („Włosy”), wysokonakładowego argentyńskiego odpowiednika „Rolling Stone”. Zapytany, dlaczego zawsze trzyma się z dala od pozostałych członków zespołu, odparł:

- Queen występują i nagrywają razem, dlatego ludzie utrwaliли sobie nasz wizerunek jako superjedności. Ale Queen to zespół muzyczny, nie rodzina. Każdy z nas robi to, co chce.

W rzeczywistości cechą charakterystyczną tamtej trasy i tego, co ich czekało, był wyraźny podział: jeden obóz tworzył Freddie wraz z towarzyszami i menadżerami kapeli - Peterem Freestonem, Joe Fanellim, Jimem Beachem, Paulem Prenterem i ówczesnym ukochanym Freddiego, Peterem Morganem (same „pedzie” z wyjątkiem Beacha), a drugi - pozostali członkowie zespołu oraz ekipa techniczna („heterocy”). Poza sceną obie strony żyły własnym życiem, a całą trasę nadzorował Gerry Stickells, który zarządzał ekipą.

Freddie jak zwykle zmagał się ze swymi osobistymi demonami. Morgan, niegdyś znany kulturysta i Mister Wielkiej Brytanii, który okrył się złą sławą, występując w jednym z pierwszych filmów homoerotycznych,

od pewnego czasu miał z Freddiem gorący, choć przerywany romans i poleciał do Buenos Aires, by do niego dołączyć. Podczas tego pobytu Morgan zdradził jednak Freddiego z o wiele młodszą mężczyzną, o czym Freddie dowiedział się przez przypadek, gdy pewnego dnia zobaczył, jak przechadzają się ulicą. Nic dziwnego, że ponownie zdradzony przez kochankę przestał wierzyć w miłość. Rzucił Morgana i skupił się na pracy, którą miał w tamtym czasie.

To doświadczenie nic go jednak nie nauczyło. Kolejnym fatalnym kochankiem Freddiego okazał się Amerykanin Bill Reid, krępy gej z New Jersey, którego poznał pewnej nocy w barze na Manhattanie. Ten związek był chyba najbardziej burzliwy ze wszystkich. Otoczenie Freddiego wspomina fizyczne starcia, potłuczone szkło i karygodne zachowanie podczas „ery Billa Reida”. Według Petera Freestone’a to z powodu Reida Freddie opuścił Nowy Jork i wycofał się z tamtejszego środowiska. I może właśnie dlatego zdecydował się na „bezpieczniejsze wyjście”, czyli „po każdym występie nowy facet”.

- Przeżył wiele bardzo emocjonalnych chwil - stwierdził Freestone. - Jakby potrzebował tych przyprawów namiętności, żeby pobudzić swoją kreatywność. Kończył związki z powodu wielkiego stresu w pracy albo przeciwnie - aranżował dramatyczne awantury, kiedy potrzebował dodatkowego kopa.

Bez wątpienia emocjonalne konflikty zdawały się potęgować jego kreatywność.

W Buenos Aires, napędzany gniewem i rozpaczą, o jakie przyprawił go Peter Morgan, Freddie jak nigdy dotąd rzucił się w wir pracy.

Czego oczekiwał po tej trasie koncertowej?

- Sporo wiedziałem o Argentynie - powiedział - ale nawet nie podejrzewałem, że jesteśmy tam tak dobrze znani. Reakcja tego narodu na naszą obecność po prostu mnie

oszołomiła... Od dawna chcieliśmy ruszyć w dużą trasę koncertową po Ameryce Południowej. Długo o tym myśleliśmy. Ale przez ostatnie sześć miesięcy ciężko pracowaliśmy, w zasadzie bez przerwy. Queen to nie tylko zespół. To cała rzesza ludzi, przez co każda trasa sporo kosztuje.

Do ceny sławy i problemów z prasą Freddie podszedł lekceważąco.

- Przez długi czas się tym przejmowałem - wzruszył ramionami. - Ale, jak widać, już mi przeszło.

W innym wywiadzie dla nieistniejącego już magazynu „Radiolanda 2000” zadeklarował miłość do Argentyńczyków.

- Byłem przyzwyczajony do trochę innych reakcji i zachowań ze strony publiczności - stwierdził. - Ale Argentyńczycy są niesamowici, chcę do nich wrócić. Przyznaję, podoba mi się myśl, że ludzie uważają mnie za idola. Chcę zostać legendą, ale musicie zrozumieć, że ta praca to wspólne przedsięwzięcie. Queen to nie tylko Freddie Mercury. To zespół. Pomyśl tylko o *Seven Seas of Rhye*, *Killer Queen*, *You're My Best Friend*, *Somebody to Love* (ulubiona piosenka Freddiego i jego matki), *Bohemian Rhapsody* - najbardziej satysfakcjonujący moment mojej kariery. To wszystko Queen, nie Freddie. Sądzę, że najlepszym dowodem na szacunek, jakim darzymy naszą publiczność, jest nasza praca.

Aby uniknąć porwania lub aktu terroryzmu, kwestie bezpieczeństwa podczas trasy były traktowane wyjątkowo rygorystycznie. Oprócz angielskich ochroniarzy, którzy podróżowali z zespołem, każdemu członkowi przydzielono osobistego miejscowego ochroniarza i tłumacza. Freddie zabawiał się, każąc swojemu ochroniarzowi składać w jego imieniu autografy na stosach przedmiotów pozostawionych przez fanów. Doprowadzał także swoich opiekunów do furii, wciskając jednocześnie wszystkie guziki w windzie, przez co drzwi otwierały się na każdym piętrze. Za każdym

razem, kiedy musiał na coś czekać, co zdarzało się często, opisywany jako „psocący chłopczyk” Freddie robił pompki na wykładzinie w holu albo zmuszał swoich goryli do wyścigów hotelowymi korytarzami.

Zaczął również przekonywać wszystkich bez wyjątku, że papierosy szkodzą zdrowiu. W związku z tym zabronił swoim kierowcom palenia. Kierowcy, rzecz jasna, uznali, że Freddie ma na myśli s w o j e zdrowie. Nietrudno wyobrazić sobie ich zaskoczenie, kiedy wślizgnął się do limuzyny i zapalił mentolowego papierosa. „To dobre dla i c h zdrowia, a nie dla mojego!”, pękał ze śmiechu z własnego dowcipu.

Pewnej dusznej nocy Freddie zażyczył sobie kolacji w Los Años Locos, (Szalone Lata), ekskluzywnej restauracji w Buenos Aires. Przebywając z tak rozpoznawalną osobą w tak popularnym miejscu, ochroniarze wokalisty siedzieli jak na szpilkach - zwłaszcza gdy Freddie poprosił, by pozwolili mu pójść do łazienki samemu, zamiast wydać z siebie zwyczajowe „siusiu!” i czekać, aż go zaprowadzą. Ponieważ zarezerwowali stolik na drugim piętrze, w pobliżu męskiej toalety, ochroniarze się odprężyli. Nie widzieli powodu, dla którego ten jeden raz nie miałby pójść sam. Z pewnością zauważyliby, gdyby ktoś próbował zakraść się do łazienki, gdy był tam Freddie. Minęło jednak dwadzieścia minut, a Freddie nie wracał. Ochroniarze zdali sobie sprawę, że coś musiało się stać, i czym prędzej pognali do męskiej toalety.

- W środku zastaliśmy dwóch mężczyzn i dwie kobiety dobijających się do drzwi kabiny, które najwyraźniej były zamknięte od środka - opisywał ochroniarz. - Mogliśmy jedynie zakładać, że Freddie znajdował się w środku. Ci ludzie go terroryzowali, krzyczeli, żeby otworzył drzwi, bo oni m u s z ą go zobaczyć, m u s z ą dostać jego autograf. Freddie nie odpowiadał. Wiedziałem teraz, że zamknął się w środku. Obawiałem się, że coś mu się stało. Wrzasnęliśmy na tych ludzi, że mają się wynosić.

Kiedy sytuacja trochę się uspokoiła i Freddie zdał sobie sprawę, że to my, otworzył. Wyglądał na przerażonego. „Mieliście rację”, powiedział blady jak ściana. „Nie mogę nawet sam pójść do łazienki, prawda?”.

W wieczór poprzedzający ich ostatni występ na Vélez Sarsfield Queen zostali zaproszeni na uroczyste *asado* (przyjęcie z grillem na wolnym powietrzu) w *quinta* (weekendowej posiadłości) należącej do prezesa stadionu, seniora Petraki. Zespół z miejsca zakochał się w przepięknej olbrzymiej posiadłości. Wszystko szło dobrze, dopóki nie zjawiała się prasa. Freddiemu od razu zrzędała mina. Nie żeby miał coś przeciwko dziennikarzom jako takim, sama byłam dziennikarką, kiedy go poznałam, i zawsze sprawiał wrażenie idealnie spokojnego gospodarza. To mało oryginalne pytania, które zwykli mu zadawać zagraniczni dziennikarze, doprowadzały go do rozpacz.

- Przez ostatnie dziesięć lat w kółko zadają mi te same durne pytania - powiedział.

Freddie wpadł w żartobliwy nastrój, kiedy podeszli do niego dwaj miejscowi dziennikarze, z których jeden pracował dla „Pelo”, żaden natomiast nie mówił po angielsku. Bez wiedzy pismaków Freddie i jego tłumacz uknuli mały spisek. Ten drugi miał przekładać pytania na angielski, by Freddie wiedział, o co jest pytany. Podczas gdy Freddie gadał od rzeczy jak najęty, tłumacz mówił dziennikarzom, co mu ślina na język przyniosła. Gdy tłumacz kupił egzemplarz czasopisma, ku swej radości zobaczyli, że wszystkie odpowiedzi były całkowicie zmyślane - z wyjątkiem jednej, odnoszącej się do Diego Maradony.

Drużyna Argentyny była mistrzem świata w piłce nożnej, odkąd w 1978 roku po raz pierwszy zdobyła u siebie ten tytuł. Stanowiła ona dla Argentyńczyków świętość. Maradonę uważano za narodowego boga, a Queen od dawna go podziwiali. W liście do mnie Brian napisał



o nim: „W tym człowieku żyje duch pogoni za doskonałością”.

Freddie poznał Maradonę podczas przyjęcia w Castelar pod Buenos Aires i zaprosił na scenę podczas ostatniego koncertu w Buenos Aires. Maradona ochoczo się zgodził.

- Freddie nie do końca zdawał sobie sprawę, kim jest Maradona, ponieważ nieszczególnie interesował się piłką nożną - śmiał się Peter Freestone. - Piłkarskie uda - być może. Uda rugbistów - cud, miód i orzeszki!

Mimo to młody gwiazdor piłki nożnej bardzo rozbawił Freddiego. W pewnym stopniu mógł się z nim utożsamiać: łączyła ich skromna postura i bezsprzeczny głód sukcesu. Zgodnie z planem Maradona zjawił się na scenie, wywołując entuzjastyczny aplauz, po czym zdjął swoją koszulkę z numerem 10 i zamienił z Freddiem na koszulkę z Flashem. Następnie zapowiedział *Another One Bites the Dust* i zszedł ze sceny, a Queen zaczęli grać jeden z ukochanych rockowych numerów Argentyny.

Być może dziennikarz „Pelo” nie był aż tak głupi, kiedy przepytywał Freddiego podczas *asado*. Chciał wiedzieć, czy wymiana koszulek z największym sportowym idolem narodu nie była przypadkiem „aktem demagogii”. Freddie, rozwścieczony tą sugestią, potępił ją jako „niedorzeczną”. Oświadczył, że był to jedynie przyjacielski gest, nic poza tym.

- Jeśli publiczność uważa, że takie rzeczy są w porządku, i je docenia, to mam w nosie, co na ten temat może pomyśleć prasa - odparował. - Zamierzam robić, co mi się żywnie podoba, nawet jeśli prasa nazwie to demagogią czy złem.

Pobyty w Ameryce Południowej składał się nie tylko z ekscytujących przeżyć. Śledzony i nękaný zarówno przez media, jak i przez fanów, którzy potrafili otoczyć go w mgnieniu oka, Freddie spędził więcej czasu na ucieczkach przed szalonymi tłumami, niż miał ochotę. Wszędzie był rozpoznawany, a spokój i ciszę znajdował

jedynie za zamkniętymi drzwiami hotelowego apartamentu. Spał więcej niż zwykle, rzadko opuszczając pokój przed drugą po południu. Od czasu do czasu prosił o przejażdżkę po mieście, ale do jego ulubionych zajęć „po godzinach” należało jedzenie i zakupy. Jego świta wychodziła z siebie, by każdego wieczoru załatwić inną restaurację, choć na miejscu Freddie jadł tyle co nic. Przynajmniej wypadły na zakupy były owocne. Podczas jednego z nich kupił dwadzieścia pięć par skarpetek, dziesięć identycznych koszulek i dwadzieścia par spodni. Jego ochroniarze zastanawiali się, dlaczego kupował tyle sztuk. Zaskoczył ich, wyjaśniając, że jako nastolatek nigdy nie miał szansy po prostu być dzieciakiem i nosić tego, co chciał. W ten sposób, jak im powiedział, wynagradzał sobie tamte czasy.

- Co pewien czas zachowywał się jak dziecko, tak jak podczas wizyty w ogrodzie japońskim w Buenos Aires - opowiadał jeden z ochroniarzy. - Była tam szkółka roślin, ścieżki i małe mostki. Freddie uznał je za czarujące. Stwierdził, że chce urządzić podobny ogród w Londynie. W tym momencie wspinał się na szczyt wodospadu, żeby zrobić zdjęcie. Zobaczył go strażnik i kazał Freddiemu zejść. Musiałem mu wyjaśnić, kim jest Freddie, i przekonać, by pozwolił mu zrobić zdjęcia. Freddie zszedł dopiero wtedy, kiedy skończył, nakarmił karpie koi i zostawił dwa autografy w księdze gości.

Radość Queen z ich historycznej trasy po Argentynie zbladła na wieść, że ich marzenia o występie na najśłynniejszym stadionie w Rio zostały zniweczone przez nadmiar biurokracji. Słynna Maracanã mieszcząca sto osiemdziesiąt tysięcy widzów cieszyła się statusem największego stadionu świata tamtych czasów. Trudno zlekceważyć techniczne, prawne i polityczne trudności, jakie w Brazylii napotkali promotorzy Queen. Gubernator Rio de Janeiro odmówił wydania pozwolenia na występ zespołu na stadionie, oświadczając, że służy on jedynie ważnym widowiskom sportowym, religijnym i kulturalnym.

Rok wcześniej pojawił się tam papież. Podobnie Frank Sinatra, lecz Queen usłyszeli enigmatyczne „nie”.

Przedstawienie musiało jednak trwać. Zespół przystał na stadion Morumbi w São Paulo, dalej na południe, gdzie zagrali przed publicznością liczącą sto trzydzieści jeden tysięcy ludzi. Był to największy biletowany występ jednego artysty na świecie. Następnego wieczoru zjawiono się kolejne sto dwadzieścia tysięcy, by stać się świadkami magicznego show. Zostali oni otoczeni przez oddziały policji konnej, podczas gdy w tłumie krążyli uzbrojeni funkcjonariusze w cywilu. Ponownie w mieście, w którym mało kto mówił po angielsku, widok ponad stu tysięcy osób śpiewających *Love of My Life*, stworzony przez Queen hymn Ameryki Południowej, wzbudził wielkie poruszenie. W ciągu dwóch wieczorów dwieście pięćdziesiąt jeden tysięcy ludzi oglądało Queen na żywo. Była to liczniejsza publiczność, niż większość artystów może oczekiwać w całej swojej karierze.

Niemający sobie równych sukces Queen w Ameryce Południowej stanowił największy powód do dumy Jima Beacha, prawnika, który przeistoczył się w menadżera, teraz znanego w zespole pod pseudonimem „Miami”. Spędziwszy pięć miesięcy na przekonywaniu władz obu krajów, że wszyscy skorzystają na pionierskiej rockowej przygodzie Queen, dowiódł swoich racji.

- Podczas siedmiu koncertów Queen obejrzało ponad pół miliona ludzi, dla których koncerty rockowe stanowiły zupełnie *novum* - powiedział Beach w Brazylii. -

Rzeczywiste koszty tych występów są tak olbrzymie, że pozostawiają bardzo wąski margines zysków dla zespołu. Ale promocja jest fenomenalna. W ciągu ostatniego tygodnia naszego pobytu w Argentynie wszystkie albumy Queen zapełniły pierwszą dziesiątkę list przebojów. Zanim tu przyjechaliśmy, wszyscy powtarzali, że żadna grupa nie da udanych koncertów w Ameryce Południowej, lecz my udowodniliśmy, że to możliwe.

- Nie mieliśmy pojęcia, jak zostaniemy odebrani - dodał Brian. - W Europie i Ameryce Północnej wiedzieliśmy to doskonale. Ale dla tutejszych fanów to była zupełna nowość. W Argentynie, gdzie ludzie są stosunkowo bardziej wyrobieni, mieli jako takie pojęcie, czego się spodziewać, ale dla Brazylijczyków wszystko było nowe. Przeżyłem jeden z najbardziej ekscytujących momentów w moim życiu, kiedy zobaczyłem, jak czeka na nas sto trzydzieści tysięcy ludzi.

Krytycy zaczęli prowokować. Czy Queen nie mieli moralnego obowiązku unikania występów w uciśnionych krajach, w których panował polityczny klimat przemocy, takich jak Argentyna? Czy w ten sposób nie wspierali reżimów, które potępiał cały świat? Jim Beach nie miał żadnych skrupułów:

- Gdybyśmy myśleli w ten sposób, moglibyśmy grać jedynie w kilku krajach poza Europą Zachodnią i Ameryką Północną.

Nauczywszy się na własnej skórze, że w obliczu krytyki wskazane jest pełne godności milczenie, Freddie nie komentował sprawy.

- Przestał się wypowiadać, ponieważ ma już trochę dość ciągłego przedstawiania Queen i samego siebie w fałszywym świetle - stwierdził Brian. - Myślę, że każdy, kto spotyka Freddiego, jest trochę zaskoczony. Nie jest żadną primadonną, jak mogłoby się wydawać. To wyraźnie pozytywna postać, podobnie jak my wszyscy. Koniec końców, cholernie ciężko pracuje i daje wyśmienity show.

Dokąd teraz zaprowadzi ich niespokojny duch?

## Rozdział 17

# Barbara

*Barbara Valentin zafascynowała mnie, bo ma niesamowite cycki!*

*Połączyła mnie z nią silniejsza więź niż z jakimkolwiek kochankiem w ciągu ostatnich sześciu lat. Z nią mogę naprawdę porozmawiać i być sobą, co zdarza mi się bardzo rzadko.*

Freddie Mercury

*To były szalone czasy, o wiele lepsze i gorsze, niż ktokolwiek potrafiłby sobie wyobrazić.*

Barbara Valentin

Podczas gdy wydanie zaplanowanego albumu Queen *Greatest Hits* zostało przesunięte na koniec roku, sierpień 1980 roku stał się miesiącem Rogera. *Fun in Space*, jego pierwszy solowy album, nagrany rok wcześniej w Montreux, był już gotowy. Roger przyznał, że kosztowało go to wiele wysiłku, jako że przyzwyczał się do obecności i wsparcia pozostałych trzech muzyków, z którymi pracował nieprzerwanie przez ostatnie dziesięć lat. Lecz po tak intensywnej i pochłaniającej wspólnej dekadzie nie dało się uniknąć podobnej ucieczki.

- Były pewne rzeczy, które chciałem zrobić, a które nie mieściły się w formacie Queen - stwierdził. - To jak przepłukać cały organizm. Póki tego nie zrobisz, po prostu nie czujesz się spełniony.

Pozostali członkowie Queen, każdy w swoim czasie, postąpili podobnie.

Po tym jak w maju Brianowi urodziła się córka, Louisa, gitarzysta dołączył do Freddiego, Rogera, Johna i Macka w Montreux, by wspólnie pracować nad albumem *Hot Space*. W lipcu spokojne Montreux przygotowało się na tłumy, które zjechały na coroczny festiwal jazzowy Claude'a Nobsa.

- Mieszkałem w Montreux mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Queen kupili Mountain Studios - mówił Rick Wakeman, który w 1976 roku, po powrocie do zespołu, pojechał do Szwajcarii, by nagrać z Yes album *Going for the One*. Poznał tam asystentkę z Mountain Studios, Danielle Corminboeuf, i zostawił dla niej swoją żonę Ros.

- Szwajcaria to bardzo stateczny kraj - opowiada Rick - ale zawsze pełen akceptacji dla tego, kim jesteś. Miejscowi byli bardzo podekscytowani faktem, że Queen kupili tam studio. Nikogo nie obchodziło, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami, nawet szwajcarska prasa dawała im spokój. Idealne miejsce dla muzyków rockowych do życia i pracy.

- Przy głównej ulicy znajdował się pewien pub, White Horse, na który wszyscy mówili Blanc Gigi (wciąż mieści się przy Grand Rue 28). Tam przychodził każdy, kto pracował w Mountain Studios. Jeśli kilka kapel nagrywało jednocześnie albo w studiu siedzieli Queen, lądowaliśmy właśnie w Blanc Gigi. Przesiadywałem tam głównie z Rogerem i Brianem, ale Freddie też często się zjawiał, zawsze z jakimś młodym Francuzem. I co z tego. Oczywiście, nie przyznawał się otwarcie do homoseksualizmu, ale nikt nic nie mówił. To były inne czasy. Queen kochali Montreux. Posiadanie własnego studia było bardzo sensownym rozwiązaniem pod względem biznesowym. Poza tym mogli tam siedzieć, gdy tylko przyszła im na to ochota.

- W tamtych czasach członkowie zespołów byli w gruncie rzeczy śmierdzącymi leniami. Ludzie objali się po studiach

kosztujących tysiące funtów za dzień. Jeden szedł na narty, drugi zalegał w łóżku, bo się nawalił poprzedniej nocy. Jon (Anderson) i ja wpadaliśmy czasem, pisaliśmy kawałek piosenki, po czym wędrowaliśmy do pubu i siedzieliśmy tam do siódmej. Rzadko kiedy ktoś pracował przez cały dzień. To, co powinno zająć pięć czy sześć tygodni, ciągnęło się przez pięć, sześć miesięcy. Studia zarabiała fortunę. Dzisiaj to już niemożliwe. Przy współczesnej technologii człowiek może nagrać album we własnej sypialni.

- Przez lata moim sąsiadem był David Bowie. Któregoś wieczoru zaszedł do pubu, zjadł kolację z chłopakami z Queen, a potem wrócił z nimi do studia. To przeszło do historii.

David Richards, inżynier z Mountain Studios, który pracował nad albumem Yes, był wcześniej w Berlinie asystentem producenta Tony'ego Viscontiego przy albumie Davida Bowie *Heroes* z 1977 roku. Bowie i Richards zarezerwowali Mountain Studios, żeby nagrać *Cat People (Putting Out the Fire)*. Po wizycie w pubie piosenkarz powędrował z powrotem do studia i zastał Queen w trakcie sesji.

- To była wyjątkowo długa noc - powiedział Brian.

- Graliśmy dla zabawy kawałki innych wykonawców, zwykły *jam* - dodał Roger. - W końcu David rzucił: „To głupota, dlaczego po prostu czegoś nie napiszemy?”.

W efekcie powstała ich wspólna produkcja *Under Pressure* - początkowo zatytułowana *People on Streets*.

- Przez czysty przypadek, skarbie - wyjaśnił później Freddie. - Zaczęliśmy wspólnie kombinować. Wszystko stało się szybko i spontanicznie, a rezultat bardzo nas obu ucieszył.

- Być może nikt się tego nie spodziewał, ale jako zespół mocno wierzymy w robienie rzeczy niecodziennych, których nikt od nas nie oczekuje, niezwykłych. Nie chcemy popadać w rutynę ani tracić świeżości, a kiedy ludzie są ze sobą tak długo jak my, takie niebezpieczeństwo istnieje.

Niebezpieczeństwo, że spoczniemy na laurach i zaczniemy się objąć.

Jak stwierdził Freddie, praca z Davidem była czystą przyjemnością.

- Nadzwyczajnie utalentowany człowiek. Kiedy zobaczyłem go w scenicznej wersji *The Elephant Man* na Broadwayu, zacząłem myśleć o aktorstwie. Być może zajmę się tym w przyszłości, na razie skupiam się na wspólnych projektach z Queen. Nie chcemy tkwić w miejscu. Przed nami jeszcze tyle nowych perspektyw do zgłębienia.

Brian inaczej wspominał to nagranie.

- Było ciężko, bo do czterech nad wyraz rozwiniętych umysłowo chłopaków dołączył David, rozwinięty bardziej niż my wszyscy razem wzięci. Było coraz bardziej gorąco... Niewiele zrobiłem po swojemu. Ale David miał prawdziwą wizję i lirycznie zawładnął piosenką.

Dwa tygodnie później Freddie, Roger, Bowie i Mack spotkali się w słynnym nowojorskim studiu Power Station, by zremiksować piosenkę. Brian wycofał się z projektu.

Power Station, znane za sprawą tak różnorodnych artystów jak Tony Bennett, Aerosmith czy później Duran Duran, mieściło się w działającej elektrowni przy West 53rd Street, przerobionej na studio nagraniowe przez producenta Tony'ego Bongioviiego. Akustyka tego miejsca była fantastyczna. Kiedy Bongiovi pomógł swojemu kuzynowi w drugiej linii dostać się do branży muzycznej, proponując mu u siebie pracę z rodzaju przynieś-podaj-pozamiataj, jak również pokrywając koszty jego nagrań demo i lekcji śpiewu, przypadkowo zapewnił Freddiemu i Bowiemu chłopca na posyłki, który pewnego dnia stał się równie sławny jak oni. Młody kuzyn Bongioviiego, Jon, zmienił później nazwisko na Bon Jovi i założył kapelę o tej samej nazwie. Kuzyni się rozstali, miejsce Power Station zajęło Avatar, lecz legenda przetrwała.



*Under Pressure* okazało się jednym z najbardziej ambitnych nagrań, nad jakim którykolwiek z nich pracował. Stół mikserski odmówił współpracy, a Bowie chciał zacząć pracę od nowa i sprawy osiągnęły punkt krytyczny. W pewnym momencie Bowie wycofał nawet zgodę na wydanie utworu, lecz później ustąpił.

- *Under Pressure* to dla nas ważna piosenka - po blisko trzydziestu latach stwierdził Brian. - Z powodu Davida i tekstu. W przeszłości trudno mi było to przyznać, ale teraz mogę. Któregoś dnia chciałbym zaszyć się gdzieś sam i ją zremiksować.

Singiel, który ukazał się w październiku 1981 roku, był pierwszym oficjalnym duetem Bowiego z innym artystą.

Choć w Stanach Zjednoczonych osiągnął miejsce dwudzieste dziewięte listy przebojów, w Wielkiej Brytanii - jako drugi singiel w karierze Queen - wspiął się na miejsce pierwsze; jako drugi i zarazem ostatni aż do *Innuendo*, niemal dekadę później, kilka miesięcy przed śmiercią Freddiego. *Under Pressure* ukazało się również na dziesiątym albumie studyjnym Queen *Hot Space* wydanym w maju 1982 roku. Został później wykorzystany bez zgody Queen przez rapera Vanilla Ice w jego singlu z 1990 roku *Ice Ice Baby*, a także jako debiutancki singiel Jedward, bliźniaków z programu telewizyjnego *The X Factor*. Ich wersja stała się numerem drugim w Wielkiej Brytanii i numerem jeden w Irlandii.

Gdy nadszedł wrzesień, Freddie był gotowy do imprezowania. Swoje trzydzieste piąte urodziny uczcił z fasonem, za 200 tysięcy funtów, posyłając concordem grupę swoich przyjaciół, w tym Petera Strakera i Petera Freestone'a, do Nowego Jorku. Wynajął urządzone z przepychem apartament w hotelu Berkshire Place przy East 52nd Street, na ukos od sklepu Cartiera. W ciągu pięciu dni wychylono niewiarygodną ilość dobrego szampana, wartą 30 tysięcy funtów.

- Pamiętam absolutny bałagan, jaki zapanował w apartamencie – jęknął Peter Freestone. – I pamiętam, jak Freddie rozciągnął się na stosie mieczyków. To się nazywa impreza.

Tamte urodziny stanowiły dla Freddiego punkt zwrotny. Udzielił prasie wywiadu, w którym wyjaśnił, że się zmienił i że patrzy na sławę oraz bogactwo inaczej niż w młodości.

- Nie znoszę utrzymywać kontaktów towarzyskich z osobistościami z branży – wyznał. – Mógłbym zrobić to, co Rod Stewart, i do nich dołączyć, ale wolę się trzymać z daleka. Kiedy nie jestem z Queen, chcę być na ulicy zwykłym facetem.

- Zmieniłem się. Na początku podobało mi się, że ludzie mnie rozpoznają. Teraz już nie. Sporo czasu spędzam w Nowym Jorku, gdzie wielu ludzi nie zna Freddiego Mercury'ego. Może i jestem bardzo bogaty, ale dni pozerstwa i udawania, że ma się kasę, dawno minęły. Po domu i wszędzie indziej chodzę w dżinsach i koszulce. Poza sceną nie robię show, ponieważ czuję się bezpieczny, wiedząc, kim jestem i co mam. Minęły czasy, kiedy pragnąłem, by na mój widok w pokoju milkły wszystkie rozmowy. Nie potrafię przewidzieć, czy przetrwamy, ale póki dokonujemy coraz to nowych przełomów, ogień w Queen nie zgaśnie. Gdybym miał jutro wszystko stracić, znalazłbym sposób, żeby wspiąć się z powrotem na szczyt.

Czy było to najbardziej szczere z jego dotychczasowych publicznych wyznań? Czy tym oświadczeniem potwierdził, że zbliża się świadoma metamorfoza, czy może chciał do tego przekonać sam siebie? Niektórzy uznali to za lekko zawołowaną próbę pokazania światu, że wreszcie zaczął czuć się dobrze we własnej skórze. Ale czy na pewno? Możemy jedynie snuć domysły, czy naprawdę pogodził się ze swoją naturą, czy też były to pobożne życzenia.

Po przyjęciu urodzinowym Freddie dołączył do reszty zespołu w Nowym Orleanie, by rozpocząć próby przed kolejnym wypadem do krajów latynoskich. Ta druga trasa,

znana jako Gluttons for Punishment<sup>[31]</sup>, z oczywistych względów stanowiła zaprzeczenie pierwszej. Najpierw zespół udał się do Wenezueli, by dać trzy koncerty na Poliedro de Caracas. Szyki pokrzyżowała im jednak śmierć byłego prezydenta i bohatera narodowego Rómulo Betancourta, wskutek czego odwołano wenezuelskie występy. Na dziesięć dni przed koncertami w Meksyku Queen pojechali do Miami.

Nie sposób wyjaśnić całej fali niefortunnych zbiegów okoliczności, jakie nastąpiły w Meksyku: poważnych zachorowań wśród członków ekipy, szokujących przypadków korupcji, zagrożenia bezpieczeństwa, aresztowania promotora zespołu, a zwłaszcza zawalenia się mostu przed olbrzymim Estadio Olimpico Universitario w Monterrey - zwanym „wulkanicznym” stadionem<sup>[32]</sup> - po pierwszym koncercie, wskutek czego fani odnieśli liczne obrażenia. Drugi koncert został odwołany i Queen przenieśli się do Pueblo, gdzie mieli zagrać dwa razy na Estadio Ignacio Zaragoza. Występ okazał się porażką.

- Sądziliśmy, że uda nam się powtórzyć wyczyn z Ameryki Południowej - powiedział Brian - a ledwo uniknęliśmy nieszczęścia.

Wcześniej tego roku „New York Times” donosił o rzadkiej odmianie raka skóry, jaka dotknęła czterdziestu jeden dotąd zdrowych homoseksualistów. Co najmniej dziewięciu spośród nich cierpiało na niewyjaśniony niedobór odporności. Dotychczas mięsak Kaposiego występował niemal wyłącznie wśród starszych mężczyzn pochodzących z rejonu Morza Śródziemnego. Kolejne przypadki odnotowano w San Francisco i Los Angeles. Pod koniec sierpnia liczba zachorowań wzrosła do stu dwudziestu, z czego większość stwierdzono w Nowym Jorku. Wkrótce Atlanta Center for Disease Control potwierdziło, że w całych Stanach Zjednoczonych z niewyjaśnionych przyczyn rośnie zachorowalność na mięsaka Kaposiego

i pneumocystozę, rzadką, wywoływaną przez grzyby odmianę zapalenia płuc. Spośród wszystkich zgłoszonych przypadków ponad dziewięćdziesiąt procent stanowili geje. To dało początek spekulacjom, jakoby nową „gejowską zarazę” można łączyć z rozwiązłym homoseksualnym stylem życia i/lub uzależnieniem od narkotyków. Niezbite dowody wykazały, że choroba początkowo nazywana GRID (gay-related immune deficiency<sup>[33]</sup>) dotknęła również miliony heteroseksualnych mężczyzn, kobiet i dzieci, zwłaszcza osoby chore na hemofilię i przyjmujące dożylnie narkotyki. Ostatecznie ustalono, że choroba zwana teraz AIDS (acquired immune deficiency syndrome, pol. „zespół nabytego niedoboru odporności”) przenosi się poprzez krew i preparaty krwiopochodne, używanie tych samych igieł do zastrzyków, a także stosunki seksualne bez zabezpieczenia.

Freddie nie zwrócił na to zbytnej uwagi. Queen byli zajęci innymi sprawami. Dla uczczenia dziesiątej rocznicy ich działalności powstały album *Greatest Hits*, kolekcja wszystkich filmów promocyjnych *Greatest Flix* oraz zestaw portretów autorstwa byłego męża księżniczki Małgorzaty, lorda Snowdona. Zespół wystąpił także w swoim pierwszym filmie fabularnym z koncertu na żywo w Montrealu. W ostatnich tygodniach 1981 roku popędzili z powrotem do Monachium. Oficjalnie wciąż na podatkowym zesłaniu, mieli rozpocząć tam pracę nad kolejnym albumem, Freddie zamieszkał zaś, nie po raz pierwszy, w Arabella-Haus.

- Tylko na noc lub dwie, bo bardzo go nie znosił - wspominał Peter Freestone. - Budynek górował nad Musicland Studios i był jednym z tych potwornych betonowych bloków, na którego korytarzach unosiły się ostre zapachy arabskiego jedzenia. Z początku Freddie mieszkał tam z Winnie Kirchbergerem (miejscowym chłopakiem). Później przeniósł się do Stollbergplaza, gdzie

poznał Barbarę Valentin, znaną aktorkę, która mieszkała naprzeciwko.

Mając pod ręką Petera troszczącego się o jego potrzeby i towarzyszącego mu w conocnych wędrówkach, Freddie wiódł w Monachium całkiem szczęśliwe życie. Wydawało się jednak, że stracił ochotę na pracę, co niepokoiło pozostałych członków zespołu.

- Ledwo mógł wysiedzieć w studiu. Chciał tylko zrobić swoje i wyjść - wspominał Brian.

Powrót Queen do stolicy Bawarii stanowił dla Freddiego początek szalonego i pogmatwanego okresu w życiu, kiedy uwikłał się w bolesny ciąg romansów.

Pierwszym partnerem był Winfried Kirchberger, rzecz jasna przemianowany na „Winnie”: agresywny, niewykształcony restaurator z Tyrolu, o gęstych, czarnych włosach i szczeciniastych wąsach. Nikt ze świty Freddiego nie pojmował, skąd u niego pociąg do tak ordynarnego i krewkiego człowieka. Nie przyjmowali do wiadomości, że „niemyty kierowca ciężarówki” nagle stał się jego ulubionym typem mężczyzny.

Drugim był irlandzki fryzjer Jim Hutton, którego Freddie poderwał w londyńskim klubie. Ściągnął go do Monachium i paradował z nim, żeby wzbudzić zazdrość Kirchbergera. Jak na ironię, z czasem o wiele głębsza więź rozwinęła się między Freddiem i Jimem, który pozostał u boku Freddiego aż do końca jego życia.

Trzeci kochanek, a w zasadzie kochanka była bodaj najbardziej nieoczekiwana. Urodzona w Austrii nowa towarzyszka od kielicha Freddiego, Barbara Valentin, swego czasu pracowała jako aktorka soft porno i modelka, zwana również niemiecką Jayne Mansfield albo Brigitte Bardot. Wyrobiła sobie reputację w przerysowanych, stylizowanych filmach o miłości, nienawiści i zdradzie kultowego reżysera Rainera Wernera Fassbindera, przedstawiciela tak zwanego nowego kina niemieckiego. Fassbinder, który zmarł rok później w wieku zaledwie

trzydziestu siedmiu lat, przedawkowawszy środki nasenne i narkotyki, był skomplikowanym człowiekiem o skandalicznym stylu życia. Jedną z jego żon opisała go jako „homoseksualistę, który potrzebował także kobiety”, a zatem miał wiele wspólnego z Freddie. Lecz to Barbara, nie Fassbinder, została konkubiną i niemal nieodłączną towarzyszką Freddiego – dzieląc z nim zarówno Winnie Kirchbergera, jak i Jima Huttona. Jak zauważyła sama Barbara, to były „szalone czasy”.



*Barbara Valentin, Freddie i przyjaciele w monachijskim klubie nocnym, koniec lat osiemdziesiątych*



*Hans-Sachs Strasse, Monachium: budynek mieszkalny w niestawnym Trójkącie Bermudzkim, gdzie Freddie razem z Barbarą Valentin kupili mieszkanie*

Odwiedziłam Barbarę Valentin w Monachium w 1996 roku w ciasnym mieszkaniu na trzecim piętrze przy Hans-Sachs Strasse, które kupiła wspólnie z Freddiem w cieszącej się wówczas złą sławą okolicy zwanej Trójkątem Bermudzkim. Mieszkanie było przytulne – wszędzie dywany, zasłony i aksamitne sofy; na pierwszy rzut oka cenne obrazy, rustykalne bawarskie meble i stylowy żyrandol. Na kredensie tłoczyły się oprawione w ramki zdjęcia jej dzieci, wnuków i Freddiego, filmy, albumy Queen i Freddiego Mercury’ego, których, jak sama stwierdziła, nie jest w stanie oglądać ani słuchać. Tarzan, ich wspólne szesnastoletnie „dziecko” (kot), drzemał na miękkim fotelu.

Barbara stoczyła długi i zaciekły bój z zarządem Queen, by odzyskać to mieszkanie po śmierci Freddiego. W rezultacie wciąż bała się, że ujawni zbyt wiele, przez

co minęło kilka miesięcy, zanim przekonałam ją do rozmowy.

- Ludzie muszą żyć dalej - stwierdziła trzykrotnie zameżna Barbara, która zmarła na wylew w 2002 roku w wieku sześćdziesięciu jeden lat. - Nie chcę nikogo zranić, opowiadając o Freddie. Zawsze powtarzałam: pozwólcie Mary Austin być wdową. Aż do tej pory nie chciałam o nim rozmawiać.

Kiedy się spotkałyśmy, była po pięćdziesiątce, ale wciąż miała ten powab, który musiał urzec Freddiego. Grubokoścista, o dużym biuście, niegdyś baronowa przez małżeństwo, wypełniała sobą cały pokój. Jednokaratowy diament, który tkwił w jej uchu, był pierwszym prezentem od Freddiego. Na ulicy ludzie wciąż oglądali się za znaną aktorką.

Freddie dostrzegł w Barbarze kobietę, która nie mogłaby się bardziej różnić od Mary Austin, nawet gdyby chciała: silną, stanowczą, rządzącą własnym losem. Podobnie jak on, Barbara była pełna sprzeczności. Jej imponujący wizerunek skrywał wielką wrażliwość i kruchość. Być może po raz pierwszy w życiu Freddie związał się z człowiekiem, przy którym mógł być sobą, ze wszystkimi swoimi wadami. Nie mieli przed sobą żadnych tajemnic. Nie musiał chronić jej przed niektórymi aspektami swojej osobowości i zachowań, tak jak chronił przed nimi Mary Austin.

Barbara rozumiała. Była taka sama; nie obchodziło jej, co pomyślą inni. Jej stosunek do ludzi, życia i świata w ogólności był dla Freddiego niczym powiew świeżego powietrza. Przytłaczała zewnętrzną kobiecością, ale zachowywała się jak mężczyzna, bez wahania brnąc przed siebie, przez co nawet ochroniarze schodzili jej z drogi. Żywiołowość i majestat Barbary odurzyły Freddiego. Odpowiedzieli wzajemnie na pragnienia swoich dusz.

Fakt, że Barbara była gotowa zarzucić dla Freddiego potencjalnie lukratywną karierę teatralną, a on jej na to pozwolił, według niej świadczył niezłomie o dozgonnej



miłości. Towarzyszyła Freddiemu przy sprawach Queen i osobistych, w Rio, Montreux, na Ibizie i w Hiszpanii. „Czterdzieści czy pięćdziesiąt razy” mieszkała u niego w Londynie i otrzymała własną sypialnię w Garden Lodge.

- Noc w noc widywałam go z jego koleżkami w monachijskich klubach, zwłaszcza w dyskotecce New York - wspominała. - Miałam blade pojęcie, kim jest Freddie Mercury, ale w Monachium słynna gwiazda rocka na nikim nie robiła wielkiego wrażenia. Byłam tu chyba sławniejsza od niego. Zawsze towarzyszyła mu świta, sam w sobie stanowił przemysł. Freddie miał nawet swój własny kącik w klubie: „kącik rodzinny”. Był wtedy z Winnie, mieszkali razem. Ich związek trwał dość długo, z kilkoma przerwami. Nie potrafili żyć z dala od siebie. Tworzyli nietypową parę i strasznie się kłócili. Każdy z nich podrywał nieodpowiednich facetów, byle tylko wzbudzić zazdrość w tym drugim.

W tamtym czasie Winnie prowadził zwykłą rustykalną restaurację, Sebastian Stub'n, gdzie klienci zawsze skarżyli się na jedzenie. Po tym jak lokal spłonął, jego odbudowę częściowo sfinansował Freddie, który zawsze inwestował w marzenia przyjaciół.

- Winnie był dla Freddiego tragedią - powiedziała Barbara. - Bez wątpienia połączyła ich miłość, ale ciągle się kłócili, ciągle ranili. To mi dało do myślenia; dlaczego kochankowie muszą sprawiać sobie ból? Dla mnie to jedna z największych tragedii. Wiesz, Winnie był bardzo prostym człowiekiem. Byle jakie wykształcenie, żadnej przyzwoitej szkoły, czegokolwiek. Chyba miał o to pretensje do całego świata. Czasami widać było wyraźnie, co naprawdę chciałby pokazać Freddiemu: „A kogo obchodzi, że jesteś jakąś durną gwiazdą rocka? Ja jestem Winnie Kirchberger, męski gnojek”. Przynosił mu wstyd przy ludziach, źle go traktował, robił głupie, straszne rzeczy, tylko po to, żeby go zranić i poniżyć. Przyszło mi do głowy, że Freddie uwielbiał Winnie właśnie dlatego, że on był dla niego taki okropny.

Freddie nie mógł zyskać jego aprobaty i uwielbienia z tą samą łatwością, co reszta świata, i przez to tym bardziej o nie zabiegał. Być może Winnie rozumiał na swój prosty sposób, że zdoła zatrzymać przy sobie Freddiego Mercury'ego, pomiatając nim i udając, że wcale go nie chce. Tak czy siak, działało. Za każdym razem Freddie wracał po więcej.



*Barbara Valentin z Freddiem w domu Rogera Taylora na Ibizie*

Związek miał również drugą stronę.

- Przez całe swoje dorosłe życie Freddie tylko wtedy poznał, co to znaczy wieść stosunkowo zwyczajne życie z drugim mężczyzną - stwierdził Peter Freestone.

Długo później ich związek się skończył. Freddie odszedł na dobre, a Winnie pogrążył się w szaleństwie, jako że wirus HIV trawił nie tylko jego ciało, ale i umysł.

- Pod koniec poszłam do jego mieszkania i znalazłam go umierającego z głodu - westchnęła Barbara. - Jego kot zjadał własną sierść, żeby przeżyć. Zawiozłam Winnie do szpitala i opłaciłam leczenie, ale było już za późno, żeby mu pomóc.

Lecz w dniach swojej świetności Winnie, Freddie i Barbara stanowili trio, z którym liczyło się całe miasto.

- Którejś nocy Freddie i ja wylądowaliśmy na drinku w hałaśliwym klubie i przenieśliśmy się do damskiej toalety, gdzie było na tyle cicho, że dało się pogadać. Tak to się zaczęło. Opowiedział mi o Zanzibarze, szkole z internatem, ojcu, matce, o tym, że nie wierzy, by zaakceptowali go jako geja - chociaż później odniosłam wrażenie, że się z tym pogodzili. Oczywiście, pod koniec jego życia zbliżyli się do siebie. Bardzo lubili Mary. Freddie mówił, że zawsze oczekiwali, że urodzi mu dziecko. Opowiedział mi o swojej siostrze Kash i dzieciakach, Natalie i Samie, które adoptowała razem z mężem Rogerem. Stwierdził, że zwykle o tym nie rozmawia, nawet z przyjaciółmi, ale ze mną nie miał tego problemu.

W rzeczywistości Freddie zawsze utrzymywał „bliskie stosunki na odległość” ze swoją siostrą, jej mężem Rogerem i ich dziećmi, podobnie jak z rodzicami. Nigdy nie wypierał się ich istnienia ani nie odwrócił się do nich plecami. Widywał ich rzadko, ale zawsze odnosił się do nich z miłością. Po prostu uważał za swój obowiązek chronić ich przed swoim dzikim stylem życia, jak również przed wzrokiem publiczności.

- Tak naprawdę nigdy nie byliśmy na „tych imprezach” - wyznał szwagier Freddiego „Mail on Sunday” w listopadzie 2000 roku, dziewięć lat po jego śmierci. - Tylko na spotkaniach rodzinnych. Freddie bardzo stanowczo rozdzielał obie strony swojego życia, rzadko kiedy na siebie zachodziły. Urządzaliśmy u niego urodziny naszych dzieciaków. Zawsze miał dla nich wielki tort albo wielkanocne jajko. Nie miał własnych dzieci, więc chyba pociągała go w nich ta nowość. Myślę jednak, że chciałby zobaczyć, jak nasze maluchy dorastają.

Tamtej nocy w Monachium Freddie i Barbara nie potrafili się rozstać.

- Strasznie się ze mnie śmiał, zwykle zasłaniając zęby dłonią. Ale kiedy się upił, śmiał się otwarcie i głośno.

Choć nie brakowało jej odwagi, by przyznać, że wpadli w niebezpieczny kierat, Barbara nalegała, by czerpali radość z szalonego życia w Monachium, w którym nie mieli umiaru. Rzucili się w nie bezwstydnie i z pełną świadomością.

- To była najlepsza obrona. Przed czym? Nie potrafię odpowiedzieć. Przed wieloma sprawami. Każdego dnia coś nowego. Freddie i ja zawsze się z czymś borykaliśmy, ale przynajmniej mieliśmy siebie. Nigdy nie dalibyśmy innym do zrozumienia, że zostaliśmy zranieni, tylko sobie. Na przykład oboje ukrywaliśmy coś przed swoimi rodzinami. Freddie chronił rodziców i siostrę, a ja z pewnością nie chciałam, żeby moje dzieci dowiedziały się, jakie życie prowadzę. Od czasu do czasu zdarzało się, że wpadałam gdzieś na własnego syna i mówiłam: „O mój Boże, to nie ta dyskoteka!”. Freddie i ja byliśmy dla siebie drugą rodziną. Zawsze trzymaliśmy prywatne sprawy w tajemnicy.

26 listopada, w dzień urodzin Winnie, Barbara, Freddie i Winnie wylądowali razem w łóżku.

- Wszyscy jesteśmy zupełnie nadzy i wtedy odzywa się dzwonek u drzwi, o siódmej nad ranem: policja skarbowa! „Przyjdźcie później!”, krzyczy Freddie. „Jeśli nas nie wpuścicie, wyważymy drzwi!”, odpowiadają. Freddie zaczyna szaleć. Wpada do sypialni z krzykiem: „Wstawajcie! Wstawajcie!”. Chwilę później policja jest już w środku, krąży po wszystkich pomieszczeniach. Freddie jest całkiem nagi, nie licząc małego ręcznika wokół bioder. Każą naszej trójce zostać dokładnie tam, gdzie siedzimy. Przewracają całe mieszkanie do góry nogami. W końcu Freddie mówi: „Ludzie, naprawdę muszę się odlać”. Więc mu pozwalają. I nagle policjant przy łazience go rozpoznaje: „To Freddie Mercury!”. Wtedy Freddie robi się pyskaty. Nie może się oprzeć, jak to Freddie. Mówi do faceta: „Jeśli będziesz miły dla mojej dziewczyny, zaśpiewam dla ciebie piosenkę. Chodź, bracie, napijmy się razem szampana”. Nie ma jeszcze ósmej i policjant odpowiada potulnie: „Przykro mi, jesteśmy na służbie”. „Dobra, w takim razie wal się!”, odparował Freddie. „I tak jesteś za brzydki, żeby dla ciebie śpiewać”.

Barbara twierdziła, że bez wątpienia łączyła ją z Freddieм namiętna miłość.

- Bardzo możliwe - zgodził się Peter Freestone. - Byli ze sobą bardzo blisko. Przepadałem za nią. Wiele ich łączyło, ich status, sława. Barbara się nie przejmowała. Cechowało ją zdecydowane podejście, które odpowiadało Freddieмu, było tak, jak ona chciała, albo wcale. Mieli podobny gust i wielką klasę. Barbara była niezwykle ważną osobą w życiu Freddiego.

Freddie ciągle opowiadał Barbarze o Mary Austin.

- Podobno obiecał jej kiedyś, że się z nią ożeni. Czuł się przez to winny. Był sumienny i miał głębokie poczucie obowiązku. Tego od niego oczekiwano, a on złamał dane słowo. Poczucie winy nigdy nie minęło... Choć zastanawiałam się, ile z tego poczucia wzbudzała w nim sama. To nie była wina Freddiego, że okazał się

w przeważającej części gejem. Mówił, że nie był gejem, nie na samym początku, ale potem po prostu skręcił w drugą stronę, całkowicie sfiksował i zaczął żyć jak gej. W jego przypadku to była kwestia wyboru, nie biologii.

- Owszem - zgodził się Freestone. - W tamtym czasie Freddie był bardzo uczuciowy.

Chociaż Mary często zatrzymywała się w Monachium, obie kobiety nigdy się do siebie nie zbliżyły.

- Była chłodna i dość nieufna w stosunku do mnie - powiedziała Barbara. - Nie żeby była niemiła, o nie. Starła się być miła, i to bardzo. Ale pełna rezerwy i grzeczna, a nie ciepła. W każdym razie wymieniliśmy się podarunkami na święta. Muszę przyznać, że zawsze miała na sercu dobro Freddiego.

- Pewnego razu zadzwoniła do mnie z Londynu i powiedziała, że umarł jeden z jego kotów. „Przełącz mu to, Barbaro”, powiedziała, „ale delikatnie, we właściwym momencie”. Cierpiałam, ale w końcu mu przekazałam. Załamał się i rzekł: „Natychmiast lecimy do Londynu”. „Freddie”, odparłam, „ten kot nie żyje”. Nie chciał jednak o tym słyszeć. Poleciliśmy.

Barbara wierzyła, że Freddie wybrał homoseksualizm jak rolę.

- Naprawdę był Wielkim Udawaczem. Ten zakazany owoc budził jego podniecenie. Przez cały czas byliśmy kochankami w dosłownym tego słowa znaczeniu. Regularnie uprawialiśmy seks. Tak, tak. Trochę trwało, nim do tego doszło. To było piękne i niewinne. Byłam już wtedy zakochana po uszy, a on powiedział mi, że mnie kocha. Rozmawialiśmy nawet o małżeństwie. Oczywiście, wciąż podrywał gejów i sprowadzał ich noc w noc, ale nie miałam nic przeciwko. Brzmi to jak szaleństwo, prawda, ale takie wiedliśmy życie, a ja nie potrafiłabym go powstrzymać, nawet gdybym chciała. Sama brałam sobie kochanków. Do pewnego momentu mogłam. Potem Freddie zaczął się popisywać i wyrzucać ich.

- Pod koniec - powiedziała Barbara - Freddiego nie obchodził seks. Wiązał się z ludźmi tylko dla czułości, przywiązania. Jego pragnienia nie miały już związku z ciałem. Był jak małe dziecko. Płakał jak niemowlę. Powiedział mi kiedyś: „Barbaro, tylko ciebie oni nigdy mi nie odbiorą”.

Barbara nigdy się nie dowiedziała, czy przez „oni” Freddie rozumiał machinę Queen, branżę muzyczną, fanów czy może wszechobecnego Jima Beacha.

- Teraz to brzmi bardzo nieprzekonująco. Musiałabyś tam być, żeby zrozumieć.

- Czasami tłumaczyłam mu: „Skarbie, jesteś czymś więcej niż tylko kutasem”. Często powtarzał, że sypianie z tymi wszystkimi facetami wcale nie sprawia mu radości. Ale nikt nie miał prawa mówić Freddiemu, co może, a czego nie.

Barbara uważała, że jedyne i największe zagrożenie dla zdrowia psychicznego Freddiego kryło się w uzależnieniu od innych ludzi.

- Nie widział różnicy między jedną marką niemiecką a tysiącem dolarów. Pieniądze nic dla niego nie znaczyły. Panicznie bał się samolotów i wind, najbardziej jednak samotności. Nigdzie nie mógł iść sam, nawet do łazienki. Zawsze musiałam mu towarzyszyć. Wszędzie, gdzie się zjawiał, od razu robił się bałagan. Ale delegowanie ludzi do sprzątanía opanował do perfekcji.

- Oboje za bardzo staraliśmy się być szczęśliwi - przyznała. - Bo nie byliśmy. Upijasz się, wciągasz kokainę, wydurniasz, zaliczasz tyle osób, ile zdołasz, jakbyś rzucał wyzwanie ciału, czy to wszystko przetrwa. Na swój sposób prosisz się o śmierć. A pod koniec jesteś przez to b a r d z i e j samotny i pusty. Freddie i ja byliśmy tak samo źli. Identyfikowaliśmy się ze sobą. Później mogliśmy liczyć tylko na siebie. Myślę, że gdyby on nie miał mnie, a ja nie miałabym jego, oboje umarlibyśmy znacznie wcześniej.

## Rozdział 18

### Jim

*Jestem teraz bardzo szczęśliwy w swoim związku i naprawdę nie mógłbym pragnąć niczego więcej. To swego rodzaju... ukojenie. Tak, to dobre słowo. Nie nazwiemy tego menopauzą! Nie muszę się już tak bardzo starać. Nie muszę niczego udowadniać. W moim związku jest mnóstwo zrozumienia. Brzmi nudnawo, ale to coś wspaniałego.*

Freddie Mercury

*Freddie był miłością mojego życia. Nikt nie mógł się z nim równać. Zawsze powtarzał, że trzeba żyć dalej. Wiem, że kiedy umrę, Freddie będzie czekał po drugiej stronie.*

Jim Hutton

W 1977 roku John Travolta zagrał w *Gorączce sobotniej nocy*, wcielając się w postać Tony'ego Manero, który z pracownika fizycznego przemienia się w nieprawdopodobnego bohatera. Film ten, oparty na artykule z nowojorskiej gazety autorstwa Nika Cohna, brytyjskiego dziennikarza rockowego, opowiadał historię nastoletniego Amerykanina włoskiego pochodzenia, który znajduje schronienie przed ponurą rzeczywistością w pobliskiej dyskotecie. Album Bee Gees stał się najlepiej sprzedawaną ścieżką dźwiękową w dziejach. Narodziła się gorączka disco, a Nowy Jork stał się jej mekką. Każdy fanatyk co noc zjawiał się w Studio 54, Le Jardin i Regine's. To były czasy playboyów, supermodelek, długich limuzyn, szampana i kokainy, Halstona, Gucciego i Fiorucciego.



Miejskie kluby dawały ujście seksualnemu wyzwoleniu, a dekadencjne środowisko gejowskie było w nich widać lepiej niż w lustrze.

Śródmiejski Le Jardin przy West 43rd Street przyciągał najmodniejszych gości: Andy'ego Warhola, Biancę Jagger, Lizę Minnelli czy Lou Reeda. Bary słynęły z lustrzanych kafelków, z których można było wciągnąć kreskę. Przyciemnione światła padały na otoczone palmami białe sofy, a na dachach znajdowały się łóżka wodne, na których klienci zaciągali się niedozwolonymi substancjami, spoglądając na Times Square.

Środowisko londyńskich gejów wciąż czekało na swoją kolej. Miało do zaoferowania zaledwie „kilka brudnych pubów i parę barów kawowych w maleńkich piwnicach”, kiedy pod koniec lat siedemdziesiątych z Cambridge przyjechał Jeremy Norman, by pracować nad *Burke's Peerage*, przewodnikiem po brytyjskiej rodzinie królewskiej i arystokracji. Norman słyszał o nowej fali dyskotek zalewających nowojorską scenę gejowską i klubową, postanowił więc złożyć tam wizytę. W Le Jardin poznał promotora klubu, Stephena Haytera. Wspólnie wrócili do Londynu, by otworzyć Embassy Club przy Old Bond Street. Hayter panował tam niepodzielnie jako „królowa nocy”, przechwalając się, że przechowuje wycinki prasowe na swój temat w sejfie w Szwajcarii. Hałaśliwie protestował przeciwko „komicznym ciotom”, które wykazywały „godną ubolewania tendencję do zwracania się do siebie żeńskimi imionami”. Jako pierwszy spośród znanych właścicieli klubów zmarł na AIDS.

Klub Embassy był objawieniem – seksualnie wieloznacznym, fantastycznym królestwem, które przyciągało gości ze wszystkich zakątków świata. Służyło jako antidotum i jednocześnie odciągało uwagę od wysokiej inflacji i korupcji w ówczesnym rządzie. Nagle ludzie znów zaczęli chodzić na tańce. Ale nie byle jacy ludzie. Transseksualiści, gwiazdy rocka, diwy, *drag queens*,

europiejskie koronowane głowy, bogaci książęta i dziewczyny kociaki. Kelnerzy nosili eleganckie czerwono-białe satynowe szorty, wzorowane na takich, w jakie ubierali się chłopcy w Studio 54. Pózerzy symulowali seks na kontuarze, podczas gdy ci bardziej wyrachowani uprawiali go naprawdę za drzwiami łazienki. Przyjmowano kokainę i azotyn amylu w ilościach rozsadzających mózg. Światło stroboskopowe, suchy lód i srebrna kula dyskotekowa dopełniały efektu. Żaden inny klub nie przyciągał śmietanki towarzyskiej tak skutecznie. Pete Townshend, Mick Jagger, Marie Helvin i David Bowie wpadali tu regularnie. Nawet przedstawiciele nurtu *new romantic* opuszczali Blitz Club, żeby pokręcić się na parkiecie w Embassy.

- Kiedy Hayter urządzał imprezę, robiłeś wszystko, żeby się na nią dostać - wspominał Dave Hogan. - Freddie, Kenny Everett - bywała tam cała śmietanka gejowskiej mafii z Londynu. Byliśmy świadkami cudownych scen i płynęliśmy z prądem, ale mogliśmy się jedynie dobrze bawić. Wiedzieliśmy, że nigdy nie zdołamy zrobić zdjęcia i ująć stamtąd z życiem.

Embassy stanowił prototyp kolejnego, jeszcze ambitniejszego przedsięwzięcia Jeremy'ego Normana: klubu nocnego obsługującego wyłącznie gejów. Zlokalizowany niedaleko Trafalgar Square, poniżej stacji Charing Cross, Heaven z łukowymi sklepieniami zajmował blisko 2000 metrów kwadratowych. Gdy lokal ruszył w 1979 roku jako jeden z pierwszych otwarcie gejowskich klubów na świecie, od razu trafił na pierwsze strony gazet i zaspokoił potrzeby gejowskiej sceny.

Freddie uwielbiał to miejsce. Często pojawiał się w nim razem ze swoją świtą.

- W oczach gejów parkiet taneczny był miejscem prawdziwego wyzwolenia - wspominał Jeremy Norman, który później wyjawiał wszystko w swoich wspomnieniach *No Make-Up: Straight Tales From a Queer Life*. - Tam

każdy mógł swobodnie wyrażać swoją seksualność i jedność naszego plemienia. W pewnym sensie parkiet taneczny stał się naszą katedrą.

W wielu przypadkach był również ich Waterloo. Choć nikt nie oskarża Normana, który założył dwie organizacje charytatywne na rzecz chorych na AIDS, o sprowadzenie tej choroby do Wielkiej Brytanii, jego klub bez wątpienia miał śmiertelny powab.

Paul Gambaccini pamięta z budzącą dreszcze wyrazistością noc w 1984 roku, gdy zdał sobie sprawę, że Freddie umrze.

- Staliśmy w pewnym miejscu w Heaven, gdy zapytałem, czy w świetle ostatnich odkryć zamierza zmienić swoje zachowanie - mówił Paul. - A on odparł z tym jego charakterystycznym machnięciem ręki: „Pieprzyć to, skarbie. Robię wszystko z każdym”.

- Miałem wrażenie, jakby ziemia usuwała mi się spod nóg. Widziałem w Nowym Jorku wystarczająco wiele i wtedy zdałem sobie sprawę, że Freddie umrze. Prześladowało mnie zbyt wiele zjaw, żebym mógł udawać, że Heaven to enklawa bez troski.

Paul nie chciał snuć domysłów, czy Freddie zabezpieczał się, wiedząc o AIDS, by nie zarażać innych - nawet jeśli sam był gotów umrzeć.

- Biorąc pod uwagę, że od zarażenia do wystąpienia objawów mija przeciętnie dziesięć lat, Freddie mógł złapać wirusa, jeszcze zanim poznano tę chorobę - wyjaśnił Paul. -

A to oznacza, że należał do grupy strasznie i niesprawiedliwie narażonych. W okresie między epidemią syfilisu a AIDS ludzie nie umierali z powodu chorób przenoszonych drogą płciową. Próbowano wszystkich postaci seksu, czy to dla przyjemności, czy eksperymentu. Nikogo wtedy nie piętnowano. Zwłaszcza w branży muzycznej wszystko było dozwolone. Nikt nikogo nie krytykował. I nagle okazało się, że możesz kogoś zabić,

zwyczajnie uprawiając z nim seks. Wszyscy stali się moralnie odpowiedzialni. I pojawiły się konsekwencje.

- Zakładam, że Freddie wiedział i się z tym pogodził... Moim zdaniem uznał, że jakoś to przezwycięży. W 1983 roku (w Nowym Jorku choroba przerodziła się w epidemię) wciąż cieszył się dość dobrym zdrowiem, żeby normalnie żyć. Ale kiedy przyszedł czas na Live Aid [lipiec 1985 roku], lekarz zalecił mu, by zrezygnował z występu z powodu poważnej infekcji gardła. Pomyślałem wtedy: czy to już się zaczęło?

Fakt, że w tamtym czasie Freddie każdego tygodnia podrywał mężczyzn i z wieloma uprawiał seks, jednocześnie afiszując się swoim związkiem z Barbarą Valentin, sugeruje, że uważał się raczej za biseksualistę niż geja. Paul ma jednak inne zdanie:

- Pamiętaj, że pojęcie homoseksualizmu powstało dopiero w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku, kiedy niemiecki psycholog ukuł termin „homoseksualny”. Spektrum zachowań seksualnych jest szerokie. Między dwoma ekstremami znajduje się mnóstwo ludzi, którzy uprawiają seks z partnerami bez względu na ich płeć. Tym, którzy wykraczają poza główny zakres aktywności, jak najwyraźniej było w przypadku Freddiego i Barbary, chodzi zwykle o wspaniały emocjonalny kontakt. Nie widzę żadnej sprzeczności w twierdzeniu, że w ciągu swojego życia Freddie częściej uprawiał seks z mężczyznami niż z kobietami - co, jak sądzę, jest prawdą - lecz pod koniec przypomniał sobie o miłości do Mary. To nie są sprzeczne stanowiska. To po prostu znaczy, że była jednym z wyjątków od zasady. Że uczucie odgrywa taką samą rolę co pożądanie. Nie twierdzę, że Freddie nie kochał niektórych ze swych mężczyzn, ale Mary z łatwością zajęła ważne miejsce w jego sercu.

Freddie zdradził zarówno Barbarę, jak i Winnie, o ile to możliwe, kiedy pewnej nocy w 1985 roku poderwał w Heaven Jima Huttona. Nie potrafił się oprzeć. Poznali się

dwa lata wcześniej w Copacabanie, gejowskim barze nieopodal domu Freddiego. Jim był wówczas w związku, więc ich spotkanie do niczego nie doprowadziło. Tym razem jednak skromny fryzjer nie miał żadnych zobowiązań i rwał się do działania. Lśniące ciemne włosy i gęste wąsy natychmiast wpadły Freddiemu w oko. Podobieństwo między Jimem a niemieckim kochankiem Freddiego, Winnie Kirchbergerem, było uderzające. Zaskoczony sposobem, w jaki zagadnął go Freddie - „Jak dużego masz fiuta?” - Jim dał się przekonać i dołączył do ekipy, w skład której wchodził Peter Straker i Joe Fanelli. Resztę wieczoru spędził, tańcząc z Freddiem, po czym o świcie udał się do jego mieszkania w Kensington. Przez następne trzy miesiące Jim nie miał żadnych wieści od nowego kochanka, który wciąż mieszkał w Monachium jako podatkowy emigrant i był z Queen w trasie koncertowej po Australii, Nowej Zelandii i Japonii.

Jim już prawie zapomniał o spotkaniu, gdy Freddie ni stąd, ni zowąd zadzwonił, żeby zaprosić go na przyjęcie. Przyjechawszy na miejsce, Jim ze zdumieniem ujrzał Petera Freestone'a. Swego czasu pracowali razem w sklepie Selfridge przy londyńskiej Oxford Street. Żaden z nich nie przypuszczał, że spotkają się ponownie za sprawą Freddiego Mercury'ego.

Jim, który zmarł na raka płuc w Nowy Rok w 2010 roku, zaledwie trzy dni po swoich sześćdziesiątych pierwszych urodzinach, wydawał się najmniej prawdopodobnym partnerem Freddiego. Zanim się spotkali, Jim - syn irlandzkiego katolickiego piekarza, wychowywany w maleńkim dwupokojowym mieszkaniu komunalnym - pracował jako fryzjer za 70 funtów tygodniowo w hotelu Savoy. Freddie, zdaniem Jima, był „wrażliwy, nieśmiały, miał straszne huśtawki nastrojów i zawsze stawiał na swoim. Ja z kolei jestem cichy i niezbyt ekscentryczny - chyba że wlejesz mi do gardła kilka galonów piwa”.



*Peter Freestone i Jim Hutton podczas prywatnego przyjęcia wydanego przez autorkę w Groucho Club w Londynie, sierpień 1997 roku*

Dla Jima była to miłość od pierwszego wejrzenia:

- Tak wiele w nim kochałem bez względu na to, czym się zajmował. Miał wielkie brązowe oczy i niemal dziecięcą osobowość. Różnił się od mężczyzn, z jakimi zwykle się spotykałem. Zazwyczaj wybierałem wielkich facetów z krępyimi nogami. Freddie miał talię jak osa i najszcuplejsze nogi, jakie kiedykolwiek widziałem u mężczyzny. Sprawiał również wrażenie całkowicie szczerego. Był cudowny. Oszalałem na jego punkcie. Pomimo wszystkiego, co osiągnął, wydawał się niezwykle niepewny - powiedział mi, zaprzeczając wrażeniu, jakie odniosła Barbara, i potwierdzając to, co najbliżsi przyjaciele od dawna podejrzewali: że Freddie ukazywał się różnym ludziom z różnych stron, lecz nigdy w całej swej pełni. W związkach brakowało mu pewności siebie, by zaspokajać każdą swoją potrzebę. Z tych samych powodów nigdy nie mógł dać jednemu partnerowi wszystkiego. To by wyjaśniało, dlaczego w najbliższe i najtrwalsze relacje

wchodził z ludźmi, którzy nie byli mu równi pod względem wychowania, statusu czy majątku. Tymi, którzy znaczyli „mniej”, mógł dyrygować. Zawsze był na pierwszym miejscu.

Między Freddiem i Jimem nawiązał się romans, który – z powodu przymusowej nieobecności Freddiego – wymagał z obu stron pewnych rutynowych zabiegów. W jeden weekend Freddie leciał do Londynu, a w następny Jim do Monachium. Podczas pierwszego przylotu na lotnisku oprócz Freddiego powitali go Joe Fanelli i Barbara Valentin. Nie miał pojęcia, co o tym myśleć. Kiedy się zorientował, że Freddie wykorzystuje go, by wzbudzić zazdrość Winnie Kirchbergera, o co na początku ewidentnie chodziło, był strasznie przygnębiony.

- Jim był marionetką – oświadczyła Barbara. - Freddie nie traktował go wtedy najlepiej. Ściągał Jima z Londynu, po czym znów odsyłał, czasami tego samego dnia. Słyszałam wiele przygnębiających historii o tamtych czasach. Jim często płakał. Powtarzałam mu: „Po prostu się nie zgadzaj. Choć raz powiedz: nie. Nie daj się wykorzystywać”. „Tak”, odpowiadał Jim, „tak, ale ja go kocham”. Dlatego dawał się rozstawiać po kątach. Zrobiłby wszystko, co powiedziałby Freddie. Zawsze było tak, jak chciał Freddie, a Jim za każdym razem przybiegał w podskokach. Trochę żalosalne. Freddie często był złośliwy.

Związek był o wiele głębszy, niż większość mogła podejrzewać – mimo że to Mary, a nie Jim, towarzyszyła Freddiemu podczas branżowych imprez i publicznych występów i koniec końców to ona była prowadzona jako „wdowa”. Peter Freestone, który przyglądał się z bliska wszystkim romansom Freddiego, uznał ten związek za szczery.

- Uważam, że Jim i Freddie naprawdę się kochali... na swój własny sposób – powiedział mi. - Książka, w której Jim opisał ich związek, w pewnym stopniu go idealizowała. Jim pragnął szczęśliwego związku jeden na jeden. Nie

sądzę jednak, by kiedykolwiek uświadomił sobie, że w życiu Freddiego, także potem, w Garden Lodge, było coś znacznie więcej. Freddie miał swoje życie, wielkie, ekstrawaganckie, wieloaspektowe... Wszyscy wiedzieli, że trzeba się do niego dostosować, bo on nigdy nie dostosuje się do innych. Jim był zbyt uparty, żeby to zaakceptować, co stanowiło część ich problemu. W rezultacie raz mieli z górki, a raz pod górkę. Jim chciał ściągnąć Freddiego na dół, a Freddie ciągnął go w górę. Mimo to artysta nie przeżyłby pod koniec tylu wspaniałych lat, gdyby nie Jim. Ogólnie rzecz biorąc, w tamtej chwili Jim wydawał się dla niego wymarzoną partnerem i znaczył dla Freddiego dużo więcej, niż wiele osób sugerowało.

Garden Lodge wreszcie było gotowe, a okres podatkowego wygnania dobiegał końca. Gdy nadeszła pora powrotu, Freddie wybrał Jima, nie Barbarę, na swojego konkubenta. Chociaż Jim mówił o „ośmioletnim związku”, byli parą sześć lat. To sugeruje, że mimo wszystko Jim znaczył dla Freddiego więcej, niż chciała wierzyć zdruzgotana Barbara.

- Jim nie miał nic do powiedzenia - drwiła. - Kiedy wrócili do Garden Lodge, nadawał się w sam raz do opieki nad kotami, rybkami, ogrodem Freddiego, i tyle. Freddiemu czasami naprawdę puszczały nerwy, taki był sfrustrowany całą tą sytuacją. Któregoś razu, kiedy zatrzymałam się w domu, dostał szału i pognął do ogrodu. Wyrwał wszystkie tulipany, które zasadził Jim, i porozrzucił je po ziemi. Zapytałam go: „Co ty wyprawiasz? Biedne rośliny!”. Freddie odparł: „Nienawidzę go, tego dupka”. Mówił wiele razy, że Jim jest nic niewart.

Między Freddiem i Jimem było jednak coś, czego nie dawali mu inni kochankowie - włącznie z Mary. Nawet Barbara musiała to przyznać.

- Często myśleliśmy o Jimie jak o zwykłym służącym, naprawdę. Ale wiem, że Freddie na swój sposób go kochał. Pomiałał nim, tyle że niektórym przydaje się mocny kopniak



w dupę. Są za to wdzięczni. Koniec końców, dobrze, że tam był. Sześć lat razem to kawał czasu. Freddie wrócił do Londynu i Jim mieszkał z nim do samego końca. Dzięki Bogu, poniekąd.

Tymczasem Stany Zjednoczone znalazły się w szponach epidemii AIDS o katastrofalnej skali, która wkrótce zaczęła nękać cały świat. Większość chorych stanowili młodzi, aktywni seksualnie geje cierpiący na charakterystyczne dla HIV dolegliwości: utratę masy ciała, powiększone węzły chłonne, opryszczkę, kryptokokozę i toksoplazmozę narządową cechującą się żółtaczką, powiększeniem wątroby i śledziony oraz konwulsjami. Stwierdzano wzrastającą liczbę przypadków niedoborów odporności. Cały czas pojawiały się nowe objawy tego typu zaburzeń, w tym wyczerpanie, półpasiec i nocne poty. Było coraz więcej zachorowań na kandydozę (drożdżycę), która w pewnych przypadkach była tak zaawansowana, że dotknięta tym osoba ledwie była w stanie oddychać. Chorzy skarżyli się na paranoję, słabą pamięć i dezorientację. Ze wszystkich przypadków AIDS zgłoszonych w całych Stanach Zjednoczonych połowa przypadała na Nowy Jork. Ćwierć wieku później choroba przybrała rozmiary pandemii. Nie istnieje żadna znana szczepionka ani lek.

To Barbara jako pierwsza zauważyła w Monachium, że Freddie zaczyna podupadać na zdrowiu.

- Zaczęło się od drobiazgów. Nie można powiedzieć, że Freddie stracił apetyt, bo tak naprawdę nigdy go nie miał. „Jem jak ptaszek i sram jak ptaszek”, mawiał. Najbardziej lubił kawior z tłuczonymi ziemniakami i te małe serowe krakersy, które przysyłała mu matka. Lubiał kuchnię włoską, indyjską i chińską, ale nigdy nie jadł zbyt wiele. Wszystko popijał wódką Stolichnaya.

- Freddie zaczął chorować bez żadnego widocznego powodu - opowiadała. - Któregoś razu zachorował u mnie w domu, a ja nie wiedziałam, co robić; wezwałam

ginekologa, któremu ufałam jak przyjacielowi. Zastał Freddiego w lekkim delirium. Nagle obudził się w strasznym stanie. Powiedziałam: „Spokojnie, to mój ginekolog”. A on: „O mój Boże, nie wierzę. Jestem w ciąży?”.

Mniej więcej w tym samym czasie, jak wspominała Barbara, Freddie zaczął obrabiać tyłki pozostałym członkom zespołu, czego nigdy wcześniej nie robił. Później doszło do słynnego rozstania z jego drogim przyjacielem, Peterem Strakerem. Ich związek, który trwał wiele lat, zakończył się w mgnieniu oka i nigdy nie został odbudowany.

- Straker był zabawnym klaunem. Był dobry dla Freddiego, bo podnosił go na duchu i rozśmieszał - mówiła Barbara. - Ale nie czuł się u siebie. Dryfował. Ciągle „mieszkał z przyjaciółmi”. W końcu znalazł mieszkanie w jednym z budynków Jima Beacha w Londynie. Ale łazienka rozpaczliwie wymagała remontu, nowych kafelków, wanny, umywalki, wszystkiego. Freddie pięć razy dawał Peterowi pieniądze na ten cel. Remont nigdy nie doszedł do skutku. W końcu Freddie stracił cierpliwość i na dobre pozbył się Strakera. Ten nigdy nie zrozumiał, co takiego zrobił. Tego rodzaju zachowanie stało się typowe dla Freddiego. Dawał i dawał, nigdy nie licząc się z kosztami, ale koniec końców, jedna kropla przepełniała czarę.

Choć Freddie nigdy tego nie przyznał, Barbara wierzyła, że wiedział już o chorobie, co potwierdzają podejrzenia Paula Gambacciniego, zgodnie z którymi w 1983 roku Freddie zdawał sobie sprawę, co go czeka. Być może stres wynikający z tej świadomości sprawiał, że Freddie popadał w skrajności. W końcu nadszedł dzień, opowiadała Barbara, kiedy nie mogła już ignorować „narośli w przełyku Freddiego”.

- Pojawiała się nagle, z tyłu jego gardła. Mówiliśmy o niej „grzybek”. Pojawiała się i znikwała, ale po jakimś czasie została już na zawsze. Freddie twierdził, że ma wrażenie,

jakby gnił od środka. Którejś nocy leżałam z nim w łóżku, z nim oraz jednym z jego chłopaków, i przez tę naraźnięcie Freddie dostał strasznego ataku kaszlu. Usiadł, żeby odkaszląć w chusteczkę, po czym pochylił się nad tym facetem, by ją wyrzucić. Facet się obudził. „O Boże”, powiedział, „nigdy nie sądziłem, że gwiazda rocka umrze na mnie w łóżku!”.

Znając wieści dochodzące z Nowego Jorku, Barbara podejrzewała, że Freddie miał wirusa HIV, gdy byli kochankami.

- Kiedy się poznaliśmy, albo sam przed sobą się wypierał, albo po prostu nie wiedział. Wreszcie zrobił sobie pierwszy test [w 1985 roku, jak uważała, wbrew innym doniesieniom, choć nie potwierdziła, co go do tego nakłoniło] i to zmieniło jego życie.

Czy bała się o własne zdrowie? Czy była zła, że naraził ją na niebezpieczeństwo?

- Nie. Kochałam go. Po prostu. Sama zrobiłam test - wynik negatywny - i tyle. Nie musiałam go powtarzać, bo nie uprawialiśmy więcej seksu, więc nie było już zagrożenia. Odkryłam, że ma AIDS, przez przypadek. Którejś nocy wyszliśmy razem. Freddie poszedł do łazienki i przypadkiem skaleczył się w palec. Było mnóstwo krwi. Próbowałam mu pomoc i ubrudziłam sobie tą krwią dłoń, a on zaczął krzyczeć: „NIE! Nie dotykaj mnie! Nie dotykaj mnie!”. Wtedy zrozumiałam. Nigdy mi tego nie powiedział, ale po tym wszystkim wiedziałam. Oczywiście, podejrzewałam to od pewnego czasu. Na twarzy zrobiły mu się znamiona, jakby ciemnoniebieskie sińce. Za każdym razem, kiedy czekał go występ w telewizji albo teledysk, maskowałam mu je podkładem, jeszcze zanim przyjechała wizażystka.

Barbara i Freddie nigdy nie rozmawiali o jego chorobie.

- Wiedział, że wiem, a ja wiedziałam, że on wie. Wspominał mimochodem, że może nie będziemy dłużej razem mieszkać - to wszystko. Z tego, co mówił,

zrozumiałam, że nigdy się nie dowiedział, kto go zaraził. Ale kiedy jeden z jego pierwszych amerykańskich kochanków zmarł na AIDS, Freddie powiedział: „O mój Boże, zaczęło się” i bardzo się zmartwił. Od tamtej pory wiedział, że jego dni są policzone.

Barbara i Freddie przestali uprawiać seks. Po odejściu Winnie jedyną osobą, z którą Freddie utrzymywał jeszcze intymne kontakty, był Jim.

Wyjazd Freddiego z Monachium pod koniec 1985 roku był nagły, zagadkowy i nie do zniesienia dla kobiety, którą zostawił.

- Jeszcze przed chwilą byliśmy nierozłączni, dosłownie wszystko robiliśmy razem, a w następnej już go nie było - płakała. - Tak po prostu zniknął z mojego życia. Nie potrafiłam tego zrozumieć. Wysłałam mu kartkę z życzeniami urodzinowymi, pisałam, dzwoniłam. Nigdy go nie było. To nie miało sensu. To, co zrobił, to było zwykłe kłamstwo. W porządku, pomyślałam, skoro chce to skończyć, w takim razie koniec. Rozstaliśmy się bez powodu.

Kilka miesięcy po tym, jak Freddie „na dobre” opuścił Monachium, pewnego późnego popołudnia Barbara Valentin siedziała w domu, szykując się do ceremonii otwarcia butik przyjacielki, kiedy usłyszała dzwonek u drzwi.

- Zaczęłam kląć, kogo znowu diabli niosą - opowiadała - a potem pomyślałam, że to pewnie moja taksówka. Krzyknęłam do interkomu: „Już idę!”, ale nikt nie odpowiedział. Myślałam, że drzwi na ulicę są otwarte, więc zbiegłam na dół. Przedemną stał mężczyzna, a ja rzuciłam: „O mój Boże, ktoś przyniósł mi kukłę Freddiego Mercury’ego”.

Nie wierzyła własnym oczom.

- Jęczałam pod nosem, och nie, och tak... Sądziłam, że to przywidzenia. Mężczyzna trzymał jakieś małe białe

kwiatki... i powiedział: „Nie, to j a!”. „Wiem! W i e m!”, odparłam, ale wcale tego nie chciałam. Podeszłam, żeby go odepchnąć, czekało mnie otwarcie butiku, myślałam, że umysł płata mi figle, ale wtedy go dotknęłam... Nie mogłam tego znieść. Pomaszerowałam do butiku, zrobiłam zdjęcia z właścicielką oraz kilkoma aktorami dla prasy... i wróciłam do domu. Freddie wciąż tam był, siedział cicho na kanapie, bawiąc się pilotem od telewizora. Wtedy to do mnie dotarło. Padłam mu w ramiona i zaczęłam płakać. On też. Płakaliśmy i płakaliśmy, i płakaliśmy, i płakaliśmy, i płakaliśmy.

Dopiero po paru tygodniach Freddie znalazł słowa, żeby się wytłumaczyć. Powiedział Barbarze, że po wyjeździe z Niemiec chciał się całkowicie odciąć. Chciał zacząć nowe życie. Nikomu nie wolno było wspominać ani o Monachium, ani o Barbarze.

- Do tego czasu około stu naszych przyjaciół zmarło na AIDS - wyjaśniła Barbara - i o tym też nie wolno było rozmawiać. Powiedział, że chciał zapomnieć o naszym życiu w Monachium i rzucić mnie tak, jak się rzuca narkotyki. Kiedy człowiek jest od czegoś uzależniony i pewnego dnia dochodzi do wniosku, że już dość, mówi nie, odcina się stanowczo, całkowicie zrywając z nałogiem. „Barbaro, ja prawie umarłem”, wyznał. „Ile razy miałem telefon w dłoni, wybierałem twój numer, a potem odkładałem słuchawkę”.

- Phoebe powiedział mi później, że znikło wszystko, co miało ze mną związek. Z domu znikły zdjęcia, nikt nie wymawiał mojego imienia. Wszystko, co przypominało Freddiemu o mnie i o Monachium, zostało wyrzucone. Chciał się uwolnić od tamtych szalonych czasów. Wieść spokojniejsze, inne życie i w końcu umrzeć wśród piękna. Ale nie potrafił trzymać się ode mnie z daleka. Mówił, że najbardziej na świecie przerażało go to, że nie mógł być sam. Chciał tego i próbował, ale gdziekolwiek by był, po prostu nie potrafił tego znieść.

Barbara i Freddie wskrzesili swój związek, choć nie życie miłosne. Barbara stała się częstym gościem Garden Lodge i znów zaczęła podróżować z Freddiem.

- Jim zastąpił Winnie [po trwającym około czterech lat związku, z przerwami], lecz z Barbarą sprawy były skomplikowane - wspominał Peter Freestone. - Wydaje mi się, że Freddie miał zwyczajnie dość. W niemieckiej prasie z alarmującą regularnością pojawiały się artykuły o Freddie i Barbarze, a Freddie wbił sobie do głowy, że to Barbara stoi za przeciekami. Nie wierzę, że mogłaby to robić, ale Freddie nie miał wątpliwości.

Czy to możliwe, by ten pomysł podsunęli mu ludzie, którzy chcieli raz na zawsze pozbyć się Barbary, dodatkowo podsycając plotki?

- Kto wie? - westchnął Peter. - Wiem tylko, że od tamtej pory jego jedynym partnerem był Jim. Tuż po tym, jak Freddie wprowadził się do Garden Lodge, Jim został wyrzucony ze swojego mieszkania, więc Freddie zaprosił go do siebie.

- Nigdy nie zastanawialiśmy się, jak długo będziemy razem - powiedział Jim. - Przyjęliśmy do wiadomości, że jesteśmy i już. Od czasu do czasu pytał, czego chce od życia. „Zadowolenia i miłości”, odpowiadałem wtedy. Dał mi jedno i drugie.

Freddie został oficjalnie zdiagnozowany dopiero w 1987 roku - do czego ani on, ani zespół, ani jego świta nie przyznawali się publicznie aż do dnia poprzedzającego jego śmierć w listopadzie 1991 roku. Wyjawił diagnozę Jimowi, proponując mu, by odszedł. Jim nie zamierzał jednak go opuszczać. Postanowili żyć razem jak „mąż i żona”, a słowo „AIDS” nigdy więcej nie padło w ich domu. W 1990 roku Jim uzyskał pozytywny wynik testu na obecność HIV, o czym powiedział Freddiemu dopiero rok później, tuż przed jego śmiercią. Nie zmarł z powodu komplikacji związanych z AIDS, wbrew doniesieniom, które krążyły w tamtym

czasie. Brian May potwierdził to na swojej stronie internetowej, pisząc, że Jima zabiła choroba spowodowana paleniem.

Jeśli chodzi o resztę zespołu, Freddie nigdy nie zdobył się na żadne oficjalne wyznanie. W maju 1989 roku Jim sądził, że ma taki zamiar: osobiście zorganizował specjalny obiad dla członków Queen i ich partnerów u Freddiego Girardeta w Crissier pod Lozanną, restauracji uważanej wówczas za najlepszą na świecie. Podano najlepsze wina i dania, a opiewający na ogromną kwotę pieniędzy rachunek zapłacił Freddie. Nie padło ani jedno słowo na temat choroby, być może majestatyczne otoczenie i wspaniałe widoki sprawiły, że Freddie stracił zimną krew. Kilka dni później spotkali się jednak w tym samym składzie na cichej kolacji w bawarskiej restauracji w pobliżu Mountain Studios i Freddie zaryzykował.

- Ktoś przy stole był przeziębiony i rozmowa zesłała na choroby - wspominał Jim. - W tamtym czasie Freddie wciąż dość dobrze wyglądał, lecz nagle podwinął prawą nogawkę i podniósł nogę na krzesło. Wszyscy zobaczyli otwartą, jęczącą się ranę na jego łydce. Szokujący widok. „Wam się wydaje, że to wy macie problemy!”, odparował Freddie z tą swoją zblazowaną manierą. Nikt nie odezwał się ani słowem, myślę, że wszyscy byli w szoku. Ale Freddie to zignorował i zaczęliśmy rozmawiać o czymś innym.

Brian potwierdził jego słowa w niedawnym programie dokumentalnym.

- Teraz, gdy o tym myślę, jestem pewien, że zdawali sobie sprawę z jego choroby, ale nie chcieli nic wiedzieć, no bo co mogliby powiedzieć? - rzekł Jim.

- Po powrocie do Londynu Freddie udzielił wywiadu didżejowi Mike'owi Readowi z Radio One. Powiedział wtedy, że nie chce więcej ruszać w trasę koncertową. Że zrobił już swoje i że jest na to za stary. Prawdę mówiąc, był zbyt słaby, żeby myśleć jeszcze o udziale w trasie. Oczywiście prasa zrozumiała to po swojemu i zaczęła rozgłaszać,

że Freddie odmawia koncertowania, denerwując tym resztę zespołu i tak dalej. Te same bzdury co zwykle.

Nie miało to żadnego wpływu na uczucia, jakie Jim żywił wobec Freddiego. Jeśli już, czułość między nimi jedynie narastała.

- Freddie był miłością mojego życia - wyznał mi Jim, a w jego słowach pobrzmiwało niesamowite echo słów Barbary. - Był jedyny w swoim rodzaju.

Chociaż mieszkali jako para aż do śmierci Freddiego, Peter Freestone nie ma wątpliwości, że wizja związku według Freddiego nie obejmowała standardowej opcji „mąż i żona”.

- W s z y s c y byliśmy dla niego ważni - powiedział - ale Jim miał w jego sercu osobne miejsce. Kiedy tak o tym myślę, to dziwne: Freddie był w związku z Mary, z Joe, ale nigdy ze mną. Jego zasoby poczucia winy były olbrzymie, dlatego właśnie Joe i Mary wciąż kręcili się w pobliżu. Czuł się za nich odpowiedzialny. Miał wrażenie, że zakłócił ich życie, wiążąc się z nimi, dlatego musiał się o nich troszczyć - jakby w ramach zadośćuczynienia. To niedorzeczne, gdy się nad tym zastanowić. Ale taki właśnie był Freddie.

Do grona stałych domowników artysty należał teraz Peter Freestone, „Phoebe”, jego osobisty asystent i kamerdyner; Jim, który zrezygnował z pracy w Savoyu, by zająć się ogrodem Freddiego; i Joe Fanelli, „Liza”, były kochanek Freddiego, który wrócił, by gotować. Poznali się przed laty w Stanach Zjednoczonych, a ich niezwykle burzliwy związek nie trwał długo. Joe przez pewien czas mieszkał u Freddiego przy Stafford Terrace, robiąc za jego kucharza i przynieś-podaj-pozamiataj. Od czasu do czasu pomagał też Peterowi Freestone’owi w Monachium. Jego związek z Freddiem bywał raz gorący, a innym razem - zimny. Na długi czas tracili ze sobą kontakt. Joe pracował jako kucharz w wielu restauracjach, zanim wrócił do świąty, przejmując kuchnię Garden Lodge. Na liście płac



znajdowali się także dwaj członkowie ekipy, którzy nie mieszkali na miejscu: Terry Giddings, kierowca, i Mary Austin pełniąca funkcję gońca, która miała w pobliżu mieszkanie.

Ze wszystkich bliskich przyjaciół i współpracowników Freddiego Jim miał problem jedynie z Mary.

- Tak naprawdę Mary nigdy nie zrezygnowała z Freddiego - stwierdził.

Peter podzielał ten pogląd.

- Miałem wrażenie, że nigdy nie pogodziła się z rozstaniem. Pod wieloma względami była dla Freddiego siłą napędową. Nie pozwalała, by cokolwiek uszło mu płazem. Była bardzo silna, a on tego właśnie potrzebował. Na swój sposób matkowała mu. Ufał jej i polegał na niej. Kierowała jego życiem. W ten sposób ich związek przetrwał. Freddie mawiał, że nawet jako para żyli raczej jak brat i siostra. Na długo przed tym, jak się poznaliśmy, obiecał publicznie, że większość swojego majątku i doczesnych dóbr zostawi Mary. A Freddie dotrzymywał obietnic. Nie łamał danego słowa.

## Rozdział 19

# Break Free

*Czy moja muzyka przetrwa próbę czasu? Mam to w dupie!  
Nie będzie mnie już wtedy na świecie. Za dwadzieścia lat...  
będę martwy, skarbie. Oszalałeś?*

Freddie Mercury

*Wielu ludzi, którzy odnieśli sukces w rock and rollu, nie jest w ogóle przygotowanych na konsekwencje. Tak się dzieje, kiedy się bogacisz, odseparowujesz od zwykłych ludzi i zaczynasz wszystkich kupować. Bierzesz rozwód z rzeczywistością albo zaczynasz pić, ćpać, a czasem jedno i drugie. Queen okazali się pod tym względem bardzo inteligentni. Mimo to popełnili kilka poważnych błędów.*

dr Cosmo Hallstrom

Czy życie prywatne Freddiego wreszcie wzięło górę? Czy drogi jego i zespołu się rozeszły? Choć sam miał coraz mniejszą obsesję na punkcie pracy, nie można powiedzieć tego samego o Brianie, Rogerze i Johnie. Cała trójka nie poddawała się, ściągając Freddiego, kiedy było trzeba, i wyśmiewając plotki, jakoby zamierzali się rozstać. Mimo to w 1983 roku prasa miała używanie i niejeden pismak snuł historie o rozpadzie Queen. Tymczasem członkowie kapeli, wykręciwszy się od życia w trasie, zgodnie postanowili od siebie odpocząć i poświęcić czas indywidualnym celom.

- Sądzę, że każdy z nas dość często myśli o odejściu - przyznał Brian. - Ale wszyscy wiemy, że nawet gdyby udało

nam się postawić na swoim, i tak coś byśmy stracili; teraz zapewne więcej, niż możemy zyskać. Tworzymy bardzo stymulujące środowisko, a fakt, że nie zawsze się zgadzamy, dobrze na nas wpływa. Jeśli się rozstaniemy, utracimy nasz nośnik. Ma on pewną równowagę talentów, markę, z którą ludzie się identyfikują. Robiąc wszystko po swojemu, nie zawsze osiąga się szczęście.

- Kiedyś myślałem, że pogramy przez pięć lat, ale teraz jesteśmy po prostu za starzy, żeby się rozstać - stwierdził Freddie. - Wyobrażacie sobie tworzenie nowego zespołu w wieku czterdziestu lat? To by było śmieszne, prawda?



*Freddie z Ianem Hunterem, wokalistą Mott the Hoople, Stany Zjednoczone, 1982 rok*

- Nadejdzie taki moment, kiedy zagłosujemy otwarcie czy coś; kiedy poczujemy, że Queen zrobili wszystko, co mogli, i nie zostało już nic konstruktywnego ani twórczego - dodał także.

- Ostatnie, czego bym chciał, to zmuszanie kogokolwiek do czegokolwiek w Queen. Wolałbym odejść w przyjaznej

atmosferze i zrobić coś zupełnie nowego. Jestem pewien, że każdy z nas tak myśli.

- Osobiście potrzebuję odpoczynku, ponieważ jestem zmęczony tą branżą. Każdy by w końcu miał dość. Doszedłem do wniosku, że naprawdę przyda mi się dłuższa przerwa. Nie sądzę, żebyśmy się kiedykolwiek rozstali. To by było tchórzostwo. Jeśli ludzie przestaną kupować nasze płyty, to pewnie zakończymy pracę. A ja zostanę striptizerem albo kimś w tym rodzaju.

Decyzja została podjęta po jednym z najtrudniejszych okresów w ich karierze. Podpisali z EMI kontrakt na sześć kolejnych albumów w kwietniu 1982 roku, tuż przed kolejną europejską trasą Queen obejmującą kilka koncertów w Wielkiej Brytanii w maju i czerwcu. Jak było do przewidzenia, zakończyła się ona erotyczną hulanką pod tytułem *Shorts & Suspenders*<sup>[34]</sup> w najgorętszym londyńskim klubie, Embassy. Ich dziesiąty album studyjny, *Hot Space*, ukazał się w maju. Brian sugerował później, że był rozczarowany nastawionym na styl disco albumem, który został skrytykowany w Stanach Zjednoczonych.

- Moim zdaniem przy *Hot Space* popełniliśmy błąd, nawet jeśli jedynym problemem był fakt, że nie wstrzeliliśmy się we właściwy czas. Poszliśmy mocno w funk i zrobiliśmy coś podobnego, jak Michael Jackson w *Thrillerze*. Wybraliśmy zły moment. Disco było brzydkim słowem.

Ignorując słabnącą popularność w Ameryce, Queen kontynuowali letnią trasę koncertową. Dwa wieczory grali w Madison Square Garden - jednym ze swoich ulubionych miejsc. 23 lipca w Bostonie odebrali klucze do miasta z rąk burmistrza, a dzień ten został oficjalnie obwołany „dniem Queen”.

We wrześniu wystąpili również gościnnie w amerykańskich programach telewizyjnych *Saturday Night Live* i *Entertainment Tonight*. Następnie wyruszyli do Japonii, gotowi na queenmanię, po czym Freddie wycofał

się do Nowego Jorku. W listopadzie Elektra Records ucierpiała w Stanach Zjednoczonych z powodu wielkiej klapy *Staying Power*, ostatniego singla Queen z obowiązującego wówczas kontraktu. Renegocjacja umowy byłaby skomplikowana i kosztowna. Zwłaszcza Freddie był niezadowolony z Elektry, przede wszystkim z powodu kiepskiej promocji *Hot Space*, i oświadczył pozostałym członkom zespołu, że nie jest gotowy na nagranie kolejnego albumu dla tej wytwórni. Kontrakt z Elektrą obejmował również Australię i Nową Zelandię, gdzie zdaniem Queen mogliby radzić sobie znacznie lepiej. Po gorącej dyskusji odmówili ponownego podpisania kontraktu również na te obszary. Ponieważ niesatysfakcjonująca umowa z Elektra Japan także wygasła, Queen znaleźli się na rozdrożu. Zespół zdołał wypłatać się z amerykańskiego kontraktu, lecz wolność kosztowała ich milion dolarów. Jim Beach wynegocjował jednorazowy kontrakt indywidualny dla Freddiego z CBS Records w Wielkiej Brytanii oraz Columbia Records w Stanach Zjednoczonych. W październiku 1983 roku zespół podpisał umowę ze związaną z EMI amerykańską wytwórnią Capitol.

Pracując w Monachium nad solowym albumem, Freddie często wpadał do Nowego Jorku. Podczas jednej z takich wypraw zajechał do Los Angeles, by dołączyć do zespołu przy tworzeniu kolejnego albumu Queen. Znalazł również czas, by odwiedzić Michaela Jacksona w jego dziwacznej, kpiącej ze stylu Tudorów posiadłości przy Hayvenhurst Avenue w Encino. Do środka wchodziło się przez wieżę, której strzegli strażnicy, a w każdym oknie paliły się lampki choinkowe.

- Od dawna jest naszym przyjacielem - wyjaśnił Freddie.  
- Ciągłe wpadał na nasze występy i tak narodziła się przyjaźń... Pomyślcie tylko, mogłem wystąpić w *Thrillerze*. Pomyślcie o honorariach, które przeszły mi koło nosa!

Michael i Freddie od dawna rozważali współpracę przy paru nagraniach. Po raz pierwszy znaleźli się w tym samym

mieście w tym samym momencie i obaj mieli trochę wolnego czasu.

- Zawsze jestem dość otwarty na współpracę z innymi muzykami, takimi jak Michael Jackson - powiedział później Freddie. - Choć to niełatwa sprawa: tyle pieniędzy i ani krztyny gustu, rany! Co za marnotrawstwo! Nagraliśmy trzy kawałki [*There Must Be More To Life Than This* ukazał się na pierwszym solowym albumie Freddiego; *Victory* i *State of Shock* wyszły na albumie Jackson 5 *Victory*, drugi z nich to duet z Mickiem Jaggerem].

- Niestety, nigdy ich nie dokończyliśmy. To były świetne piosenki, ale zły moment - w tamtym czasie obaj byliśmy bardzo zajęci. W żadnym kraju nie mogliśmy zagrześć miejsca na tyle długo, żeby cokolwiek doprowadzić do końca.

- Michael zadzwonił do mnie z pytaniem, czy mógłbym skończyć [*State of Shock*], ale nie pozwalały mi na to zobowiązania wobec Queen. Zamiast mnie wziął się za to Mick Jagger. Szkoda, ale w końcu piosenka to piosenka. Póki przyjaźń trwa, nic więcej się nie liczy.

- Freddie nagrał kilka piosenek demo z Michaeliem w studiu w jego domu w Encino - potwierdził Peter Freestone. - Byłem tam. Nawet grałem z Michaeliem w gry wideo. Na jednym z kawałków słychać, jak trzaskam drzwiami od łazienki, bo był potrzebny dobry dudniący dźwięk. Napięte harmonogramy nigdy nie pozwoliły im tak naprawdę ciągnąć tej przyjaźni. Ale lubili się i uważali nawzajem za geniuszy.

Chociaż wydaje się prawdopodobne, że Freddiego odrzuciła obsesja klanu Jacksonów na punkcie kontroli, którą nieliczni potrafili znieść, był jeszcze jeden, bardziej ponury powód, który wkrótce został obnażony w prasie.

W maju 1983 roku Freddie oddał się swojej operowej pasji i poszedł do Covent Garden Opera House w Londynie na *Bal maskowy* Giuseppe Verdiego. Występowali w nim świętej pamięci włoski tenor Luciano Pavarotti i czarująca

hiszpańska sopranistka Montserrat Caballé, wówczas pięćdziesięcioletnia.

- Aż do tego momentu Freddie zawsze uwielbiał tenor - powiedział Peter Freestone. - Jego ulubieńcami byli Placido Domingo i Luciano Pavarotti. Miałem olbrzymią kolekcję płyt z muzyką operową, a Freddie strasznie chciał się dowiedzieć jak najwięcej o operze. Pewnego dnia powiedziałem: „Okej, skoro tak przepadasz za Pavarottim, niedługo zaśpiewa w Covent Garden. Może się wybierzemy?”. Uznał, że to wspaniały pomysł, i kazał mi natychmiast rezerwować bilety.

- Pavarotti wyszedł na scenę i zaśpiewał arię w pierwszym akcie. Zdaniem Freddiego był genialny. W drugim akcie przyszła pora na primadonnę, czyli Montserrat. Byliśmy tak urzeczeni widokiem Pavarottiego, że nie zwróciliśmy szczególnej uwagi, kto jeszcze występuje w operze. Montserrat zaczęła śpiewać - i to było to. Freddiemu opadła szczeka. Zapomniał, że Pavarotti jest w ogóle na scenie. Od tamtej pory chciał tylko jej.

Freddie był zahipnotyzowany, szczególnie słynnym duetem miłosnym żarliwego Riccardo i przejmującej Amelii, kobiety dręczonej poczuciem winy, która przegrywała ze swymi oporami. Freddie identyfikował się z tym uczuciem. Nie mógł oderwać ani oczu, ani uszu od potężnej, acz delikatnej Caballé. Po przedstawieniu bez końca rozplątywał się z zachwytem nad jej „klarownym głosem”, „wokalną wszechstronnością” i „nienaganną techniką”. „To dopiero wokalistka”, powtarzał raz za razem.

- Gdybym miał przywołać obraz dziesięciu szczęśliwych ludzi spotkanych w moim życiu, jeden z nich przedstawiałby Freddiego przed występem Montserrat w Covent Garden - mówił Paul Gambaccini. - Siedzę tuż przed orkiestrą. Po lewej, w pierwszym rzędzie w łóży, siedzi Freddie. W jego oczach widać zdumienie i zachwyt. Lewą ręką wykonuje gest w stronę sceny, a na jego twarzy maluje się szczęście jak u dziecka. To wspaniała chwila

i dowód na to, że bez względu na sukces, jaki odniósł, nigdy nie stracił szacunku i podziwu dla swoich wielkich ulubieńców. Nawet gwiazdy mają swoje gwiazdy.

Tamtego wieczoru Freddie nie podejrzewał jeszcze, że wkrótce on i Montserrat będą razem występować i nagrywać jako jeden z najbardziej zaskakujących duetów świata.

Tymczasem znudzeni członkowie zespołu mieli już powyżej uszu wypoczynku i odprężenia. Wszyscy znów rwali się do pracy. Próby skomponowania muzyki do filmowej adaptacji powieści Johna Irvinga *The Hotel New Hampshire* w reżyserii Tony'ego Richardsona, z Robem Lowe i Jodie Foster w rolach głównych, zostały przerwane, gdy okazało się, że budżet przedsięwzięcia nie pozwalała na zatrudnienie w tym celu gwiazd rocka. Zainspirowały ich za to do powrotu do studia. Przegrupowali siły w Record Plant w Los Angeles i zaczęli planować kolejny album, *The Works*.

Record Plant, studio, w którym nagrywali Jimi Hendrix i Velvet Underground, powstało w Nowym Jorku w 1968 roku. W latach siedemdziesiątych, kiedy gwiazdy popu i rocka przeniosły się na zachód, otwarta w Los Angeles filia odniosła wielki sukces. W 1985 roku kalifornijskie studio przeniosło się z Third Street do Hollywood, do dawnego budynku Radio Recorders Annex, które zasłynęło współpracą z Louistem Armstrongiem i Elvisem Presleyem. W końcu studio stało się częścią Chrysalis Records, pod skrzydłami producenta Beatlesów, sir George'a Martina.

Eddie DeLena był asystentem inżyniera podczas prac nad *The Works* w Record Plant, razem z inżynierem i współproducentem Mackiem.

- Mack był łagodnym i słownym człowiekiem - wspomina Eddie. - Odkryłem później, że była to jedna z jego zalet. Nigdy nie brał niczyjej strony i trzymał się z dala od potencjalnych konfliktów z członkami zespołu,



menadżerami i kierownictwem wytwórni. Mack był Szwajcarią, dlatego nikt nigdy się z nim nie kłócił.

Pomimo łagodności Macka Eddie odkrył, że nagrywanie *The Works* z Queen przypominało „pracę nad czterema różnymi solowymi albumami naraz”.

- Zamiast współpracować od samego początku, każdy członek zespołu przychodził z własnymi pomysłami na piosenki, dopracowywał je, a potem pozostali dodawali swoje partie. Nie żeby stanowiło to jakikolwiek problem. Członkowie Queen byli jednymi z najmilszych i najbardziej utalentowanych ludzi, z jakimi można pracować. Wykształceni dżentelmeni, każdy z własnymi charakterystycznymi cechami osobowości. Roger Taylor przywiązywał dużą wagę do stroju, był czarujący i bardziej towarzyski od Briana i Johna. Brian był inteligentny, niesamowicie uprzejmy i całkowicie oddany swojej sztuce, w której osiągnął mistrzostwo. Miał wielką wiedzę na temat kompozycji i teorii muzyki, spędzał w studiu długie, skoncentrowane godziny, dopracowując swoje partie. John był zamknięty w sobie i trzymał się na uboczu. Spędzał też w studiu mniej czasu niż pozostali. Ale kiedy potrzebowali jego pomocy, zawsze trafiał w samo sedno.

- Oczywiście, Freddie Mercury był niezwykły. Miał fantastyczną osobowość. Kiedy się zjawiał, jego czar wypełniał całe pomieszczenie. Często wygłaszał bardzo dramatyczne i barwne przemowy, z intonacją godną scenicznego aktora. Rockoperowy styl Queen stanowił w zasadzie przedłużenie osobowości Freddiego. Był niesamowicie utalentowanym wokalistą i wspaniałym kompozytorem. Zdarzało się, że kiedy nagrywaliśmy jego wokal, zaczynał śpiewać kolejną partię w złożonej, harmonijnej aranżacji, gdy tylko zdążyłeś zmienić taśmę w wielościeżkowym rejestratorze. Całą aranżację miał w głowie, a każdą partię śpiewał idealnie za pierwszym podejściem. Dotrzymanie mu kroku było nie lada wyzwaniem.

Eddiego wcale nie zaskoczyło, że Freddie podróżuje z własną świtą ze społeczności gejowskiej.

- Tym razem składała się z przyjaciół i znajomych z Boystown w zachodnim Hollywood. Często przechwalał się swoimi eskapadami z minionej nocy, o czym pozostali członkowie zespołu nie chcieli słuchać. - Można przyjąć, że Eddie miał na myśli liczbę mężczyzn, których Freddie zaliczył podczas sesji, ale był zbyt dyskretny, by zdradzać szczegóły.

Do ulubionych klubów Freddiego w Boystown należały The Motherlode, The Spike i The Eagle przy Santa Monica Boulevard. Jedną z wycieczek zakończył on w ramionach „barmana Vince’a” z The Eagle: wysokiego, ciemnego, krępego i brodatego mężczyzny, który pogodził się z faktem, że Freddie jest światowej sławy gwiazdą rocka. Vince jeździł niesamowitym motocyklem, a Freddie nigdy nie potrafił się oprzeć facetowi z motorem. Wkrótce stali się nierozłączni. Ale kiedy Freddie zaprosił kochankę, by ten dołączył do niego podczas trasy, Vince odmówił. Nie po raz pierwszy.

- Wszyscy z wyjątkiem Freddiego mieli ścisłą listę przyjaciół, którzy mogli odwiedzać ich w studiu - wyjaśnił Eddie. - Siedzieli tam, żeby nagrać płytę bez żadnych szaleństw. Człowiek może się tylko domyślać, że w przeszłości również tam imprezowali i mieli już dość -

Eddie ponownie nie chciał wdawać się w szczegóły, trzeba było użyć wyobraźni.

Pewien wieczór w zajmowanym przez Queen studiu C zamienił się jednak w rockową imprezę.

- W studiu A na końcu korytarza nagrywał Rod Stewart - wspomina Eddie - a w studiu B Jeff Beck. Wszyscy wylądowali w studiu A i zaczęli razem grać. W pewnym bezcennym momencie Rod Stewart i Freddie usiedli razem przy wielkim fortepianie Bosendorfer i zaczęli wymyślać na oczekaniu słowa, w typowo brytyjski sposób kpiąc ze swoich fizycznych atrybutów. Freddie opisywał włosy

i nos Roda, Rod nie pozostawał mu dłużny i śpiewał o wystających zębach. Boki zrywać. Wychodziłem z siebie, desperacko usiłując rozsadzić ich wszystkich między właściwymi wzmacniaczami i z mikrofonami, bo nikt nie zamierzał pozwolić, by ta chwila przeszła do historii niezarejestrowana. Jeff Beck i Brian May przerzucali się gitarowymi frazami, Rod i Stewart śpiewem, Carmine Appice i Roger Taylor dzielili się obowiązkami przy perkusji. Jasne, to był chaos, ale nagrania gdzieś zalegają. Zarząd Queen upewnił się, by nikt nie zdołał ich odtworzyć, w obawie, że kopie trafią w niepowołane ręce. Tej samej nocy zabrali taśmy ze studia. Nigdy ich nie usłyszałem.

Innym niezapomnianym wydarzeniem, jakie miało miejsce podczas nagrań do albumu *The Works*, było przyjęcie z okazji trzydziestych siódmych urodzin Freddiego w wynajętym przez niego domu przy Stone Canyon Road, cudownej rezydencji na Hollywood Hills, która swego czasu należała do Elizabeth Taylor. Na tę okazję Freddie zapełnił cały dom odurzającymi liliami. Uznał również, że jedzeniem ma się zająć jego dawna miłość, Joe Fanelli, i ściągnął go z Londynu. Kiedy Joe przyleciał, pocałowali się i pogodzili, choć nie jako kochankowie, po czym wspólnie przygotowali menu z ulubionych dań Freddiego, między innymi koronacyjnego kurczaka i krewetek po kreolsku.

Jedną z kierowniczek Elektra Records, której kochanka pracowała w domu przy Stone Canyon Road jako sprzątaczką, zapewniła lesbijskie kelnerki w białych koszulkach i czarnych spodniach.

- Przyjęcie odbyło się we wspaniałym otoczeniu, w bujnych ogrodach rezydencji - wspomina Eddie, który brał w nim udział z Eltonem Johnem, Rodem Stewartem, Jeffem Beckiem i Johnem Reidem. Pośród stu gości znalazło się stosunkowo niewiele znanych twarzy, większość stanowili anonimowi przyjaciele Freddiego. Tamtego wieczoru jego partnerem był barman Vince.

- Były kelnerki, barmani, magicy i muzycy klasyczni - opowiadał Eddie. - Uroczysta chwila. Noc szybko minęła i nagle okazało się, że nieszczęśliwie pasują do gości, którzy zostali na *after party*.

Eddie był bowiem równie heteroseksualny, co Freddie i jego wyznawcy homo.



*Freddie Mercury na planie teledysku Queen I Want to Break Free, 1984 rok*

Jako pierwszy singiel z nowego albumu w styczniu 1984 roku ukazało się *Radio Ga Ga* Rogera. Pierwotnie zatytułowany jako *Radio Caca* - rzekomo po skatologicznej

uwadze synka Rogera, Feliksa (którego matka Dominique była Francuzką) – utwór ten dotarł w Wielkiej Brytanii na miejsce drugiej listy przebojów, a w dziewiętnastu innych krajach – na pierwsze i był jedną z najlepszych dotychczasowych kompozycji Queen. Beznamiętne, śpiewane w stylistyce pop słowa kryły słabo zawoalowaną krytykę popowych stacji radiowych, które postanowiły się sprzedać. Uważano, że ich wizerunek i rola stoją w wielkiej sprzeczności z tym, co niegdyś sobą reprezentowały. Epickie nagranie wymagało równie epickiego filmu promocyjnego. Wyprodukowany przez Scotta Millaneya teledysk w reżyserii Davida Malleta – o którym Freddie mówił „Mallet B. DeMille” – zawierał sceny z *Metropolis* Fritza Langa, filmu science fiction z 1927 roku, a także ujęcia z wcześniejszych teledysków, takich jak *Bohemian Rhapsody* czy *Flash*, ukazane w postaci albumu z fotografiami. Dzięki pomocy fanklubu Queen w londyńskim Shepperton Studios stawiło się pięciuset fanów, założyło srebrne kombinezony i stanęło w równych rzędach, by rytmicznie klaskać i unosić ręce. Wkrótce wielbiciele Queen na całym świecie zaczęli odtwarzać ten fragment podczas koncertów – stąd narodził się jeden z niezapomnianych obrazów z ich występu podczas Live Aid rok później. Był to najdroższy z dotychczasowych teledysków Queen, a także najbardziej imponujący w dorobku zespołu.

– David (Mallet) i Freddie długimi godzinami szukali właściwych rozwiązań – wspomina producent Scott Millaney. – „Skarbie, niech to po prostu będzie lepsze niż klipy Eltona”, mówił Freddie. „Chcę tego, co najlepsze”. Opracowałem kosztorys i wysłałem do Jima Beacha. „Nie, to za dużo”, powiedział, a ja na to: „Nie rozumiesz, to jest budżet F r e d d i e g o”.

Millaney i Mallet odpowiadali również za teledysk do budzącej większe kontrowersje piosenki *I Want to Break Free*, w którym wszyscy członkowie zespołu wystąpili

w damskich strojach. Teledysk zawierał również czterdziestopięciosekundową sekwencję baletową, zainspirowaną *Prélude à l'après-midi d'un faune* Claude'a Debussy'ego. Freddie tańczył w niej z zespołem Royal Ballet.

- Freddie był tak podekscytowany tym teledyskiem, że aż wychodził z siebie - wspomina Millaney. - „Cóż, skarbie, po prostu m u s i m y się przebrać za kobiety, a ja muszę zgolić wąsy”. David odparł na to: „Nie! Musisz je mieć, właśnie o to chodzi!”. Freddie nigdy nie był tak szczęśliwy jak wtedy, gdy zaangażował Royal Ballet i tańczył z nimi przez cały dzień. Nawet się po nich wił!

Wizażystka i artystka body paintingu Carolyn Cowan, odpowiedzialna za pomalowane ciała w teledysku, nawiązała podczas kręcenia *Break Free* z Freddiem tak bliską więź, że została zaangażowana do kilku kolejnych filmów.

- Nie byłam zwykłą wizażystką, a Freddie nie był zwykłą gwiazdą rocka, o ile w ogóle istnieje coś takiego, więc spotkaliśmy się pośrodku - mówi Carolyn. - Oboje byliśmy bardzo silni, potrafiłam w mgnieniu oka rozładować jego napięcie. W zamian Freddie zawsze się o mnie troszczył. To był bardzo symbiotyczny związek. Krótko mówiąc, lubiliśmy się.

- Charakteryzatornia to święte miejsce. Ludzie chodzą tam nago, pozwalają, żebyś ich takimi oglądał. To wymaga ogromnego zaufania, a Freddie to rozumiał. Ciała maluję szybko. Spieszę się. Muszę - ludzie marzną, nudzą się, wiercą... Pamiętają o skrępowaniu. Trzeba uchwycić chwilę i po prostu robić swoje.

- Pamiętam, jak przyjechałam do Limehouse Studios na plan *Break Free* i od razu się z nimi dogadałam. W tamtym czasie przyjmowałam sporo alkoholu, kokainy i marihuany, co mogło pomóc [w 1991 roku z nałogów wyciągnął ją David Bowie].

- Podobnie jak Freddie mam osobowość nałogowca. Chyba to we mnie dostrzegł. Nosiłam wtedy długie, ciemne włosy i wyglądałam jak Karol II. Krótka spódnica, wysokie buty, podejście z rodzaju „wszystko jest dozwolone”. Myślę, że po prostu pasowałam do ekscentryczności zespołu.

- Umalowałam ich w stylu *drag*, à la opery mydlanej *Coronation Street*, efekt był niesamowity. Freddie miał zresztą wspaniałą twarz. Tamtego dnia wszystko się ułożyło. Wszystko poszło tak, jak trzeba. Musiałam założyć tancerzom baletowym szpiczaste woskowe uszy. Zachowywali się tak skandalicznie, że makijaż ciągle się pieprzył i musiałam zaczynać od nowa. Tymczasem Freddie powtarzał: „Daj mi jeszcze jedną kreskę koki, skarbie, błagam!”. Szokujące. Pamiętam, że przyjmowaliśmy niesamowite ilości narkotyków.

- Nie zapominaj, że odkrywaliśmy formę sztuki - mówił Carolyn. - Z tego powodu czuliśmy presję. Mimo to dobrze dogadywałam się z zespołem, z wszystkimi razem i z każdym z osobna. Nie męczyli się, nie nudzili, nie wkurzali. Wciąż kochali całe to szaleństwo, wolność i hedonizm. I było wesoło. Freddiego rozsadzała niewiarygodnie kreatywna energia oraz ogromne poczucie humoru, większe niż u kogokolwiek innego, kogo znam.

Sam teledysk stał się jednak kolejnym gwoździem do amerykańskiej trumny Queen. Uznano, że przebieranki to zbyt wiele dla MTV.

W latach osiemdziesiątych stacja wywierała tak wielki wpływ na przemysł muzyczny i kulturę popularną, że decyzja o zakazie emitowania teledysku jakiegoś wykonawcy miała druzgoczące skutki. Wypychanie policzka językiem i parodia *Coronation Street* nie zrobiły wrażenia na amerykańskich fanach, którzy uznali je za obraźliwe i niezrozumiałe. Teledysk został nawet zakazany w kilku stanach. Zespołowi odebrało mowę.

- W przeszłości nakręciliśmy kilka naprawdę poważnych, imponujących klipów - powiedział Roger - i pomyśleliśmy,

że najwyższa pora się zabawić. Chcieliśmy pokazać ludziom, że nie bierzemy siebie zbyt poważnie. Że wciąż umiemy się z siebie śmiać. Chyba to udowodniliśmy.

- Środkowe Stany Zjednoczone czuły, że Freddie może być gejem, a Środkowe Stany były bardzo ważne - wyjaśnił były dziennikarz i dyrektor EMI do spraw PR Brian Southall. - Możesz sobie zgrywać artystę w Nowym Jorku czy Los Angeles. W Kansas nawet nie próbuj.

Zespół nie poczuwał się do winy i bez zastanowienia odmówił nakręcenia alternatywnego teledysku na amerykański rynek. Buta znów doszła do głosu. Dobiła ich w Stanach.

- Kiedy Queen nakręcili *Break Free*, w Stanach to był problem - przytaknął Peter Paterno, amerykański prawnik zajmujący się branżą rozrywkową, który został prezesem wytwórni płytowej i podpisał z Queen kontrakt dla Hollywood Records. - Całe te minispódniczki i makijaż... Wiele osób poczuło się urażonych. I *Radio Ga Ga*: amerykańskie stacje radiowe obraziły się na Queen. Stwierdziły jednomyślnie: „Skoro się z nas nabijają, nie będziemy puszczać ich muzyki, bo niby czemu?”. Z dnia na dzień Queen przestali odnosić tam sukcesy.

*The Works* wywalczyło za oceanem miejsce dwudzieste trzecie, a *Ga Ga* miejsce szesnaste.

- Poza tym - dodał Paterno - dotarli do punktu, w którym przestali pasować do swojego wizerunku. Typowy amerykański fan rocka był wówczas facetem w typie macho, w niczym ich nie przypominał. Dla mnie wciąż grali naprawdę świetną muzykę. Byłem ich fanem. *Hammer to Fall*, antynuklearny kawałek Briana Maya, pojawił się na ścieżce dźwiękowej do filmu *Nieśmiertelny*. Ta wspaniała piosenka nie spotkała się w Stanach z żadnym odzewem. W ogóle tam nie istniała. To był początek końca Queen w Ameryce.

Nie pomogła dyskusja Capitol Records z niezależnymi promotorami radiowymi, podobnie jak dziwne podejście



osobistego menadżera Freddiego, Paula Prentera, który najwyraźniej odpowiadał za wzrost zainteresowania u Freddiego płatnym seksem i narkotykami. Zdaniem niektórych zupełnie jakby wciąganie go w samo serce niebezpieczeństwa i deprawacji zaspokajało pragnienie skrajnej dekadencji samego Prentera.

- Miał na Freddiego bardzo zły wpływ - skomentował Roger - i w związku z tym na cały zespół.

Ani Freddie, ani jego przyjaciele nie mogli podejrzewać, jak niszczący okaże się jego związek z Prenterem.

W lutym, podczas gdy EMI szykowała się do wydania *The Works*, albumu, który miał odnieść największy sukces ze wszystkich dotychczasowych, Queen, porzuciwszy obojętne Stany, dołączyli do Boya George'a, Culture Club, Paula Younga i Bonnie Tyler na festiwalu w San Remo. Impreza okazała się żenującym fiaskiem dla weteranów sceny, ale zapewniła im kilka wesołych dni we włoskim odpowiedniku Bournemouth... i świetną promocję, mimo że przez cały pobyt Brian i Roger darli ze sobą koty dosłownie o wszystko, począwszy od repertuaru, a na aranżacji sceny skończywszy.

Udzielając wywiadu podczas festiwalu, Freddie opowiedział o swojej przyjaźni z Michaeliem Jacksonem.

- Michael i ja trochę się od siebie oddaliśmy, odkąd jego *Thriller* odniósł ogromny sukces - wyznał. - Zamknął się we własnym świecie. Dwa lata temu świetnie się razem bawiliśmy w klubach, ale teraz nie wychyla nosa ze swojej fortecy. To bardzo przykre. Tak bardzo się martwi, że ktoś go załatwi, że popadł w kompletną paranoję.

John i Roger polecili w krótką trasę promocyjną po Australii i Dalekim Wschodzie, po czym zrobili sobie wakacje. Brian wyjechał, żeby wystąpić gościnnie na nowym albumie amerykańskiego muzyka rockowego Billy'ego Squiera, Freddie zaś wrócił do Monachium, by poużywać życia. Od czasu do czasu wpadał jednak do studia i kontynuował pracę nad solowym albumem.

W maju 1984 roku wrócili do Montreux, by zagrać z playbacku dla czterystu milionów widzów podczas festiwalu Rose d'Or. Tam też zapowiedzieli kolejną europejską trasę, która miała rozpocząć się w sierpniu. Roger wrócił później do solowych nagrań i w następnym miesiącu wydał powszechnie wyśmiewane singiel i album. Freddie pognał z powrotem do Monachium. W czerwcu zespół spotkał się w Londynie, by odebrać Srebrny Klucz, nagrodę Nordoff Robbins Music Therapy za wybitny wkład w brytyjską muzykę.

W lipcu ukazał się singiel *It's a Hard Life*, który w Wielkiej Brytanii dotarł na szóste miejsce listy przebojów, jako trzeci z The Works wchodząc do pierwszej dziesiątki.

*It's a Hard Life* to wielki, rozdzierający serce popis Freddiego, powrót do na wpół energicznych, na wpół tragicznych motywów z *Killer Queen* i *Play the Game*. Początkowe wersy i melodia budzą echo *Vesti la giubba*, najsłynniejszej arii z opery *Pajace* Ruggero Lenoncavallego: „Ridi, Pagliaccio, sul tuo amore infranto!” („Śmiej się, pajacu, choć bolejesz niezmiernie!”). Pisząc *Hard Life*, Freddie mógł mieć również na myśli Smokeya Robinsona. W *Tears of a Clown* z albumu *The Miracles Make It Happen* z 1967 roku Smokey porównuje siebie do pajaców, klaunów, którzy skrywają ból i gniew za bezmyślnymi uśmiechami. Robinson wykorzystał porównanie do smutnego klauna we wcześniejszej kompozycji dla Carolyn Crawford z Motown *My Smile Is Just a Frown (Turned Upside Down)*. Nawiązując podobnie do *Play the Game* i często daremnych poszukiwań prawdziwej miłości, *It's a Hard Life* Freddiego stanowiło żarliwe ujęcie jego prawdziwej życiowej rozterki. Został obdarzony większym materialnym bogactwem, niż większość zwykłych śmiertelników mogła marzyć, lecz to mu nie wystarczyło. Był to obszar, który można scharakteryzować krótko słowami „za pieniądze miłości nie kupisz”. Dwadzieścia lat wcześniej odwiedzili go Beatlesi. Jak ujął to Paul McCartney, „(w piosence) chodziło o to,

że wszystkie dobra materialne są bardzo fajne, ale nie kupię za nie tego, czego naprawdę bym chciał”. Freddie musiał się o tym przekonać na własnej skórze.

Freddie uważał, że dotknęła go klątwa braku emocjonalnego i romantycznego spełnienia, co stanowiło tajemnicę poliszynela dla jego najbliższych, którzy przez lata opiekowali się nim, ocierając mu łzy w czasie jego długiej i imponującej tułaczki od jednego fatalnego związku do następnego. Wiedzieli o tym również fani, a to za sprawą wielu rozdzierających serce piosenek.

- Teksty Freddiego odzwierciedlały jego życie - mówił Frank Allen z The Searchers. - *I Want It All. Somebody to Love. Don't Stop Me Now. Who Wants to Live Forever.* Wszystkie ilustrują pewne aspekty jego nadziei i pragnień. Naturalnie, autor wyraża w tych tekstach własny etos i osobowość, a w miarę jak Freddie czuł się swobodniej ze swoją seksualnością, dały mu też wolność otwarcia się przed światem. Pozwolę sobie stwierdzić, że związki z kobietami wzmacniały jego pewność siebie. U większości ludzi występuje element biseksualizmu. Niewielu potrafi się z tym pogodzić. Poczucie winy i konsekwencje, nawet w tak zwanych wyzwolonych czasach, są zbyt wielkie.

Freddiego kochały miliony, ale na odległość. Tylko nieliczni zdołali się do niego zbliżyć. Sądzę, że ci, którym się to udało i którzy zostali dopuszczeni do grona jego najbliższych, sami aż za bardzo go potrzebowali. Uwielbienie, jakie okazywali Freddiemu, mówiło więcej o ich własnych pragnieniach i marzeniach niż o jego. Entuzjazm i „gejowskie zapamiętanie” Freddiego miały zbić z tropu zewnętrzny świat, skrywając coraz większe duchowe przygnębienie. W głębi serca obawiał się, że nigdy nie znajdzie kogoś naprawdę wyjątkowego, kto go pokocha - kolejny powód, dla którego tak kurczowo trzymał się Mary.

Brian skomentował utwór *It's a Hard Life*, nad którym niestrudzenie pracował razem z Freddie, następującymi

słowami:

- To jedna z najpiękniejszych piosenek, jakie napisał Freddie. Prosto z serca.



*Freddie w teledysku do „Who Wants to Live Forever”, 16 września 1986 roku*



*Freddie w teledysku do „It's a Hard Life”, 1984 rok, w kostiumie zaprojektowanym przez Dianę Moseley. Strój stał się znany jako „Krewetka”, ponieważ Freddie wyglądał w niej jak wielka ugotowana krewetka*

Imponujący teledysk do piosenki nakręcił w Monachium reżyser Tim Pope. Wystąpiło w nim wielu klubowych towarzyszy Freddiego, w tym Barbara Valentin, a także pozostali członkowie Queen skrępowani krezami. W strojach średniowiecznych trubadurów wyraźnie czuli się niepewnie. Obcisły, zdobiony elementami w kształcie oczu fantastyczny kostium Freddiego budził jeszcze większe

zdumienie. Podobnie jak jego w zasadzie niewyjaśniona kontuzja nogi, na tyle poważna, że wymagała unieruchomienia gipsem, którą, jak twierdził, odniósł podczas sprzeczki w barze w Trójkącie Bermudzkim.

Queen kontynuowali misję zdobywania dziewiczych terytoriów. Watykan im odmówił, Rosjanie uznali za dekadentkich, a Chińczycy i Koreańczycy nie chcieli współpracować. W październiku 1984 roku zespół zgodził się na dwanaście koncertów w kontrowersyjnym Sun City w Republice Południowej Afryki, które miał zagrać w hali Super Bowl. W ten sposób Queen uwikłali się w najbardziej kompromitujący politycznie etap ich kariery. Wart miliony dolarów pustynny obiekt rekreacyjny Bophuthatswana był enklawą w stylu Las Vegas, częściowo finansowaną przez rząd w czasach apartheidu. Dla zewnętrznego świata reprezentował obraźliwy symbol uprzywilejowanej białej mniejszości wobec czarnoskórej biedoty mieszkającej w nędznych slumsach RPA. British Musicians' Union kategorycznie zakazał swoim członkom występów w tym kraju. Zespół Artists Against Apartheid (Artyści przeciwko Apartheidowi), założony przez Stevena Van Zandta, byłego członka E Street Band Bruce'a Springsteena, uchwycił antyapartheidowy nastrój w singlu *I Ain't Gonna Play Sun City*. Wśród wykonawców znaleźli się: Miles Davis, Bob Dylan, Ringo Starr i jego syn, perkusista Zak Starkey, Lou Reed, Jackson Browne, Pat Benatar, Peter Gabriel oraz dwaj stonosi, Keith Richards i Ronnie Wood. Polityczny singiel, który ukazał się w grudniu 1985 roku, nie był wielkim hitem w Stanach Zjednoczonych, odniósł jednak olbrzymi sukces w Australii, Kanadzie i Wielkiej Brytanii.

Queen nie mieli skrupułów.

- *I Want to Break Free* to nieoficjalny hymn African Congress Movement, a *Another One Bites the Dust* jest jedną z najlepiej sprzedających się piosenek w czarnej historii Republiki Południowej Afryki - wyjaśnił Roger.

Kontrowersje wybuchły jednak, kiedy Queen przygotowywali się do trasy *The Works* - na czas której powitali w zespole piątego członka, klawiszowca Spike'a Edneya, by występował z nimi na scenie jako jeden z nich.

Od blisko dwóch lat nie występowali razem na żywo. Chociaż nieszczęśliwie lubili spędzać czas na próbach, nie mieli innego wyjścia. Zamknęli się w hangarze w Monachium, wyposażeni w najnowocześniejszy sprzęt nagraniowy, dźwiękowy i oświetleniowy.

- Pierwszym kawałkiem, jaki z nimi zagrałem, było *Tie Your Mother Down* - wspomina Spike. - I dobrze, grali to od wieków. Następnie *Under Pressure*. Później chcieli spróbować jednego z nowszych: *I Want to Break Free*. Można by pomyśleć, że nie jest to specjalnie trudna piosenka. Doszliśmy do pierwszego wersu, wszystko się posypało i daliśmy spokój. Dotarło do mnie, że nigdy nie grali tego razem na żywo. Miałem wszystko spisane, więc powiedziałem: „Prawdę mówiąc, to idzie tak...”, potem do fortepianu podszedł John, a następnie Brian i tak tam stali. Wreszcie zjawił się Freddie. „Nie masz przypadkiem słów, staruszkę?”, zapytał. Stali tak wokół fortepianu, a ja pomyślałem sobie: „Będzie dobrze. Dam radę”.

Zespół zagrał trzy koncerty w Birmingham National Exhibition Centre, gdzie po raz pierwszy swojego idola, Freddiego Mercury'ego, poznał wokalista Spandau Ballet, Tony Hadley. Hadley dysponował tak potężnym i wszechstronnym głosem, że już wtedy porównywano go do młodego Franka Sinatry. Nie miał pojęcia, że Freddie był jednym z jego największych fanów.

- Towarzystwo wzajemnej adoracji - śmiał się Tony. - Dorastałem, słuchając albumów Queen, a Freddie był dla mnie najlepszym wokalistą na świecie. Bardzo chciałem ich poznać. Byłem już wtedy na tyle sławny, że dostawałem przepustkę niemal za każde kulisy. Poszliśmy poznać chłopaków, którzy sprawiali naprawdę przyjazne i miłe

wrażenie. Zaprosili nas na imprezę po koncercie w hotelu obok. Poszedłem tam z Leonie [swoją pierwszą żoną]. Obok Freddiego było wolne miejsce, a on powiedział do mnie: „Chodź, skarbie, chodź i usiądź przy mnie”. Leonie wylądowała na drugim końcu stołu. Rozmawialiśmy w najlepsze, kiedy nagle zjawilo się kilka striptizerek, żeby zabawić ludzi.

- Miałem wrażenie, że Queen zawsze bawili się lepiej niż ktokolwiek inny. Imprezy były wielkie, ich płyty były wielkie, osobowości w zespole były większe niż w jakiegokolwiek innej kapeli. Nawet John Deacon, choć wydawał się tym spokojnym.

- Siedziałem i rozmawiałem z nim tamtej nocy o wizerunku scenicznym i Freddie udzielił mi rady. „Nigdy nie usprawiedliwiaj się za to, co robisz na scenie”, powiedział. „Nigdy nie przeprasza. Publiczność przyszła, żeby zobaczyć ciebie, więc nic się nie stanie, jeśli raz będziesz w gorszej formie. Po prostu musisz stawić wszystkiemu czoła”. Miałem dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery lata, śpiewałem w zespole, który nieźle sobie radził. On należał do rodziny królewskiej rocka. Nie musiał zawracać sobie głowy kimś takim jak ja. Ale był tak pełen entuzjazmu, tak chętny przekazywać swoją wiedzę i doświadczenie. Tylko on to dla mnie zrobił i naprawdę go za to szanowałem.

- „Każdego artystę dręczy brak wiary w siebie”, powiedział. „Ciebie też?”, zapytałem, a on na to: „Z w ł a s z c z a mnie”.

Piątego września koncert Queen na Wembley zakończył się imprezą dla pięciuset przyjaciół w nocnym klubie Xenon, gdzie świętowano trzydzieste ósme urodziny Freddiego. Tort był bardziej spektakularny od wszystkich poprzednich: długi na pięć stóp klasyczny rolls-royce. W tamtym tygodniu, w tym samym dniu co debiutancki solowy singiel Freddiego *Love Kills* nagrany do filmu *Metropolis*, ukazał się ich dwudziesty szósty singiel



*Hammer to Fall*. Lecąc do Dortmundu, zespół zauważył, że na aktualnej brytyjskiej liście przebojów Top 200 znajduje się dziewięć albumów Queen. W październiku Queen wraz ze swą żoną, w tym Mary Austin i jej nowym konkubentem Joe Burtem, basistą zespołu Toma Robinsona, polecili do RPA na koncert w Sun City. W trakcie pierwszego występu głos odmówił Freddiemu posłuszeństwa już po kilku piosenkach. Pustynny upał i kurz pogorszyły jego dawne problemy z gardłem. Ten koncert oraz pięć następnych zostało odwołanych, a zespół ponownie stanął się na ostatnich sześciu.

Wróciwszy do Londynu, Brian i Roger poszli do British Musicians' Union, by się wytłumaczyć.

- Tamta wyprawa to nie była wyłącznie jedna wielka impreza - mówi Spike. - Queen zrobili tam wiele charytatywnie, między innymi zbierali pieniądze na rzecz szkoły dla niesłyszących i niewidomych dzieci w Kutlawamong. Opublikowali tam potem specjalny album, a honoraria w całości przekazali szkole. Reakcja na zespół była tak fantastyczna, że wciąż nie rozumiem, co w tym było złego. Oczywiście parę lat później polityka się zmieniła i świat zaczął tam jeździć.

Otrzymałszy sporą grzywnę, zespół trafił również na czarną listę. Tyle dobrego, że mogli przekazać pieniądze na cele dobroczynne, zamiast zasilić konto bankowe związku. Tamto fiasko przez wiele lat nie dawało im spokoju.

- Jesteśmy zdecydowanymi przeciwnikami apartheidu i wszystkiego, co symbolizuje - powiedział Brian. - Ale mam wrażenie, że zrobiliśmy wiele dla zbudowania mostu. Poznaliśmy muzyków obu kolorów skóry. Wszyscy powitali nas z otwartymi ramionami. Krytyka spotkała nas jedynie poza RPA.

Spike przyznaje, że Queen słynęli z niesamowitej arogancji.

- To prawda. B y l i aroganccy. Ale dlatego, że zwykle mieli rację. Odniosłem wrażenie, że ich zdaniem zostali niesprawiedliwie potraktowani, gdy zaczęli karierę, dzięki czemu nauczyli się samowystarczalności i ufali tylko własnym sądom. Jedyne problem polegał na tym, że ta arogancja przenikała przez szeregi ich organizacji. Ludzie, którzy dla nich pracowali, robili się aroganccy w imieniu Queen, nawet gdy nie mieli do tego prawa, co bywało dość uciążliwe.

Freddie wrócił do Monachium, a w grudniu zespół wypuścił swój pierwszy bożonarodzeniowy singiel *Thank God It's Christmas*. Pomyślany jako parodia wyświechtanego gatunku dwudziesty siódmy singiel Queen został wyprodukowany w Londynie, wokale Freddiego dodano zaś w Niemczech. Nie dostał się do pierwszej dwudziestki brytyjskiej listy przebojów i nigdy nie znalazł się na żadnym albumie Queen. Od tamtej pory miał ich jednak prześladować na każdej bożonarodzeniowej kompilacji. Tymczasem coraz wyższe notowania zaliczał singiel *Do They Know It's Christmas* Band Aid. Już wkrótce miał się rozpocząć nowy rozdział w historii.

## Rozdział 20

### Live

*Spójrzmy prawdzie w oczy: my, gwiazdy rocka, wciąż chcemy być w centrum zainteresowania, przez co wystawiamy się na pokaz. Powiedzmy to szczerze. Okej, pomagamy, ale z drugiej strony to będzie międzynarodowa publiczność, transmisja na cały świat. O to też nam chodzi i nie powinniśmy o tym zapominać. Wątpię, by którykolwiek z artystów tam występujących, nie zdawał sobie z tego sprawy.*

Freddie Mercury

*W muzyce nie zawsze chodzi o to, co grasz. Chodzi również o to, czego nie grasz.*

*Freddie Mercury był co najmniej trzema różnymi osobami. Na scenie, poza sceną i w tej tajemniczej strefie gdzieś pośrodku. Był ucieleśnieniem swojej muzyki. Jego występ idealnie odzwierciedlał każdą piosenkę.*

Louis Souyave, Daytona Lights

Rock in Rio, „największy festiwal muzyki rockowej, jaki widział świat”; trwająca osiem dni noworoczna feta w 1985 roku, na której wystąpili również Rod Stewart, Yes, Iron Maiden, Def Leppard, Ozzy Osbourne, George Benson, James Taylor i najlepiej sprzedający się brazylijscy wykonawcy, została zaplanowana na skalę, która powinna spełnić oczekiwania nawet takiego zespołu jak Queen. Fakt, że pieczę nad tym wydarzeniem sprawował ich wierny menadżer tras koncertowych, Gerry „Wujek Zręda”

Stickells, a Queen mieli stanowić główną atrakcję, przesądził sprawę. W niedzielę 6 stycznia ponownie wyruszyli do Ameryki Południowej.

W skład osobistej świty Freddiego weszli Mary Austin, Barbara Valentin, Peter Freestone, Paul Prenter i ochroniarze. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy do trzystu tysięcy fanów podróżowało w palącym upale przez dwa dni lub nawet dłużej, by stać się częścią największej publiczności w dziejach rocka.

Spike Edney brał wówczas udział w kilku większych wydarzeniach, ale żadne z nich nie mogło się równać z Rio.

- Wiedziałem, że poprzednie trasy koncertowe Queen po Ameryce Południowej były pionierskie, ale to był największy show w historii.

Najbardziej zapadło mu jednak w pamięć, jak bardzo współczuł Freddiemu.

- Był wtedy w Ameryce Południowej ogromną gwiazdą. Bogiem. *Love of My Life* na zawsze zajęło w Argentynie pierwsze miejsce na liście przebojów. Stało się ich odpowiednikiem *Stairway to Heaven*. W rezultacie Fred, gdy już się tam znalazł, został więźniem. Nigdzie nie mógł się ruszyć - nawet w towarzystwie uzbrojonych strażników. To było dla niego bardzo przykre. Raz czy dwa udało mu się wymknąć, ale nie było warto.

Zdaniem Spike'a, za niewyobrażalną popularność Freddiego odpowiadał między innymi jego wygląd.

- Słyszałem, że kiedy Fred ściął włosy i zapuścił wąsy, przeistoczył się w uosobienie przystojnego południowoamerykańskiego mężczyzny - w takiego latynoskiego Clarka Gable'a. Być może po części za to go tak uwielbiali.

Rockodromo w Barra da Tijuca powstawał przez kilka miesięcy i wyróżniał się gigantyczną półokrągłą sceną z olbrzymią fontanną po każdej stronie. Fontanny te bardzo się przydały fanom, którzy się w nich kąpali, kiedy ulewny deszcz zmienił całą okolicę w doskonałe miejsce do kąpieli

ślizgłej. Ustawiono wielkie stanowiska dla prasy, z międzynarodowymi liniami telefonicznymi i punktami do przesyłania zdjęć dla tysięcy dziennikarzy i fotografów. Nocą olbrzymie szperacze przecięły swym światłem niebo, jak gdyby zwiastując hollywoodzką premierę. Zbudowane specjalnie na tę okazję lądowisko śmigłowców okazało się raczej logistyczną koniecznością niż luksusem. Zapomnijcie o głębokim lęku Freddiego przed lataniem: nie istniał inny sposób, by dostać się na scenę. Wszystkie drogi do Barra były zakorkowane przez kilka dni.

Pierwszego wieczoru Queen mieli wystąpić po metalowcach z Leyton, Iron Maiden, ale ich występ przesunął się o dwie godziny.

- Nie pamiętam dlaczego - mówi Spike Edney. - Może po prostu było opóźnienie.

Wyszli na scenę o drugiej nad ranem, kiedy tłum balansował na krawędzi zamieszek.

- Jim Beach załatwił mi miejsce za kulisami w trakcie występu Queen - wspominał Peter Hillmore, który opisywał koncert dla „Observer”. - Wyrzależem i zobaczyłem olbrzymią publiczność. „Jak to jest być tam, na scenie?”, zapytałem Briana. „Wyjdź i się przekonaj”, odparł.

- Wszedłem. Tysiące twarzy gapiły się na mnie, wszystkie wołały o Queen. Poczulem dziką moc Freddiego Mercury'ego, posmakowałem, jak to jest, kiedy ćwierć miliona ludzi nie pragnie niczego więcej, tylko żebyś otworzył usta i zaśpiewał. Przestraszyłem się, bo sam nic nie umiałem. Queen spokojnym krokiem weszli na scenę i wszystko się zaczęło. Techniczni się uwijali, nikt nie zwracał na mnie uwagi. Usunąłem się w cień.

- Wiedziałem, w tamtym miejscu i w tamtym momencie, że przede wszystkim chcę być w Queen. Chcę być Freddie Mercury. Uniósł ręce i wszyscy śpiewali razem z nim. Opuścił ręce i wszyscy milkli, bo on tak kazał. Efekt był niewyobrażalny. Jakbym oglądał rozszczepienie atomu w reaktorze nuklearnym.

Hillmore doszedł do wniosku, że Freddie jest nie z tego świata.

- Ludzie wyskakowali z samochodów na światłach, ślinili się nad jego limuzyną, krzyczeli: „Freddie, kochamy cię, jesteś Bogiem!”. On i Queen mieli na usługach całą kosztującą fortunę organizację, która dbała tylko o to, by czuli się komfortowo, dokądkolwiek by poszli – jeszcze zanim przepracowali choćby jeden dzień. Poczekalnie dla VIP-ów, transatlantyckie przeloty pierwszą klasą, ludzie, którzy zaspokajali każdą ich zachciankę. Z tego względu nie wydaje mi się, żeby gwiazda pokroju Freddiego mogła mieć życie prywatne. Koniec końców, wszystko to zaczyna wpływać na psychikę nawet najbardziej normalnego człowieka.

Szeroko komentowane „brazylijskie cycki” Freddiego były w rzeczywistości przesadą ze strony prasy. Wkroczywszy dumnie na scenę w kobiecym przebraniu, jakie nosił w teledysku do *Break Free*, Freddie ze zdumieniem ujrzał reakcję publiczności. Zaczęli ciskać na scenę puszkami, kamieniami i innymi śmieciami, co Freddie odebrał jako protest. Kiedy Freddie oberwał kawałkiem kartonu, Brian cofnął się kilka kroków, aż zrównał się z platformą, na której stała perkusja Rogera. Freddie, jakby na przekór, pozostał jednak z przodu i popełnił błąd, ponieważ stracił nad sobą panowanie. Niewłaściwie interpretując to, co działo się wokół, drażnił się z tłumem. Choć wielu dziennikarzy donosiło, że miejscowa ludność uznała *Break Free* za hymn przeciwko dyktaturze i nie zgadzała się na jego parodię w wykonaniu muzyka rockowego w damskich fatałaszczkach, nie o to gniewał się tłum.

Dave Hogan, który robił zdjęcia dla „You”, dodatku do „Mail on Sunday”, opisał to wydarzenie jako „całkowite nieporozumienie”.

- Na koncertach tych rozmiarów ludzie zwykle chcą być jak najbliżej artystów – tłumaczył. - Ale w tym przypadku organizatorzy zbudowali tak wysoką scenę, że ci z samego

przodu nic nie widzieli. Nie mieli pojęcia, co się dzieje nad ich głowami. Część próbowała się podciągnąć, żeby popatrzeć na zespół, ale faceci z ochrony przychodzili i deptali im po palcach. Wtedy wyszedł Freddie w peruce i ze sztucznymi cyckami, a na widowni cały szereg fanów wspinał się na plecy innych fanów, żeby coś zobaczyć. Nastąpiło poruszenie wśród deptających po palcach ochroniarzy i szturm rozwścieczonej publiczności, która zaczęła zbierać żwir z ziemi i ciskać nim w ich stronę w akcie protestu. Nikt nie rzucał kamieniami we Freddiego. Przeciwnie, kochali go. Ale wszyscy pisali, że fani wygwizdali Freddiego i obrzucili kamieniami przez to, jak był ubrany. Nazwijmy to twórczym dziennikarstwem w wykonaniu ludzi, którzy chcieli zapełnić pierwsze strony gazet. Niech będzie. Ale Freddie, muszę przyznać, zrobił to, co zawsze, i poradził sobie znakomicie. Nikt nie obrzucił go kamieniami, ręczę za to. Stałem tam, dokładnie przed nim. Ale czemu prawda miałaby zepsuć dobrą historię!

Umieszczony z wielką pompą w apartamencie prezydenckim w hotelu Copacabana Palace w Rio, Freddie brylował.

- Mieszkał w tym samym pokoju co wszyscy amerykańscy prezydenci - wspomina David Wigg. - Zaprosił mnie na drinka. Strasznie padało i wszędzie było pełno błota, ale Freddie uważał, że „przedstawienie musi trwać”. Tamtego wieczoru na jego zaproszenie poszedłem na obiad. Była tam Mary Austin - zawsze siedziała po lewej, podczas gdy po prawej siedział aktualny chłopak Freddiego. Potem poszliśmy na dyskotekę (Alaska, wówczas najpopularniejsza gejowska dyskoteka w Rio). Bawiliśmy się aż do czwartej nad ranem. Musiałem napisać artykuł dla „Express” i pomyślałem, że lepiej się trochę prześpię. Podszedłem do Freddiego, żeby pogratulować mu i podziękować przed wyjściem. „Dokąd się wybierasz?”, zapytał. „Wrócę piechotą do hotelu”, odparłem. „Mowy nie ma!”. Pstryknął palcami. „Steve! Odwieź Davida m o i m samochodem i nie

zostawiaj go przed hotelem, tylko odprowadź do środka”. Freddie był bardzo dobrze wychowany, wrażliwy i troskliwy. Cała jego rodzina była taka - rodzice, siostra, wszyscy. Brytyjczyk starej daty, bardzo nietypowy jak na gwiazdę rocka.

Paulowi Prenterowi przypadło podejrzanе zadanie wyszukiwania mężczyzn, którzy mogliby się spodobać Freddiemu. Niewielu oparło się zaproszeniu, „by dołączyć do Freddiego Mercury’ego podczas prywatnego przyjęcia w jego apartamencie hotelowym”. Większość obserwatorów zgodnie stwierdziła, że obowiązki Prentera przybrały obrzydliwy wymiar. Odpowiadał nie tylko za obławę - zwykle na młode męskie prostytutki, tak zwanych taksówkowych chłopców - ale też załatwianie wielkich ilości alkoholu i kokainy.

Jeden z byłych taksówkowych chłopców, jasnowłosy, niebieskooki Żyd imieniem Patricio, kilkakrotnie brał udział w prywatkach Freddiego. Przybywszy do Rio z Buenos Aires, by spróbować swoich sił w aktorstwie, Patricio zajął się prostytutką z powodu skrajnej nędzy i rozpaczы. Odbył jeszcze jedną podróż swojego życia: do Izraela, by tam umrzeć na AIDS. Patricio, jak sam przyznał, wielokrotnie uprawiał seks z Freddieм.

- Wybrani chłopcy dołączali do Freddiego w zaciszu jego apartamentu, który był bardzo luksusowy, z widokiem na hotelowy basen - wspominał. - Najpierw piliśmy, a potem wciągaliśmy kokainę - stał tam taki niski drewniany stolik z przyszykowanymi kreskami. Następnie rozbieraliśmy się i szliśmy do pokoju, gdzie witał nas Freddie w samym szlafroku. Przez cały ten czas Paul (Prenter) był całkowicie ubrany. Freddie uprawiał seks kolejno z każdym z nas, na oczach pozostałych. Gdy miał dość, Prenter płacił chłopcom i prosił, żebyśmy wyszli. Freddie zawsze przyjmował pasywną rolę. Kiedy zaczynasz być gejem, zwykle jesteś aktywny. Ale kiedy zdobywasz popularność i każdy chce iść z tobą do łóżka, stajesz się



pasywny, bo tak łatwiej się zabawić. Bycie „facetem” jest męczące. Większość gejów woli „kobiecą” rolę.

Freddie uzależnił się od niezobowiązującego seksu. Zdaniem Patricia, w większości przypadków nawet nie był podniecony. Twierdził, że im intensywniej wieczór się rozkręcał, tym bardziej beznamiętny stawał się Freddie.

- Nie sprawiał nawet wrażenia, jakby się dobrze bawił. Po prostu wykonywał ruchy.

Wiele takich imprez odbyło się w Rio, każda kończyła się tak samo. W poszukiwaniu uciech Freddie przekroczył pewną granicę. Ciągle łaknął tego, co kontowersyjne, tylko po to, by szokować. Nie ustając w dogadzaniu sobie we wszelkiego rodzaju ekscesach, dowodził tylko jednego: że był zmęczony. Miał wszystko, co można kupić za pieniądze, ale osiągnięcie przyjemności przychodziło mu z coraz większym wysiłkiem. Seks bez miłości był bardzo dobry, lecz podniecenie minęło. Trudno sobie wyobrazić, że nie gardził samym sobą za ten brak umiaru, ale ten wydawał się go napędzać. Freddie nie potrafił się powstrzymać. Wkrótce coś musiało się zmienić.

- Kiedy Paul i Barbara byli w pobliżu - przyznaje Peter Freestone - rozpoczęła się rywalizacja, kto stworzy bardziej szokujący spektakl, aż wszyscy się wypalali. Freddie już dawno stracił zainteresowanie, ale był zbyt grzeczny, żeby coś powiedzieć. Wcześniej świetnie się przy takich okazjach bawił, a nikt, rzecz jasna, nie podejrzewał, by coś się pod tym względem zmieniło.

12 stycznia zespół wydał olbrzymie przyjęcie w Copacabana Beach Hotel. Podczas awanturniczej imprezy, transmitowanej dla milionów widzów w Ameryce Południowej, nawet Brian, zwykle pełen godności, wylądował w basenie. Queen wyszli ponownie na scenę 19 stycznia, by zamknąć festiwal. Znowu pisali historię, zresztą nie po raz ostatni.

Piątego sierpnia grupa przybyła do Auckland, by rozpocząć pierwszą trasę koncertową po Nowej Zelandii. Powitali ich przeciwnicy apartheidu, wciąż wzburzeni występem w Sun City, którzy demonstrowali na lotnisku i przed hotelem. Freddie prawie nie zwrócił na nich uwagi, zajęty brytyjską premierą swojego drugiego solowego singla z debiutanckiego albumu, o którym wielu sądziło, że nigdy nie ujrzy światła dziennego. Chociaż nagranie dotarło na jedenaste miejsce rodzimej listy przebojów, w Ameryce przeszło bez echa. Wszyscy czterej członkowie zespołu stanęli w obliczu swojej największej obawy, że ich panowanie w Stanach Zjednoczonych mogło dobiec końca.

W trakcie nowozelandzkiej trasy doszło do kolejnego zakłócenia w postaci starego kumpla Freddiego, Tony'ego Hadleya. Spandau Ballet dopiero co zakończyli dwumiesięczną trasę po Europie i teraz objeżdżali Australię i Nową Zelandię. Wskutek problemów promotora część koncertów w Nowej Zelandii została odwołana, przez co wiele zaangażowanych osób straciło zarobki. Steve Dagger, menadżer Tony'ego, nakazał mu siedzieć w Auckland cicho. Taka postawa nie leżała w naturze Tony'ego – zwłaszcza gdy do miasta zawitał jego kumpel od kieliszka, Freddie.

- Freddie naprawdę rzadko wychodził na scenę pijany – powiedział Spike Edney. – Pierwszy koncert Queen na stadionie Mount Smart w Auckland, po niepoważnym popołudniu w towarzystwie Hadleya, był jednym z takich przypadków.

Tony zaskoczył zespół.

- Wpadłem do nich do hotelu, pokręciłem się podczas próby dźwięku, zamieniłem parę słów, a potem razem z Freddiem wróciliśmy razem do hotelu i wylądowaliśmy w barze. Nagle Freddie mówi: „Napijmy się stolichnaya”. Siedzieliśmy tak, przywracając świat do porządku, wymieniając opowieści z pól bitewnych rock and rolla, i przy okazji obaliliśmy całą butelkę wódki. Świetnie.

A potem Freddie mówi: „Chodź, skarbie, idziemy do mojego pokoju, mam tam butelkę porto”.

- Obaj mieliśmy mocno w czubie - skrzywił się Tony. - Wtedy Freddie stwierdził: „Musisz jutro wyjść na scenę”. „Nie chcę przeszkadzać”, odparłem, chociaż mi to odpowiadało. „Nie, nie, nie”, uparł się, „będzie super”. Zadzwoił do Rogera i Johna. „Tony wyjdzie jutro z nami na scenę, okej, skarbie? Cudownie”. Wyglądało na to, że nie mają nic przeciwko. „Jedyny problem możemy mieć z Brianem”, wyznał mi Freddie. „Zwykle trochę się o takie sprawy naburmusza”. Zadzwoił więc do Briana i zaczął dyplomatycznie: „Brian, skarbie, Tony wyjdzie jutro z nami na scenę i zagramy *Jailhouse Rock* - okej? Tony, kochanie, Brian nie ma absolutnie nic przeciwko”. Wtedy sobie przypomniałem: „Stary, przecież ja nie znam słów”. „Nieważne”, odparł radośnie Freddie. „Ja też ich nie znam!”.

Dwaj pijani wokaliści usiedli, by nauczyć się piosenki. Połowę słów zmyślili, a połowę zgadywali. Potem Tony chwiejnym krokiem poszedł do siebie, żeby się przespać.

- Następnego wieczoru zjawiłem się na koncercie i wszyscy na mnie naskoczyli: „Coś ty zrobił z Freddie! Kompletnie mu odbiło!”. „Cóż”, odparłem, „ostro sobie popiliśmy”. Wszyscy zmarszczyli brwi. „Ale Freddie n i g d y nie pije przed występem!”, powiedział ktoś.

Przygotowanie Freddiego do wyjścia na scenę nigdy nie było tak trudne.

- Wszyscy nosili wtedy te białe boksyerskie buty Adidasa z całym mnóstwem sznurówek, dość wysoko wiązane - bo były wygodne i idealne do biegania i skakania po scenie - mówił Spike. - Tamtego wieczoru Freddie leżał na sofie za kulisami. Tony Williams, jeden z pomocników garderobianych, i Joe Fanelli próbowali go ubrać, bo Freddie był zbyt nieprzytomny, żeby zrobić to samemu. Założyli mu strój, a potem buty. Ale kiedy wstał i chciał pójść przed siebie, nie był w stanie. Rozległ się komunikat:

„Rusza taśma!” – w tym momencie wszyscy mieli czekać już z boku sceny. A Freddie wrzasnął: „Wy głupie ch...e, założyliście mi spodnie tyłem na przód!”. Chwilę potem leżał na plecach jak żuk, z nogami w górze, a Tony i Joe desperacko próbowali rozwiązać te sznurówki, żeby zdjąć mu buty i spodnie. W końcu zdołali ubrać go tak, jak należy, i pognaliśmy w dół po schodach, podczas gdy taśma z intro dobiegała końca, a scenę wypełniał dym. Niewiele brakowało.

- Freddiemu tak odbiło, niech mu ziemia lekką będzie, jakby miał odlecieć – dodaje Spike. - Przez pierwsze pół godziny improwizował, zmyślał słowa, śpiewał, co mu ślina na język przyniosła. Roger grał ze spuszczoną głową, nie mógł nikomu spojrzeć w oczy. Brian rzucał wściekłe spojrzenia z rodzaju: „Co tu się, kurwa, wyprawia?”. Gdy dotarli do połowy koncertu, Freddie trochę wytrzeźwiał. Potem poszło im zaskakująco świetnie. Do czasu, kiedy zjawiał się Hadley.

Cierpiąc z powodu telefonicznej rozmowy ze swoim menadżerem, który wściekł się na wieść, że Tony wcale nie siedzi cicho, nie mógł się on doczekać, kiedy stanie przed publicznością.

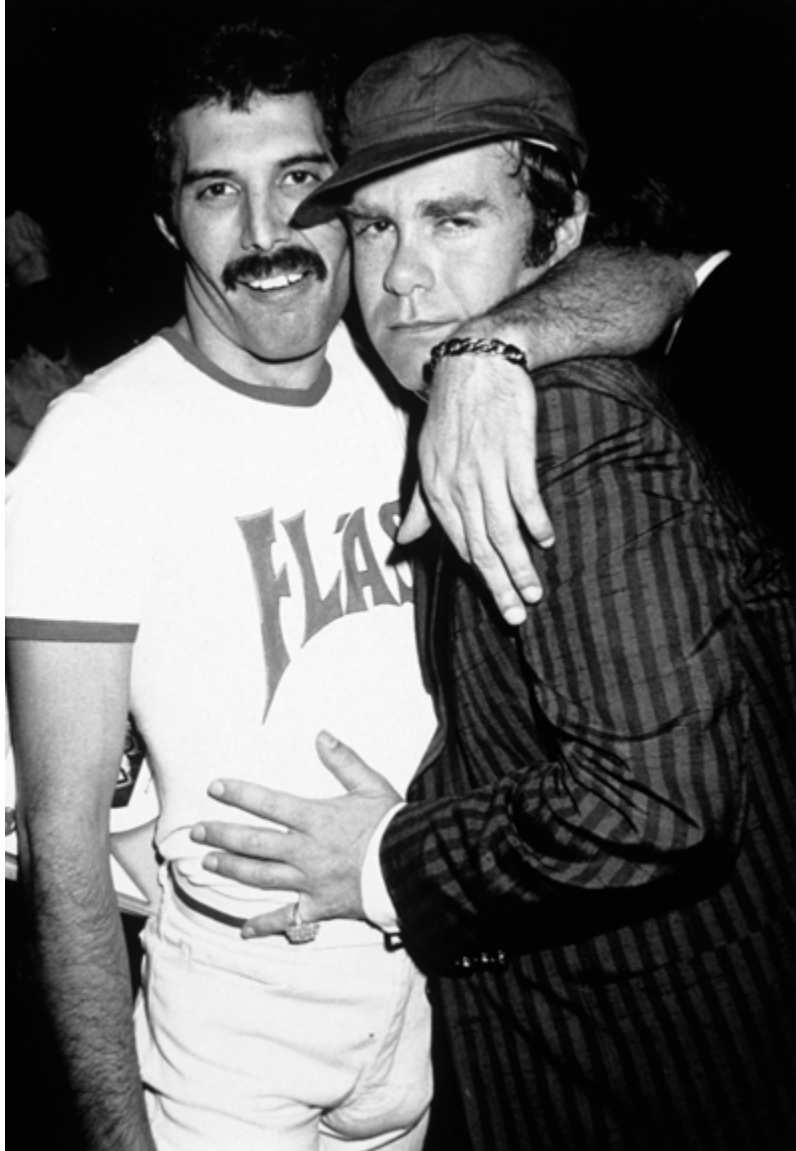
- Czekałem z boku sceny, podczas gdy Queen grali, i usiłowałem przypomnieć sobie te cholerne słowa *Jailhouse Rock* – śmieje się. - Freddie przyszedł i schował się za fortepianem Spike'a, sycząc: „Hadley, draniu, ależ jestem wściekły” na oczach czterdziestu pięciu tysięcy ludzi. A ja stałem, mamrocząc pod nosem jak idiota, z kilkoma kluczowymi słowami nabazgranymi na dłoni: „wardens... county jail... party... jailhouse... rock”. Nie potrafiłem zapamiętać tekstu. W końcu Freddie oznajmił: „Panie i panowie, Tony Hadley!”. Tłum oszalał, ja wpadłem na scenę i zacząłem śpiewać bebopowy kawałek *Tutti Frutti*. Nie ta piosenka! Freddie na to: „Tak! Właśnie tak!”, a Brian: „Co to, kurwa, ma być?”. Pozostali po prostu sikali ze śmiechu. Freddie i ja mieliśmy to gdzieś i po prostu

dawaliśmy czadu. Symulowaliśmy stosunek z gitarą Briana, kiedy na niej grał.

Koncerty w Melbourne odbyły się bez większych problemów. Cztery wieczory w Sydney Entertainment Centre pod koniec kwietnia i następnych sześć występów w Japonii było jeszcze bardziej radosne za sprawą wieści, że w mieście zjawił się Elton John. Freddie, Elton i Roger nie zamierzali tracić czasu i od razu uczcili solowy album tego pierwszego.

- Freddie Mercury mógł wykończyć na imprezie każdego, a to coś mówi - skomentował Elton. - Spędzaliśmy tak całe noce, siedzieliśmy do jedenastej przed południem, cały czas odurzeni. Queen mieli złapać samolot, a Freddie wypalił wtedy: „O kurwa, kolejną kreskę, skarbie?”. Jego głód nie dawał się zaspokoić.

Ostatni koncert w Sydney zbiegł się w czasie z wydaniem przez Columbia Records albumu *Mr Bad Guy*. Freddie pisał swoje piosenki z sercem na dłoni. Spośród kawałków stanowiących szybkie funkowe odejście od oryginalnego brzmienia Queen najwięcej mówiły *Living on My Own*, *There Must Be More to Life Than This* i tęskna ballada *Love Me Like There's No Tomorrow*, którą napisał dla Barbary Valentin.



*Freddie świętuje z Eltonem Johnem ukazanie się ścieżki dźwiękowej do filmu „Flash Gordon”, 1980 rok*

Chociaż w Wielkiej Brytanii album wspiął się na miejsce szóste, w Stanach Zjednoczonych poniósł klęskę. Podczas gdy *I Was Born to Love You* radziło sobie dość dobrze, *Made in Heaven* przeszło niezauważone – pomimo przykuwającego uwagę pompatycznego teledysku w reżyserii Davida Malleta. W filmie przedstawiającym układ baletowy na tradycyjnej scenie Freddie, w stroju z czerwonych i czarnych pasów oraz w cienkiej pelerynie,

stał na szczycie wielkiej skały. Ubrani w skromne kostiumy tancerze baletowi wspinali się na skałę i siebie nawzajem, by do niego dotrzeć, aż skała pękła, odsłaniając piękny błękit obracającej się Ziemi.



*Finiał Live Aid na scenie stadionu Wembley. Od lewej: Bono, Paul McCartney, Freddie, David Bowie, Adam Ant, Bob Geldof*

Trasa koncertowa *The Works* dobiegła końca, Brian został z rodziną na wakacje w Australii, John i Roger polecieeli do nowego domu Rogera na Ibizie, a Freddie najkrótszą drogą udał się do Monachium, po kolejną dawkę wesołości i występów ze swymi kochankami.

Dzięki Bogu za Live Aid.

- Byliśmy do dupy - wzrusza ramionami Francis Rossi, wspominając bohaterkie otwarcie londyńskiej części koncertu 13 lipca w wykonaniu Status Quo. - Naprawdę źli. Za mało prób. Prawdę mówiąc, w ogóle ich nie mieliśmy. Gdybym trochę bardziej wziął sobie do serca, o co w tym wszystkim chodzi, i to, że mamy wystąpić przed globalną

publicznością, przeprowadzilibyśmy próby. Oczywiście Queen dopiero co wrócili z trasy i byli tak zgrani, jak to tylko możliwe. No i mieli próby.

- Może jeszcze Bowie był dobry, ale nikt więcej nie zapadł mi w pamięć. Bono zeskoczył ze sceny, i co z tego. Ten dzień bez wątpienia należał do Queen. Musisz pamiętać, że w tamtym momencie nikt nie zdawał sobie sprawy, że wyjdzie z tego coś wielkiego. Bob był hałaśliwym, nowobogackim Irlandczykiem, który ciągle głądził, czego to on nie dokona. I dokonał. Oczywiście, trudno tak całkiem poskromić swoje ego. W końcu jesteście gwiazdami, kochanie. Ale tamtego dnia niewiele go tam było.

- Kiedy w dniu koncertu dotarliśmy na Wembley, Freddie wyprostował moje poglądy na wiele spraw, jeśli mogę tak powiedzieć - ciągnie Francis. - Pamiętam, że przenieśli nas do części dla artystów i wszyscy się wygłupialiśmy. Ale wtedy coś się stało. Nie mam problemu z gejami: w końcu mam dwóch kuzynów i syna geja. Tyle że zawsze należałem do tych heteroseksualnych facetów, którzy uważają, że geje nie są tak męscy jak my. Czy mógłbym się bardziej mylić? Freddie i ja wdaliśmy się w coś w rodzaju przepychanki i nieźle się bawiliśmy, kiedy nagle założył mi pónelzona, a ja, nie mogłem się ruszyć. Był bardzo silny. Przez mój mózg przepłynęło naraz morze informacji. Dostałem nauczke w ciągu jednej chwili. Nawet teraz widzę swoją minę - i jego. Zamarłem. Gapilem się na niego. Był najsilniejszym człowiekiem, jakiego znałem. „Spokojnie, skarbie”, powiedział z szelmowskim uśmiechem, „gdybym chciał cię mieć, to bym miał”, tak po prostu.





*Freddie i David Bowie podczas pogawędki za kulisami Live Aid na stadionie Wembley, 13 lipca 1985 roku*

- Wielu ludzi sądzi, że homoseksualiści - wolę określenie „pedały”, bez tego całego owijania w bawełnę - nie potrafią się bić. Wszystkie te przygłupy, co to występują w telewizji i wymądrzają się, dlaczego w naszej armii nie powinno być gejów: a jak im się wydaje, kto w niej zawsze był? W naszej branży aż roi się od gejów. Według mnie są oni cudownie rozrywkowi i nieraz łatwiej się z nimi dogadać niż z całą resztą. W starych dobrych czasach Rick (Parfitt) często obnosił się ze swoją orientacją. Jak wielu z nas. Często myślałem, że geje są lepiej przystosowani do otaczającej

rzeczywistości. Muszą być, biorąc pod uwagę, z czym muszą sobie radzić. Nikt nie robił tego lepiej od Freddiego. Wiedział, kim jest, a przynajmniej wtedy już wiedział. Live Aid to był jego dzień, niczyj więcej. Kocham go za to.

- Zasługi za ten fenomenalny występ należą się im wszystkim - mówił Paul Gambaccini. - Kiedy Queen zaczęli grać, znajdowałem się za kulisami i przeprowadzałem wywiady z artystami do transmisji telewizyjnej. Dało się poczuć, jak wszyscy drgnęli. Ludzie zamilkli, przestali robić to, co właśnie robili, i odwrócili się w stronę sceny. Już wtedy wiedzieli, że Queen właśnie kradną im show. Freddie odstawił swój taniec z kamerzystą, z ewidentnie seksualnym podtekstem. Byli po próbach, byli przygotowani, byli totalnymi zawodowcami. Pomyśleliśmy, o Boże, to jest szczyt rockowych występów na żywo. Queen byli najlepsi. To niewiarygodne, biorąc pod uwagę, kto jeszcze znalazł się na liście wykonawców. Podobno Queen już się skończyli, ich czas minął. A jednak tam wyszli, odkrywali się na nowo na naszych oczach. Kiedy o tym myślę, nadal zapiera mi dech w piersiach. Freddie Mercury dał najlepszy występ, jaki ktokolwiek kiedykolwiek widział.



*Finał Live Aid 13 lipca 1985 roku. Od lewej: George Michael, Harvey Goldsmith, Bono z U2, Paul McCartney, Freddie*

Podniesieni na duchu przez Live Aid Queen musieli odnaleźć siebie. Być może przygotowywali się do naturalnego zakończenia, w większości fenomenalnej, kariery. Nie mogli przecież grać w nieskończoność, prawda? Zespoły, które to robią, ryzykują, że staną się własną karykaturą. Żeby osiągnąć status legendy, trzeba w dobrym momencie odejść. Każdy z członków Queen zajmował się solowymi projektami, z różnym skutkiem. Jedynie Freddie odniósł umiarkowany sukces. Zmuszeni zaakceptować, że lepiej, jeśli będą trzymać się razem, zamiast kroczyć własnymi ścieżkami, zwłaszcza na tym etapie życia, postanowili zapomnieć o rozwiązywaniu zespołu i spróbować jeszcze raz. Live Aid dało im drugą szansę. Żaden artysta rockowy nie pozwoliłby, by taka szansa przeszła mu koło nosa. Queen nie mogli się doczekać, aż znów zaczną koncertować. Nowa trasa po Europie, zaplanowana na 1986 rok, była najbardziej ambitną w ich karierze.

Najpierw jednak odbyło się przyjęcie z okazji trzydziestych dziewiątych urodzin Freddiego, wystawny czarno-biały bal za 50 tysięcy funtów w Henderson's, jednym z jego ulubionych monachijskich klubów. Przyjęcie zostało sfilmowane na potrzeby teledysku do piosenki *Living on My Own*. Przybyło trzystu gości, w tym Barbara Valentin i Ingrid Mack, żona Reinholda. Z Londynu przyleciało wiele znanych osób, a większość była w damskich strojach - z wyjątkiem Freddiego, który założył rajstopy arlekina, wojskową kurtkę z epoletami i białe rękawiczki, oraz Mary Austin w stroju uczennicy z serialowej szkoły St Trinian. Brian przebrał się za czarownicę, Peter Freestone - za Cygankę. Powstały w ten sposób teledysk przypominał odlot po LSD - hedonistyczny, halucynacyjny, z nagimi pośladkami, urwany - i nigdy nie został pokazany w Stanach Zjednoczonych. W Wielkiej Brytanii singiel zajął zaledwie pięćdziesiąte miejsce na liście przebojów.



*Budynek w Monachium, w którym mieścił się Henderson's, jeden z nocnych klubów odwiedzanych przez Freddiego. Tutaj, w 1985 roku, połączył on imprezę z okazji swoich trzydziestych dziewiątych urodzin, czarno-biały bal za 50 tysięcy funtów, z nagraniem teledysku promującego „Living On My Own”*

Barbara Valentin zorganizowała czarno-białe potrawy.

- Kawior i tłuczone ziemniaki - ulubiony przysmak Freddiego - tort w kształcie wielkiego fortepianu i butelki szampana Cristal, które ludzie wynosili pod pachą. Wszyscy okradali Freddiego - westchnęła. - Zginęły nawet dwa pudła jego urodzinowych prezentów.

Następne w kolejności było zobowiązanie wobec Russella Mulcahy'ego, partnera Davida Malleta i Scotta Millaneya w wytwórni MGMM, czyli ścieżka dźwiękowa do jego nowego filmu *Nieśmiertelny* z Christopherem Lambertem. Queen ponownie wywołali gniew prasy, publikując singiel *One Vision*. Potępieni za „spieniężenie swojego sukcesu na Live Aid” za pomocą hitu o „krzykliwym motywie przewodnim” Queen byli rozwścieczeni. W rzeczywistości piosenkę zainspirowała słynna mowa Martina Luthera Kinga, wygłoszona w 1963 roku na schodach Lincoln Memorial, a nie Live Aid, odparował Roger, kompozytor piosenki. Utwór wyróżnia się puszczoną od tyłu początkową partią wokalną, który - odtworzony normalnie - przekazuje zrozumiałe słowa: „God works in mysterious ways... mysterious ways...”.

Na przekór prasie Queen zgodzili się nakręcić krótki film dokumentalny, by wykorzystać go do promocji albumu. Wtedy po raz pierwszy, lecz nie ostatni, współpracowali z „torpedowymi bliźniakami” Rudim Dolezalem i Hannesem Rossacherem. W 1987 roku „bliźniacy” ukończyli filmową antologię kariery zespołu *Magic Years*.

5 listopada 1985 roku podczas imprezy charytatywnej Fashion Aid na rzecz Etiopii w Royal Albert Hall, w której wzięło udział osiemnastu czołowych projektantów świata, w tym Yves Saint-Laurent, Giorgio Armani, Calvin Klein

i Zandra Rhodes, Freddie odgrywał rolę wytwornego pana młodego z zarumienioną panną młodą, aktorką Jane Seymour. Oboje mieli na sobie kostiumy zaprojektowane przez Davida i Elizabeth Emanuelów, którzy stworzyli suknię Lady Diany Spencer na jej ślub z księciem Walii.

Freddie oddał się wtedy do dyspozycji swojego przyjaciela Dave'a Clarka, byłego śpiewającego perkusisty zespołu z lat sześćdziesiątych The Dave Clark Five. Dave był autorem i producentem pomysłowego musicalu scenicznego dla Dominion Theatre przy Tottenham Court Road pod tytułem *Time*. Występował w nim Cliff Richard obok sir Laurence'a Oliviera pod postacią hologramu. Freddie współpracował przy kilku utworach do albumu, na którym pojawili się również Stevie Wonder, Dionne Warwick i Julian Lennon. Raz wystąpił też na scenie. Tymczasem EMI zgarniała nagrody za wydanie albumów Queen w luksusowym opakowaniu (z kilkoma rażącymi pominięciami). Freddie wciąż jednak nie mógł się cieszyć solowym sukcesem, o którym marzył. *Love Me Like There's No Tomorrow*, piąty singiel z albumu *Mr Bad Guy* i ballada napisana dla Barbary, nie wszedł nawet na listę przebojów.



*Freddie z aktorką Jane Seymour jako „państwo młodzi” podczas imprezy charytatywnej Fashion Aid na rzecz Etiopii w Royal Albert Hall 5 listopada 1985 roku. Po obu ich stronach stoją twórcy ich kostiumów, Elizabeth i David Emmanuelowie, którzy zasłynęli, projektując suknię ślubną Lady Diany Spencer*

Ścieżka dźwiękowa do filmu *Nieśmiertelny* została połączona w nowy album Queen. Po występie na festiwalu muzyki rockowej w Montreux zespół rozpoczął próby do europejskiej trasy. Pierwszy koncert dali w Sztokholmie, a ostatnie – na stadionie Wembley i w Knebworth Park.

Zarobili ponad 11 milionów funtów na dwudziestu sześciu występach. Podczas trasy pobili brytyjski rekord wszech czasów, grając przed publicznością liczącą ponad czterysta tysięcy fanów. Czyżby mieli przeczucie, że po raz ostatni doświadczają magii Freddiego na żywo?

## Rozdział 21

# Budapeszt

*Chcę odwiedzić miejsca, w których nigdy nie byłem. Dla mnie liczą się ludzie. Muzyka powinna krążyć po całym świecie. Chcę pojechać do Rosji, do Chin i innych miejsc, których nie widziałem, zanim będzie za późno – zanim wyląduję na wózku i nie będę mógł już nic zrobić. Wciąż jednak będę nosił te same spodnie. Potrafię sobie wyobrazić, jak wpychają mnie na scenę na wózku, do fortepianu, a ja śpiewam „Bohemian Rhapsody”.*

Freddie Mercury

*Całkiem podobał mi się surrealizm wizyty w brytyjskiej ambasadzie na Węgrzech na rockandrollowej imprezie, miałem bowiem świadomość, że są bardziej przyzwyczajeni do witania zupełnie innej królowej.*

Peter Hillmore

*A Kind of Magic*, czternasty album Queen i zarazem ścieżka dźwiękowa do filmu *Nieśmiertelny*, ukazał się pod koniec maja 1986 roku, rozpoczynając ich europejską trasę koncertową. Zgodnie z oczekiwaniami wskoczył na pierwsze miejsce listy przebojów. O świcie 14 lipca, w środę, trzynaście olbrzymich ciężarówek pełnych sprzętu wyjechało z łoskotem z Londynu, by rozpocząć odyseję przez jedenaście krajów. Queen dali dwadzieścia sześć koncertów dla miliona fanów w dwudziestu miastach, między innymi w Sztokholmie, Paryżu, Monachium,



Barcelonie i Budapeszcie. Każde miasto zostało wybrane, z prywatnych względów, przez członków zespołu.

Denis O'Regan, obecnie cieszący się dużym powodzeniem, został zatrudniony przez Jima Beacha za pośrednictwem ostatniego rzecznika prasowego Queen, Phila Symesa, jako oficjalny fotograf trasy koncertowej. Twierdzi, że się denerwował, lecz nie robieniem zdjęć.

- Słyszałem, co się z nimi stało. Tony Brainsby, ich pierwszy spec od PR, opowiedział mi kiedyś, jak znalazł Freddiego w śmietniku za Embassy Club.

- Roger, John i Brian byli dobrymi kumplami. Wyluzowani goście. Freddie był najbardziej enigmatyczny. Często nie nadążał za własnymi myślami. Jego mózg pracował na wysokich obrotach i wyprzedzał język. Freddie mówił na przykład: „Chcę uchwycić strumień, e... ich, pieprzyć to!”. Potrafił przeprowadzić całą rozmowę za pomocą „pieprzyć to, pieprzyć!”, bo nie potrafił ująć w słowa tego, co chciał powiedzieć.



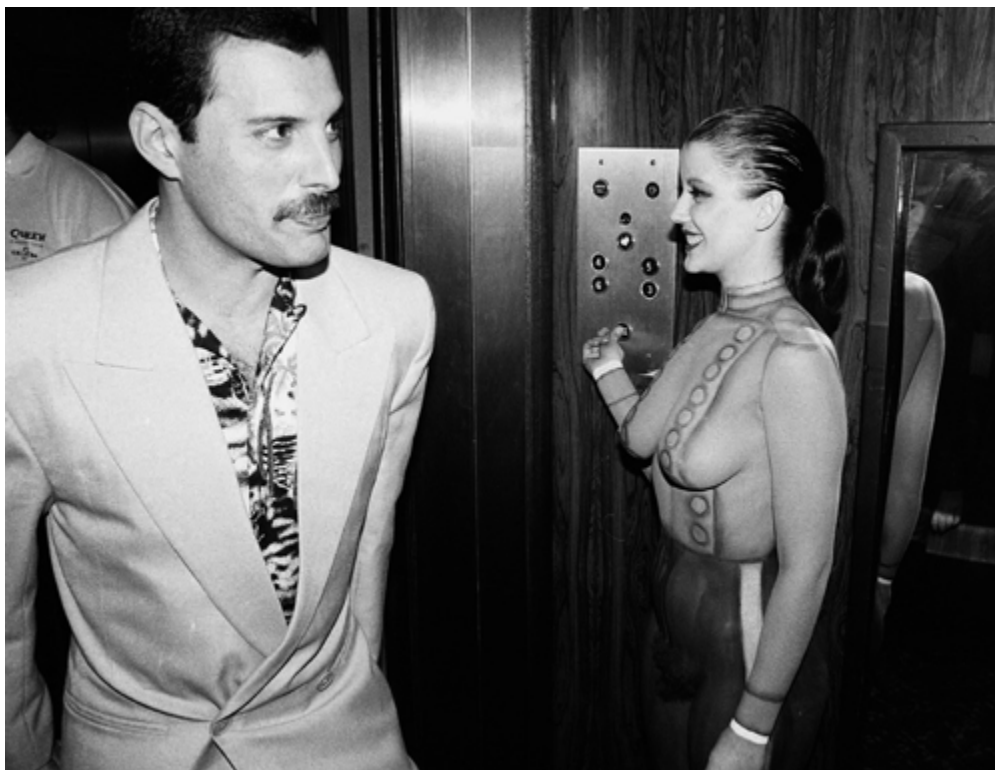
*Freddie oblewa fanów wodą podczas koncertu Queen na stadionie Wembley, lipiec 1986 roku*

Nawet Denis, choć nie po raz pierwszy brał udział w rockowej trasie koncertowej, był zaskoczony, jak ostro bawił się zespół – jakby miał misję parodiowania wyobrażeń o rockowej supergrupie.

- Imprezy w domach publicznych, łaźniach rzymskich, łaźniach tureckich. Lesbijskie striptizerki za kulisami na Wembley i nagie kobiety z uniformami namalowanymi na ciele podczas przyjęcia w klubie Roof Gardens, już po samym koncercie. Nie wspominając o tym, co się wyprawiało w toaletach.

Nie zawsze było wesoło. Rzeczywiście, przez większość czasu ekipa wydawała się bawić lepiej niż zespół. Obserwując wszystko z bliska, Denis łączył się z Freddiem w niechęci do życia w trasie. Lecz zobowiązania kontraktowe narzucały tempo. Nagrać album, wyruszyć w trasę z promocją: ówczesny wzór miał status nienaruszalnego.

- Freddie nie był szczególnie szczęśliwy w drodze – przyznaje Denis. – Wyznał mi kiedyś, że lubi występować, ale n i e n a w i d z i tras. Wydawał się taki wrażliwy. Zupełnie inny, niż sądziłem. Potrafił być delikatny i słodki, jak małe dziecko. Siedział na końcu stołu i klaskał, podekscytowany jednym czy drugim obiadem. Wszystko tak wyglądało. To było takie urocze. Często był cichy, powściągliwy i dość zamknięty w sobie. Lecz w mgnieniu oka popadał ze skrajności w skrajność. Na scenie sprawiał wrażenie wielkiego, silnego faceta, a poza nią wydawał się filigranowy i czasem wydelikacowany.



*Freddie wysiada z windy w londyńskim klubie nocnym Roof Gardens, lipiec 1986 roku. Ciało nagiej hostessy jest pomalowane tak, by wyglądała, jakby miała na sobie uniform gońca hotelowego*

Co prawda, Denis, nie miał problemów z fotografowaniem Freddiego, z zaskoczeniem spostrzegł jednak, że wokalista Queen jest nieśmiały.

- Nigdy tak naprawdę nie pozował. Wyglądał się, ignorował mnie albo po prostu był sobą. Mógł stanąć w drzwiach w koronie i przyjąć kilka póz, zdając sobie sprawę, że tam jestem - ale nie zachęcał mnie do robienia zdjęć. Oczywiście zawsze wiedział, co robi.

Denis nie spodziewał się po Freddiem takiego charakteru.

- Często wpadał w gniew i potrafił być bardzo lekceważący. Zawsze mówił: „Kaź się im wszystkim odpiardolić!”. Ale bywał też skruszony. Magia Freddiego tkwiła w występach na żywo. Z takim gwiazdorstwem we krwi trzeba się urodzić. Nie był heteroseksualny, więc nie miał aż tyle do udowodnienia, co reszta zespołu. Potrafił

wyjsć na scenę i robić sobie jaja z publiczności, podczas gdy pozostali uważali, że nie mogą ryzykować. Swego czasu bez wątpienia mocno imprezował, ale w 1986 roku ten styl życia należał do przeszłości.

Spike Edney, mistrz klawiszy podczas trasy Magic, po jej zakończeniu zgodził się z Denisem.

- Szalone imprezy przycichły. Starania, by rozbić dwa obozy w dwóch osobnych hotelach, przestały mieć znaczenie - powiedział, odnosząc się do dawnego zwyczaju, kiedy to w trakcie trasy dzielono kwatery zespołu na terytorium „homo” i „hetero”. Na przykład w Monachium, gdzie spali w Hiltonie, mieli „Pedalski Salonik Prezydencki” i „Heterycki Kąt”.

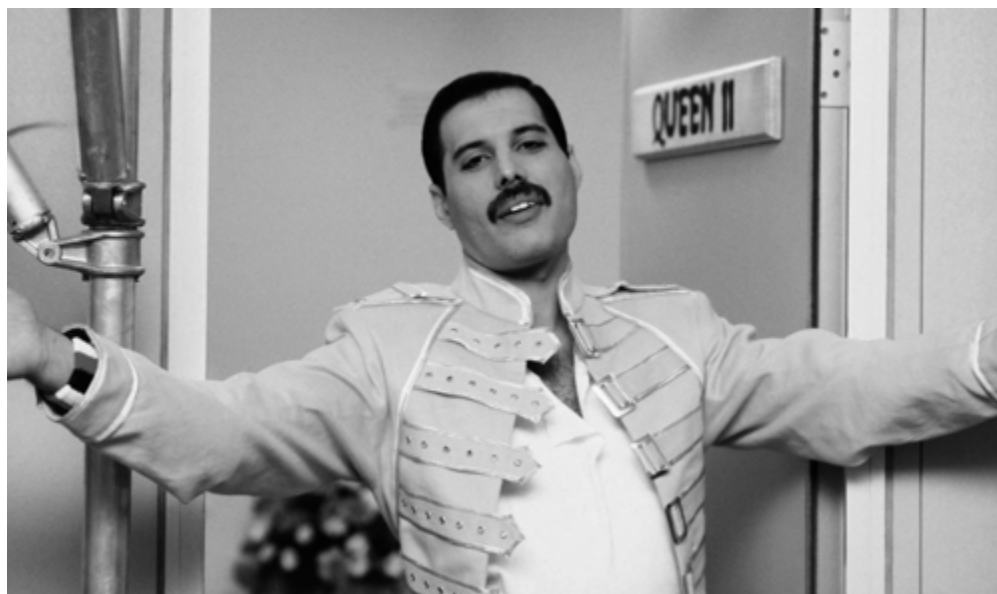


*Freddie w królewskiej pelerynie i koronie, według projektu Diany Moseley, na stadionie Wembley, 15 lipca 1986 roku*

- Podczas trasy *Magic* wszyscy mieszkaliśmy w jednym hotelu - powiedział Spike. - Fred bardzo się ustatkował. Nie lubił już chodzić po klubach i nie spać całymi nocami, tak jak kiedyś. Poza tym naprawdę dbał o swój głos. Często lądowaliśmy w jego apartamencie, popijając szampana i grając w scrabble albo Trivial Pursuit. Pamiętam, że kilka razy siedzieliśmy aż do dziewiątej rano, tylko Fred i ja, kończąc grę. Albo grając w wersję scrabble na opak, w której trzeba zdejmować literki, tak aby na planszy wciąż pozostały całe słowa. W poprzednich trasach Queen

chodziło o seks, narkotyki i rock and roll. W połowie lat osiemdziesiątych - o scrabble.

Pomimo prezentowania nowego, wyważonego tempa panów w średnim wieku Queen została jeszcze jedna impreza wieńcząca wszystkie dotychczasowe. Zespół zaprosił gości na lipcowe przyjęcie w klubie Roof Gardens po koncercie na stadionie Wembley. Najstarszy i najpiękniejszy ogródek dachowy Londynu wciąż istnieje, sto stóp nad Kensington High Street, na szczycie dawnego domu handlowego Derry & Toms. Przez krótki czas mieściła się tam Biba, centrum handlowe Barbary Hulanicki, które przyciągało milion klientów tygodniowo swoimi stoiskami i restauracją Rainbow, gdzie ludzie swobodnie mogli porozmawiać z gwiazdami rocka i znanymi osobistościami. Dla Freddiego było to miejsce wyjątkowe z osobistych względów, jako że tam właśnie po raz pierwszy zobaczył Mary Austin.



*Freddie wychodzi ze swojej garderoby za kulisami stadionu Wembley w Londynie, lipiec 1986 roku*

Cóż to była za noc. Eksces gonił eksces. Karły, *drag queens*, nagość od pasa w dół i w górę – a skoro już o tym mowa, gwiazdka Samantha Fox, która w latach osiemdziesiątych była równie znana jak dzisiaj Katie Price, dołączyła na scenie do Freddiego podczas zaimprovizowanego występu i zaśpiewała przebój Free z lat siedemdziesiątych *All Right Now*. Nie poszło jej najgorzej.

- Całkowite szaleństwo – zgadza się fotograf Hogie. – Impreza na zakończenie wszystkich imprez. Kto szedł tam nieświadomy, wracał stamtąd z wielkimi oczami. Nadzy, pomalowani farbą ludzie. Olbrzymie akwarium pełne nagusów pomalowanych tak, że wyglądali jak kamienie albo gady leżące jeden na drugim. Nawet jadąc niewielką windą, człowiek nie miał pojęcia, na czym zawiesić wzrok. Wszędzie gołe sutki i pępki. Queen urządzało rockandrollowe imprezy tak, jak należało.

- Freddie uwielbiał Samanthę Fox. Miała niesamowitą, hm, osobowość. Cokolwiek zrobiła, zaraz było w gazetach, a właśnie zaczynała karierę piosenkarki pop. Tamtej nocy Freddiego zauroczyły jej cycki. Chciał ją chwycić i potrząsnąć, żeby sprawdzić, czy wypadną. Był niesamowicie podekscytowany. „Och, patrz, świeże mięsko! Zabaweczka!”. Sam chętnie wzięła w tym udział. Złapał ją i miotał jak szmacianą lalką. Następnego dnia w każdej gazecie były ich zdjęcia, ale ani jej, ani jemu to nie przeszkadzało.

- Nigdy nie będzie drugiej takiej kapeli jak Queen – skomentował James „Trip” Khalaf, amerykański inżynier dźwięku, który podkreślił nagłośnienie Queen podczas Live Aid. – Zawsze byli gotowi na największe szaleństwa. Zawsze urządzali największe imprezy, kobiety zawsze miały duże piersi, wszystko było na tak zdumiewającym poziomie, że przez większość czasu ledwo nadążałem.



*„Wyjdiesz się pobawić?”. Zachwycony jej osobowością Freddie wciąga Samantha Fox na scenę do zaimprovizowanego duetu podczas przyjęcia w Roof Gardens wydanym po koncercie Queen na Wembley, lipiec 1986 roku*

Trip nigdy nie przestawał uznawać Freddiego za „dziwnego”.

- Był uroczy, ale nie należał do tej samej kategorii co my... Fred po prostu był gwiazdą. Kim więcej mógł być, jak nie wielką, napuszoną gwiazdą rocka? Skurwysyn odstawiał świetną robotę.

9 sierpnia Queen zagrali pod gołym niebem dla ponad stu dwudziestu tysięcy fanów na terenie Knebworth Park w Stevenage. Majestatyczna lokalizacja zapewniła im największą publiczność w historii Wielkiej Brytanii, co świętowali aż do późnych godzin nocnych. Brakowało jedynie Freddiego: pod koniec przyjęcia ulotnił się dyskretnie, ramię w ramię z Jimem Huttonem i Peterem Freestonem. Jak wyjaśniał Peter, Freddie nigdy nie przepadał za „takimi” imprezami.

- Nie znosił zwłaszcza przyjęć wydawanych przez wytwórnię płytową. Bez obrazy, ale nie miał ochoty



na pogaduszki z pracownikami.

Być może Freddie przeczuwał, że po występie w Knebworth kurtyna opadnie dla niego po raz ostatni. Wszyscy żałujemy, że tego nie wiedzieliśmy.

Tamtego wieczoru, podczas lotu helikopterem z powrotem na lądowisko Battersea, Freddie dowiedział się, że w trakcie koncertu jeden z fanów został śmiertelnie ugodzony nożem. Nie sposób było przedostać się przez tłum. Mimo starań władze nie zdołały sprowadzić karetki w okolice sceny.

- Freddiego to bardzo przygnębiło - rzekł Jim. -

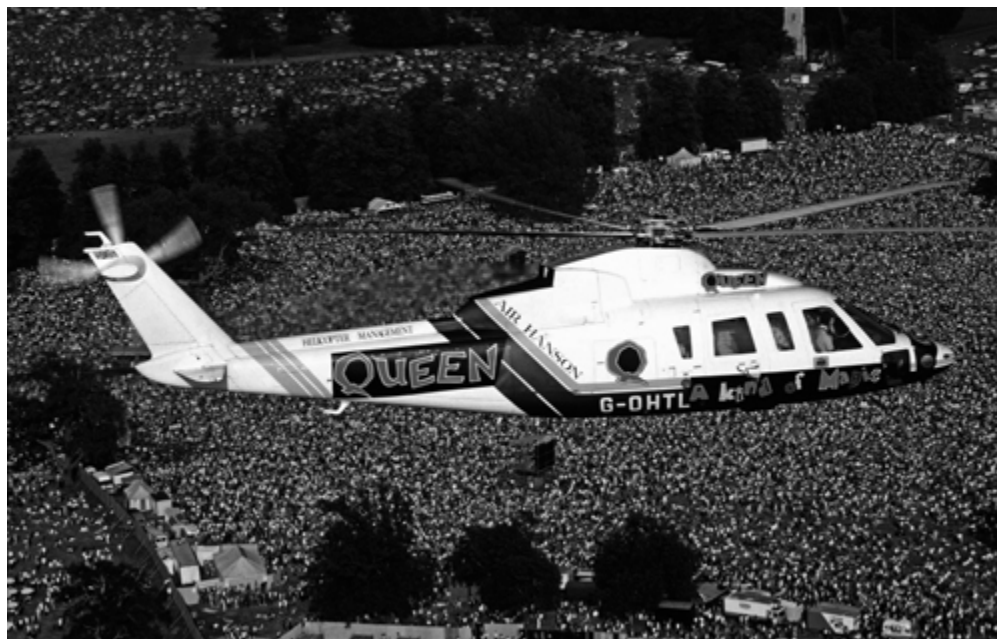
Następnego dnia, kiedy przyjaciele przyszli na niedzielny obiad, nadal był przybity. Prasa bardzo szeroko pisała o koncercie, co podniosło go nieco na duchu. Ale śmierć tamtego fana nie dawała mu spokoju. Pragnął, żeby jego muzyka dawała ludziom szczęście.

Skoro dobre czasy muszą w końcu przeminąć, pozostają przynajmniej wspomnienia. Ze wszystkich koncertów z ostatniej trasy, jaką Queen zagrali z Freddie, szczególnie jeden zapadł w pamięć tym, którzy mieli szczęście się na nim znaleźć.

Występ Queen na Népstadion (stadionie ludowym) w Budapeszcie w niedzielę 27 lipca 1986 roku był czymś więcej niż zwykłym show. Chociaż Elton John, Jethro Tull i Dire Straits dawali już na Węgrzech skromne koncerty, po raz pierwszy w historii kapela rockowa z Zachodu miała zagrać na stadionie za żelazną kurtyną. Przybyło osiemdziesiąt tysięcy fanów, zarówno z samych Węgier, jak i z sąsiednich krajów. Bilety kosztowały około 2 funtów za sztukę, dla większości to więcej, niż wynosiły ich miesięczne zarobki. Mimo to promotorzy odpowiedzieli na oszałamiające zapotrzebowanie - ponad ćwierć miliona zgłoszeń.

W miarę jak zbliżał się ten wielki dzień, węgierską prasę ogarnęło szaleństwo. Gazety wspominały nawet

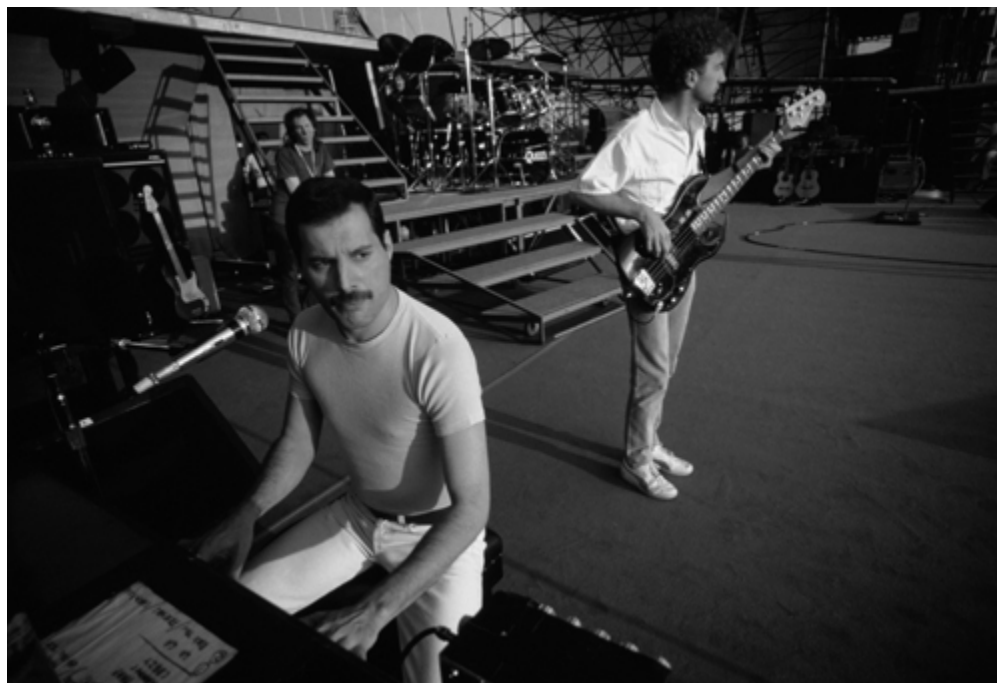
o „pobłażliwym traktowaniu publiczności”, z czego możemy wnioskować, że widzom pozwolono klaskać. Z pewnością nie wolno im było się upijać, narkotyzować, zakłócać porządku ani zachowywać agresywnie, a obiekt patrolowały jednostki milicji uzbrojone w broń maszynową. Jedynym dozwolonym napojem był sok pomarańczowy. Zabroniono nawet palenia papierosów. Spodziewano się spokojnej, kontrolowanej imprezy. Dzięki Bogu za przepustki za kulisy.



*Queen lecą nad oceanem fanów w swoim helikopterze przed występem, który miał być ostatnim koncertem Freddiego. Knebworth, sierpień 1986 roku*

Główni rzecznicy prasowi Queen – Roxy Meade i Phil Symes – bombardowali nas, dziennikarzy, faktami i liczbami. Na Népstadion pracowało siedemnaście kamer, a jedną z nich obsługiwał Gyorgy Illes, liczący siedemdziesiąt jeden lat kamerzysta i poważany wykładowca węgierskiej akademii filmowej. Illes był znany, ponieważ jego uczeń, Vilmos Zsigmond, dostał Oscara za *Bliskie spotkania trzeciego stopnia* Stevena Spielberga. Queen wraz z ekipą przelecieli wzdłuż modrego Dunaju

z Wiednia do Budapesztu oficjalnym wodolotem prezydenta ZSRR Michaiła Gorbaczowa. Dowiedzieliśmy się również, że scena liczyła nawet 550 metrów kwadratowych, w zależności, czy liczyć część wewnętrzną, czy zewnętrzną, że cały obszar koncertowy został wyłożony szarą wykładziną axminster, że użyto około 13 kilometrów kabli, by podłączyć instrumenty, nagłośnienie, oświetlenie i pozostały sprzęt do pięciu generatorów prądu o mocy 5000 amperów, że cały system nagłośnieniowy był zasilany ponad pół milionem watów i że użyto rewolucyjnych wież z zestawami opóźnieniowymi. Od Michaela Jacksona czy Eltona Johna takich materiałów nie dostawaliśmy.



*Freddie i John Deacon podczas próby na scenie Népstadion w Budapeszcie, lipiec 1986 roku*

Występ Queen okrzyknięto wielkim krokiem w nawiązaniu stosunków między Wschodem a Zachodem. *Chargé d'affaires* David Colvin, pełniący obowiązki brytyjskiego ambasadora na Węgrzech, stanął na wysokości zadania, wydając przed koncertem w ambasadzie przyjęcie

dla zespołu i starannie wybranych gości, nieco inne niż te, do jakich byliśmy przyzwyczajeni.

W ambasadzie zebrała się tamtego wieczoru osobliwa mieszanka angielskich emigrantów, muzyków z bloku wschodniego, zachodnich gwiazd rocka, służb prasowych Jej Królewskiej Mości oraz, jak zwykle, stałych bywalców tego rodzaju uroczystości. Freddie, wyraźnie tym wszystkim zakłopotany, wyznał, że wolałby „raczej pójść na zakupy”, niż sterczeć tak i wysłuchiwać, jak ludzie „zanudzają się wzajemnie na śmierć” szczegółami historii Europy Wschodniej. Od dawna zajmował pełne godności apolityczne stanowisko. Choć prywatnie wyznawał poglądy niekiedy bliskie imperialistycznym, nie wdawał się w publiczne dyskusje na społeczno-polityczne tematy. Międzynarodowa sława, mówił, powinna „zostawić politykę gościom, którym się za to płaci, skarbie”.

- Cały Freddie - stwierdził Peter Freestone. - Uważał nawet, że U2 za bardzo wdają się w politykę. Wiedział, że osiągnął swoje cele, bo jest artystą. Kierowanie przekonaniem politycznymi ludźmi nie należało do jego obowiązków.

Kilka dni później Freddie wydał eleganckie przyjęcie dla brytyjskich dziennikarzy w swoim apartamencie prezydenckim w hotelu Duna Intercontinental. „Prezydencki” to mało powiedziane, pomimo jego zblazowanej uwagi, że „wszystkie apartamenty są równe”.



*Freddie, przycupnąwszy na walizce, odpręża się w promieniach węgierskiego słońca przed koncertem Queen na Népstadion w Budapeszcie, lipiec 1986 roku*

- No cóż, ten akurat jest jeszcze lepszy niż mój - rzucił Roger, kiedy wpadł, żeby go zobaczyć.

Freddie, uprzejmy gospodarz, witał nas uściskiem dłoni i wymianą grzeczności. Skromniejszy niż na scenie, bardziej muskularny i zdrowszy z wyglądu niż wielu jego równolatków - do czterdziestych urodzin zostały mu niecałe dwa miesiące - był czysty, pachnący i paradował w jasnej kwiecistej koszuli oraz obcisłych bładoniebieskich dżinsach. W jego nienagannie zadbanych włosach dało się dostrzec niewielką, przetartą łysinkę, która zaczynała lśnić niczym korona.

- Dziękuję za przybycie - powiedział. - Dobrze się bawicie? - Jego głos był cichy, a półuśmiech grzeczny, kiedy skinął na kryształowe kieliszki z szampanem.

Kiwał głową i chichotał cicho, gdy opowiadaliśmy o naszych przygodach w Budapeszcie: o kąpielach w łaźni Gellerta, masażu karbolowym w wykonaniu galaretowatych

„zawodniczek sumo” - chociaż zgodziliśmy się później, że Freddie, jako stary wyga, musiał to już znać. Chciał wiedzieć, czy coś „kupiliśmy”. Szybko opisaliśmy nasze dziwne zakupy.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze - uśmiechnął się, prowadząc nas przez kolejny pokój w stronę wystawnego bufetu uginającego się pod ciężarem homarów, krewetek, kawioru, kandyzowanych owoców i egzotycznych lodów. Przy lśniącym wielkim fortepianie siedział muzyk we fraku i grał niezobowiązujące melodie.



*Freddie otrzymuje lalkę w węgierskim stroju narodowym, z tyłu uśmiechnięty John Deacon,  
Budapeszt, lipiec 1986 roku*

Rozsuwane szklane okna apartamentu zapewniały dostęp do balkonu szerokości pokoju. W niebieskiej oddali majaczyły sylwetki słynnych atrakcji turystycznych: Baszty Rybackiej, cytadeli na Górze Gellérta, strzelistej, oświetlonej iglicy kościoła św. Macieja. Mary Austin gawędziła cicho z Jimem Beachem, być może dyskutując, jak zasugerował jakiś dowcipniś, o powodach zwiększenia ilości błonnika w diecie. Jim Hutton siedział zgarbiony w kącie, podobnie jak Brian, Roger, John i kilku członków ekipy technicznej.

W niedzielę, obwieszeni przepustkami, pojechaliśmy przez betonowe przedmieścia na Népstadion. Węgierscy tancerze ludowi w czerwonych, białych i czarnych kostiumach kręcili chusteczkami w takt muzyki, by przygotować nas na wydarzenie dnia. To było jak fala napływowa. Przepych, niezwykła atmosfera, kłęby dymu i oślepiające światła, ogłuszające, wszechogarniające doświadczenie Queen.

Co nam zapadło w pamięć? Brian, bardziej napalony niż nowicjusz na przesłuchaniu, jego niespokojne palce szarpiące sześciopensówką struny czerwonej gitary. I jego interpretacja, w duecie z Freddiem, popularnej węgierskiej piosenki *Tavaszi szél vizet áraszt - Wiosenny wiatr wzburza wodę*. Tłum ryczał z należytych uznaniem, że muzycy zadali sobie ten trud i nauczyli się ich ludowej ballady. Nikt nie zwracał uwagi, że Freddie co parę sekund zerka na słowa, które zapisał sobie fonetycznie po wewnętrznej stronie dłoni. Publiczność śpiewająca z pamięci *Radio Ga Ga* i widok, jak klaszcze w idealnej synchronizacji balsam dla oczu. Wielki półfinał: Freddie, rozebrany do pasa, ociekający potem w przepastnej brytyjskiej fladze i jego ekstrawagancki zwrot w tył kilka chwil później, którym

odsłonił szerokie, poziome czerwone, białe oraz zielone pasy węgierskiej flagi narodowej.

To nie wszystko. W dramatycznym finale Freddie wkroczył na scenę w królewskiej pelerynie projektu Diany Moseley, obszytej gronostajami z aksamitnym trenem oraz koronacyjnej koronie. Niedościgniona interpretacja *God Save the Queen* w wykonaniu Briana wstrząsnęła stadionem, wzbudzając gromkie brawa. Ten kawałek, nagrany po raz pierwszy na ich czwarty album *A Night at the Opera* w 1974 roku i od tamtej pory wieńczący niemal każdy koncert Queen, nie był dla nikogo niespodzianką. Lecz w tym zakątku obcego świata zabrzmiał bardziej majestatycznie niż kiedykolwiek wcześniej.

- To był najtrudniejszy i najbardziej radosny koncert w naszej karierze - wyznał nam Brian za kulisami po występie.

Nam, pismakom? Już to wszystko widzieliśmy. Bóg mi świadkiem, byliśmy zbyt zblazowani. Nawet nie zapłaciliśmy za bilety. Następnego ranka, gdy szampan wywietrzył nam z głów, wiedzieliśmy, że byliśmy świadkami kolejnego powalającego koncertu w wykonaniu Queen. Od lat nie docenialiśmy ich geniuszu. Niby czemu teraz miałyby się to zmienić? Zdumienie, atmosfera, magia świątecznego poranka - wszystko to promieniowało od węgierskiej publiczności. Dla fanów, spośród których część oddała czterotygodniowe zarobki za ten zaszczyt, było to najbardziej fenomenalne widowisko życia.

Największy wokalista rocka ponownie triumfował. Było to jednak, choć nie mieliśmy o tym pojęcia, puste zwycięstwo. Kryjąca się w tytule trasy ironia zaczynała dochodzić do głosu. Dla Freddiego był to początek końca. Magia tamtego wieczoru zachwyciła wszystkich z wyjątkiem jego samego.



## Rozdział 22

# Garden Lodge

*Za każdym razem, gdy oglądałem hollywoodzkie filmy, których akcja toczy się w okazałych, urządzonych z przepychem domach, chciałem mieć taki sam. I teraz wreszcie go mam. Ważniejsze dla mnie było jednak kupić to cholerstwo, niż w nim naprawdę zamieszkać. Taki właśnie jestem – kiedy już coś dostanę, przestaję się tym interesować. Nadal kocham ten dom, ale najbardziej się cieszę, że go zdobyłem. Czasami, kiedy jestem sam w środku nocy, wyobrażam sobie, że gdy będę miał pięćdziesiąt lat, zakradnę się do Garden Lodge jak uciekinier i zacznę zmieniać go w prawdziwy dom. Kiedy się zestarzeję i posiwieję, kiedy już będzie po wszystkim, a ja nie będę już mógł nosić tych samych kostiumów i skakać po scenie – jeszcze nie teraz – wtedy będę miał gdzie się podziać. W moim wspaniałym domu.*

Freddie Mercury

Wskutek notowań na listach przebojów oraz deszczu nagród dla wznowionych albumów i teledysków machina Queen stała się *perpetuum mobile*. Zespół do końca swych dni miał zagwarantowane dochody, których nie zdołałby wydać. Freddie nigdy nie potrzebował więcej pieniędzy, niż już posiadał. Mógł kupić wszystko, czego tylko pragnął, pojechać wszędzie, gdzie sobie zamarzył. Zamiast tego wycofał się do swego prywatnego świata i stosunkowo skromnych domowych wygód. Miał własnego kucharza, kamerdynera, kierowcę, sprzątaczkę i garstkę zaufanych

przyjaciół. Mary Austin była odpowiedzialna za dom, konta, gotówkę, w tym pensje służby, i codziennie odwiedzała Freddiego. Jim Hutton też przy nim był. Dla każdego, kto pytał – w tym rodziców Freddiego, Bomiego i Jer, jeśli wpadli na niedzielny obiad – Jim był zwykłym ogrodnikiem. Udawali, że jedna z sypialni to jego pokój. Czy Jim czuł się urażony tą grą pozorów?

- Ani trochę – twierdził uparcie. – To bardzo uroczy ludzie. Rozumiałem, skąd ta dyskrecja. Byli bardzo religijni. Zaratusztrianizm nie dopuszcza homoseksualizmu. Freddie nie ujawnił się przed swoją rodziną.

Czy za jego życia rodzice zdawali sobie sprawę, że Freddie jest gejem?

- Nie – powiedziała jego matka, Jer, w wywiadzie dla „The Times” w 2006 roku, piętnaście lat po śmierci syna.

- To zbyt drażliwy temat – dodał jej zięć, Roger Cooke, potwierdzając, że Freddie nigdy nie wyznał rodzinie prawdy.

Czy dlatego, że bał się ujawnić przed światem?

- Wtedy tak – powiedziała Jer. – Społeczeństwo było wtedy inne. Dzisiaj jest bardzo otwarte, prawda?

Sugerowała, że jej zdaniem Freddie, gdyby żył, poczułby w swoim czasie, że może się otworzyć.

- Nie chciał nas smucić – dodała. – Kiedy przyjeżdżał do domu, był po prostu Freddie.

Jer zdradziła, że jej ulubioną piosenką spośród wszystkich albumów syna było *Somebody to Love*, którą Freddie również kochał najbardziej.

Peter Freestone zapamiętał pewne święto, jakie Freddie urządził dla rodziców z okazji rocznicy ich ślubu, tuż przed tym, jak oficjalnie zamieszkał w nowym domu. Nikt ze świty z Garden Lodge nie został zaproszony.

- Tylko jego rodzina i Mary, rzecz jasna. Wyglądała świetnie w jasnoczerwonej kreacji od Bruce’a Oldfielda, którą pomogłem jej wybrać, a Freddie za nią zapłacił.

Jim Hutton wielokrotnie spotykał rodziców Freddiego i dobrze się z nimi dogadywał.

- Rzadko zaglądali do Garden Lodge - zwykle na niedzielny obiad albo na przyjęcie urodzinowe jednego z dzieci Kash - powiedział Jim. - Ale Freddie odwiedzał ich co tydzień, kiedy tylko był w Londynie. W każde czwartkowe popołudnie zawoziłem go do ich małego szeregowca w Feltham, tego samego, w którym kiedyś mieszkał, a potem siedzieliśmy razem w kuchni, popijając herbatę. Pani Bulsara robiła herbatę po swojemu, z niczym się nie spieszyła. Była bardzo niezależna - wszędzie jeździła swoim małym samochodem, a dom urządziła bardzo przytulnie. Zdziwiło mnie tylko, że nigdzie nie było oprawionych zdjęć Freddiego, choć człowiek by się ich spodziewał. Dziwiłem się również, że nadal mieszkali w tym maleńkim mieszkaniu, chociaż Freddie bez trudu mógł im kupić coś większego. Proponował to, ale powiedzieli, że nie chcą się przeprowadzać. Byli szczęśliwi w domu, który już mieli. To bardzo ujmujące, bo wielu rodziców gwiazd rocka rzuca się na dobra materialne, kiedy tylko ich pociecha odniesie sukces.

Jim nie miał zbyt wiele wspólnego z matką Freddiego, za to z Bomim łączyło go zamiłowanie do natury i ogrodnictwa.

- Był bardzo dumny ze swojego ogrodu - wspominał. - Chodziliśmy po nim razem. Kochał swoje stare krzewy różane i wspaniałe eukaliptusy.

Jeśli chodzi o Jer, Jima wzruszało to, że zawsze robiła dla Freddiego jego ulubione serowe herbatniki, które pakowała mu do pudełka, by zabrał je do domu.

- Po raz pierwszy spotkałem siostrę Freddiego, Kashmirę, kiedy razem z rodziną zatrzymała się w Mews. Na pierwszy rzut oka było widać, że ona i Freddie są rodzeństwem - mieli te same wielkie ciemnobrązowe oczy. Jej córka Natalie zrobiła na mnie wrażenie słodkiego,

nieokielżnanego dzieciaka. Kashmira miała też małego synka, Sama.

Jim zapewniał, że rodzina zawsze była dla Freddiego bardzo ważna.

- Za każdym razem, kiedy wyjeżdżał, nieważne dokąd, zawsze wysyłał pocztówki do rodziców i siostry.

Ojciec Freddiego, Bomi, zmarł w 2003 roku. Jego matka mieszka obecnie w Nottingham, gdzie się przeprowadziła, by być bliżej córki Kashmiry, zięcia i wnuków. Jej dom ochrzczono mianem „Fredmira” - połączeniem imion dwojga ukochanych dzieci.

\* \*  
\*

- Nie mogę dłużej tak szaleć, jak kiedyś - oświadczył Freddie po, jak się miało okazać, ostatnim koncercie Queen w sierpniu 1986 roku. - To zbyt wiele. Dorosły człowiek nie może się tak zachowywać. Skończyłem z całonocnymi dzikimi imprezami. Nie żebym był chory, ale z uwagi na wiek. Nie mam już osiemnastu lat. Wolę spędzać czas w domu. To element dorastania.

Wciąż oddawał się rozrywkom, lecz głównie pod własnym dachem. Obchody jego czterdziestych urodzin 7 września 1986 roku były skromne jak na jego możliwości: przyjęcie *Szalony kapelus* zorganizowano w ogrodzie dla dwustu gości.

Projektantka Diana Moseley przygotowała dla Freddiego cały zestaw ekscentrycznych nakryć głowy do wyboru. Zdecydował się na białą futrzaną konstrukcję z marsjańskimi czułkami.

- Jak na niego, to było stateczne przyjęcie, ale też naprawdę uroczę - wspomina Tony Hadley, który znalazł się wśród zaproszonych gości razem z Timem Rice'em, Elaine Paige, Davem Clarkiem, komikiem Melem Smithem,

aktorką z serialu *EastEnders* Anitą Dobson, Brianem, Rogerem i Johnem.

- Freddie uparł się, że zabierze mnie na piętro i pokaże mi dywan, który kupił do sypialni - opowiada Tony. - Nie miał żadnych szwów, krosna musiały być olbrzymie. Miał za to wielką gwiazdę, jak gwiazda Dawida. Freddie był tak dumny z tego dywanu, że aż trudno w to uwierzyć.

- Freddie był bardzo porządny i bardzo „brytyjski” w sprawach dotyczących domu - zdradził Jim. - Pamiętam, jak któregoś razu jego rodzice mieli wpaść na niedzielny obiad i Freddie znalazł się niemal na skraju załamania nerwowego. Istna kwoka. Cały dzień miotał się po kuchni i trząsł nad jedzeniem. Zajmował się wszystkim. Musiał osobiście zastawić stół, to było dla niego ważne. Noże i widelce zostały idealnie rozłożone, podkładki pod nakrycia też musiały leżeć w równym szeregu. Absolutny perfekcjonista.



*Freddie z Mary Austin podczas kapeluszonego przyjęcia z okazji czterdziestych urodzin wokalisty w Garden Lodge*

Chociaż świta przebywała tam w gruncie rzeczy po to, by służyć swojemu panu, w Garden Lodge nie istniała polityka ani hierarchia. Wszyscy, którzy tam mieszkali, byli traktowani tak samo i musieli przestrzegać tylko jednej zasady.

- Nikogo nie sprowadzać - powiedział Jim. - Żadnych kumpli, żadnych partnerów na noc. Posiadłość należała do Freddiego. Bezpieczeństwo przede wszystkim. Poza tym byliśmy dla siebie rodziną, nie tylko służbą Freddiego.

Zwykle panowała między nami równowaga. Joe, kucharz, darł się wniebogłosy i uchodziło mu to na sucho. Potrafił być uroczy, ale miewał swoje napady złości. Freddie dość często się wkurzał, ale nie był apodyktyczny, nie traktował nas z góry. Nigdy nie wykorzystywał swojej pozycji ani nie wydawał nam rozkazów. Podchodził do tego na znacznie większym luzie. Często jedliśmy wszyscy razem, *en famille*, lecz zwykle tylko we dwóch, Freddie i ja. Nie sądzę, żeby pozostali czuli się przez to urażeni. Każdy miał swój pokój, także Barbara. Właściwie jej pokój był kiedyś moją sypialnią. Potem, kiedy Freddie i ja przestaliśmy ze sobą sypiać, przenieśliśmy się tam z powrotem. Nikogo nigdy nie faworyzowano. Gdy przyjaciele wpadali do Freddiego na drinka, w imprezie brali udział wszyscy domownicy. Garden Lodge było dla nas domem.

Pomimo radości, igraszek, szaleństw, które dzielili Freddie i Jim - wakacje w Japonii za milion funtów, szaleństwo Live Aid, spokój Szwajcarii - oraz czułego związku, który do samego końca dodawał Freddiemu siłę, Jim twierdzi, że najwięcej satysfakcji czerpał z kreatywności swojego kochanka.

- Nigdy się nie zatrzymywał - stwierdził. - Ciągłe coś robił, ciągle planował. Jego umysł bezustannie pracował w nadgodzinach. Najpierw trzeba było wykończyć Garden Lodge. Potem kupił dawne stajnie królewskie tuż za Garden Lodge, w Logan Mews. Potem wyruszył do Szwajcarii, żeby kupić dom. Właściwie nie odpoczywał, nigdy nic nie było skończone. Przez cały czas musiał coś r o b i ć.

Freddie nie miał w zwyczaju rozmawiać z Jimem o muzyce.

- Ale kiedy przychodziło do słów, rozmawiał z każdym innym, kto się nawinął. Mówił: „Mam pewien pomysł” albo „Mam takie słowa”, albo „Pomóż mi z tym wersem”. Zawsze coś gryzmolił, na czym popadło. Nie śpiewał w domu - tylko czasem podczas kąpieli. Ale nie piosenki Queen. Mam film [który dostał się do Internetu po śmierci Jima], na którym

Freddie siedzi w jacuzzi i śpiewa tak wysoko, jak tylko potrafi.

Freddie obiecał swojemu ukochanemu wakacje życia w Japonii pod koniec września 1986 roku, a Freddie dotrzymywał słowa. Rozkoszował się faktem, że po raz pierwszy może cieszyć się uwielbianym krajem jako turysta. Freddie i Jim podziwiali widoki, jedli wystawne obiady, robili ogromne zakupy - kupili nawet olbrzymi stojak na kimona, o którym Freddie zawsze marzył. Dla obu było to niezapomniane przeżycie. Powróciwszy do Londynu, zajęli się domowymi sprawami, dzieląc codzienność wspólnie z kotami, karpiami koi i najbliższymi przyjaciółmi.

Przytulny świat wyleciał w powietrze w niedzielę 13 października 1986 roku za sprawą „News of the World”. Niebo nad Garden Lodge zasnuły chmury, by już nigdy nie odpłynąć.

Sensacyjne doniesienia przyprawiły o mdłości: Freddie, jak twierdziła gazeta, przed rokiem zrobił sobie w tajemnicy test na AIDS, w tym samym roku, kiedy zespół podbił serca publiczności na Live Aid. Ujawniono również, że zmarli jego dwaj byli kochankowie: steward John Murphy, jeden z ukochanych „nowojorskich córeczek”, oraz młody Tony Bastin, uśmiechnięty jasnowłosey kurier, którego Freddie poderwał przed laty w Brighton. Jim Hutton został rozpoznany jako konkubent Freddiego. Ze szczegółami opisano dzikie kokainowe noce z Davidem Bowie i Rodem Stewartem, podobnie jak powód, dla którego rozeszły się drogi Michaela Jacksona i Freddiego. Informator gazety twierdził, że Michaela martwiło ogromne spożycie kokainy przez Freddiego i że przyłapał go, gdy Freddie wciągał narkotyk w jego salonie. Załączono nawet rozkładówkę z prywatnymi zdjęciami, przedstawiającymi między innymi Winnie Kirchbergera i innych kochanków, z nagłówkiem „Wszyscy mężczyźni Królowej”.

Obrzydliwy tekst zniszczył również opinię o przyjaźni Freddiego z Kennym Everettem, zdradzając, że rozstali się



ostatecznie po awanturze o kokainę.

- Everett sądził, że Freddie wykorzystuje jego hojność, podczas gdy w rzeczywistości było raczej na odwrót - nie żeby Freddie dawał mu się z tego powodu we znaki - wyjaśnił Jim. - Nigdy się nie pogodzili, a Kenny nie przyszedł więcej do Garden Lodge, odkąd ja tam zamieszkałem. Kiedy natykaliśmy się na niego w klubach gejowskich, nie odzywali się do siebie. Wszystkie te prasowe historie, jak to Kenny trwał przy łóżku Freddiego, były zmyślane.

Freddiemu odebrało mowę, kiedy odkrył, że wybuchowy „ekskluzywny materiał” jest dziełem Paula Prentera, zaufanego osobistego asystenta z przeszłości i ponoć bliskiego przyjaciela. Przez wszystkie te lata Prenter wspierał Freddiego podczas tras koncertowych. Sprzedał resztki godności i prywatności pracodawcy za jedyne 32 tysiące funtów.

- Freddie nie mógł znieść jego zdrady - stwierdził Jim. - Nie rozumiał, jak ktoś, z kim był tak blisko, mógł postąpić tak małodusznie. Dzień za dniem wychodziło coś nowego, również w „The Sun”, siostrzanej gazecie „News of the World”: Freddie i narkotyki, Freddie i faceci. Było coraz gorzej. Z każdym nowym doniesieniem Freddie był coraz bardziej wściekły. Nigdy więcej nie odezwał się do Prentera.

Prenter został wykluczony również przez Eltona Johna, Johna Reida i inne osoby z ich kręgu, które zwały szyki, by chronić Freddiego.

Dlaczego Prenter tak postąpił?

Niektórzy obserwatorzy uważają, że miał żal o związek Freddiego z Jimem. Że wiążąc się z nim na stałe, Freddie w gruncie rzeczy pozbywał się Prentera. Zdawszy sobie sprawę, że jego władza nad Freddiem upadła, zaczął szukać zemsty. Co prawda, dzwonił do Freddiego i próbował się wytłumaczyć, lecz Freddie nie chciał z nim rozmawiać.

- Paul usiłował się usprawiedliwić. Twierdził, że prasa prześladowała go i dręczyła tak długo, że w końcu pękł - powiedział Jim. - Ponoć powiedział to wszystko przypadkiem, został błędnie zacytowany. Jasne. O pewnych sprawach, które ujawniły gazety, wiedział tylko Paul.

- To zniszczyło we Freddiem zdolność ufania innym, z wyjątkiem nielicznych osób - ubolewał Jim. - Po tym wszystkim nie zawierał już żadnych nowych przyjaźni.

- Freddie zatrudnił Paula po tym, jak zespół się go pozbył - powiedział Peter Freestone. - Chociaż miał świadomość, że Paul go wykorzystuje, finansowo i tak dalej. Tym trudniej było mu to znieść.

- Prenter wykorzystywał wyrozumiałość Freddiego - powiedział mi Spike Edney. - Ludzie bez przerwy powtarzali: „Jakim cudem gość się z tego wywinął?”. Mimo to Freddie podtrzymywał tę przyjaźń. Przez te lata oszukało go więcej osób niż kogokolwiek innego, kogo znałem... Jeśli wziąć pod uwagę, że był dość wnikliwym sędzią cudzych charakterów, to zdumiewające, jak wiele pijawek się prześlizgnęło. Fred nigdy nie miał prawdziwej prywatności, przenigdy. Ludzie pokroju Prentera już tego dopilnowali.

W Stanach Zjednoczonych obserwowano sensacyjny wzrost liczby fałszowanych aktów zgonu. Wiele prominentnych osobistości, które rozstawały się z tym światem wskutek spowodowanych AIDS chorób, przekonywało swoich lekarzy, by chronili ich wizerunek i zapisywali nieprawdziwe informacje. Nawet gdy Liberace, potentat estrady, leżał na łożu śmierci, jego rzecznik nadal się upierał, że gwiazda „rozchorowała się wskutek stosowania diety arbuzowej”. Rock Hudson, obiekt westchnień, ostatni amant o silnie zarysowanej szczęce i ekranowy partner uwielbianej przez Amerykanów Doris Day, był pierwszą wielką gwiazdą filmową, która umierając na AIDS w 1985 roku, nie robiła z tego tajemnicy. Do tego czasu w Wielkiej Brytanii stwierdzono dwieście sześćdziesiąt cztery przypadki. Choroba została ogłoszona

największym zagrożeniem dla zdrowia publicznego od czasu drugiej wojny światowej. Uchwalono nowe prawa, upoważniające urzędników do przymusowej hospitalizacji osób chorych na AIDS, by zapobiec ich dalszym stosunkom seksualnym bez zabezpieczenia. Ataki na homoseksualistów i błędne informacje były na porządku dziennym. Wydawca almanachu *Burke's Peerage*, jak na ironię dawny pracodawca Jeremy'ego Normana, założyciela Embassy Club i Heaven, złożył szokujące oświadczenie, że w celu ochrony „czystości rodzaju ludzkiego” nie będzie zamieszczał w nim nazwisk rodzin, w których jakikolwiek członek zaraził się AIDS.

W przypadku Freddiego zachodziły istotne powody, by usunąć się w cień – zwłaszcza wstyd przyznania się przed rodzicami, że jest gejem. Nie sposób sobie wyobrazić, jakiego bólu i zażenowania przysporzyłyby im to w paryskiej społeczności. Do tego dochodziła, zarówno w przypadku Queen, jak i Jima Beacha, kwestia ich kontraktu z wytwórnią na kolejne albumy. Ostatnie, czego było im trzeba, to sugestie, że Freddie mógłby nie żyć na tyle długo, by wypełnić zobowiązania wobec EMI.

W Boże Narodzenie 1986 roku ukazał się album *Live Magic*, zawierający wykonania na żywo wielu ulubionych przebojów Queen. Zespół planował teraz zrobić sobie rok przerwy, by odpocząć, przeprowadzić inwentaryzację i skupić się na solowych projektach.

Mimo wewnętrznego cierpienia Freddie wydawał się spokojny. W końcu udało mu się uzyskać równowagę między pracą a prywatnością. Choć zdawał sobie sprawę, że gra na zwłokę, robił to z klasą. Wstawał późno; zapraszał paru przyjaciół na brunch albo jadł w miejscowym lokalu; całymi godzinami oddawał się pogaduszkom, odpoczywał, potem wydawał w domu kolację albo zabierał swoją świętą na wieczór w restauracji. Po powrocie aż do białego rana pracował w swoim studiu. Od czasu do czasu udawał się na krótką wycieczkę do biur Queen przy Pembridge Road

w Notting Hill; brał udział w kilku spotkaniach biznesowych; wpadał do Christie's albo Sotheby's, by sprawdzić, jakie antyki lub dzieła sztuki orientalnej mogą trafić do sprzedaży. Był zawsze zajęty, ale rzadko w pośpiechu. Wiódł przyjemne, wesołe życie. Lecz na horyzoncie gromadziły się już czarne chmury.

## Rozdział 23

# Barcelona

*Przy albumie „Barcelona” miałem nieco więcej swobody i nieco przestrzeni, by naprawdę wypróbować kilka szalonych pomysłów. Montserrat ciągle powtarzała, że odkryła zupełnie nowe życie i wolność. To były jej własne słowa, bardzo mnie zauroczyły. Powiedziała mi przez telefon, że jest zachwycona tym, jak nasze głosy brzmią razem... a ja uśmiechałem się jak skończony dureń. Siedziałem w domu, dumny z siebie jak paw, myśląc sobie: „O Boże! Wiele osób chciałoby być teraz na moim miejscu”.*

Freddie Mercury

*Ludzie mówią, że pod pewnymi względami „Barcelona” to raczej banalna popowa piosenka niż opera. Nic z tych rzeczy. W innych okolicznościach, z tą melodią, mogłaby stać się częścią wielkiej opery. I nie zostałaby wyśmiana.*

sir Tim Rice

Po tym jak jego pierwszy solowy album nie wzbudził zachwyty, Freddie chciał za wszelką cenę się sprawdzić.

Wybrał w tym celu Townhouse Studios przy Goldhawk Road w zachodnim Londynie, przede wszystkim dlatego, że łatwo mógł się tam dostać z Garden Lodge. Townhouse, jedno z najsłynniejszych brytyjskich studiów nagraniowych, wówczas zamknięte, zostało zbudowane przez Richarda Bransona w 1978 roku, potem zaś przejęte przez grupę EMI/Virgin. To tu pracowali między innymi Frank Zappa, Bryan Ferry i Tina Turner. Studio drugie można zobaczyć

w dziwnym filmie Boba Dylana *Hearts of Fire*. Elton John nagrał tu swój hołd dla Diany, księżnej Walii, po południu w dniu jej pogrzebu w 1997 roku.

W Townhouse Freddie eksperymentował z klasycznym kawałkiem Bucka Rama *The Great Pretender*. Wielki przebój protegowanych Rama, zespołu Platters, z 1956 roku był wykonywany przez Pata Boone'a, Roya Orbisona, Sama Cooke'a, Dolly Parton i The Band. Zainspirował on nazwę zespołu Chrissie Hynde The Pretenders, w 1969 roku został zaś nagrany jako cover przez Gene'a Pitneya. Bez wątplenia to na jego wersji Freddie oparł swoją, chociaż pierwsze nagrania demo skłaniają się bardziej ku interpretacji Platters.

Freddie był tak zachwycony rezultatem, że nie mógł się doczekać, kiedy nakręci film promocyjny. Teledysk za 100 tysięcy funtów powstał w ciągu trzech dni w MGMM. Wyprodukował go Scott Millaney, a wyreżyserował David Mallet. Freddie zgolił nawet wąsy, by dopasować się do ulizanego wizerunku, który stworzył wspólnie z Malletem.

Ten miły, sentymentalny przegląd historii Queen – zawierający kultowe sceny z takich wcześniejszych teledysków jak *Bohemian Rhapsody*, *Crazy Little Thing Called Love*, *It's a Hard Life* i *I Want to Break Free* – stał się jednym z najpopularniejszych filmów promocyjnych. Choć nie był to ostatni teledysk, jaki nakręcił Freddie, po jego śmierci uznano go powszechnie za „pożegnanie Freddiego”. Ponownie wystąpił w kobiecym przebraniu, razem z Rogerem Taylorem i Peterem Strakerem w roli „chórku” – z tym że Taylora i Strakera widać, lecz nie słychać. Wprawdzie obaj zostali wymienieni na singlu jako chórek, ale w teledysku jedynie poruszali ustami. Freddie sam nagrał wszystkie wokale. W szeregu sekwencji paradował w tych samych kostiumach, które nosił w oryginalnych teledyskach, a które przechowywała Diana Moseley. Wciąż idealnie na nim leżały. Miesiąc później

ukazał się jeszcze bardziej skandaliczny film, ukazujący kulisy powstania teledysku do *The Great Pretender*.

Singiel *The Great Pretender* wyszedł w lutym 1987 roku i dotarł na czwarte miejsce brytyjskiej listy przebojów. Ukazał się na niezliczonej liczbie kompilacji. Razem z *Bohemian Rhapsody* stanowi dziś świadectwo udręczonej duszy, jaką skrywała gwiazda rocka, rzadką okazję, by zerknąć przelotnie do umysłu Freddiego. W ostatnim sfilmowanym wywiadzie wiosną 1987 roku Freddie przyznał, że ta piosenka, bardziej niż jakakolwiek inna, podsumowuje jego karierę. Motyw „łez klauna” zakradł się ponownie do tekstu – „Just laughing and gay like a clown”. Najbardziej zaś wymowne wersy rozdzierają serce: „Oh yes, I’m the Great Pretender/Pretending that I’m doing well/My need is such/I pretend too much/I’m lonely but no one can tell”.

Stwierdził, że piosenka idealnie oddaje, jak naprawdę się czuł, gdy występował na scenie przed tysiącami fanów. Zastanawiam się, czy było warto. Nigdy się tego nie dowiemy. Widać jednak – jeśli wziąć pod uwagę tekściarski geniusz Freddiego – że jego interpretacja *The Great Pretender* to tragiczna ironia losu. Piosenka, którą wybrał jako tę najlepiej go opisującą, to piosenka, której Freddie dla siebie nie napisał.

Podczas trasy koncertowej *Magic* w sierpniu 1986 roku Freddie udzielił stacji radiowej wywiadu, w trakcie którego padło pytanie: „Kto ma najlepszy głos na świecie?”.

- Nie mówię tego tylko dlatego, że jestem w Hiszpanii – odparł – ale jeśli o mnie chodzi, najwspanialszy głos ma Montserrat Caballé.

- Montserrat słyszała o tym, co powiedział Freddie – rzekł Peter Freestone w rozmowie ze mną. – Już wcześniej zwrócono się do niej w związku z olimpiadą w 1992 roku, Barcelona to rodzinne miasto Montserrat.

Nikt co prawda nie pamięta, kto wpadł na ten pomysł, ale plan, by Freddie i Montserrat zaśpiewali w duecie hymn

olimpijski, zaczął nabierać kształtów.

- Jim Beach parę razy dyskutował z Carlosem, bratem i menadżerem Montserrat - powiedział Peter. - Potem przedstawił sprawę Freddiemu, który zgodził się ochoczo - od dawna marzył o współpracy z Montserrat i wreszcie nadarzyła się ku temu okazja. Wizja kolejnego występu przed telewizyjną publicznością z całego świata uwiodła go, zasmakował w tym podczas Live Aid. Zaplanowano spotkanie w Barcelonie w marcu 1987 roku. Montserrat wysłała Freddiemu nagrania części swoich występów. W zamian poprosiła o wszystkie dzieła Queen.

Freddie był niecodziennie podenerwowany, kiedy leciał do Hiszpanii z Peterem, Jimem Beachem i producentem Mikiem Moranem, którego poznał przy okazji musicalu Dave'a Clarka *Time* i z którym od tamtej pory się przyjaźnił. Dotarliśmy we wtorek do hotelu Ritz, czekali na spotkanie w nieskończoność. „Montsy” miała zwyczaj się spóźniać.

- Zjedliśmy obiad w prywatnej ogrodowej jadalni. W kącie specjalnie na tę okazję postawiono fortepian - powiedział Peter. - Freddie miał ze sobą nieobrobioną taśmę z piosenką i kilkoma mniejszymi pomysłami, której musiałem strzec jak własnego życia. To było *Exercises in Free Love*, a także coś, co potem stało się *Ensueño*, i kilka tematów na inne kawałki. Zauważyłem, że Freddie i Montserrat czuli wielki respekt przed sobą nawzajem, ale też podekscytowanie wizją wspólnej pracy. Przypadli sobie do gustu i obiad zakończył się wielkim sukcesem.

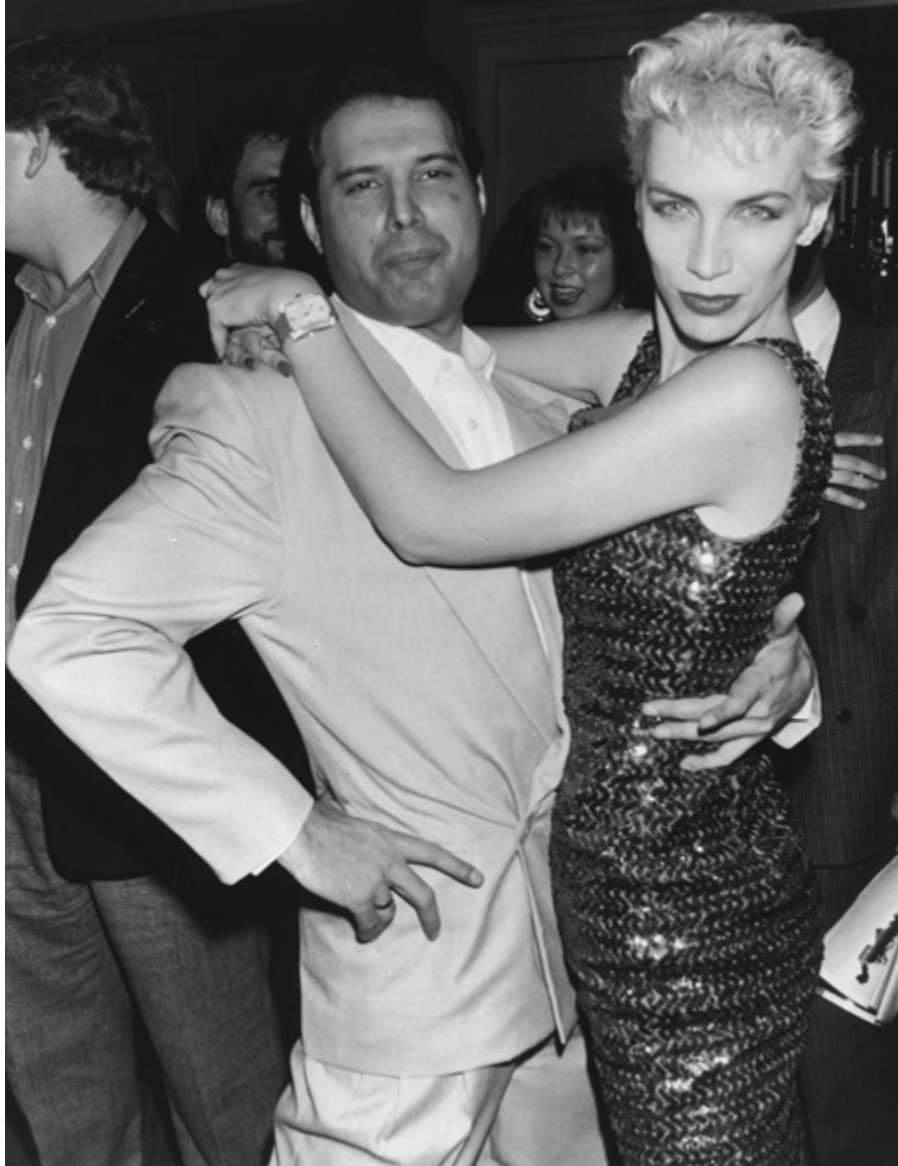
Kilka dni później Montserrat miała występ w londyńskim Royal Opera House, po którym po raz pierwszy odwiedziła Freddiego w jego domu.

- Gwiazdy operowe uwielbiają kłaść się wcześniej z uwagi na g ł o s - powiedział David Wigg. - Ale któregoś wieczoru Montserrat wpadła do Garden Lodge na kolację i siedziała z Freddiem do piątej nad ranem. On i Mike grali na fortepianie, ona śpiewała piosenki Queen, głównie. Nigdy się nie dowiem, skąd je знаła. Freddie miał



najbardziej niesamowitą skalę głosu spośród wszystkich gwiazd rocka, ale jej zwała go z nóg. Montserrat i Freddie trafili na równych sobie.

- Mike Moran też tam był i raz-dwa usiedli przy fortepianie - wspomina Peter. - Niezapomniana noc. Freddie i Montserrat zachowywali się w swoim towarzystwie całkowicie naturalnie. Pili szampana i wygłupiali się - ot, *jam session*, o ile można tak powiedzieć w przypadku śpiewaczki operowej. Podczas oficjalnej pracy w studiu nigdy nie byli tak zrelaksowani jak tamtej nocy w Garden Lodge.



*Freddie z Annie Lennox podczas rozdania Ivor Novello Awards, 21 kwietnia 1987 roku*

W następnym miesiącu Queen odebrali Nagrodę Ivora Novello za wybitny wkład w brytyjską muzykę, po czym Freddie skupił się na swoim, jak się miało okazać, ostatnim solowym albumie.

Producentem *Barcelony* został David Richards z Mountain Studios. Miał pełne ręce roboty: *La Stupenda*<sup>[35]</sup> była rozrywana przez opery i sale koncertowe na całym świecie, a jej kalendarz wypełniony na następne

pięć lat. Nie miała czasu na przesiadywanie ani dłubaninę w studiu, tak jak lubił pracować Freddie. Większa część produkcji odbywała się na odległość i trwała dziewięć miesięcy, podczas których Freddie wysyłał taśmy z niemal skończonymi piosenkami, by Montserrat nagrała swój sopran w miejsce jego partii falsetem. Choć taki tryb pracy pozostawiał wiele do życzenia, rezultat przeszedł najśmielsze oczekiwania i był jednym z największych osiągnięć w życiu Freddiego.

Towarzyszką Tima Rice'a była w tamtym czasie gwiazda *Evity*, *Kotów* i *Chess* - Elaine Paige, która pracowała nad albumem z coverami Queen, zatwierdzonym przez Freddiego. Freddie i Tim poznali się za jej pośrednictwem i zaprzyjaźnili. Tim miał swój wkład w teksty do *The Golden Boy* i *The Fallen Priest* na albumie *Barcelona*. W pierwszej piosence zaśpiewał chór gospel z udziałem takich sław jak Madeline Bell z Blue Mink, Peter Straker (ponownie) i wokalistka sesyjna z RPA Miriam Stockley. Drugi utwór był arcydziełem Morana, który dyrygował orkiestrą, napisał wszystkie aranżacje i zagrał na instrumentach klawiszowych.

- Montserrat i Freddie śpiewali te dwie piosenki w duecie - powiedział mi Tim. - Obie były interesujące. Może nie powalały, ale to kawał dobrej muzyki. Freddie był człowiekiem wysokiej kultury, smaku i muzycznego talentu, i naprawdę przepadał za operą. W ostatnich latach życia była jego największą miłością. Kiedy odwiedzaliśmy go w domu, puszczał nagrania diw i strasznie się nimi ekscytował. Maria Callas, Montserrat Caballé, Joan Sutherland śpiewające te wspaniałe arie. W pewnym stopniu mnie uświadomił, ponieważ nie wiedziałem zbyt wiele na temat opery.

- Moim zdaniem była to jedna z form, w jakich przejawiała się miłość Freddiego do kobiet, której nie umiał tak naprawdę wyrazić ani spełnić. Bo Freddie uwielbiał kobiety. Rozkoszował się ich kobiecością, tym, jak

wyglądały, jak się ubierały, a nawet jak pachniały. Tym, jak różniły się od mężczyzn. Ewidentnie kochał Mary. Swego czasu jadałem kolacje razem z nim i Elaine, jej towarzystwo naprawdę sprawiało mu przyjemność. Nie było takiej opcji, żeby zrezygnował z kobiet. Bardzo chciał, by stanowiły część jego życia. Nigdy nie byłem na żadnej z jego dzikich imprez, ale poszedłem na kilka przyjęć. Było tam jakieś dwadzieścia, trzydzieści osób, z czego co najmniej połowę zawsze stanowiły panie.

Pod koniec maja Freddie opuścił Garden Lodge i poleciał na Ibizę w towarzystwie Jima, Petera, Joe i Terry'ego, swojego kierowcy. Teraz, gdy oficjalnie stwierdzono u niego AIDS, desperacko pragnął ucieczki. Za radą lekarza, doktora Gordona Atkinsona, od tamtej pory podstawową część jego bagażu stanowiła mała apteczka zawierająca preparaty na schorzenia związane z AIDS.

Wakacje spędzili w Pike's, uroczym, pięćsetletnim gospodarstwie przerobionym na wykwintny hotel. Freddie czuł się tam jak w domu. Trochę grał w tenisa, wylegiwał się nad basenem, a wieczorami ośmielał się wyjść do klubu gejowskiego albo do baru.



*Piosenkarka Elaine Paige z Freddie'm w barze przy Royal Opera House, Londyn, 1987 rok*



*Freddie z najnowszą sensacją West Endu, Catherine Zetą-Jones, i aktorką telewizyjną Jill Gascoigne, kwiecień 1987 roku*



*Pike's Hotel, Ibiza, 1987 rok. Z tyłu, od lewej: Peter Straker, ochroniarz, Freddie, szofer i przyjaciel Terry Giddings, „Alex”, Mike Moran, Jim Hutton. Z przodu, od lewej: Tony Pike i Barbara Valentin*



*Kto odbije piłeczkę...? Freddie w Pike's Hotel na hiszpańskiej Ibizie, wrzesień 1987 roku*



*Wspólne zdjęcie na schodach gejowskiego baru na Ibizie. Z przodu, od lewej: Barbara Valentin, Winnie Kirchberger, Freddie. Z tyłu, trzeci od lewej: Peter „Phoebe” Freestone*

- Na podeszwie prawej stopy zrobiła mu się paskudna rana - powiedział Jim. - Coraz bardziej utrudniała mu chodzenie i mocno dokuczała do końca życia.

W trakcie tych wakacji Freddie trafił do słynnego Ku Club pod San Antonio, gdzie był umówiony ze swoją nową serdeczną przyjaciółką. Na festiwalu Ibiza '92, który miał uczcić zbliżającą się olimpiadę w Hiszpanii, wystąpili Marillion, Duran Duran, Chris Rea i Spandau Ballet, a na zakończenie Freddie i Montserrat mieli zaśpiewać *Barcelonę*. Szampan lał się strumieniami w Ku Club, potem zaś jeszcze długo w Pike's. Freddie bawił się aż do wczesnych godzin rannych. Nie spodziewał się już długo pożyć.

W lecie pracował nad swoją rezydencją i przerabiał domki, które kupił w Logan Mews w Kensington. Zaplanował też budowę ciepłarni. Zupełnie jak gdyby, zauważył Jim, chciał zostawić po sobie własny kawałek raj. We wrześniu wrócił do hotelu Pike's na Ibizie, by świętować



czterdzieste pierwsze urodziny, a razem z nim polecieeli Peter, Joe, Terry, Peter Straker i David Wigg. Pozostali członkowie Queen byli już na wyspie, w zacisznym letnim domu Rogera.

Impreza w Pike's miała być zorganizowana na cześć Freddiego i Johna Reida, dawnego menadżera zespołu, lecz Reid wycofał się w ostatniej chwili. Zażenowany Freddie sam musiał zająć się przygotowaniami, w tym podwójnym pokazem sztucznych ogni i zainspirowanym twórczością Gaudiego czekoladowym tortem dla dwóch solenizantów. „Pieprzyć Reida” – to był jedyny komentarz z jego strony. W każdej chwili mógł wylądować wycarterowany samolot z tuzinami jego przyjaciół, a Freddie ani myślał pozwolić, by nieobecność Reida popsuka całą zabawę.



*W domu Rogera Taylora na Ibizie. Od lewej: szofer i przyjaciel Graham Hamilton, Freddie, Barbara Valentin, Jim Hutton, Peter Freestone*

Roger, który pracował nad albumem ze swoim nowym solowym zespołem The Cross, zaprosił Freddiego, by wziął udział w piosence nagrywanej w studiu Maison Rouge w Londynie. Piosenka, *Heaven for Everyone*, koniec końców znalazła się na albumie Queen *Made in Heaven*.

- Oczywiście, wersja Freddiego jest fantastyczna - powiedział Spike Edney, który również pracował przy tym projekcie. - Ale z powodu jego własnego kontraktu solowego nie mógł zaśpiewać na albumie Rogera Taylora. Dlatego Fred nie został wymieniony w notce. W rezultacie na pierwszym albumie Cross, *Shove It*, można usłyszeć jego piosenkę *Heaven for Everyone* z wokalem Freddiego... ale kiedy ukazała się jako singiel, musieli wydać wersję Rogera!

Singiel *Barcelona* wyszedł w Hiszpanii 21 września. W niecałe trzy godziny rozeszło się dziesięć tysięcy egzemplarzy. W październiku ukazał się w Wielkiej Brytanii, gdzie owo pierwsze wspólne dzieło supergwiazdy rocka i operowej sopranistki o międzynarodowej sławie wprawilo krytyków w osłupienie i wzbiło się na ósme miejsce listy przebojów. Zostało później wykonane podczas olimpiady w 1992 roku, rok po śmierci Freddiego, i osiągnęło drugie miejsce na liście przebojów w Wielkiej Brytanii, Holandii i Nowej Zelandii.

W Boże Narodzenie 1987 roku w Garden Lodge pojawili się dwaj nowi domownicy: para kociąt imieniem Goliat i Dalila. Na cześć pięknej szylkretowej kotki, która została później jego ulubienicą, Freddie napisał piosenkę o eponimicznym tytule. Wkrótce potem Dalila zaczęła sypiać w nogach jego łóżka. Kiedy choroba Freddiego dała o sobie znać, jego zwierzęta, które kochał jak własne dzieci, dawały mu pociechę.



*Freddie z Mary Austin i Dave'em Clarkiem na przyjęciu z okazji czterdziestych pierwszych urodzin Freddiego, Ibiza, wrzesień 1987 roku*



*Freddie w domu z jednym ze swoich wielu ukochanych kotów, 1988 rok*

Teraz pracował wyłącznie wtedy, gdy czuł się na siłach. W styczniu 1988 roku Queen spotkali się w Townhouse, by rozpocząć pracę nad kolejnym albumem, *The Miracle*. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że Freddie jest poważnie chory. Objawy było widać gołym okiem. Z początku, póki mogli, dyskretnie ignorowali rozmiary jego choroby. Pewnego dnia Freddie usiadł z Brianem, Rogerem i Johnem i wyjawiał im całą prawdę.

- Najpierw powiedział: „Zapewne zdajecie sobie sprawę, jaki mam problem - jestem chory” - wspominał Brian. -

W tamtym czasie owszem, zdawaliśmy sobie sprawę. Nie rozmawialiśmy o tym. I wtedy powiedział: „Cóż, to tyle. Nie chcę, żeby to coś zmieniło... Nie chcę, by ktoś wiedział, nie chcę o tym rozmawiać, po prostu chcę żyć i pracować, póki będę w stanie”. Nie sędzę, żeby którykolwiek z nas zapomniał tamten dzień. Po prostu rozeszliśmy się i każdy z nas po cichu pochorował się gdzieś w kącie.

- Freddie wiedział, że jego czas jest policzony, i naprawdę chciał pracować, robić dalej swoje - powiedział Roger. - Czuł, że to dla niego najlepszy sposób na podtrzymanie się na duchu, poza tym chciał zostawić po sobie jak najwięcej. Oczywiście zgodziliśmy się i w pełni go wspieraliśmy... ale *The Miracle* to był dla nas wysiłek - długo nad nim pracowaliśmy.

- Myślę, że [praca] była jedyną rzeczą, która dawała mu wiele szczęścia - wyjaśniła Mary Austin po śmierci Freddiego. - Dzięki niej czuł, że żyje... a nie że wszystko staje się nudne, a życie bolesne... Miał kolejny powód, by pracować. Nie zamierzał tak po prostu czekać na śmierć.

- Freddie czuł się bezpieczny wśród członków zespołu - dodał Brian. - Wszystko było po staremu. Pewnie za bardzo się staraliśmy. Ale chcieliśmy, żeby sprawy po prostu biegły normalnym torem. To się sprawdzało.

Ósmego października Freddie przybył do Barcelony, by wystąpić na wielkim festiwalu La Nit przed królem Juanem Carlosem, królową Sofią i księżną Cristiną, podczas którego miasto przyjęło od Seulu ogień olimpijski. Freddie i Montserrat zaśpiewali *Barcelonę* z playbacku, z towarzyszeniem orkiestry i chóru. Był to osobliwy punkt kulminacyjny dziwnego wieczoru z eklektyczną listą artystów - José Carreras, Spandau Ballet, Eddy Grant, Jerry Lee Lewis i Rudolf Nuriejew.



*Chwila największego triumfu Freddiego, z gwiazdą opery Montserrat Caballé z okazji wydania albumu Barcelona, 1988 rok*

Do końca 1988 roku zespół zajmował się w spokoju indywidualnymi sprawami. Zebrali się ponownie w styczniu 1989 roku, by ukończyć album *The Miracle*. Choć podczas nagrań w studiu Queen zwykle dyskutowali głośno i zawzięcie, jak również trzaskali drzwiami, kiedy komuś nie udało się postawić na swoim, tym razem współpraca układała się im harmonijnie. *I Want It All*, trzydziesty drugi brytyjski singiel, ukazał się w maju, po nim zaś szesnasty

z kolei album. W ciągu tygodnia *The Miracle* pokrył się platyną. Freddie i Jim polecili do Montreux, do The Cygnets<sup>[36]</sup>, pięknego, wynajętego przez artystę domu nad jeziorem. Nazwa wzięła się od „łabędzi Freddiego”, które natychmiast po przyjeździe popędził oglądać. Później zmienił ją na The Duck House<sup>[37]</sup>. Roger wymyślił lepszą, Duckingham Palace. Freddie potrafił godzinami spacerować wzdłuż brzegu jeziora. Górskie powietrze pokrzepiało go. W Montreux żył spokojniej niż gdziekolwiek indziej. W Wielkiej Brytanii spekulacje na temat jego stanu zdrowia zdominowały prasowe nagłówki. Zespół w odpowiedzi zaatakował singlem *Scandal*.

Wybrani na najlepszy zespół dziesięciolecia przez czytelników „TV Times” Queen wystąpili w specjalnym programie telewizyjnym *Goodbye to the Eighties*, by odebrać nagrodę z rąk pochodzącej z Liverpoolu, bardzo lubianej piosenkarki pop i osobowości telewizyjnej Cilli Black oraz jej asystenta Jonathana Rossa.

Freddie, wciąż niestrudzenie twórczy i jak nigdy spragniony powiększenia swego dorobku, skupił się na promocji nowego singla Queen, pod tym samym co album tytułem *The Miracle*. Zasugerował, że powinni zatrudnić dziecięce sobowtóry członków zespołu. Dzieci, które wybrali, wypadły zdumiewająco dobrze, a teledysk był hipnotyczny. Na początku 1990 roku, przygnębieni, zebrali się w Mountain Studios, by rozpocząć nagrania do *Innuendo*. Sądziło się, że ten album będzie łabędzim śpiewem Freddiego. Nie do końca mieli rację.

## Rozdział 24

# Na drogę

*Przeżyłem parę wstrząsów i wielkich problemów, ale świetnie się bawiłem i niczego nie żałuję. O rany, mówię jak Edith Piaf!*

Freddie Mercury

*Niektórym ludziom z branży nie jest dane się zestarzeć. Freddie do nich należał. Nigdy nie potrafiłem wyobrazić sobie siedemdziesięcioletniego Freddiego. Ani Michaela Jacksona. Freddiemu w żadnym razie nie spodobałoby się, jak dzisiaj wygląda nagrywanie albumów. Żył pełnią życia. Umarł młodo, ale przeżył zdumiewająco wiele. Więcej, niż większość ludzi zdążyłaby, nawet gdyby żyła pięć razy.*

Rick Wakeman

Nowy rok 1990. Kiedy Queen zebrali się w Mountain Studios, by zacząć pracę nad albumem *Innuendo*, Jim Beach wziął udział w niełatwych negocjacjach z Capitol, by rozwiązać kontrakt zespołu. Za kulisami, choć zespół nie miał o tym pojęcia, czekała nowa amerykańska wytwórnia płytowa. Prawnik, który wynegocjował dla Queen zakończenie umowy z Elektrą, był teraz prezesem należącej do Walt Disney Company wytwórni Hollywood Records i zamierzał podpisać kontrakt z jedną ze swych ulubionych kapel.

- Wiele osób uważało, że to głupie posunięcie, skazane na porażkę - mówi Peter Paterno. - Tymczasem kontrakt z Queen okazał się sukcesem, na jaki nikt nawet nie liczył.



- Pomimo wszystkich tych ówczesnych negatywnych komentarzy umowa nie była ryzykowna. Odzyskalibyśmy pieniądze w ciągu ośmiu lat. Czy wiedziałem, że Freddie ma AIDS? Wiedziałem, że jest chory. Szczegóły trzymał w tajemnicy. Ale, prawdę mówiąc, wiedziałem, że na tym nie stracimy. Przewidywaliśmy, że w razie jego śmierci wyjdziemy na czysto już po trzech latach. Wtedy wyszedł film *Świat według Wayne'a* z tą obłąkańczo genialną sceną kiwania głowami w samochodzie w rytm *Bohemian Rhapsody*. Wyszliśmy na swoje w ciągu trzech t y g o d n i.

- Do tej pory w Stanach Zjednoczonych byli skończeni, ale wielcy dla całej reszty świata. Uznałem, że *Magic* to świetny album, ale w Stanach nic nie osiągnął. Mimo to miałem przecucie. Wysłałem Jimowi Beachowi wiadomość: „Słyszałem, że Queen są do wzięcia”. „Nie tylko oni są do wzięcia”, przyszła odpowiedź, „ich cały dorobek też”. Od tego się zaczęło.

Cała twórczość Queen miała zostać obrobiona cyfrowo i ukazać się ponownie na nośniku CD, który niespodziewanie przegonił winyl pod względem popularności. Było to spore ryzyko ze strony Paterno, jako że od 1982 roku żaden album zespołu nie wszedł do pierwszej dwudziestki amerykańskiej listy przebojów.

Wszystko układało się po myśli prezesa Hollywood Records, dopóki ktoś nie doniósł dyrektorowi naczelnemu Disneya Michaelowi Eisnerowi, że Freddie umiera na AIDS.

- Michael złapał mnie i zażądał wyjaśnień: „O co chodzi?”  
- wspomina Paterno. - Ta informacja bardzo go zdenerwowała. Wyczuwał, że w jakiś sposób zostaniemy nabici w butelkę, że z powodu tej umowy Disney wyjdzie na durnia. Uważał, że powinniśmy dodać do kontraktu zapis na wypadek śmierci Freddiego. Odparłem jednak: „To zabrzmiało makabrycznie, ale jeśli on umrze, to płyty też się sprzedadzą. Słyszałem muzykę z ich nowego albumu i nie jestem zmartwiony”.

- To był b a r d z o kosztowny kontrakt: dziesięć milionów dolarów. Rada nadzorcza Disneya najpierw mi odmówiła, musiałem się wyklócać. Postawiłem na swoim, podpisaliśmy kontrakt i była to jedna z największych chwil mojej chwały.

- Zapytałem Jima Beacha: „Czy za dziesięć milionów dolarów będę mógł chociaż go poznać?”. Poleciałem z Los Angeles do Montreux, żeby spędzić z Freddie Mercuryem jedno niezapomniane popołudnie. Był miły i uprzejmy. Puścił mi w studiu parę kawałków z nowego albumu. Pospacerowaliśmy po mieście, zjedliśmy razem kolację. Cudowne przeżycie, ale widać było, że patrzy śmierci w oczy.

- Nagle Queen znowu byli w i e l c y! - wołał Paterno. -

Przecucie mnie nie zawiodło! Sęk w tym, że nigdy nie przestali nagrywać świetnych albumów. Gdyby zaczęli grać jak znudzeni rockmani, których czas już minął, nie zwracałbym sobie nimi głowy. Ale oni wciąż tworzyli świetną muzykę, a ja zawsze wierzyłem, że mogą odzyskać dawną popularność w Stanach. Miło, że miałem rację, chociaż strata Freddiego Mercury'ego to tragedia.

Zdobywszy wreszcie nieosiągalną dotąd nagrodę BPI (British Phonographic Industry<sup>[38]</sup>) za wybitny wkład w brytyjską muzykę, jak również mając świadomość, że czas Freddiego dobiega końca, Queen pomajstrowali przy kalendarzu, tak by obchodzić w 1990 roku dwudziestą rocznicę istnienia zespołu. Wydali przyjęcie dla czterystu osób w londyńskim Groucho Club. Wybrali ten lokal ze względu na nazwę, w hołdzie wczesnym albumom Queen, których tytuły nawiązywały do filmów braci Marx. Zjawili się: Liza Minnelli, George Michael, Patsy Kensit, Michael Winner i Rod Stewart. Tort miał kształt planszy do Monopoly, z przebojami Queen na poszczególnych polach.



*Roger Taylor, Freddie i Rod Stewart wraz z czterystoma przyjaciółmi świętują w londyńskim Groucho Club dwudziestą rocznicę powstania Queen, 1990 rok. Tort był w kształcie planszy do Monopoly, z przebojami Queen na poszczególnych polach*

Podczas gdy żądni krwi redaktorzy toczyli pianę z ust nad sprzedanymi za półdarmo zdjęciami wychudzonego Freddiego, kiedy wchodził na przyjęcie i wychodził, pozostali członkowie zespołu, kierownictwo, rzecznicy prasowi, przyjaciele i osobista świta zaprzeczyli pogłoskom o jego rychłej śmierci.

- Tego chciał Freddie - wyjaśnił Peter Freestone. - Ci z nas, którzy byli z nim najbliżej, okłamywali nawet własne rodziny. Robiliśmy to dla Freddiego. Nigdy nie chciał robić żadnego zamieszania ani szokować swoich rodziców. Poza tym uważał, że jego choroba to wyłącznie jego sprawa.

- Na tym przyjęciu było mnóstwo gości, ale, co ciekawe, mało kto rozmawiał z zespołem - wspominał Phil Swern. - Zupełnie jakby bali się do nich podejść. Stałem z Freddiem przy barze, gawędziliśmy przez jakieś dwadzieścia minut. Nie mieściło mi się w głowie, że rozmawiam z ikoną,

jakbyśmy byli starymi kumplami. Był bardzo blady i cichy. Nagle zdałem sobie sprawę, że cały się trzęsę ze zdenerwowania. Dlaczego? Ta aura. Roztaczał ją. Kto jeszcze? Frank Sinatra: raz zostałem zaproszony za kulisy w Royal Albert Hall, żeby go poznać. Od razu wiedziałem, kiedy wszedł do pokoju, jeszcze zanim go zobaczyłem, chociaż byłem zwrócony plecami do drzwi. To się czuło jak falę uderzeniową. Niewielu ludzi tak potrafiło. Ani Paul McCartney. Ani Mick Jagger. Byli zbyt dostępni. Barbara Streisand potrafi: jest eteryczna, nie z tego świata. Nawet gwiazdy filmowe tak nie potrafią. Ta fala sprawia, że zlewasz się zimnym potem.

- Bez względu na to, jaka sprawia to cecha, wierzę, że człowiek się z nią rodzi i nigdy jej nie traci. Nie można tego wypracować. Nie można kupić. To magia. Nie można się przez to przebić - dlatego związek zwykłego śmiertelnika z kimś takim nie będzie udany. Głównie dlatego ich życie miłosne to pasmo ciągłych porażek. Zdobywasz uwielbienie tłumu, ale nie potrafisz zdobyć ani utrzymać miłości zaledwie jednego człowieka.

- Freddie i ja ucieliśmy sobie pogawędkę na temat długiej kariery Queen - powiedział Phil. - Rozmawialiśmy nawet o strukturze jego piosenek. Bez wątpienia to go definiowało. Swego czasu napisałem parę utworów, które dostały się na listę przebojów. Tekściarze zawsze są ciekawi, jak pracują ich koledzy po fachu. Dlatego musiałem zadać nieuniknione pytanie: skąd czerpie inspirację?

- Wersy po prostu przychodzą mi do głowy - uśmiechnął się.

- Bardzo trudno się z nim rozmawiało - dodał Phil - bo wiedziałem, że umiera. Nikt wtedy tego nie ogłosił, ale ja wiedziałem. Jim Beach mi powiedział. I pamiętam, jak myślałem, że jeśli masz taką aurę, to pod koniec ona cię miażdży. Dusi. To wielki krzyż do dźwigania, zapewne cena,

jaką trzeba płacić za geniusz. W granicach tej aury jesteś tylko człowiekiem, tak jak inni.

- Wielu bardzo utalentowanych ludzi umiera młodo. Może dlatego, że osiągają swój twórczy szczyt i w pewien sposób „popęłniają samobójstwo”. Nie potrafią dłużej radzić sobie ze sławą. Chociaż niektórzy sami odbierają sobie życie, jak Marilyn Monroe, kiedy przedawkowała, większość nie posuwa się do takich czynów. Zamiast tego w jakiś sposób sabotują swoje życie. James Dean jeździł sportowymi samochodami tak szybko, że pewnego dnia musiał się rozbić i zginąć. Elvis miał zaledwie czterdzieści dwa lata, kiedy umarł, ale był wypruty, nic mu nie zostało i doskonale o tym wiedział. Może życzenie śmierci Freddiego przejawiało się w nadużywaniu seksu, co w tamtych czasach często prowadziło do AIDS. W ten sposób zrzekł się odpowiedzialności za życie, które go przerosło.

Gdy ich ostatnie przyjęcie dobiegło końca, zespół powrócił do Mountain Studios.

- *Innuendo* nagraliśmy cudem, bo Freddie naprawdę nie czuł się najlepiej - zdradził Roger po jego śmierci.

Przez ostatni rok swojego życia, prześladowany przez prasę, wracał do Montreux tak często, jak tylko pozwalało mu na to zdrowie; w ten sposób to spokojne miejsce stało się jego azylem.



*Z Mary Austin z jednej i Barbarą Valentin z drugiej strony Freddie świętuje czterdzieste czwarte urodziny. Zza ich pleców spoglądają Joe Fanelli i Dave Clark. Tort stanowi replikę indyjskiego Tadź Mahal, jednej z ulubionych budowli Freddiego. Podobała mu się wizja „królowej pochowanej w Tadź Mahal”. W piosence „The Miracle” są słowa: „All God’s creations, great and small/the Golden Gate and the Taj Mahal, that’s the miracle”*



*To samo przyjęcie urodzinowe Freddiego, Garden Lodge, wrzesień 1990 roku. Od lewej: Piers Cameron (ówczesny partner Mary Austin i ojciec ich synów), Mary, Peter Freestone, Freddie, Joe Fanelli, Barbara Valentin, Dave Clark*

Przypadek sprawił, że w pracach nad animacją do filmu promującego *Innuendo* brał udział dawny przyjaciel Freddiego z college'u, Jerry Hibbert.

- Słyszałem wszystkie te plotki, że z Freddiem nie jest dobrze, i oczywiście bardzo się tym martwiłem. Dlatego zapytałem Jima Beacha podczas zebrania: „Czy robimy te animacje, bo Freddie jest chory i nie może wystąpić w teledysku?”. „Freddie n i e jest chory”, odparł Jim. „Gdzieś ty usłyszał te bzdury?”.

Czterdzieste czwarte urodziny Freddiego obchodzono podczas powściągliwego, według standardów samego jubilata, przyjęcia dla dwudziestu gości w Garden Lodge. Mary przyszła ze swoim partnerem, Piersem Cameronem. Jim Beach z żoną Claudią. Zjawili się Mike Moran ze swoją żoną, a także Dave Clark, Barbara Valentin, Peter Straker, lekarz Freddiego - doktor Gordon Atkinson, oraz domownicy Garden Lodge. Po raz ostatni uroczystie świętowali jego urodziny, wiedział o tym. Nie pozwalał jednak, by ta świadomość wzięła nad nim górę. Szczodry do samego końca, wręczył każdemu z gości drobiazg od Tiffany'ego, który będzie o nim przypominał, sam zaś zachwycał się wspaniałym tortem urodzinowym. Była to replika Tadź Mahal, jego ulubionego zabytku.

Tytułowa piosenka z albumu *Innuendo* ukazała się jako singiel w styczniu 1991 roku. Po raz pierwszy od dziesięciu lat zespół wspinał się na sam szczyt listy przebojów. Lutowy album, czternasty w ich dorobku i ostatni, który ujrzał światło dzienne za życia Freddiego, zajął pierwsze miejsce w Wielkiej Brytanii, Szwajcarii, Włoszech, Niemczech i Holandii, i jako pierwszy album Queen od czasu *The Works* zdobył złotą płytę w Stanach Zjednoczonych. W teledysku do singla *I'm Going Slightly Mad* niesamowicie

wymizerowany Freddie w ciężkim makijażu małpował szalonego lorda Byrona. *Headlong*, ich trzydziesty dziewiąty singiel, ukazał się w maju. Nie tracąc czasu, na przekór zegarom, Queen wrócili do Mountain Studios i wzięli się za *Made in Heaven*. Album ukazał się dopiero cztery lata po śmierci Freddiego. Choć opadał z sił, Freddie dawał z siebie więcej niż kiedykolwiek, torując sobie drogę przez długie i mozolne sesje studyjne za pomocą wódki.

- Sądzę, że jakaś część niego mogła podejrzewać, że stanie się cud - powiedział Brian. - Chyba wszyscy tak myśleliśmy.

- To były bardzo smutne dni, ale Freddie nie wydawał się przygnębiony - rzekł Peter Freestone. - Pogodził się z faktem, że umrze. Zaakceptował to... Zresztą, potrafiłabyś wyobrazić sobie s t a r e g o Freddiego Mercury'ego?

Wróciwszy do Garden Lodge, Freddie poczuł potrzebę chwycenia za pędzel i powrotu do malowania. Odkąd skończył Ealing Art College, rzadko poświęcał czas temu talentowi.

- Jim pojechał do miasta i kupił mu akwarele oraz zestaw pędzli - wspominał Peter Freestone. - Freddie potrafił siedzieć całymi godzinami, usiłując namalować portret Dalili, jego ukochanej kotki. To przerastało jego siły. Zdołał jednak namalować kilka abstrakcji. To przez Matisse'a. Któregoś dnia przeglądaliśmy katalog domu aukcyjnego i był tam jeden Matisse za 10 tysięcy funtów. „D z i e s i ę ć k a w a ł k ó w?“, krzyknął Freddie. „S a m bym to namalował!“.

- Pomachał pędzlem raz i drugi, po czym powiedział do mnie i Joe: „Proszę bardzo, po jednym dla każdego! Zobaczmy, ile będą warte!“. Podejrzewam, że teraz mogą tyle kosztować.

Życie wrzuciło wyższy bieg. Toczyło się zbyt szybko. W sierpniu przyszły wieści, że Paul Prenter zmarł na AIDS. W tym samym miesiącu Freddie wyznał swojej siostrze Kashmirze i jej mężowi Rogerowi prawdę.



- Siedzieliśmy w jego sypialni i piliśmy kawę, kiedy nagle powiedział: „Musisz zrozumieć, moja droga Kash, że moja choroba jest nieuleczalna” - wspominał Roger Cooke. - „Umrę”, dodał. Widzieliśmy ślady na jego kostkach i wiedzieliśmy, że jest chory. Potem już więcej o tym nie rozmawialiśmy.



*Freddie, Barbara Valentin i Peter Straker świętują razem ostatnie wspólne Boże Narodzenie w Garden Lodge*

- Żyliśmy tak normalnie, jak tylko się dało - rzekł Jim. - Na trzy tygodnie przed jego śmiercią byliśmy w Szwajcarii. Czuł się na tyle dobrze, żeby tam być, choć wyraźnie nie

cieszył się najlepszym zdrowiem. Był w studiu nagraniowym, na litość boską. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, ile mu jeszcze zostało. Ale wydaje mi się, że kiedy cierpisz na nieuleczalną chorobę, to nadchodzi taki moment, że masz o tym pewne pojęcie.

- Wyrwaliśmy się w parę osób do Duck House. Była tam Mary i jej synek Richard, a także Terry z rodziną. Któregoś dnia pojechaliśmy obejrzeć uroczy drewniany domek górski nad jeziorem, z ogrodem i własnym pomostem cumowniczym. Był cudowny, ale nie dla Freddiego. Teraz tak naprawdę potrzebował mieszkania. To Jim Beach znalazł luksusowy apartament w budynku zwanym la Tourelle. Miał trzy sypialnie, dla Freddiego, Joego i mnie, wielką bawialnię z ogromnymi oknami, a także balkon z widokiem na jezioro.

Freddie pragnął spędzić Boże Narodzenie w swoim nowym mieszkaniu w Montreux. Wszyscy w Garden Lodge wiedzieli, że do tego nie dojdzie, lecz przez wzgląd na Freddiego zachowywali pozory.

- Być może dzisiaj wydaje się to nieco bezcelowe, że tuż przed śmiercią kupił sobie mieszkanie w Montreux - przyznał Peter Freestone. - Ale Freddie uwielbiał urządzać domy. Mieszkanie w Montreux było dla niego kolejnym powodem, by żyć. Freddie snuł plany, co zrobi w którym pokoju, i kupił w tym celu mnóstwo mebli w domu aukcyjnym Sotheby's.

- Freddie doskonale wiedział, jak to mieszkanie powinno wyglądać, i sam wybrał wszystkie dekoracje i meble - powiedział Jim. - Joe i ja mogliśmy wybrać kolorystykę naszych pokojów - on miał jasnozielony, a ja jasnoniebieski. Zająłem się urządzeniem dla Freddiego miniaturowych ogrodów na balkonach. Chciał mieć tyle zieleni, ile tylko zdołamy tam upchnąć. To smutne, że nigdy tam nie zamieszkał i nie spędził Bożego Narodzenia.

Na czterdzieste piąte urodziny Jim dał Freddiemu swój ostatni prezent, zestaw kieliszków do szampana

z irlandzkiego szkła, kupiony z myślą o mieszkaniu w Montreux. Obaj wiedzieli, że nigdy tam nie wrócą.

- Te urodziny były najspokojniejsze ze wszystkich - wspominał Jim. - Bardzo smutne. Zaczynał godzić się z myślą, że jego życie szybko dobiega końca, i oczywiście nie był z tego powodu szczęśliwy. Nie chciał już widywać większości ludzi. Nie chciał, żeby widzieli, jak wygląda w tym stadium choroby. Jak cierpi. Nie chciał ich martwić i poniekąd pragnął, by zapamiętali tego dawnego Freddiego.

Ostatni tort urodzinowy, zrobiony przez Jane Asher na podstawie zdjęć, które zrobili Jim i Joe Fanelli, stanowił replikę ukochanego budynku Freddiego w Montreux, la Tourelle. Także w dniu jego urodzin w Stanach Zjednoczonych wyszedł singiel *These Are the Days of Our Lives*, wraz z zapadającym w pamięć teledyskiem - ostatnim, w którym wystąpił Freddie. Ten sam singiel ukazał się po jego śmierci w Wielkiej Brytanii razem z *Bohemian Rhapsody*.

Freddie poinformował swoich domowników, że postanowił odstawić leki.

- Przestał brać wszystko z wyjątkiem środków przeciwbólowych - wspominał Peter. - Tak naprawdę nigdy nie mówił o strachu przed śmiercią. Strach nie miał sensu. Freddie nie pozwolił, żeby choroba kierowała jego życiem. Kiedy tylko się na to zanosilo, natychmiast przejmował stery.

- To on zamierzał zdecydować, kiedy umrze - wyjaśnił Peter. - Całymi tygodniami, dwadzieścia cztery godziny na dobę, prasa koczowała na jego progu. Był więźniem we własnym domu. Nie mógł z tym nic zrobić, być może oprócz tego, co zrobił - odpuścić.

Miał dość. Freddie nie tylko tracił wzrok, lecz również wolę życia.

- Myślę, że jedyne, czego pod koniec żałował, to tego, że zostało w nim jeszcze tyle muzyki - powiedział Peter.

*Show Must Go On*, odważny, rozdzierający serce singiel Queen, ukazał się w październiku razem z *Keep Yourself Alive*. Zespół, kierownictwo, rzecznicy i świta, wszyscy zobowiązani do zachowania tajemnicy, wciąż dementowali plotki. Tymczasem EMI wypuściła *Greatest Hits II* i *Greatest Flix II*. Podczas gdy życie Freddiego wisiało na włosku, zespół sprawiał wrażenie jeszcze bardziej płodnego niż dotąd.

- Freddie nie mógł znieść myśli, że jego rodzina będzie cierpieć - powiedział David Wigg - a jego dom zostanie obleżony przez media, jeśli informacja o chorobie przedostanie się do opinii publicznej. Dlatego bliskie mu osoby ciągle wszystkiemu zaprzeczały. Przedstawienie musi trwać.

Peter Freestone i Joe Fanelli doglądali Freddiego przez ostatnie dni.

- Nauczyłem się, jak to robić. Musiałem. Nie było nikogo innego, kto by mógł - wzrusza ramionami Peter. - Freddie zaczął odcinać się od ludzi. Po prostu nie chciał widzieć pewnych osób. Na przykład rodziców. W ciągu ostatnich dwóch czy trzech tygodni przychodzili do domu i chcieli przyjść ponownie w niedzielę przed jego śmiercią. Ale Freddie powiedział: „Nie. Już ich widziałem”. Po części nie chciał, żeby zobaczyli, w jakim jest stanie. Wolał, żeby zapamiętali go takim, jakim był wcześniej. Właśnie dlatego w ciągu tego ostatniego roku odwrócił się od tak wielu osób. Czasami chodziło o jakąś głupią sprzeczkę lub coś podobnego. Ale Freddie znał prawdziwy powód, ja również.

Kilku naprawdę bliskich przyjaciół było wspaniałych dla Freddiego przez te ostatnie dni.

- Dave Clark, Elton, Tony King. Joe i ja zajmowaliśmy się nim i mieliśmy pomoc ze szpitala Westminster, gdzie leczono Freddiego: onkologa, który próbował mu ulżyć z mięsakami Kaposiego, specjalista od skóry.

- Zdumiewające, jak szybko człowiek uczy się radzenia sobie z problemami, których doświadczenia nigdy by się nie

spodziewał. Na przykład Freddie miał na piersi cewnik Hickmana, przez który podawaliśmy mu leki. Przez te ostatnie tygodnie zawsze był z nim jeden z nas – Jim, Joe albo ja – także w nocy. Freddie nawet na chwilę nie zostawał sam.

Gordon Atkinson, lekarz i przyjaciel Freddiego, przez cały tydzień regularnie go odwiedzał. Terry Giddings, kierowca, przychodził każdego dnia, mimo że Freddie nigdzie już nie jeździł.

- Chociaż Mary była w siódmym miesiącu ciąży, starała się wpadać codziennie z wizytą, by kontynuować pracę. Freddie postanowił, że sprawy zawodowe mają toczyć się jak zwykle.

Peter napisał później, że Bomi i Jer odwiedzili Freddiego w tydzień przed jego śmiercią razem z Kash, Rogerem i dwójką ich dzieci. Wypili razem herbatę w jego sypialni.

- Z nadludzkim wysiłkiem zabawiał ich przez dwie czy trzy godziny – pisał Peter w swoich wspomnieniach. – Freddie nadal ich chronił, kazał wierzyć, że nie mają się czym martwić. Przynieśliśmy herbatę, domowe kanapki i ciastka ze sklepu. Żadne z nas nie wiedziało, że to ostatni raz, kiedy rodzina widzi Freddiego żywego.

Wpadł Brian z Anitą, a także Roger ze swoją partnerką, modelką Debbie Leng. Nie zdawali sobie sprawy, że Freddie jest tak bliski śmierci i że już nigdy więcej go nie zobaczą.

- Obie wizyty były dość krótkie – powiedział Peter. – Freddie pożegnał się z nimi, choć nie mieli tej świadomości.

23 listopada, razem z Jimem Beachem przy jego łóżku, podczas długiej narady uzgodnili ostatnie oświadczenie Freddiego, w którym przyznawał przed fanami i światem, że ma AIDS. Rzeczniczka Roxy Meade natychmiast je opublikowała. Dla przyjaciół był to straszliwy szok.

- Po tylu latach trzymania wszystkiego w tajemnicy – wyjaśnił Peter – teraz mieli to nadać na cały świat. Przedyskutowaliśmy sprawę i pogodziliśmy się z powodami,

które za tym stały. Wiele dobrego mogło wyniknąć z przyznania się Freddiego do choroby, kiedy jeszcze żył.

Dwadzieścia cztery godziny później Peter Freestone zadzwonił do Jer i Bomiego Bulsarów z wieściami, których tak bardzo bali się usłyszeć. Ich ukochany syn, Wielki Udawacz, zmarł.

## Rozdział 25

# Legenda

*Przez tyle lat pilnowaliśmy, żeby Freddie dobrze wyglądał, zanim wyjdzie z domu... Ostatnie, co mogłem dla niego zrobić, przygotowując go do ostatniej drogi, to zrobić wszystko najlepiej, jak tylko potrafię.*

Peter Freestone

*Każde kolejne pokolenie odkrywa Queen i na swój sposób nadaje im znaczenie. Brian i Roger rozumieją swoje dziedzictwo i naprawdę mądrze z nim postępują. Dzisiaj Queen to olbrzymie przedsięwzięcie biznesowe. Są więksi niż za życia Freddiego. Śmieją się w drodze do banku, dobra robota. Wielu ludzi uważa, że się sprzedali, sprzeniewierzyli swojej sztuce - ale dlaczego mieliby się tym przejmować? Śpią na pieniądzach. Jak mówi Roger Taylor, „pieprzyć ich, skoro nic nie łapią!”.*

Richard Hughes, producent, Transparent Television

Zaratusztarianie przyjmują optymistyczną wizję śmierci, którą uważają nie za koniec, lecz za początek. Ziemska egzystencja jest zaledwie wstępem do życia po życiu, gdzie czekają liczne błogosławieństwa. Parsowie, jako że uważają ogień, ziemię i wodę za święte, nie są kremowani, chowani w ziemi ani w morzu.

Ciało, postrzegane jako pusta skorupa, nie zostaje zachowane, lecz poddane „niebiańskiemu pochówkowi” i złożone na „wieżach milczenia” za murami miasta. Tam też, wystawione na łaskę żywiołów, staje się żerem dla

drapieżnych ptaków. W Anglii nawet supergwiazda nie może liczyć na podobny pogrzeb.

- Musiał być poddany kremacji, i to tak szybko, jak to możliwe - potwierdził Peter, który osobiście podpisał akt zgonu Freddiego, jako przyczynę śmierci podając „odoskrzelowe zapalenie płuc spowodowane AIDS”, co potwierdził doktor Atkinson.

Ponieważ przez całą dobę Freddiem zajmowali się lekarze, sekcja zwłok w celu określenia przyczyny zgonu nie była potrzebna. W rezultacie Peter Freestone prędko zorganizował pogrzeb, konsultując się z rodzicami Freddiego.



*Kwiaty pozostawione przed dawnym domem Freddiego przy Logan Place na wieść o śmierci wokalisty*

- Musieliśmy mieć wzgląd na nich. My chowaliśmy supergwiazdę rocka, lecz oni chowali syna. Naturalnie



chcieli, by wszystko przebiegło zgodnie z parsyjską tradycją. Wzięliśmy pod uwagę każdą ich sugestię.

- Freddie powiedział mi, że kiedy umrze, ma być natychmiast pochowany - wyjaśnił Jim. - Zależało mu, żeby w miarę możliwości jak najszybciej było po wszystkim, bez wielkiego zamieszania. Najlepiej, żebyśmy skremowali go jeszcze tego samego dnia, o ile dałoby się to załatwić. Żebyśmy mieli to za sobą i mogli wrócić do normalnego życia... Freddie nigdy nie chciał, by ludzie rwali włosy z głowy ani zgrzytali zębami. Żyć dalej. Po to żyjecie.

Freddie został skremowany w West London Crematorium w Kensal Green o dziesiątej rano w środę 27 listopada.

- Wszystko poszło idealnie, tak jak Freddie by sobie życzył - wspominał Peter. - Pięć karawanów marki Daimler wiozło same kwiaty. Prochy Freddiego znajdowały się w rolls-roysie, a za nim jechały cztery samochody. Prostą trumnę z jasnego dębu z pojedynczą czerwoną różą na wieku nieśli żałobnicy przy dźwiękach *You've Got a Friend* w wykonaniu Arethy Franklin. Szliśmy za nimi. Było około czternastu osób ze strony „przyjaciół” i około trzydziestu krewnych ze strony „rodziny”.



*Ostatnia droga Freddiego do krematorium w zachodnim Londynie, Kensal Green, środa 27 listopada 1991 roku*

Elton John przyjechał zielonym bentleyem. Brian przyszedł ze swoją dziewczyną, Anitą Dobson (obecnie żoną). Mary Austin, w ciąży z drugim synem, Jamiem, zjawiała się z Dave'em Clarkiem. Jim Callaghan, oddany ochroniarz Queen, stał w milczeniu przy drzwiach kaplicy, czekając, by powitać rodziców Freddiego i wprowadzić ich do środka.

- Kiedy trumna zniknęła, puściliśmy *D'Amor sull'ali rosee* Verdiego, arię z *Trubadura* - w wykonaniu, rzecz jasna, Montserrat Caballé. To był ulubiony utwór operowy Freddiego. Często szedł do studia i puszczał go tak głośno, że niemal dało się słyszeć, jak muzycy przewracają strony z nutami, a nawet wiercą się na krzesłach. Niesamowicie wzruszająca chwila - dodał Peter - i byłem dość przygnębiony. Chciałem być sam. W tym krematorium spoczywa moja matka. Pamiętam, że pobiegłem tam, gdzie

znajdowały się jej prochy, i poprosiłem, żeby zaopiekowała się Freddiem.

Kwiaty złożone w hołdzie Freddiemu zajęły ponad ćwierć akra terenu przed krematorium. Od jego rodziców – białe dalie i lilie z szarfą „Naszemu ukochanemu synowi Freddiemu. Zawsze będziemy cię kochać, mama i tata”. Żółte róże od Davida Bowie. Od Eltona Johna – serce z różowych różyczek, ze słowami „Dziękuję, że byłeś moim przyjacielem. Zawsze będę cię kochał”. Boy George napisał po prostu: „Drogi Freddie, kocham cię”. Wieniec od Mary Austin miał formę poduszki z żółtych i białych róż, z notką: „Mojemu najdroższemu, z wyrazami głębokiej miłości od Wiernej”. Na wieńcu od jej synka było napisane: „Dla wujka Freddiego od Ricky’ego”. Roger Taylor załączył do kwiatów poruszające pożegnanie: „Żegnaj, stary druhu, nareszcie spokój!”. Wszystkie wiązanki zostały potem podarowane londyńskim szpitalom.

Po powrocie do domu Jim, czując, że nie zniesie obecności tłumu, snuł się samotnie po ogrodzie.

- Kilka lat wcześniej straciłem ojca – wyjaśnił mi – ale nie było mnie wtedy w Irlandii. Można więc powiedzieć, że Freddie był najbliższą mi osobą, która zmarła. Bardzo mnie to przybiło.

W ciągu następnych tygodni słowa i czyny pozostałych doprowadzały Jima do wściekłości. Zgodnie z doniesieniami gazet Dave Clark twierdził, że jako jedyny był w sypialni, kiedy Freddie umarł.

- Nie był jedyny – oświadczył Jim. – Ale wszędzie cytowano te słowa.

Błąd musiał poruszyć wrażliwego i troskliwego Clarka, ponieważ z okazji urodzin Jim otrzymał od niego piękną kartkę.

- Napisał w środku: „B y ł e ś tam”. Nie wiem, czemu ludzie twierdzą inaczej. Podczas choroby Freddiego Dave zachowywał się wspaniale. Ciągłe przychodził do domu i pomagał. Tak, pod koniec s p ę d z i ł przy łóżku

Freddiego wiele godzin, żeby dać nam odpocząć. Dave b y ł w domu tamtej nocy, kiedy Freddie zmarł. Ale nie wyglądało to tak, jak opowiadał.

- Zauważyłem, że Dalila, ulubiona kotka Freddiego, przez cały dzień nie chciała położyć się na jego łóżku, co było dziwne. Tam właśnie spała. W zasadzie tam żyła. Tego wieczoru leżała u stóp łóżka, na podłodze. Podniosłem ją. Dave trzymał wtedy Freddiego za rękę i pogłaskał nią Dalilę. W oczach Freddiego rozbłysło zrozumienie. Wtedy dał znać, że chciałby pójść do łazienki. Poleciałem na dół po Petera, żeby mi pomógł. Freddie zmoczył łóżko i musieliśmy zmienić pościel. Przez szacunek dla jego godności Dave wyszedł z pokoju. Właśnie wtedy Freddie zmarł.

Jim tak naprawdę nigdy nie otrząsnął się po tej stracie.

- Czasami krzątam się po ogrodzie i nagle przed oczyma staje mi twarz Freddiego, kiedy umarł - powiedział mi w Irlandii. - Potrafię wyprzeć to, co się stało, ze świadomości, ale nie z podświadomości. Nie da się zapomnieć. Wiele się od niego nauczyłem, zwłaszcza pozytywnego myślenia. Freddie zawsze miał nastawienie: „Przecież potrafisz, nie rozumiesz? P o t r a f i s z. Skup się, a sam zobaczysz, czego potrafisz dokonać”. To jedna z jego najbardziej uroczych cech.

Jim zmarł w 2010 roku w Irlandii na raka płuc.

\* \*  
\*

W Monachium biedna Barbara Valentin musiała sama radzić sobie z żalem. Kupiła czarny strój, zarezerwowała i opłaciła bilet lotniczy. Już miała jechać na lotnisko, kiedy odebrała telefon z poleceniem, by trzymała się z dala od Freddiego. Nie chciała zdradzić, kto do niej dzwonił, a Peter Freestone przyznał w rozmowie ze mną, że nie pamięta. Prawdopodobnie zrobił to jeden z ludzi Jima

Beacha. Tego dnia rola „wdowy” przypadła Mary Austin, a Barbara nie była mile widziana.

- Nie mogłam nawet go pochować - łkała. - Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy. Ból był straszliwy. Nigdy nie doszłam do siebie. Ani przedtem, ani potem nie dzieliłam z nikim takiej miłości jak z Freddiem. Nie żebym szukała. Jeden raz wystarczy. Był największą miłością mojego życia. Nadal jest. Dwadzieścia kobiet musiałoby żyć przez sto lat, żeby doświadczyć tego, co ja. Lepiej dać sobie spokój we właściwym momencie. Myślę, że on też tak postąpił. Przynajmniej zrobił to, co jego zdaniem powinna zrobić gwiazda - ciągnęła Barbara.



*Autorka, Barbara Valentin i przyjaciel, Monachium, 1996 rok*

- Odszedł, kiedy odnosił sukcesy. Powtarzał, że nie stać go na upadek z samego szczytu, na utratę dawnej

światności. Sława sprawiła, że był najbardziej samotnym człowiekiem na całym świecie. Dla równowagi zaczął prowadzić coraz bardziej zwariowane życie, aż w końcu przejęło nad nim kontrolę. Rekompensował sobie samotność: Freddie we wszystkim popadał w skrajność. Zapłacił za to najstraszliwszą cenę. Wiem, że nie to planował. Ale postawił na swoim. Zawsze pragnął nieśmiertelności, więc ją dostał.

Barbara zmarła na wylew w Monachium w 2002 roku.

Garden Lodge nigdy nie wróciło do normalności. Przygotowując się do przeprowadzki, Mary dała domownikom do zrozumienia, że chce, by się wynieśli. Jim sądził, że będzie mógł zostać tak długo, jak zechce. W rezultacie usłyszał, że ma się natychmiast wyprowadzić.

- I ja. I Joe - wspominał ze smutkiem Peter. - Nie mieliśmy gdzie się podziąć i potrzebowaliśmy czasu, żeby się zorganizować. Wkrótce byśmy się wynieśli... Zachowanie Mary z pewnością było zagadkowe.

- Jak mogła nas tak traktować, po tym wszystkim, co przeszliśmy z Freddie? - rzekł Jim. - To nie miało sensu. Opuściłem dom z niczym, nawet bez osobistych rzeczy.

Wskutek prawnych i finansowych przepychanek byli opiekunowie Freddiego znaleźli się w stanie zawieszenia, Barbara Valentin zaś na skraju bezdomności. Z pomocą przyjaciół z Garden Lodge z powodzeniem stawiała czoła przeciwnikom. Ostatnia wola Freddiego rodziła niezliczone wątpliwości, spośród których część nigdy nie została rozwiana.

Jim Hutton wyjaśnił później, że to gniew, a nie pieniądze, skłonił go do napisania wspomnień. Pragnął, by świat poznał prawdę, i nie widział innego sposobu.

- Myślę, że Jim Beach był wściekły, bo moja książka zniszczyła „legendę Freddiego” - uważał Jim. - A ona tylko przywróciła mu pierwotny status istoty ludzkiej.

Powiedziałem prawdę. Beach chciał, by fani wierzyli, że słodka Mary Austin była miłością życia Freddiego, że to wszystko wyglądało jak wielka, tragiczna, romantyczna historia. Sądzę, że fani mają w nosie, czy Freddie był gejem. Myślę, że woleliby poznać prawdę – dobrą i złą.

Peter Freestone też tak uważał. Freddie byłby przerażony, widząc, jak ludzie, których kochał i na których mu zależało, kłócą się po jego śmierci.

- Wszyscy zainteresowani musieli ze sobą żyć. Mary powiedziała kiedyś, że Jim [Hutton] ma bardzo bogatą wyobraźnię. Znałem Jima przez bardzo długi czas i zawsze był całkowicie szczery. Obaj mieliśmy czyste sumienie.

A co do popiołów: czy zostały rozsypane nad „jeziorem łabędzim” Freddiego w Montreux? Postawione w urnie na kominku jego rodziców? Czy wróciły na plażę w Zanzibarze, by spocząć w oceanie? A może zostały wysłane do Indii na przechowanie ciotce Sheroo czy też pochowane pod wiśnią na terenie Garden Lodge – jak utrzymywał Jim Hutton? Czy mogły spocząć w grobie anonimowego zmarłego na Brookwood Civil and Military Cemetery w Surrey, gdzie znajduje się parcela przeznaczona dla parsów? Tak sądzi Gita Choksi, dawna przyjaciółka Freddiego ze szkoły St Peter’s w Panchgani. Podczas pierwszej wizyty na grobie ojca na tym cmentarzu Gita natknęła się na dozorcę i zaczęła z nim rozmawiać.



*Jim Hutton, Peter Freestone, Barbara Valentin i autorka*

- Pochowali tutaj prochy piosenkarza rockowego, Freddiego Mercury'ego - zdradził.

- Byłam do głębi wstrząśnięta - powiedziała Gita. - Dozorca nie mógł wiedzieć o moich związkach z Freddie, nie miał też powodu kłamać. Przez wszystkie te lata nie widziałam mojego starego przyjaciela i oto był, pochowany zaledwie kilka stóp od mojego ojca. Jestem przekonana, że to prawda. Nie sądzę, by dozorca powiedział mi, parsyjce, coś podobnego, gdyby to nie była prawda. Nigdy w życiu nie przydarzyło mi się coś równie osobliwego. Ale jestem za to wdzięczna.

Czy to możliwe, że ten człowiek się nie mylił? Możliwe. Co dziwne, kiedy sama odwiedziłam parsyjską parcelę na Brookwood, dozorca powiedział mi dokładnie to samo. Przemknęło mi przez myśl, że to umyślny fortel, by zbić fanów z tropu. Nie, z pewnością nie...

Peter Freestone, choć nie był zaskoczony historią Gity, nie mógł jej potwierdzić.



- Po prostu nie wiem. Podejrzewam, że jego prochy zostały podzielone, może część dostali rodzice, a część Mary... Ale kto to wie? Tylko oni.



*Koncert poświęcony pamięci Freddiego Mercury'ego, stadion Wembley w Londynie, 1992 rok*

W Boże Narodzenie 1991 roku, niedługo po śmierci Freddiego, ukazał się singiel *Bohemian Rhapsody*. Wskoczył na pierwsze miejsce listy przebojów, zbierając ponad milion funtów na rzecz Terence Higgins Trust, organizacji charytatywnej walczącej z AIDS. Popisowy singiel Queen wyszedł również w Stanach Zjednoczonych, zyski zaś, za pośrednictwem Magic Johnson Foundation, zostały rozdzielone między organizacje charytatywne wspierające chorych na AIDS.

20 kwietnia 1992 roku zespół był gotów na rockandrollowe pożegnanie Freddiego - koncert, który uznano później za największe wydarzenie rockowe na żywo

lat dziewięćdziesiątych. Brian, dla którego śmierć Freddiego była jak „utrata brata”, podkreślał, że Freddie Mercury Tribute Concert na stadionie Wembley w poniedziałek wielkanocny „to nie Queen”, chociaż większość artystów, którzy wzięli w nim udział, grała ich piosenki. Po ogłoszeniu informacji o koncercie w ciągu dwóch godzin rozeszły się siedemdziesiąt dwa tysiące biletów, chociaż wciąż nie ustalono listy wykonawców. Wydarzenie było transmitowane do siedemdziesięciu sześciu krajów za pośrednictwem radia i telewizji, a także filmowane przez Davida Malleta.



*Z tyłu, od lewej: autorka, Barbara Valentin, Jim Hutton, Peter Freestone. Z przodu, od lewej: syn koleżanki Freddiego z lat szkolnych, Gity Choksi, z indyjską przyjaciółką. Londyński Groucho Club, sierpień 1997 roku*

Oszłamiający show zaczął się od nagrania, na którym Freddie ćwiczył gamy. Annie Lennox i David Bowie zaśpiewali *Under Pressure*, Roger Daltrey *I Want It All*.

Extreme wykonali *Hammer to Fall*, George Michael i Lisa Stansfield *These Are the Days of Our Lives*, a Elton John razem z Axlem Rose stawili czoła *Bohemian Rhapsody*. Seal wybrał *Who Wants to Live Forever*. Mick Ronson i Ian Hunter z Mott the Hoople odeszli od przyjętej formy, by złożyć poruszający hołd poprzez *All the Young Dudes* Bowiego. Podobnie postąpił Robert Plant z *Thank You Led Zeppelin* - chociaż zaśpiewał również *Innuendo* i *Crazy Little Thing Called Love*. Liza Minnelli zmiotła ich jednak wszystkich ze sceny genialnym wykonaniem *We Are the Champions*.

Czy byli tam jednak Dave Clark, Peter Straker, Tony Hadley, Elaine Paige? Aretha Franklin, Prince i Michael Jackson? Wielu z nas zaskoczyła niewyjaśniona nieobecność wokalistów, którzy tak wiele znaczyli dla Freddiego, jak również „metalowa” część wykonawców, nie do końca zgodna z tym, czego chciałby Freddie. Muzyka Guns N' Roses, Metalliki i Def Leppard bardziej odpowiadała gustom Briana i Rogera. Niektórzy utrzymywali, że wielu spośród wykonawców, którzy wystąpili na koncercie, zostało wybranych ze względu na wpływ, jaki Queen wywarli na ich brzmienie. Inni zgadzali się z teorią, że tak naprawdę chodziło o powitanie przez Briana, Rogera i Johna ich ukochanego wokalisty z powrotem na łonie Queen, gdzie w głębi ich serc było jego miejsce, oraz o przegląd oryginalnych gustów, etosu i ideałów zespołu.

Tim Rice twierdzi, że Elaine Paige poczuła się „urazona”, kiedy zamiast niej zaproszono Lizę Minnelli. Wiele osób było zaskoczonych nieobecnością wykonawców ze sceny gejowskiej - Boya George'a, Holly Johnson, Jimmy'ego Somerville'a, Lee Johnsa - dla uczczenia tej części życia Freddiego. Pavarotti, Carreras i Domingo śpiewający klasyczne arie, które uwielbiał Freddie, na tle pozostałych artystów wyglądałoby i brzmiało straszliwie nie na miejscu. Jeśli zaś chodzi o Montserrat Caballé, diwa osobiście wyjaśniła, że na drodze stoją jej zobowiązania na EXPO

w Sewilli, gdzie ma występować na żywo każdego wieczoru przez cały inauguracyjny tydzień, który miał się rozpocząć w tym samym czasie co koncert. Wyraziła życzenie wzięcia udziału w koncercie dla Freddiego za pośrednictwem satelity. Ostatecznie nie udało się jednak utrzymać połączenia satelitarnego z Londynem, ponieważ sam koncert był transmitowany na cały świat. Nawet świętej pamięci legenda Hollywood i działaczka na rzecz AIDS Elizabeth Taylor, ze swym wzruszającym orędziem do publiczności, nie zdołała wynagrodzić nieobecności La Stupendy.

George Michael, który podbił serca publiczności swoim wykonaniem *Somebody to Love*, powtarzając triumf zespołu podczas Live Aid siedem lat wcześniej, zdradził, że spełnił marzenie z dzieciństwa.

- Kiedy myślę o Freddie, myślę o wszystkim, co mi dał z punktu widzenia rzemiosła - powiedział George. - Samo zaśpiewanie tych piosenek, zwłaszcza *Somebody to Love*, było naprawdę niezwykle. To chyba najwspanialsza chwila w mojej karierze.

- George Michael dał n i e s a m o w i t y występ - zachwycał się Peter Paterno. - Przyszło mi do głowy, a jestem pewien, że nie tylko mnie, że Queen powinni zastanowić się, czy nie mógłby zastąpić Freddiego. Koniec końców, chyba jednak nikt nie zdołałby tego zrobić.

Spike Edney, który razem z Mikiem Moranem grał na instrumentach klawiszowych, był zasmucony kłótnią, jaka wybuchła po koncercie, kiedy wielu krytyków zmieszało wykonawców z błotem, zarzucając im, że nie spełnili standardów Freddiego. Ci, którzy wyrażali rozczarowanie, najwyraźniej nie pamiętali lub nie rozumieli, że niewielu artystów w historii rocka mogło się poszczycić niezwykle skalą głosu, jaką miał Freddie.

- Twierdzenie, że żaden z nich nie zdołałby zaśpiewać tych piosenek tak dobrze, jak Freddie, byłoby niesprawiedliwe - wyjaśniał. - Ale wiem, że wielu z nich

miało wrażenie, że stoją w jego cieniu. Oczywiście, on byłby zachwycony. Świetnie by się bawił, patrząc, jak się męczą. Doceniając to, czym był ten koncert – wspaniałym hołdem – rozkoszowałyby się katuszami, jakie cierpieli, nie mogąc wyciągnąć jego tonów!

Spike opowiada, że wydarzenie zostało podsumowane przez środowisko podczas przyjęcia w klubie nocnym Brown's.

- Zobaczyłem na piętrze Rogera, jak stał oparty o ścianę i gapił się pustym wzrokiem przed siebie. Potem, kilka kroków dalej, dostrzegłem Briana, który robił dokładnie to samo. Podszedłem do nich. „Jak się czujecie?“, zapytałem. „Nic nie czuję“, odpowiedział jeden z nich. Nikt nic nie pamiętał. Po prostu nie mogli tego zrozumieć. Kiedy było po wszystkim, „Boże – co myśmy robili przez ostatni miesiąc? I co zrobimy teraz?“.

Zbiórka funduszy trwała w najlepsze. Mercury Phoenix Trust, założony w 1992 roku, by zarządzać dochodami z koncertu i innych źródeł, przyjął za logo feniksa z herbu Queen, który Freddie zaprojektował na samym początku istnienia zespołu. Po dziś dzień fundusz zbiera pieniądze na rzecz walki z AIDS na całym świecie.

George Michael, Lisa Stansfield i Queen przekazali honoraria za minialbum *Five Live* na rzecz Mercury Phoenix Trust. W kwietniu 2002 roku fundusz otrzymał kolejny finansowy zastrzyk, kiedy z okazji dziesięciolecia wydarzenia zapis z koncertu ukazał się na DVD. Dzisiaj, po dwudziestu latach, na konto funduszu wciąż wpływają pieniądze.

Nie ma wątpliwości, że Jim, opuszczony kochanek, zabrał się w 1994 roku za wybiórczą biografię Freddiego, zamierzając oddać czuły hołd uwielbianemu partnerowi. Tę intencję zatarł współautor, który rozwodził się nad bardziej sensacyjnymi szczegółami związku, a także nad intymnymi szczegółami ostatnich dni Freddiego.

W efekcie Jim został wykluczony z kręgów Queen. Ta reakcja, która wzbudziła jego konsternację i zmieszanie, bez wątpienia wzięła się stąd, że koledzy Freddiego z zespołu, zarząd, rodzina i przyjaciele również go opłakiwali. Ujawnienie intymnych szczegółów śmierci Freddiego było dla nich nie do zniesienia.

Przez cały ten czas, jaki spędziłam z Jimem w malowniczym County Carlow na południowym wschodzie Irlandii, gdzie żył w przytulnym domku, który zakupił za 500 tysięcy funtów spadku po Freddie, nie miałam wątpliwości, że Jim naprawdę go kochał. Był ciepłym, uczciwym człowiekiem, zadowolonym ze swego życia. Zawsze był wdzięczny, wyznał, że za sprawą Freddiego mógł doświadczyć życia supergwiazdy. W swoim ogrodzie z dumą pokazał mi liliowe róże Blue Moon, za którymi przepadał Freddie.

Biorąc pod uwagę katolickie wychowanie Jima oraz fakt, że w chwili publikacji jego matka wciąż żyła, napisanie tej książki wymagało ogromnej odwagi.



*Jim Hutton w swoim ogrodzie w County Carlow w Irlandii, lipiec 1996 roku, pięć lat po śmierci Freddiego*

- Rozmawiałem o tym z moją rodziną - powiedział. -  
Poniekąd poprosiłem o zgodę. Niepotrzebnie się  
martwiłem. Odparli po prostu, że są ze mną, i tyle.

Jim wiedział, że Freddie stawiał czoła większemu  
problemowi z uwagi na wyznanie swojej rodziny.

- Ale Freddie nie praktykował zaratusztrianizmu -  
wyjaśnił Jim, a Peter Freestone się z nim zgodził. - Uznano  
jednak inaczej, bo rodzice skremowali jego ciało zgodnie  
z zasadami wiary - dodał. - Lecz przez wszystkie te lata,

kiedy się znaliśmy, nigdy nie praktykował. Nie wiem nic o wyznaniu jego rodziny. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Pamiętam za to, jak leżałem obok niego w nocy i usłyszałem, jak się modli. W jakim języku? Po angielsku. Do kogo? Nie wiem. Czasami pytałem, do kogo mówi, a on wzruszał ramionami i rzucał: „Odmawiam moje modlitwy”.

Po śmierci Freddiego biura Queen Productions przy Pembridge Road zostały zamknięte. Podobnie jak Mountain Studios, kiedy David Richards zdemontował całe zaplecze produkcyjne i przeniósł się w Alpy do Montreux. Ze studia pozostały jedynie zamalowane graffiti drzwi (i duchy). Lecz ci, którzy uważali, że wraz ze śmiercią Freddiego historia Queen dobiegnie końca, byli w błędzie.

*Made in Heaven*, piętnasty studyjny album Queen, zadebiutował na pierwszym miejscu listy przebojów w 1995 roku, cztery lata po śmierci Freddiego. Według szacunków, sprzedaż osiągnęła poziom dwudziestu milionów egzemplarzy na całym świecie. Album ten jest nieskalaną kompilacją, stworzoną ze starannością i oddaniem. Wyraża radość życia, ale i lęki związane z przemijaniem i śmiertelnością, stanowi również *requiem* i wizytówkę, pewnego rodzaju świadectwo diwy we Freddie. Dla mnie wybitną piosenką jest *Mother Love*. Zapadający w pamięć wokal Freddiego, przy muzyce skomponowanej przez Briana, cofa nas do eksplozji płomiennych dźwięków Queen na żywo, echa riffów z *It's a Kind of Magic* i strzępów Gerry'ego Goffina/Carole King w *Goin' Back* Freddiego, wydanego pod pseudonimem Larry Lurex na początku współpracy Queen z Trident... „I think I'm going back/to the things I learnt so well/in my youth...”. Chwytający za serce płacz dziecka stanowi niesamowite zakończenie, które bez wątplenia symbolizuje śmierć i ponowne narodziny Freddiego.





Graffiti ku czci Freddiego i Queen na ścianach przy wejściu do dawnego Mountain Studios, kupionego przez Queen w szwajcarskim Montreux. Studio już dawno przestało istnieć, ale wejście i korytarz zostały zachowane jako nieoficjalne miejsce kultu, marzec 2011 roku



Wyrazy hołdu przed domem Freddiego w trzecią rocznicę jego śmierci

Drugim z moich ulubionych utworów z tego albumu jest *A Winter's Tale* – pieśń Freddiego, którą napisał i skomponował w swoim mieszkaniu w Montreux z widokiem na ukochane jezioro. Tekst, opisujący to, co Freddie widział za oknem, opiewa spokój i zadowolenie, jakie tu odnalazł u kresu swoich dni. Tytuł piosenki – być może zamierzony hołd dla *Zimowej opowieści* Williama Shakespeare'a – mówi więcej o źródłach inspiracji wczesnych piosenek Freddiego. Jednym z protagonistów w sztuce Shakespeare'a jest Poliksenes, król Bohemii – prastarego królestwa, swobodnie nawiązującego do współczesnej autorowi czeskiej republiki. Na tym podłożu mogła wykiełkować *Bohemian Rhapsody*. Jeśli ta

sztuka, jak zakłada wielu naukowców badających twórczość barda, stanowi alegorię śmierci Anne Boleyn, postać Perdity oparta została na córce Anne i króla Henryka VIII, która została Elżbietą I, angielską K r ó l o w ą... Oryginalny, największy przebój zespołu spleciony z ostatnim dziełem Freddiego? To możliwe.



*Diwa operowa Montserrat Caballé z rodzicami Freddiego, Bomim i Jer Bulsarami, podczas odsłonięcia pomnika upamiętniającego ich zmarłego syna w szwajcarskim Montreux, 25 listopada 1996 roku*

Istnieje wiele pomników Freddiego, przede wszystkim ten autorstwa Ireny Sedleckiej, który stoi w Montreux nad brzegiem Jeziora Genewskiego. Został odsłonięty przez Montserrat Caballé 25 listopada 1996 roku, z okazji piątej rocznicy śmierci Freddiego. Ceremonię otworzył burmistrz Montreux w obecności rodziców Freddiego, jego siostry Kashmiry, założyciela festiwalu jazzowego w Montreux, Claude'a Nobsa, a także Briana i Rogera. Pomnik ten jest jednym z najczęściej odwiedzanych obiektów turystycznych w Szwajcarii. Stał się również głównym celem corocznych pielgrzymek fanów Queen, którzy świętują we wrześniu urodziny swojego idola.

- Odsłonięcie pomnika było dla mnie jedną z najtrudniejszych chwil - powiedział Brian w wywiadzie dla magazynu „Q” w 2011 roku. - Oczywiście to bardzo miły hołd, a sama ceremonia była niezmiernie poruszająca, ale nagle ogarnął mnie gniew. Pomyślałem: „Tylko tyle zostało po moim przyjacielu, a wszystkim się wydaje, że to normalne i cudowne, lecz tak naprawdę to straszne, że patrzę na kawałek brązu, który przedstawia mojego przyjaciela, a jego już tu nie ma”.

Pięć lat po śmierci Freddiego Maurice Béjart w Béjart Ballet z Lozanny przygotował choreografię do Ballet for Life, *Le Presbytère n'a rien perdu de son charme, ni le jardin de son éclat* (*Prezbiterium nie straciło na uroku ani ogród na bujności*), na cześć Freddiego i pryncypała Béjarta, Jorge'a Donna. Poruszające dzieło, oparte na piosenkach Queen i kompozycjach Mozarta, rozpoczyna się od *It's a Beautiful Day* - pierwszego nagrania z albumu *Made in Heaven*, kończy zaś *The Show Must Go On* - utworem zamykającym *Innuendo*, ostatni album Queen wydany za życia Freddiego. Przedstawienie po raz pierwszy zostało wystawione w Théâtre de Chaillot w Paryżu w styczniu 1997 roku w obecności Madame Chirac (żony ówczesnego prezydenta Francji), z udziałem Eltona Johna,

Briana, Rogera i Johna Deacona. Był to ostatni publiczny występ basisty z kolegami z zespołu.



*Brian May i Roger Taylor z matką Freddiego, Jer, w Nowym Jorku podczas szesnastej dorocznej ceremonii Rock and Roll Hall of Fame, 2001 rok*

Po śmierci Freddiego John cierpiał na poważną depresję. Sam stracił ojca w wieku zaledwie jedenastu lat, a odejście Freddiego przywołało emocje, z którymi John nie potrafił się uporać. Zaczął chodzić do klubów z tańcem erotycznym i związał się z dwudziestopięcioletnią tancerką, którą

zasypywał luksusowymi prezentami, między innymi mieszkaniem i samochodem. Trudno się dziwić, że gdy ów związek legł w gruzach, John wraz z żoną i rodziną chętnie wycofał się z życia publicznego. W 1997 roku oficjalnie opuścił zespół.

- Teraz jest bardzo skryty - skomentował Brian. - W sprawach biznesowych komunikuje się za pomocą e-maili, to wszystko.

Brian i Roger ani myśleli zrezygnować. Właściwy projekt pojawił się we właściwym czasie.

W czerwcu 2002 roku Brian zagrał *God Save the Queen* na dachu królewskiej rezydencji w Londynie (pamięci, jak twierdził, Jimiego Hendriksa), otwierając Party at the Palace, koncert z okazji złotego jubileuszu Jej Wysokości królowej Elżbiety II. W 2004 roku, podczas koncertu Fender Strat Pack, po raz pierwszy współpracował z byłym wokalistą Free i Bad Company, Paulem Rodgersem. Podekscytowany ewidentną chemią między nimi Brian przekonał Paula, by zagrał razem z Queen z okazji wprowadzenia zespołu do brytyjskiej Music Hall of Fame. Brian, Roger i Paul ogłosili w 2005 roku światową trasę koncertową jako Q+PR, wyraźnie zaznaczając, że Paul nie zastępuje Freddiego, a sam projekt stanowi wariację na temat. W 2005 roku wystąpili w RPA podczas koncertu na rzecz fundacji Nelsona Mandeli 46664, wspierającej walkę z AIDS, a następnie do końca roku wspólnie koncertowali ze Spikiem Edneyem z powrotem przy klawiszach.

Q+PR odbyli trasę koncertową w dwudziestu trzech miastach Ameryki Północnej. Dwa lata później wystąpili w Hyde Parku podczas obchodów dziewięćdziesiątych urodzin Nelsona Mandeli, tym sposobem zamykając podniośle nieszczęsny afrykański epizod. Później udali się w trasę po Europie. Chociaż współpraca na razie dobiegła końca, obie strony twierdzą, że są otwarte na propozycje. Na razie wszyscy zajmują się indywidualnymi

zainteresowaniami, w szczególności Brian, który razem z Kerry Ellis, gwiazdą West Endu i Broadwayu, w 2011 roku zaangażował się w popularne musicalowo-rockowe przedstawienie *Anthems*.

W osiemnastą rocznicę śmierci Freddiego, 24 listopada 2009 roku, około dwóch tysięcy fanów Queen z całego świata zebrało się w centrum Feltham, by ujrzeć, jak Brian i Jer Bulsara odsłaniają granitową płytę pamiątkową w stylu hollywoodzkiej gwiazdy, poświęconą pamięci Freddiego. Po raz pierwszy w Wielkiej Brytanii uczczono pamięć wokalisty Queen (nie licząc statuy witającej fanów *We Will Rock You* nad Dominion Theatre przy Tottenham Court Road).

- Feltham było jego pierwszym domem po przyjeździe z Zanzibaru i miejscem, gdzie zaczął odkrywać swoją muzyczną przyszłość - powiedziała osiemdziesięciosiedmioletnia Jer Bulsara.

- Freddie, urzeczywistniłeś moje marzenie, nasze marzenie. Kochamy cię i zawsze będziemy cię kochać - powiedział Brian. - Bardzo się cieszymy, że możemy uczcić w ten sposób pamięć o tobie.

*Stormtroopers in Stilettoes* (*Szturmowcy w szpilkach*; tytuł pochodzi z piosenki *She Makes Me* z trzeciego albumu Queen *Sheer Heart Attack* z 1974 roku) to nostalgiczna wystawa objazdowa opowiadająca o początkach Queen. Została otwarta z okazji czterdziestej rocznicy istnienia zespołu w 2011 roku - roku świętowania, w którym podpisali także nowy kontrakt płytowy z Island Records za pośrednictwem Universal.

Pod koniec 2011 roku GK Films ogłosił powstanie poważnego hollywoodzkiego filmu o życiu Freddiego Mercury'ego. Współproducentem filmu Grahama Kinga jest TriBeca Films Roberta de Niro oraz Queen Films. Freddiego gra gwiazda *Borata* i *Bruna*, Sacha Baron Cohen; twórcą scenariusza jest Peter Morgan, autor wielu

przyjętych z uznaniem scenariuszy, takich jak *Królowa, Frost/Nixon* czy *Ostatni król Szkocji*.

- Freddie Mercury był wspaniałym artystą estradowym - stwierdził King - zatem razem z Sachą w głównej roli, scenariuszem Petera i wsparciem Queen otrzymujemy idealną mieszankę, by opowiedzieć prawdziwą historię, kryjącą się za ich sukcesem.

Scenariusz Morgana wraca do wczesnych lat osiemdziesiątych, kiedy Queen narazili na szwank swój wizerunek w Stanach Zjednoczonych i tracili popularność. Najlepsze lata mieli już za sobą; każdy z nich zajmował się solowymi projektami. Wtedy Geldof ogłosił zorganizowanie Live Aid, Queen przyjęli jego wizję i wyszli na stadion Wembley, by wprowadzić świat w osłupienie. Uświadomiwszy sobie na nowo swoją potęgę jako grupy, planują i rozpoczynają olbrzymią światową trasę koncertową, nie mogąc się doczekać dobrych rezultatów. Lecz Freddiego dopada AIDS i marzenie rozpada się na kawałki... W chwili, kiedy ta książka trafia do druku, data premiery filmu wciąż pozostaje nieznana.

Od odejścia Freddiego światowa reputacja i wpływ Queen gwałtownie wzrosły, w dużym stopniu dzięki fenomenalnemu sukcesowi musicalu scenicznego *We Will Rock You*. Akcja toczy się w futurystycznym świecie równoległym, gdzie rock jest zakazany, a gang Bohemian, kochających muzykę buntowników, potrzebuje bohatera. Musical do klasycznych piosenek Queen napisał komik Ben Elton. Od dnia premiery w 2002 roku w londyńskim Dominion Theatre w Tottenham Court Road produkcja „teatralnej szafy grającej” jest grana zawsze przy pełnej widowni. Nie zapowiada się, by miała zwolnić tempo. Wystawiono dwadzieścia siedem międzynarodowych wersji. W marcu 2011 roku musical zdobył Olivier Audience Award przyznawaną przez stację BBC Radio 2, a w 2013 roku doczeka się w końcu wersji filmowej.



*We Will Rock You* nie każdemu przypada do gustu. Rzeczywiście, Brian i Roger spotykają się z oskarżeniami ze strony pewnych kręgów, że się „sprzedali”. Kogo to obchodzi? Na pewno nie Queen. Rosnąca popularność przedstawienia mówi sama za siebie. Jak mawia Roger: „Pieprzyć ich, skoro nic nie łapią!”.

- Zasadniczym zadaniem *We Will Rock You* było przedstawienie rewelacyjnej muzyki Queen milionom młodych ludzi, których jeszcze nie było na tym świecie, kiedy Freddie żył, a zespół wciąż koncertował w oryginalnym składzie - mówi Paul Gambaccini.

Co pomyślałby sam Freddie na wieść, że Queen są teraz jeszcze więksi niż kiedykolwiek za jego życia?

- Byłby wniebowzięty - twierdzi stanowczo Paul Gambaccini. - Po prostu byłby w n i e b o w z i ę t y. Jest większy niż Liza Minnelli, ależ miałby uciechę. Kochał diwy. Uwielbiał je. Liza, Montserrat, czcił te kobiety. Byłby zachwycony, że jego przerysowana projekcja cieszy się takim poważaniem. Dostaję na Facebooku zaproszenia od młodych Europejczyków, bo wiedzą, że znałem Freddiego. Peter Freestone jest ich idolem. Robi karierę. Urządzają przebieranki, hołdy, akcję Freddie-for-a-Day („Freddie przez jeden dzień”; w dniu urodzin Freddiego fani na całym świecie przebierają się za swojego idola, zbierając pieniądze na rzecz Mercury Phoenix Trust), akcje charytatywne. Fascynujące. Reagują tak, choć przecież żaden z nich jeszcze nie żył albo nie był tego świadom, kiedy Freddie wciąż grał.

Pozostali wiodą życie, które nigdy nie będzie zwykłe. John Deacon to dziś cichy ojciec rodziny. Lata szaleństwa Queen wepchnął na najwyższą półkę swojego stroskanego umysłu. Brian, który został uhonorowany Orderem Imperium Brytyjskiego III Klasy, szaleje za swoją drugą żoną Anitą, trojgiem dorosłych dzieci, astronomią i ochroną lisów. Roger, sześć tygodni po rozstaniu z Debbie, ożenił się ze swoją młodą przyjaciółką Sariną i doczekał się piątki

dzieci. Zarówno dla Rogera, jak i dla Briana muzyka pozostaje priorytetem.



*Kopia pomnika Freddiego Mercury'ego autorstwa czeskiej rzeźbiarki Ireny Sedleckiej, stojąca ponad wejściem do londyńskiego Dominion Theatre, w którym od 2002 roku wystawiany jest musical „We Will Rock You”*

To niesamowite, lecz Queen prześcignęli Beatlesów, stając się oficjalnym liderem brytyjskiej listy albumowych przebojów. W 2006 roku ich *Greatest Hits* zyskał miano największego bestsellera w historii Wielkiej Brytanii,

rozchodząc się w liczbie ponad 5 407 587 egzemplarzy. Album *Greatest Hits II* zajął siódme miejsce, ze sprzedażą przekraczającą 3 631 321 sztuk. Zespół wydał łącznie osiemnaście albumów numer jeden, osiemnaście singli numer jeden i dziesięć płyt DVD numer jeden na całym świecie, dołączając do najlepiej sprzedających się artystów świata. Łączną sprzedaż ich albumów szacuje się na ponad trzysta milionów egzemplarzy na całym świecie - w tym trzydzieści dwa i pół miliona w samych tylko Stanach Zjednoczonych. Queen jest również jedyną grupą, której każdy członek skomponował więcej niż jeden singiel z pierwszego miejsca listy przebojów. *We Will Rock You* stało się hymnem klubu New York Yankees i Manchester United. *We Are the Champions* pozostaje najczęściej puszczaną piosenką w historii Queen, śpiewaną przez fanów na całym świecie. Sam Freddie nazwał ją najbardziej egoistyczną i arogancką piosenką, jaką kiedykolwiek napisał.

- Czuję, że Freddie wciąż z nami jest, w pewien sposób, bo wciąż jest tu jego muzyka - mówi jego siostra Kashmira.  
- Był moim bratem, ale też megagwiazdą. Krótko mówiąc, nie wiem, jakie to uczucie mieć zwyczajnego brata. Bo mój brat był nadzwyczajny.

\* \*  
\*

- Freddie był moim najlepszym przyjacielem - wyznał mi Roger w przyпіływie szczerości. - Nigdy nie otrząsnąłem się po jego śmierci. Żaden z nas się nie otrząsnął. Chyba sądziliśmy, że szybko dojdziemy do siebie, ale nie doceniliśmy wpływu, jaki jego śmierć wywarła na nasze życie. Wciąż trudno mi o tym rozmawiać. Nie potrafię myśleć o naszej terażniejszości i przyszłości bez Freddiego. Radzę sobie z tym z dnia na dzień.



*Fani gromadzą się o zachodzie słońca, by uczcić swojego idola przy pomniku Freddiego nad Jeziorem Genewskim, marzec 2011 roku*

Freddie, za którym tęskni Roger, jest duszą ukrytą za supergwiazdą: głęboko ludzkim mężczyzną, który uwierzył w sen. Ku dezaprobowaniu nielicznych i radości milionów. Wszystko na jego warunkach. Za nic nie przeproszał, nie oczekiwał też współczucia. Jeśli czasami czuł się osaczony przez sprzeczności, które go ukształtowały, jego piosenki dawały mu wolność.

Dla zapłakanego klauna, który śmiał się jako ostatni... dla Briana i Rogera, wędrujących dalej ku jego pamięci. Czy ktokolwiek może ich krytykować za to, że podsycają ten płomień? Ja nie.



*Pomnik Freddiego Mercury'ego autorstwa Ireny Sedleckiej, wznoszący się nad jego ukochanym Jeziorem Genewskim u stóp szwajcarskich Alp, marzec 2011 roku*

## Podziękowania

### WYRAZY SERDECZNEJ WDZIĘCZNOŚCI

Dla Hannah Black, mojej niesamowitej redaktorki, za jej wielki trud i rady.

Również dla Camilli Dowse, Kate Miles, Alice Howe, Kerry Hood, Bei Long, Jasona Bartholomewa i pozostałych pracowników wydawnictwa Hodder & Stoughton, którzy pracowali z takim poświęceniem. Ich entuzjazm i gotowość do każdego wysiłku sprawiały prawdziwą radość.

Dla Ivana Mulcahy'ego, mojego genialnego agenta, za nieustanne zachęty, przyjaźń i wsparcie. Dla Laetitii Rutherford, Stephanie Cohen i Jonathana Conwaya z Mulcahy Conway Associates. To zaszczyt znać takich optymistów i z nimi pracować.

Dla Freddiego Mercury'ego, Briana Maya, Rogera Taylora i Johna Deacona za muzykę, która budzi u moich dzieci ten sam dreszcz, jaki zawsze budziła u mnie.

Dla wielkodusznych przyjaciół, kolegów i współpracowników, jak również kluczowych postaci z życia Freddiego Mercury'ego, które otworzyły przede mną swoje serca i wspomnienia lub w inny sposób pomogły w powstaniu tej książki - oto (mam nadzieję) większość z nich:

Tim Rice, Steve Harley, Phil Swern, Andy Hill, Jim Diamond, Steve Levine, Mick Rock, Dan Arthure, Jonathan Morrish, Lee John, Frank Allen, David Wigg, Clare Bramley, Francis Rossi, Dave Hogan, Nigel Angel, Bob Lefsetz, Peter Paterno, James Saez, Eddie Delena, Reinhold Mack, Rick Wakeman, Ben Wakeman, John Waite, Elton

John, Jamesie, Kim Wilde, Nick Boyles, Chris Hewlett, Henry Semmence, Alan Edwards, James Nisbet, Scott Millaney, Simon Napier-Bell, Richard Hughes, Robert Lee, Gray Jolliffe, David Hamilton, David „Kid” Jensen, Paul Gambaccini, Spike Edney, David Stark, John Fleming, Jeff Griffin, James Khalaf, Nick Fitzherbert, Paula Fitzherbert, Louis Souyave, Tony Hadley, Carolyn Cowan, Bernard Doherty, Tony Bramwell, Harvey Goldsmith, Pete Smith, Peter Freestone, Mike Read, Michael Appleton, Bob Geldof, Fiz Shapur, Andrew MacGillivray, Lindsay Martins, Jude Martins, Alicia Martins, Daniel Martins, Jeremy Norman, David Thorpe, Rolf Harris, Denis O’Regan, Peter Hillmore, Edmund Preston, David Quantick, Phil Symes, Jerry Hibbert, Chris Poole, Shernaz Screwaller, Michael Anastasios, Dominic Denny, Jim Jenkins, Gerd Kochlin, Nick Elgar, Stuart White, David Syner, Toby Rose, Sandy Evans, Bonzo Fernandez, Perviz Darunkhanawala, Diana Darunkhanawala, Nancy Galloway, Nasser K. Awadh, prof. Abdul Sheriff, Hamari Omar, Kevin Patience, Sheroo Khory, Morris W. Innis, Cyrus Ghandy, Janet Smith, Gita Choksi, państwo Davis, Marcela Delorenzi, Hollow Skai, Tomas Petterson, Paul Davies, Saskia Campbell, Annabel Lord, Frank Warren, Laura Morris, John McFaul, Stephen Kahn, Mike Stone, Michael Charidemou, Anthony Lee, Linda Plant, Rita Rowe, Robert Kirby, Chris Griffin, Wendy Reid, Phil Mackney, Jessica Mackney, Rachel Tarnoy, Dominic Collier, Alison Miller, Claire Weeks, Lia Policane, Sharron Nasir, Pauline Thomson, Julie Ives-Routleff, Karen French, Bill i Rachel Leigh, Maureen i Ghee Ong, Jan Moore, Jane Stone.

Prof. Edward G. Hughes, McMaster University, Hamilton, Ontario.

Dr Cosmo Hallstrom, Londyn.

Bernie Katz, June Cluskey, Kent Olesen, Matthew Hobbs, Vincent McGrath i przyjaciele, The Groucho Club.

Bob, Jim, Nick i Dave, Right Turn Left RIP.

Kelvin Mackenzie, Rod Gilchrist, Lynda Lee-Potter, Nigel Dempster, Bob Hill, Nick Gordon, John Koski, John Chenery, Herbert Kretzmer, Jack Tinker, Baz Bambigoye, Sean Usher, Pat Hill, Anne Barraclough, Steve Absolom, Geoff Sutton, Roger Tavener, Richard Young, Alan Davidson, Alan Grisbrook, Dave Benett, Geoff Baker, Annette Witheridge, Gill Pringle, Rick Sky, Martin Dunn, Nick Ferrari, David Wigg, John Blake, Piers Morgan, Hugh Whittow, Adam Helliker, Martin Townsend, Lisa Clark, Rachel Jane, Stephen Rigley, Clair Woodward, Amy Packer z czasów Fleet Street.

Szczególne podziękowania dla Dave'a Hogana i Davida Starka.

Jestem zobowiązana Rogerowi Tavenerowi za jego notatki i wspomnienia z naszego nocnego spotkania z Freddie Mercury w Montreux w 1986 roku.

Wyrazy wdzięczności dla Jima Beacha, Phila Symesa, matki Freddiego, Jer Bulsary, oraz jego siostry, Kashmiry Cooke.

Christopher Millard i Elizabeth Bell, the Royal Opera House

Imperial College, Londyn

Ealing Art College, Londyn

Uniwersytet Westminster, Londyn

Trident Studios, Londyn

De Lane Lea Studios, Londyn

I Like Music, Londyn

Associated Newspapers, Londyn

News International, Londyn

Trinity Mirror PLC, Londyn

British Library Newspapers, Colindale, Londyn

The Groucho Club, Londyn

Soho House, High Road House & Shoreditch House, Londyn

Babington House, Somerset



Zanzibar Museums, Zanzibar  
Uniwersytet Dar es Salaam, Tanzania  
St Peter's School, Panchgani, Indie  
Norbert Muller & Montreux Music, Szwajcaria,  
[www.montreuxmusic.com](http://www.montreuxmusic.com)

Billboard USA, [www.billboard.com](http://www.billboard.com)  
Record Plant Studios, Los Angeles  
Hollywood Records/The Walt Disney Company, Los Angeles

Soho House, West Hollywood  
New York Daily News  
Soho House New York

The Mercury Phoenix Trust  
[www.mercuryphoenixtrust.com](http://www.mercuryphoenixtrust.com)

46664 Nelson Mandela HIV/AIDS Awareness Campaign  
[www.46664.com](http://www.46664.com)

Child Hope  
[www.childhope.org.uk](http://www.childhope.org.uk)

UK National AIDS Trust  
[www.nat.org.uk](http://www.nat.org.uk)

Bone Cancer Research Trust  
[www.bcrt.org.uk](http://www.bcrt.org.uk)

Oficjalna strona internetowa Queen  
[www.queenonline.com](http://www.queenonline.com)

Oficjalna strona internetowa Freddiego Mercury'ego  
[www.loveroflifesingerofsongs.com](http://www.loveroflifesingerofsongs.com)

Freddie For a Day Global Charity Network  
[www.freddieforaday.com](http://www.freddieforaday.com)

Oficjalna strona internetowa The Who  
[www.thewho.com](http://www.thewho.com)

[www.lesleyannjones.com](http://www.lesleyannjones.com)  
e-mail: [laj@lesleyannjones.com](mailto:laj@lesleyannjones.com)

## **IN MEMORIAM**

Rose Allocca, Poly Styrene, Peter Batt, Gerry Sanderson, John Entwistle, Roger Scott, Kenny Everett, Ginny Comely, Barbara Valentin, Pat Stead, Giles Gordon, Tony Brainsby, Tommy Vance, Jim Hutton, Liam McCoy, John Sutton, Lester Middlehurst, sir Henry Cooper.

Wszelkie pominięcia są niezamierzone. Szczerze dziękuję wszystkim zainteresowanym za ich bezcenną pomoc. Żadna z wymienionych osób nie ponosi odpowiedzialności za wyrażone w niniejszej książce poglądy jej autorki.

## Źródła zdjęć

Ze zbiorów autorki pochodzą zdjęcia na stronach: 31 (dolne), 34, 44/za zgodą Gity Choksi, 101, 110, 156, 162, 166, 167, 176, 179, 198, 200, 209, 245, 274 (górne), 275, 276, 285, 287, 293, 295, 297, 299, 302, 303, 310, 311, 312.

Za zgodą Jer Bulsary i The Mercury Phoenix Trust: 31 (górne).

© Corbis: 249, 252, 256/zdj. Denis O'Regan.

© Getty Images: 59/zdj. Mark i Colleen Haylard, 117/zdj. Michael Putland, 150, 153, 218, 243 /zdj. Denis O'Regan, 244/zdj. Phil Dent, 251, 271, 273 (dolne)/zdj. Dave Hogan, 305/zdj. Fabrice Coffrini, 306/zdj. KMazur.

© Gray Jolliffe: 177.

© Denis O'Regan: 255, 258.

© Photoshot: 224.

© Press Association Images: 97 i 279/zdj. Paul Smith, 292/zdj. Edward Hirst.

© Rex Features: 130/zdj. Ian Dickson, 148/zdj. Andre Csillag, 165/zdj. David Thorpe, 152, 163, 241, 242, 250, 257, 263, 274 (dolne), 277, 278, 283/zdj. Richard Young, 230/zdj. Mark Mawson, 304/zdj. Nils Jorgensen.

© The Picture Library Ltd: 229, 247, 253, 273 (górne) /zdj. Alan Davidson.

Autorka przedsięwzięła wszelkie starania, by skontaktować się z właścicielami praw autorskich do materiałów zamieszczonych w niniejszej książce. W przypadku jakichkolwiek błędów lub przeoczeń Wydawnictwo Dolnośląskie poda stosowne źródła w następnych wydaniach tej pozycji.

## Chronologia

### **5 września 1946**

W Zanzibarze przychodzi na świat Farrokh Bulsara.

### **1951**

Farrokh rozpoczyna naukę w szkole misyjnej w Zanzibarze.

### **1955-1963**

Farrokh uczy się w szkole z internatem St Peter's School w Panchgani w Indiach. Zmienia imię na Freddie. Zakłada swoją pierwszą kapelę, The Hectics.

### **1963**

Freddie wraca do Zanzibaru i kontynuuje naukę w St Joseph's Convent School.

### **styczeń 1964**

Zanzibar ogarnia rewolucja. Freddie wraz z rodziną ucieka do Wielkiej Brytanii.

### **1964-1966**

Freddie studiuje sztukę w Isleworth Polytechnic School.

### **1966**

Freddie zaczyna kurs grafiki użytkowej i ilustracji w Ealing College of Art. Wyprowadza się z domu i poznaje Tima Staffella, który gra w zespole z Brianem Mayem.

### **1969**

Freddie kończy Ealing College of Art; wspólnie z Rogerem Taylorem prowadzi stragan w Kensington Market; poznaje zespoły Smile i Ibex; zakłada swój drugi zespół, Wreckage; poznaje Mary Austin.

### **kwiecień 1970**

Brian May, Roger Taylor i Freddie łączą siły jako Queen. Freddie zmienia nazwisko na Mercury.

## **18 września 1970**

Umiera idol Freddiego, Jimi Hendrix.

## **luty 1971**

Do Queen dołącza basista John Deacon.

## **1972**

Queen podpisują kontrakt z Trident Studios.

## **1973**

Queen podpisują kontrakt płytowy z EMI. W lipcu ukazują się ich debiutancki singiel *Keep Yourself Alive* i debiutancki album. Queen ruszają w trasę koncertową po Wielkiej Brytanii jako support Mott the Hoople. Powstaje pierwszy oficjalny fanclub Queen.

## **1974**

W marcu ukazują się singiel *Seven Seas of Rhye* oraz album *Queen II*. Zespół rusza w swoją pierwszą samodzielną trasę koncertową po Wielkiej Brytanii. W kwietniu Queen grają jako support Mott the Hoople podczas trasy koncertowej po Stanach Zjednoczonych. Na przełomie października i listopada ukazują się singiel *Killer Queen* i album *Sheer Heart Attack*. Zarówno singiel, jak i album wchodzi do pierwszej dziesiątki amerykańskiej listy przebojów.

## **1975**

Pierwsza samodzielna trasa koncertowa Queen po Stanach Zjednoczonych. Pierwsza trasa koncertowa po Japonii. Freddie otrzymuje Nagrodę Ivora Novello za *Killer Queen*. Queen kończą współpracę z Trident. Menadżerem zespołu zostaje John Reid, menadżer Eltona Johna. 31 października ukazują się singiel *Bohemian Rhapsody*. W listopadzie wychodzi album *A Night At the Opera*. W listopadzie *Bohemian Rhapsody* jako pierwsza piosenka Queen zajmuje szczytowe miejsce na brytyjskiej liście przebojów i daje Freddiemu kolejną Nagrodę Ivora Novello.

## **1976**

Druga trasa koncertowa Queen po Stanach Zjednoczonych. W lutym wszystkie cztery albumy Queen trafiają do pierwszej dwudziestki brytyjskiej listy przebojów. Trasa koncertowa po Japonii i Australii. 18 września Queen dają darmowy koncert w londyńskim Hyde Parku. W grudniu ukazuje się album *A Day at the Races*.

### **1977**

Światowa trasa koncertowa Queen. W październiku wychodzi singiel *We Are the Champions*. *Bohemian Rhapsody* otrzymuje Britannia Award. Ukazuje się album *News of the World*. Prawnik Jim Beach uwalnia Queen od kontraktu z Johnem Reidem. Beach przejmuje kontrolę nad interesami Queen. Grupa tworzy swój własny zespół menadżerski, w którego skład wchodzi Paul Prenter.

### **1978**

Trasa koncertowa Queen po Europie. Zespół świętuje w Halloween swój nowy album, *Jazz*, urządzając w Nowym Orleanie skandaliczne przyjęcie.

### **1979**

Queen nagrywają w Musicland Studios w Monachium. W czerwcu ukazuje się album *Live Killers*. Freddie występuje na charytatywnej gali tanecznej razem z baletem królewskim w London Coliseum. Poznaje Petera Freestone'a, swojego przyszłego osobistego asystenta.

### **1980**

*Crazy Little Thing Called Love* w wielu krajach staje się numerem jeden, w tym po raz pierwszy w Stanach Zjednoczonych. Freddie nabywa Garden Lodge, swój wystawny dom w Londynie. Queen ruszają w historyczną trasę koncertową po Stanach Zjednoczonych. Wydany w czerwcu album *The Game* jako pierwszy z ich albumów zdobywa pierwsze miejsce na amerykańskiej liście przebojów. Singiel *Another One Bites the Dust* jest numerem jeden w Stanach Zjednoczonych i wielu innych

krajach. Dwie nominacje do nagrody Grammy. Queen trafiają do Księgi rekordów Guinnessa. Ukazuje się album *Flash Gordon*.

### **1981**

Trasa koncertowa Queen po Ameryce Południowej. Freddie urządza w Nowym Jorku trwające pięć dni przyjęcie urodzinowe. W listopadzie wychodzi album *Greatest Hits*.

### **1982**

Queen podpisują z EMI nowy kontrakt na sześć kolejnych albumów. W maju ukazuje się album *Hot Space*. Nagrany z Davidem Bowie singiel *Under Pressure* staje się numerem jeden na liście przebojów. Trasa koncertowa po Stanach Zjednoczonych. 23 lipca zespół otrzymuje klucze do Bostonu.

### **1983**

Freddie poznaje Winnie Kirchbergera i Barbarę Valentin w Monachium, a w Londynie - Jima Huttona. Zaczyna nagrywać swój pierwszy solowy album w Monachium.

### **1984**

W lutym w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii ukazuje się album *The Works*. W lipcu podczas Brit Awards Queen otrzymują nagrodę za wybitny wkład w brytyjską muzykę. Spike Edney dołącza do Queen jako klawiszowiec podczas tras koncertowych. Kontrowersyjna wycieczka Queen do Sun City w RPA kończy się wciągnięciem zespołu na czarną listę zrzeczenia muzyków.

### **1985**

W styczniu Queen występują jako główna gwiazda na Rock in Rio w Brazylii, a w kwietniu ruszają w trasę koncertową po Nowej Zelandii, Australii i Japonii. W lipcu kradną show podczas Live Aid na stadionie Wembley. Freddie opuszcza Monachium na dobre i wraca do Londynu.

### **1986**

„Pożegnalna” trasa koncertowa Queen *Magic* po Europie. Album *A Kind of Magic*, ścieżka dźwiękowa do filmu *Nieśmiertelny*, ukazuje się w lipcu. Freddie rezygnuje z dalszych koncertów i urządza się w Garden Lodge z Jimem Huttonem, Peterem Freestonem i Joe Fanellim.

### **1987**

W lutym Freddie publikuje cover *The Great Pretender*. W marcu spotyka się w Barcelonie z Montserrat Caballé, by omówić ewentualną współpracę. Paul Prenter, były osobisty menadżer Freddiego, zdradza szczegóły jego życia prywatnego prasie. W październiku Freddie występuje na festiwalu La Nit w Barcelonie w obecności hiszpańskiej pary królewskiej. W tym samym miesiącu wychodzi album Freddiego i La Stupendy, *Barcelona*.

### **1989**

W maju ukazuje się album *The Miracle*. Queen zostają wybrani na najlepszy zespół lat osiemdziesiątych.

### **1990**

Queen otrzymują nagrodę BPI za wybitny wkład w brytyjską muzykę.

### **1991**

Po raz pierwszy od dziesięciu lat Queen zdobywają szczyt listy przebojów singlem *Innuendo*. W lutym wychodzi album *Innuendo*. Zespół zaczyna nagrywać swój ostatni album *Made In Heaven*, opublikowany w 1995 roku.

### **24 listopada 1991**

Freddie Mercury umiera. *Bohemian Rhapsody* ukazuje się jako świąteczny singiel, zbierając ponad milion funtów na rzecz Terrence Higgins Trust. Wychodzi także w Stanach Zjednoczonych, gdzie zyski z jego sprzedaży zostają rozdzielone przez Magic Johnson Foundation pomiędzy organizacje charytatywne zwalczające AIDS.

### **1992**



W poniedziałek wielkanocny na stadionie Wembley odbywa się koncert Mercury Tribute. Powstaje Mercury Phoenix Trust.

### **1994**

Jim Hutton publikuje wspomnienia o swoim życiu z Freddiem.

### **1995**

Cztery lata po śmierci Freddiego album *Made in Heaven* debiutuje na pierwszym miejscu listy przebojów.

### **1996**

W piątą rocznicę śmierci Freddiego w Montreux zostaje odsłonięty pomnik rockmana autorstwa Ireny Sedleckiej.

### **1997**

W styczniu, w Paryżu, ku czci Freddiego debiutuje *Le Presbytère: Ballet for Life*, z muzyką na żywo w wykonaniu pozostałych członków Queen. John Deacon odchodzi z zespołu.

### **2002**

Z okazji złotego jubileuszu królowej Elżbiety II Brian wykonuje *God Save the Queen* na dachu pałacu Buckingham. Musical *We Will Rock You* rusza w londyńskim Dominion Theatre. Jest wystawiany w dwudziestu siedmiu krajach.

### **2004**

Brian występuje na koncercie Fender Strat Pack, gdzie ponownie spotyka wokalistę Free i Bad Company, Paula Rodgersa.

### **2005**

Brian, Roger i Paul Rodgers ogłaszają światową trasę koncertową jako Queen+Paul Rodgers. Zespół daje również koncert w RPA w ramach kampanii uświadamiającej AIDS, którą organizuje Nelson Mandela. Brian otrzymuje nagrodę CBE za zasługi dla przemysłu muzycznego.

## **2006**

Q+PR dają dwadzieścia trzy koncerty w Ameryce Północnej. Album *Greatest Hits* zostaje najlepiej sprzedającym się brytyjskim albumem w historii, deklasując *Sgt Pepper's Lonely Hearts Club Band* Beatlesów. Łączną liczbę albumów sprzedanych na całym świecie szacuje się na trzysta milionów.

## **2008**

Q+PR występują w Hyde Parku z okazji pięćdziesiątych urodzin Nelsona Mandeli.

## **2009**

W obecności dwóch tysięcy fanów matka Freddiego odsłania w Feltham tablicę pamiątkową ku czci syna.

## **2011**

Czterdziesta rocznica powstania Queen. W Londynie zostaje otwarta wystawa *Stormtroopers in Stilettoes*. Zespół podpisuje nowy kontrakt płytowy z Island za pośrednictwem Universal. W marcu ukazuje się pięć pierwszych albumów Queen w wersji zremasterowanej i rozszerzonej, a w czerwcu - pięć następnych. Ostatnie pięć z piętnastu albumów wychodzi 5 września, w dniu sześćdziesiątych piątych urodzin Freddiego.

## Dyskografia

W 2011 roku, w ramach obchodów czterdziestolecia istnienia zespołu, wszystkie albumy studyjne Queen ukazały się w wersji zremasterowanej, rozszerzonej i z nowymi okładkami. Sprawdź na [www.queenonline.com](http://www.queenonline.com)

### ALBUMY QUEEN

W nawiasach podano datę wydania w Stanach Zjednoczonych.

*Queen*

13 lipca 1973

(4 września 1973)

*Queen II*

8 marca 1974

(9 kwietnia 1974)

*Sheer Heart Attack*

8 listopada 1974

(12 listopada 1974)

*A Night At The Opera*

21 listopada 1975

(2 grudnia 1975)

*A Day At The Races*

10 grudnia 1976

(18 grudnia 1976)

*News Of The World*

28 października 1977  
(1 listopada 1977)

*Jazz*

10 listopada 1978  
(14 listopada 1978)

*Live Killers*

22 czerwca 1979  
(26 czerwca 1979)

*The Game*

30 czerwca 1980  
(30 czerwca 1980)

*Flash Gordon*

8 grudnia 1980  
(27 stycznia 1981)

*Greatest Hits*

2 listopada 1981  
(3 listopada 1981)

*Hot Space*

21 maja 1982  
(25 maja 1982)

*The Works*

27 lutego 1984  
(28 lutego 1984)

*The Complete Works*

2 grudnia 1985

Limitowane wydanie zawierające wszystkie dotychczasowe albumy Queen z wyjątkiem *Greatest Hits* oraz specjalny album *Complete Vision*, na którym znalazły

się single oraz strony B niedostępne w innej formie (nie ukazał się w USA).

*A Kind Of Magic*  
2 czerwca 1986  
(3 czerwca 1986)

*Live Magic*  
1 grudnia 1986  
(nie ukazał się w USA)

*The Miracle*  
22 maja 1989  
(6 czerwca 1989)

*Queen At The Beeb*  
4 grudnia 1989  
Ponownie opublikowany w maju 1997 jako podwójny zremasterowany album ze wszystkimi piosenkami, jakie Queen nagrali dla BBC (nie ukazał się w USA).

*Innuendo*  
4 lutego 1991  
(5 lutego 1991)

*Greatest Hits II*  
28 października 1991  
(nie ukazał się w USA)

*Classic Queen*  
-  
3 marca 1992 (tylko w USA)

*Live At Wembley '86*  
26 maja 1992  
(2 czerwca 1992)

*Box Of Tricks*

26 maja 1992

(W tamtym czasie nie ukazał się w USA). Zawiera *The 12" Collection Greatest Hits* (inna lista utworów, 15 września 1992: tylko w USA).

*Made In Heaven*

6 listopada 1995

(7 listopada 1995)

## **REKOMENDOWANE**

*The Platinum Collection: Greatest Hits I, II & III*

listopad 2000

*Absolute Greatest*

listopad 2009

*Deep Cuts, Volume I (73-76)*

marzec 2011

*The Singles Collection Volume I*

grudzień 2008

*The Singles Collection Volume II*

czerwiec 2009

*The Singles Collection Volume III*

październik 2010

## **KARIERA SOŁOWA FREDDIEGO MERCURY'EGO**

### **ALBUMY**

*Mr Bad Guy*

29 kwietnia 1985

(7 maja 1985)

Z Montserrat Caballé:

*Barcelona*

10 października 1988, drugie wydanie w Wielkiej Brytanii  
10 sierpnia 1992 (w USA wydane pośmiertnie 14 lipca  
1992)

*The Freddie Mercury Album*

16 listopada 1992 (w USA wydane jako *The Great Pretender* 24 listopada 1992)

*Freddie Mercury Remixes*

w wielu krajach (oprócz USA) 1993

## **REKOMENDOWANE**

*The Solo Collection Box Set*

23 października 2000

Pełny przegląd kariery Freddiego. Jedna z największych kolekcji, jakie wypuściło Queen Productions, zawiera również ekskluzywne bonusy i remiksy, utwory instrumentalne, rzadkie nagrania, nagrania sesyjne do albumu *Mr Bad Guy*, nagrania sesyjne do albumu *Barcelona* i inne, a także unikatowe wywiady przeprowadzone z Freddiem przez Davida Wiggę. Dołączono również wiele rzadko publikowanych fotografii, rysunków i tekstów piosenek Freddiego oraz bogaty opis poszczególnych utworów.

*Lover of Life, Singer of Songs: The Very Best of Freddie Mercury*

5 września 2006

Dwudyskowa kompilacja opublikowana z okazji sześćdziesiątej rocznicy urodzin Freddiego dla uczczenia człowieka i jego muzyki. Tu jest wszystko.

## **SINGLE**

Jako Larry Lurex:  
*I Can Hear Music*  
29 czerwca 1973

Freddie Mercury:  
*Love Kills*  
10 września 1984  
(11 września 1984)

*I Was Born to Love You*  
9 kwietnia 1985  
(23 kwietnia 1985)

*Made In Heaven*  
1 lipca 1985  
(nie ukazał się w USA)

*Living On My Own*  
2 września 1985  
(2 lipca 1985)

*Love Me Like There's No Tomorrow*  
18 listopada 1985  
(nie ukazał się w USA)

Z *Time*, musicalu Dave'a Clarka:  
*Time*, motyw tytułowy  
6 maja 1986  
(nie ukazał się w USA)



*The Great Pretender*  
23 lutego 1987  
(3 marca 1987)

Z albumu *Barcelona*, z Montserrat Caballé:  
*Barcelona*  
26 października 1987

*The Golden Boy*  
24 października 1988

*How Can I Go On?*  
23 stycznia 1989

**WYDANE POŚMIERTNIE SOLOWE SINGLE  
FREDDIEGO MERCURY'EGO**

*Barcelona*  
27 lipca 1992

*How Can I Go On?*  
październik 1992

*In My Defence*  
30 listopada 1992

*The Great Pretender*  
25 stycznia 1993  
(12 listopada 1992)

*Living On My Own*  
19 lipca 1993

Ponowne wydanie *Living On My Own* było najlepiej sprzedającym się solowym singlem Freddiego. 8 sierpnia

1993 stało się numerem jeden na liście przebojów - jako pierwszy solowy singiel członka Queen.

Więcej informacji na temat singli, kolekcji, wydań nielegalnych, wydań nieoficjalnych, albumów ku czci, albumów Queen+Paul Rodgers i wielu innych sprawdź: <http://www.queenpedia.com/index.php?title=Discography>.

## Bibliografia

- Blake Mark, *Is This the Real Life? The Untold Story of Queen*, Aurum Press Ltd, London 2010.
- Brooks Greg, Lupton Simon (red.), *Freddie Mercury. His Life In His Own Words*, Omnibus Press, London 2008.
- Cann Kevin, *David Bowie: Any Day Now: The London Years*, Adelita Ltd, London 2010.
- Courauld Pari, *A Persian Childhood*, Rubicon Press, London 1990.
- Dean, Ken, *Queen. A Visual Documentary*, Omnibus Press, London 1986.
- Evans David, Minns David, *Freddie Mercury. More of the Real Life*, Britannia Press Publishing, Culver City 1995.
- Freestone Peter, Evans David, *Freddie Mercury. An Intimate Memoir by the Man Who Knew Him Best*, Omnibus Press, London 2001.
- Geldof Bob, *Is That It?*, Sidgwick & Jackson, London 1986.
- Gunn Jacky, Jenkins Jim, *Queen. As It Began*, Sidgwick & Jackson, London 1992.
- Hodkinson Mark, *Queen. The Early Years*, Omnibus Press, London 1995.
- Hogan Peter K., *The Complete Guide to the Music of Queen*, Omnibus Press, London 1994.
- Hutton Jim, Wapshott Tim, *Mercury and Me*, Bloomsbury, London 1994.
- Kent Nick, *Apathy for the Devil*, Faber, London 2010.
- Norman Jeremy, *No Make-up. Straight Tales From A Queer Life*, Elliot & Thompson Ltd, London 2006.

Norman Philip, *Sir Elton. The Definitive Biography of Elton John*, Pan Books, London 2002.

O'Regan Denis, *Queen. the Full Picture*, Bloomsbury, London 1995.

Palmer Robert, *Dancing In the Street. A Rock and Roll History*, BBC Books, London 1996.

Rider Stephen, *These Are The Days Of Our Lives*, Castle Communications, London 1991.

Rock Mick, *Mick Rock, A Photographic Record 1969-1980*, Pinewood Studios, Century 22nd Ltd, 1995.

St Michael Mick, *Queen In Their Own Words*, Omnibus Press, London 1992.

Sheriff Abdul, Ferguson Ed, *Zanzibar Under Colonial Rule*, James Currey Ltd, Oxford 1991.

Shilts Randy, *And the Band Played On. Politics, People, and the AIDS Epidemic*, Penguin Books, London 1987.

Sky Rick, *The Show Must Go On*, Fontana Press, London 1992.

Smith Pete, *Live Aid*, Penn & Ink Ltd, Vancouver, WA 2012.

Southall Brian, *The Rise and Fall of EMI Records*, Omnibus Press, London 2009.

### **Wybrane pozycje w języku polskim**

Dean Ken, Queen. *Przedstawienie musi trwać*, tłum. Katarzyna Malita, uzup. Piotr Kosiński, Jan Skaradziński, Rock Serwis 1996.

Grass Tomasz, *Freddie Mercury. Gwiazda, która stała się legendą*, Altravox Press, Włocławek 1993.

Hince Peter, *Queen. Nieznana historia*, tłum. Aleksandra Machura, Ewa Magiera, Sine Qua Non, Kraków 2012.

Hutton Jim, Wapshott Tim, *Freddie Mercury i ja*, tłum. Maciej Pertyński, Da Capo, Warszawa 1995.

Purvis Georg, *Queen. Dzieła zebrane*, tłum. Magdalena Mejs, Bogusław Lubański, Kagra, Poznań 2009.

Sky Rick, *Przedstawienie musi trwać. Życie Freddiego Mercury'ego*, tłum. Jędrzej Polak, Britannica Press, Poznań 1993.

St. Michael Mick, *Queen*, tłum. Anna Marczak, Morex, Warszawa 1998.

Sutcliffe Phil, *Queen. Ilustrowana historia królowej rocka*, tłum. Maciej Kapuściarz, Kagra, Poznań 2009.



# Przypisy

- [1] Oxfam - powstała w 1942 roku w Wielkiej Brytanii międzynarodowa organizacja humanitarna wspierająca kraje dotknięte klęską głodu (przyp. tłum.).
- [2] Komentarze zamieszczone w nawiasach kwadratowych pochodzą od Autorki (przyp. tłum.).
- [3] W 1986 roku, usiłując zrobić zdjęcie Madonnie, Dave Hogan został przypadkowo potrącony przez jej limuzynę. Zrezygnował z pozwu i od tamtej pory może swobodnie fotografować gwiazdę w miejscach publicznych (przyp. tłum.).
- [4] W tekstach angielskich powszechnie, lecz nie wyłącznie, używa się nazwy Mumbai, Polską nazwą tej metropolii jest Bombaj (przyp. red.).
- [5] *Vendidad* - „prawo przeciwko demonom”, jedna z pięciu zachowanych części Awesty, świętej natchnionej księgi wyznawców mazdaizmu i zaratusztrianizmu. Zawiera prawo kanoniczne (przyp. tłum.).
- [6] Tłumaczenie Marta Kisiel-Małecka.
- [7] Ang. Seven Seas of Rhye (przyp. tłum.).
- [8] Odwołanie do tradycyjnej piosenki walijskiej *We'll Keep a Welcome in the Hillsides* (przyp. tłum.).
- [9] Fleet Street - ulica w Londynie, przy której od XVI wieku aż do lat osiemdziesiątych XX wieku mieściły się brytyjskie wydawnictwa prasowe. Obecnie przenośnie o prasie brytyjskiej (przyp. tłum.).
- [10] Anglikańska Szkoła Świętego Piotra (przyp. tłum.).
- [11] Carnaby Street - ulica w londyńskiej dzielnicy Soho, znana z licznych sklepów odzieżowych, a także butików należących do niezależnych projektantów mody (przyp. tłum.).
- [12] Modsi - powstała pod koniec lat pięćdziesiątych XX wieku w Wielkiej Brytanii subkultura młodzieżowa,

wywodząca się głównie ze środowisk robotniczych i londyńskiego Soho, charakteryzująca się pedantycznym, lecz krzykliwym ubiorem oraz ekstrawaganckimi fryzurami. W latach 1963–1964 modsi prowadzili regularne walki uliczne z rockersami. Do ich ulubionych wykonawców należeli m.in. The Who, Yardbirds czy David Bowie (przyp. tłum.).

[13] Derek Edward Trotter, inaczej Del Boy – bohater sitcomu BBC *Only Fools and Horses*, pełen życia, pewny siebie, a przy tym nałogowy łgarz (przyp. tłum.).

[14] *The Beatles* – ze względu na białą okładkę zwany popularnie *The White Album* dziewiąty oficjalny album Beatlesów z 1968 roku (przyp. tłum.).

[15] Gudźarat – stan leżący w północnozachodnich Indiach, ze stolicą w Gandhinagarze (przyp. tłum.).

[16] C.S. Lewis, *Z milczącej planety*, tłum. Andrzej Polkowski, Poznań 2009 (przyp. tłum.).

[17] C.S. Lewis, *Perelandra* albo *Podróż na Wenus*, tłum. Tadeusz Jan Dehnel, Warszawa 1990 (przyp. tłum.).

[18] Tenże, *Ta ohydna siła*, tłum. Andrzej Polkowski, Kraków 1993 (przyp. tłum.).

[19] Tenże, *Perelandra*, s. 239, Warszawa 1990 (przyp. tłum.).

[20] Ang. *an old queen* (przyp. tłum.).

[21] Biba – w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku kultowy londyński butik, założony przez Barbarę Hulanicki, projektantkę polskiego pochodzenia, która wylansowała modę na szczupłą sylwetkę, makijaż typu *smoky eyes* czy spódniczkę mini. W Bibie ubierali się m.in. Mick Jagger i pozostali stonosi, David Bowie, Sony i Cher (przyp. tłum.).

[22] Garry Glitter, wł. Paul Francis Gadd – brytyjski wokalista glamrockowy, popularny w latach siedemdziesiątych XX wieku. W 1997 roku został aresztowany, a następnie w 1999 roku skazany na cztery miesiące więzienia za posiadanie pornografii dziecięcej.



Po odbyciu kary przeniósł się na Kubę, potem zaś do Kambodży, skąd w 2002 roku deportowano go za namawianie dzieci do stosunków seksualnych. W marcu 2006 roku został skazany w Wietnamie za pedofilię. Wyszedł na wolność w sierpniu 2008 roku (przyp. tłum.).

[23] *Old Grey Whistle Test* – popularny w latach 1971–1987 program muzyczny BBC (przyp. red.).

[24] Aluzja do tekstu *Bohemian Rhapsody*, w którym pojawia się kończąca operowe interludium fraza: „Belzebub has a devil put aside for me” (przyp. tłum.).

[25] Battersea – dzielnica w południowym Londynie (przyp. tłum.).

[26] Tłumaczenie Marta Kisiel-Małecka.

[27] *Rocket Man (I Think It's Going to Be a Long, Long Time)* – piosenka Eltona Johna z albumu *Honky Château* z 1972 roku. W Wielkiej Brytanii dotarła na drugie, a w Stanach Zjednoczonych na szóste miejsce listy przebojów (przyp. tłum.).

[28] Serpentine (pol. Serpentyzna) – określane również jako rzeka jezioro rekreacyjne dzielące na dwie części londyński park królewski Hyde Park. Czytelnikom znane m.in. z powieści Jamesa Matthew Barriego *Piotruś Pan w Ogrodach Kensingtonskich* (przyp. tłum.).

[29] „Szalona Trasa” (przyp. tłum.).

[30] Oficjalne przejęcie władzy przez generała Roberto Eduardo Violę Redondo po skompromitowanym prezydencie Jorge Rafaelu Videli Redondo nastąpiło dopiero kilka dni po zakończeniu trasy koncertowej Queen po Argentynie, 29 marca 1981 roku (przyp. red.).

[31] Masochiści (przyp. tłum.).

[32] Użyte podczas budowy kolorowe kamienie na elewacji były pochodzenia wulkanicznego, konstrukcja stadionu zaś przypomina wulkan. Co więcej, Estadio Universitario powstał w dolinie wulkanicznej Pedregal de San Ángel (przyp. tłum.).

[33] Zespół niedoboru odporności gejów (przyp. tłum.).

[34] Szorty & Podwiązki (przyp. tłum.).

[35] La Stupenda (pol. „Zdumiewająca”) – tak nazywano Montserrat Caballé ze względu na nadzwyczajne możliwości jej głosu (przyp. red.).

[36] „Młode łabędzie” (przyp. tłum.).

[37] Ang. *duck* – „sympatyczny dziwak” (przyp. tłum.).

[38] Brytyjski Przemysł Muzyczny (przyp. tłum.).

Tytuł oryginału: *Freddie Mercury. The Definitive Biography*  
Na podstawie anglojęzycznego wydania Hodder & Stoughton Ltd.

Copyright © Lesley-Ann Jones 2011  
The right of Lesley-Ann Jones to be identified as the Author of the Work has been asserted.

Polish edition © Publicat S.A. MMXII (wydanie elektroniczne)

Projekt okładki: Paweł Bednara

Zdjęcie na okładce: Agencje BE&W i Getty Images / Flash Press Media

Redakcja: Małgorzata Klich

Korekta: Bogusława Otfinowska

Redakcja techniczna: Adam Kolenda

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

Wydanie I elektroniczne

ISBN 978-83-245-9375-0

Wydawnictwo Dolnośląskie  
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62  
oddział Publicat S.A. w Poznaniu  
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66  
e-mail: [wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl](mailto:wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl)  
[www.wydawnictwodolnoslaskie.pl](http://www.wydawnictwodolnoslaskie.pl)

Konwersja i edycja publikacji

